PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 143.

ROK DWUDZIESTY DRUGI. — TOM LXXXVII

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1905.

KRAKÓW.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.
1905

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

Strona

PRZYSZŁE CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA I NAUKOWE ZNACZENIE ZAĆMIEŃ. (Z trzema figurami). Przez *ks. A. Gromadzkiego T. J.* 1

ANKIETA CHARRIAUTA. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 16

ZAKRES KWESTYI ROBOTNICZEJ. Przez *d-ra Wł. Czerkawskiego* 40

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH: W SPRAWIE OCHRONY MAŁOLETNICH PRZED ZBRODNIAMI. Przez *d-ra K. W. Kumanieckiego* 62

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ: LIBERALNY KATOLICYZM. (C. d.) Przez *ks. J. Rostworowskiego T. J.* . . . 85

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH: KRADZIEŻE NIELETNICH W KRAKOWIE W R. 1904. Przez *ks. K. Krokoszyńskiego T. J.* 177 381

OSTATNIA MYŚL WŁODZIMIERZA SOŁOWIEWA. Przez *W. Gostomskiego* 202

HEKTOR I ANDROMACHE. Przez *Lucyana Rydla*. . . . 225 371

NOWY KOMENTARZ DO CHARAKTERYSTYKI HOŁOWIŃSKIEGO. Przez *ks. K. Czaykowskiego T. J.* 234 412

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ. Michał Wiśniowiecki a Jan Sobieski. Przez *d-ra F. Koneczneg*o. 248

ŻEGLUGA ŚRÓDZIEMNA I UDZIAŁ GALICYI W AUSTRYACKIEJ SIECI DRÓG WODNYCH. Przez *A. Konopkę* . . 337

Z NAJNOWSZEGO RUCHU W ŁONIE KOŚCIOŁA ROSYJSKIEGO. Przez *ks. J. Urbana T. J.* 357

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Str

Z DZIEDZINY KAZNODZIEJSTWA. Ks. dr. A. Jougan: »Nauki katechizmowe w Polsce«. — Ks. J. Koterbski: »Egzorty do dzieci szkół ludowych«. — Ks. Jan Chilla: »Dekalog«. — Ks. K. Smogór: »Wykład przypowieści P. Jezusa w kazaniach«. — Ks. W. Puchalski: »Homilie na niedziele całego roku«. — Ks. biskup Karol Fischer: »Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego«. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.).* 106

WIDZENIE KS. PIOTRA W TRZECIEJ CZĘŚCI »DZIADÓW«. Zygfryd Lipiner. *(Dr. St. Dobrzycki)* 121

Z NOWSZYCH POWIEŚCI POLSKICH: Józef Weyssenhoff: »Syn marnotrawny«. — F. Brodowski: »Liote«. — A. Gruszecki: »Słomiany ogień«. — Żelisław: »Dwór i plebania«. — S. Krzywoszewski: »Rusałka«. — M. Raczyńska: »Listy prababki«. — K. Machczyński: »Humoreski i nowele myśliwskie i obyczajowe«. — K. Gliński: »Boruta«. — L. Stasiak: »Brandenburg, kraina słowiańskich mogił«. — A. Gruszecki: »Nad Wartą«. — J. Lemański: »Proza ironiczna«. *(Ks. Wiktor Wiecki T. J.)* 264

Z DZIEDZINY KAZNODZIEJSTWA. II: Ks. J. S. Adamski T. J.: »Hołd Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy«. — Ks. W. Chotkowski: »Pamiątka 50-letniego jubileuszu Niepokalanego Poczęcia, w Krakowie, 1904«. — Ks. K. M. Żukiewicz, Z. K.: »Pocieszycielka strapionych«. — Ks. Lic. A. Jaskulski: »Przemowy dla Bractw Różańcowych i innych« t. I do młodz. i panien. — Ks. S. Bratkowski T. J.: »Magnificat a Przenajświętszy Sakrament«. Ks. Skarga: »Kazania o Przenajśw. Bogarodzicy Niep. Dziewicy«. *(Ks. Jarosław Rejowicz T. J.)* 274

POLSKA LITERATURA AGRARNA W WIEKU XX. *(Dr. A. Krzyżanowski).* 325

POWRÓT I POWTÓRNE ZNIESIENIE JEZUITÓW W GALICYI 1820—1848, na podstawie archiwów rządowych, opowiedział ks. W. Chotkowski. *(Ks. S. Załęski T. J.)* 435

LISTA OPATÓW BAZYLIAŃSKICH W GRODNIE. Zestawił Wołyniak. *(Ks. S. Załęski T. J.)* 440

MARTYROLOGIUM CZYLI MĘCZEŃSTWO UNII NA PODLASIU. Z wiarogodnych i autentycznych źródeł zebrał i napisał P. J. K. Podlasiak. *(Ks. J. Urban T. J.).* 441

Z piśmiennictw obcych.

CASUS CONSCIENTIAE AD USUM CONFESSARIORUM COMPOSITI AC SOLUTI ab Augustino Lehmkuhl Soc. Jesu Sacerdote. Volumina duo. *(Ks. Romuald Kudasiewicz T. J.)* 126

DER SAKRAMENTALE CHARAKTER. Eine dogmatische Studie von Dr. Theol. M. I. Lucian Farine. *(Ks. Jan Rostworowski T. J.)* 128

GESCHICHTE DER WISSENSCHAFTLICHEN STUDIEN IM FRANZISKANER ORDEN bis um die Mitte des XIII. Jahrhunderts. Hilarin Felder. *(Wołyniak)* 132

L'OBLAT. J. K. Huysmans. *(Ks. J. Overmans T. J.)* 134

CONTES POUR LES JOURS DE FÊTE. François Coppée. *(Dr. A. Bielecki)* 138

Str.

Oesterreichs-Bedränger. Die Los-von-Rom Bewegung. Von Rudolf Vrba. *(Ks. A. Starker T. J.)* 288

Skazoczynje motiwy w istorii Gerodota. Witold Klinger. *(Dr. St. Zdziarski)* 290

Chateaubriand. Etudes littéraires. Victor Giraud. *(M. Paciorkiewicz)* . 292

Le Drame des poisons. Frantz Funck Brentano. *(Teresa Wodzicka)* . 294

Le prisme. Paul et Victor Margueritte. *(Marya Harsdorf)* 298

The eternal Woman by Dorothea Gerard. — Adventures of Gerard by Conan Doyle. — The ghost of Rouveray and other stories by Ella Inkey. *(T. Wodzicka)*. 301

Handbuch der christlichen Archäologie. C. M. Kaufmann. *(M. B. T. J.)*. 443

Das morgenländische Mönchtum. Dr. Stephan Schiwietz. Erster Band. *(Wołyniak)*. 447

Der Nationalitäten- und Verfassungsconflict in Oesterreich. Von Rudolf Vrba. *(Dr. Adam Bielecki)* 449

Die Volksschulen in Elsass von 1789—1870. Von M. Sorgius. *(Dr. A. B.)* 451

Histoire des croyances, superstitions, moeurs, usages et coutumes. F. Nicolaij. T. I. *(M. B. T. J.)* 452

Obecna międzynarodowa zdolność prawna papiestwa, w związku z teoryą o międzynarodowej zdolności prawnej wogóle. A. Bajkow. *(Ks. Jan Urban T. J.)* 454

Матеріалы для южнославянской діалектологіи и этнографіи. II. Образцы языка па говорах Терских Славян в сѣверо-восточной Италіи, собрал и издал И. А. Бодуэн-де-Куртенэ. *(Dr. Stanisław Zdziarski)*. . . . 456

Z czasopism polskich za rok 1904.

Kraj. Tygodnik illustrowany. Wędrowiec. Ziarno. Tygodnik polski. Biesiada literacka. Ogniwo. Prawda. Przegląd tygodniowy. Głos. Bluszcz. Tygodnik mód i powieści. Illustracya polska. Nowości illustrowane. Przegląd pedagogiczny. Naokoło świata. *(Dr. Stanisław Zdziarski)* 304

Zapiski bibliograficzne.

Geneza Trenów J. Kochanowskiego. Napisał Wincenty Kubik. *(A. B.)* 459

Bibliografia druków polskich w księstwie cieszyńskiem od r. 1716 do roku 1904. Ks. Józef Londzin. *(H. U.)* 460

Kwestya alfabetu litewskiego w państwie rosyjskiem i jej rozwiązanie. I. Baudouin de Courtenay. *(H. U.)* 460

Szkice i rozprawy literackie. J. Klaczko. *(M. B. T. J.)* 461

Impresye. H. Zbierzchowski. *(M. B. T. J.)* 462

Wierszem. 1883—1893. *(M. B. T. J.)* 462

Pogadanka o socyalizmie. Przez ks. M. J. *(K. C. T. J.)* 463

Pamiętnik generała Jana Weyssenhoffa. Wydał Józef Weyssenhoff. *(A.)* 463

Dzieje Polski aż po najnowsze czasy treściwie opowiedziane. Maryan z nad Dniepru. *(A. B.)*. 464

Str.

W Tunisie i na Malcie. Stanisław Bełza. *(V.)* 464

Lourdes. Wspomnienia z pielgrzymki. Ks. dr. J. Górka. — Objawienie się i cuda Najśw. Maryi Panny w Lurd. Opracował X. *(C. B.)* 464

Droga do poznania Boga i zjednoczenia się z Jezusem Chrystusem. Rozmyślania na każdy dzień roku. Przez ks. Leona Gąsiorowskiego, prob. w Biskupicach. 2 tomy. *(J. U. T. J.)* . . 465

Tum ryski i jego ciekawsze zabytki. G. Manteuffel. *(D. B.)* . . . 465

Ofiary postępu. Paweł Bourget. *(A. R.)* 465

Wyrór nowel zagranicznych autorów. Tłum. Z. Kłośnik. *(A. R.)* 466

Kwiateczki duchowne. Ludwik Blozyusz. Polskiemu językowi przyswoił ks. Antoni Chmielowski. *(A. B.)* 466

Papst Pius X. Ein Lebensbild des heiligen Vaters. Mit einem Rückblick auf die letzten Tage Leos XIII. Von Mgr. Dr. Anton de Waal. *(E. B.)* 466

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Sprawy Kościoła: Trzy kongresy. — Fałsz i prawda z Hiszpanii. — † Ks. Henryk Suso Denifle. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* . . . 141

Kronika ekonomiczna. Traktat handlowy rosyjsko-niemiecki i niemiecko-austryacki. — Budowa kanałów w Niemczech. — Pruska nowella do ustawy górniczej. — Międzynarodowa konferencya robotnicza w Bernie. — Układ francusko-włoski w sprawach ustawodawstwa socyalno-politycznego. — Wspólność celna między Austryą a Węgrami. — Ustawodawstwo imigracyjne Stanów Zjednoczonych i Anglii. — Wojna rosyjsko-japońska. Przez *d-ra A. Krzyżanowskiego* 151

Listy z Warszawy: Żydzi. — Syoniści. — Żydzi oświeceni. — Mechesi. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* 165

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Encyklika *Il fermo proposito.* — Dokonanie rozdziału we Francyi. — Wybory w Holandyi. — Pogrom liberałów w Bawaryi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 314

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1904. Przez *dr. St. Zdziarskiego* 323

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Uwagi do mowy gnieźnieńskiej. — Z ruchu religijnego w Austryi. — Z działalności Piusa X. — Z walki przeciwko rozdziałowi we Francyi. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* . . 467

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1904. (Dokończenie) Przez *d-ra St. Zdziarskiego.* 475

Listy z Warszawy: IV. Arystokracya. — Finanse. — Inteligencya. Przez *T. Jeske-Choińskiego* 489

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski.

Str.

W Tunisie i na Malcie. Stanisław Bełza. *(V.)* 464

Lourdes. Wspomnienia z pielgrzymki. Ks. dr. J. Górka. — Objawienie się i cuda Najśw. Maryi Panny w Lurd. Opracował X. *(C. B.)* 464

Droga do poznania Boga i zjednoczenia się z Jezusem Chrystusem. Rozmyślania na każdy dzień roku. Przez ks. Leona Gąsiorowskiego, prob. w Biskupicach. 2 tomy. *(J. U. T. J.)* . . 465

Tum ryski i jego ciekawsze zabytki. G. Manteuffel. *(D. B.)* . . . 465

Ofiary postępu. Paweł Bourget. *(A. R.)* 465

Wyrór nowel zagranicznych autorów. Tłum. Z. Kłośnik. *(A. R.)* 466

Kwiateczki duchowne. Ludwik Blozyusz. Polskiemu językowi przyswoił ks. Antoni Chmielowski. *(A. B.)* 466

Papst Pius X. Ein Lebensbild des heiligen Vaters. Mit einem Rückblick auf die letzten Tage Leos XIII. Von Mgr. Dr. Anton de Waal. *(E. B.)* 466

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

LIPIEC.

Srawy Kościoła: Trzy kongresy. — Fałsz i prawda z Hiszpanii. — † Ks. Henryk Suso Denifle. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* . . . 141

Kronika ekonomiczna. Traktat handlowy rosyjsko-niemiecki i niemiecko-austryacki. — Budowa kanałów w Niemczech. — Pruska nowella do ustawy górniczej. — Międzynarodowa konferencya robotnicza w Bernie. — Układ francusko-włoski w sprawach ustawodawstwa socyalno-politycznego. — Wspólność celna między Austryą a Węgrami. — Ustawodawstwo imigracyjne Stanów Zjednoczonych i Anglii. — Wojna rosyjsko-japońska. Przez *d-ra A. Krzyżanowskiego* 151

Listy z Warszawy: Żydzi. — Syoniści. — Żydzi oświeceni. — Mechesi. Przez *Teodora Jeske-Choińskiego.* 165

SIERPIEŃ.

Sprawy Kościoła: Encyklika *Il fermo proposito.* — Dokonanie rozdziału we Francyi. — Wybory w Holandyi. — Pogrom liberałów w Bawaryi. Przez *ks. Wiktora Wieckiego T. J.* 314

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1904. Przez *dr. St. Zdziarskiego* 323

WRZESIEŃ.

Sprawy Kościoła: Uwagi do mowy gnieźnieńskiej. — Z ruchu religijnego w Austryi. — Z działalności Piusa X. — Z walki przeciwko rozdziałowi we Francyi. Przez *ks. W. Wieckiego T. J.* . . 467

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1904. (Dokończenie) Przez *d-ra St. Zdziarskiego.* 475

Listy z Warszawy: IV. Arystokracya. — Finanse. — Inteligencya. Przez *T. Jeske-Choińskiego* 489

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. Jan Pawelski.

PRZYSZŁE CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

I NAUKOWE ZNACZENIE ZAĆMIEŃ.

I.

Całkowite zaćmienia słońca nie są tylko przedmiotem ciekawości, jak było w dawnych czasach, ale stały się obecnie bogatem źródłem naukowych badań, a umiejętne postrzeżenia ich dostarczyły nauce zasobu nieocenionych wyników pod względem budowy słońca i składu jego atmosfery. Astronomowie wprawdzie całkowite zaćmienia słońca zawsze starannie obserwowali i opisywali; ale nie więcej jak od połowy wieku uczyniono je przedmiotem ścisłych badań naukowych. Od tego czasu, wskutek udoskonalenia tablic słońca i księżyca oraz dokładności geograficznego oznaczenia miejsc, można było wyznaczyć z wielką pewnością na powierzchni ziemi środkową linię zaćmień, tudzież szerokość pasa cienia księżyca, gdzie to zaćmienie przypadnie całkowite. Teraz dopiero astronomowie i fizycy mogli z całą pewnością urządzać podróże naukowe na miejsca naznaczone rachunkiem, nie obawiając się, że ten ich zawiedzie. Przedtem obserwacye zaćmień miały wyłącznie na celu oznaczenie dokładne czasu dotknięcia brzegu księżyca do brzegu słońca. Takie obserwacye mogą posłużyć do poprawienia tablic słońca i księżyca, a także do obliczenia dokładnego stosunku promieni tych ciał niebieskich, jako też obliczenia położenia geograficznego miejsc tam, gdzie inne sposoby z trudnością mogły być użyte. Atoli dla dopięcia tego celu prawie je-

dnakowo dobrze nadawały się zaćmienia słońca częściowe jak i całkowite i nie były potrzebne podróże kosztowne i dalekie, gdyż częściowe zaćmienia słońca obejmują nieraz bardzo wielką przestrzeń ziemi. Obecnie astronomowie nie ograniczają się tylko na zanotowaniu czasu zaćmienia, ale zwracają uwagę na takie zjawiska, które mają ścisły związek z fizycznemi własnościami słońca. Do wykonania takich spostrzeżeń potrzebne są zaćmienia słońca całkowite. Powiększenie ilości stacyi na całej linii bardzo jest pożądane, gdyż wtedy wynik spostrzeżeń staje się mniej zależnym od przypadkowego meteorologicznego stanu nieba: chmur, deszczu, mgły, burzy i t. d. Trudno przypuścić, aby na całej linii całkowitego zaćmienia było niebo zachmurzone, a stąd im więcej będzie miejsc zajętych, tem powodzenie badań będzie pewniejsze. Tu może bardzo przysłużyć się meteorologia, wskazując na linii takie miejsca, w których prawdopodobieństwo niezachmurzonego nieba w tym czasie jest największe. Powiększenie ilości stacyi jest jeszcze pod innym względem potrzebne. Przeciąg czasu całkowitego zaćmienia jest bardzo krótki, nie może przekroczyć 8 minut, a zwykle bywa daleko krótszy. Otóż w tym krótkim czasie trzeba bardzo wiele zrobić: zanotować czas początku i końca całkowitego zaćmienia, zrobić zdjęcia fotograficzne, zbadać światło korony słońca spektroskopem i polaryzatorem. Wykonać tego wszystkiego jedna osoba oczywiście nie może. Więc na każdej stacyi potrzebne są przynajmniej cztery osoby i każda z nich musi się dobrze śpieszyć, żeby w kilku minutach wszystkiego dokonać. W pośpiechu nieuniknione są błędy. Otóż tylko przez powiększenie stacyi i ścisłe badanie obserwacyi dokonanych można będzie odróżnić, co należy do istoty rzeczy, a co jest wynikiem tylko pośpiechu, przypadkowego błędu, osobistej opinii obserwatora, albo nareszcie, co jest owocem tylko własnego »widzimisię«.

II.

W roku 1842 podczas całkowitego zaćmienia słońca postrzeżono wiele zjawisk, które dotąd prawie nie były znane. Astronomom i fizykom otworzyło się nowe pole do badania. Odtąd astronomowie zaczęli urządzać liczne wyprawy dla obserwacyi

całkowitego zaćmienia słońca na miejscach, gdzie ono mogło być widziane. Takim sposobem kilka zaćmień w nowszych czasach lepiej nas zaznajomiło z budową słońca, niż pojedyncze obserwacye wszystkich poprzedzających wieków.

W 1860 roku zebrali się najznakomitsi astronomowie i fizycy w Hiszpanii. Liczne obserwacye, a szczególnie zdjęcia fotograficzne na dwóch stacyach, czynią to zaćmienie najobfitszem w spostrzeżenia, jakie tylko kiedykolwiek zdobyto. Wszystkie te zdobycze były potwierdzone zaćmieniem 1868 roku, które wskutek niezwykłego długiego trwania, bo przez 6 minut i 25 sekund, okazało się bardzo ważnem. W 1870 roku, na całej linii całkowitego zaćmienia, w Hiszpanii, Sycylii i Afryce, można było naliczyć z górą 100 astronomów i fizyków, nie licząc dyletantów, miłośników astronomii, których tylko sama ciekawość pobudziła do przedsięwzięcia dalekich i kosztownych podróży. Że te obserwacye nie zostały bez owocu, to trzeba zawdzięczyć tylko wielkiej ilości obserwatorów, gdyż w wielu punktach, wskutek zachmurzonego nieba, deszczu, i burzy, obserwacye wcale się nie udały.

III.

Ciemność wtedy tylko znacznie się zwiększa, kiedy środek tarczy księżyca zbliża się do środka słońca, i to zwiększenie ciemności odbywa się tak nagle, że nie tylko dla zwierząt i pospólstwa, ale dla widza nawet oswojonego z temi zjawiskami przedstawia coś zatrważającego. Wszystkie przedmioty przybierają inną barwę, zieloność roślin zmienia się na kolor szary; niebo przy poziomie ma barwę zielono-żółtą, a wyżej szarą; twarz ludzi staje się blada, podobna do takiej, jaka bywa u siedzących przy płomieniu lampy spirytusowej, nasyconej solą kuchenną; temperatura prędko opada. Zjawiska te daleko wspanialej się okazują, jeżeli niebo jest zupełnie jasne. Obserwatorowi, znajdującemu się na szczycie odosobnionej góry, odsłania się imponujący widok cienia księżyca, pędzącego po równinie z niezmierną chyżością. Niektórzy obserwatorowie porównywają ją z chyżością zbliżającej się burzy, albo lokomotywy, pędzącej całą siłą pary. Kiedy nad-

chodzi chwila zaćmienia całkowitego, sierp słońca, wyglądający z poza księżyca, z wielką chyżością się zmniejsza, i oto jest już tylko jasna nić, w kilku miejscach przerywana nierównościami brzegu księżyca, nakoniec znika zupełnie. Skoro ostatni promień słońca zniknie, wszystko nagle się zmienia. Wśród szarego nieba wisi zupełnie czarna tarcza księżyca, otoczona jasno świecącą, promienistą koroną, srebrzystego koloru, z której tu i ówdzie wytryskają czerwone płomyki. Średnica całej korony równa się blizko potrójnej średnicy księżyca. Przy pojawieniu się pierwszego promienia słońca wszystko znika i powraca do pierwotnego stanu. Z wierzchołka odosobnionej góry można widzieć przez pewien czas, szybki bieg oddalającego się cienia księżyca. Stopień ciemności, jaki bywa przy całkowitem zaćmieniu, zależy od stanu powietrza i od jasności całego nieba. Wogóle tę ciemność można porównać ze zmierzchem, jaki u nas bywa w pół godziny, albo trzy kwadranse po zachodzie słońca. Większe gwiazdy zaczynają świecić na niebie. Wenus zwykle bywa widzialny już na długo przed początkiem całkowitego zaćmienia. Zresztą ciemność wydaje się być większą wskutek nagłego kontrastu z poprzedzającą jasnością. Zwykle książkę z grubym drukiem można czytać, ale nie można odczytać podziałów na kołach ani sekund na zegarze. Najjaśniejsza część korony przy brzegach księżyca dosyć wązka. Czasem strzelają z korony promienie znacznej długości. Czerwone płomyki *(protuberance)* często można widzieć okiem nieuzbrojonem w lunetę. Niektórzy obserwatorowie, wskutek optycznego złudzenia, brali je za karby brzegów księżyca. Wielu, opisując te zaćmienia, często wpada w przesadę, ale właśnie ta przesada jest dowodem, jak głębokie wrażenie robi to zjawisko na widzów nawet dobrze obznajomionych z niemi. Badacz zjawiska nieraz potrzebuje użyć całej siły swojej woli, ażeby oprzeć się pokusie przypatrywania się zjawisku, nie pomnąc na cel, który sobie zamierzył i nie stać się tylko niemym i bezczynnym widzem tego, co się dzieje. Warren De la Rue, znany ze swoich fotografii słońca i księżyca, doznał takiego wrażenia przy obserwacyi całkowitego zaćmienia w 1860 roku, że następne zaćmienie postanowił obserwować bez żadnych przyrządów, żeby dowoli nasy-

cić się wspaniałym widokiem i całkowicie oddać się wrażeniom, których może doznać tylko człowiek, nie zajęty żadnem naukowem badaniem.

IV.

Oko nasze, jak wiadomo, podlega licznym złudzeniom. Dlaczego część oświetlona tarczy księżyca zaraz po nowiu wydaje się być częścią większego koła, niż nieoświetlona, należy do złudzeń, które nazywamy iradyacyą. Otóż ta iradyacya bardzo przeszkadza w zanotowaniu czasu wewnętrznego dotknięcia brzegu ciemnej tarczy księżyca do jasnego brzegu słońca. Kiedy brzeg księżyca zbliża się do brzegu słońca na początku całkowitego zaćmienia, między tymi brzegami tworzy się ciemna wstęga, brzeg księżyca jakby się wyciąga, a po kilku dopiero sekundach znów się zaokrągla i zdaje się dotykać brzegu słońca. To samo powtarza się przy końcu całkowitego zaćmienia, tylko w odwrotnym porządku. Gdy brzeg księżyca zdaje się dotykać brzegu słońca, zaczyna się tworzyć podobna ciemna wstęga, która powoli się zwiększa i następnie rozrywa. Przy zaćmieniu słońca, wskutek nierówności brzegu księżyca, takich wstęg tworzy się kilka. Długo obserwatorzy byli w niepewności, co uważać za moment początku i końca zaćmienia? Czy na początku całkowitego zaćmienia zapisać czas tworzenia się ciemnej wstęgi, czy też czas jej znikania; a na końcu, czy czas pokazywania się pierwszych promieni słońca, czy czas rozrywania się wstęgi? Dopiero w roku 1769 O. Hell T. J., obserwując w Laponii przejście planety Wenus przez tarczę słońca, zanotował starannie oba momenty; Littrow, który badał te obserwacye, powiada, że one nie tylko są dobre, ale najlepsze ze wszystkich. Ale kiedy się gotowano do obserwacyi następnego przejścia Wenus przez tarczę słońca w 1874 roku, Faye poddał obserwacye O. Hella nowym badaniom i zakończył swoją pracę temi słowy: »Z pewnością w roku 1874 nie będziemy mogli lepiej zrobić!«

Do zbadania iradyacyi były wynalezione osobne przyrządy, w których czas wewnętrznego dotknięcia brzegów dwóch tarcz, jasnej i ciemnej, mechanicznie się zapisywał. Oprócz tego obser-

wator zapisywał swój czas dotknięcia brzegów. Porównywając te dwa momenty, można było dowiedzieć się, co trzeba uważać za moment dotknięcia brzegów. Z licznych doświadczeń i badań okazało się, że za moment początku całkowitego zaćmienia trzeba uważać tworzenie się ciemnej wstęgi, albo mostku, jak później nazwano, a za moment końca zaćmienia rozrywanie się tegoż mostku.

Wszyscy obserwatorowie zgadzają się w tem, że wielkość złudzenia optycznego doprowadzi się do minimum, jeżeli na kilka minut przed momentem zaćmienia luneta dobrze się ureguluje pod względem wyrazistości obrazu. Ta ostrożność szczególnie potrzebna jest przy lunetach sporządzonych całkiem z metalu. — Wskutek zmiany temperatury i rozszerzalności metalu, luneta, uregulowana znacznie pierwej przed momentem zaćmienia, może dawać obrazy niewyraźne, a to jeszcze bardziej zwiększy optyczne złudzenie iradyacyi. Tę samą ostrożność trzeba zachować i przy fotograficznych aparatach.

Jeszcze na jedną okoliczność trzeba zwrócić uwagę przy notowaniu momentów początku i końca zaćmienia. Dla ochrony oka od rażących promieni słońca przed soczewką oczną używamy szkieł zabarwionych ciemnych. Doświadczenie pokazało, że przez takie szkła początek zaćmienia zawsze się obserwuje za wcześnie, a koniec za późno. Tego błędu można uniknąć, używając ciemnych szkieł, ściętych w formie klina, tak, że w jednym kawałku można mieć wszystkie stopniowania zaciemnienia.

V.

Czy światło korony jest własne, czy tylko odbite od słońca? Na to pytanie można odpowiedzieć, badając owo światło zapomocą polarymetru. Jeżeli korona świeci własnem światłem, to prawdopodobnie to światło nie będzie spolaryzowane; jeżeli zaś jest tylko odbite od słońca, to musi być spolaryzowane i przytem płaszczyzna polaryzacyi musiałyby być styczną do brzegu słońca. Gdyby nareszcie ta korona powstawała w naszej atmosferze, to płaszczyzny polaryzacyi wszędzie musiałyby być równoległe do siebie. Stąd się pokazuje, jak ważną jest rzeczą dobrze zbadać po-

łożenie płaszczyzny polaryzacyi światła korony, jeżeli wogóle to światło okaże się spolaryzowanem. Ponieważ badania tego przedmiotu należą do trudniejszych, a czas trwania zaćmienia bardzo krótki, więc dziwić się nie można, że wyniki tych badań w różnych miejscach tego samego zaćmienia i różnych zaćmień często nie zgadzały się z sobą. To jedno tylko napewno twierdzić można, że w niewielkiej odległości od słońca światło korony nie jest spolaryzowane, a zatem jest to jej własne światło. Pozostaje jeszcze zbadać te części korony, w których polaryzacya jawnie występuje. Atoli żeby o tym przedmiocie coś pewnego można było powiedzieć, trzeba pierwej bardzo dobrze zbadać polaryzacyę światła w naszej atmosferze i to w każdym jej meteorologicznym stanie, jaki zdarzyć się może.

VI.

Większa część obserwatorów zgadza się w tem, że za nastąpieniem całkowitego zaćmienia wszystkie ciemne linie widma nagle zmieniają się na jasne, a następnie całkiem znikają; światło korony daje słabe, ciągłe i nieprzerwane widmo.

Podczas zaćmienia w roku 1869 zauważono, że widmo korony jest ciągłe, ale dostrzeżono w niem kilka linii jasnych; pozostały jednakże wątpliwości, czy te linie należą do korony? Próbowano porównywać te linie z liniami widma zorzy północnej lub światła zodyakalnego. Zauważono wprawdzie zgodę niektórych linii, ale ta zgoda nie jest tak wielka, żeby można było przyznać tym liniom zupełną tożsamość.

Co się zaś tyczy natury promieni, które wytryskają z korony, trudno coś pewnego powiedzieć. Prawdopodobnie nasza atmosfera wiele do tego się przyczynia, ponieważ obserwatorowie, o kilka kilometrów tylko odlegli od siebie, rozmaicie je opisują i przedstawiają na rysunkach. Zdaje się jednak, że całego zjawiska działaniu naszej atmosfery przypisać nie można.

VII.

Protuberance są to nagromadzone gazy, co do formy podobne do naszych chmur; kolor mają czerwony. Niektóre unoszą

się zupełnie odosobnione, jako chmury w atmosferze słońca. Czasem zmiany są tak prędkie, że już w przeciągu dziesięciu minut zauważyć je można. Oprócz tych wydatności cała powierzchnia słońca jest pokryta takąż samą świecącą materyą, którą nazwano chromosferą. Z tejto chromosfery powstają protuberance, podnoszą się nad poziom powierzchni słońca i często się odrywają. Niekiedy podobne są do dymu, który się z naszych kominów wydobywa i doszedłszy do pewnej wysokości, prądem powietrza pędzony, przybiera kierunek poziomy. Wysokość protuberancy często ma olbrzymie rozmiary: bywa dziesięć a nawet trzydzieści razy większa od promienia ziemi.

Ponieważ rażące światło reszty słońca (fotosfery) zupełnie przytłumia znacznie słabszy blask chromosfery, więc do 1861 r. można było widzieć chromosferę i protuberance tylko podczas całkowitych zaćmień słońca. Teraz, dzięki wielkim postępom, dokonanym w spektralnej analizie przez Bunsena i Kirhoffa, można nie tylko robić spostrzeżenia nad chromosferą przy jasnem niebie, całym blasku słońca, każdej chwili, ale i badać chemiczny skład tej materyi, odległej od nas o dwadzieścia milionów mil, niemal z taką samą łatwością, jak to czyni chemik w swojem laboratoryum z ciałami, które trzyma w ręce.

Tu na dwa pytania trzeba odpowiedzieć:

1. Czy protuberance składają się z rozżarzonych cząstek stałych, albo płynnych, na podobieństwo naszej mgły i chmur, czy może są rozżarzone gazy?
2. Z jakiej materyi się składają?

Na pierwsze pytanie łatwa odpowiedź.

Wszystkie stałe i płynne ciała w rozżarzonym stanie dają widmo ciągłe. Gazy rozżarzone mogą wprawdzie dać widmo ciągłe, ale tylko pod wielkiem ciśnieniem i przy wysokiej temperaturze. Skoro zaś otrzymuje się widmo przerywane, składające się z samych jasnych linii, można być pewnym, że ma się do czynienia z gazem rozżarzonym.

Odpowiedź na drugie pytanie już jest trudniejsza; bo tu nie wystarcza widzieć tylko samo widmo, ale jeszcze trzeba porobić ścisłe pomiary wszystkich jego linii, żeby módz je porów-

nać z liniami widma znanych nam gazów. Okazyę do takich pomiarów podało zaćmienie słońca 1868 roku. Ścisłe pomiary spektroskopiczne, dokonane przez wielu podczas tego zaćmienia, pokazały niewątpliwie, że cała chromosfera i protuberance składają się przeważnie z rozżarzonego wodoru. Zauważono także linię żelaza.

VIII.

Zaćmienie 1868 roku, można powiedzieć, stanowi epokę w badaniach spektroskopicznych słońca. Odtąd okazała się możność badania chromosfery nie tylko podczas całkowitego zaćmienia słońca, ale w pełnym jego blasku. Fizyk Janssen, badając największą wówczas protuberancę, a nie mogąc skończyć wszystkich pomiarów w tak krótkim czasie, przeciągnął je znacznie poza czas całkowitego zaćmienia. Z niemałem zdziwieniem spostrzegł, że przy blasku słońca linie protuberancy z taką samą łatwością widzieć można, z jaką i podczas całkowitego zaćmienia. To uradowało go tak bardzo, że z uniesienia zawołał: *Je reverrai ces lignes là en dehors des éclipses.* Chmury przeszkodziły mu tego samego dnia przekonać się o tem, ale dnia następnego rano to jego powiedzenie zupełnie się sprawdziło. Odkrycie to bardzo ważne pod wielu względami. Astronom lub fizyk, dla wykonania przynajmniej niektórych badań, już nie potrzebował czekać na rzadkie całkowite zaćmienia słońca; nie potrzebował odbywać kosztownych dalekich podróży; narażać się na zupełne niepowodzenie, pochodzące od przeszkód meteorologicznych, w swoich badaniach nie musiał się spieszyć, a tem samem mógł uniknąć błędów, które połączone są z każdym pośpiechem; nie tylko mógł sprawdzić fakt, że są takie zjawiska na słońcu, ale śledzić ich powstawanie, rozwój, znikanie, związek, jaki zachodzi między plamami na słońcu i tymi wybuchami chromosfery i t. d.

Przyczyna, dlaczego zapomocą spektroskopu można widzieć słabe światło chromosfery i jej wybuchy, jest ta sama, która pozwala widzieć gwiazdy we dnie zapomocą zwykłej lunety. Im luneta jest silniejsza, tem pole lunety jest ciemniejsze, gdyż światło atmosferyczne więcej się rozprasza w jej polu. Gwiazda zaś

jako punkt świecący nie doznaje takiego rozproszenia, a stąd na ciemniejszem tle pola staje się widzialną. Podobnie się dzieje w spektroskopie: im silniejsza jest siła spektroskopu, rozpraszająca światło, tem pole staje się ciemniejsze, widmo zaś chromosfery składa się tylko z jasnych linii, które na ciemnem tle pola stają się widzialne. Ponieważ spektroskopy, którymi uczeni dawniej badali chromosferę podczas zaćmienia słońca, były o małej sile rozpraszającej, więc przy pełnym blasku słońca nie można było widzieć linii chromosfery, tak samo jak zapomocą słabej lunety nie można widzieć we dnie gwiazd na niebie.

IX.

Od czasu jak się pokazała możność obserwowania chromosfery przy pełnym blasku słońca, astronomowie i fizycy zabrali się z całym zapałem do badań. We Włoszech powstało nawet towarzystwo *Spettroscopisti Italiani*, którego jedynem zadaniem jest badać słońce zapomocą spektroskopu. Widzimy tam takich badaczy jak: O. A. Secchi T. J. i Respighi w Rzymie, P. Tacchini w Palermo; J. Fényi T. J. w Kalocsy na Węgrzech i wielu innych.

Jeżeli zbierzemy wszystkie badania, jakie były dotychczas wykonane podczas i pomimo zaćmień, to budowa słońca przedstawi się nam, jak następuje:

1. Słońce jest masą rozżarzoną o niezmiernie wysokiej temperaturze; składowe jego części, metale i inne znane pierwiastki do pewnej głębokości znajdują się zawsze w stanie pary. Widzialna zewnętrzna jego część stanowi fotosferę.

2. Fotosfera otoczona jest warstwą stosunkowo niewielkiej grubości, która się składa z pary metalicznej. Ta para, pochłaniając odpowiednie tym metalom promienie, wytwarza w widmie słonecznem linie Fraunhofera. Oprócz metalicznej pary w tej warstwie przeważnie znajduje się wodór, a może inne gazy nam nieznane. Nazwano ją chromosferą, dlatego że ma kolor czerwony. Grubość jej nie przewyższa 1500 mil geograficznych. Chromosfera powoli przechodzi w inną warstwę, daleko subtelniejszą, którą można

widzieć tylko podczas całkowitego zaćmienia słońca i nazywa się koroną.

3. Wewnątrz słońca odbywają się gwałtowne wzburzenia, których działanie aż do powierzchni się rozprzestrzenia i sprawia wydęcia fotosfery, występujące na jaw jako pochodnie, zagłębienia jako plamy i wybuchy chromosfery jako protuberance. Spektralna analiza plam pokazuje, że zagłębienia ich napełnione są parą metali, które tam układają się według ich ciężaru właściwego.

4. Nie wiemy, w jakim stanie skupienia znajduje się materya w środku słońca. Spektralna analiza w głąb słońca sięgnąć nie może. Jeżeli atoli zestawimy niezmierną temperaturę słońca z siłą ciężkości na powierzchni jego, a stąd obliczymy ciśnienie, jakie musi być nawet w niewielkiej głębokości, to przyjdziemy do przekonania, że dosyć gruba warstwa słońca musi być w stanie pary, głębiej zaś w takim stanie skupienia, którego ani gazem ani płynem nazwać nie można. Jest to stan, w którym znajduje się gaz pod ogromnem ciśnieniem, ale którego temperatura jest wyższą od krytycznej temperatury tego gazu.

X.

Odkrycie Janssena nie zmniejszyło wagi i znaczenia całkowitych zaćmień słońca w badaniu jego budowy. Nie wszystkie bowiem obserwacye dają się wykonać pomimo zaćmień. Protuberance podczas zaćmienia można widzieć okiem nieuzbrojonem i fotografować wszystkie w jednym czasie, mierzyć ich wielkość, badać takie szczegóły, które tylko podczas zaćmienia widzieć można, badać światło korony, zanadto słabe, ażeby można je było widzieć przy blasku słońca. Spektroskopem, pomimo zaćmień, można bardzo dobrze badać linie widma chromosfery, oznaczyć skład chemiczny tej materyi, przynajmniej co do niektórych pierwiastków, ale mierzenie wielkości i kształtu protuberancy już jest połączone z wielkiemi trudnościami. Można wprawdzie przez rozszerzenie szpary spektroskopu widzieć mniejsze protuberance całkowicie, ale wtedy one tracą swój kształt, wydłużają się w kierunku szpary, a skracają się w kierunku prostopadłym do szpary. Łatwo zrozumiemy, że takim sposobem dokładnych pomiarów wy-

konać nie można. Jedyny, nieco ściślejszy sposób mierzenia, polega na tem, że oznacza się czas przejścia protuberancy przez zwężoną szparę, a później rachunkiem dochodzi się do jej wielkości i kształtu. Jak widzimy, badanie chromosfery i innych zjawisk na słońcu podczas całkowitych zaćmień wcale nie okazuje się zbytecznem. Te dwa sposoby badania nie tylko nie wykluczają się, ale owszem wzajemnie się dopełniają. Dlatego dziwić się nie będziemy, że cały świat astronomów i fizyków tak bardzo jest teraz zajęty przygotowaniami do obserwacyi zaćmienia, które przypadnie w tym roku 30 sierpnia.

XI.

Oznaczmy pierwej granice, w których mogą się przydarzać całkowite zaćmienia wogóle na kuli ziemskiej. Całkowite zaćmienie słońca w danem miejscu może się przydarzyć ledwie co 200 lat. Czas trwania nie może być dłuższy nad 8 minut. Szerokość cienia księżyca, jeżeli on pada pionowo na poziom, nie może być większa jak 275 kilometrów. W miejscach podbiegunowych, gdzie cień pada ukośnie na poziom, może on zająć przestrzeń 1685 kilometrów. Jeżeli szerokość cienia nie przewyższa 60 kilometrów, to zaćmienie nie na całej linii będzie całkowite; przy wschodzie i zachodzie słońca może być tylko obrączkowe. Czas trwania całkowitego zaćmienia wogóle na kuli ziemskiej nie może przekroczyć 7 godzin.

Zaćmienie 30 sierpnia b. r. pod tym względem zasługuje na uwagę, że linia całkowitego zaćmienia w większej części przypada na ląd, 8 części na ląd, a 7 na morze. — Najpierw na kuli ziemskiej zacznie się ono w Ameryce, przy wschodzie słońca, na brzegu oceanu Atlantyckiego koło miasta Norfolku o 12 godzinie, 9 minucie po południu według czasu chyrowskiego; najpóźniej się skończy w Afryce na południe od Abisynii o 5 godzinie i 9 minucie, a zatem trwać będzie na całej kuli ziemskiej 5 godzin. Pas całkowitego zaćmienia zaczyna się w Kanadzie północnej Ameryki, przy wschodzie słońca, koło miasta Winnipeg, przetnie południową część zatogi Hudsona (James), następnie Labrador i przez ocean Atlantycki przejdzie do Hiszpanii. Tu szerokość

cienia księżyca będzie największa, blizko 195 kilometrów i czas całkowitego zaćmienia 3 minuty 44 sekund najdłuższy. Miasta Oviedo, Burgos, Soria, Zaragoza i wyspy Forentera, Ibiza, prawie cała Mallorca będą miały zaćmienie całkowite. Przeszedłszy przez morze Śródziemne, pas całkowitego zaćmienia wejdzie do Afryki pomiędzy Algierem i Tunisem, pociągnie przez Tripolis, pustynię Libijską, Egipt, morze Czerwone i skończy się w południowej części Arabii przy zachodzie słońca. Miasto Assuan nad Nilem w Egipcie i Mekka w Arabii będą miały zaćmienie całkowite. Najdogodniejszem miejscem do postrzeżeń bez wątpienia jest Hiszpania, dlatego, że czas całkowitego zaćmienia tam będzie najdłuższy. Począwszy od Hiszpanii w obie strony cień się zwęża. Na środkowej linii koło Mekki całkowite zaćmienie będzie trwało tylko 2 minuty i 18 sekund. Na dołączonych tu mapach Hiszpanii i części Afryki z Arabią, można widzieć przebieg cienia księżyca, długość i szerokość jego według skali każdej mapy. Skala Afryki jest $2^1/_2$ razy mniejsza od skali Hiszpanii. Długość cienia od miasta Winnipeg do południowej cześci Arabii wyniesie blizko 1770 mil geograficznych.

Częściowe zaćmienie obejmie wschodnią część północnej Ameryki, ocean Atlantycki do 20^0 szerokości północnej, całą Europę północną część Afryki do 14^0 szerokości południowej i zachodnią część Azyi. W całej Galicyi większa część słońca będzie zakryta przez księżyc. W następnej tablicy podane są daty zaćmienia dla trzech miast: Chyrowa, Lwowa i Krakowa. Te daty obliczone są z taką dokładnością, jaką tablice słońca i księżyca, w teraźniejszym ich stanie, podać mogą.

	Początek		Środek		Koniec		Wielkość	Miejsce			
								początku		końca	
	godz.	min.	godz.	min.	godz.	min.					
Chyrów. .	1	58·0	3	6·3	4	5·5	0·61	25^0	45^1	5^0	47^1
Lwów. . .	2	4·3	3	11·5	4	9·9	0·60	27	30	6	41
Kraków. .	1	41·7	2	51·0	3	51·5	0·63	21	31	6	27

Początek, środek i koniec zaćmienia podane są w czasie miejscowym, wielkość w jednostkach średnicy tarczy słońca, miejsce początku i końca rachuje się od linii poziomej, poprowadzonej przez środek tarczy słońca. Na załączonych tu dwóch figurach

można widzieć, gdzie na brzegu słońca zacznie się i skończy zaćmienie. Na figurze 1 litera p oznacza początek, k koniec. Ciemne plamy na tej figurze znaczą pięciominutowy postęp zaćmienia na początku i na końcu. Figura 2 pokazuje największą fazę zaćmienia. Następna tablica podaje jeszcze te same daty w czasie kolejowym, do której dołączony jest czas, jak długo w każdem miejscu zaćmienie trwać będzie.

	Początek		Środek		Koniec		Czas trw.	
	godz.	min.	godz.	min.	godz.	min.	godz.	min.
Chyrów . . .	1	26·5	2	34·8	3	34·0	2	7·5
Lwów	1	28·1	2	35·3	3	33·7	2	5·6
Kraków. . . .	1	21·9	2	31·2	3	31·7	2	9·8

Widzimy, że daty te są bardzo zbliżone do siebie, najdłużej będzie trwało zaćmienie w Krakowie. Im więcej posuwamy się na zachód, tem faza zaćmienia staje się większą. Idąc po tym samym równoleżniku z Chyrowa ciągle na zachód, na oceanie Atlantyckim w blizkości południka Islandyi napotkalibyśmy linię zaćmienia całkowitego.

Dokładne zanotowanie czasu początku i końca zaćmienia, jak wspomniałem w ustępie pierwszym, może się bardzo przydać, jeżeli przytem będzie podane geograficzne położenie miejsca, w którem obserwacyi dokonano. Nie będzie może zbyteczną rzeczą dowiedzieć się, z jaką dokładnością ten czas obserwować można. Na figurze 1 podany jest pięciominutowy postęp zaćmienia dla oka nieuzbrojonego w lunetę. Przypuśćmy, że do obserwacyi użyto lunety o pięćdziesięciorazowem powiększeniu. Wtedy takie samo zwiększenie się zaćmienia można będzie zauważyć w czasie pięćdziesiąt razy krótszym, t. j. w sześciu sekundach. Szóstą część takiego postępu jeszcze bardzo dobrze zauważyć można, a to dałoby dokładność jednej sekundy. Biegły i wyćwiczony obserwator potrafiłby tę dokładność do części sekundy doprowadzić. Koniec zaćmienia bardzo łatwo obserwować; cała trudność zachodzi w obserwowaniu początku zaćmienia. Trzeba dobrze oznaczyć miejsce na brzegu słońca, w którem zaćmienie się zacznie, i na ten punkt pilną zwrócić uwagę. Na rysunku podałem miejsce dla Chyrowa, we Lwowie zacznie się 2^0 niżej, w Krakowie 4^0 wyżej. Żeby nie

zmęczyć oka długiem patrzeniem, wystarczy zacząć obserwować trzy minuty przed początkiem zaćmienia.

Ktoby nie mógł wykonać ścisłych obserwacyi, a chciał tylko zaspokoić swoją ciekawość, powinien się zaopatrzyć w ciemne szkło. Takie szkiełko łatwo samemu sobie sporządzić. Wziąć u fotografa dwie tafelki kwadratowe, najwięcej po 4 cm. w boku, zakopcić obie z jednej strony nad świecą, ze strony zakopconej brzegi okleić papierem, a złożywszy zakopconemi stronami do siebie, brzegami razem skleić. Takim sposobem każdy czytelnik tej pracy, jeżeli pogoda będzie mu sprzyjała, może się przekonać, z jaką dokładnością podobne zjawiska na niebie dają się obliczyć.

Ks. Alcksander Gromadzki.

ANKIETA CHARRIAUTA.

»Powinno nam zawsze tkwić w pamięci, co powiedział jeden z wojewodów polskich: Lepiej mi swobodnie żyć nawet wśród niebezpieczeństw, niż niewolnikiem opływać w zaszczyty«. Tak ksiądz Gayraud, poseł z Finistère, nawołuje swoich rodaków, żeby przekładali niebezpieczeństwa walki o swobodę dla Kościoła nad jego stanowisko dzisiejsze. Na tem stanowisku Kościół występuje zupełnie na równi z protestantami i żydami (oczywiście ludzka a nie nadprzyrodzona), jako potęga uznana przez bezwyznaniowe państwo i poważana mocą konkordatu, jednak obowiązana w zamian za takie stanowisko zaszczytne ustępować od praw do swobodnego ruchu, miarkować swój wpływ, szanować nad sobą wszechwładztwo państwa, dziś wolno-mularskiego. Takiemu stanowisku, jakoby zaszczytnej niewoli, przeciwstawia wybitny poseł zasadę, którą nie wszystkim znany nasz wojewoda wygłosił, ale w każdym razie wyraził ją bardzo po polsku.

I nie trudno przyznać, że słusznie ks. Gayraud przeciwstawia polskiemu duchowi stanowisko katolików francuskich. Społeczeństwu wprawionemu od kilku pokoleń do zapasów o własnej sile, społeczeństwu przywykłemu iść drogą, którą wytknęły zastępy męczenników, nie łatwo zdać sobie sprawę z widoku dzisiejszej Francyi katolickiej. Wszak tam część narodu przeważna, w potędze kilkudziesięciu milionów, staje przed liczbą stosunkowo nikłą wolnych mularzy, ale widzi w nich głowę swoją u steru

władzy, więc stają przed nimi w postaci ledwie nie winowajców, bezradnych i struchlałych wobec zwierzchnika; wyglądają, jakby przedewszystkiem obowiązani okazać, że bez głowy swojej nic pomyśleć nie mogą.

Ale czy też naodwrót Francuzom łatwo pojąć nas, gotowych od tysiąca lat dziejów do obrony przed zamachami Mieszków Starych, Zygmuntów i Augustów na samorząd społeczny? Czy im tak łatwo, jak może przyszłoby nam, utrzymać myśl przewodnią i znaleźć poradną głowę wobec wolnomularstwa u władzy? U nich już całe dzieje nowożytne poszły torem, wytkniętym przez bezwzględnych Ludwików jedynastych i czternastych, przez Napoleonów i innych, równie samowolnych królów, cezarów i archontów w pałacu elizejskim. U nich przewrót w 1789-m roku zmiótł z powierzchni kraju przewodnie jego warstwy, zdolne silniejszą ręką powstrzymywać napór imperyalizmu. U nich przeważne wpływy arystokracyi ustały, a burżoazya i pospólstwo dźwiga jarzmo wszechwładztwa czy archontyzmu równie potulnie, jak ich sąsiedzi z przed Renu słyną z chętnej służby pod rozkazami biurokratyzmu.

Czy i klęski pod Sedanem, Metzem i Paryżem nie wpłynęły na to, żeby Francya szukała dla siebie sił w naśladownictwie zwycięzców, przejętych hasłem o wszechmocy państwowej? A naśladowcy w złem nieraz przewyższają swoje wzory... Łatwo tedy możnaby na polu walki wyznaniowej przewidywać obecnie więcej archontyzmu we Francyi, niż mimo biurokratyzmu w Niemczech katolicy okazali uległego ducha wobec żelaznego kanclerza. Przeciw prawom majowym głowę podnieśli zaraz niemieccy panowie; zwłaszcza potomkowie rodzin udzielnych przypomnieli sobie niejedną walkę, którą ich przodkowie toczyli przeciw imperyalizmowi Salijczyków albo Gibelinów. Lud katolicki chętnie poszedł za wodzami.

Francya katolicka miała już czas podnieść głowę przeciw wolnomularstwu swoich zwierzchników, ale wygląda, jakby nie śmiała wystąpić przeciw głowie narodu. I taki widok tego narodu zaczyna nam ich przedstawiać w świetle, w którem kiedyś na nich spoglądali przodkowie nasi. Przed dobą ogólnego za-

chwytu nad Paryżem pradziadowie nasi w pamiętnikach swoich wyśmiewali dworactwo, rozpanoszone w krajach po obu brzegach Renu. Sami przywykli nie klękać przed majestatem królów, nie usługiwać im przy *grand* i *petit lever*, nie widzieć w nich wszechopatrznych panów społeczeństwa, kpili sobie z dworactwa narodu, który upatrywał tylko anarchię tam, gdzie pospólstwo szlachciców spoglądało na króla-obywatela jako na pierwszego między równymi. Jak przodkowie, tak — przynajmniej we wadach — nieodrodni potomkowie z góry spoglądamy i z tej strony Renu na plemiona, niezdolne ani myśleć, ani żyć, chyba według paragrafu z pieczęcią biurową, ani z tamtej strony na Francuza, który nie da sam rady z bogatym, zasobnym umysłem swoim, bez »dekretu ze strony króla«, a obecnie w Rzeczypospolitej bez »buli archonta«. Każdy z nich, porównany z »anarchicznym Polakiem«, wygląda pozbawionym osobistego zmysłu samopomocy, przytulonym do swojego cezara czy archonta, jakby bezwładna istota do całkowitej swojej opatrzności na ziemi. Przy takim stosunku bezwładnego społeczeństwa do wszechopatrznego pana, ten ostatni nie poprzestaje już na stanowisku przedstawiciela swoich rodaków wobec mocarstw postronnych, naczelnika sił zbrojnych przed napaścią sąsiadów, zawiadowcy spraw międzynarodowych; już ufny w ramię swoje orężne wypycha społeczeństwo z każdego stanowiska wpływowego, zagarnia prawa, odbiera głos, chwyta ster całej gospodarki wewnętrznej i zarząd miast, wsi, rodzinnych nawet stosunków, ustroju tak rolnictwa, jak przemysłu i kupiectwa, sądownictwa, szkolnictwa, lecznictwa: porywa coś nowego codzień i nakoniec rozstrzyga o wszystkiem, nawet o stosunkach i potrzebach człowieka zupełnie osobistych, zależnych tak ściśle od jego sumienia, jak wyznaniowy jego nastrój i pociechy duchowne.

Czy przy takim nastroju trudno odgadnąć, jak Francya katolicka postąpi sobie z wolnomularstwem u władzy?

Przy takim nastroju społeczeństwa francuskiego czyż nie można przypuszczać, że głos księdza Gayraud, jakby podniesiony między głuchemi ścianami, przebrzmi bez skutku? że mało kogo we Francyi poruszy, żeby z hasłem wojewody polskiego na ustach szedł wyswobadzać Kościół z pod ucisku wolnomularzy?

Na to pytanie można wyczytać odpowiedź w książce, którą świeżo wydał Henryk Charriaut[1]. Wyznaczony do tego przez redakcyę *Figaro* zbadał w tej mierze sąd kilkudziesięciu osób najwybitniejszych we Francyi: duchownych i świeckich, biskupów i księży, katolików i wolnych mularzy, pastorów, rabinów i socyalistów.

Po członku redakcyi *Figaro* nie można oczekiwać wiary w Kościół powszechny; a kto Alcanowi dał wydać swoją książkę, dał jej pieczęć niekatolicką. Mimo to nie możemy jego książki uważać za stronniczą, za wrogą Kościołowi: owszem pan Charriaut dziwnie bezstronnie dobierał, jak czytelnik widzi, głosy z wszystkich obozów i bez najmniejszych uwag ze swojej strony spisywał je dosłownie. Alcan nadał swojemu wydawnictwu piętno pracy źródłowej. Ale nie mógł bezwyznaniowiec właściwie ocenić ducha i treści głosów katolickich. Pomieścił wszystkie bez wyjątku głosy w kilku działach pomyślanych dość powierzchownie, bo ustawiał je według tego, jak sam uważał który głos przychylnym albo konkordatowi, albo Rozdziałowi między państwem a Kościołem, i wypowiedzianym ze stanowiska w i a r y, katolickiego, albo wolnomularskiego. Jak wiadomo, niejeden dziennikarz francuski zgrabnie pisze, ale płytko myśli: i w książce pana Charriaut znajdujemy ustawione przy sobie w zwartym rzędzie poglądy na pozór podobne, ale w treści właściwej bardzo dalekie jedne od drugich. Zatem tylko za źródło, rzeczywiście bezstronnie zebrane, poczytać możemy tę książkę, ale czytać jeszcze bardzo mozolnie musimy, jeżeli chcemy jednym rzutem oka objąć cały nastrój społeczeństwa francuskiego wobec rządu wolnych mularzy.

Jakże katolicka Francya spogląda na samą zasadę, że w obronie swobód obywatelskich można tamować rozmach wszechwładztwa państwowego? a że w sprawie swobody chrześcijańskiej nawet trzeba stawiać opór władzy prześladowczej?

Pytanie tak postawione dla nas nie wyglądałoby na ciemną zagadkę: dla Francuzów dzisiejszych widocznie byłoby czemś

[1] *Après la séparation. Enquête sur l'avenir des églises.* Paris. Alcan 1905, 16-ka, str. 320.

niezwykłem, nie bardzo jasnem. Ogólnie tak postawionej zasady prawie nikt nie dotyka; trzeba ją rozbić na szczegóły bardziej drobiazgowe, na pytania uchwytniejsze: dopiero wtedy znajdujemy na nie oddźwięk w różnych głosach myślicieli wybitniejszych.

Czy społeczeństwo może wymagać samorządu w swoich sprawach wyznaniowych i żądać, żeby państwo pilnowało własnych obowiązków w odpowiedniejszym zakresie, a nie rozciągało swojej wszechwładzy na stosunek duszy do Boga?

Na pytanie tak postawione, odpowiada najobszerniej arcbp Petit[1] i twierdzi, że państwo ma prawo i obowiązek zaspakajać potrzeby duchowne obywateli. Mianowicie arcybiskup piętnuje, jako ciężki błąd, pogląd, że tem rozumniej byłoby dziś we Francyi i tem łatwiej oddzielić i odłączyć stanowisko mocarstwowe od stanowiska wyznaniowego, im mniej zgłębiona przepaść dzieli doczesną gospodarkę mocarstw nowożytnych od nadprzyrodzonego posłannictwa i duchownych trosk Kościoła. Przeciw temu poglądowi arcybiskup zarzuca, że mocarstwo chyba musiałoby okaleczyć człowieka, chyba nie spełniać jak tylko cząstkę swoich obowiązków społecznych, gdyby nie dbało, żeby człowiek zaspokoił wszelkie potrzeby swoje, więc prócz doczesnych, także duchowne, gdyby mocarstwo z własnej winy nie dostarczyło środków, zdolnych zaspokoić wyznaniowe potrzeby.

O tem, żeby zepchnąć mocarstwo ze stanowiska wszechopatrznego opiekuna obywateli, o znacznie skromniejszych rozmiarach władzy państwowej i o samorządzie społecznym, arcybiskup nie mówi ani słowa, chociaż widzi dziś Francyę ubezwładnioną przez rząd. Mówi:

»Widzimy obecnie, do czego doszedł stan społeczny, który w ręku zwierzchniczem ześrodkowuje wszystko bezwzględnie i przyzwyczaja oczekiwać wszystkiego od władzy; nie wiemy jeszcze, do czego doprowadzi walka niezbędna, aby odzyskać niezależnego ducha... nagle zbudzeni z drzemki chorobliwej, mogą stąpić na drogę nieprzewidzianą, która dalej zaprowadzi, niżby kto przewidywał...

... »Rozdział między państwem a Kościołem, w najpomyślniejszym

[1] Str. 202—210.

razie stworzy stan walki ukrytej; w przypadkach zawilszych wybuchnie walka otwarta i podobno zawzięta.

»Stan, do którego dążą, nie zdołałby trwać. Po wielu zamieszkach, zamętach, krzywdach i może klęskach, będą musieli wrócić do zgody i podpisać nowy Konkordat. Chciałbym, żeby kraj mój zaoszczędził sobie wydatków na ten przewrót.

»Nakoniec tak wyraziłbym swój wniosek:

»Gdyby katolicy we Francyi byli wprawili się do swobody i do zwyczajów narodu nawykłego do samorządu, do *self-government,* tedy wkroczyliby skutecznie w tę zawziętą bitwę zasad. Tedy pełno ich widzielibyśmy po czasopismach, po dziennikach, po rozprawkach ludowych, po wiecach otwartych i po naradach przy domowem ognisku; po całym kraju, słowem, przez rozprawy stosowne do miejsc i osób, bardzo prawowicie poruszaliby umysły, odsłanialiby prawdę obsłonioną pozorami, oświecaliby słuchaczy uprzedzonych albo nieświadomych, zbieraliby do gromady ludzi dobrej woli porozpraszanych. Pod takim naciskiem wyborcy ocknęliby się, zagadnęliby swoich posłów o ich stanowisko w sprawie Rozdziału i kazaliby im obrać jedno z dwojga: albo niech bronią Konkordatu, albo niech ustępują z krzeseł poselskich«.

Słowem: ks. arcbp z Besançon kończy wnioskiem warunkowym, że gdyby Francya zdołała walczyć przeciw rządowi, wtedy toczyłaby walkę zwycięską.

Również biskup Hazera [1] nic nie zapowiada stanowczo, bo powiada, że jeden Bóg wie, co nastąpi, ale sam wypowiada od siebie zdanie zastrzeżone:

»Jeżeli katolicy pozostaną przy proboszczach, jak proboszczowie przy biskupach, a przez nich przy papieżu, tedy nawa Kościoła francuskiego, z kapitanem, załogą i podróżnemi opłynie bez wielkiej szkody przylądek groźnej zawieruchy«.

Nie mniej stanowczo jak arcybiskup Petit, przemawiają za opieką państwową nad sprawami wyznaniowemi różni biskupi. Biskup Meunier [2] oświadcza, że konkordat wydał skutki najpożądańsze; Kościół z niego odniósł pożytki nieocenione, bo przywrócił katolicyzmowi zaszczytne stanowisko we Francyi i Francyę ściślej niż kiedybądź zjednoczył z ogniskiem spójni i prawdy.

»Gdyby — dodaje, — dzieło wielkiego wodza, wielkiego papieża i wielkiego narodu miało ustać na jakiś czas, nie bójmy się. *Nolite timere.* Czyż Francya nie pozostała, pomimo wszystkiego, starym narodem rycerskim ze sercem i ze szczepu chrześcijańskiego?«.

---

[1] Str. 233. [2] Str. 237.

Biskup Beuvain de Beauséjour [1]:

»Jeżeli konkordat z 1801-go będzie wypowiedziany, następstwa rozdziału same doprowadzą koniecznie do nowego konkordatu«.

Biskup *Pélacot* [2]:

»Najważniejsza rzecz: zachować Konkordat; z nim zapewniona choć odrobina swobody; Kościół nie może oczekiwać nic lepszego i większego na razie«.

Ks. arcbp *Fuzet* [3] uważa za obowiązek opłacić, choćby ceną najcięższych ustępstw, dalszy stan stosunków, ustalonych przez Konkordat. Rozdział obaliłby swobodę wyznaniową. W ciągu stulecia swobody i postępu, Kościół doszedł do wspaniałego rozwoju pod ustalonem prawodawstwem. Z tego stanowiska strącać Kościół do stanu swobody umiejętnie ściśnionej, upokorzonej i niepewnej: czy to nie znaczy stracić zmysł do zarządu? [4]. Gdyby zamach ustawodawczy zniósł Konkordat, pół roku wykaże, że do Konkordatu trzeba wrócić.

Dalej mówi arcybiskup:

»Pan Waldeck-Rousseau to powiedział w senacie:

»Trzeba zdawać sobie sprawę z wypadków dziejowych: do nich należy ten katolicyzm, który przetrwał stulecia, przeżył wielkie przewroty w wieku 16-m i 18-m i doszedł do nas, chociaż nie jako prawo wyznaniowe wszędzie zachowane wiernie, przynajmniej jako ustrój społeczny.

»Nic (mówi arcybiskup) nic nad te słowa nie znajdziemy prawdziwszego (Nad słowo takiego wroga kościoła, jak Waldeck-Rousseau).

»Naród (ciągnie arcybiskup) zachował swoje zwyczaje religijne, do nich przylgnął całą siłą podań wielowiekowych, a nic nie utrzyma tych zwyczajów, tylko religia zabezpieczona Konkordatem. We wszystkich sprawach, objętych tem ustawodawstwem, zamknijmy się w obrębie prawowitym, a pamiętni na to, ze przez Konkordat Kościół dobrowolnie umniejszył sobie praw, odstąpmy od wspomnień na swobodę przeciwną Konkordatowi i żyjmy spokojnie pod opieką ugody z 1801-go, żeby i nam dali spokój. To też, jak rzekł wymieniony a znakomity mąż stanu, nie bez niebezpieczeństw zmienilibyśmy stosunki.

»Poza tymi stosunkami mocarstwo znajdzie tylko zamęt, zawieruchę, rozstrój, a Kościół znajdzie tylko niemoc, nędzę i upadek.

»Sługa przywiązany Kościoła i państwa, pragnę pokoju całą duszą«.

---

[1] Str. 239. [2] Str. 232. [3] Str. 211. [4] Str. 212.

Dodać tu chyba trzeba uwagę:

Przez Konkordat Kościół umniejszył sobie praw, chociaż nie tak dobrowolnie, jak to przypuszcza dostojny arcybiskup; jednak umniejszył sobie praw nie tylko Kościół: samo społeczeństwo dopuściło, żeby jego przedstawiciele na polu szkolnem pozwolili sobie wydrzeć przez wszechwładztwo Ludwików i Combes'ów głos stanowczy w sprawach oświaty i wiedzy. Dobro to przyrodzone, czysto człowiecze, jakiem jest prawda dla umysłu, w państwie wszechwładnem wydarte społeczeństwu służyć musi prawidłom, których wykonawcami są żandarmi i pachołki policyjne, albo w najlepszym razie wychowani bardzo dobrze służalcy rządowi. Wszak mocarstwo, ledwo raz wedrze się w sprawy oświaty, potrzebuje tylko trochę mieć odwagi, żeby zagarnąć pod nadzór policyjny sprawy wyznaniowe. Niech społeczeństwo przywyknie oczekiwać oświaty od urzędników na katedrach uniwersyteckich: wnet przywyknie brać wiarę z rąk urzędników na dostojeństwach kościelnych. Otóż mówi biskup z Seez, Mgr. Bardel [1]:

»*Po Rozdziale państwo nie uznaje wiary*: ustanawia prawa, przewodzi społeczeństwu, zatwierdza rozkłady nauk, rozdaje tysiącami ust pokarm umysłowy dla całej młodzieży francuskiej, ale usuwa starannie wiarę i wyklucza ją bezwzględnie z udziału w pracy, która wychowuje naród przyszły. Czy kto w dobrej wierze przewidział następstwa podobnej roboty? Wszak to znaczy podkopywać podwaliny budowli, którą trzeba wznieść«!

Zarzut to w zasadzie słuszny, ale nieszczęśliwie zwrócony w stronę budowli wolnomularstwa. Kiedy społeczeństwo powierzy urzędnikom urzędowy wykład prawdy, wtedy także urzędowej prawdy domagać się może dla swojej młodzieży, a nie prawdy przedmiotowej. Wtedy prawda objawiona, choćby najjaśniej wykazana dziejowymi wypadkami i przedmiotowym dowodem, jednak ta właśnie prawda może zupełnie nie odpowiadać potrzebom mocarstwa: więc urzędnik na stanowisku nauczycielskiem na podwalinach bezwyznaniowych wznosi bardzo dobrze budowlę niewiary i pogardy dla prawd niewygodnych zwierzchnim warstwom: nie podkopuje wcale swojej budowli,

[1] Str. 217—218.

kiedy wiarę wyklucza bezwzględnie z zakresu nauki, którą przypisał rząd wolnomularski. Nasze społeczeństwo nie wierzyło nigdy we wszechwiedzę swoich rządów, czy piastowskich, czy jagiellońskich, czy rządów takich czy owakich: albo posyłało swoją młodzież na naukę, udzielaną nie przez urzędników, a wtedy nie potrzebowało sarkać, iż ktoś buduje z tej młodzieży społeczeństwo, pozbawione podstaw wiary, albo musiało posyłać dzieci, gdzie mogło, a wtedy zawczasu zabezpieczyło młodzieńcze umysły przed wpływem urzędników obcej wiary.

Społeczeństwo francuskie tej samopomocy, odpornej na wpływ zwierzchnich warstw, nie okazuje dotychczas. Nacisk wolnomularstwa u władzy wywołuje dopiero pogróżki oporu, zawiązki myśli samodzielnej. Wymieniony biskup prowadzi dalej swoją myśl:

»Oświadczamy, że nie odpowiemy za następstwa Rozdziału. Pewnie, poniesiemy ciosy pod przemocą, zmuszeni przyjmiemy Rozdział nam narzucony. Ale, niech wiedzą, że jednego nie przyjmiemy, mianowicie kajdan, w które chcą zakuć Kościół, nim doczekają się jego śmierci.

»Imieniem sumień naruszonych w posadach najgłębszych, założymy sprzeciw, a sprzeciw nie platoniczny; staniemy do boju o prawo i swobodę, upominać się będziemy bez ustanku o nasze krzywdy, nic nas nie zniechęci«.

Podobnie grozi biskup z Fréjus i Tulonu, Mgr. Arnaud [1]:

»Dobry stosunek między Kościołem a państwem każe zawrzeć w sprawach mieszanych, gdzie mogą zachodzić i duchowne względy i świeckie, zawrzeć ugodę, którą każda strona przyjęłaby i zachowywała sumiennie. Stąd konieczny nam Konkordat. Za tę cenę mogą członkowie jednego społeczeństwa zdobyć łącznię i zgodę... Nie może nikt twierdzić, że katolicy przyjmą bez oporu ucisk tyrański programu ateistycznego... Trzeba wyczekiwać walki najzaciętszej w dziedzinie prawa i swobody, walki natchniętej głosem sumienia i zdolnej uzbroić jednych obywateli przeciw drugim!...«

Ale czyż rząd wolnomularski dopuści do praw, w których dziedzinie Kościół mógłby walczyć? czy tak pojmie swobodę, żeby Kościołowi jej udzielił?

Jeżeli katolicy grożą oporem w dziedzinie praw bezbożnych i zapowiadają walkę na polu swobody dla prześladowców swoich,

[1] Str. 225—227.

tedy ich groźby nie zapowiadają oporu skuteczniejszego, niż stawiany dotychczas. Wszak od stu lat w obrębie praw bezwyznaniowych szamoczą się księża i Konkordatem skrępowani, puszczają z rąk jeden zagon pracy duszpasterskiej po drugim.

Słowem o walce, aby wymódz na rządzie życzliwą opiekę dla Kościoła, czytamy, ale nie o walce, aby usunąć rząd wolnomularski od wszelkich praw do Kościoła. Przeciwnie: żadnych zarzutów nie znajdujemy, podnoszonych przeciw zasadzie, jakoby Kościoła miało używać mocarstwo za narzędzie do pracy. Nawet zwolennicy Konkordatu w tym duchu wywodzą, że Kościół, póki we Francyi pod rękę z krajowym rządem idzie, póty służy temu rządowi nie tylko za narzędzie, za wędzidło, aby poskromić wybujałych gorliwców wewnętrznych, ale także służy na Wschodzie blizkim i dalekim za chorągiew, pod którą Francya wbrew mocarstwom europejskim i azyatyckim śmiało idzie drogą dla siebie wygodną. Państwo, przez Rozdział swój od Kościoła, straci narzędzie pierwszorzędnej wagi.

Cochin [1] w tym duchu przedstawia stratę wpływu i protektoratu francuskiego na Wschodzie.

Hrabia D'Aunay, senator z Bloc'u, z zasady tej samej wyciąga wniosek przeciwny [2]:

»Konkordat wynikł z umowy, z której obie strony oczekiwały pożytku.

»Z jednej strony państwo uważało Kościół za korzystną podporę. ‚Czegóż nie dokonam? — mówił Napoleon, — do wszystkiego są u mnie żandarmi i księża'. Wyznanie zostało tedy służbą państwową, katechizm narzędziem rządu, duchowieństwo oddziałem podurzędników.

»Z drugiej strony Kościół dbał o stosunki z państwem, aby odzyskać swobodę obrzędów i — czem nie pogardzał — dochody stosowne dla swoich sług.

»Każda strona znajdowała pożytek dla siebie w ugodzie.

»W chwili obecnej rzeczy stanęły odwrotnie. Państwo nie wymaga od Kościoła żadnej usługi. Ustawy i zarząd nie dają się powodować żadnemu wierzeniu wyznaniowemu.

»W tych stosunkach Konkordat zmusza państwo, żeby opłacało duchowieństwo, z którego strony może oczekiwać tylko oporu, a poddaje Kościół pod dozór policyjny, który, wykonywany ściśle, nie po-

[1] Str. 176. [2] Str. 78—80.

zwoli u nas wykonywać obrzędów katolickich. Siłą rzeczy państwo i Kościół boczą od siebie.

»Co dotyczy protektoratu, to jego waga maleje nieustannie i moglibyśmy na wzór *Alliance israélite*, zastąpić nauczycielami świeckimi zakonników, których nie bardzo wypada nam wzywać na pomoc«.

Nie mogą tedy nas dziwić nadzieje, których wolnomularstwo nie kryje, a mianowicie, że Kościół poniesie cios śmiertelny przez Rozdział z państwem. Gdzie poważne głosy dostojników Kościoła upatrują dla niego konieczną podporę w sile państwowej, tam bezwyznaniowiec łatwo pojmuje Kościół jako potęgę ludzką, która upaść musi bez ludzkiej podpory w życzliwem mocarstwie.

Ives Guyot, jako wolny myśliciel, otwarcie wyznaje, dlaczego pragnie Rozdziału między państwem a Kościołem, mianowicie: aby [1] zwalczyć klerykalizm i wpływ Rzymu, aby [2] odkatoliczyć Francyę; a środkiem do tego: usunąć Kościołowi podporę państwową, bo [3] duchowieństwo nie dostanie tyle z datków pobożnych, ile otrzymuje od państwa. Otóż:

»bardzo to różne dwa stanowiska, jedno związku hierarchicznego, należnego do państwowego ustroju, drugie związku zmuszonego żyć o własnych siłach, skazanego na wpływ zdobywany tylko własnym wysiłkiem. Gdyby biskupi wyobrażali sobie, że Rozdział wzmocni Kościół, nie występowaliby przeciw niemu [4]. Jeśli chcemy wyrwać Francyę z pod wpływu katolickiego, który ją gnębi, trzeba zniszczyć Konkordat«.

Lafargue socyalista [5] jest otwarcie za Rozdziałem, po którym przewiduje dwa ciosy na Kościół:

»Rozdział najprzód zmniejszy blask i urok Kościoła (już i tak zaćmiony), potem, (co stanowi cios dotkliwszy,) zada Kościołowi cios pod ekonomicznym względem, względem najświęciej nietykalnym. Naród ma prawo odmówić płacy księżom, bo płaca ta ma zastąpić dobra zajęte Kościołowi przez rewolucyę, ale zatrzymane nie w skarbcu narodowym, tylko w kabzach burżoazyi. Niechże sobie teraz swoich księży utrzymuje burżoazya, wdzięczna im za to, iż na jej pożytek ogłupiali zręcznie naród. Ostatecznie burżoazya okradała tylko złodziei, kiedy zabierała dobra księży, bo te dobra powstały z zapisów wyłudzonych albo przeznaczonych na pożytek ubogich«.

---

[1] Str. 64. [2] Str. 65. [3] Str. 66.
[4] Str. 67. [5] Str. 74, 75.

To się nazywa: nie obwijać myśli w bawełnę.

Goblet[1] przepowiada, że od dnia, kiedy ministeryum przestanie pieniężnie zasilać i powagą swoją popierać Kościół, odtąd powstawać zaczną coraz nowe wyznania i odzierać Kościół z jego powagi teraźniejszej, aż strącą katolików na stanowisko podrzędne, na którem widzimy dziś zbory luterskie.

Można znowu zadać inne pytanie: co Francya uważa za lepsze, czy wydrzeć wolnym mularzom wszechwładztwo w państwie i oddać tę wszechwładzę w ręce katolickie? czy urządzić swoje stosunki wyznaniowe własnemi siłami, a nie zwracać w tej mierze żadnej uwagi na rząd?

W odpowiedzi na to pytanie biskup Delamaire[2] wyznaje, w czem widzi błąd wielki i nieustanny katolików Francyi; mianowicie nie w tem, że katolicy nie wypchnęli rządu z jego polityką poza obręb prac społecznych, obywatelskich, spraw rodzinnych i stosunków wyznaniowych, ale w tem, że nie przyjęli udziału w gospodarce politycznej na polu pracy należnej właśnie do samopomocy obywatelskiej, a nie do policyi: słowem zarzuca biskup, że katolicy uciekli przed obowiązkiem politycznym:

»Obowiązek to, — mówi, — obowiązek najpilniejszy ze wszystkich w dziedzinie społecznej, do których sumienie wzywa katolika w imieniu Boga i jego powagą. Poznać ten obowiązek, to pierwszy krok, aby przygotować wybory lepsze i zadośćczynne.

»Drugi postawimy krok, kiedy katolicy wszyscy jedną gromadą, świeccy i duchowni, kobiety i mężczyźni, robotnicy i właściciele, ubodzy i bogaci zaczną się uważać za apostołów patryotyzmu chrześcijańskiego, którym Chrystus dał urząd zbawczy; niech żaden z nich nie ścierpi, żeby choć jeden dzień w ich życiu przeszedł, w którym nie wywieraliby wpływu przez rozmowę w duchu polityki chrześcijańskiej.

»Do wysiłków w tej pracy przystąpić trzeba bez zwłoki i toczyć bez końca walkę w piśmiennictwie, na wiecach, przez rozmowy pełne zapału. Trzeba tak po apostolsku pracować wszędzie, i w gościnnym pokoju i przy ognisku rodzinnem, jawnie na ulicy, po polach i nawet w kawiarni; trzeba tem apostolstwem, jak niezmierzoną siecią, pokryć kraj cały; każdy katolik będzie jednem oczkiem tej sieci, nieznacznem w sobie, ale silnem przez ścisły związek ze wszystkimi.

»Ksiądz ma prawo politykować; wszak nie jest zarobnikiem u rządu, a choćby był zachowałby prawa niezaprzeczone.

---

[1] Str. 109. [2] Str. 230—231.

»Księża czy nie księża, niech się nie krępują, niech zrzucą jarzmo nieznośne, niech z taktem i godnością formy, (zawsze to przypuszczam,) niech służą kochanej ojczyźnie, oparci o prawo, dla nich wpisane do księgi ustaw.

»Podać szyję pod nóż przewrotowców uważamy za drogę zanadto wygodną do raju. Uważamy za chwalebniejsze i może za pełniejsze zasługi i pożytku wobec społecznych stosunków: sprzedawać życie za drogą cenę i walczyć o każdą piędź ziemi wśród wypadków codziennych, w izbach poselskich i przy wyborach. I dokażemy tego; ja w tem!«

I jakże toczyć tę walkę dziś, kiedy przez lata katolicy dawali sobie wydzierać wszelką broń? Czyż tyle o wpływ na lud szło katolickim warstwom naczelnym, ile dbali o blask urzędowy? Mieli przeważną część pracy nauczycielskiej w rękach przez niejedno pokolenie: czyż wychowali obrońców Kościoła? wychowali najwięcej ludzi umiarkowanych w cnocie i dziś niezdolnych do oporu. Kogoż poprowadzą w bój?

I do czegóż ma doprowadzić ta walka, aby na rządzie wymódz stanowisko przychylniejsze dla Kościoła?

Na to pytanie odpowiada D'Haussonville [1]; wzywa, żeby

»zawczasu określić, czego przynajmniej i najniezbędniej wymaga swoboda, konieczna do życia kościelnego, i wymagać tego z góry sprężyście. Trzeba urządzać się na podstawie przepisów i ustaw.

»Kościół z powrotem do swoich początków ludowych wezwie pomocy od prostaczków, znajdzie zasoby jedynie w dobrej woli wiernych, zawdzięczać będzie coś każdemu i zostanie ustrojem obowiązanym każdemu, zamiast stanowić ustrój urzędowy.

»Lepiej w Kościele prześladowanym ale niezależnym, niż w opłacanym, ale zmuszonym do posłuszeństwa.

»Co najważniejsza w chwili obecnej dla wszystkich katolików we Francyi, dla duchownych i świeckich, to: żeby ich nie zaskoczyły wypadki. Nauką dla nas przygoda tych biednych zakonów, które aż do ostatniej chwili roiły coś sobie i marzyły, aż burza wybuchła, wtedy pierzchły w nieładzie na wszystkie strony, jak frunie stado gołębi spłoszonych, kołuje, wraca, ze strachu tracą zmysły i jeden drugiego dzióbem kaleczy.

»Ustrój Kościoła w Genewie mógłby nam służyć za wzór. W parlamencie podczas rozpraw nad Rozdziałem możnaby wywalczyć u rządu prawo do podobnego ustroju«.

---

[1] Str. 83, 84.

Zupełnie inaczej spogląda na walkę z wolnomularstwem jeden z dzielniejszych pracowników przy początkach dzisiejszej Rzeczypospolitej, De Marcère; nie wzywa do walki o dobry rząd, aby o jego powagę oprzeć Kościół tylko nawołuje do pracy zupełnie niezawisłej od rządu; przedstawia sobie[1] obecną chwilę jako przełom w Kościele francuskim i zwrot z toru państwowego na drogę związków samorządnych.

»Naród francuski miał zawsze pośrednika między sobą a Rzymem: mianowicie swój rząd; ten podług własnych pojęć przewodnich sterował Francyą w jej stosunkach z Rzymem. Stąd kilka razy mało już brakowało do odszczepieństwa, zwłaszcza w r. 1682-m i 1790-m.

»Ale porządek nowy podobno nastaje. Leon 13-y usuwa nieznacznie władze mocarstwowe i idzie prosto do ludu, do ludu chrześcijańskiego. Pius 10-y, podobno gotów dalej zajść, głosi ewangelię bez wielkiej troski o władze ustalone i pokazuje Kościołowi, jak można żyć bez cezara.

»Ten nowy ruch w polityce kościelnej nastał współcześnie z nowym ruchem w polityce społeczeństwa francuskiego.

»Duch ten nowy ma być duchem prawdziwej swobody, uwolnionej od tyranii biurokratyzmu.

»*Francya* nie zdoła usunąć ze siebie tyranii, przez którą głupieje, jak wyzwalając ducha i chwytając się związków samorządnych, które po wszelkie czasy tworzyły tło jej bytu społecznego.

»Tę pracę wewnętrzną widzimy już w tysiącznych postaciach pod naciskiem różnorodnych stosunków. Powstają samodzielne ustroje wśród obywateli zjednoczonych, aby żyć wygodniej; stąd owe spółki, syndykaty, związki różnorodne ze swojem następstwem nieuniknionem: ze wspólnym skarbcem, aby zaspokajać potrzeby tych zastępów ochotniczych.

»Kościół we Francyi nie może nie płynąć z prądem: na nowo i jeszcze raz okaże zgodę z tem, jak czuje, myśli i postępuje naród.

»Papież porozumie się wprost z narodem, a naród francuski zagospodaruje się w dziedzinie wyznaniowej, jak w innych, z niezależną swobodą, której już nie znał.

»Wygląda to zjawisko na dzieło Opatrznej Ręki, która w niedościgłych zamiarach prowadzi ludzi i następstwa ich pracy«.

Przewiduje to samo, choć oczywiście tego nie pragnie, były minister Dupuy[2]:

»Któż mniemałby, że państwo może bez uszczerbku, bez niebezpieczeństwa dla samego siebie, puścić na stanowisko niezależne ustrój

[1] Str. 115—119. [2] Str. 169.

pierwszorzędnej wagi, poważny doniosłą liczbą członków, jedyny swoim wpływem na obyczaje!

»Pewno, na czterdzieści tysięcy duchowieństwa katolickiego znajdą się tacy, którzy dają państwu powody do skargi. Ale trzeba uznać szczerze, że te wyjątki zostać muszą wyjątkami w narodzie, jak nasz, przesiąkniętym zasadą o wyższości władzy świeckiej.

»Konkordat, co by nie mówić, oddaje duchowieństwo pod władzę państwa nie urojoną, trzyma w należnych karbach przeważną część księży.

Przez Rozdział[1] między państwem a Kościołem pęknie węzeł państwowy, księdza pochwyci na nowo i zatrzyma bezwzględny węzeł z Kościołem, odda całkowicie w ręce biskupa.

»Trzymam za Konkordatem dla dobra rządu republikańskiego».

Thézard, senator, główny sprawca upadku ustawy Falloux[2], pisze:

»Dziś państwo opłaca duchownych i może im powiedzieć: Opłacam was, abyście zaspokajali potrzeby wyznaniowe, ale też zastrzegam sobie, żebyście sprawowali urząd z myślą o pokoju dusz, a nie w duchu nienawiści i niezgody; zastrzegam, żebyście nie przekraczali dziedziny obyczajowej i nie uczestniczyli w walkach politycznych. I państwo w stanie obecnym, posiada w samej rzeczy środki, aby osiągnąć swoje zamiary.

»Czyż dla pokoju dusz nie powstałoby poważne niebezpieczeństwo przy zmianie ustroju, w którem duchowieństwo zależałoby tylko od swoich wiernych?

»Pomyślmy o tem:

»Myśl o rozdziale między państwem a Kościołem znajduje zwolenników między katolikami, a to którymi? Między najgorętszymi, najbardziej porywczymi.

»Ci to stanęliby na czele ruchu, z całym ogniem i namiętnością; pozwoływaliby gromady groźne, posłuszne hasłu jednolitemu. Kościół stanowiłby potęgę wojowniczą, zdolną w niektórych duszach obudzić wszystkie fanatyzmy, wszystkie nienawiści z wieków ubiegłych.

»Państwo nie miałoby nad tą potęgą zbrojną żadnego wpływu, żadnego nadzoru w potrzebie. Przy strasznym pojedynku dwóch potęg, co za waśń między obywatelami!

»W stanie obecnym, wydatki wyznaniowe są wykupem opłakanym, aby zabezpieczyć jaki taki pokój.

»Niewątpliwie, kto dziś dopłaca na wydatki wyznaniowe, a sam nie wyznaje żadnej wiary, ten płaci na pozór za drugich, ale pytanie to jeszcze: czy ogół z takich stosunków nie osiągnie korzyści na pewne, choć ubocznie —?

---

[1] Str. 171. [2] Str. 174.

»Zasada to może ściśle rozumowa, ale nie na wszystko wystarcza, że każdy opłacać ma tylko pożytek swój własny, bezpośredni.

»Zasada to osobistościowa, przydatna na niektóre czasy i dla niektórych krajów. Francya dzisiejsza idzie przeciwnie do pojęcia wspólnościowego«.

Jerzy Goyau, pisarz w duchu zachowawczym, w pomysłach postępowy, jak rzadko kto [1], boi się dla Kościoła po rozdziale z państwem kajdan innego rodzaju.

»W wielu miejscach katolicy bogaci będą utrzymywać Kościół. Czyż to nie budzi obawy, żeby ksiądz, zamiast należeć do wszystkich i uchodzić za niezwiązanego z żadnem stronnictwem, żeby nie uchodził za połączonego z jednymi przeciw drugim? Niechby wystąpił jako oparty na właścicielach albo oparty na robotnikach: co po jego posłannictwie? Nie zapominajmy o okolicach, gdzie duch przeciwklerykalny wśród pospólstwa wybuchł tylko z powodu, iż ksiądz uchodził za utrzymanka warstw innych?«

Wojowniczy katolik Marc Sangnier, choć ściągnął na siebie gromy biskupa Turinaz [2], nie przestaje walczyć o katolicką demokracyę przeciw rojalistom; nie widzi dróg dwóch odrębnych, po których mógłby kroczyć osobno Kościół, a państwo osobno i nie wchodzić w zatargi; nie widzi przeszkody do tych zatargów, chyba taki albo owaki konkordat.

»Zostawić Kościół zupełnie swobodnym znaczyłoby stworzyć państwo w państwie. ‚Nasi rządcy nie mogą nigdy na to pozwolić'. Musi nastąpić ucisk, z którego wyjdzie Kościół francuski odmłodzony, ale w którym przejdzie przez wielkie niebezpieczeństwo. Proboszcz, opłacany przez szlachcica czy bogatego zacofańca, czy nie narazi swojej sławy bezstronnego powiernika wszystkich warstw?«

Redaktor *Ekonomisty* Paweł Leroy-Beaulieu, rozważa [3] Rozdział ze strony pieniężnej i przewiduje, że duchowieństwo zubożeje, opuści wiele stanowisk niewydatnych, zgromadzi część wiernych w zastępy mniej liczne ale bitniejsze, straci drugą część, może połowę, wróci do prostoty i zwyczajów pierwotnych w początkach chrześcijaństwa:

»Zewnętrzne znamiona Kościoła ulegną zmianie, a to skutkiem zmniejszonych dochodów z jednej strony; z drugiej strony na duchowieństwie odbiją swoje piętno zapał zwiększony trudniejszym obowią-

[1] Str. 188 [2] Str. 191. [3] Str. 113—115.

zkiem i duch bardziej niepodległy. Ubóstwo: to sprężyna tęga i zdolna zetknąć bliżej księży ze społeczeństwem.

»Dla mnie prawda to niewątpliwa, że duchowieństwo po Rozdziale wywrze na wiernych wpływ o wiele głębszy, niż obecnie.

»Słusznie sądził kardynał rzymski, który świeżo powiedział, że we Francyi ewangelię głosić muszą apostołowie, nie najemnicy. Dziś to duchowieństwo, bardzo liczne, w wielkiej części samo spogląda na swoje obowiązki ze stanowiska najemniczego«.

Popierać liberalizm! tłumić klerykalizm! woła Jerzy Noblemaire, pisarz [1] w książce osobnej, a następnie ustnie wypowiada pogląd, że:

»Konkordat, wobec fanatyków, którzy rządzą Francyą, byłby najcenniejszą ochroną, żelaznym listem zarówno dla katolicyzmu jak dla rzeczypospolitej. Rozdział między Kościołem a państwem, Kościołowi nie obiecuje nic dobrego a wiele złego krajowi i rządowi.

»Rozdział ten nie rozdziałem być ma a uciskiem.

»Jeżeli te wnioski przejdą, idziemy prosto do walki wyznaniowej. Ładne widoki dla nas! Wiem dobrze, że nie braknie klerykałów, gotowych na wszystkie głosy przyzywać ‚ucisk płodny i błogosławiony'. Uważam ich za równie złych katolików i złych obywateli.

»Duch klerykalny dużo złego sprawił w naszym kraju, ale napotkał przed sobą rozsądną demokracyę, i dzięki jej, pomimo przeszkód ze strony Kościoła urzędowego, dzięki mądrości, z jaką demokracya nawykała do swobodnych pojęć, zamierał ten duch klerykalny. Otóż dziś robi się wszystko, co można, aby wskrzesić ducha klerykalnego. Ładna robota! Praca iście republikańska! Duch katolickiego liberalizmu, który był już mógł wystawić legiony do boju, dziś widzi tylko zniechęconych. Zwolennicy liberalnego katolicyzmu widzą dla siebie, na wszystkie sposoby, odmawiane prawa obywatelskie, zagrodzony dostęp do rzeczypospolitej: jeżeli przewaga głosów uchwali Rozdział między państwem a Kościołem, tedy wykopie przepaść nieprzebytą między sobą a katolikami liberalnymi.

»Wskrzeszony klerykalizm: oto pierwszy wynik, już urzeczywistniony, polityki obecnej; wszystkie wybuchy żądz w duszach rozdrażnionych nad miarę, wszystkie szaleństwa, które następnie wypłyną: oto, czego nie unikniemy jutro, jeżeli ta polityka zejdzie do walk, których pragną jakobini.

»Czyżby katolicyzm, wyzwolony z pod władzy państwa, miał mieć rozsądek i nie wyróść w klerykalizm? Kto śmiałby na to przysięgać? Zatem Rozdział między państwem a Kościołem, to skok w przepaść o nieznanej głębinie!«

---

[1] Str. 195.

Dobre nastałyby stosunki dla Kościoła, gdyby Rozdział miał sprawdzić obawy wolnomularskie a nadzieje katolików wojowniczych. Ale za takiemi ich nadziejami a tamtych obawami nie przemawiają świadectwa najwybitniejszych myślicieli katolickich. Ich głosy nie dają znać o wielkim zapale do walki.

Poeta Copée [1] wyraża smutno obawę, że ucisk potrwa długo i katolicy muszą przygotować ducha na cierpienia najcięższe, na największe straty. Największe nieszczęścia grożą Kościołowi francuskiemu w tej chwili.

Wicehrabia de Vogué [2] nie wątpi, że Kościół francuski, choć uwolniony z pętów konkordatu, pozostanie pozbawionym wszelkiego ruchu możliwego.

Akademik Vandal, dziejopis [3], zapowiada powrót krwawego ucisku z czasów jakobinizmu.

Hrabia de Mun [4] jest przeciw rozdziałowi, jakoby przeciwnemu »ogólnej nauce Kościoła«, jako przeciwnemu duchowi dziejów Francyi, głównie jako początkowi ucisku, póki inny rząd nie nawiąże stosunków. Hrabia przyznaje, że ucisku boi się dla Kościoła, chciałby Kościołowi oszczędzić ciężkiej przeprawy.

Konkordat dawał pokój jaki taki. Gdyby lepsi ludzie byli u steru rządu, pokój zadowolniłby wszystkich.

Niemniej od de Mun'a sławny Brunetière [5] również widzi sprawę w świetle czysto ludzkiem: co będzie, to będzie po Rozdziale, a sam Rozdział? to czyn podły, bo wypowiada wojnę papieżowi bezbronnemu.

Myślałby ktoś, że Francya wolnomularska wypowiada papieżowi wojnę na bagnety. Taką wojnę prowadziłaby przeciw bezbronnemu.

Ale tu wypowiedziana wojna polega na duchowych zapasach ludzkiego niedowiarstwa z wiarą nadprzyrodzoną.

W tej walce ludzki żywioł użyje do walki ucisku urzędowego a odmówi papieżowi ludzkiej broni: stosunków dyploma-

[1] Str. 160, 161. [2] Str. 162. [3] Str. 164—165.
[4] Str. 151—155. [5] Str. 156—160.

tycznych. W braku tego oręża Brunetière widzi papieża bezbronnym.

Kardynał Perraud, biskup z Autun [1], przewiduje przeprawę bardzo poważną i upomina swoich przedewszystkiem, aby nie tracili ducha. A następnie nic nie dodaje.

Arcybiskup Germain poczytuje za mrzonkę nadzieje swobodnego rozwoju Kościoła po Rozdziale [2] i pisze:

»Powinniśmy cenić i wdzięcznie cenić ugodę, która, (mimo usterek,) dała Kościołowi we Francyi sto lat pokoju, — która utrzymała, (choćby ktokolwiek mówił inaczej,) równowagę między bogactwem a ubóstwem śród duchowieństwa, poważanego i lubianego przez lud, — która, (mimo uszczerbków,) dała początek pomyślny wszystkim wielkim i pięknym dziełom, chlubnym dla dziewiętnastego stulecia.

»Swobodny Kościół w państwie wolnem; to hasło wypowiada śliczny sen a zasadę błędną; to nie dla Francyi świat rzeczywisty«.

Bardzo podobnie mówi biskup Ricard [3].

Biskup Amette [4] podobnież po Rozdziale oczekuje nie rozwoju swobodnego Kościoła, tylko widzi w nim zdzierstwo i ucisk, widzi oczywiste nieszczęście dla Kościoła, oczywistsze dla Francyi.

»Wiele dusz zginie i niebawem świat zobaczy, jakich bezrządów pastwą zostaje naród bez wiary i Boga.

»Nasz wpływ na zewnątrz niemniej ucierpiałby przez Rozdział; byłby to zamach na ojczyznę niemniej jak na sumienie, powód zamętu i upadku dla kraju«.

Biskup de Cabrières [5] przewiduje po Rozdziale tylko kary dla narodu i nieszczęścia, stan przeciwny prawom opatrznościowym, które rządzą narodami oświeconymi.

Biskup Dubillard pisze[6]:

»Rozdział wywoła niezawodnie odszczepieńców. Wnioski ustawy o Rozdziale zawierają pojęcie związków obrzędowych, zakładanych wyłącznie przez gromadę bez żadnego wpływu biskupiego ani księżowskiego. Otóż to znaczy niszczyć wszelką władzę hierarchii, odbierać przewodnictwo papieżowi: przewracać świat do góry nogami. Zamiast żeby głos przewodni pochodził z góry, pochodzić ma z dołu... Łatwo pojąć zatargi i zamieszki; koniec końcem: biskup z musu zostanie bez ruchu i władzy. To znaczy zniweczyć wszelki rząd, zburzyć powagę konieczną, to odszczepieństwo!

---

[1] Str. 201. [2] Str. 213. [3] Str. 248.
[4] Str. 240—241. [5] Str. 214. [6] Str. 235—236.

»Prócz tych szkód poważnych, duchowieństwo straci swoje dostojeństwa urzędowe, swoje prawo przewodnictwa w obrzędach uroczystych. A strata tego piętna urzędowego: to nie ubytek, którym łatwo pogardzić«.

Biskup Rumeau [1] dowodzi teologicznie rządowi wolnomularskiemu, że jego stanowisko wobec katolików nie odpowiada obowiązkom władzy chrześcijańskiej względem Kościoła, i dodaje, że Rozdział ma związać Kościół w słowach i czynach, że usunie, Kościół od nauczycielstwa i wszelkiego wpływu na obyczaje, że obedrze z majątku, że zepchnie na stanowisko wyjątkowe, że pozbawi ruchów swobodnych i opieki: słowem, że Rozdział wprowadzi stan ucisku.

Biskup Dizier [2] zapewnia, że po Rozdziale duchowieństwo dalej spełniać będzie poprawnie obowiązki stanu.

Biskup Turinaz [3] widzi w Rozdziale bolesne doświadczenie i wzywa swoich pomocników w pracy duszpasterskiej, żeby mimo ciemności i burzy wytrwali w ofierze.

Biskup Lacroix [4] przeczuwa czasy najstraszniejszej tyranii:

»tylko niektóre duchy, wyniosłe i nieugięte, okażą się dość sprężystymi aby wytrwać przy wierze«.

Biskup Andrieux [5] pyta się, co Rozdział zrobi z Francyą i odpowiada, że:

»Francya zostanie tem, czem zostały narody, w których zmysł wyznaniowy nie krępuje popędów przewrotnych; Francya zatoczy się, — mimo przechwałek, że nigdy nie kwitła i nie doznawała tylu dowodów czci, jak odkąd zachorowała na antyklerykalizm, — zatoczy się i upadnie w gruzy i hańbę«.

Biskup Chapon [6] wyznaje tylko, że katolikom

»trzeba wyjść z toru żywota miękkiego, prowadzonego w niedbalstwie i bez pożytku... bo nadchodzi chwila walki ostatniej i stanowczej«.

Ale o wyniku tej walki nic nie przepowiada... nie wyraża, czy oczekuje zmiany w żywocie miękkim i lekkomyślnym.

Słowa księdza kardynała Lécot, arcybiskupa z Bordeaux, brzmią jak pobudka wojenna, natchnięta innym duchem: [7]

[1] Str. 241—245. [2] Str. 246. [3] Str. 249—252.
[4] Str. 252—254. [5] Str. 255. [6] Str. 256, 257. [7] Str. 198.

»Widnokrąg krwawy czasów bohatyrskich dla Kościoła we Francyi staje przed oczami nie bez pożytku: dobre to czasy dla dusz silnych, których nigdy nie łamie ucisk; czas to odwetu dla biskupów i księży, bo ich potęgę łamał stan obecny; czas to pożądany dla pokoju Kościoła i dla chwały Francyi.

»Praca wroga Kościołowi idzie naprzód, z jednego okresu przechodzi w drugi: okresy te idą po sobie jak ogniwa łańcucha. Chciejmy czy nie chciejmy przeszkodzić temu postępowi zamachów na Kościół, następstwa rozdziału między Kościołem a państwem muszą dojść do doby ucisku dla Kościoła. W tej dobie zbawienie!

»Możemy pragnąć, żeby do tego nie doszło. Nie wolno nam na to liczyć.

Ale wobec ucisku, jaką siłę ze siebie Francya katolicka wydobędzie przeciw potędze prześladowców? W kim znajdzie tego ducha, którym zasilony Kościół idzie na bój męczeński?

Na to pytanie kardynał daje dziwną odpowiedź w piśmie do duchowieństwa: nie na jego siłę odporną liczy, nie na katolickich mężów wskazuje, których wybierała Francya za przewódców w ruchu wyznaniowym, tylko pisze:

»Sam wypadek, że wszędzie, po miastach jak po wsiach, młodzież powstaje pod chorągwią związków nauki albo domu robotniczego, że ta młodzież sprężyście pomaga sobie, aby zerwać z zakorzenionym duchem, obojętnym dla Kościoła albo wobec niego niewiernym: oto znak czasów, którego nie wolno zapoznać«.

Niechże duchowieństwo korzysta z tej podpory... w młodzieży!

I tak dalej i dalej przemawiają różne głosy, ale nowych myśli już nie wypowiadają. Świadczą, że ogół katolicki we Francyi woli ucisk umiarkowany przez Konkordat od ucisku nieskrępowanego żadnymi względami, a nie myśli o rozwoju Kościoła samodzielnym, niezależnym od niczyjej pomocy albo przemocy. Rzadko który głos wzywa do walki z wszechmocą państwową; rzadziej jeszcze słychać myśl dokładnie wyrażoną, jak tę walkę trzebaby prowadzić, jak wyzwolić dzieło Chrystusa z pod nadzoru policyjnego, jak urządzić następnie samoistny byt Kościoła.

I cóż nam, dla nas ważnego, mówi dziś stosunek Francyi katolickiej do jej rządu, złożonego z wolnychmularzy? Czy widok ten nie może naprowadzić nas na wniosek, że społeczeństwo raz

oddane w niewolę wszechwładzy państwowej, już nie odzyska swobody przez sam przewrót ustroju państwowego, ani przez zmianę nieodpowiedzialnego jedynowładztwa na rząd odpowiedzialny przed przedstawicielami narodu, ani nawet przez zmianę obcego zwierzchnika na władcę z własnej krwi narodowej?

Wniosek ten dotyczyć może społeczeństwa z jego wszelkiemi prawami i potrzebami, choć głównie mowa tu o potrzebach wyznaniowych chrześcijańskiego społeczeństwa.

Widok Francyi woła, że sumienie chrześcijańskie może albo ucisku doznawać albo używać swobody tak przy rządcach państwa odpowiedzialnych, jak przy nieodpowiedzialnych, przy ziomkach jak przy cudzoziemcach. Przy każdym ustroju państwa, zwłaszcza nowoczesnego, społeczeństwo może uznać nad sobą wszechwładzę państwa i stać wobec tej wszechwładzy jak bezwładne poddaństwo wobec bezwzględnego pana, nawet w zakresie potrzeb wyznaniowych, — albo władzę państwa może społeczeństwo uznać w takim zakresie, w jakim samo chce i potrzebuje *opieki nadzorczej*. Poza tym zakresem społeczeństwo może nie uznawać opiekunów nad sobą i zachować samo dla siebie całą gospodarkę wewnętrzną, całą pracę obywatelską i troskę o wszelkie inne potrzeby wewnętrzne, zwłaszcza wyznaniowe.

Gdzie przeważna część umysłów postrada pojęcie pracy samorządnej i ochotę wszelką do trudów obywatelskich, tam ogół składa sam z miesiąca na miesiąc coraz więcej swoich potrzeb na barki służbistów państwowych i rozszerza tem samem zakres ich władzy, rzeczywiście wykonywanej, choć nie zatwierdzonej żadną ustawą. Oczywiście wtedy różni pochołkowie wszechwładztwa wkraczają swoją powagą i sięgają wpływem coraz głębiej w ustrój wewnętrzny warstw, spraw i stanów narodu, w potrzeby każdej gromady, rodziny, jednostki. Nie od samego ustroju swojego państwo dostaje wszechwładzę, ale także od nastroju umysłów służalczego albo swobodnego.

Czy to Ludwik 11-y pozgina przed sobą karki lenników swoich, obedrze ich z władzy nad ich wasalami a tych z praw nad baronami, czy Ludwik 14-ty całą arystokracyę zaprzęgnie do równie dworackiej służby przed wszechwładztwem mocarza

a parlamentowi odbierze głos, czy Roosewelt albo Combes spełniają swoje obowiązki w duchu archontyzmu: pod żadnym z takich rządców, choć ziomków własnych, naród nie może oddychać tak swobodnie, jak czuł się wolnym np. pod wielu królami w Anglii a u nas za Kaźmierza Sprawiedliwego albo Jagiełły.

A nastrój umysłowy: to powiew ducha bardzo niestały; czasem długo zwraca przeważną część jednych społeczeństw do przedsiębiorczej samopomocy i zasila je otuchą we własną potęgę, w innych społeczeństwach wyrabia przeważnie ducha pańszczyźnianego, zawieszonego nadziejami swojemi jedynie na potędze zwierzchnictwa. Różnice jednak między oboma nastrojami niekoniecznie zależą od samych tylko wrodzonych przymiotów społeczeństwa. Opisy narodów, odkąd doszły do nas z czasów najdawniejszych, ciągle świadczą aż do dzisiaj, że w takich samych przygodach niejednakowo postępują różne społeczeństwa, owszem: te same społeczeństwa w różnych dobach okazują różny nastrój; w stosunkach swoich z władzą inaczej radzą sobie ludy duchowo odporne a inaczej plemiona uległe spokojnie, i nawet społeczeństwo, zdolne pracować samo nad sobą bez nadziei w nikim i obawy przed nikim, bardzo odmiennie zacznie działać, ledwo da nad sobą przewagę nastrojowi pokojowo bezwładnemu, uległemu wobec zamaszystych zwierzchników.

Powinno nam zawsze tkwić w pamięci, co powiedział wojewoda polski: Lepiej mi swobodnie żyć w niebezpieczeństwie, niż niewolnikiem opływać w zaszczyty. Na zasób naszego ducha samopomocy zwraca temi słowami cudzoziemiec uwagę. Jego ziomkowie stoją bezradnie wobec prześladowców Kościoła, niewyrobieni na nasz wzór. Kilkanaście dziesiątków lat, kilka pokoleń przechodzi w naszem społeczeństwie. Bez zwierzchnictwa narodowego, bez własnych środowisk urzędowej władzy, bez imienia między mocarstwami i bez władzy z własnej krwi społeczeństwo usposobione samotwórczo żyje i myśli o jutrze, choć przebyło blizko półtora wieku w klęskach zdolnych do szczętu zgładzić narody. Rozwój ducha samopomocy łatwo może iść w parze z brakiem ducha uległego władzy; przecie przynosi nie tylko

cierpkie owoce, ale i bardzo dobre, jakich nie wyda ze siebie wyłączna nadzieja w mocarstwowej potędze.

Duch samopomocy społecznej słabł u nas, kiedy naród pozwalał nad sobą przewodzić wichrzycielom na wybitnych stanowiskach: pozwalał im rozbijać jednostkę społeczną na stronnictwa; jedni temu, drudzy owemu służyli za narzędzia; wszyscy tracili własną siłę samopomocy, nim zwątleni stracili wszelką podporę, jaka zdoła tworzyć stanowisko mocarstwowe.

Dopiero pozbawione takiej podpory społeczeństwo nasze zaczyna ucucać w sobie żywiołową potęgę, którą stanowi świadomy siebie osobnik społeczny wobec zamachów wszechwładztwa państwowego. Wielu jeszcze między nami niedowierza potędze samopomocy, jeszcze spogląda za środowisko sił w stolicy, jako na jedyne źródło rozwoju sił społecznych. Obowiązkiem jednak naszym: zerwać ze ślepem naśladownictwem narodów, które jak Francya, mogą skarleć przez zanik samopomocy społecznej; czas nam poznać, należycie ocenić i stosownie wychować w sobie ten nastrój ducha w pracy obywatelskiej, który nie karłów rodzi, albo ludzi umiarkowanych w cnocie, tylko rodził między przodkami bohaterów, rodzi nieraz warchołów i oczajdusze, zawsze powinien rodzić ludzi gotowych do wysiłków i prac i dzieł wielkich, a gdyby trzeba, zrodzi ludzi poświęconych na czyny olbrzymie.

Ks. K. Czaykowski.

ZAKRES KWESTYI ROBOTNICZEJ[1].

I.

Kwestya socyalna jest zbyt obszerną i powszechną, aby ją mogła wypełnić sama walka robotnika z przedsiębiorcą, innemi słowy, abyśmy się mogli łudzić, że zadowolenie ich obopólnych życzeń jest jedynym warunkiem społecznego ustroju. Pomimo tego identyfikujemy najczęściej całą kwestyę socyalną z kwestyą robotniczą, bo żądania robotników najgłośniej się odzywają, bo pierwsi robotnicy zaczęli potępiać dzisiejszą organizacyę, bo najgwałtowniej i najskuteczniej domagają się jej przemiany. Ze wszystkich niezadowolonych oni są najniebezpieczniejsi, nic więc dziwnego, że głównie z nimi rozpoczęto się liczyć.

Dwie przedewszystkiem na to złożyły się przyczyny: rozwój techniczny wielkiego przemysłu i agitacya socyalistyczna. Nowoczesne zakłady przemysłowe, koncentrując olbrzymie kapitały i tysiące robotników w jednem przedsiębiorstwie, wytworzyły nieznany przedtem antagonizm między potężnym, bogatym przedsiębiorcą a robotnikiem, żyjącym w niedostatku. Nigdzie nierówność społeczna nie występowała tak jasno, nigdzie antagonizm interesów nie uderzał w oczy tak silnie, jak w tych zbiorowiskach ludzkich, zwanych fabrykami, w których ciężka i źle płatna praca ludzka spotykała się na każdym kroku z pozornie bezczynnym kapitałem, dającym ogromne dochody. Robotnik, który bolał nad tem codziennie, który osobiście i bezpośrednio odczuwał całą prze-

[1] Rozdział z przygotowującego się do druku dzieła o polityce ekonomicznej.

wagę martwych zasobów nad żywym trudem i potem ludzkim, musiał uczuć pewną krzywdę i zawiść, musiał objawić swe niezadowolenie, musiał pragnąć przemiany.

Socyalizm, który zwalcza podstawy dzisiejszego ustroju, pierwszy dostrzegł to upośledzenia warstw roboczych i zajął się przedewszystkiem ich losem. W teoryi chłoszcze bezlitośnie błędy istniejącej organizacyi, kreśląc jakrawe obrazy niezawinionej nędzy, domagającej się napróżno pomocy od niezasłużonych bogactw, w praktyce prowadzi niestrudzoną a zręczną i świadomą swych celów agitacyę pomiędzy niezadowolonymi, potęgując ich przeświadczenie o krzywdzie, wpajając w nich poczucie solidarności, dodając im wiary w przyszłość i nadziei zwycięstwa. Wskazując bezustannie na liczebną przewagę upośledzonych, skupia socyalizm znaczniejszą ich część pod swym sztandarem i rozpoczyna walkę z panującymi czynnikami, zastępując brak materyalnych środków liczbą swych zwolenników.

Celem całego ruchu ma być polepszenie bytu klas roboczych, środkiem ku temu zdobycie dla nich praw politycznych, a w dalszej linii przewagi w społeczeństwie. Socyalizm nie zwraca się jedynie do uczuć i etycznych, szlachetnych porywów, lecz staje od razu na gruncie interesu, jako najsilniejszej sprężyny, popychającej ludzkość do działania. Upośledzenie robotników, mówi on, jest wypływem przemocy innych warstw społecznych nad klasą robotniczą. Między własnością a pracą zachodzi naturalna sprzeczność interesów, nic więc dziwnego, że robotnik jest narażony na wyzysk i krzywdy, skoro własność potrafiła uzyskać w ciągu wieków stanowczą nad nim przewagę polityczną. Zmiana da się tu przeprowadzić tylko o tyle, o ile stronnictwo robotnicze będzie dość silne, aby społeczeństwo musiało się liczyć z jego żądaniami. Ostatecznym celem jest polepszenie materyalnego bytu, zapewnienie robotnikowi sprawiedliwego udziału w dochodach społeczeństwa, lecz jedyną drogą, która może doń doprowadzić, jest zdobycie władzy, tak, że cała kwestya robotnicza przedstawia się z dwóch stron pozornie odmiennych, w rzeczywistości zaś wzajemnie się uzupełniających: w teoryi jako dążenie do radykal-

nej przemiany naszego ustroju, w praktyce jako walka o wpływ na politykę państwową.

Ta podwójna rola socyalizmu, to jego stanowisko krytyczne i polityczne oddziałało bardzo dodatnio na położenie warstw robotniczych, gdyż zwracało się równocześnie do dwóch najsprzeczniejszych a najsilniejszych uczuć, do poczucia sprawiedliwości ogólnej i do interesu osobistego. Komu tylko chodziło o sprawiedliwy ustrój społeczny, kto tylko dbał o równomierne traktowanie wszystkich warstw, ten domagał się odpowiednich reform, przekonawszy się o błędach dzisiejszej organizacyi, słysząc o pokrzywdzeniu, upośledzeniu i wyzysku znacznej części ludzkości. Druga grupa już z powodów ściśle egoistycznych oświadczała się również za polepszeniem doli robotniczej, gdyż, widząc gwałtowne szerzenie się socyalizmu i szybki wzrost jego znaczenia politycznego, pragnęła drobniejszemi ustępstwami powstrzymać jego zalew. Rzeczywiście socyalizm zwycięski, a idący w swych żądaniach bardzo daleko, zmieniłby przynajmniej na pewien czas dzisiejsze stosunki, narażając przez to warstwy panujące na nieobliczalne straty. W imię więc własnego interesu należało mu co prędzej odebrać zwolenników, usuwając najjaskrawsze, najpowszechniejsze powody niezadowolenia, postępując w myśl naczelnej zasady gospodarczej, t. zn. chroniąc się mniejszą szkodą przed większą, zrzekając się części, aby nie stracić wszystkiego.

Dlatego też pod naciskiem tego ruchu rozpoczęto się zajmować żywo losem robotników, a zainteresowanie — dobrowolne czy przymusowe — wzrastało tak szybko, że w ciągu ostatnich lat dwudziestu kwestya robotnicza stała się może najważniejszem zagadnieniem społecznem.

I należy przyznać, że na tem polu zrobiło się bardzo wiele, że położenie robotnika jest dziś bez porównania lepsze, niż przed niewielu laty. Posiadamy już liczne ustawy, wydane wyłącznie na korzyść robotników, mające ich chronić przed nędzą, krzywdą i wyzyskiem. Stworzono cały system ubezpieczeń wszelkiego rodzaju, które, zabezpieczając robotnikowi utrzymanie na wszelki wypadek, uwolniły go od troski o przyszłość; zakazano albo przynajmniej znacznie ograniczono pracę kobiet i dzieci, szkodliwą

zarówno ze stanowiskaa etycznego i społecznego jak hygienicznego i ekonomicznego, a zwiększając tem samem zapotrzebowanie pracy męskiej, podniesiono jej wynagrodzenie. Robotnik nie jest już żywą maszyną, bo prawo ogranicza czas pracy dziennej i zapewnia mu w każdym tygodniu jednodniowy odpoczynek; jego sił fizycznych nie można wyzyskiwać do ostatecznych granic, bo pracodawcy muszą się liczyć z warunkami sanitarnymi i hygienicznymi, a nadzór państwa nad zakładami przemysłowymi nie dozwala nadużyć, wreszcie robotnika nie pozostawia się jego własnym siłom, nie oddaje się go na łup przedsiębiorcom, lecz tworzy się stowarzyszenia i sądy rozjemcze, które mają poprzeć jego uzasadnione żądania. Losem robotnika zajęto się wszechstronnie, dano mu wyższe wynagrodzenie, skrócono i ułatwiono pracę, rozszerzono jego prawa i umożliwiono ich dochodzenie, jednem słowem, byt jego podniesiono niezmiernie.

Pomimo tego niezadowolenie warstw robotniczych nie tylko nie ustaje, lecz wzrasta z dniem każdym; kwestya socyalna staje się beczką Danaid, której nie podobna zapełnić. Socyalizm domaga się zupełnego obalenia naszej organizacyi, obiecując robotnikowi w przyszłości cały wytwór, który jego pracą powstaje, gdyż, jak twierdzi, wszelka wartość polega na pracy, wkładanej przez człowieka w martwe i bezwartościowe przedmioty. Są to obrazy dalekiej przyszłości, lecz nawet na dzisiaj robotnicy nie chcą poprzestać na tem, co już uzyskali. Ich zdaniem upośledzenie warstw pracujących nie zmniejszyło się bynajmniej, gdyż robotnik zawsze jeszcze nie ma zapewnionej sposobności do pracy, dostaje mniej, niż mu się należy, narażonym jest na wyzysk wszelkiego rodzaju, nie posiada dostatecznych dochodów na zaspokojenie swych potrzeb, w końcu nie ma możności poprawienia swego losu, bo droga do uzyskania samoistnego bytu jest dla niego zamkniętą, chociaż powinna stać mu otworem.

Jak widzimy, pretensye robotników są jeszcze bardzo poważne, a tymczasem na drugim biegunie spotykamy się z liczną grupą przedsiębiorców, stawiających żądania wręcz przeciwne. Ustawodawstwo robotnicze nałożyło na nich bardzo znaczne ciężary, znosili je bardzo niechętnie, poddawali im się tylko w prze-

świadczeniu, że znikną już wreszcie spory między pracodawcami a robotnikami.

Gdy te nadzieje zawiodły, zaczęto występować z całą stanowczością przeciwko dalszemu postępowaniu na tej drodze, powołując się na interes produkcyi narodowej, który nie pozwala, ażeby coraz większymi obarczać ją ciężarami. W ten sposób zarysowała się i zewnętrznie różnica stanowiska obu grup interesowanych, przedewszystkiem więc należy się zająć określeniem żądań jednej i drugiej.

II.

Obie warstwy spór wiodące — przedsiębiorcy i robotnicy — opierają swe stanowisko i swe żądania na tej samej teoretycznej podstawie, obie bowiem domagają się, ażeby każdy otrzymał przy rozdziale rezultatów produkcyi tę część wytworu, która jest wynikiem jego współudziału. Całą sprzeczność ich poglądów widzi się dopiero z chwilą, gdy przychodzi do bliższego określenia zasad, według których ten współudział, a więc i rozdział ma się oznaczyć. Zdaniem przedsiębiorcy określa się go dziś obowiązującemi normami prawnemi, odnoszącemi się do własności i umowy o pracę, zdaniem robotnika ustawodawstwo pokrzywdziło go, wydając przepisy niezgodne z naturalnemi prawidłami gospodarczemi. Według przedsiębiorcy kapitał, będący jego prywatną własnością, powinien dostać, po potrąceniu umówionej płacy, wszystko, gdyż robotnik dobrowolnie zgodził się na pewną zapłatę, nie może więc żądać niczego więcej, tem bardziej, że, nie mając potrzebnych surowców i narzędzi, nie mógłby zużyć swej siły do pracy, umowa przeto nie krzywdzi go, lecz przeciwnie przynosi mu poważną korzyść. Według robotnika praca jest jedynem źródłem wartości, stąd też kapitał nie powinien dostawać żadnego udziału w wytworze, bo nie oddziaływa na jego wartość, t. zn. na jego jedyny, ściśle gospodarczy przymiot. W rzeczywistości jest wprawdzie inaczej, lecz przyczyną tego jest właśnie zawłaszczenie przez niektóre tylko warstwy wszystkich materyalnych czynników produkcyi, wskutek czego robotnik, pozbawiony własności, znajduje się w przymusowem położeniu i, chcąc utrzymać się przy życiu, musi

się dać wyzyskać w kontrakcie o pracę. Rozdział dochodów stosuje się dzisiaj do posiadanego majątku, a powinien odbywać się według pracy użytej w produkcyi.

Takie są dwa najskrajniejsze stanowiska: pracodawców, reprezentowanych przez szkołę liberalną i robotników, zastępowanych przez socyalizm. Inne doktryny łagodzą w większym lub mniejszym stopniu postulaty jednych i drugich, we wszystkich jednak występuje ta sama zasadnicza sprzeczność, bo wszędzie robotnicy powołują się na twórczość pracy, a więc na teoryę, pracodawcy na istniejący stosunek prawny, czyli na stan faktyczny. Ta niezgodność punktu wyjścia sprawiła, że w ostatecznych swych ideałach oba te obozy rozchodzą się zupełnie, że naprzeciw kollektywizmu, jako ustroju najodpowiedniejszego dla pracy ludzkiej, stawia się ze strony kapitału zasadę zupełnej wolności gospodarczej, bez jakiegokolwiek mieszania się czynników publicznych w tę dziedzinę. Teoretyczne, doktrynerskie to stanowisko nie uległo w gruncie rzeczy zmianie od czasu, gdy z końcem wieku XVIII powstała w Anglii szkoła klasyczna, a w pierwszej połowie ubiegłego stulecia socyalizm wykształcił się w wykończony system filozoficzno-gospodarczy. Jednakże po pierwszych czasach obustronnych złudzeń przekonano się, że żadna strona nie posiada dość siły, ażeby swe żądania przeprzeć w całej rozciągłości. Bez względu na spory naukowe o uzasadnienie czy wyższość tej lub owej doktryny, rzeczywistość domagała się z nieodzowną koniecznością wzajemnych ustępstw, gdyż w produkcyi musiały w każdym razie współdziałać obie strony, jeżeli nie chciały utracić wytworu, t. zn. przedmiotu, któryby można było podzielić. Stąd też o ile ze stanowiska teoryi ekonomii należałoby zająć się rozstrzygnięciem pytania, co da się utrzymać z socyalizmu, liberalizmu, względnie z kierunków pośrednich, o tyle polityka ekonomiczna winna te zagadnienia pominąć zupełnie, a zatrzymać się tylko przy pozytywnych żądaniach pracodawców i robotników, t. zn. przy tych postulatach, które chcą oni przeprowadzić w niedalekiej przyszłości.

W samych początkach nowoczesnej walki pracy z kapitałem robotnicy stanowili obóz wyłącznie zaczepny, przedsiębiorcy ściśle

obronny, robotnik bowiem musiał dopiero wszystko zdobywać, pracodawca nie żądał niczego, prócz utrzymania istniejących stosunków. Wskutek licznych ustępstw na rzecz robotników mamy już dzisiaj obraz o tyle odmienny, że robotnicy żądają wprawdzie dalszych jeszcze koncesyi, lecz mają już swój własny stan posiadania, który należy chronić, z drugiej zaś strony przedsiębiorcy nie uważają bynajmniej obecnego swego położenia za doskonałe, lecz również domagają się w niem zmian, nieraz wcale znacznych. Mimo to i teraz jeszcze praca występuje przeważnie zaczepnie, podczas gdy kapitał zajmuje przedewszystkiem stanowisko obronne.

Wszystkie postulaty warstwy robotniczej wynikają z tego, że pracuje ona na rzecz swoich potrzeb w cudzem gospodarstwie. Wskutek tego robotnik staje wobec trzech różnych zagadnień, które oczywiście pragnie jak najkorzystniej dla siebie rozstrzygnąć. Przedewszystkiem praca ma mu dać odpowiednie dochody, powtóre ma być jak najmniej uciążliwą, w końcu stosunek do przedsiębiorcy nie powinien naruszać jego indywidualności osobistej i gospodarczej. Wszystkie te pytania komplikują się jeszcze o tyle, że robotnik szuka na nie odpowiedzi, porównywując swoje własne położenie ze stosunkami swego pracodawcy. Dzięki temu stanowisko i żądania robotnika dadzą się ująć w następujący sposób:

1) Jedynym jego dochodem jest płaca. Wskutek tego musi płaca wystarczyć na odpowiednie utrzymanie rodziny robotniczej, t. zn. musi pozwolić na zaspokojenie wszystkich tych potrzeb, które zwyczajnie odczuwa się w sferze społecznej, do której zalicza się robotnik. Nie wystarcza tu bynajmniej zaspokojenie potrzeb niezbędnych do życia, bo z równą siłą występują inne pragnienia, mniej lub więcej uzasadnione, ale w tej klasie ludności powszechnie przyjęte, robotnik więc czułby się upokorzonym i pokrzywdzonym, gdyby nie miał środków na ich pokrycie. Które potrzeby należą do tej kategoryi, zależy już od stosunków miejscowych, kulturalnych, zawodowych i t. p.; ogólnem ich określeniem zajmuje się teorya ekonomii, faktycznem oznaczeniem dla danego miejsca i czasu statystyka, w polityce zaś musimy się

z tem liczyć, że robotnik zawsze będzie się domagał płacy, wystarczającej na ich zaspokojenie.

Prócz tego jednak liczy się on jeszcze z dochodami przedsiębiorcy. W żadnym razie wynagrodzenie pracy nie może spaść zdaniem robotnika poniżej potrzeb, w poprzednim ustępie oznaczonych, winno być jednak znaczniejsze, jeżeli zyski przedsiębiorcy na to pozwalają. Innemi słowy, robotnik domaga się, ażeby istniała granica płacy minimalnej, nie ogranicza jednak jej wzrostu, pragnie bowiem polepszenia swego bytu i sądzi, że, współdziałając w produkcyi, ma prawo do korzystania z jej szczęśliwego położenia. Tem się tłumaczą strejki, dążące do podwyższenia płacy w czasie rozkwitu, jak i bezrobocia, które są odpowiedzią na zniżki wynagrodzenia, wywołane niekorzystną konjunkturą gospodarczą. Stanowisko robotnika przeto da się ująć w zasadę; płaca powinna stosować się do dochodów produkcyi, nie może jednak nigdy być niższą od kwoty niezbędnej na zaspokojenie zwyczajnych potrzeb tej warstwy społecznej, do której zalicza się robotnik.

2) Siła do pracy jest jedynym towarem, który robotnik może w zamian ofiarować. Jak przy każdej wymianie, pragnąłby on zapłacić jak najmniej, t. zn. przyjąć jak najmniejszy ciężar usług, które ma oddać przedsiębiorstwu. Stąd płynie zupełnie naturalne dążenie robotnika do ograniczenia dnia roboczego i uzyskania peryodycznego spoczynku bez obniżenia wynagrodzenia, jako też prawie powszechnie podnoszone żądanie uchylenia pracy akordowej. Przy umowie akordowej musi się dostarczyć pewnego ekonomicznego rezultatu — czynności lub wytworu — bez względu na ilość wydanej w tym celu pracy, podczas gdy w kontrakcie dziennym zobowiązuje się jedynie do pracy przez pewien przeciąg czasu, nie biorąc odpowiedzialności za jej wydajność. W pierwszym przeto wypadku wszystkie trudności i przeszkody, wogóle wszystkie okoliczności, powodujące niepewność technicznych rezultatów produkcyi, obciążają robotnika, w drugim pracodawcę. Do tej samej wreszcie kategoryi należy dążność robotników do ograniczenia liczby tych, którzy o pracę mogą się ubiegać, przez wykluczenie niektórych kategoryi pracujących, jak nieletnich, kobiet, nieukwalifikowanych, obcokrajowców, osób nienależących do

związków zawodowych i t. d. Rozchodzi się tutaj o wzmocnienie stanowiska robotnika w chwili zawierania umowy o pracę przez ograniczenie podaży, o tem pewniejsze więc przeprowadzenie jego żądań.

Zdaniem robotnika cena jego pracy nie tylko ma zapewnić mu dostateczne dochody, lecz nie może być także niższą od zwyczajnej wartości pracy ludzkiej wogóle. Wskutek tego domaga się on, ażeby jego czas pracy nie był w żadnym razie dłuższym od zwyczajnego dnia roboczego, który odnośnym podmiotom gospodarczym dostarcza odpowiedniego utrzymania. W ten sposób usuwa się związek między wysokością wynagrodzenia a ilością pracy, zastępując go zasadą, że bez względu na swą wydajność równa ilość pracy powinna dać każdemu dochody, wystarczające na jego uzasadnione potrzeby. Postulat skrócenia dnia roboczego nie jest przeto wynikiem jedynie podwyższenia rentowności danego przedsiębiorstwa lub wzmożenia się wydajności własnych usług, lecz także wzrostu przeciętnej wartości pracy ludzkiej w pokrewnych dziedzinach, wskutek czego można tam zmniejszyć ilość pracy niezbędnej do osiągnięcia zamierzonego dochodu.

W końcu robotnik nie może zapomnieć i o tem, że wykonywania usług, pozbytych na rzecz pracodawcy umową o pracę, niepodobna oddzielić od własnej osoby. Na tym gruncie powstaje cały szereg żądań co do sposobu wykonywania pracy, o ile ma to znaczenie dla osoby robotnika, a więc co do urządzenia pracowni, warunków hygienicznych, bezpieczeństwa, czasu w którym należy pracować, regulaminu roboczego i t. p. Łącząc wszystkie te żądania w jedną całość, można powiedzieć, że robotnik domaga się takiej organizacyi, ażeby czas pracy nie mógł przejść ani pewnej, ściśle określonej najwyższej granicy, ani przeciętnego dnia roboczego wogóle, ażeby całą niepewność gospodarczą ponosił pracodawca, a urządzenie pracy odpowiadało potrzebom i zwyczajom przyjętym w społeczeństwie.

3) Pracując na cudzy rachunek, robotnik musi się zgodzić w pewnym stopniu na ograniczenie swej indywidualnej wolności, jednakże stara się je sprowadzić do jak najmniejszych, absolutnie niezbędnych rozmiarów. Wskutek tego pragnie on określić jak

najściślej dziedzinę, w której gotów jest poddać się cudzej woli, w jej zaś obrębie oznaczyć jeszcze bliżej sferę decydującego wpływu pracodawcy i jego zastępców. Z tego punktu widzenia robotnik uznaje w zasadzie obowiązek stosowania się do rozkazów, odnoszących się do technicznej strony pracy i do zewnętrznego regulaminu pracowni, natomiast odrzuca wszelkie normy, wychodzące poza te granice. Co więcej nawet w tym zakresie domaga się dla siebie pewnego wpływu, wychodząc z założenia, że nie powinien być narzędziem, pozbawionem woli, lecz czynnikiem, wpływającym w pewnym stopniu na tok i ustrój działalności wytwórczej.

Stosownie do tego robotnik żąda przedewszystkiem zupełnej swobody we wszystkich dziedzinach, nienależących do sfery gospodarczej. Opiera się on stanowczo wszelkim ograniczeniom politycznym, towarzyskim, społecznym i t. p., gdyż, jak zupełnie słusznie podnosi, umowa o pracę ma się odnosić jedynie do wykonywania pewnych czynności, do niczego więcej, w żadnym zaś razie nie może naruszać bezpośrednio indywidualności ludzkiej. Podobnie wyklucza on ingerencyę pracodawcy w dziedzinie swego własnego gospodarstwa, a więc i w kwestyi wyboru środków, których używa do jego rozwoju. Z tego tytułu robotnicy domagają się uznania zastępstwa jego interesów przez asocyacyę zawodową i prawa koalicyi, t. zn. chwilowego łączenia się w celu osiągnięcia lepszych warunków pracy, natomiast odrzucają wszelki przymus w obrębie ich własnego gospodarstwa, jak obowiązek nabywania towarów w pewnych sklepach, mieszkania w fabrycznych domach i t. p. W końcu, ażeby zapewnić sobie pewien wpływ w gospodarstwie, w którem pracuje, stawia robotnik szereg żądań, odnoszących się do dopuszczenia mężów zaufania, sądów polubownych i rozjemczych i t. p. Krótko można streścić jego stanowisko w zdaniu: Umowa o pracę nie może robotnikom narzucić żadnych więzów poza obrębem właściwej akcyi produkcyjnej, a powinna mu zapewnić na tem polu wpływ w takim zakresie, ażeby pracodawca nie decydował jednostronnie o stosunku robotnika do przedsiębiorstwa.

Takie są zasadnicze żądania sfer robotniczych. Naprzeciw

nich stoją przedsiębiorcy, którzy zastępują interes kapitału i materyalnego rozwoju produkcyi. Z tego punktu widzenia postulaty robotników, częścią już przeprowadzone, częścią stanowiące jeszcze przedmiot walki, przedstawiają się jako znaczne obciążenie i utrudnienie działalności wytwórczej. Nic więc dziwnego, że jakkolwiek przedsiębiorcy nie stoją dziś na stanowisku stanowczego odrzucenia wszystkich żądań robotniczych, ani też nie domagają się powrotu do zupełnej wolności umownej, mimo to z jednej strony podają ostateczną, najwyższą granicę, do której mogliby dojść w swych ustępstwach, z drugiej zaś występują z szeregiem samoistnych postulatów, związanych z ich własnym interesem.

Co do żądań robotniczych stanowisko, zajęte dziś przez przeważną większość pracodawców, jest mniej więcej następujące. Przedsiębiorcy uznają w zasadzie dążenie robotników do poprawy bytu za uprawnione, domagają się jednak, ażeby nie posługiwano się w tym celu bezprawiem, a zarazem ażeby nie przekraczano granicy, oznaczonej ogólnymi warunkami produkcyi. Przedsiębiorcy więc zamykają dozwolony zakres żądań robotniczych dwiema zasadami natury ogólnej, mianowicie odrzucają najpierw to wszystko, coby mogło niekorzystnie oddziałać na rozwój działalności wytwórczej, a co do innych postulatów żądają, ażeby starano się je przeprowadzić bez naruszenia obowiązujących przepisów prawnych, stawiając w ten sposób potrzeby produkcyi i ustrój prawny ponad interes robotników. Najpierw więc potępiają wszystkie nagle wybuchające lub gwałtowne ruchy robotnicze, mianowicie bezrobocia, szczególniej gdy przybierają ogólny charakter. Wprawdzie w zasadzie uznaje się uprawnienie strejku, lecz tylko pod warunkiem, że ani nie łamie jednostronnie zawartej umowy o pracę ani też nie uchyla możności dalszej produkcyi. Według pracodawców przeto można uznać strejk za środek uzyskania nowych warunków pracy tylko o tyle, o ile zapowiedziano go dość wcześnie, ażeby ewentualnie można było zapewnić ciągłość działalności wytwórczej nawet przez czas bezrobocia. Inaczaj bowiem robotnicy naruszają prawa nabyte drugiego kontrahenta, a zarazem szkodzą produkcyi narodowej, odbierając jej niezbędną pewność i stałość.

W sprawie płacy stoją przedsiębiorcy na stanowisku, że wynagrodzenie winno się stosować tak do wydajności pracy, jak i do ogólnych dochodów danej gałęzi wytwórczej. Wskutek tego nie może być mowy o uchyleniu systemu akordowego, który właśnie ujmuje najlepiej rezultat, a więc wartość pracy robotnika, ani też nie można oznaczyć stale najniższej granicy płacy, gdyż należy się jej pewna część ogólnych dochodów przedsiębiorstwa, stąd też w razie ich zniżki musi się zmniejszyć i wynagrodzenie pracy. Oczywiście ostatecznym kresem takiego uszczuplenia są niezbędne koszta utrzymania, lecz zasada ta nie ma praktycznej doniosłości, bo płaca w każdym razie jest wyższa. Natomiast samo podniesienie dochodów przedsiębiorstwa nie uprawnia jeszcze robotnika do stawiania żądań bardziej wygórowanych. Najpierw zawdzięcza się je przedewszystkiem rozumnemu wyzyskaniu konjunktury, a więc kierownictwu, a nie pracy technicznej, a powtóre zysk ten stanowi najczęściej wynagrodzenie i amortyzacyę strat i niebezpieczeństw dawniejszych lub przyszłych, ponoszonych przez kapitał umieszczony w produkcyi. Jeżeli taki rozkwit utrzyma się przez czas dłuższy, robotnik zyska na nim pośrednio dzięki zwiększonemu popytowi na pracę, jeżeli jest tylko przemijający, jest zyskiem przedsiębiorcy i premią ryzyka, które należą się pracodawcy.

Co do wewnętrznych warunków pracy przedsiębiorcy, uznając uzasadnienie ustawodawstwa ochronnego, domagają się, ażeby produkcyi nie skrępowano zbyt ścisłymi przepisami, które uniemożliwiają zastosowanie jej rozmiarów do każdoczesnego zapotrzebowania. Z tego powodu całe ustawodawstwo fabryczne winno uwzględniać wyjątkowe położenie, spowodowane stosunkami faktycznymi i w tych wypadkach uwalniać przedsiębiorstwo od zwykle obowiązujących norm. W końcu przedsiębiorcy nie mają nic przeciw indywidualnej swobodzie tak politycznej jak i obywatelskiej robotnika, jednakże pod warunkiem, że nie oddziała ona szkodliwie na pracę wytwórczą. Stąd też nie mogą przyznać robotnikom bezpośredniego lub pośredniego (przez stowarzyszenia zawodowe) wpływu na zarząd przedsiębiorstwa, bo wpłynęłoby to niekorzystnie na niezbędną karność. Natomiast nie sprzeciwiają

się w zasadzie wysłuchaniu mężów zaufania warstw robotniczych we wszystkich tych sprawach, które dotyczą położenia robotników, instytucyom, które miałyby łagodzić spory wynikające z umowy o pracę (sądy rozjemcze, polubowne, izby robotnicze i t. p.), jako też stowarzyszeniom zawodowym, o ile nie przeradzają się w środowisko walki przeciw pracodawcom.

Wszystkie postulaty przedsiębiorców w kwestyi robotniczej, o ile nie są odpowiedzią na żądania strony pierwszej, dążą do zapewnienia produkcyi rentowności i zdolności konkurencyjnej. Wobec licznych ustaw fabrycznych i socyalnych, nakładających niewątpliwie wielkie ciężary na zakłady wytwórcze, pracodawcy musieli zająć się pytaniem, jak długo i w jakich warunkach można postępować naprzód po tej drodze. Pogodziwszy się z myślą, że w interesie dobra ogólnego czynniki publiczne muszą się zająć ochroną słabszych, uznawszy przeto uprawnienie i użyteczność akcyi na rzecz robotników, zażądali przedsiębiorcy, powołując się również na interes ogółu, ażeby zawsze liczono się z koniecznymi warunkami rozwoju narodowej produkcyi. Żadna akcya społeczna nie powinna, ich zdaniem, nakładać na produkcyę takich ciężarów, któreby zniechęciły kapitał do lokacyi w tych gałęziach lub zabijały przedsiębiorczość jednostek, odbierając im z góry wszelką nadzieję znaczniejszych korzyści. To też zbyt daleko idące ustawodawstwo robotnicze wywołuje właśnie te skutki, odbija się przez zastój produkcyi, najszkodliwiej właśnie na tych, którym chciano zapewnić byt znośniejszy i uszczupla dobrobyt ogółu. Powtóre ze względu na dzisiejszą wymianę wszechświatową, na wzajemne oddziaływanie na siebie przedsiębiorstw, położonych w najrozmaitszych krajach i najróżnorodniejszych stosunkach, obowiązki, nałożone na produkcyę dla uregulowania kwestyi robotniczej, odbierają jej w całości lub części zdolność konkurencyjną. Nie mogąc nadal walczyć skutecznie z zakładami wolnymi od tych ciężarów, traci produkcya narodowa dawniejsze swe rynki zbytu, a więc nie tylko szansę dalszego rozwoju, lecz i możność utrzymania się w dotychczasowych rozmiarach. Ażeby tego uniknąć i niedopuścić do ciężkich przesileń ogólno-gospodarczych, należy wprowadzać reformy, szczególniej uciążliwsze, tylko o tyle, o ile

albo zapotrzebowanie krajowe jest tak znaczne, że nie potrzeba szukać rynków zagranicznych, a krajowy targ zapewni się krajowym wytwórcom odpowiednią polityką celną, albo też o ile ową reformę wprowadzono we wszystkich konkurujących państwach, a więc w drodze międzynarodowego układu. Pierwszy wypadek zachodzi w nielicznych tylko krajach, bardzo wielkich o zapotrzebowaniu i sile kupna, dopuszczających jeszcze znacznego wzrostu produkcyi, jak Stany Zjednoczone lub bogate a mało jeszcze rozwinięte kolonie australskie, z drugim spotykamy się we wszystkich zachodnich i środkowych krajach europejskich. Dla nich, jako pracujących przedewszystkiem na wywóz za granicę, właściwą jest jedynie jednolita, międzynarodowa regulacya kwestyi robotniczej. Wszelkie ustawodawstwo autonomiczne utrudnia tylko rozwój produkcyi, przynosząc tem samem korzyści rywalom obcokrajowym, kosztem ogólnego dobrobytu narodowego.

III.

Powyżej streszczone zapatrywania okazują jasno, jak dalece odbiegają od siebie stanowiska obu stron interesowanych. Trudno nawet przypuścić, ażeby drogą porozumienia i kompromisu mogły same doprowadzić do usunięcia tych różnic, gdyż taki układ domagałby się od jednych i drugich ustępstw tak znacznych, że żadna strona nie zgodziłaby się na nie, jako na trwałe uregulowanie sporu. W najlepszym razie podobną zgodę uważanoby za prowizoryczne ominięcie trudności, obiecując sobie wznowienie walki, skoro tylko nadarzy się korzystna sposobność.

Na szczęście w całym tym sporze bierze udział jeszcze jeden czynnik, ważniejszy i potężniejszy od tamtych, mianowicie interes ogólno-społeczny. Na oko przedstawia się to jako jeszcze jedna komplikacya, utrudniająca tylko rzecz całą, w rzeczywistości jest to okoliczność dla rozwiązania kwestyi robotniczej nader korzystna. Społeczeństwo, zarówno zainteresowane rozwojem produkcyi jak i dobrobytem klas pracujących, uwzględnia stosunki i potrzeby jednej i drugiej warstwy, jednakże nie działa ani dla jednej ani dla drugiej tylko dla siebie, t. zn. dla ogółu. Wskutek tego droga, którą wybiera — naturalnie o ile działa racyonalnie,

z całem zrozumieniem rzeczy — nie jest kompromisem, liczącym się z przypadkowym stosunkiem sił obustronnych, lecz rzeczywistem, trwałem unormowaniem współdziałania pracy i kapitału, dla zapewnienia dobrobytu ogólnego. Żądania klasowe tak pracodawców jak i robotników nie będą wprawdzie zaspokojone w całej pełni, lecz nie pomija się ich i nie ogranicza dla polepszenia bytu przeciwnika, tylko ze względu na interes ogólno-społeczny. Dobro ogółu stanowi ramy, w których muszą się zmieścić wszystkie dążenia indywidualne i prywatno-gospodarcze; w tych granicach dąży się do zapewnienia każdemu jak najlepszych warunków, lecz potrzeby społeczeństwa mają pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi. Według tych zasad społeczeństwo rozwiązuje kwestyę robotniczą, podobnie jak każdy inny problemat gospodarczy, a ponieważ ma dosyć siły, ażeby swoją wolę każdemu narzucić, a zajęte przezeń stanowisko jest rzeczywiście słuszne i objektywne, więc zarządzenia, wydane na takich podstawach, mogą istotnie doprowadzić do zgody. Interesowani poddadzą się im nie tylko z konieczności, lecz uznają nawet ich uzasadnienie, co prawda dopiero później, gdy przeminie już rozdrażnienie, spowodowane walką. Spotkaliśmy się już z tem nieraz, właśnie w dziedzinie ustawodawstwa socyalnego, że projekty i prawa, zwalczane najnamiętniej, w krótkim stosunkowo czasie wydały tak widocznie korzystne owoce, że umilkły zupełnie wszystkie głosy krytyki i nikt już nie odmawiał im użyteczności i prawa do bytu. Bez wątpienia to, co było stosunkowo łatwe w jednej poszczególnej, czasami drobnej sprawie, staje się bardzo trudnem, gdy rozchodzi się o wszechstronne uregulowanie stosunków dwóch wielkich grup gospodarczych. Nie należy jednak zapominać, że praktycznie biorąc, walka kapitału z pracą nie występuje nigdy w tak ogólnej, można powiedzieć teoretycznej formie, lecz przejawia się w całym szeregu sporów szczegółowych o rzeczy ważniejsze i drobniejsze. Usunięcie wielu z nich nie przedstawia zbyt wielkich trudności, a każda udała reforma tego rodzaju ogranicza ilość kwestyi spornych, a tem samem i częstotliwość walki. W ten sposób pomniejsza się antagonizm pracy i kapitału, co wychodzi na korzyść obu stron interesowanych i całego ogółu, a zarazem przybliża coraz

więcej rozwiązanie zagadnień cięższych, bo dotychczasowe doświadczenie zachęca tem bardziej do użycia środków, które już przedtem okazały się tak skuteczne.

Zadaniem społeczeństwa, w praktyce przeto organów, które działają dla niego i w jego imieniu, jest zapewnienie tak ogółowi jak i poszczególnym warstwom, wchodzącym w skład całości, odpowiednich warunków trwałego bytu i stałego rozwoju. W tym celu należy najpierw czuwać nad utrzymaniem i rzeczywistem zastosowaniem wszystkich podstawowych zasad ustroju społecznego, powtóre drogą praktycznych lub ustawowych reform dostarczać ludności nowych środków, ułatwiających osiągnięcie możliwie najlepszego bytu i najwyższego rozwoju. Ponieważ byt społeczeństwa nie polega jedynie na czynnikach gospodarczych, lecz zależy także od całego szeregu warunków prawnych, etycznych, cywilizacyjnych, politycznych i t. p., więc społeczeństwo, rozstrzygając jakąkolwiek kwestyę ekonomiczną, musi wybrać taki sposób jej rozwiązania, który jest najodpowiedniejszy dla wszystkich tych potrzeb. Innemi słowy, przy zarządzeniach ekonomicznych musimy się starać o osiągnięcie jak najlepszego rezultatu materyalnego, bez naruszenia warunków bytu, należących do innych dziedzin życia, albo też, jeżeli się już je narusza, szkoda przez to wyrządzona nie może w żadnym razie przewyższać korzyści, uzyskanych w sferze gospodarczej. Natomiast wszędzie tam, gdzie pożądana reforma ekonomiczna sprowadziłaby na innych polach straty znaczniejsze od swych dodatnich skutków — przeprowadzenie jej pogorszyłoby jedynie położenie ogólno-społeczne, stanowiłoby przeto czyn niewłaściwy i chybiony.

Z powyższych wywodów wynika, że stanowisko społeczeństwa w dziedzinie socyalnej może być nader różnorodne w miarę tego, jakie naczelne zasady kierowały jego ustrojem i w jakiem rzeczywistem położeniu znajduje się ono w chwili, gdy staje wobec danego problematu. W ten sposób określa się negatywnie granice możliwych reform. Społeczeństwo musi odrzucić wszystkie te żądania, których zaspokojenie wymagałoby zasadniczych zmian w jego ustroju (zniesienie prawa własności, wolności osobistej i t. d.), albo uniemożliwiało osiągnięcie celów, których doniosłość,

zdaniem społeczeństwa, przewyższa korzyści gospodarcze, dające się uzyskać w ten sposób (zniesienie wojsk stałych ze względów oszczędnościowych, poświęcenie idei uprzemysłowienia kraju, uchylenie ochrony celnej, celem obniżenia cen i t. p.). Naturalnie poglądy społeczeństwa, jego stosunki i położenie mogą się zmienić do tego stopnia, że to, co uważano przedtem za doskonałe i niewzruszalne, będzie uznane potem za zmienne i chybione, to, co było najważniejszem za drugorzędne. Na tem właśnie polega cały rozwój polityczno-społeczny, który, usuwając dawniejsze granice, otwiera nowe pola działania czynnikom publicznym, jak długo jednak tych zmian niema, dziedzinę dopuszczalnych reform określają powyżej podane warunki. Zresztą nawet gdy nastąpi ów przełom zapatrywań, rzecz cała ulega tylko zmianie ilościowej a nie jakościowej. I wtedy bowiem określamy ogół reform społecznych względami na utrzymanie istniejącej organizacyi i dążenie do celów, uznanych za ważniejsze, tylko że granicę tę stanowią odmienne cele i inne zasady społecznego ustroju.

Przystosowanie tych norm do kwestyi robotniczej nie nastręcza poważniejszych trudności. Jedynem kryteryum, według którego należy ją rozwiązać, jest interes ogólno-społeczny, tak, że ustrój społeczny i wszystkie dążenia, uznane w danej chwili za ważniejsze od potrzeb robotników i pracodawców, stanowią nieprzekraczalne granice dla obustronnych ich żądań. Dopiero w tych rozmiarach przystępuje się do zbadania każdego poszczególnego żądania. Życzenie którejkolwiek grupy powinno być spełnione o ile możności jak najprędzej, jeżeli stanowi ono zarazem postulat dobra ogólnego; podobnie należy je bezwarunkowo odrzucić, gdy jego uwzględnienie naruszyłoby interes społeczny. Natomiast przy tych postulatach, które, obojętne dla ogółu, posiadają doniosłość wyłącznie klasową lub prywatno-gospodarczą, należy ograniczyć się do zbadania, o ile obustronne stanowiska są uprawnione i do porównania ciężarów, nałożonych na jednych, z zyskami, płynącymi stąd na rzecz drugich. Rozstrzygnięcie tego pytania decyduje o właściwości czy niewłaściwości żądanej reformy, tak, że wypada ją przeprowadzić, jeżeli przeważają korzyści — materyalne bądź też moralne. Podobny wypadek jest jednak nader rzadki,

gdyż wyjątkowo tylko żądania jednej z grup społecznych mogą być pozbawione zupełnie znaczenia dla ogółu, który niemal zawsze jest interesowany w sporze co najmniej przez to, że nie może pozwolić na naruszenie lub uszczuplenie praw drugiej strony, choćby to było nawet bardzo użyteczne, jeżeli w grze jest wyłącznie interes prywatny lub klasowy. Stąd też chociaż teoretycznie należy przewidzieć wypadek, który ogółu zupełnie nie dotyczy, niema się co liczyć z nim w polityce ekonomicznej, która właśnie dlatego stawia zasadę ogólną, że kwestyi robotniczej nie rozstrzyga się ani ze stanowiska robotniczego ani z punktu widzenia pracodawców, lecz jedynie według potrzeb ogólno-społecznych.

IV.

Każdoczesny ustrój społeczny winien dążyć do jak najlepszego zaspokojenia wszystkich tych potrzeb, których pokrycia domaga się powszechnie nznane dobro ogółu. Potrzeby te, jakkolwiek posiadają nader różnorodny charakter — etyczny, prawny, polityczny, ekonomiczny i t. p. — dzięki ścisłemu powiązaniu najrozmaitszych dziedzin życia ludzkiego, występują prawie wszystkie przy każdem ważniejszem zagadnieniu. Teoretycznie przeto można mówić o problemacie prawnym, gospodarczym lub kulturalnym, społecznie jednak mamy zawsze do czynienia z kwestyą natury ogólnej, przy której nie można pominąć żadnej potrzeby, bez względu na dziedzinę, do której właściwie należy. Stąd też jeżeli w polityce ekonomicznej nasuwające się kwestye nazywamy gospodarczemi, dzieje się to tylko dlatego, że rozchodzi się przedewszystkiem, lecz bynajmniej nie wyłącznie, o unormowanie sprawy ekonomicznej. I owszem, potrzeby natury odmiennej, np. etyczne, mogą być tu tak silne, iż gospodarcze względy będą musiały wobec nich ustąpić, tak, że wybierze się drogę ekonomicznie uciążliwą, byleby tylko nienaruszającą postulatów etycznych.

W ten sposób określając zadanie społeczeństwa na polu kwestyi robotniczej, dochodzimy do następujących wytycznych jego linii:

1) Organizacya pracy zależnej musi być sprawiedliwą społecznie. W społeczeństwie dąży się do tego samego celu wspól-

nemi siłami. Solidarność ta jednak musiałaby zniknąć, gdyby różne warstwy, jednostki i gospodarstwa nie mogły liczyć na odpowiedni udział w owocach wspólnej akcyi. Jeżeli więc nie chce się dopuścić do odśrodkowych, nawzajem sobie wrogich ruchów, które paraliżują wszelką działalność, należy uznać sprawiedliwość za najważniejszą podstawę ustroju społecznego.

Wprowadzenie równości wobec prawa było właśnie konsekwencyą tego stanowiska. Nasze równouprawnienie nie dotyka jednak samej treści prawa, poręczając jedynie jednakowe stosowanie do wszystkich jego przepisów. Nie wyklucza to jeszcze bezpośredniego czy pośredniego uprzywilejowania lub upośledzenia różnych grup ludności, gdyż taka formalna równość może istnieć nawet przy wielkiej nierówności materyalnej. Należy więc dążyć do osiągnięcia równości merytorycznej, t. zn. do takich norm prawnych, któreby umożliwiły wszystkim równomierne korzystanie z działalności społecznej. Również ta nie może zależeć od dowolności indywidualnej, nie można bowiem przyznać jednostkom wpływu na stosunki, od których zależy żywotny interes ogólnospołeczny. Dlatego też winno się tutaj zastosować przymus prawny, któryby poręczał, że w każdym wypadku konkretnym równość ta istotnie się przejawi, że nie uchyli jej żaden układ prawnoprywatny.

W kwestyi robotniczej sprawiedliwość domaga się, ażeby obie strony, współdziające w produkcyi, t. zn. robotnik i przedsiębiorca, otrzymali w wytworze równe wynagrodzenie swych usług, odpowiednio do ich znaczenia dla danej działalności wytwórczej. Nie idzie zatem bynajmniej, ażeby udziały te były równe, gdyż i zasługi gospodarcze są różne, lecz cały dochód winien być rozłożony w stosunku do znaczenia ekonomicznego funkcyi, spełnianych przez jedną i drugą stronę. Udział robotnika oznacza się płacą, przedsiębiorcy całym dochodem gospodarstwa, należy więc dążyć do tego, ażeby płaca nie była ani większą ani mniejszą od kwoty, która należy się rzeczywiście robotnikowi ze względu na gospodarczy rezultat jego pracy. Zbyt wysoka płaca, jeżeli wogóle się zdarza, należy w każdym razie do wyjątkowych objawów, to też w tej dziedzinie należy przedewszystkiem baczyć

na to, ażeby robotnik nie był pokrzywdzony kontraktem pracy. Rzecz to tem ważniejsza i trudniejsza, że z jednej strony położenie robotnika jest zupełnie inne aniżeli przedsiębiorcy, z drugiej zaś, że niepodobna zastosować najprostszego i pozornie najwłaściwszego środka, t. zn. prawnego określenia wysokości wynagrodzenia pracy ludzkiej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zupełna wolność umowy obu kontrahentów może najczęściej doprowadzić do upośledzenia i pokrzywdzenia robotnika. Praca jest dla niego jedynym środkiem utrzymania, podczas gdy przedsiębiorcy chodzi tylko o fruktyfikacyę kapitału, od której przynajmniej na razie nie zależy jego egzystencya. Wskutek tego mamy po stronie pracodawcy wolność tak prawną, jak i ekonomiczną, po stronie robotnika wolność prawną lecz przymus materyalny, o którym wie doskonale strona przeciwna i z którego może z łatwością skorzystać dla uzyskania warunków dla siebie bardzo korzystnych, dla robotnika szkodliwych. To też właśnie dla zapewnienia prawdziwej równości i równorzędności należy w drodze prawa unormować wszystkie te warunki umowy o pracę, które dzięki przewadze ekonomicznej pracodawcy mogłyby w niczem nieskrępowanych układach indywidualnych przybrać charakter jednostronnego uwzględnienia interesów przedsiębiorcy. Z przyczyn jednak, o których gdzieindziej pisać będziemy, przymusowe oznaczenie t. zw. naturalnej lub słusznej płacy przeprowadzić się nie da, albo też wydałoby rezultaty bardzo niekorzystne. Nie posiadamy też innego środka, jak tylko drogą całego szeregu przepisów prawnych i zarządzeń ogólnych pośrednio dojść do tego samego rezultatu. Innemi słowy, celem zapewnienia sprawiedliwej umowy o pracę należy częścią wprowadzić postanowienia prawne, od których w żadnym razie ani robotnikowi ani przedsiębiorcy odstąpić nie wolno, częścią zaś tak wzmocnić stanowisko robotnika, ażeby nie musiał zgodzić się na niesłuszne warunki tam nawet, gdzie ustawa uznaje swobodę umowną.

2) Organizacya pracy zależnej nie może wytwarzać stosunków, utrudniających lub wprost uniemożliwiających wszechstronny rozwój warstwy robotniczej. Tak ze względu na równouprawnienie robotników z resztą społeczeństwa, jak i dla dobra ogółu

musimy zapewnić pracy ludzkiej takie warunki, któreby odpowiadały wymogom hygienicznym, cywilizacyjnym i etycznym. Stąd płynie obowiązek unormowania w drodze publicznej wykonywania pracy w ten sposób, ażeby usunąć o ile możności szkodliwy jej wpływ na siły i zdrowie jednostek, jakoteż ażeby pozostawić im dość czasu na osiągnięcie niezbędnego wykształcenia intellektualnego i moralnego. Tu przeto mamy do czynienia z przepisami, odnoszącymi się do wewnętrznych regulaminów i urządzeń fabrycznych, do czasu pracy i spoczynku, do pracy kobiet i nieletnich, wreszcie z normami, mającemi na celu zapewnienie rodzinie robotniczej odpowiedniej roli społecznej. Znaczna część tych postulatów zależy od materyalnego położenia robotnika, stąd też wiąże się z niemi najściślej sprawa minimum egzystencyi, cała trudność usuwa się sama przez się z chwilą, gdy właściwe zasady kierują oznaczeniem płacy. Jeżeli jednak słuszna nawet płaca nie wystarcza na utrzymanie — co przynajmniej w teoryi jest możliwe — musi się zabezpieczyć robotnikom minimum egzystencyi, choćby w ten sposób nakładało się na inne sfery ciężary, przechodzące swą wysokością ścisłe prawa sprawiedliwości. Polega to na konieczności zapewnienia odpowiednich warunków życia i rozwoju klasie robotniczej. Niepodobna myśleć o stosowaniu się do przepisów hygieny, o kulturze, nawet nieraz o etyce, jeżeli nie ma się niezbędnych środków do życia. We wszystkich tych wypadkach obok czasu potrzeba jeszcze pieniędzy, tak, że bez nich całe ustawodawstwo byłoby w najlepszym razie połowiczne, dostarczając robotnikom odpowiednich warunków w chwili pracy, nie dając mu ich natomiast w domu; pozostawiając mu dość czasu wolnego na cywilizacyę i życie rodzinne, z którego jednak wskutek niedostatku nie może korzystać.

3) Organizacya pracy zależnej winna zapewnić utrzymanie produkcyi w dostatecznej wysokości i jej rozwój, odpowiednio do potrzeb społecznych. Doniosłość i zakres tego postulatu omawia ze stanowiska ogólnego część o dobrobycie, tutaj więc należy zwrócić uwagę jedynie na jedną rzecz, ściśle związaną z kwestyą robotniczą. Mianowicie stosunek pracodawcy do robotnika jest jedną z poważnych przyczyn chwiejności i niepewności działal-

ności wytwórczej, ponieważ w pewnych chwilach robotnicy zaprzestaniem pracy starają się uzyskać lepsze dla siebie warunki. Jasną jest rzeczą, że narusza to zasadę dostateczności i rozwoju, to też należy się starać o usunięcie tych przewrotów. Zakaz bezrobocia, który sam w sobie byłby niesprawiedliwym, nie osiągnąłby zarazem celu, najczęściej bowiem nie usunąłby strejków, tylko doprowadziłby już po nich do karnego postępowania przeciw robotnikom, łamiącym obowiązujące prawo. Stąd też należy raczej starać się o usunięcie przyczyn bezrobocia, a przynajmniej o ograniczeniu ich liczby i częstotliwości, zupełnie bowiem uchylić ich niepodobna. Częściowo prowadzą do tego zarządzenia, omówione poprzednio, strejki bowiem wybuchają głównie dla uzyskania lepszej płacy i dogodniejszych warunków przy wykonywaniu pracy, niejednokrotnie jednak przyczynę bezrobocia stanowi przeświadczenie robotników, że pracodawca naruszył ich uprawnienia, nie spełniając przyjętych przez siebie obowiązków, lub też nakładając na nich ciężary, których według umowy ponosić nie powinni. W tych wypadkach można usunąć bezrobocie przez utworzenie instytucyi, któreby, ciesząc się obustronnem zaufaniem, rozstrzygały wszystkie te spory, jako też przez jak najsurowszą represyę wyzysku robotnika w jakiejkolwiek formie (przymusu zakupywania towarów w pewnych tylko sklepach, naruszenia regulaminu fabrycznego, zatrzymania zapłat i t. p.).

To są zasadnicze podstawy, na których winna się oprzeć organizacya pracy zależnej w zdrowym ustroju społecznym.

Dr. Wł. Czerkawski.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

W SPRAWIE OCHRONY MAŁOLETNICH PRZED ZBRODNIAMI[1].

Snać zbrodnia coraz szersze kręgi zatacza pośród nieletnich, coraz nowe porywa ofiary, skoro w ostatnich czasach odezwała się w naszem społeczeństwie gwałtowna potrzeba ratunku. Woła o tem prasa od dłuższego już czasu, a woła głosem najdonioślejszym, bo smutnymi faktami; wołają ludzie dobrej woli i rzucają pierwszą myśl obmyślenia środków zaradczych; wszyscy zdają się odczuwać i rozumieć nareszcie, że tak dalej iść nie może, że trzeba radzić i to radzić jak najprędzej, bo każdy dzień, każda niemal godzina przynosi nam coraz nowych młodocianych przestępców, zapisuje coraz świeższe szczerby w szeregach dzieci i wyrostków.

Rozchodziłoby się jednak w takiej chwili o rozpatrzenie istotnego stanu rzeczy, by módz odpowiedzieć, czy i w jakich rozmiarach podobny ratunek jest niezbędny. Zanim jednak przystąpimy do rozwiązania powyższego pytania, wpierw musimy ustalić pojęcie nieletnich przestępców, jakiego trzymać się będziemy w naszej pracy.

Jak wiadomo, pojęcie nieletnich przestępców łączy się w jak najściślejszy sposób z kwestyą poczytalności, o którą w nauce toczy się

[1] Źródła do dat statystycznych: *Oesterreichische Statistik*, wyd. przez c. k. Centralną Komisyę statystyczną we Wiedniu, tomy XLI, XLIII, XLV, XLVII, L, LIII, LVIII, LXI, LXIX, LXXI zeszyty III p. t. *Die Ergebnisse der Strafrechtspflege in den im Reichsrathe vertretenen Königreichen und Ländern.*

walka, wciąż jeszcze nie rozstrzygnięta. Stąd też i w kodeksach karnych poszczególnych państw istnieje wielka różnorodność w postanowieniach o wpływie wieku przestępcy na jego poczytalność i na wymiar kary. Ponieważ celem tej pracy jest dojść do pewnych wniosków w sprawie ratowania nieletnich przestępców w naszym kraju, w pierwszej linii na podstawie poznania rozmiarów niebezpieczeństwa według wykazów statystyki kryminalnej Przedlitawii ze szczególnem uwzględnieniem Galicyi, przeto musimy przyjąć w zasadzie za podstawę postanowienia austryackiej ustawy karnej i oparte na niej podziały austryackiej statystyki. Otóż austryacki kodeks karny pod względem poczytności kryminalnej poniżej 20 roku życia rozróżnia dwa okresy: 1) Od 11 roku życia do ukończenia lat 14 i 2) od 15 roku do lat 20. Jeżeli nieletni przestępca popełni w pierwszym z powyższych okresów zbrodnię, karze się go tak, jak gdyby popełnił tylko przekroczenie (§§ 2 d, 237, 269 a i 270 K. K.), w razie zaś popełnienia występku lub przekroczenia ma się go oddać przedewszystkiem władzy domowej do ukarania (§ 273 K. K.), względnie można go oddać pod pewnymi warunkami do domu poprawy (§ 8 ustawy z 24 maja 1885 Dz. u. p. L. 89). W razie popełnienia zbrodni w drugim ze wspomnianych okresów wiek poniżej lat 20 jest okolicznością łagodzącą co do wszystkich kar (§ 46 a K. K.), a zawsze karę śmierci lub dożywotnie więzienie zamienia się na ciężkie więzienie od lat 10 do 20 (§ 52 K. K.). Jednakowoż niektóre urzędowe wykazy statystyczne — jak to niebawem zobaczymy — rozróżniają jeszcze szczegółowsze podziały co do wieku, a mianowicie przyjmują w drugim okresie 16 rok życia za granicę, a nawet III zeszyt LXXI tomu wydawnictwa c. k. Centralnej Komisyi Statystycznej *Oesterreichische Statistik* zapowiada na najbliższą przyszłość osobne wykazy dla przestępców między 16 a 18, oraz między 18 a 20 rokiem życia [1].

A teraz rozglądnijmy się w stosunkach, panujących w Galicyi na polu nieletnich przestępców. Zacznijmy od pierwszej kategoryi, tj. od dzieci między 10 a 14 rokiem życia, które ukarano

[1] Str. XCI.

mimo spełnienia zbrodni w myśl §§ 237 i 269 K. K. według wymiaru za przekroczenie. Przyglądając się cyfrom, dostarczonym przez statystykę z dziesięciolecia od roku 1892 do 1902, dochodzimy do smutnych spostrzeżeń.

Liczba zbrodniarzy w latach 1892—1902, ukaranych przez sądy galicyjskie z powodu małoletności według wymiaru za przekroczenie.

Tabica I.

Galicya	Rok	1892	1893	1894	1895	1896	1897	1898	1899	1900	1901	1902	Razem
	L. małol. zbrodniarzy	92	99	90	76	88	78	124	142	192	224	272	1477

Wzrost tych cyfer zwłaszcza w ostatnich pięciu latach musi zastanowić każdego, kto je bada. O ile bowiem w latach 1892 i 1893 progresya była stosunkowo niewielka, o ile następne cztery lata okazują wahania, o tyle z rokiem 1898 zaczyna się gwałtowna zwyżka, która się już odtąd więcej nie zatrzymuje, aż dochodzi w r. 1902 do 272 wypadków!

Przytoczone cyfry są bardzo wymownem uzasadnieniem tego wołania o ratunek i pomoc, jakie w ostatnich czasach u nas się odezwało. Rzeczą pewną i niezawodną jest, że najwyższy już czas pomyśleć w naszym kraju o zapobieżeniu takiej strasznej chorobie społecznej, jaką jest zbrodnia, spełniona przez dziecko lub wyrostka. Rozchodzi się jednak o to, jakie rozmiary ma przybrać i w jakim kierunku pójść winna akcya dla ochrony nieletnich? Powszechnie daje się słyszeć zdanie, że trzeba nam tylko domów pracy i zakładów poprawczych, a cel osiągnie się prędko. Zobaczymy, ile w tem prawdy. Weźmy pod uwagę statystykę kryminalną Przedlitawii z okresu między r. 1882 a 1899 i przypatrzmy się ilości przestępców między 14 a 20 rokiem życia, obliczonej w stosunku procentowym do ogólnej cyfry zasądzonych według poszczególnych zbrodni. Obraz przedstawia się w ten sposób:

1) Gwałt publiczny przez złośliwe uszkodzenie telegrafów rządowych lub czynienie w nich przeszkód (§ 89 K. K.) . . . . . 62·2%
2) Gwałt publiczny przez złośliwe działania lub opuszczenie wśród okoliczności szczególnie niebezpiecznych (§ 87 K. K.) . . . . . 36·4%

3) Zbrodnie z popędów płciowych (§§ 125—133 K. K.) . . . . . 32·2%
4) Złośliwe uszkodzenie kolei żelaznych (§ 85 c. K. K.) . . . . . 28·2%
5) Zdrada główna (§§ 58—61 K. K.) . . . . . 27·4%
6) Gwałt publiczny przez nieuprawnione ograniczenie osobistej wolności człowieka (§ 93 K. K.) . . . . . 25·3%
7) Kradzież i uczestnictwo w kradzieży (§ 171 i nast. K. K.) . . . 25·0%
8) Rabunek (§§ 190—196 K. K.) . . . . . 24·2%
9) Złośliwe uszkodzenie cudzej własności (§ 85 a i b K. K.) . . . 21·7%
10) Fałszowanie monety (§§ 118—121) . . . . . 17·6%
11) Dzieciobójstwo z § 139 K. K. . . . . 17·4%
12) Podpalenie (§§ 166—170 K. K.) . . . . . 17·1%
13) Gwałt publiczny przez gwałtowne najście na cudze dobra nieruchome (§ 83 K. K.) . . . . . 16·9%
14) Porzucenie dziecka (§§ 149—151 K. K.) . . . . . 15·8%
15) Zabójstwo (§§ 140—143 K. K.) . . . . . 14·5%
16) Ciężkie uszkodzenie ciała (§§ 152—157 K. K.) . . . . . 14·3%
17) Gwałt publiczny przez wymuszenie (§ 98 K. K.) . . . . . 13·5%
18) Potwarz z § 209 K. K. . . . . 13·0%
19) Morderstwo (§§ 134—138 K. K.) . . . . . 12·6%
20) Spędzenie płodu (§§ 144—148 K. K.) . . . . . 11·0%
21) Oszustwo (§ 197 i nast. K. K.) . . . . . 10·9%
22) Sprzeniewierzenie (§ 181 K. K.) . . . . . 10·6%
23) Gwałt publiczny przez gwałtowne targnienie się na osoby urzędowe lub niebezpieczne pogróżki względem tychże w sprawach urzędowych (§ 81 K. K.) . . . . . 10·3%
24) Gwałt publiczny przez uprowadzenie (§ 96 K. K.) . . . . . 9·8%
25) Niebezpieczne pogróżki (§ 99 K. K.) . . . . . 9·2%
26) Fałszowanie publicznych papierów kredytowych (§ 106—117 K. K.) . 8·2%
27) Obraza religii (§ 122 K. K.) . . . . . 7·6%
28) Obraza Majestatu i członków domu cesarskiego (§§ 63, 64 K. K.) . 7·0%
29) Nadużycie władzy urzędowej i uwiedzenie do takiego nadużycia (§§ 101—105 K. K.) . . . . . 3·0%

W podanem wyżej zestawieniu uderza bardzo wielka różnica w procentowym stosunku między złośliwem uszkodzeniem telegrafów państwowych, a innemi zbrodniami, bo kiedy na pierwszą przypada 62·2% nieletnich przestępców z ogólnej liczby zasądzonych, to zaraz na następną z kolei (pod względem wysokości stosunku procentowego) tylko 36·4%. Odtąd zaś począwszy, podobnych skoków więcej już niema, różnica przedstawia się normalnie. Tego rodzaju zjawisko zniewala mimowoli do szukania przyczyn, któreby nam potrafiły oświetlić jego genezę. Jak wyżej widzieliśmy, »złośliwego uszkodzenia telegrafów rządowych lub czynienia w nich przeszkód« dopuścili się w ciągu lat 17 w znacz-

nej części nieletni, bo na ich rachunek idzie aż 62·2%. Zdaje nam się, że już sama natura tej zbrodni zdolna jest rzucić wiele światła na badane przez nas zagadnienie. Uszkodzenie telegrafów właśnie przez niedorostków w tak wysokiej cyfrze wolno sobie tłumaczyć w znacznej części poprostu psotami. Wprawdzie ustawa karna mówi o »złośliwem« uszkodzeniu, jest to jednak wyrażenie bardzo ogólnikowe, które w praktyce może być w mniej lub więcej ścisły sposób tłumaczone. Żałować tylko można, że nie istnieją takie szczegółowe wykazy, któreby uwzględniały powrót do zbrodni według rodzaju przestępstw, w połączeniu z wiekiem przestępców. Wtedy bowiem możebyśmy właśnie w tym kierunku znaleźli niejedną cenną wskazówkę. Musząc się zadowolnić dostępnymi materyałami, możemy sobie tłumaczyć wspomnianą różnicę w ten tylko sposób, że wyrostka, pozbawionego opieki i kierownictwa, nie wiedzącego najczęściej, co zrobić z czasem, chwyta się raz, drugi, trzeci na uszkodzeniu telegrafu, a więc na czemś, co on może uważał w swej niewychowanej duszy za figiel i rozrywkę, uznaje się w nim zamiar »złośliwego uszkodzenia«, zamyka do więzienia — i przygotowuje się w ten sposób materyał dla prawdziwej zbrodni. A pewnego dowodu na to, cośmy wyżej mówili, zdaje się dostarczać zbrodnia »złośliwego uszkodzenia kolei«, na którą w siedmnastoletnim okresie (od r. 1882 do 1899) przypadło z ogólnej cyfry zasądzonych w wieku od 14 do 20 lat tylko 28·2%. Widoczna więc, że uszkodzenie kolei, przedstawiające w wykonaniu o wiele większą techniczną trudność, jak n. p. zerwanie telegrafu, i zawierające w sobie więcej danych, przemawiających za »złośliwością« zamiaru, połączoną z niebezpieczeństwem wyższego rzędu, nie stanowi już tak urodzajnej gleby dla nieletnich przestępców.

A jak złą szkołą życia jest więzienie, poucza znów statystyka. Weźmy tylko Galicyę i rozpatrzmy ciekawe daty, dotyczące wieku, w którym recydywiści-zbrodniarze, dostarczeni w latach 1892 do 1901 do zakładów karnych w Galicyi, byli po raz pierwszy w swem życiu ukarani przez sądy. (Patrz tabl. II).

Procent ukaranych między 14 a 16 rokiem życia był stosunkowo niewielki, wahając się między 10·3% w roku 1892 a 4·1%

Wiek zbrodniarzy podczas pierwszego zasądzenia.

Tablica II.

A)

Zakład karny		Z dostawionych recydywistów w chwili ukarania po raz pierwszy za zbrodnię było w wieku od 14—20 lat %																					
		1892		1893		1894		1895		1896		1897		1898		1899		1900		1901			
		14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat	14—16 lat	16—20 lat		
Lwów	Zakład męski	8·5	32·1	6·6	31·9	4·6	33·0	7·2	32·3	6·5	30·8	5·3	35·0	2·9	26·5	5·1	29·3	6·6	42·6	5·0	32·4		
	Zakład żeński	4·8	33·3	8·6	34·3	7·5	22·5	10·0	23·3	6·6	20·0	4·4	21·7	13·8	13·8	2·7	21·6	5·5	30·5	2·6	23·6		
Stanisławów		16·1	27·9	3·7	20·5	6·1	26·6	4·8	21·4	1·6	23·4	3·6	21·4	2·9	24·5	7·5	15·6	4·0	20·1	3·3	22·8		
Wiśnicz		8·5	38·9	13·1	39·5	8·9	41·8	14·9	25·7	12·8	31·9	17·9	38·5	21·4	29·6	6·5	31·2	23·5	27·4	2·2	60·0		

B)

Wszystkie zakłady karne razem	Ogółem dostawionych	698		665		749		635		510		477		535		609		483		531		Razem 5.892
	W tem było po raz pierwszy zasądzonych w małoletności	72	221	35	201	41	233	48	179	30	145	28	150	37	138	35	155	37	166	22	167	2.140
	%	10·3	31·6	5·2	30·2	5·4	31·1	6·4	28·1	5·8	28·4	5·8	31·4	6·9	25·7	5·7	25·4	7·7	34·4	4·1	31·4	

w r. 1901, nie ukazując nigdzie stałej tendencyi ani do zwyżki ani do zniżki. Podobne wahania pośród blizkich granic (między 28·1% a 34·4%) okazuje i druga grupa skazańców (ukaranych po raz pierwszy między 16 a 20 r.) z tą tylko różnicą, że procent jest tutaj znacznie już wyższy i znacznie wymowniejszy. Widzimy z cyfr (tabl. IIa i b), że prawie trzecia część, a w roku 1900 nawet przeszło 1/3 więźniów, dostawionych do naszych zakładów karnych—to dawni młodociani zbrodniarze, którzy w kryminale może się dopiero wykształcili w swoim »zawodzie«.

Ten ujemny wpływ więzienia na młode jednostki zrozumiały już dawno lepiej lub gorzej ustawodawstwa cywilizowanego świata, a między niemi już i austryacki kodeks karny — zanim jeszcze uchwalono ustawę z 24 maja 1885 — zdobył się na przepis § 270, stanowiący o ukaraniu nieletnich, zasądzonych według § 237 K. K., »zamknięciem w osobnym areszcie«,

Nie można zatem odmówić racyi tym, którzy wołają o domy przymusowej pracy i domy poprawy, bo prawdą jest, że więzienie—to nie jedyna broń społeczeństwa przeciwko burzycielom porządku publicznego, że więzienie winno być dopiero ostatecznym środkiem i to tylko na takich, których w inny sposób uleczyć już trudno, którym dla ochrony ładu i dobra publicznego musi się odebrać jedno z najdroższych praw człowieka: »wolność osobistą«!

Tutaj jednak nasuwa się inne pytanie: Czy domy przymusowej pracy i zakłady poprawcze będą zdolne same jedne zaradzić złemu? I tu znów zacznijmy od statystyki. W krajach koronnych Przedlitawii istnieje już cały szereg podobnych zakładów. I tak domy pracy przymusowej znajdują się w 1) Wiener-Neudorf z oddziałem poprawczym we Wiedniu V, 2) St. Martin bei Schwaz, 3) Pradze, 4) Pardubicach, 5) Bernie Morawskiem, 6) Igławie, 7) Mährisch-Schönberg, 8) Znaim, 9) Messendorf, 10) Lankowicach, 11) Lublanie i 12) Kostenblatt. Z tych 4 ostatnie mają oddziały poprawcze dla nieletnich, a w Igławie i Znaim istnieją osobne zakłady dla mężczyzn i dla kobiet. Obok wspomnianych czterech oddziałów poprawczych wraz z pią-

tym we Wiedniu V istnieją osobne domy poprawcze we Wiedniu w dzielnicy XIII, Eggenburgu, Ernstbrunn, Korneuburg, Weinzierl, Linzu, Grazu, Celowcu, Jagdberg bei Schlins (Vorarlberg), Opatowicach, Grulich, Bernie Mor., Neutitschein i Olbersdorf, z tych między innymi krajowe są w Eggenburgu (Austrya niższa), Opatowicach (Czechy), Neutitschein (Morawy), Bernie Mor. (tylko dla chłopców), Olbersdorf (Śląsk), Korneuburgu, Kostenblatt. Inne powstały dzięki inicyatywie rozmaitych związków, jak to wskazują same nazwy, mianowicie:

1) Knaben-Erziehungshaus des Wiener Schutzvereines zur Rettung verwahrloster Kinder in Wien (XIII/$_6$ St. Veitgasse 9), 2) Mädchen-Erziehungshaus des Wiener Schutzvereines zur Rettung verwahrloster Kinder in Ernstbrunn, 3) Franz Josef-Jugend-Asyl für verlassene Kinder und Minderjährige in Weinzierl, 4) Erziehungsanstall »Zum guten Hirten« der barmherzigen Schwestern vom heil. Kreuz in Linz, 5) Knaben-Erziehungs-Anstalt des Grazer Schutzvereines zur Rettung verwahrloster Jugend in Waltendorf, 6) Rettungssanstalt für gefallene, gefährdete und verwahrloste Mädchen in Graz, 7) Rettungsanstalt des Vereines zur Rettung sittlich verwahrloster Kinder im Lande Vorarlberg zu Jagdberg (gmina Schlins), tudzież wspomnieć należy jeszcze o istniejącym w Tryeście 8) Sale di lavoro per giovanetti abbandonati [1]. Wspomnieć należy, że w zakładach karnych w Pradze i Marburgu istnieją osobne oddziały dla nieletnich przestępców. W Galicyi istnieje prywatny zakład poprawczy dla dziewcząt w Łagiewnikach, inne zaś zakłady, jak w Bóbrku, Miejscu Piastowem i Oświęcimiu, mają raczej charakter wychowawczy.

Mając powyższy obraz przed oczyma, przypatrzmy się teraz wynikom, podanym nam przez statystykę. Przeglądając statystykę kryminalną Przedlitawii z dwudziestolecia 1881 do 1901, spostrzegamy do 1898 włącznie stały wzrost liczby nieletnich przestępców. I tak z 17·5% w r. 1881 podnosi się ich cyfra w dziesięć lat potem na 22·2%, aby w r. 1898 osięgnąć

[1] P. Dr. Johann Winkler: *Die Zwangsarbeits- und Besserungs-Anstalten in Oesterreich etc.* w *Stat. Monatschrift* N. F. IV 1899, str. 13 i nast., tudzież odnośne roczniki wyd. *Oester. Statist. Handbuch.*

prawie 25%, bo 24·9%. Trzy następne lata wykazują pewne wahania, bo w r. 1899 liczba nieletnich przestępców w krajach koronnych cofa się na 22·8%, w rok potem na 21·3%, aby w roku 1901 podnieść się znów nieco na 22·4%. Widzimy więc, że dopiero wahania ostatnich lat zdawałyby się wskazywać na pewną przełomową chwilę w Przedlitawii, utrudnioną bez wątpienia budżetem kryminalnym Galicyi i Bukowiny, gdzie do ostatnich czasów nie robiono nic jeszcze na tem polu. (P. tabl. III *A* i III *B*).

Widzimy zatem, że domy przymusowej pracy i zakłady poprawcze są niezbędnie potrzebne i mają głębokie uzasadnienie, że jednak z drugiej strony same jedne wystarczyć nie mogą, by złe pokonać i wy-

Liczba młodocianych przestępców w Przedlitawii w latach 1881—1901.

Tablica III A)

Rok	Ogólna liczba osób zasądzonych za zbrodnie	Z tego liczba młodoc. przestępców			Na 100 zasądzonych przypada młodocian. przestępc. %
		Od 11 do 14 roku	Od 14 do 20 roku	Razem	
1881	33.469	460	5.405	5.865	17·5
1882	32.092	525	5.258	5.783	18·0
1883	30.359	525	5.256	5.781	19·0
1884	30.592	579	5.538	6.117	19·9
1885	30.865	566	5.249	5.815	18·8
1886	29.706	546	5.287	5.833	19·6
1887	28.745	625	5.358	5.983	20·8
1888	28.112	593	5.241	5.834	20·8
1889	28.516	614	5.617	6.231	21·8
1890	29.090	578	6.001	6.579	22·6
1891	28.433	650	5.779	6.429	22·2
1892	30.867	803	6.238	7.041	22·8
1893	28.498	842	5.959	6.801	23·2
1894	30.133	826	6.378	7.204	23·9
1895	28.709	766	5.976	6.742	23·5
1896	28.898	818	5.945	6.763	23·4
1897	29.652	812	6.473	7.285	24·5
1898	34.449	1.026	7.569	8.595	24·9
1899	33.663	1.015	6.665	7.680	22·8
1900	33.547	1.032	6.128	7.160	21·3
1901	36.305	1.129	7.013	8.142	22·4

Małoletni przestępcy, zasądzeni przez sądy austryackie w latach 1900 i 1901, według rodzajów przestępstw.

Tablica III B)

Rodzaj przestępstwa	Na 10.000 mężczyzn względnie kobiet ludności cywilnej przypadało małoletnich zasądzonych							
	1900				1901			
	w wieku				w wieku			
	od 14 do 16 lat		od 16 do 20 lat		od 14 do 16 lat		od 16 do 20 lat	
	M.	K.	M.	K.	M.	K.	M.	K.
A) Zbrodnie.								
1. Obraza Majestatu i Członków Domu Cesarskiego.	0·02	.	0·16	0·04	0·04	.	0·15	0·01
2. Gwałtowne porwanie się lub niebezpieczne pogróżki względem osób rządowych w sprawach urzędowych	0·07	0·04	2·56	0·23	0·37	0·02	2·74	0·16
3. Złośliwe uszkodzenie cudzej własności	0·21	.	1·45	.	0·31	.	1·45	0·02
4. Wymuszenie	0·05	0·02	0·53	0·03	0·14	0·02	0·53	0·01
5. Zbrodnie przeciw religii . . .	0·0	.	0·11	0·01	0·04	.	0·14	.
6. Zbrodnia nierządu.	1·96	0·06	3·04	0·07	1·96	0·04	3·18	0·10
7. Morderstwo.	.	.	0·11	0·01	0·02	.	0·10	.
8. Dzieciobójstwo	.	.	.	0·11	.	.	.	0·11
9. Spędzenie płodu.	.	.	.	0·04	.	.	.	0·05
10. Porzucenie dziecka	.	.	.	0·04	.	.	.	0·02
11. Zabójstwo i ciężkie uszkodzeciała	1·11	0·04	6·79	0·16	1·13	.	8·39	0·14
12. Podpalenie	0·08	0·06	0·19	0·04	0·09	0·04	0·10	0·05
13. Kradzież i uczestnictwo w kradzieży	11·70	2·97	25·01	5·70	13·26	3·03	28·90	6·07
14. Sprzeniewierzenie	0·14	.	0·51	0·05	0·16	0·02	0·85	0·04
15. Rabunek	0·06	.	0·26	.	0·02	0·02	0·21	.
16. Oszustwo.	0·58	0·30	2·66	0·52	0·91	0·30	3·18	0·75
17. Oszczerstwo	0·04	0·04	0·07	0·07	0·12	0·04	0·14	0·12
B) Występki.								
1. Udaremnienie egzekucyi . . .	.	.	0·03	.	.	.	0·04	0·01
2. Kryda	.	.	0·01	.	.	0·02	.	.
Ogółem	0·86	0·15	3·35	0·45	0·84	0·30	4·50	0·41

korzenić. Trzeba widocznie innych jeszcze środków, pośród których wspomniane zakłady miałyby być jednem z najpoczestniejszych ogniw. By jednak można było to zagadnienie szczęśliwie rozwiązać, należy sięgnąć do przyczyn, do samych korzeni i zastanowić się nad tem, skąd w takiem dziecku rodzi się popęd do złego i zbrodni — i tu trzeba zaglądnąć bliżej do stosunków, wśród których te nieszczęsne jednostki przepędzają swoje dzieciństwo i swoją młodość.

Są to w znacznej części dzieci najbiedniejszej ludności, wychowane nieraz wśród największej nędzy. Takie dziecko, ledwie odłączone od piersi matki, zdane jest poprostu na łaskę losu, boć zwykle ojciec i matka muszą iść za zarobkiem, całymi dniami niema ich w domu, a dziecko chowa się samo. Dopóki rozchodzi się tylko o pielęgnowanie zdrowia i fizycznego rozwoju dziecka, póty skutek jest jeden: Silniejsze i zdrowsze dziecko przetrzyma i przetrwa to szczególniejszego rodzaju wychowanie ślepego losu, natomiast słabsze pada ofiarą, zwłaszcza, że wogóle organizm dziecka do piątego roku życia jest bardzo podatny wszelkiego rodzaju chorobom, na co statystyka dostarcza nam bardzo jaskrawych przykładów.

Co jednak dzieje się z podobnem dzieckiem, gdy los je oszczędził i żyć mu pozwolił? Z tą chwilą igraszką tego losu staje się już nie tylko jego fizyczne zdrowie, ale czystość jego duszy i serca, jego moralność i etyka. Dostępnem staje się ono dla wszelkiego rodzaju zepsucia, boć przecie niema nikogo, ktoby nad niem czuwał, chronił od wpływów ulicy, wpajał głębokie zasady religii i moralności — te podwaliny przyszłego życia. Dobrze jeszcze, jeżeli to dziecko rodzice posyłają do szkoły i jeżeli ojciec czy matka po pracy wracają do domu trzeźwi i moralni. Lecz takie wypadki to niemal rzadkość, bo nędza zwykła chodzić w parze z ruiną moralną. Nawet szkoła w tym wypadku sama wiele poradzić nie może, bo cóż z tego, że dziecko parę godzin przesiedzi w szkole, gdzie w dodatku często myśli tylko o psotach, jakieby mogło zrobić nauczycielowi, gdy wróciwszy do domu, przez resztę dnia zdane jest sobie samemu, a wieczór musi nieraz patrzeć na pijanego ojca lub na kłótnie rodziców. Ale i to jeszcze nie najgorsze. Straszna ruina

moralna staje się udziałem małego dziecka od pierwszych niemal zaczątków dopiero tam, gdzie sami rodzice wcale nie chcą myśleć o poważnym zarobku, lecz przywykli do publicznej dobroczynności lub co gorsza — do zdobywania sobie środków do życia, choćby przez zbrodnię, i uważają swe dziecko za przedmiot eksploatacyi, wysyłając je na żebry lub na kradzież. Początków późniejszych zbrodni, popełnianych przez nieletnich, należy szukać przedewszystkiem w nędzy, braku opieki i w zepsuciu, wśród jakich wyrośli, a potem w wadliwej organizacyi urządzeń socyalnych. I tutaj na pierwszy plan wysuwa się kwestya dobroczynności publicznej. Nie wystarczy, by w jakimś kraju czy gminie istniały instytucye dobroczynne, nie dość, by każdy, kto rękę wyciągnie, dostał zaopatrzenie w tej lub owej formie, lecz trzeba, aby podstawy, na których się opiera dobroczynność publiczna, były w całej pełni rozumne. Jałmużna nie powinna zdzierać z zaopatrzonego znamienia człowieczeństwa, dając mu trochę strawy, czy kilka groszy dlatego tylko, że do niej rękę wyciągnął. Rozumna jałmużna powinna trzymać się zasady *do, ut des* w jej dodatniem znaczeniu, t. zn. dostaniesz zaopatrzenie, ale tylko za odpowiednią pracę. Wyjątki są dopuszczalne tylko wobec takich jednostek, które z jakiejkolwiekbądź przyczyny są już do pracy niezdolne.

Widzimy zatem, że sama zbrodnia, spełniona przez małoletniego, jest już późniejszym i to bardzo ciężkim do poprawy objawem; przyczyny tkwią głębiej, a mianowicie w moralnem i materyalnem położeniu ludności, tudzież w organizacyi socyalnej społeczeństwa. Dlatego to w państwach zachodniej kultury myślano już oddawna nad tem, jakby można było w najlepszy sposób ogarnąć wszystkie powyższe momenta i reformy socyalne przeprowadzić w całości, nie zadowalniając się bynajmniej cząstkami i półśrodkami. Najświetniejszym przykładem świeci pod tym względem Anglia, gdzie:

1) już za czasów królowej Elżbiety pomyślano o gruntownej organizacyi kwestyi ubogich;

2) założono domy przymusowej pracy i domy poprawy;

3) wprowadzono opiekę nad dziećmi, pozbawionemi jużto

wszelkiej, jużteż należytej opieki, w zakładach najrozmaitszych systemów, żeby tylko wymienić kilka, jak »Boarding-ont«, »Mettray« lub »Cottage«;

4) dla dzieci poniżej lat 14 względnie 12, przyłapanych na włóczęgostwie względnie na karygodnym czynie, lub dla dzieci, oddanych dla poprawy przez własnych rodziców albo opiekunów, założono osobne t. zw. »Industrial-Schools«, wreszcie

5) celem zapobieżenia często całkiem niezawinionej nędzy, zwłaszcza wśród klas robotniczych, pomyślano wcześnie o wprowadzeniu takich instytucyi, jak ubezpieczenie na starość, od wypadku lub od choroby, przy czem dzielnie pomagały wyszłe z łona tych klas silne organizacye robotnicze, tudzież

6) zorganizowano pośrednictwo pracy.

Nie stało się to oczywiście naraz, ewolucya przebywała różne stopnie i aby dojść do dzisiejszego stanu, potrzebowała nieraz długich lat dziesiątek, ponieważ jednak była w niej pewna myśl przewodnia, rozumiana przez ogół i ponieważ do jej urzeczywistnienia dążono z całą świadomością, przeto dziś Anglia może się poszczycić tem, że jest jedynym krajem w Europie, w którym liczba nieletnich przestępców wykazuje bardzo znaczną zniżkę, bo kiedy w r. 1869 liczba nieletnich przestępców, zasądzonych przez angielskie sądy, wynosiła 10.314, to w r. 1891 spadła ona na 3.855, t. zn. przeszło o 60%![1]

Z tego, cośmy wyżej mówili, wynika, że akcya ratowania nieletnich przed występkiem winna pójść w dwu kierunkach. Z jednej strony koniecznie trzeba ratować tych, co już raz zbłądzili, przed dalszymi występkami, z drugiej zaś przystąpić co rychlej do zorganizowania ochrony niezepsutej jeszcze dziatwy przed moralnym upadkiem. Pytanie teraz powstaje, jak te dwie równoległe akcye mają postępować, kto ma w nich współdziałać i niemi kierować?

O ile rozchodzi się o podanie ręki upadłym już jed-

[1] P. dr. Alois Zucker *Über die Behandlung der verbrecherischen und arg verwahrlosten Jugend in Oesterreich* Wien 1894, tudzież dr. Adolf Lenz *Die Zwangserziehung in Egland* Stuttgart 1894. P. także rozprawkę d-ra Lisiewicza, wyd. we Lwowie.

nostkom, to pomoc musi się przedewszystkiem zwrócić w tym kierunku, aby ich nie posyłać zaraz w zaraniu życia do więzienia i pod tym względem zakłady i kolonie poprawcze, tudzież domy przymusowej pracy mogą oddać bardzo wielkie usługi. Może nas o tem przekonać zamieszczona niżej tablica IV.

Widzimy z niej, że w latach 1897, 1899 i 1900 największego kontyngentu dla zakładów poprawczych w Przedlitawii dostarczały dzieci poniżej lat 14, że z wiekiem ta liczba maleje, natomiast wzrasta cyfra oddanych do domów przymusowej pracy. W ostatnim kierunku uderza ten niezmiernie ciekawy szczegół, że w powyższych latach przytrzymano w domach pracy najwięcej osób między 30 a 50 rokiem życia, co dowodzi, że więzienie jest w wielu wypadkach nieodpowiednie nie tylko dla małoletnich, lecz nawet dla osób w sile wieku, które z wło-

Tablica IV.

Liczba i wiek osób, dostawionych do domów pracy przymusowej i zakładów poprawczych Przedlitawii w latach 1897, 1899 i 1900 według »Stat. Jahrbuch der autonomen Landesverwaltung« t. I i IV.

Rodzaj zakładów	Liczba przytrzymanych				W ciągu roku dostawiono do zakładu osób w wieku															
	1897		1899		1900		do lat 14		od 14—18 lat		od 18—20 lat		od 18—24 lat		od 24—30 lat		od 30—50 lat		ponad 50 lat	
	1 stycznia	31 grudnia	1 stycznia	31 grudnia	1 stycznia	31 grudnia	1897	1899	1897	1899	1897	1899	1897	1899	1897	1899	1897	1899	1897	1899
Domy pracy przymusowej	2.690	2.715	2.702	2.655	2.652	2.700							331	341	329	322	396	840	105	175
Zakłady poprawcze	1.402	1.514	2.036	2.158	2.108	2.178	354	520	265	287	342	15	15	29						

Przyczyny, z powodu których przytrzymano w latach 1897, 1899 i 1900 podaną ilość osób w domach przymusowej pracy i zakładach poprawczych Przedlitawii według »Stat. Jahrbuch der autonomen Landesvervaltung« t. I i IV.

Tablica V.

Rodzaj zakładów	Płeć	Było z końcem roku 1897, 1899 i 1900 przytrzymanych z powodu																						Przytrzymano						Dostawionych, jako recydywistów, było z końcem roku		
		włóczęgostwa			żebractwa			włóczęgostwa i żebractwa			wstrętu do pracy			zarobkowego nierządu			przełamania nadzoru policyjnego			z kilku przyczyn			na zarządzenie sądu i władzy bezpieczeństwa			na prośbę prawnych zastępców					
		1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900	1897	1899	1900
Domy pracy przymusowej	Mężcz.	534	594	470	109	97	96	460	517	563	45	15	24	.	.	.	59	21	35	64	108	92	.	.	.	.	.	.	8	11	14
	Kobiet	124	116	137	9	7	7	20	21	23	11	10	8	28	28	25	9	6	8	39	62	72	.	.	.	.	.	.	26	14	15
	Razem	658	710	607	118	104	103	480	538	586	56	25	32	28	28	25	68	27	43	103	170	164	.	.	.	.	.	.	34	25	29
Zakłady poprawcze	Mężcz.	84	58	45	3	6	4	15	13	12	3	.	.	.	.	.	1	.	1	3	10	15	86	144	155	293	381	385	2	9	11
	Kobiet	27	19	13	1	2	.	6	1	1	4	.	.	5	4	1	.	.	.	4	8	23	15	26	14	39	119	110	1	.	4
	Razem	111	77	58	4	8	4	21	14	13	7	.	.	5	4	1	1	.	4	7	18	38	101	170	169	332	500	495	3	9	15

częgostwa i próżniactwa można leczyć w podobnych zakładach, a nie w kryminale. Poparcia na to dostarcza zamieszczona wyżej tablica V, gdyż wynika z niej jasno, że włóczęgostwo i żebractwo stanowiły w latach 1897, 1899 i 1900 główną przyczynę zamykania w domach przymusowej pracy i w zakładach poprawczych.

Nie można również pominąć tego ciekawego zjawiska, że liczba takich, których powtórnie oddano do domów pracy przymusowej i zakładów poprawczych Przedlitawii, jest stosunkowo bardzo mała. Jeżeli mianowicie przyjmiemy liczbę przytrzymanych osób z końcem każdego roku za 100, to cyfra dostawionych recydywistów przedstawi się w następujący sposób:

Rodzaj zakładu	Recydywistów w roku		
	1897	1899	1900
Domy pracy przymusowej.	1·25	0·94	1·07
Zakłady poprawcze.	0·2	0·42	0·69

Powyższe cyfry mogłyby świadczyć o zbawiennym wpływie wspomnianych zakładów, nie wiemy jednak, ile osób, wypuszczonych z tych zakładów, popadło w takie występki, że poszły już do więzienia. Ponieważ jednak takich dat nie mamy, przeto nie możemy — choć z żalem — z małej cyfry recydywistów wyciągać dalszych wniosków, lecz musimy poprzestać tylko na jej podkreśleniu.

Nie ulega przeto wątpliwości, że domy przymusowej pracy i zakłady poprawcze są u nas konieczne, pytanie jednak, czy mają mieć one charakter publiczny czy prywatny?

Wspomniane zakłady mają służyć dla jednostek, które już raz weszły na złą drogę i z małymi wyjątkami miały do czynienia z władzami, czuwającemi nad porządkiem publicznym. Z tą chwilą zatem, kiedy w grę wchodzi interes publiczny, charakter wszelkich możliwych środków represyjnych, zmierzających do

utrzymania jego powagi i całości, jest już niejako z góry rozstrzygnięty i dlatego też austryacka ustawa z 24 maja 1885 r. L. 90 Dz. u. p. opiera się na zasadzie publicznych, a nie prywatnych zakładów. Jednak w Galicyi niema dotąd jeszcze nawet ustawy krajowej o domach przymusowej pracy i zakładach poprawczych, choć od wydania ustawy państwowej 20 lat już minęło, zato jednak mamy całą już historyę wniosków Sejmu i projektów Wydziału krajowego. Co jednak jest niezmiernie charakterystyczne dla naszych stosunków, to szczegół, że w Zbiorze ustaw Pillera na stronie 368 znajdujemy stary dekret kancelaryi nadwornej z 3 listopada 1786 r. normujący obowiązek i sposób zaopatrzenia ubogich przez gminy galicyjskie. Otóż w tym dekrecie czytamy: «A ponieważ w kraju niema jeszcze domów przymusowej pracy« i t. d. Tak jest, blizko 120 lat mija od tego czasu, a my, niestety, musimy dziś stwierdzić wraz z autorem owego dekretu, że »w Galicyi niema jeszcze domów przymusowej pracy« ani zakładów poprawczych. Smutne ale prawdziwe!

Cała akcya powinna przeto w pierwszej linii skierować się ku uzyskaniu od Sejmu ustawy o domach pracy i poprawy i wprowadzeniu tej ustawy możliwie najszybciej w życie. Nadarza się zaś ku temu bardzo szczęśliwa sposobność z powodu wniosku posła Maryewskiego, złożonego do laski marszałkowskiej 8 października 1904 w następującem brzmieniu:

Wysoki Sejm raczy uchwalić:

I Sejm królestwa Galicyi i Lodomeryi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem upoważnia Wydział krajowy:

1. Do założenia dwóch domów przymusowej pracy dla włóczęgów powyżej lat 18,
2. do założenia kolonii poprawczej dla nieletnich przestępców poniżej lat 18,
3. do użycia na pokrycie wydatków funduszu policyi krajowej,
4. do zaciągnięcia pożyczki w Banku krajowym, potrzebnej

dla uzupełnienia wydatków, w nie wyższej jednak kwocie, jak 400.000 K., spłacalnej w ciągu lat.....

II Sejm poleci Wydziałowi krajowemu, aby sporządził:
a) plany i kosztorysy wznieść się mających budynków,
b) kosztorysy na ich wewnętrzne urządzenie i całe wyekwipowanie zakładów,
c) projekt etatu dla przyszłej administracyi zakładów.

III Sejm poleci Wydziałowi krajowemu, aby rozpoczęte już rokowania z c. k. Rządem, co do wysokości przyczynienia się Skarbu Państwa do kosztów założenia zakładów, starał się do rezultatu doprowadzić.

IV Z wykonania powyższych czynności zda Wydział krajowy sprawę Sejmowi najbliższej sesyi.

We dwa dni potem odbyło się pierwsze czytanie powyższego wniosku, zakończone przekazaniem go komisyi administracyjnej, która przyszła przed pełną Izbę z korzystnymi wnioskami. To też dnia 31 października 1904 na 21 posiedzeniu II sesyi VIII peryodu zapadły następujące uchwały Sejmu krajowego:

1) Wniosek posła Maryewskiego odstępuje się Wydziałowi krajowemu do zbadania i postawienia wniosków.

2) Wydział krajowy w swem przedstawieniu zechce się obracać możliwie w tych ramach, aby koszt założenia zakładu nie przenosił sumy krajowego funduszu policyjnego, który na ten cel ma być przeznaczony, dalej 40% dotacyi Rządu, jako też pożyczki hipotecznej, do połowy wartości projektowanego zakładu zaciągnąć się mającej.

3) Wydział krajowy w pierwszym rzędzie przedłoży plany na zakład kolonii poprawczej dla małoletnich przestępców.

Ponieważ jednak dotychczas podobne uchwały sejmowe i projekty Wydziału krajowego nie wyszły poza ramy sprawozdań i planów, przeto należałoby się spodziewać, że nareszcie tym razem nasz kraj będzie się starał dorównać innym krajom koronnym w stworzeniu zakładów o tak doniosłem znaczeniu socyalnem, jak domy przymusowej pracy i zakłady poprawcze. Co się tyczy kosztów założenia, to nie od rzeczy będzie zaznaczyć, że możeby się znalazły sposoby ich zmniejszenia przez odpowiednie

dostosowanie istniejących już dzisiaj zakładów czy budynków, które przeznaczone na inny cel, często stoją bez użytku, jak n. p. zakład kontumacyjny w Prądniku Białym pod Krakowem. O ile się zaś rozchodzi o koszta utrzymania, to niech wolno będzie zwrócić uwagę na to, że poważne źródła możnaby znaleźć przez odpowiednie zorganizowanie funduszów ubogich, wymagających dzisiaj gwałtownie reformy i przez uzyskanie zmiany odnośnych przepisów o szupaśnictwie w związku z postanowieniami o prawie swojszczyzny. Zwłaszcza ten punkt ostatni dotyczy nie tylko już samej Galicyi, lecz wogóle wszystkich krajów koronnych, bo wskutek znanej aż zbyt dobrze wadliwości odnośnych ustaw wyrzuca się rok rocznie wielkie sumy po prostu na darmo, bo nie uzyskuje się przez to ani prawnego ani socyalnego celu, a nawet przeciwnie otwiera się zbyt często wrota więzień dla istot, których całą winą nieraz jest nędza materyalna i moralna najbliższego ich otoczenia. Tu inicyatywa prywatna i powstałe za jej wpływem instytucye mogą oddać poważne usługi, lecz tylko jako pomoc ze strony społeczeństwa, gdyż główne zadanie musi tu przypaść publicznym związkom i publicznym zakładom. Walka ze złem i ratunek upadłych jednostek mogą w tym wypadku wtedy tylko rokować powodzenie, jeżeli będą miały zapewnioną silną egzekutywę i energiczną pomoc władz publicznych, powołanych do czuwania nad porządkiem publicznym. Podobna akcya, zdana wyłącznie na dobrą wolę prywatnych jednostek, będzie zawsze chromać na ten wielki brak, że nie będzie mogła rozporządzać prawem przymusowego ogarniania upadłych jednostek, a powtóre doświadczenie nas uczy, że w podobnych instytucyach zwykle nie domaga strona administracyjna. Dowód na to mamy blizko, bo u nas w Galicyi. Autor znanej książki o koloniach poprawczych, p. Serkowski [1], pisząc o jednym (niemal jedynym) z prywatnych poprawczych zakładów w naszym kraju, stwierdza z żalem, że nie mógł otrzymać tam informacyi, któreby były w stanie

[1] »Studya w sprawie przymusowego wychowania zaniedbanej młodzieży«. Lwów 1904.

rzucić dostateczne światło na skuteczność zorganizowanej w tymże zakładzie opieki i to, co nam podaje w swem dziełku, dotyczy prawie wyłącznie życia korrygentek, a nie tego, jak zakład na nie działa. Piszący te słowa na przesłany do zarządu tego samego zakładu kwestyonaryusz i list z prośbą nawet nie otrzymał odpowiedzi. W ten sposób nie już kontrola publiczna, ale usprawiedliwione pragnienie dowiedzenia się czegoś o wpływie podobnych zakładów i skuteczności stosowanych w nich środków napotyka na bardzo poważne przeszkody, spowodowane najczęściej brakiem odpowiednich wykazów i zapisków.

Inaczej jednak rzecz się przedstawia w drugiej części akcyi, o której mówiliśmy wyżej. Tam, gdzie się rozchodzi dopiero o zapobieganie złemu, o ratowanie uczciwych i moralnych jeszcze jednostek przed upadkiem i zbrodnią, tam w pierwszym rzędzie musi działać samo społeczeństwo, akcya zaś publicznych związków winna zejść do rzędu pomocy i wspierania prywatnych usiłowań tak jednostek, jak i odnośnych instytucyi. Tam, gdzie trzeba zejść często do samego siedliska ludziej nędzy, poznać jej istotę i przyczyny, napatrzyć się łzom i zboczeniom, jakie wywołuje, a to wszystko po to, by ratować nietkniętych jeszcze, tam kończy się akcya władz i państwa, jako czynnika pierwszorzędnego znaczenia, bo po prostu nie mogą one w znacznej części wypadków nic pomódz. Wiemy, do jakich wypaczonych form i postanowień doprowadzała w praktyce zbyt ściśle stósowana teorya omnipotencyi państwa i jak dzięki temu najtypowsi jej przedstawiciele musieli nieraz już za swego życia widzieć i rozumieć, że z nimi znikną i wydane przez nich przepisy, bo państwo nie rozporządza środkami uszczęśliwiania wszystkiego i wszystkich. Wytłumaczy nam to zresztą typowy przykład, od którego zaczniemy też w ogólnych zarysach obraz drugiej części akcyi, mającej charakter prewencyjny.

Chcę mówić o opiece. Ustawa cywilna stoi na tem słusznem stanowisku, że objęcie opieki jest jednym z pierwszorzędnych obowiązków obywatelskich i dlatego z wyjątkami, wyraźnie w tekście wymienionymi, wprowadza przymus objęcia opieki (§§ 200 i 203 K. cyw. i § 19 pat. z 9. VII. 1854 r. L. 208).

I słusznie, bo tu się rozchodzi o bardzo doniosłe rzeczy: o wychowanie istot, pozbawionych opieki rodzicielskiej! Ważność tego obowiązku podnosi w bardzo wymowny sposób ślubowanie, do złożenia którego zobowiązany jest każdy opiekun po myśli § 205 kod. cyw., «dass er den Minderjährigen zur Rechtschaffenheit, Gottesfurcht und Tugend anführen, dass er ihn dem Stande gemäss als einen brauchbaren Bürger erziehen, vor Gericht und ausser demselben vertreten, das Vermögen getreulich und emsig verwalten und sich in allem nach Vorschrift der Gesetze verhalten wolle«. Zdawaćby się zatem mogło, że tak jasne i pełne siły przepisy ustawy wystarczą, a tymczasem z ust bardzo poważnych sędziów i adwokatów słyszy się powszechnie jedną tylko skargę, że u nas o opiekuna trudno, że każdy się ociąga, jak tylko może, a zmuszony wreszcie przez sąd do objęcia opieki, sprawuje ją naprawdę, jako znienawidzony przez siebie ciężar, co zwykle kończy się na tem, że dziecko ma opiekuna tylko na papierze. Ten smutny objaw musi być w Austryi dość powszechny, skoro rząd w ostatnich latach wydał cały szereg rozporządzeń i wskazówek dla sądów. Lecz wszelkie okólniki i pisma na nic się nie zdadzą, jeżeli, jak to zaznaczył obecny kierownik ministerstwa sprawiedliwości, J. E. Klein, na jednem z posiedzeń parlamentu[1], samo społeczeństwo nie zrozumie tych doniosłych i pierwszorzędnych obowiązków społecznych, jakie ciążą na niem w myśl przykazań Bożych i praw ludzkich! Lecz w akcyi, o której piszemy, rozchodziłoby się jeszcze o drugi rodzaj opieki nad dziećmi. Tamtej, o której mówiliśmy wyżej, potrzebują ci, którym nie stało rodziców, ale również niezbędnymi stają się nadzór i pomoc dla dzieci, żyjących wprawdzie w domu rodzicielskim, ale bez opieki, a często nawet w zepsuciu, gdyż z nich wyrastają przyszli zbrodniarze. Tak zatem konieczną okazuje się w łonie społeczeństwa organizacya w kierunku dostarczania odpowiednich i chętnych opiekunów, tudzież tworzenia ochron lub innych pokrewnych instytucyi dla ratowania dzieci od upadku i zbrodni. Tutaj prywatnej inicyatywie i dobrej

[1] D. 22 maja 1902 r.

woli otwiera się szerokie pole do działania i zasługi. W ten sposób z jednej strony samo społeczeństwo pospieszyłoby z ratunkiem opuszczonym i dopomogłoby władzom do spełnienia obowiązków, nałożonych na nie przez ustawy, z drugiej zaś strony związki publiczne i władze byłyby w stanie w niejednem poprzeć usiłowania prywatne i w ten sposób powstaćby mogła harmonia i zgodność działania, rokująca jak najpiękniejsze nadzieje.

Wreszcie pozostawałaby jeszcze jedna grupa zadań, którąby mogła i powinna p o ś r e d n i o wywrzeć również bardzo korzystny wpływ na całą działalność, dążącą do zmniejszenia liczby zbrodni pośród nieletnich, a mianowicie k w e s t y a u b o g i c h i p o ś r e d n i c t w o p r a c y. Wspominaliśmy już poprzednio o tem, że o wiele lepszym jest nawet brak wszelkiej dobroczynności publicznej, aniżeli źle i nierozumnie zorganizowane rozdawnictwo jałmużny, będące tylko rozsadnikiem demoralizacyi i próżniactwa. Jak najściślej z tem się łączy pośrednictwo pracy, bo łatwo powiedzieć: »Idź pracować«, kiedy żebrzący nie może tej pracy dostać. Bez zorganizowanego pośrednictwa możnaby lepsze jednostki dopiero moralnie pogrążyć, a zdecydowanym już próżniakom i włóczęgom dać do ręki wygodny wykręt, że pracy niema, choć może za nią wcale nie szukali. Jest to typowy przykład, na którym można doskonale widzieć, jak to zagadnienia socyalne łączą się z sobą w nierozerwalną, jednolitą całość. I tu znów walne zadanie przypaść powinno w udziale przedewszystkiem związkom publicznym. Pod ich kierunkiem i kontrolą zorganizowana dobroczynność publiczna w połączeniu z domami pracy i urzędami pośrednictwa pracy, pozostająca w ciągłem zetknięciu z pomagającą jej dobroczynnością prywatną, by jedna ręka wiedziała, co druga dała, może wykorzenić zawodowe żebractwo, gdyż uczciwym da kawałek chleba do ręki, zdeprawowanych zaś próżniaków najpierw zmusi do pracy, a dopiero opornych i niepoprawnych odda w ręce karzącej sprawiedliwości. Wtedy dla zepsutych rodziców ich żebracka karyera przestałaby być już aż tak ponętną, by do niej swe dzieci zaprawiać. A jeżeliby w dodatku zdołano tym dzieciom przyjść z realną pomocą i nie tylko uratować od moralnej zagłady, lecz nadto skierować na drogę cnoty i uczciwości, wte-

dyby się zaczęła także zmniejszać liczba zbrodni pośród nieletnich. Jeszcze raz jednak trzeba z całym naciskiem podnieść, że tylko wtedy można się spodziewać rzeczywistego i trwałego polepszenia w powyższym kierunku, jeżeli akcya, podjęta *viribus unitis,* obejmie całą istotę kwestyi nieletnich zbrodniarzy i nie zadowalniając się tylko doraźnem leczeniem poszczególnych objawów, sięgnie do samych korzeni, by z ich usunięciem umocnić to swe zbożne dzieło. Do tego jednak niezbędną jest równoległa i zgodna działalność wszystkich chętnych i powołanych do tej pracy. Społeczeństwo już się u nas odezwało i poczęło działać, teraz kolej na inne czynniki, od których słusznie wszyscy wyczekują, że wyjdą obecnie poza ramy projektów i niewykonywanych uchwał. Czas już najwyższy o ratunku pomyśleć, bo coraz więcej młodzieży pada ofiarą występku, a przecie już Kochanowski zostawił nam głęboką przestrogę i naukę, że

»... jako sobie z młodu ulubują,
Tak potem także cały świat budują«.

Dr. Kazimierz Władysław Kumaniecki.

POD DZISIEJSZĄ APOLOGETYKĘ.

LIBERALNY KATOLICYZM.

Ciąg dalszy.

Cios wymierzony był dobrze. W obozie akatolickim wywołał Syllabus nieopisaną wrzawę, która do dziś dnia uspokoić się nie może[1]. »Kościół zrywa z współczesną kulturą; Pius IX targa się na podstawy politycznego porządku i naukowego życia, chce zniszczyć cały postęp duchowy nowych czasów, a wtłoczyć świat w formy średniowiecza« — tak wołali i mężowie stanu i reprezentanci nauki i najgłośniej ze wszystkich dziennikarze. Byli i tacy, co chcieli Boga bronić przed Syllabusem[2]. U katolików — w obozie reprezentowanym przez *Civiltà cattolica*, *Monde* (zastępujący jako tako skasowanego *Univers'a*) *Dublin Review*, *Historisch-politische Blätter*, *Katholik* i t. d. radość panowała niezmierna; »libe-

[1] Owszem w tej chwili kwestya Syllabusa bardziej niż kiedykolwiek jest na porządku dziennym tak u katolików jak u protestantów. O głosach katolickich wspomnimy niżej; z nowszych dzieł protestanckich wystarczy wymienić tchnące całą nienawiścią renegata dziełko *Der Syllabus*. Hoensbroech. München 1904, i spokojniejszą, ale zasadniczo wrogą dla Kościoła książkę: *Der Ultramontanismus als Weltanschauung auf Grund des Syllabus*. L. K. Goetz. Bonn 1905.

[2] »Monsieur Henri de Lacretelle en pleine chambre des députés... le 7 avril 1876 poussa cette interruption superbement sotte: *Nous défendons Dieu contre le Syllabus*. Petitalot l. c. x.

ralni« usposobieni byli rozmaicie. W Angli zawieszono wydawnictwo *Home and Foreign*, w jego stronnictwie wszelako wrzało głębokie niezadowolenie; Newman był spokojny, ale hamował wybuchy radości Ward'a i upominał, by »struny zasad nie naprężać za silnie«. W duszy Döllinger'a coraz czarniejsze chmury zwiastowały przyszłą burzę. We Francyi — Lacordaire już nie żył i szczęściem może, bo *libéral impénitent*, jak sam mówił o sobie, byłby przeszedł z pewnością walki nie małe. Dupanloup natychmiast po encyklice puszczał w świat gorące pismo *La convention du 15 septembre et l'encyclique du 8 décembre*, gdzie obok wymownej apologii świeckiej władzy papieża, udowadniał z zapałem, że wcale potępionem nie zostało *ce qu'il peut y avoir de vraiment libéral et chretien dans le libéralisme*[1]. *Correspondant*, o którego zawieszeniu seryo myślano przez chwilę, uderzył w tę samą strunę. Montalembert pisał piękne słowa, że »się czuję dobrze i sprawiedliwie dotkniętym, że nic mu nie pozostaje, jak poddać się bez restrykcyi, bez wymówek, bez subtelnych rozróżnień«[2]. Poddawał się jednak nie bez bólu, nie bez ciężkich walk wewnętrznych, których gorycz, spotęgowana wpływem bolesnej choroby, wezbrać miała gwałtownie w opozycyi do watykańskiego soboru.

Bo w rzeczy samej papież nie poprzestał na Syllabusie[3]. Im głośniej wołano z obozu liberalnych, że centralizacya rzymska, że repressya doktrynalna szkodzi tylko i rany rozjątrza, tem bardziej utwierdzał się w myśli, że wobec nawału błędów uderzających o podwaliny i naturalnego i nadprzyrodzonego porządku, wskazanem jest wyraźnie oświecić i wzmocnić Kościół tak potę-

---

[1] Wyd. 6, 1865, str. 115 i n.

[2] List do ks. Besson z dnia 21 stycznia 1865. Por. *Études* l. c. str. 789. Sądził wprawdzie Montalembert, że żadne zdanie Syllabusa nie odnosi się wprost do jego kierunku, ale w tem się mylił, bo i encyklika *Quanta cura* i zdania, zwłaszcza 55, 77, 79 potępiały to właśnie, co głosił lub powinien był przyjąć w konsekwencyach jego polityczno-kościelny liberalizm katolicki.

[3] O ile historycznie da się stwierdzić po raz pierwszy na dwa dni przed wydaniem encykliki *Quanta cura* wyjawił Pius IX zamiar zwołania soboru. Powierzył wtedy tę myśl swoją kardynałom z Kongr. św. Obrz. jako »dawno już powziętą«.

żnym środkiem, jakim jest sobór powszechny i pozytywnie uzupełnić, co bardziej negatywnie rozpoczął Syllabus. W r. 1867, zebranym licznie na 1800 letnią rocznicę męczeństwa apostołów, biskupom oznajmił Pius IX swój zamiar; bulla *Aeterni Patris*, wydana w rok później, na otwarcie soboru wyznaczała dzień 8 grudnia 1869 r. Czy ogłoszenie dogmatu nieomylności wtedy już wchodziło w plany papieża, napewno stwierdzić się nie da; faktem jest, że pierwsza w tej mierze propozycya wyszła z łona kardynałów najpierw, potem biskupów zapytanych o zdanie co do przedmiotu obrad soborowych; faktem też jest, że Pius IX ani przed soborem, ani podczas jego trwania żadnej pressyi w tym kierunku nie wywierał [1]. Nie można więc było zgoła przewidzieć, czy sobór zajmie się kwestyą nieomylności, a tem mniej czy ją dogmatycznie rozstrzygnie. Pomimo to sama myśl, samo przeczucie, że może coś podobnego nastąpić, jak iskra elektryczna przebiegło katolickie społeczeństwo i gdziekolwiek dotarło, w jednej chwili sprawiało rozdział na dwa stronnictwa. Mniejszości — bo odrazu widocznem było po czyjej stronie przewaga, przybywał sprzymierzeniec, zasadami całkiem różny, pokrewny jedynie duchem opozycyi do Rzymu, stary, zdawać się mogło, że już doszczętnie złamany, a jednak żywy jeszcze w różnych swych gałęziach, gallikanizm [2].

[1] Jest to jeden z tendencyjnych fałszów historycznych, jakie za Friedrich'em powtarzają autorowie i to nie wyłącznie protestanccy, że Pius IX zwołując sobór, tylko określenie nieomylności miał na celu, że ku temu wszystko kierował i parł całą siłą zebranych biskupów. Por. całkiem świeżo płaski, a złośliwy artykuł J. Müller'a: *Renaissance* H. 1—3, 1905.

[2] Ks. Weiss (*i inni np. Gruber: Kirchenlexikon* wyd. 2, t. VII) upatruje powinowactwo duchowe między tem, co nazywa *Reformkatholizismus älterer* i *jüngerer Ordnung* czyli między febroniańsko-racyonalistycznym kierunkiem takiego Wessenberga a liberalnym katolicyzmem dnia dzisiejszego. Nam się wydaje, że liberalny katolicyzm, którego fazy przechodzimy, duchem całym i podstawami swojemi zgoła jest różny od dawnych gallikańsko-jansenistyczno-racyonalistycznych mętów, z których ks. Weiss próbki podaje. Dlatego nie wciągamy bynajmniej w obraz liberalnych kierunków tych różnych a prędko zmarniałych zawiązków narodowych kościołów, jakie sprawili epigoni gallikanizmu, Chatel, Ronge, Czerski i t. d., ani nie wzmiankujemy o takich »reformatorach«, jak Pflanz, Fischer, A. Müller, F. Huber, Reichlin-Meldegg, Schreiber, Kuenzer, Ant. Theiner i t. d. Przyznać jednak trzeba, że

Gwałtowny, zgorzkniały opór partyi »liberalnej«, z różnych elementów złożonej, opór, który okrył niemałym cieniem najszlachetniejsze zresztą nazwiska i serca [1], podniecało uczucie, że walka daremna, że ogromną większość Kościoła objął i ciągnie za sobą prąd przeciwny, od lat 20 silnie popierany z Watykanu. Sobór już się był rozpoczął; mimo wszystkich burz zewnętrznych i wewnętrznych, powoli, wśród poważnych dyskussyi, ale jednostajnie zmierzał ku celowi przez większość wytkniętemu. W łonie liberalizmu wrzało. W braku lepszej broni padały jak grad najróżniejsze zarzuty, że sobór nie jest wolny, że tendencyjnie zorganizowany, że papież sam wszystkiem kieruje, opozycyę tłumi, a to stronnictwo tylko popiera, któremu nie szczędzono epitetów: kuryalizmu, bałwochwalstwa do Rzymu, ultramontanizmu, Jezuityzmu, służalstwa i innych. Nie wiele to pomogło. 24 kw. 1870 r. przechodziła na sesyi publicznej pełną jednomyślnością konstytucya »o wierze katolickiej«, zwrócona głównie przeciw racyonalizmowi i różnym pokrewnym błędom, a piętnująca przytem wyraźnie naukowy liberalizm niemiecki. 18 lipca na podobnej sesyi, przeciw dwom, 533 zebranych Ojców oświadczało swoje *placet* na konstytucyę »o Kościele Chrystusowym«, w skład której wchodziło określenie prymatu papieża i nieomylnego nau-

---

w praktycznych postulatach reformy schodzą się oba prądy bardzo blizko. »Diese Erscheinung — mówi ks. Weiss — beweist die Tatsache, dass für den, der nicht aus der Kirche hinaustreten, sich aber von der grossen Menge der Gläubigen absondern will, nur eine ganz bestimmte Zahl von Winkeln übrig ist. In diese muss er sich verkriechen, wie sich alle in die gleichen verkriechen mussten, die vor ihm von dem gleichen Geiste getrieben waren«. *Die religiöse Gefahr*, str. 317.

[1] Plamą nie była sama opozycya do definicyi nieomylności, ale gwałtowny ton pism, połączony z pewnym brakiem ufności w nadprzyrodzone siły Kościoła. Traktowano rzecz tak, jakby większość biskupów i papież nawet pchał Kościół ku błędowi i nieszczęściu. Nadto niezawodnie smutnym faktem pozostaną stosunki biskupów Dupanloup, Strossmayer'a i innych, jakoteż Montalembert'a z Döllingerem, nawet i wtedy utrzymywane, gdy monachijski profesor był już notorycznym autorem brzydkich i zuchwałych: *Janusschrift* i *Römische Briefe*. 7 listopada 1869 pisze do niego Montalembert: »Vous qui êtes incontestablement le premier homme de l'église d'Allemagne, comment pouvez vous décliner la mission de la défendre(!) et de la représenter(!) dans cette crise formidable?«

czycielskiego urzędu. Gallikanizm ponosił cios śmiertelny; liberalizm katolicki wszystkich odcieni, przez sam fakt zcentralizowania życia kościelnego około osoby papieża odnosił ciężką ranę. Nie dodano wprawdzie żadnego dekretu wprost wymierzonego przeciw polityczno-kościelnym zasadom Lamennais'go, Rosmini'ego lub Montalembert'a, ale da się z pewnością stwierdzić, że przyświecała Ojcom Watykańskim idea nakreślenia obrazu Kościoła w takiej formie, w jakiej wyklucza z gruntu liberalno-katolickie pojęcia o stosunku państwa do Kościoła i religii.

I uczuli to dobrze liberalni katolicy, że sobór silnie pokrzyżował ich plany i ich zasady podkopał. Część odpadała od Kościoła na korzyść protestantyzmu lub starokatolików, część poddawała się bez zastrzeżeń, część zmuszona była przycichnąć, bo Pius IX nie wahał się wcale często i głośno o ich stanowisku wyrażać sąd, którego sobór nie dopowiedział był wyraźnie. Gdy jeszcze po nim Leon XIII raz po raz, przedewszystkiem we wspaniałej encyklice *Immortale Dei* te same upomnienia ponawiał, te same nauki rozwijał na szerszej zasadniczej podstawie, stało się wreszcie jasnem, że nie ma miejsca w Kościele dla liberalizmu katolickiego dawnego pokroju, że w zasadzie wszyscy katolicy dążyć powinni do osadzenia państwa i społeczeństwa całego na wyłącznie katolickich podstawach, że nie jest ideałem, ale co najwięcej faktem, który tolerować trzeba równouprawnienie prawdy i błędu, stan wolnego współzawodnictwa w bezwyznaniowem państwie religii katolickiej i innych religijnych lub antyreligijnych kierunków. W r. 1885 można już było napisać słowa: »Dziś już niema w łonie katolicyzmu szkoły liberalnej i szkoły ultramontańskiej [1].

Było to jednak prawdą tylko, co do liberalnego katolicyzmu dawnego typu. Po krótkiej przerwie miał on podnieść głowę w innej formie [2].

---

[1] Ks. M. Morawski. *Przegl. Powsz.* T. 7, str. 293.

[2] Od właściwych liberalno-katolickich dążeń nowego pokroju należy odróżnić kierunek, który często, a przez czyste nieporozumienie otrzymywał nazwę liberalizmu katolickiego. Mianowicie legitymistyczna partya we Francyi, Hiszpanii i Włoszech w szlachetnem przywiązaniu do dawnych dynastyi, błędnie identyfikując ich sprawę ze sprawą Kościoła, nazywała ‚liberałami'

Co prawda było to do przewidzenia.

Myśli i dążenia, które przedtem występowały na jaw w różnych odcieniach liberalnego katolicyzmu były zbyt żywotne, bo zbyt blizko spokrewnione z całym duchem XIX wieku, aby dały ujarzmić się odrazu. Jak korzenie ściętego, a żywego jeszcze drzewa w miejsce jednego pnia wypuszczają na wszystkie strony nowe pędy, tak ogólna idea liberalnego katolicyzmu w ciągu ostatnich lat 30 wystrzela ustawicznie nową jakąś myślą, nowem dążeniem. *Une agitation convulsive travaille la pensée contemporaine* pisał Brunetière [1] lat temu prawie 9 i to patrząc na jedną tylko stronę problemu. Od tej chwili stan rzeczy jeszcze się zaostrzył. W łonie myśli katolickiej, nieomal że na każdem polu jej działania czuć pracę rodzenia jakiejś nowej idei, owszem, nowego porządku; czuć, że coś się waży i pasuje z formami dawnego świata myśli, że jakiś nowy duch, który nie umie jeszcze wcielić się w określony system pojęć, z tych głębin, gdzie dusza ludzka więcej czuje niż myśli, stara się wydostać na wierzch, by popchnąć życie katolickie na nowe jakieś koleje. Wkracza raz po raz władza kościelna, raz po raz odrzuca ten lub ów konkretny wyraz, jaki sobie nowe dążenia znajdują, stara się usilnie skierować ich fale w dawne, prostolinijne, dokładnie uregulowane koryta myśli — pęd ku czemuś nowemu, uczucie, że bądź co bądź potrzeba koniecznie nowych form katolicyzmu, jak wezbrany strumień wszystkie tamy rozpiera, omija, przesadza, sączy się przez nie i płynie. Nie wiem, czy kiedykolwiek powtarzano tak często jak dzisiaj: *e pur si muove.*

---

najgorliwszych nawet katolików, o ile zgadzali się na obecną formę rządu a nie marzyli o wskrzeszeniu dawnej. Wiadomo, że Leon XIII tym rzekomym liberałom zupełną przyznał racyę i po kilka razy zaznaczył, że wcale nie myśli identyfikować sprawy katolicyzmu ze sprawą jednego politycznego stronnictwa. Że zaś legitymistycznym przekonaniom hołdowali przeważnie potomkowie przeciwników dawnego rzeczywistego liberalizmu katolickiego, posługując się przytem tymi samymi prawie organami (*Univers, Journal de Rome* i t. d.), gdy Leon XIII przeciw nim wystąpił, zdawać się mogło, że skłania się ku liberalizmowi, co, lubo często powtarzane, nie miało żadnej rzeczywistej podstawy.

[1] »Préface« à la traduction française du livre de A. Balfour *Les bases de la croyance.* Paris 1896, str. XVII.

Charakterystykę tych nowych kierunków spróbujemy podać, nie w historycznym porządku przechodząc pisarzy i ich dzieła, ale zestawiając idee tak, jak zdają się do siebie należeć mocą wewnętrznego, rzeczowego związku [1].

Czem dla dawniejszego liberalizmu katolickiego była idea wolności, tem dla dzisiejszego jest idea kultury, oświaty, nowoczesnego postępu. Jak dawniej żądano od Kościoła, aby się pojednał z wolnością tak dziś woła się daleko głośniej jeszcze, aby się pojednał z nowoczesną kulturą i dostroił się do »duszy współczesnej« tą nową kulturą przesiąkłej. Katolicy w XX wieku mają mieć jedno wielkie zadanie do spełnienia: pogodzenie katolicyzmu z oświatą dnia dzisiejszego [2]: praca nad tem dziełem ma być krucyatą najcudniejszą, jaką widziała kiedykolwiek historya [3];

---

[1] Pomijamy z umysłu ordynarny i płaski *Reformkatholizismus* w rodzaju tego, jaki uprawiają lub uprawiali Józef Müller (*Renaissance* i kilka pomniejszych dziełek, częściowo położonych na indeks), Klasen *(Das XX Jahrhundert),* Sickenberger (*Kritische Gedanken..., Falsche Reform?* i t. d.) Vogrinec *(Nostra maxima culpa),* Scheicher (głównie w *Korrespondenzblatt für den Klerus Oesterreichs* i w *Klerustag*) i t. d. i t. d. Również pomijamy tego rodzaju dowody formalnej nienawiści do Rzymu, jakie dali Wahrmund (por. *Renais.* 1902, zesz. 6, 7) lub *Spectator alter,* zdaje się katolik ze szkoły Klausa (*Die Krisis im Papstum.* Berlin 1904) i t. d. Obchodzi nas tylko ten główny prąd liberalnego katolicyzmu, który bądź co bądź zdaje się mieścić w sobie szlachetne pierwiastki obok wielu błędów. Dlatego też nie uwzględnimy, chyba o ile w nich się przebijają zasadnicze myśli całego kierunku, ani liberalizmu na polu filozofii chrześcijańskiej i złączonej z nią apologetyki (Blondel, Denis, Laberthonnière i t. d.), ani na polu ewolucyi dogmatów (Loisy, Lechartier i t. d.), ani na polu teologii moralnej, ani wreszcie w poszczególnych gałęziach teologii dogmatycznej. Te rzeczy, zwłaszcza ruch biblijny i apologetyczny, wymagałyby całego obszernego studyum.

[2] »Die bedeutsamste und wichtigste Aufgabe des XX Jahrhunderts muss die Beilegung des Konflikts der modernen Welt mit der katholischen Kirche bilden«. Ehrhard: *Der Katholizismus...* wyd. 4—8. Str. 339 i n.

[3] »Ich predige den neuzeitlichen Kreuzzug, den herrlichsten aller Kreuzzüge: um Kirche und Neuzeit innig zusammenzubringen: im Namen der Menschheit, im Namen Gottes! Die Kirche und die Neuzeit! Bringt sie zu lebendigem Gedankenaustausch! Ihre Herzen drängen zur Verständigung. Der Gott der Humanität wirkt in der neuzeitlichen Welt; der Gott der Offenbarung wirkt in der Kirche; in beiden ist es ein und derselbe Gott, der wirksam ist«. Ireland bei Schell *Die neue Zeit...* wyd. 1, str. 4.

jeśli Kościół zrozumie to swoje zadanie, czeka go niebywały, niesłychany tryumf, a przeciwnie zimny i apatyczny konserwatyzm grozi rozkładem i obumarciem [1].

Czegóż wymaga to wielkie dzieło zgody?

Wymaga wielu bardzo rzeczy; ich suma tworzy program liberalno-katolickich kierunków.

P r z e d e w s z y s t k i e m porzucić trzeba to przekonanie, że duch współczesny jest wytworem ciemności. Ani jeden z czynników, które głównie wpłynęły na to, co nazywamy współczesną kulturą, tak zaręczają nam z całem przeświadczeniem, nie stoi w zasadniczej sprzeczności do katolickiego Kościoła. Myśl współczesna ma tylko pozory pogańskie, w gruncie działa w niej duch Boży, lubo nie »Bóg objawienia«; owszem jest ona plonem chrześcijańskiego posiewu [1]. A więc precz z ciasnym i faryzejskim ekskluzywizmem, precz z wieczną kontrowersyą, z wysuwaniem naprzód tego co drażni, nie tego, co jednoczy; prawdziwy, Chrystusowy katolicyzm nie zna jednostronności i nietolerancyi, owocem jego musi być szlachetny »kommunionizm«, jaki przyświecał

---

[1] »Aujourd'hui la routine de l'ancien temps est fatale; aujourdhui les moyens ordinaires sentent la décrépitude de la vieillese; la crise demande du nouveau de l'extraordinaire et c'est à cette condition que l'Église enregistrera la plus grande de ses victoires dans le plus grand des siècles historiques«. Ireland. Por. Delassus: *L'américanisme...* str. 104.

»Der Conservatismus ist ein besonderer Name für Apathie — todtes Holz. Die Reaktion ist ein Traum von Menschen, die an Gräbern weinen, die sich doch nie mehr öffnen, aber die lebende Welt vergessen, die sie vorwärts drängt«. Id. bei Schell l. c. str. 5.

[2] »Grundverkehrt, aber sehr verbreitet in katholischen Kreisen ist jene Anschauung, welche in den Bestrebungen der Neuzeit und ihres Liberalismus eine Ausgeburt der Finsterniss sieht... und nur Anatheme gegen die Ideale der Neuzeit hat... Unser Zeitalter mag heidnisch erscheinen, wenn man an seine Redeweise und an das übertriebene in seinen Bestrebungen denkt; allein in seinem Wesensgrund ist es von christlichen Gesinnungen beseelt, die modernen Ideale sind nichts anderes als die reifgewordene Frucht der christlichen Aussaat... Genährt und durchdrungen von den Grundgedanken der christlichen Wahrheit hat sich die moderne Menschheit in Masse zum Streben nach mehr Licht und mehr Freiheit erhoben. Sie fordert einen volleren Gebrauch der Rechte, welche Gott ihr gegeben hat... Das System der Absonderung und Abschliessung ist wohl pharisaeisch, sogar ascetisch, aber nicht apostolisch« i t. d. Irel. l. c. str. 2, 3, 5, 29.

wielkiej duszy kard. Newman'a [1]. I w protestantyzmie nawet nie trzeba upatrywać tylko ducha buntu i negacyi, trzeba uznać, że i on może być źródłem prawdziwie religijnego życia, owszem, starać się wyzyskać dla Kościoła wcielone w protestantyzmie ideały [2]. A z drugiej strony trzeba wreszcie zerwać z systemem podziwiania, wynoszenia pod niebiosy wszystkiego, co katolickie. Trzeba powiedzieć sobie otwarcie, że Kościół bynajmniej nie urzeczywistnia w sobie swego ideału, że ma wiele braków, którymi słusznie zrażać się może myśl współczesna, że na wielu punktach, nie tylko pod względem materyalnego postępu, pozostał w tyle

---

»Von den fünf Grundfaktoren, auf die wir die Entstehung der modernen Kultur zurückgeführt haben (1. das Zurücktreten des massgebenden Einflusses der Kirche auf das Leben der christlichen Völker. 2. Das Wiederaufleben der heidnisch-klassischen Ideale. 3. Das Aufkommen neuer Geistesrichtungen, die zur Begründung der Geschichts- und Naturwissenschaft führten. 4. Das Hervortreten der nationalen Idee und ihr *Sieg über den Universalismus* des Mittelalters. 5. Der Subiectivismus und Individualismus) steht keiner in einem absoluten Gegensatze zur katholischen Kirche. Ehrhard l. c. str. 293.

[1] »Ein Hinderniss für den Fortschritt des Katholizismus ist die Vorliebe zur Kontrowerse, zur Hervorhebung und Behandlung der Unterscheidungslehren, die Neigung gerade das in der Religion am meisten hervorzukehren und zu pflegen, was die Protestanten und die Gebildeten abstösst«. »Der erhoffte Ausgleich wird nur durch allmähliches Wachstum der gemeinsamen Triebe und Gedanken vonstatten gehen, durch allmähliches Aufgeben trennender und verletzender Vorurteile, durch den wachsenden Kommunionismus, wie ihn Kardinal Newman erstrebte«. Schell: *Der Katholizismus als Prinzip des Fortschritts*, wyd. 7, str. 19, 97, »Der Katholizismus muss seine Vertreter über Einseitigkeit und Unduldsamkeit erheben... das Ideal des Katholizismus fordert von uns eine wahre, vollkommene Erhebung über alle Gegensätze und Einseitigkeiten« i t. d. l. c. str. 22, 23. »Seien wir ebenso *weitherzig und dadurch ebenso katholisch* wie Christus«. Ireland l. c. str. 3.

[2] »Der Protestantismus hat nun vom Wesen des Christentums genug für sich gerettet um auch zur Quelle echt religiösen Lebens zu werden«. Ehrhard l. c. str. 126. »Es ist nicht gut im Protestantismus nur das allmähliche Ausreifen des sündhaften Abfalls und des hochmüthigen Trotzes zu sehen... Jeder Abfall gelangt nur dadurch zur welt- und kirchengeschichtlicher Bedeutung, weil er auch berechtigte Ideale in ein Bündniss mit sich hineinzieht und dadurch bindet... Diese gebundenen Ideale gilt es aus ihrer zufälligen und widernatürlichen Bundesgenossenschaft zu befreien und damit wieder positiv wirksam zu machen«. Schell l. c. str. 17.

za kulturą naszych czasów[1]. Jeden z »reformistów«. inni wtórują mu delikatniej wprawdzie, ale usilnie, narzeka bez ogródki, że »stajnia Augiasza jest do oczyszczenia« w Kościele[2].

Aż dotąd oczywiście wstęp, przygotowanie gruntu pod zgodę: wyzbyć się uprzedzeń, korzystnych względem Kościoła, niekorzystnych względem dzisiejszej kultury. Cóż dalej? Dalej — zrozumieć trzeba, że Kościół coś musi poświęcić dla sprawy porozumienia z duchem wieku. Co poświęcić? Nic istotnego, tak zaręczają wszyscy, Kościół nie może i nie powinien wyzbywać się rzeczy, co do natury jego, do dogmatu, do konstytucyi całej koniecznie należą[3]. Jest jednak w katolicyzmie mnóstwo rzeczy,

---

[1] »Die Verhimmelung alles Kirchlichen in katholischen Kreisen ist in den letzten Jahren ganz krankhaft geworden; alles wird im rosigsten Licht dargestellt, nach den Schablonen einiger festgestellten Ideale aufgefasst — und dadurch unwahr, lähmend und einschläfernd... Dem üblich gewordenen System serviler oder gegenseitiger Beweiräucherung in dem eigenen kirchlichen oder wissenschaftlichen Ringe, entspricht nach anderer Richtung das ebenso unchristliche System der Verdächtigung, Verzerrung, Verketzerung aller einigermassen neuen Gedanken und Regungen«. »Das Gefährliche bei der stillschweigenden Gleichsetzung von dem göttlich gewollten und menschlich verwirklichten Katholizismus liegt nicht so sehr darin, dass man die Wirklichkeit idealisiert und die Geschichte verklärt, sondern darin, dass man das Ideal zum Maass der unvollkommenen Wirklichkeit herabstimmt. Dadurc wird mit dem Nimbus der Göttlichkeit umgeben, was doch nur wilde Triebe eines religiösen Sinnens und Trachten sind«. Schell l. c. str. 20, 21, 55, 56.

[2] »Ein Reformer hat einen Augiasstall zu säubern und das ist keine reinliche Arbeit«. J. Müller: *Renaissance.* 1902, zesz. 3, str. 187. Inny powiada: »Man hat einen solchen Wust innerkirchlicher Rückständigkeit sich ansammeln lassen, dass man kaum weiss wo die Reformen anfangen«. *Das XX Jahrh.* 1902, 484.

[3] »Die Beilegung des Konfliktes fordert von der katholischen Kirche weder die Verleugnung irgend eines ihrer wesentlichen Grundsätze theoretischer, oder praktisch-kirchlicher Natur, noch das prinzipielle Brechen mit ihrer Vergangenheit... Die katholische Kirche steht aber in ihrer konkreten Wirksamkeit und historischen Erscheinung nicht über die Zeiten, sondern in dieser Zeitlichkeit und deshalb entstehen in jeder Periode ihres Wirkens verschiedenartige Verbindungen zwischen Grundsätzen ewiger Geltung und historischen Kräften, wechselnden Charakters... Für die wesentliche Würdigung der katholischen Kirche sind einzig und allein die dogmatischen Grundsätze massgebend... Da aber das Mittelalter auf keinem Gebiet der kirchlichen Wirksamkeit (das Dogma ausgenommen) einen absoluten Wert besitzt, so darf keine seiner specifischen Erscheinungen und Leistungen in

nie istotnych, które dadzą się określić ogólnie, jako *die kulturellen Nachwirkungen des Mittelalters;* te trzeba powoli pousuwać, wycofać z obiegu, wyrugować, bo to rzecz daremna — świat poszedł naprzód, nowych form religii potrzebuje i nowych ideałów, nie zniesie tego, aby go traktować tak, jak traktowano niewyrosłe jeszcze z dzieciństwa społeczeństwo średniowieczne. Do tej kategoryi średniowiecznych zabytków należy dużo rzeczy i różnych. Tu zaliczyć trzeba i scholastykę [1] i zakony starego typu [2] i wiele przestarzałych form kultu [3] i wiele reguł dawnej ascezy; tu należy świeckie panowanie papieża, nad którem raz na zawsze krzyżyk zrobić trzeba [4], jakoteż te różne pozostałości po dawnem

---

ihrem ganzen Inhalt als bindend für die Gegenwart betrachtet werden. Also besteht eine erste, hochwichtige katholische Aufgabe in der Abstreifung alles dessen, was in der konkreten Verwirklichung der katholischen Lebensideale nur innerhalb des Mittelalters eine relative Berechtigung besass, (weil) diese nachteiligen kulturellen Nachwirkungen, nicht die Grundsätze des Katholizismus selbst das Hindernis bilden, das katholischerseits der Verständigung mit den wahren Bestandteilen der modernen Kultur entgegensteht«. Ehrhard l. c. str. 267 i n. 352 i n.

»Verquicken wir uns nicht mit einer einzelnen Periode der Vergangenheit, mit überwundenen Culturzuständen... Die Vergangenheit kehrt nie mehr zurück... Man überwinde die Scheu vor dem Neuen. Die Religion bedarf neuer Formen und Auffassungen um mit der Neuzeit Fühlung zu bekommen«. Ireland l. c. str. 3, 5, 6.

[1] Według Ehrhard'a stanie się teologia katolicka »eine Spezialwissenschaft für rückständige Geister« jeśli sobie nie przyswoi zdobyczy nowoczesnej myśli. l. c. str. 262. Inni jeszcze mniej się starają o dobór wyrażeń.

[2] Najsilniejszym wyrazem opozycyi do zakonów był ks. Hecker; w dziedzictwie po nim przejęli to uczucie w mniejszym lub większym stopniu inni amerykaniści. Por np. Schell D. k. a. P. str. 93—96.

[3] Niemała liczba duchownych »reformerów« zalicza do zabytków średniowiecznych celibat, brewiarz, nawet i przepisy dotyczące zewnętrznej strony, ubioru lub innych odznak kapłana.

[4] »Der Leichnam des weltlichen Papstum liegt hoch aufgebahrt über der Schwelle, die das neunzehnte Jahrhundert vom zwanzigsten trennt. Soll man ihn, wie gewisse Völker mit der irdischen Hülle ihrer Fürsten getan, noch weiter dahinschleppen oder soll man ihm endlich ein ehrlich Begräbnis zugestehen? Das Geschrei der gemieteten Klageweiber und des bezahlten Gesindes kann über die wahren Empfindungen und die wirkliche Lage der Hinterbliebenen niemand täuschen«. Fr. H. Kraus bei *Spectator alter* l. c. str. 158. »In seiner alten Gestalt wird (der Kirchenstaat) nicht wiederkehren; denn die Weltgeschichte wiederholt sich nicht«. Ehrhard l. c. str. 275 i t. d.

politycznem stanowisku Kościoła, które do dziś dnia dają katolicyzmowi pozór jakiejś machiny na pół państwowej z właściwym jej oficyalizmem i biurokracyą, a nie pozwalają mu stać się potęgą czysto duchową i czysto religijną. Precz z »politycznym katolicyzmem«. Był on dobry w średnich wiekach, gdy ciemne masy nie umiały jeszcze pojąć czysto duchowej potęgi; dziś nam trzeba »religijnego katolicyzmu«! Zmieszanie polityki z religią musiało doprowadzić do tej »niewymownej nędzy«, której wspomnienie samo »wichr oburzenia« w duszy współczesnej wywołuje, do inkwizycyi. Odpaść musi od Kościoła wszystko, co tchnie jakimkolwiek przymusem i gwałtem w kwestyi przekonań religijnych, bo myśl współczesna jak najdroższego klejnotu i najcenniejszej zdobyczy strzeże zazdrośnie wolności sumienia [1].

Ponadto wszystko jednak wymaga porozumienie z duchem wieku pewnych pozytywnych zmian w dotychczasowym ustroju i nauce Kościoła.

Dusza współczesna ma dwie główne własności: *Individualismus und Innerlichkeit* [2]. Kościół musi się dostroić do potrzeb, które

---

[1] »Der mittelalterliche Durchschnittsmensch war noch nicht fähig eine rein geistige Macht in ihrer ganzen Verpflichtungskraft zu erfassen und richtig zu würdigen. Sollte daher die kirchliche Autorität sich mit Erfolg zur Geltung bringen, so musste sie auch über physische und politische Machtmittel verfügen... Die Verbindung (aber) des politischen Staatswesens mit dem katholischen Kirchenleben erwies sich als eine ausgiebige Quelle kirchlicher Unvollkommenheiten und empfindlicher Schwächen... es braucht nur an die mittelalterliche Inquisition erinnert zu werden, ein Wort, das ein schmerzliches Zucken in der ganzen gebildeten Welt hervorruft beim Anblick des ungeheuren Elendes, das dasselbe in sich verkörpert«. Ehrhard l. c. str. 47, 273, 4, 328 i t. d. »Ich setze an die Stelle des Ultramontanismus den »religiösen Katholizismus« oder wenn sie wollen den liberalen »Katholizismus«... Wir wollen keine irdische Herrschaft der Kirche, keine Herrschaft auf und aus dieser Welt... Eine Heilsanstalt ist uns die Kirche, nicht aber ein politischer Begriff« i t. d. Baumstark w mowie 1882 na sejmie badeńskim. Por. *Das XX Jahrh.* 1904, n. 48. Najgorętszym obrońcą »religijnego« katolicyzmu był Kraus. Ehrhard co do rzeczy się zgadza, słowo odrzucił w pisemku: *Katholischer Student und katholisches Leben.* Łatwo zrozumieć, że wśród wyznawców »religijnego« nie »politycznego« katolicyzmu panuje formalna nienawiść do niemieckiego »Centrum«.

[2] Ehrhard l. c. str. 354.

rodzą się z tych przymiotów i przerobić w sobie to, co im nie odpowiada. I tak musi to razić dzisiejszą wewnętrzność, jeśli się kładzie zbyt wielki nacisk na Kościół, z niekorzyścią religii[1]; trzeba zrozumieć wreszcie, że Kościół jest czemś podrzędnem w porównaniu do subjektywnych aktów religii, że służy im jako narzędzie, a bynajmniej ich nie zastępuje. Stąd źle robią i szkodzą dobrej sprawie, którzy Kościołowi katolickiemu chcą przyznawać wyłączny monopol łaski, świętości, cnoty i t. d., którzy za głośno mówią, że po za Kościołem niema zbawienia[2]. Wewnętrzność żąda dalej, by trochę zmodyfikować wygórowany sakramentalizm i trochę mniejsze znaczenie przypisywać odpustom, bo jedno i drugie osłabia u katolików szacunek dla dobrych uczynków, dla cnoty i osobistego wyrobienia woli[3],

---

[1] »Charakteristisch für den Ultramontanen ist die übermässige Betonung der Kirche statt der Religion, der Rechte der Kirche, statt der Pflichten der Religion, des Äusserlichen, statt des Innerlichen«. *Das XX Jahrh.* 14, Juni 1902. »Die Religion ist nicht um der Kirche willen da, sondern die *Kirche ist zur Verwirklichung* der Religion bestimmt, und zwar durch Überzeugung und Freiheit. Die weltlich-juristische Handhabung der geistlichen Güter widerstrebt dem Wesen der Religion. Die Kirche ist als Gottesreich ein Staat, aber ein Gottesstaat, in dem es nicht bloss auf äusseres Verhalten und erzwingbare Leistungen ankommt, sondern auf Überzeugung und Freiheit. Der Schwerpunkt der Religion liegt in der inneren und freien Gottesgemeinschaft: Die Kirchlichkeit ist wertvoll als gottverordnetes Mittel hiezu«. Schell: *D. K. a.* str. 4.

[2] »Ein Hindernis, das dem Vordringen des Katholizismus in die moderne Gesellschaft hinderlich gegenüber steht ist die Neigung aus kirchlichem Eifer und aus Furcht vor dem Indifferentismus die wirksame Gnade Gottes und den echten, wahren und fruchtbaren Geist der Heiligung, der übernatürlichen Sittlichkeit und Nächstenliebe in die Grenzen der katholischen Kirche einzuschränken. In der Theorie lässt man den Nichtkatholiken die Hoffnung des Heiles, in der Wirklichkeit hält man deren Rettung für höchst unwahrscheinlich und notdürftig... Man denkt bei allem, was von protestantischer Seite ausgeht: Kann von Nazareth etwas Gutes kommen?« i t. d. Manning bei Schell l. c. str. 90 i nn.

[3] »Ein fünftes Hinderniss ist der Sakramentalismus. In Folge dieser Geistesrichtung laufen die katholischen Geistlichen die Gefahr Messpriester und Sakramentskrämer zu werden... Der Geist lässt sich nicht mechanisch verhandeln: die Religion des Geistes soll und kann auch in der Behandlung der Gnade und der guten Werke zu keiner Krämerbude und zu keinem Wechslermarkte werden«. »Wenn die Anschauung immer mehr Einfluss ge-

by pozwolić duszy współczesnej na większą swobodę i bezpośredniość w stosunku z Bogiem, a nie kłaść tak wielkiego, jak dotąd nacisku na pośredników, czyto widzialnych, jakimi są kapłani, czy niewidzialnych, jakimi są Matka Boska i święci [1]. I więcej jeszcze. Wewnętrzny człowiek dnia dzisiejszego musi patrzeć z niechęcią na przewagę intellektualnego pierwiastka w religii, gdy moralny pierwiastek jest rzeczą główną. Intellektualizm chce wiarę i cały nadprzyrodzony porządek wprowadzić do człowieka z zewnątrz, zapomocą jakichś rozumowych dowodów, w postaci skostniałych formułek — dziś formułka nic nie mówi duszy, która szuka w religii życia i ciepła, dowód zostawia ją zimną, sama pretensya narzucania religii z zewnątrz, wydaje jej się zamachem na wolność, na autonomię, na to niezachwiane przekonanie, jakie zrodził postęp nowych czasów, że kwestya religijna redukuje się do tego, czy dusza wewnętrznie dobrą, szczerą wolą dąży czy nie dąży do Boga [2]. Dziś trzeba

---

wänne, sogar das Gebet habe seinen Hauptwert von den damit verknüpften Ablässen, dann kann es nicht wundernehmen wenn auch die guten Werke in der religiösen Wertschätzung sinken«... Schell l. c. str. 24, 92.

[1] »L'Américain non catholique aspire à traiter avec Dieu moyennant aussi peu de secours extérieurs que possible. Arriver à Dieu par sa seule activité spirituelle sans s'arrêter aux formes plus ou moins humaines telle est son ambition d'âme. Il ne trouve de satisfaction religieuse que dans une vie spirituelle où il traite directement avec Dieu«. »Le moyen de sortir de nos difficultés actuelles c'est de revenir à une spiritualité plus libre que celle que la Providence assignait comme réaction contre le protestantisme au XVI siècle«. Vie du P. Hecker p. 308, 336. »Die Marienverehrung darf die unmittelbare Gottesverehrung nicht beeinträchtigen. . Was naturgemäss die Peripherie der Religion bildet kann und darf niemals zur Mitte und Hauptsache werden«. Schell: *D. n. Z.* str. 154, 155.

[2] »La prétention du christianisme à s'imposer à la pensée et à la volonté, et le scandale de la raison moderne, qui entretient dans les âmes une sorte d'inquiétude hostile et de soupçon irrité comme s'il y avait dans le fond même de la conception catholique, une *révoltante dureté dont on s'indigne* au nom d'un idéal nouveau de justice et de bonté«. Blondel: *Ann. de phil. chrét.* t. XXIII, p. 600—603. »Le surnaturel, les vérités révélées, tout le christianisme (s'il est le terme d'une démonstration intellectualiste et extrinsèque) apparaissent comme une sorte de superfétation, quelque chose de surérogatoire *dont nous serions chargés*, qui pèserait sur nous et qui nous asservirait. La religion ne serait ainsi au sens étymologique du mot, qu'une superstition étrangère à la vie morale... elle constituerait vraiment une hétéronomie c'est

tak religii uczyć, »aby każda myśl była uczuciem, a każde uczucie myślą«, by uczucia religijne rozwijać przedewszystkiem, by nie kłaść tyle nacisku na nadprzyrodzone, a więcej na ludzkie, naturalne strony religii, a przynajmniej pokazać, jak te dwa porządki zlewają się w jedno, nie tłumiąc i nie przygniatając się wzajemnie[1]. Wewnętrzność wreszcie wstrząsa się i zżyma na widok mechanicznej, prawniczej kazuistyki katolickiej teologii moralnej, która wszystkie strony życia otacza płotem przepisów i paragrafów obowiązujących pod powszednim lub śmiertelnym grzechem, która mnoży w nieskończoność liczbę grzechów ciężkich, głosząc przytem taką okropność, jaką jest zdanie, że za jeden grzech ciężki należy się wieczne piekło[2].

à dire une ésclavage«. Laberthonnière: *Essais de philosophie religieuse*, str. 199, 200. »Le symptôme le plus général du mouvement neochrétien paraît être la prétention de renouveler le sentiment religieux, de dégager des entrâves du dogme les beautés de la morale chrétienne et d'ôter le gouvernement de notre vie à la raison qui a fait ses preuves d'impuissance pour le confier mystiquement à la volonté et à l'amour«. Klein: *Nouvelles tendances en religion et en littérature*. Por. Delassus l. c. str. 60.

[1] »Es giebt Zeiten, wo das Übernatürliche und der Cultus mehr der Pflege und Hervorhebug bedarf; es giebt wieder andere Zeiten, wo die natürliche Ordnung, wo Arbeit und Fortschritt das wichtigste Gebiet sind, auf dem sich der übernatürlich beseelte Geist zu bethätigen hat. Natur und Gnade dürfen nicht getrennt werden. Die Religion der Neuzeit ist Arbeit und Humanität, die wahre Asceze der Massen ist: gesunder Geist in gesundem Leib. Seien wir (also) interessiert für die Anliegen der neuzeitlichen Welt! Zieht das Volk zu Gott hin mit allen Fasern seiner Adamsnatur«. Ireland bei Schell l. c. str. 4, 5, 6. I Laberthonnière między innymi wielki kładzie nacisk na to, by porządek nadprzyrodzony nie wyglądał: »comme quelque chose qui sajouterait du dehors à la nature en se juxtaposant ou en se superposant à elle«. l. c. str. 209 i passim. I Schell się uskarża na rzekomą »Überspannung des Unterschiedes von Natürlich und Übernatürlich, welche den inneren, organischen Zusammenhang zwischen beiden nach Möglichkeit lockert« i t. d. *D. K.* str. 30, 59.

[2] »Die Mikrologie in der sittlichen Auffassung und Bestättigung der Religion führt zur Zersplitterung der Tugenden, ferner der sittlichen Taten, Absichten und Verdienste. Das Werk oder die Leistung, sogar die Gesinnung und Willensrichtung wird von der lebendigen Willensbestätigung losgelöst und als eine ontologische Grösse für sich betrachtet, welche kommen und gehen kann ohne dass im Bewusstsein etwas davon bemerklich wird. Eine rein ontologische und mechanische Auffassung der sittlichen Leistungen wird massgebend. Die juristische Auffassung des Verdienstes führt zu einer

»Indywidualizm« nie jest skromniejszym w żądaniach. W XVI wieku — takie roztaczają nam często historyczno-teologiczne teorye, — silne zaakcentowanie autorytetu kościelnego w dziedzinie religii było zupełnie na miejscu, jako reakcya przeciw rozkiełznanemu subjektywizmowi protestantów. Dziś jednak czas pofolgować, czas już po temu, by samodzielnej, indywidualnej inicyatywie, zwłaszcza ludzi świeckich pozostawić szersze pole działania, bo w przeciwnym razie Kościół pozbawiłby się samochcąc potężnego czynnika i postępu, czynnika, któremu protestantyzm bądź co bądź zawdzięcza pewnego rodzaju wyższość nad katolicyzmem [1]. Dzisiejszy człowiek nie znosi ustawicznej zależności

kaufmännischen Berechnung und Buchführung der Verdienste und Gnaden; eine Auffassungsweise des Übernatürlichen, welche dem Ansehen der katholischen Moraltheologie grossen Eintrag getan hat. Es kommt nur darauf an, alle casuistischen Bedingungen genau zu erforschen und zu erfüllen, durch einflussreiche Mittler und Mittel möglichst viel Begünstigungen für sich zu gewinnen«. *Renaissance. Gottesbegriff und Aberglaube* zesz. 1, 3, str. 5, 130, 181. 1905. Wiadomo, jak Schell usiłował teologicznie osłabić dowody na wieczność piekła i zredukować do minimum częstość grzechów ciężkich. Por. *Die Verteidigung Schells*... Stufler. Innsbruck 1904.

[1] L'exagération par le protestantisme du principe d'individualité a amené l'Église à réagir et à restreindre ce principe afin que sa propre et divine autorité pût avoir tout son jeu légitime. Les erreurs et les maux de l'ère de Réforme eurent pour origine une indépandance personelle, sans frein. Il fallait y opposer une dépendance personelle plus étroite... au détriment des vertus naturelles, qui proprement font la virilité du chrétien dans le monde... La perte fut une certaine defaillance de l'énergie entraînant avec elle un affaiblissement de l'activité dans l'ordre naturel«. Hecker: *Vie*... p. 400. »Die Stärke des Protestantismus ruht in dem Prinzip der persönlichen Geistesbethätigung auf religiösem Gebiet... auf katholischer Seite wird die religiöse Inanspruchnahme der eigenen Vernunft und Persönlichkeit... allzusehr zurückgedrängt und auf einfach bereitwillige Hinnahme und gehorsame Aufführung herabgesetzt«. »Wenn man die persönliche Selbständigkeit und Initiative mit Misstrauen betrachtet, dann wird damit die eigentliche Quelle des Fortschritts verstopft... denn die persönliche Regsamkeit des vernünftigen Denkens ist es, was zum Fortschritt drängt: sobald die selbständige Persönlichkeit und die ruhelose Vernunft als etwas Gefährliches gelten, tritt die Beruhigung bei dem Überlieferten und Vorgefundenen ein«. »Der Katholizismus wird sich als Prinzip des Fortschritts bekunden, je mehr er sich wirksam an die Verwirklichung der Aufgabe macht, die geistige Persönlichkeit durch innere Überzeugung für Gottes Wort und Reich zu gewinnen und dadurch zur möglichsten Entfaltung ihres Könnens und Strebens zu bringen« i t. d. w nieskończoność. Schell: *D. K.* str. 17, 13. *D. A. Z.* str. 21, 25, 144.

od władzy kościelnej. Cnoty b i e r n e: posłuszeństwo, cichość, poddanie i t. d. już się przeżyły; dziś trzeba przedewszystkiem cnót c z y n n y c h: inicyatywy, zapału, odwagi, szerokiego serca, słowem aktywizmu w przeciwieństwie do dawnej bierności [1]. Jeżeli Kościół nie zaufa dobrej woli jednostek i działania Ducha św., które dziś jest silniejsze niż kiedykolwiek było, jeżeli każdy samodzielny objaw życia religijnego tłumić będzie zapomocą indeksu, dekretów kongregacyi rzymskich i coraz to nowych orzeczeń dogmatycznych, to ta wygórowana centralizacya *cette compression autoritaire* doprowadzi do obumarcia i skostnienia [2]. W każdym zaś razie wrogim wszelkiemu postępowi jest ten obóz »zelotów« i »kuryalistów«, obóz »ultrasów« i zacofańców teologicznych, co swoją ciasną szkołę chcą identyfikować z Kościołem Bożym, co źle informując sfery rzymskie, zapomocą systemu podejrzeń,

[1] »Die passiven Tugenden, auf deren Pflege in der Zeit der Abwehr des Protestantismus gedrungen *wurde, hatten bewunderungswürdige* Erfolge wie Gleichförmigkeit, Zucht und Gehorsam. Aber die neue Ordnung der Dinge fordert ausserdem selbständige Initiative und persönliche Tatkraft. Darum muss man jetzt ohne die passiven zu zerstören vorzüglich die activen Tugenden pflegen«. Hecker: *Vie* u Schella (z pewną zmianą) l. c. str. 7; podobnie Ireland, Klein, Fonsegrive i t. d.

[2] »Die einseitige Hervorhebung der äusseren kirchlichen Autorität ohne die gebührende Würdigung der befruchtenden Natur und Wirksamkeit des hl. Geistes in der Seele würde die Religion zu einer Formenübung machen und die Kirche der Unfruchtbarkeit überantworten«. Klein. »Die Anschauung, welche alles Heil von der alleinigen Herrschaft der Autorität und des Gehorsams, sowie von der möglichsten Zurückdrängung der persönlichen Selbständigkeit erwartet, welche das Ideal eines katholischen Christen in der unbedingten Gefügigkeit gegen die kirchlichen Oberen sieht, in der heldenmütigen Bereitwilligkeit ohne Widerstreben sofort als Irrtum preiszugeben, was man seither für wahr und gut gehalten, sobald es gefordert wird, setzt Menschen voraus, die mit keinen Überzeugungen und Idealen innerlich verwachsen sind, die nur auf gegebene Anordnung das eine als wahr und gut annehmen, das andere als falsch und bös verwerfen. Allein dieses Verhältniss des Geistes zur Wahrheit und Güte ist mechanisch und äusserlich ist eine widernatürliche Verleugnung des geistigen Wesens. ...Der Geist ist eben Geist und nicht Mechanismus«... i t. d. Schell l. c. str. 19, 36. Możnaby całe arkusze zapełnić skargą pokrewnych pisarzy na Überspannung des Autoritätsbegriffes«, »l'enserrement autoritaire où se meurt la conscience individuelle«, na »Gängelband der Kirche«, »Speisen mit Kinderbrei«, na traktowanie wiernych jako »Herdenmenschen« i t. d. i t. d.

oszczerstw, denuncyacyi gaszą każdą iskierkę nowego życia[1]. Indywidualizm wreszcie rozwinięty w formę racyonalizmu oburza się na romanizujące tendencye w kulcie i nauce, żąda mniej lub więcej otwarcie, narodowego języka w liturgii, usunięcia specyficznie romańskich zwyczajów, instytucyi, praktyk religijnych[2].

Środkiem do przeprowadzenia tych reform ma być wyrobienie nowego typu duchownych[3]. Gdzie ich kształcić? Broń Boże nie w seminaryum, gdzie przyszli kapłani odcięci od ognisk myśli współczesnej uniwersytetów, a poddani wpływowi czysto kościelnych kół naukowych ciaśnieją duchowo, tracą zrozumienie dla potrzeb, ideałów współczesnego świata. Uniwersytet i uniwersytet — oto jedyny ratunek dla kleru[4]. Prawda, że z wykształce-

---

[1] »In Wegfall soll jenes Spiel mit den Worten ‚kirchlich' und ‚unkirchlich' kommen... (sowie) das gehässige Delatorentum, das System des Verzerrens und Verdächtigens, jenes unbefugte Censorentum... jener fanatische Eifer für die eigene Schulmeinung, welcher derselben dadurch die Herrschaft verschaffen und erhalten will, dass er für dieselbe die kirchliche Correctheit vorzugsweise in Anspruch nimmt und das kirchliche Lehramt durch diesen Denunziationseifer mit Misstrauen gegen die unbequemen neuen Gedanken erfüllt«... »Als ob der Katholizismus nichts weiter wäre als jede Schule!« Schell l. c. 150 i 96. »Sich und seine theologische Schule verwechselt man mit der katholischen Kirche und ihrem autoritativen Lehramt«... Ehrhard: *Lib. kathol.* str. 314, inni podobnie.

[2] »Durch einseitigen Romanismus und selbstwegwerfende Gerigschätzung der deutschen Geistesart bekennt man sich nicht zum echten Katholizismus.., man erscheint vor dem Messias als Lakai einer anderen Nation in entlehnter Tracht und Sprache«... »In jeder Sprache soll und will das göttliche Wort seine Menschwerdung feiern, jeder nationale Charakter soll zum geschickten Werkzeug und Träger des göttlichen Geistes werden!... Welches Armutszeugniss für die deutsche Nation, wenn sie so leichthin darauf verzichtete auch in ihrer Sprache dem Lamme das Loblied der christlichen Wissenschaft, Andacht und Tatkraft zu singen«... Schell l. c. 83 i nn. Inni podobnie biorą w obronę duszę amerykańską, słowiańską i t. d.

[3] »La mission du P. Hecker était de présenter au monde dans sa personne le type du prêtre moderne, du prêtre qu'il faut à l'Église pour recouvrer le terrain perdu et reprendre sa marche en avant dans l'accomplissement de sa mission divine«. *Vie* p. 392. »C'est au prêtre de l'avenir que je recommande une étude serieuse de la vie du P. Hecker. Il est comme le type qu'il faudrait voir se reproduire le plus possible parmi nous«. Ireland: *Introduction à la vie du P. Hecker.*

[4] Nie cytujemy nazwisk uczonych obstających stanowczo za uniwer-

niem uniwersyteckiem mogą być złączone niebezpieczeństwa dla kandydatów do duchownego stanu, zwłaszcza na uniwersytetach protestanckich, ale pożytki stąd wynikną daleko większe. Nie tylko, że nabędzie przyszły kapłan gruntownej wiedzy, nie tylko, że stanie na wyżynie dzisiejszego postępu i nabędzie zrozumienia dla współczesnego ducha, ale nauczy się kierować sobą, panować nad sobą, wyznawać swoje zasady z przekonania, nie pod zewnętrznym naciskiem i nadzorem, wśród kollizyi z trudnościami, nie tylko w seminaryjnem zaciszu, a to jest najważniejsza. Bo dziś potrzeba kapłanów przedsiębiorczych i czynnych, którzyby nie zamykali swej działalności w kościele i zakrystyi, ale rzucali się śmiało w wir publicznego, społecznego, naukowego życia, którzyby szli pozyskiwać świat Bogu na wszystkich polach, na których świat dzisiejszy swe życie rozwija [1]. Stąd i charakter ascezy

---

sytetem przeciw seminaryum, bo są zbyt znani i liczni. Rekrutują się przeważnie z profesorów teologii na niemieckich wszechnicach.

[1] »L'Église ayant longtemps gardé ses quartiers d'hiver dans les sacristies et les *sanctuaires* a désappris le langage des penseurs et le langage des foules. Elle ne sait plus guère que les gémissantes litanies qu'on marmonne au fond des temples déserts... Un tel état ne pouvait durer. Le prêtre avait le devoir d'aller au peuple, de se mêler à la vie littéraire, artistique, politique de la nation«. Por. Delassus l. c. str. 376 »Wir wollen die Gegenwart geistig erobern: wohlan, dann dürfen wir uns nicht von der Welt entfernen! Seien wir interessiert für die Anliegen der neuzeitlichen Welt: den Fortschritt in der materiellen, sozialen, politischen Cultur, dann wird sich letztere auch für das gewinnen lassen, was uns bewegt, für die Interessen der *Religion*«. »Jetzt ist keine Zeit für eine zaghafte und weltflüchtige Tugend! Die Religion, wie wir sie heutzutage bedürfen, besteht nicht im Absingen schöner Antiphonen in den prachtvoll geschmücten Chorstühlen der Dome, während die Welt draussen an geistigem und sittlichem Nahrungsmangel verschmachtet. Machet die Religion volkstümlich soweit die Grundsätze dies zulassen«. Ireland bei Schell l. c. str. 6. »Die Scheu des Geistlichen vor dem Weltlichen, die theoretische Loslösung des Übernatürlichen vom Natürlichen (bewirkt), dass die weltlichen Aufgaben dem Religiösen und Geistlichen fremd gegenüberstehen, profan bleiben, in das Reich Gottes organisch nicht eingegliedert werden. Das entspricht der Idee der Offenbarung nicht, welche allen Richtungen und Formen der menschlichen Arbeit die höhere Gottesweihe geben will. Die Katholizität bedeutet, dass alle Berufsgebiete, mögen sie noch so weltlich erscheinen, Provinzen des Gottesreiches seien. Im Christentum giebt es keinen Unterschied mehr von rein und unrein, als den, welchen der sittliche Wille bewirkt«. Schell: *D. K.* str. 30 i n.

powinien być inny. Mniej kontemplacyi, odosobnienia, zanurzenia w nadprzyrodzonym świecie; więcej wszechstronnego wyrobienia indywidualności własnej, a na sposób bardziej naturalny i ludzki; energiczna praca, chociażby nad społecznym tylko dobrobytem świata jest dziś bardziej wskazana, niż dawne biczowania i pielgrzymki i chóralne modły kontemplacyjnych zakonów [1].

Dodajmy do tego wszystkiego pewien żal, czasem bardzo wyraźny, do Piusa IX i Watykańskiego soboru, wybitną niechęć do Syllabusa i dążność do zmniejszenia jego powagi [2]; formalną

[1] »La formation du clergé est trop exclusivement cléricale et pas suffisamment humaine. On habitue trop le jeune homme à ne voir dans son ministère que le rôle surnaturel, ou, plus exactement, le côté purement religieux«. Naudet: *Vers l'avenir* p. 68. Ten sam autor pisze o »Naśladowaniu Chrystusa«: »Ce livre pousse trop à l'anéantissement de la personalité humaine; il ne saurait plus être le livre d'une societé qui n'a rien de monastique, pas plus dans son éducation que dans son esprit et ses allures«. »Le type de dévotion et d'ascétisme sur lequel on forme les catholiques, n'est bon qu'à reprimer l'activité personelle... L'énergie que reclame la politique moderne n'est pas le fait d'une dévotion comme celle, qui règne en Europe«. Hecker: *Vie* p. 400. »L'Église pourvoit au salut de l'âme par des moyens spirituels, tels que la pénitence, l'Eucharistie et les autres sacrements. Il lui faut maintenant pourvoir au salut et à la transfiguration du corps par des sacrements terrestres«. Tamże str. 102. Wśród licznych skarg, że asceza katolicka stała się formalistyczną, materyalną, zabobonną pojawiają się i takie projekty reformy, żeby duchowni starali się o »erhöhtes moralisches Kraftbewusstsein« za pomocą środków tego rodzaju jak: »Spaziergang, Billard, Kegel, Lawn Tennis, Rudersport, Zimmergymnastik« i t. d. Zaręczają nam, że przy dawnej ascezie »mancher sich zum moralischen Krüppel geschlagen hat und sein ganzes Selbst zermalmte«. Weis l. c. 362.

[2] Znaczenie Syllabusa umniejszają liberalni katolicy na różne sposoby. Ehrhard (l. c. str. 256) egzageruje myśl w pewnym sensie prawdziwą, że Syllabus nie jest dogmatycznem orzeczeniem. Podobnie Schanz, lubo umiarkowaniej (*Köln. Volkszt.* 1904, n. 856). Meyenberg, zresztą bardzo trafnie, zanadto zwraca uwagę na negatywny charakter Syllabusa (tamże 1905, nn. 337, 355). Vidlet (*L'infaillibilité du Pape et le Syllabus*. Paris 1904) powiada bez ogródki »que le Syllabus est une oeuvre mal exécutée«, że jego redaktor »a assez mal compris sa tâche, a réalisé l'ordre du pape avec une insigne maladresse et une singulière gaucherie« i t. d. 83, 89, 101. Gorącą pochwałę oddaje temu autorowi między innymi Rosenberg (*Wisssensch. Beil. zur Germ.* 1905, n. 40). A. Justice powiada, że Syllabus niema żadnej powagi, że nie jest aktem autentycznym władzy papieskiej, że nie jest wykluczonym błąd papieża w tym dokumencie (*Canoniste contemporain* wrześ. paźdz. 1899). Inni podobnież. Bardzo mądrze pisał kardynał Fischer, arcybiskup koloński

zawiść do Jezuityzmu we wszystkich jego objawach, zdeklarowaną sympatyę do wszystkich kierunków i osób, w których Kościół, przez ciąg kultów ostatnich wieków podobne myśli odrzucił i potępił, a będziemy mieli najogólniejszy obraz dzisiejszych liberalno-katolickich dążeń tak, jak się krzewiły lat temu 10 najbujniej w Ameryce, jak dziś najżywiej podnoszą głowę we Francyi i Niemczech, potrochu w Austryi i we Włoszech. Odcienia są oczywiście różne, różne są stopnie błędności i rozjątrzenia w oppozycyi do Rzymu, ale wszystkie gałązki, jakie dziś liberalizm katolicki wypuszcza, ciągną soki żywotne z tego rdzenia myśli, jakie staraliśmy się przedstawić i na kilku próbkach unaocznić.

I z tem dobiegliśmy do końca historycznego, zbyt pobieżnego niestety rzutu oka na dzieje liberalnego katolicyzmu.

Czeka nas jeszcze trudne zadanie rozróżnienia w jakich gałązkach tej bujnej rośliny uznać można szlachetne płody chrześcijańskiego ducha, gdzie i w czem natomiast podnosi głowę natura, ta nigdy nie ujarzmiona natura ludzka, która tak w jednostce jak w społeczeństwie całem zawsze, lubo na różne sposoby usiłuje wypuścić swe dzikie pędy, nie uświęcone Bożem nadprzyrodzonem szczepieniem. Jest to może główny błąd patronów liberalizmu katolickiego, że nie umieli odróżnić, gdzie działa to, co św. Paweł nazywa *agrestis oleaster*, gdzie *bona oliva*. (Rzym 11, 24 [1]).

(Dok. nast.).

Ks. J. Rostworowski.

---

w liście pasterskim do kleru 19 marca 1903: »Der Syllabus ist gleichsam der Prüfstein unserer Zeit. Es ist zu bedauern, dass namentlich neuestens sich katholische Schriftsteller gefunden haben, die die Kraft und Autorität dieses sehr wichtigen Dokumentes verwegen zu vermindern oder zu beseitigen gewagt haben«.

[1] »Dum ex olivae semine exorta virgulta non aliud quam deas esse [rusticus] existimat, efficit desidia vanitatis, ut totus ager amara sterilitate silvescat«. Św. Augustyn. Migne: *P. L.* t. XXXIII, col. 890.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z dziedziny kaznodziejstwa.

I.

Ks. Dr. A. Jougan: «Nauki katechizmowe w Polsce». — Ks. Józef Koterbski: «Egzorty do dzieci szkół ludowych. — Ks. Jan Chilla: «Dekalog». — Ks. K. Smogór: «Wykład przypowieści P. Jezusa w kazaniach». — Ks. Wawrzyniec Puchalski: »Homilie na niedziele całego roku». — Ks. Biskup Karol Fischer: «Kazania i przemowy pasterskie do ludu wiejskiego».

Wśród prac kaznodziejskich w ostatnich latach objawiła się szczególna dążność w kierunku katechetycznym. Było to tylko odbiciem ogólnej potrzeby w społeczeństwie co do podstawowej znajomości religii i zrozumieniem zarówno wobec tego zadania ambony przez Pasterzy dyecezyi, którzy w listach swoich odpowiednie wydali właśnie instrukcye dla swoich dyecezyi i przez kapłanów, którzy gorliwie jęli się tej pracy.

Na pierwszem też miejscu w sprawozdaniu obecnem położyć musimy dzieło X. Dra Jougana o naukach katechizmowych w Polsce[1]. Dzieło w tych rozmiarach pierwsze w naszej literaturze homiletycznej objęło w sobie zarówno historyę jak bibliografię nauk katechetycznych w Polsce i ich teoryę.

Katechizm to pierwszy początek kaznodziejstwa w każdym narodzie. I u nas w Polsce pacierz, Bogarodzica, a pieśń tzw. katechizmowa to pierwsza homilja do ludu, za niemi dopiero w drugiej niejako już epoce ukazują się katechizmy w ścisłem słowa znaczeniu

[1] Ks. dr. A. Jougan. Nauki katechizmowe w Polsce (studyum homiletyczne). Lwów 1903. str. 264. Dzieło poświęcone JEksc. Ks. Metrop. Bilczewskiemu.

w pytaniach i odpowiedziach typu szkolnego, po nich dopiero nauki katechetyczne i kazania jako płody kaznodziejskie. Wykład głównych zasad katechizmowych był zawsze troską biskupów i synodów w Polsce, ale kiedy w XIII i XIV wieku wyjątkowo tylko zdolniejszym kaznodziejom dozwalały wykładać ewangelię sposobem homiletycznym, innych ograniczając do jasnego wykładu pacierza codziennego, w wieku reformacyi dopiero, u nas zwłaszcza w drugiej dopiero połowie XVI stulecia, pojawiły się katechizmy tzw. często rozmowy katechizmowe i równocześnie niemal z niemi kazania katechetyczne. Oczywiście, że wielkę rolę odegrał tu właśnie w tym celu wydany katechizm soboru trydenckiego. Gorliwi Biskupi współcześni, którzy, jak Kromer, Białobrzeski, Wereszczyński, Rozdrażewski oddają się naukom katechetycznym, żądają od swoich kapłanów, by nie tylko perykopę tłumaczyli ale obrzędy i tajemnice zbawienia. Pod ich okiem też synody dyecezyalne podobne wydają rozporządzenia w XVII i XVIII jeszcze wieku, bardzo szczegółowe nakreślając plebanom ich programy, w tej myśli by zawartość katechizmu w roku kościelnym została wyczerpaną, uważają nawet niektóre za rzecz potrzebniejszą tłómaczenie katechizmu nad kazanie, ostatnie ograniczając doświąt kościelnych lub uroczystości zakonnych.

Wiek atoli panegiryzmu i florydacyzmu nie mógł sprzyjać naukom katechetycznym z natury swojej nader treściwym i w formie prostym. Lubo więc synody polecają, takowe siłą ducha czasu poszły w zapomnienie, nie przekazując też literaturze homiletyczno-katechetycznej jakichkolwiek wybitniejszych płodów. Lepszą przyszłość zapowiedział im wiek naśladownictwa w literaturze, kiedy forma konferencyi francuskich nie tylko pogłębiła nasze utwory homiletyczne ale powinna była bardziej złączyć je z treścią tajemnic wiary, więc i katechetyczną. Niestety wiek ten racyonalizmem przesiąknięty odstąpił od dawnej tradycyi teologicznej, wyłącznie prawie płody swoje poświęcając etyce i prawu naturalnemu. Myśmy też pozbawieni rodzimych prac, z tej epoki posiadamy z bardzo drobnemi wyjątkami tłómaczenia tylko w owym duchu francuskim. Kiedy dopiero w wieku XIX-stym, w całem społeczeństwie polskiem, przejawia się wytrwała dążność do oparcia ideałów i nadziei narodowych o zasady katolickie, widoczne jest zarazem we wszystkich sferach usiłowanie podniesienia poziomu wykształcenia religijnego, ztąd od końca już wieku wolteryanizmu przez cały następny posiadamy poważny zastęp kaznodziejów rodzimych, oddających się z zamiłowaniem uprawianiu nauk katechizmowych. Ożywiły jeszcze bardziej owe dążno-

ści prace soboru watykańskiego, a korzystnie uwieńczyły je doświadczoną wolą stolicy św. słowa Piusa IX zalecające ku temu za przykładem poprzedników, kapłanom katechizm dla plebanów czyli rzymskiego soboru poprzedniego trydenckiego. Nie było na ziemiach Polskich żadnego Pasterza, któryby w dyecezyi swojej nie polecił wykonać woli ukochanego nam Piusa IX. Autor też kończy słusznie tę pierwszą historyczną część dzieła zestawieniem właśnie ówczesnych rozporządzeń we wszystkich polskich dyecezyach, dodając ostatnie w tej mierze mądre rozporządzenie metropolity Bilczewskiego normujące w archidyecezyi lwowskiej naukę katechizmową z ambony, tego pełnego gorliwości Pasterza, który niemal jeden z najpierwszych listów pasterskich[1]) tej właśnie najważniejszej poświęcił sprawie.

Bibliografia nauk katechizmowych w zasadzie nie przedstawia nam nowego nieznanego materyału, jednakże zebrany w jedną całość przedstawia nam się w nowej szacie pracą wieków i ogromem swym imponującej. Od połowy XVI-stego stulecia aż po najnowsze czasy znajdujemy tu zgrupowane chronologicznie dzieła i autorów nauk katechetycznych tj. od r. 1553 do 1902 autorów 63; z tych przypada na drugą połowę XVI wieku 10-ciu autorów, na wiek XVII 4, na XVIII 16, zaś 31 na stulecie XIX, z ostatniego dwóch wliczył autor. Oprócz tego nauki katechetyczne sporadycznie wychodziły w czterech czasopismach kościelnych. W bibliografii tej spotykamy się nie tylko z najznakomitszemi w kaznodziejskiej literaturze imionami Hozyusza, Skargi, Białobrzeskiego, Wereszczyńskiego, dalej znanemi jak Balsama i Fabianiego, w nowych czasach oddanego duszą całą temu przedmiotowi Biskupa Korczyńskiego, Szpaderskiego, Wierciszewskiego, Rozwadowskiego, Krechowieckiego, takiego Krukowskiego, Stagraczyńskiego, wraz z imionami znakomitych mowców literatów jak Orzechowskiego, mężów stanu jak Kromera, którzy swojem zamiłowaniem, pracą, zdolnością, wymową i powagą popleczníkami byli zawsze woli stolicy św. ofiarując je nauczaniu katechizmu. Znajdziem w bibliografii naszej przyswojone najznakomitsze takie dzieła, które w swoich krajach zasłużoną, uwieńczone były pochwałą i wziętością wszechświatową jak Bossueta, Gaume'go, Koenigsdorfera, Zollnera, Melchera, Spiragi i Moreta, co równie także dobrze świadczy o dążnościach polskiej ambony i pasterzy w pogłębieniu niejednostronnem zasad wiary św.

---

[1]) List pasterski Najprz. ks. Arcyb. Józefa Bilczewskiego w sprawie nauczania katechizmu. Lwów 1901.

Nie wszyscy przecież z tych autorów opracowali w swoich dziełach całość prawd katechizmowych; na 63 mamy tylko 32 wykończone pod względem materyi dzieła. Wielu z autorów nie miało nawet podobnego zamiaru poświęcając swój wykład poszczególnym grupom prawd wiary, aby je dokładniej i gruntowniej wyłożyć; ci co katechizm wykładali wiążąc go z perykopą niedzielną musieli, chcąc go mniej więcej w 50 naukach objąć, raz po raz poświęcić dla całości gruntowność objaśnienia szczegółów, a nieraz mimo to objąć zupełnej całości nie zdołali, dlatego też i z tytułów prac nie można wyczytać dokładności treści. Trzecią grupę bibliograficzną stanowiliby ci z autorów, którzy aczkolwiek w rzeczy samej ogólnie objęli całą naukę katechizmową, wytłómaczyli ją na tle pewnej specyalnej grupy. Specyalnych grup w naszej bibliografii mamy sześć opracowanych w tej formie. Skład Apostolski (6); Sakramenta (3); nauka o kościele (2); Modlitwa Pańska (2); Przykazania Boskie (1) i kościelne (1). — Wtóra ta część dzieła Ks. dr. Jougana nie tylko zajmuje się suchą bibliografią nauk katechizmowych. Wyliczając je poddaje zarazem krytyce naukowej nie roztrząsając ich wprawdzie, ale w świetle syntezy krytycznej wydając o nich zdanie literackie na tle często stosunków historyczno-społecznych. Tak niezmiernie ciekawemi dla studyum kaznodziejstwa są uwagi o wszystkich autorach nauk katechizmowych XVI-stego wieku. Z późniejszych zasługują na wyłączną uwagę rozbiory dzieł Wicherta, Fabianiego, Pougeta-Jakubowskiego, obszerny Grodzickiego, Starzeńskiego, Korczyńskiego, kilka trafnych uwag o bardzo popularnych dziełach Königsdorfera i Gaume'go, dalej Markiewicza, Rozwadowskiego, Krechowieckiego, Krukowskiego, dłuższa krytyka Stagraczyńskiego, jak również Możejewskiego i Zollnera.

Treść części bibliograficznej wyczerpują bibliografie podręczników pomocniczych polskich do nauk katechizmowych, rozpadające się na trzy grupy a) zbiorów przykładów b) żywotów świętych i c) konkordancyi. Przekonujemy się niestety rozpatrując należące tu dzieła o ich ogromnej zależności od zagranicy pod każdym względem. Czy nie przemawiałyby więcej do nas rodzime pokłosia życia religijnego i jego objawów czy to pod strzechą czy przy pługu; przy mieczu czy przy kądzieli; we dworze czy w urzędzie; w służbie czy na tronie? czy żywoty naszych patronów i ludzi świątobliwych miałyby mniejsze robić wrażenie jak przesadzane na nasze niwy z starogermańskich lub frankońskich zamków? Oby, oby to dawno powtarzane

życzenie ziściło się i w literaturze naszej pomocniczej kaznodziejskiej a znalazły wyraz strony rodzinne przemawiając do serc pacholąt polskich wiarą i cnotami ich praojców.

Trzecią część swojego dzieła poświęca autor teoryi nauk katechizmowych, poprzedzając ją obszernym niejako wstępem o ich potrzebie i pożytku. Nikt rozumnie naturalnie patrzący się a tembardziej w obecnej chwili na społeczeństwo nie będzie kopii kruszył w tej kwestyi. Źródłem niewiary w znacznej części zupełna jest nieznajomość najprostszych prawd wiary i obowiązków i nauk religijnych, większą jeszcze, im sfery są tak zwane inteligentniejsze, które poprzestają na ostatnim etapie nauki ściśle katechizmowej o pierwszych klasach gimnazyalnych, tracąc ją im bardziej były one, dla stopnia nie dla życia pamięci chwilowo przyswojone, nie dziw, że zacierają się wśród innych wrażeń. Takim ludziom bez dostatecznej wiedzy a głębokiego przekonania, którego nigdy nie mieli, najłatwiej wygłaszać pstre frazesy, bezpodstawne teorye, obrzucać bluźnierstwem najświętsze rzeczy. W ostatnich też dziesiątkach lat tworzą się grupy katechetyczne ludzi dojrzałych i młodzież nawet pragnie się poznać bliżej pod przewodnictwem kapłanów z podstawami religijnemi. Komu bowiem brak podstaw najprostsza rzecz by je poznał, a drogą do tego jest katechizm. Bez tego najwymowniejsze kazanie, ani najświetlejszy nie przemówi do rozumu mowca poprostu dlatego, że go rozumieć nie będzie. Olśni go wymowa, dekoracya kaznodziejska wyjdzie w tem, że ślicznie, porywająco mówił, ale sam nie wie o czem właściwie kazanie było, bo nie wiedział najprostszych pojęć o Bogu, kościele, łasce i jej środkach. — Oto cel nauk katechizmowych i tym codziennym życiowym objawem owych potrzeba się tłómaczy. To właśnie znaczenie ich przeprowadza tu autor powołując się właśnie na powody teoretyczne i duszpasterskie, świadectwa historyczne i praktyczne dla wiernych zarówno jak dla kaznodziejów.

Właściwa teorya nauk katechizmowych to rzecz osobliwie dla kapłanów poświęcona. Po dokładnem objaśnieniu określenia takowych opartem na klasycznych autorach, przechodzi autor do określenia tematu i formy nauk katechizmowych rozpatrując przytem w szczegółach synopsę nauki katechizmowej: wstęp, części składowe, zadanie wykładu, rozpoczęcie go i uwydatnienie części, dalej rozwinięcie przez wyjaśnienie pojęć i definicyi, uzasadnienie tez, zastosowanie praktyczne, pobudki do zjednania woli słuchacza, obudzanie uczuć religijnych i ich korzyści, przykłady i ich znacze-

nie, wreszcie domówienie i jego warunki jak powtórzenie osnowy nauki, uwzględnienie żywiołu uczuciowego a w końcu stawia pytanie, czy zawsze można naukę kończyć modlitwą? Domawia wreszcie ustępem o zwyczajnych formułkach zakończenia. Mało się może w praktyce zwraca uwagi właśnie na słowo zakończenia używając prawie z przyzwyczajenia takich zakończeń jak *Amen*, lub podobnych formułek do życia wiecznego kierowanych bez żadnego często rzeczowego lub modlitw bez psychicznego związku z nauką. Wielką położył autor zasługę, że objaśnił całą tę treść teoretyczną przykładami rodzinnej homiletyki łącząc ją tem bardziej z krytyką naukową, a tę zbliżając do naszych stosunków.

Bardzo interesujące a praktyczne są w tej części dzieła ustępy o stosunku nauk katechizmowych do tekstu katechizmowego, oraz o związku tematu katechizmowego z tekstem perykopy; rzecz tak praktyczna a niezbędna zwłaszcza dla tych kapłanów, którzy chcą lub muszą nauki katechizmowe głosić w czasie rannego nabożeństwa, a niechcieliby wiernych odłączać mimo to od związku liturgicznego z ofiarą. Ci znajdą tu gruntownie i bez przesady podane wskazówki, któreby w praktyce duszpasterskiej bezpiecznie mogli zastosować.

Teorya nauk katechetycznych, jak wogóle kaznodziejstwa, kiedy w ojczystym języku i w tak interesującej raz po raz ukazuje się formie, nie powinna ograniczać się wyłącznie do użytku kapłanów. Najpierw ci wszyscy, którzy pragną krytykować czy to praktyczne czy teoretyczne lub historyczne dzieła kaznodziejskie jeśli chcą mieć, nie tylko pozory, ale prawo powagi bezwzględnie, choćby kapłanami nie byli, winni obznajomić się z teoretycznemi dziełami o kaznodziejstwie, inaczej nie mogą mieć najmniejszej pretensyi do krytycyzmu i muszą popadać w kołach fachowych w śmieszność. Mamy też nadzieję że dzieła podobne teoretyczne naukowe spełnią swoje zadanie tak ogólne jak specyalne, przyczyniając się do objaśnienia i coraz większego zrozumienia tego, co najbardziej może się w towarzystwach ocenia w jednych pod pryzmatem nie zasady naukowej ale lekkomyślnej fantazyi, częściej płochego *dowcipkowania*, a najczęściej wrażenia chwilowego, w innych zupełnie opacznych na swojem wyłącznie widzimisię opartych pojęciach, a także wśród młodzieży duchowej budząc nowy zapał i siłę do poważnego spełnienia najświętszego obowiązku swego w przyszłości, głoszenia słowa Bożego.

Krokiem poważnym naprzód na polu praktycznej homiletyki katechetycznej są Egzorty do dzieci szkół ludowych Ks.

Józefa Koterbskiego[1], długoletniego katechety w Tarnowie. Egzorty podobne z natury rzeczy należą do nauk katechizmowych, jako w pojęciach nauki wiary czy cnoty zastosowane do dziecięcego obrębu wiedzy nie przekraczającej najprostszych tez katechizmowych. Jestto też w swoim rodzaju pierwszy w naszej literaturze homiletycznej utwór oddany dzieciom szkół ludowych miejskich i parafialnych. Potrzebę jego wywołały obowiązki urzędu katechetycznego właśnie w tych drobnych sferach tyle rok rocznie się wzmagające wskutek mnożenia się szkół ludowych i wydziałowych, a wielkiego braku księży. W układzie swoich egzort nie wiąże się autor bynajmniej systematycznym wykładem jakiejś całości homiletycznej, tem mniej przygotowaniem specyalnem do św. Sakramentów. Pragnął wedle instrukcyi wydanej w dyecezyi tarnowskiej dla nauczycieli religii w szkołach ludowych osiągnąć w nich podwójny cel mianowicie, by omawiać wady chroniczne i obowiązki bieżące wieku dziecięcego, jakoteż usposabiać dzieci by umiały duchowo korzystać z nadchodzących uroczystości kościelnych i z sakramentaliów.

Na tym ogólnem tle zarysowały się dwie części egzort: pierwsza obejmująca egzorty świąteczne i przygodne roku szkolnego, gdy wtóra pomieściła egzorty niedzielne. Na 54 ogółem egzort na pierwszą część przypada 13, z których trzy: tj. na rozpoczęcie roku szkolnego o celach szkoły, ogólna na jakąkolwiek uroczystość papieską: czem jest papież i na zakończenie roku szkolnego: na co są świadectwa i wakacye należą do okolicznościowych; reszta zaś do świętalnych i uroczystościowych przypadających na okres roku szkolnego. Część druga objęła 41 egzort niedzielnych począwszy od XV-stej aż do V-tej niedzieli po świątkach włącznie. Odpowiednio do założenia treść ich jest wyłącznie moralna, odnosząca się do pouczenia w cnotach, lub praktykach życia chrześcijańskiego jakoteż do wykorzenienia kiełkujących w młodych duszach wad, stąd każda z egzort obciążona jest ustawicznem moralizowaniem a przyczynia się także bardzo do tego podstawa rzeczowa, którą autor dla łatwiejszego pojęcia określa przez opisanie w zrozumiałych skutkach życia codziennego. Nawet święta i uroczystości kościelne nie stanowią tu wyjątku, choć możeby było właśnie wskazanem i wobec tego rodzaju słuchaczów użyć kiedy niekiedy w umiarkowanym stopniu podnioślejszej wymowy kościelnej, by duszę dziecka przez ten uroczysty nastrój bardziej usposobić do wyższego wrażenia, a przez to też osiągnąć jeden z wa-

[1] Tarnów 1903. str. 261.

żnych celów świąt i towarzyszącej im okazałości kościelnej. Osiągnąć by to można posługując się łączącemi w sobie z łatwością i prostotą pewną podniosłość wzorami Aftoniusza tzw. chryi krasomówczej.

Do celu swojego trzech przedewszystkiem używa autor środków: Pisma św., z którem w naśladowania godny sposób naturalny, jasny a nader przystępny zaznajamia swojego młodziutkiego słuchacza w potwierdzeniu, objaśnieniu czy zastosowaniu swej nauki, a nie tylko Pismem św., ale potrafi umiejętnem zastosowaniem zjednać sobie wiarę zarówno nauką Ojców i Doktorów kościoła treściwie ją w danym wypadku podając, czasem w wyimkach brewiarzowych. Obok Pisma św. stoją dwa ogólnie pedagogicznej natury środki: przykłady i życie codzienne. Przykład, to naturalny środek do objaśnienia, a przedewszystkiem utrwalenia w pamięci dziecięcej nauki. Znajdujemy ich więc dużo na każdym kroku, a że dobrze dobrane i wyzyskane, przekona się o tem każdy korzystający z podręcznika Ks. Koterbskiego. Prawda wolelibyśmy, żeby mniej ich było z nieznanych odległych nam sfer, a więcej z niwy naszej rodzimej i żywotów naszych Świętych, zwłaszcza, gdy tak jaskrawo wystąpiła w nich zależność od niemieckich zbiorów przykładów. Raczej sądzimy bardziej pouczającemi okazałyby się dla dziecka piękne przykłady z życia pierwszych chrześciańskich rodzin a w pierwszym rzędzie chłopców i dziewcząt rzymskich palmą męczeństwa ozdobionych, z któremi i wiek ich zbliża, a z nazwiskami ich raz po raz czy w pięknych powieściach czy w historyi się spotkają. Życie codzienne dziecięcego wieku wyzyskał autor pełnem doświadczeniem, które uwydatniło się w plastyce homiletycznej, jaką chętnie się posługuje. Bezwątpienia podobnie barwny a prawdziwy opis rozzłoszczonego chłopca jak w egzorcie na V niedzielę po świątkach musi w duszy dziecka wywołać obrzydzenie grzechu, a nauka stąd wynikająca pobudzić do czujności i pracy nad wyrobieniem charakteru. Unikać atoli należy drobiazgowości i domysłów w takim wypadku, jak popadł w nie autor w egzorcie na Zwiastowanie N. Maryi Panny (str. 48), gdzie używa zwrotu »przypuścić możemy«, lub stawiając pytanie jakie były zabawki małej Maryi? a już podobne zdanie: pewnie, że ta święta dziewczynka nie *goniła, nie broiła, ani nie hałasowała etc. znajdujemy* za zbyt naiwnie spopularyzowane do pojęcia nawet dzieci, których nie można upoważniać do trywialnego wyrażania się o Jezusie i Maryi.

Formy używa autor najjaśniejszej i logicznej. Wstęp łączy naukę i jej cel z perykopą, który później bliżej w założeniu określa; epilog zawiera ostatecznie streszczenie nauki, wezwanie i zachętę. Stylem

rzecz przedstawia jasnym i treściwym, przemawiającym więcej rzeczą samą jak względami patetycznemi, więcej do rozumu niż do serca, co czyni naukę suchą, zwłaszcza, że tak dla zwięzłości jak i jasności w podobnych egzortach poświęcić katecheta musi estetykę mowczą objawiającą się w rozmaitości figur. Styl czysty, co najtrudniejsze dla przemawiających do dzieci, przystępny i popularny, znać w nim oddanego duszą i sercem swemu zawodowi kapłana, który potrafił opanować przedmiot, a zniżyć się do sposobu myślenia dzieci. Czasem nawet dla lepszego zrozumienia używa autor słów i wyrażeń dziecięcej gwary, co naszem zdaniem w plastyce nie tak razi, a uświęcony ten sposób przedstawienia znajdujemy nawet u wybitnych mowców świeckich i kościelnych. Nie pomija też pieśni i wierszyków, które nieraz z wielkim skutkiem mogą być zastosowane w tym rodzaju wymowy, a przedmiot urozmaicają.

Tak się przedstawia pierwsza na tem polu praca kaznodziejska polska. Nie oparła się ona na żadnym wzorze, jedynie czem się autor posługiwał w niej nader pracowicie to zbiorami przykładów: Ks. Friedricha, Riedla, Hołowińskiego, Skargi, z niemieckich Spiragi i Schmida. Z tem większą wdzięcznością ją też w ojczystej witamy literaturze serdecznie winszując autorowi zasłużonego zupełnie uznania.

Innem dziełem katechizmowo kaznodziejskiem jest Dekalog ks. Jana Chilli zawierający 20 kazań katechetycznych o przykazaniach Bożych[1]. Kazania niniejsze są zapowiedzią nowego wydawnictwa kazań zbiorowych polskich, głoszonych przez księży świeckich. Słusznie wydawnictwo jako pierwszą pracę swoją podaje cykl kazań katechetycznych, bo tych stosunkowo najmniej wychodzi, a w praktyce duszpasterskiej obecnie pierwszą stanowią część pracy, i nikt pewno do napisania ich pełnego doświadczenia, nie jest tak powołany, jak duszpasterze.

Kazania ks. Chilli rozłożone są po dwa na każde przykazanie. Treść ich bliżej opisywać byłoby wobec tytułu samego już zbytecznem. Przejdźmy raczej ich wewnętrzne przymioty i formę. Biorąc je do ręki musimy się stawić wobec siermiężnego słuchacza w wiejskim kościółku, którego ubieganie się i wszelkie zabiegi o marności światowe ograniczają się do paru więcej zagonów roli lub kilku czy kilkunastu sztuk żywego inwentarza, ambicya do rady czy wójtostwa i komitetu parafialnego, a obowiązki domowe czy rodzinne najtrudniejsze znala-

[1] Wydane przez ks. Ludwika Dąbrowskiego. Kołomyja 1904. str. 140.

zły warunki. Rozumie się, że musi się z tem wszystkiem liczyć i styl i sposób wyrażenia i przedstawienia, rady i ostrzeżenia, co wszystko musi być dostosowane do jego rozumienia i życia przejrzanego w jego namiętnościach, żądzach i pokusach. Co do stylu więc nie możemy spodziewać się krasomówstwa, ale przemowy prostej, zrozumiałej, językiem jednak czystym i dalekim od gminnej trywialności, nawet choćby grube wady należało wytknąć. Forma kaznodziejska niemniej winna posiadać wszelkie zalety prostoty, zwłaszcza, że jeżeli chodzi o kazanie katechetyczne ta jest ich nieodstępną towarzyszką. Dowodzenia i uzasadnienia przedmiotu swojego lekko też traktować nie można spuszczając się na brak wykształcenia słuchacza, a tem mniej pomijając takowe zupełnie do morałów przechodzić. Z zadaniem ciężkiem więc musi się tu spotkać kapłan, by do poziomu swego słuchacza zbliżyć źródła teologiczne i prawdy a zastosowania moralne.

Forma w kazaniach ks. Chilli takby się przedstawiała: wstęp łączy w nich albo przedmiot z perykopą niedzielną albo pomijając ją zakreśla wprost przedmiot kazania i jego cel. Następuje rozwinięcie przedmiotu nie tak sposobem kaznodziejskim przez części ile katechizmowym przez punkta; zakończenie wypełnia albo modlitwa albo ostateczne wskazanie danego obowiązku i zachęty do jego podjęcia się gorliwszego. Kazanie o zacności dziewictwa wyłączyć jednak musimy z pod tej ogólnej formy jestto bowiem kazanie w pełnem znaczeniu o cnocie w swoim syntetycznym podziale. Są jednak kazania w omawianym zbiorze, które wskutek niedotrzymania formy straciły także jasność i przejrzystość rozwinięcia katechizmowego jak np. w drugiem kazaniu widzimy zupełnie nie rozdzielone należycie pojęcia wzywania Imienia Bożego, przysięgi, zaklęcia i ślubu. Co do treści do najlepszych kazań należą: pierwsze, którego treść odpowiada w pełności założeniu, przytem należycie zdefiniowane, przeprowadzone praktycznie i obrobione pod każdym względem a umiarkowany morał dobrze usposabiają czytelnika do następnych kazań. Pełnem zrozumiałej delikatności jest kazanie o myślach na IX i X przykazanie; także nie bez wartości kazanie o socyaliźmie w stosunku do IX i X przykazania, rzecz dla ludu w nim dobrze obmyślona, główniejsze zarzuty i odpowiedzi podniesione i na przykładach rozwiązane. Oczywiście, że kiedy lud często słyszy to słowo socyalizm i o robotach socyalistów, duszpasterz nie może na ambonie lekceważyć tego przedmiotu. Dobrą i racyonalnie dodaną jest nauka dodatkowa do przykazań Boskich od IV do IX

włącznie o obowiązku restytucyi i porządku, w jakim się ma odbyć. Dobre to wrażenie atoli niekiedy, zbyt często może nawet, zaciera labirynt moralizowania, tam zwłaszcza, gdzie czuje się do niego w kazaniu brak podstawy teoretycznej, gdzie nie wyjaśniając tezy katechizmowej na jej tle rozwija odrazu wady, obowiązki, cnoty z niej wypływające a całe kazanie schodzi do rzędu zastosowania praktycznego. Mistrzem jest ten, powiadają, kto umiejętnie mówi o szóstem przykazaniu. W naszym zbiorze kazanie o brzydocie grzechu cielesnego a unikaniu okazyi należy do najsłabszych pod każdym względem. Zbywa mu właśnie na owym wykładzie przedmiotu, który kaznodzieja chce zastąpić wyłuszczeniem tych okazyi, w których łatwo można stracić niewinność, a także na potrzebnej oględności, z której słuchacz wszystko wyczytać może, a niczego się nie nauczyć: dlatego kazaniom tym bynajmniej nie odpowiada ani obrazowanie ani plastyka. Podobne zdania jak to: »gdzie atoli jest zepsucie w sercu, tam wylewają się przez gardło, niby przez kanał cuchnący smrody gadań obrzydłych i zgnilizna piosnek etc.« lub ustęp o tańczeniu, a w czasie przerwy o spotykaniu się na samotności z tancerką w kąciku, w cieniu, w ciemności, gdzie ochota zbiera uściskać ręce, poszeptać do ucha — i inne znowu o samogwałcie, o »onanii« i małpieniu młodzieży, o chłopakach podrostkach z bydlątkami samowtór zostającemi w jednej izbie przypominają liche sielanki, a kazalnicy bynajmniej szacunku nie jednają. Bardzo nietaktycznie przenosi nas także autor niespodzianie w tem kazaniu raz po raz z otoczenia ściśle wiejskiego, z chałupy, karczmy i szynku w otoczenie świata uczonego czy wyższych sfer »balów pańskich«, »modnych przedstawień teatralnych«, »sal balowych, teatralnych, operowych« karząc zmysłowość zwierzęcą i zdziczenie obyczajów wśród tak zwanych stanów wyższych. Możnaby spytać w jakim celu? do kogo właściwie kazanie skierowane. A już na takie pozwolenie jakie daje autor mówiąc o porozwieszanych u ludzi światowych cudactwach nagich, obnażonych, odkrytych, wszetecznych »swoją drogą dla sal balowych i teatralnych takie obrazy odpowiednie« najłagodniejszy moralista by się nie podpisał. Wszeteczeństwo bowiem nigdzie odpowiedniego miejsca znaleść nie może.

Wielką zaletą dzieła, to ustawiczny stosunek z źródłami kaznodziejskiemi: zwłaszcza z pismem św., mszałem, brewiarzem, gdzieniegdzie Ojcami kościoła, hagiografią, korzysta niemniej i z przykładów Mehlera owszem nawet Cicerona. Styl swój autor zaczerpnął z odległych nam czasów, który pełno wyrażeń posiada rubasznością swoją

i kolorytem przymiotników i określeń przypominających słynną postyllę Wujka o pijaństwie opartą na św. Bazylim Wielkim. Np. garnie się i pcha na prześcigi do czytania tego gnoju śniegiem białym popruszonego, niby ptactwo zgłodniałe do obornika; kto przyłożył usta do tej gnojówki pozłoconej przez szatana i zaprawionej pachnidłami wymyślnemi miłostek ziemskich; obżarstwo i opilstwo jest też kałużą śmierdzącą z której sączy się nieczystość; piec pęka od ognia rozpalonego etc.; ale bo też poczciwe słowo nie wyszło nigdy z tego niegodziwego pyska urwisza; kazał jednemu z nich łeb uciąć; kazał strzelać szatanów zepsucia cielesnego; uczonemu bogaczowi każcie tęższe dać łozy; używa wyrażeń przysłowiowych, towarzyskich, z gwary gminnej i tych swojskich prawdziwie wyrazów, które wraz z licznemi obyczajowemi opisami ludowemi jak np. o wróżeniach czynią te kazania prawda oryginalnemi, do ucha dzisiejszego nie dostrojonemi, ale miłemi, bo czuje się, że to takie prawdziwe polskie, a szczere pełne ciepłych ojcowskich rad udzielanych swym duchownym dziatkom, a tak cennych i roztropnych jak w wykładzie czwartego przykazania. W literaturze obecnej kaznodziejskiej dzieło pojawiło się jak fatamorgana starych bibliotek, z historyą łączyć je będzie ów element folklorystyczny, który w obecnej dobie kaznodziejskiej jest nader wyjątkowem już zjawiskiem. Oceniając rzecz z punktu ściśle homiletycznego nie podnosimy skromnego zewnętrznego wyglądu dzieła, bardzo niedbałej korekty, zwłaszcza co do znaków pisarskich, która będzie musiała uledz korzystnej zmianie w następnych tomach wydawnictwa.

Polonia Amerykańska znajduje w sprawozdaniu naszem po raz pierwszy swego przedstawiciela na niwie kaznodziejstwa. Wykład przypowieści P. Jezusa w kazaniach[1] ks. K. Smogóra jest dziełem ściśle homilijnem. Pierwszy jego tom poświęca autor wykładowi przypowieści odnoszących się do kościoła katolickiego mianowicie o siewcy (5), o pszenicy i kąkolu (3), o ziarnie gorczycznem (2), o kwasie (1), o skarbie ukrytym (1), o perle drogiej (1), o niewodzie (1), wszystkie poprzedza niejako wstęp homilia o nauczaniu w przypowieściach na temat słów ewangelii św. Marka «I nauczał ich wiele w przypowieściach». Są to wszystko krótkie homilie analityczne z zastosowaniem moralnem do słuchacza. Pod względem formy i stylu prawidłowo zbudowane. Rzadko przeto poparte obcemi sobie tekstami pisma św., ale za to w egzegetycznem zestawieniu odpowiednich ustępów innych

[1] Chicago Ill. 1903. t. 1. str. 114.

ewangelistów Pismo św. zostało w nich wyzyskane, jakoteż przykłady świętych Pańskich. Jak przypowieści malują nam kościół i jego działanie, tak i treść homilii rozwija nam na tle historycznem istotne rysy kościoła i w przenośnem znaczeniu kościoła duchowego naszej duszy, a zastosowanie dotyczy życia w kościele i według jego ducha i pielęgnowania go w duszy naszej. Te zastosowania praktyczne odmalowują nam doskonale nie w pobieżnych obrazach, ale bardzo szczegółowych życie naszych wychodźców amerykańskich, jego potrzeby i stosunki, wady i przymioty, stąd są dla nas pod względem treści niezwykle interesujące. Ponieważ zaś przypuszczają słuchacza inteligentniejszego niż nasz przeciętny, obrobione są bardzo starannie rzeczowo i stylistycznie, mogą przeto wielką oddać w praktyce kaznodziejskiej usługę, a bardzo być polecanemi na czytanie słowa Bożego nie mogącym go słuchać w niedziele i święta. Ks. Smogór dał nam więc w dziele swojem pożądany przykład jak można w poważny sposób wyzyskać jeden z najniższych rodzajów wymowy, a jednak tyle przynoszący korzyści praktycznej na kazalnicy.

W dziale homilijnym mamy jeszcze do zanotowania nowe drugie wydanie jednego z najlepszych naszych podręczników na ambonie wiejskiej — Homilii na niedziele całego roku [1] ks. Wawrzyńca Puchalskiego. Homilje zawiera wyłącznie analityczne, stylem pisane łatwym i zrozumiałym dla ludu a pełnym szlachetnej godności prostoty, zastosowanie obyczajowe zwięzłe do serca przemawiające oto główne cechy nietylko tego, ale wszystkich dzieł kaznodziejskich zasłużonego autora, z których zresztą *Przegląd* w swoim czasie obszerniejsze już zamieszczał sprawozdania.

Po długiej przerwie wydawnictwa ukazał się upragniony prawdziwie dla wszystkich tak chętnie korzystających z kazań ks. biskupa Fischera trzeci tom jego kazań i przemów pasterskich do ludu wiejskiego [2]. A ukazał się pod niemniej piękną jak pouczającą dewizą katechizmu Trydenckiego: «Tak mają (pasterze) stosować swoją naukę, aby ją słuchający zrozumieć mogli, a gdy napełnią duchownym pokarmem umysły tych, których myśli są ćwiczone, aby też maleńkim nie dopuszczali głodem umierać, jako tym, którzy chleba żądając nie mają, ktoby im go ułamał». Ta codzienna troska pasterska o dobro powierzonych sobie dusz stała się też tre-

[1] Lwów 1904. str. 281.

[2] Przemyśl 1903. str. 393.

ścią i najpiękniejszą ozdobą kazań ks. biskupa Fischera. Nie znajdziemy w nich wzniosłej zapewne retoryki, ani czczości nieraz świeckiej pełnej frazesów lub erudycyą się popisującej, co szuka efektów i wrażeń, ale styl prosty i jasny, a poważny bo szlachetny, a przemawiający, naukę gruntowną opartą na Piśmie Bożem i objaśnioną wzorowo dobranymi przykładami, treść obfitą w znajomość serca i wielkie doświadczenie pracą od młodości zdobyte. Tu nie wystarcza przestudyować dzieło, ale dla zrozumienia zupełnego całej jego wartości trzebaby żywe słowo słyszeć jak poucza i radzi, podnosi i pociesza, karci i kruszy, ostrzega i nawołuje, widzieć owo głębokie namaszczenie, co siła wiary je wlewa w kaznodzieję a odczuwające znów przejęcie słuchacza, który zawisa na ustach kaznodziei, wychodzi szczerze zbudowany, pouczony, pocieszony i choć kaznodzieja długo swój przedmiot rozwija zda mu się, żeby z nierówną przyjemnością dłużej i dłużej jeszcze o nim słuchał i myślał. Wrażenie podobne, którego owocem wejście w życie i sumienie swoje, myśl poważna i łza żalu, Bóg i kościół, to ów owoc, co przy tak niewyszukanym sposobie mówienia w podziw wprawia, bo nawet pewne ożywiające momenty patryotyczne, kiedy się czasem niemi posługuje, są tak naturalne, nawet upiększające kazanie raz po raz pieśniarstwo kościelne jest tak bez pretensyi a logicznie wiązane z całością, że oną bez nich zdawałaby się niezupełną, a nietylko w podziw wprawia, ale uczy prawdziwie czego powszedni słuchacz pragnie i co mu do serca przemawia: to jest to, co potrzeby jego, co życie jego całe we wszystkich jego objawach i okolicznościach łączy z szczęściem, którego pragnie i szuka, z Bogiem, który jedynie serce jego wypełnić potrafi. A ponieważ wszyscy do tego dążą, przeto zarówno uczony jak prostaczek, bogaty i ubogi, owszem może pierwsi więcej, ile, że rzadziej się do nich temi szczeremi a mądremi w prostocie ich słowami przemawia, rozkoszują się niemi i one pochwytują. W tem też cała siła, moc i wartość niepospolita tych kazań, to jest właśnie to, co ks. Biskupa Fischera zrobiło tak lubianym i szanowanym, a w obecnej dobie pierwszym kaznodzieją ludowym, popularnym.

Tom niniejszy jego kazań obejmuje okres czasu kościelnego od Trójcy św. aż po dwunastą niedzielę po świętach włącznie. Mamy więc w nim kazania na wszystkie te niedziele i to przeważnie po kilka, bo pojedyńcze są tylko na niedzielę III, IV, V, VI, VII i XII-stą; na niedzielę Trójcy Przenajświętszej i wtórą po świątkach po trzy,

resztę po dwie. Do całości brakłoby kazania, na mało zresztą w praktyce używaną z powodu przypadającego zawsze święta Trójcy Przenajśw., perykopę na pierwszą niedzielę po świątkach. Prócz tego kazania świąteczne na Boże Ciało, Św. Apostołów Piotra i Pawła dwa i na Wniebowzięcie, oraz na niektóre uroczystości jako to: Najśw. Serca Jezusowego (2), Nawiedzenia N. Maryi Panny, Matki Boskiej Szkaplerznej, Matki Boskiej Anielskiej i na uroczystość Najświętszego Serca Maryi. Uwzględnione także zostały nawet z wyborem pewnym kazania o więcej znanych świętych Pańskich mianowicie o bł. Jakóbie Strzemię, o św. Antonim z Padwy, o św. Alojzym (2), o św. Janie Chrzcicielu, o bł. Janie z Dukli i o św. Jacku. Dodał wreszcie autor przemowy przy pierwszej Komunii dzieci zastosowane do obrzędu pierwszej Komunii przepisanej kurendą konsystorza przemyskiego z r. 1868.

Co do formy znajdujemy homilię jedną na narodzenie św. Jana Chrzciciela z jego żywota, zresztą kazania w treści dogmatyczne i moralne o cnotach i występkach, o tajemnicach, jedno historyczne o bł. Jakóbie Strzemię, dwa do studentów gimnazyalnych o św. Alojzym. Często w swych kazaniach posługuje się ks. Biskup Fischer hymnami i pieśniami kościelnemi a dwa z nich: naukę na rannej Mszy na święto Bożego Ciała i pierwsze z kazań na uroczystość Najśw. Serca Jezusowego na nich osnuł. Nie podnosimy tego wprawdzie jako objawu osobliwego w naszej literaturze kaznodziejskiej, bo dużo przedtem już ks. Leon Pastor rozłożył swoje kazania na niektóre uroczystości kościelne właśnie na temat pieśni kościelnych, ale, że one mimo bardzo dodatnich zalet w użyciu homiletycznem tak rzadko są spożytkowywane. I częściej może spotkamy się z poezyą świecką, jeszcze nawet z pogańskim autorem, niż z natchnioną pieśnią religijną. Ona wlewa życie w mowę, ogrzewa ją uczuciem, opromienia pięknością, a przytem praktycznie przyczynia się do jej zrozumienia, wiąże umysł słuchacza z tem, co mu od dzieciństwa życie umila a przez to wywołuje większe przywiązanie do pieśni i gorętszej w nich modlitwy.

W porównaniu z poprzedniemi tomami niniejszy nosi na sobie osobliwy charakter podwójnego doświadczenia. Gdy w dwóch poprzednich odźwierciedliła nam się dusza gorliwego i wytrawnego plebana, w tym widzimy drugie to doświadczenie życia z nowego punktu obserwacyi jako pasterza już pasterzy. Tem cenniejsze nam to dzieło i tem większy zyskuje sobie dlatego szacunek. Nie dziw, że przy tak wybitnych zaletach kazania ks. biskupa Fischera stały się najpopu-

larniejszym podręcznikiem kapłanów, a gdy trzeci ich tom się ukazał, pierwszy już dawno był zupełnie wyczerpany na półkach księgarskich.

Ks. Jarosław Rejowicz.

Widzenie ks. Piotra w trzeciej części „Dziadów". *Zygfryd Lipiner.* Lwów 1904.

Gdyby w łańcuchu wywodów i dowodzeń Lipinera nie brakowało kilku ogniw, gdyby kilka jeszcze szczegółów dało się stanowczo wyjaśnić i udowodnić, to może mielibyśmy nareszcie rozwiązanie zagadki »a imię jego będzie czterdzieści i cztery«, zagadki, która nie przestała do dziś dnia zajmować i drażnić.

Ciekawa to rzecz śledzić historyę jej rozwiązywań; widzieć, jak każda epoka, albo też każdy rozwiązywacz pod owe czterdzieści cztery« podkłada swoje myśli i życzenia. Jeżeli Mickiewicz i pewna grupa ludzi widzieli w tej liczbie Towiańskiego: to stał się on po prostu wcieleniem mistycznych marzeń pewnego działu emigracyi. Cybulski w swoich studyach o Mickiewiczu widział w zagadkowej liczbie samego poetę: otóż Cybulski jest pierwszym objawem, bardzo silnym, kultu dla samego Mickiewicza, jako poety narodowego. Tłumaczenie, odnoszące »czterdzieści cztery« do ks. Ludwika Napoleona, to refleks tej epoki, która po spadkobiercy idei i monarchii wielkiego Napoleona spodziewała się odbudowania Polski.

Tak ciągle, do naszych czasów, próby rozwiązania zagadki się powtarzają. Nie potrzeba się długo rozwodzić nad przyczynami jej długiego życia i zajęcia, które rozbudza: kwestya, która za nią stała w chwili pisania »Dziadów«, jest do dziś dnia kwestyą żywą, niezałatwioną, a tak samo nam na sercu leży, jak pokoleniu z r. 1832. Tem oczywiście tłumaczy się żywotność zagadki, jako zagadki — bo zresztą po za tem rzecz nie przedstawia tak zbytniego interesu; dla odczucia i zrozumienia »Dziadów« jako poematu jest to szczegół raczej podrzędny. Nie kwestya literacka nas tu zajmuje, ale kwestya ważniejsza, zagadnienie, dotyczące losów Polski.

Rozwiązanie Lipinera jest także niejako wypływem swojej epoki. Jak zobaczymy niżej, »czterdzieści cztery« oznacza jego zdaniem lud. To preponderancya l u d u — lud dzisiaj na ustach wszystkich, lud w sercach wielu, w ludzie wielu widzi przyszłego zbawcę: asocyacya pomysłu Lipinera z tym nastrojem umysłów widoczna. Mniejsza o to, że pierwsze poczęcie się tego pomysłu przypada na czasy dawniejsze,

na lata, w których Lipiner tłumaczył »Dziady« na język niemiecki (p. str. 5 rozprawy) — nasza dzisiejsza »ludowość« także nie pochodzi dopiero z ostatnich dni.

Rozprawa Lipinera jest jednakże przytem wszystkiem pierwszem naprawdę naukowem badaniem sprawy. Z dotychczasowych prac o »zagadce« jedne rezygnują z rozwiązania (tak n. p. prof. Tarnowski w »Hist. literatury polskiej« t. V, str. 18, lub Kallenbach, Adam Mickiewicz, t. II, str. 58); inne obejmują obszary zbyt rozległe (jak Wł. Mickiewicz w *Mélanges posthumes* d'Adam Mickiewicz, t. II, str. 269 i ns.); inne wreszcie po największej części schodzą ze ścieżki naukowej na manowce rebusów i szarad. Lipiner jeden kwestyę naprawdę naukowo podejmuje. Punkt wyjścia i wogóle cała metoda rozprawy są ujęte i postawione wybornie; może rzecz zyskałaby większą ścisłość i mniejsze rozpraszanie się, ale o to ostatecznie mniejsza.

Autor zaznacza odrazu, że zagadka »widzenia« nie została dotąd rozwiązaną właśnie dlatego, że zabierano się do niej niby do zagadki, niby do szarady jakiejś. Sam stawia zaś kwestyę na jedynie rozumnej i możliwej podstawie. W widzeniu ks. Piotra jest pod figurą poetycką wystawiony obraz przyszłości Polski, jak ją sobie Mickiewicz w r. 1832 wyobrażał. Żeby go więc zrozumieć, należy szukać poglądów poety na przyszłość Polski w innych jego pismach. To co gdzieindziej znajdziemy w rysach jasnych, zrozumiałych, to przeniesiemy na »zagadkę«.

Otóż odpowiedzi na to pytanie autor szuka przedewszystkiem w piśmie »Pierwsze wieki historyi polskiej« i w wykładach o literaturze słowiańskiej. Streszcza wywody i poglądy Mickiewicza na wytworzenie się Słowiańszczyzny z dwóch elementów, etnicznie różnych, z właściwego słowiańskiego, osiadłego w Europie wcześniej i najezdniczego (Azów), przybyłego z Azyi później, napadającego, podbijającego i organizującego podbite plemiona słowiańskie. Na ziemiach polskich tym elementom najezdniczym, wojennym byli Lechowie — i ci dali początek szlachcie polskiej. Szlachta, spadkobierczyni monarchii Piastowskiej, miała sobie powierzone powołanie bohaterskie Polski; ale zmarnowawszy młodość, nie dorosła epoki męża i zostawiła dalszą pracę młodszemu bratu, swemu następcy, ludowi polskiemu.

Nie możemy się tu zapuszczać w streszczanie streszczania — zaznaczmy jeszcze tylko, że z owej zasadniczej myśli wypływają inne poglądy, tak n. p. na wzajemny stosunek do siebie obu tych warstw, na rolę, jaką element czysto słowiański (ludowy) odgrywał w dawniej-

szym organizmie państwowym Polski, stworzonym przez najezdniczych Lechów, na jego przyszłość i t. d.

Zdania i poglądy historyczne, wygłoszone przez Mickiewicza, Lipiner teraz zestawia z widzeniem ks. Piotra, które przechodzi niezmiernie dokładnie, ściśle, myśl za myślą, zdanie za zdaniem, niemal słowo za słowem, z sumiennością i dokładnością jurystyczną. I oto pokazuje się, że w tem widzeniu niema nic innego, jak tylko to, co się znajduje w różnych miejscach w »Pierwszych wiekach« i w »Literaturze słowiańskiej«. Tam poeta ubrał poglądy historyka w formę poetycką — tu historyk mówi bez figur, symbolów, mówi w sposób naukowy.

Pierwsza część, początek widzenia ks. Piotra, to obraz rzeczywistości. Ze słowami:

»Patrz — ha — to dziecię uszło — rośnie — to obrońca«

zaczyna się wizya przyszłości. »Dziecię« uszło — uszedł prześladowania lud, niższa warstwa plemienia polskiego (str. 12). Narodem dotąd była szlachta — ten naród umiera na krzyżu, następuje wniebowstąpienie, w miejsce narodu szlacheckiego wstąpi lud. To dziecię jest ślepe — autor zwraca uwagę na charakterystyczne odróżnianie przez Mickiewicza elementu czysto-słowiańskiego od najezdniczego, na wizerunki duchowe obu tych warstw, nakreślone przez poetę (str. 27—28). Słowianie w porównaniu z Lechami są mniej bystrzy, mniej rozumni rozumem praktycznym, ziemskim. Za to, jako takich, wiedzie ich nie błędna świadomość ziemska, ale nieomylny instynkt boski, geniusz duszy, anioł. Z matki obcej; lud jest innego pochodzenia, niż lechicka szlachta. Krew jego dawne bohatery: pierwsi królowie polscy, Piastowie, byli Słowianami, wyszli z ludu. Mąż straszny — ma trzy oblicza — on ma trzy czoła, na trzech stoi koronach, a sam bez korony: to lud, nie zacieśniony do granic wyłącznie polskich, to lud słowiański wogóle, a trzy stolice będące jego podnóżem, to Praga, Warszawa i Moskwa. A życie jego trud trudów: to dawne wieki ludu słowiańskiego, ciężki jego żywot dotychczasowy, pod uciskiem innych plemion. Namiestnik wolności na ziemi widomy: »widomą wolnością indywidualną jest własność indywidualna. Widomą niewolą była bezwłasność włości słowiańskiej. Widomym namiestnikiem wolności, tj. własności indywidualnej będzie współwłasność (str. 41). Współwłasność słowiańska istniała i istnieć będzie w tej jednosce organizacyjnej, którą jedyną element słowiański z siebie wytworzył, w gminie.

Wyraz zaś gmina odpowiada liczbie 44:

a	b	c	d	e	f	g	h	i	j	k	l	m	n
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

a więc gmina

$$7 + 13 + 9 + 14 + 1 = 44.$$

* * *

Podaliśmy z wywodów Autora tylko ostateczne rezultaty, o ile nam to będzie potrzebne do dalszego ciągu tego sprawozdania — czytelnik naturalnie zechce się zwrócić do samej rozprawy Lipinera.

Jakież nam należy zająć wobec niej stanowisko?

Uporajmy się najpierw z kwestyą »czterdzieści cztery«. Jest to chyba najmniej ważna z całego kompleksu spraw, zawartych w widzeniu i omówionych przez Lipinera. Że gdy na miejsc liter podstawimy w wyrazie gmina liczby i zsumujemy je, otrzymamy 44: to jasne i zrozumiałe. Że Mickiewicz użył liczby na oznaczenie człowieka czy grupy ludzi, to także nie jest rzeczą dziwną; jest tak w Apokalipsie, jest u Dantego, jest to w filozofii Pitagorejczyków, jest u mistyków (p. Wład. Mickiewicza op. cit,). Tylko jeżeli tę liczbę możemy tak wiernie i tak racyonalistycznie przetłumaczyć na słowa, to wynika z niej pewien urok tajemniczości, a zostaje logogryf, zostaje zabawka. Bo musimy sobie przytem wyobrazić fakt taki, że Mickiewicz z ołówkiem w ręce wyszukiwał cyfr dla gminy, dodawał je — bawił się jednem słowem. Tak naturalnie być mogło, liczba 44 jako równoważnik gminy została w jego umyśle, i potem już, w chwili tworzenia widzenia, weszła do niego jako jeden z motywów. Przekładając 44 na słowo, musimy koniecznie przypuścić także tej sprawy autecedencye — dowodów na to niema żadnych. Rzecz to wiadoma, że w historyczno-literackich dociekaniach musimy często uciekać się do konstrukcyi, wypływających naturalnie i po prostu z rzeczy danych — ale zawsze lepiej, jeżeli ją możemy czemś faktycznem podeprzeć.

Ale do tego szczegółu nie ma co przywiązywać większego znaczenia. Cała waga widzenia ks. Piotra polega na czem innem, cała też waga i wartość rozprawy Lipinera jest gdzieindziej. Transkrypcya 44 musiała tylko być rozprawy zakończeniem, wypływając z wywodów poprzednich. Otóż te wywody poruszają momenty niezmiernie ważne dla charakterystyki Mickiewicza.

Dotyczą one mianowicie dwóch działów polityczno-społecznych poglądów poety: jego »demokratyczności« i jego slawofilstwa. O ile

wiem, w żadnem z dotychczasowych opracowań kwestye te nie są należycie rozjaśnione. I Lipiner ich nie rozjaśnia zupełnie; nie było to zresztą jego zamiarem. Ale cała waga jego rozprawy jest właśnie w tem, że je przynajmniej porusza, że pobudza przez to do myślenia, do głębszego w rzecz wniknięcia. Niedostatkiem jej jest pewne nieliczenie się z datami. Tu właśnie braknie jednego ogniwa w łańcuchu jego dowodzeń. »Dziadów« część trzecia pochodzi z r. 1832. Poglądy, wyrażone w Pierwszych wiekach historyi polskiej są w każdym razie o kilka lat późniejsze. To jest, dzieło samo pisane było później. Otóż Lipiner te poglądy przenosi już do roku 1832. A na to nie mamy znowu dowodu. Autor rozprawy zwrócił na to uwagę tylko przelotnie. Nasunęła mu się jedna tylko objekcya: w »Księgach Narodu« są myśli inne, pogląd inny. Lipiner trudność tę usuwa wyjaśnieniem, że inny był cel i zadanie »Ksiąg«, a inny »Dziadów«; tam Mickiewicz był nauczycielem, z przeszłości wielbił to, co w niej było dążeniem do nowego życia, — tutaj był prorokiem, śpiewał sobie (str. 25—26). Ale to tłumaczenie, trafne zresztą, wystarczy tylko dla »Ksiąg«. Sprzeczności chronologicznej nie usuwa. Nie mamy skądinąd dowodów, że Mickiewicz takie wyznawał poglądy w r. 1832. »Pierwsze wieki« pisane były około r. 1837; ileż do tego czasu poeta mógł przemyśleć, ile się nauczyć, ile zapatrywań zmienić! Prawda, że studyom historycznym oddawał się zawsze, od lat uniwersyteckich jeszcze — więc nad przeszłością słowiańską mógł się zastanawiać od dawna. Prawda, że slawofilstwo pojawia się bardzo silnie w początkach naszego romantyzmu, skąd się mogło poecie udzielić. Ale ciągle stajemy wobec faktu, że brak nam bezpośrednich dowodów na to, jakoby już w r. 1832 pojęcia jego pod tym względem przybrały tę postać, jaka jest w Widzeniu księdza Piotra. Tak być mogło — ale nie możemy stanowczo stwierdzić, że tak było. Przypuszczenie stawić możemy, ale ono musi przypuszczeniem zostać.

Na przypuszczeniu tedy opiera się hipoteza Lipinera. Gdyby nie to, miałaby wszelkie dane po temu, aby się stać pewnikiem. Jego tłumaczenie nadaje się do Widzenia doskonale, wyjaśnia drobne nawet szczegóły, wyjaśnia logicznie i rozumowo — pokazuje doskonałą jedność i całkowitość Widzenia: jest jednem słowem z dotychczasowych wyjaśnień najlepszem, jedynem, możnaby powiedzieć; ale niestety ostatniem słowem jeszcze nie jest. Pozostaje do zrobienia praca bardzo zresztą interesująca: wyszukanie dowodów na to, że w r. 1832 Mickiewicz takie miał poglądy, jakie mu autor rozprawy przypisuje. Jeżeli

to się udowodni, w takim razie tłumaczenie Lipinera będzie rozwiązaniem zagadki raz na zawsze (z wyjątkiem może samej liczby).

Ale czy rozwiązanie Lipinera przyjmiemy lub nie, czy hipoteza stanie się pewnikiem lub nie stanie: rozprawa pozostanie w literaturze Mickiewiczowskiej nabytkiem stałym. Inaczej, aniżeli dotychczasowe próby rozwiązania zagadki. A stało się to dlatego, że w naukowy sposób naukową kwestyę porusza i to kwestyę, leżącą poza sferą zagadkowości, poza polem doświadczalnem fantazyi.

Poruszył mianowicie Lipiner kwestyę demokratyzmu i slawofilstwa u Mickiewicza. Są to przecież rzeczy dla charakterystyki poety — zwłaszcza w latach po r. 1834 — niezmiernie ważne. Łączą się te jego pojęcia bardzo ściśle z pojęciami, wyrosłemi z romantyzmu, ale u poety przybierają odcień bardzo silnie indywidualny. Praca Lipinera nie jest jeszcze ich pokazaniem i wyjaśnieniem, ale już przez to samo jest ważna, że zwraca na nie uwagę. Opracowane one dotąd nie są. W obu monografiach, Chmielowskiego i Kallenbacha, niema ich; warto np. przeczytać, co Kallenbach mówi o dziele »Pierwsze wieki historyi polskiej« i o wykładach literatury: jak tam moment slawofilski jest pominięty. Nie róbmy naturalnie z Mickiewicza panslawisty i nie przenośmy w jego epokę pojęć dzisiejszych. Ale slawofilstwo jego jest przecież bardzo silne; widzieli je jego współcześni, a Słowacki w »Beniowskim« ostro je wytykał. Otóż te problemy przez naszych historyków Mickiewicza nie są tknięte. Lipiner zwraca na nie uwagę, każe się nad nimi zastanowić. I to, zdaje nąm się, jest największą jego rozprawy zasługą. Kwestya jest podjęta; teraz należy się jej dokładnie przypatrzyć.

Dr. St. Dobrzychi.

Z piśmiennictw obcych.

Casus conscientiae ad usum confessariorum compositi ac soluti ab *Augustino Lehmkuhl Soc. Jesu Sacerdote.* Volumina duo, editio altera. Friburgi Brisgoviae, sumptibus Herder.

Longum iter per praecepta, breve et efficax per exempla, mówi stare przysłowie. Każda praktyczna umiejętność wymaga nie tylko gruntownej i systematycznej znajomości ogólnych zasad, ale obok tego łatwości w zastosowaniu tychże do poszczególnych wypadków. Od lekarza zawodowego słusznie żądamy nie tylko nauki, ale, aby umiał poznać

jakość choroby, zastosować środki stosowne do natury samejże choroby i organizmu chorego; od prawnika domagamy się, by umiał wyzyskać wszystkie warunki i okoliczności danej sprawy, i wiedział pod jakie paragrafy prawa podciągnąć ją należy. Spowiednik z powołania swego jest lekarzem dusz ludzkich, jest i sędzią sumienia. Otóż jedna i ta sama niemoc moralna występuje w różnych, mniej lub więcej groźnych symptomach, według usposobienia człowieka, warunków wewnętrznych i zewnętrznych życia, środków jakimi rozporządzać może w celu cofnięcia złego.

Zadaniem więc spowiednika, jako lekarza dusz, jest nie tylko rozpoznać chorobę duszy w jej najogólniejszych objawach, ale i poszczególne jej oznaki, poznać jej źródła, organizm duchowy chorego i umieć przepisać stosowne lekarstwa. Jako sędzia występuje on wobec swego penitenta z kodeksem moralnym, ale musi zbadać sprawę dokładnie, uwzględnić wszelkie okoliczności łagodzące lub obciążające winę obżałowanego, dopiero wtedy będzie mógł według prawa wydać wyrok sprawiedliwy. Tego zaś nie da mu sama tylko umiejętność choćby bardzo głęboka teologii moralnej, potrzeba tu wiedzy praktycznej, nabytej albo własnem doświadczeniem, albo opartej na praktyce innych już obeznanych z umiejętnością kierowania dusz. Aby tę praktyczną wiedzę ułatwić, zwykli autorowie poważniejszych dzieł moralnych wydawać w osobnych podręcznikach zastosowanie prawideł do wypadków życia codziennego.

Przed kilku laty powstała formalna burza, zwłaszcza w Niemczech, przeciw dotychczasowej metodzie wykładów teologii moralnej, przyjętej w spuściznie po św. Alfonsie Liguorim. Znany moralista O. Lehmkuhl odpowiedział na zarzuty wydaniem dwóch tomów *Casus conscientie* r. 1902 i 1903, oparty na silnem przeświadczeniu, że wykład teologii moralnej o tyle będzie korzystnym, zwłaszcza, gdy chodzi o wykształcenie dobrych spowiedników, o ile po gruntownem wyjaśnieniu i naukowem uzasadnieniu zasad moralnych uwzględni wymogi życia praktycznego [1]. Z różnych wydarzeń moralnych, z któremi się do niego odnoszono z całego świata, powziął zamiar ułożenia innych podobnych, których wszelako przedstawienie i rozwią-

[1] »Semper mihi persuasum erat, moralem theologiam nunquam recte tradi, maxime non, quando dirigitur ad efformandos confessarios, nisi, post principia ad eum modum, quem exigit scientia diligenter exposita, descendatur — id quod casuistica facit — ad singularia et ad actiones humanas diversissimis circumstantiis distinctas«. Praef. ad 1 ed.

zanie może służyć czytelnikowi za podstawę do rozwiązania faktów rzeczywistych bez mechanicznego wszakże zastosowania wyczytanych kazusów do tego, co w życiu wydarzyć się może. Nie daje przeto suchego tylko rozwiązania wypadku, ale zarazem podaje racye naukowe, dlaczego w ten a nie w inny sposób rzecz rozstrzygnąć należy, jako też zasady, które mieć trzeba na oku w danym wypadku.

Niebawem, już w r. 1903 okazała się potrzeba nowego wydania. Autor zachował tę samą metodę, co w pierwszem. Zarzuty podniesione przez pewnego recenzenta »nowej szkoły« wcale go nie przekonały o potrzebie zmiany zapatrywania w kwestyi probabilizmu i poddania się prawom cywilnym, wkraczającym w dziedzinę jurysdykcyi czysto duchownej. Dokładniej tylko wyłuszczył rzecz o prawach małżonki do dóbr wspólnych na podstawie kodeksu niemieckiego, — o przyczynach zwalniających od sekretu. W kwestyi ślubów zgromadzeń zakonnych uwzględnił autor w tem nowem wydaniu najnowszą normę św. Kongregacyi Biskupów i zakonników z dnia 3 maja 1902. Dodany wreszcie jeden »casus« »o ważności testamentu i ostatniej woli na cele religijne«. W drugim tomie dodał kilka kazusów tyczących się postu naturalnego przed odprawieniem Mszy św., rubryk, i o władzy dyspenzowania w przeszkodach małżeńskich.

Samo nazwisko »seniora teologów tegoczesnych« jest wystarczającą rękojmią wartości tego dzieła. Ścisłość nauki, jasność, wytrawność i stanowczość sądu — zrozumienie potrzeb, braków i prądów obecnej chwili, wreszcie umiarkowanie w rozstrzygnięciu zagadnień, oto główne cechy dzieła O. Lehmkuhla. *Casus conscientiae* wielką oddadzą przysługę duszpasterzom zarówno jak i słuchaczom teologii, zwłaszcza przygotowującym się na egzamin *ad confessiones audiendas.* Tamci znajdą w niejednym wypadku jasne rozwiązanie własnych wątpliwości, a ci, przeszedłszy już teoryę teologii moralnej, powtórzą ją sobie z łatwością i nauczą się zastosować ją do praktyki życia. *Ks. Romuald Kudasiewicz.*

Der sakramentale Charakter. Eine dogmatische Studie von *Dr. Theol. M. I. Lucian Farine.* In den Strassburger Theol. Stud. B. VI. H. S. XIV. u. 95. Bei Herder. Freib. i. B. 1904.

Niniejsza rozprawa jest częścią obszerniejszej, dotąd nie wydanej, pracy o łasce sakramentalnej. Owoc kilkoletnich nad tym przedmiotem studyów zbiera autor (str. X.) w następujących dwóch twierdzeniach, które i na obecną rozprawkę c charakterach sakramental-

nych wywarły wpływ przeważny: »1. W obecnej ekonomii Bożej poza łaską sakramentalną (t. j. taką której sakrament jest źródłem lub najbliższym celem) nie istnieją łaski nadprzyrodzone. 2) Wszystkich darów nadprzyrodzonych przyczyną, nie tylko sprawczą *(causa efficiens)* ale formalną *(causa formalis)* jest sam Duch św., czyli: nie istnieją dary nadprzyrodzone, którymi Bóg dusze ludzkie ozdabia, realnie różne *(realiter distincta)* od Boskiej istoty Ducha św.«. Z tych dwóch twierdzeń pierwsze przebija w całej pracy, jako gdzieindziej udowodniona suppozycya, drugie, zastosowane do charakterów sakramentalnych, wypełnia cały rozdział pierwszy, ujęty w formę trzech tez. »Charakter sakramentalny nie jest przypadłością realnie różną od istoty Bożej, bo 1-o jest to niemożliwem (str. 6.) i sprzecznem w pojęciach (str. 15); bo 2-o tego rodzaju przypadłość nie czyni zadość zadaniu i przeznaczeniu charakterów (str. 15); bo 3-o pismo św. i tradycya nie znają przypadłościowej formy charakteru, ale ustawicznie mówią o samym Duchu św., odbitym czy wyciśniętym na duszy w formie pieczęci *(sigillum)* (str. 41). Drugi i trzeci rozdział usiłuje wykazać, że w chrzcie, bierzmowaniu, kapłaństwie — charakter; w małżeństwie — *analogon characteris*, węzeł małżeński, jest łaski sakramentalnej znakiem, zadatkiem, przyczyną sprawczą« (str. 65—95). Powyższe twierdzenia zawierające treść całej rozprawy wymagałyby długiego i niezbyt łatwego roztrząśnienia. Ograniczamy się do kilku uwag. Można rozprawiać swobodnie, czy dary nadprzyrodzone, od Boga duszom udzielane, są czemś realnie różnem od substancyi duszy naszej, można powiedzieć, choć i to byłoby dość śmiałem, że tak nie jest, że dar nadprzyrodzony (charakter, łaska, cnoty wlane i t. d.) jest tylko modyfikacyą w duszy ludzkiej przez Boga wywołaną, ale niewątpliwie fałszywem, teologicznie i filozoficznie niedopuszczalnem jest twierdzenie autora, że dary nadprzyrodzone nie różnią się realnie od istoty Bożej, czyli przez appropryacyę, od istoty Ducha św. Dar nadprzyrodzony w sferze elewacyi jest czemś nam własnem, czemś, co wchodzi w skład naszej całości, naszego bytu, co jest własnem naszem, aktualnem czy potencyalnem życiem, co tworzy z substancyą duszy nową, nadprzyrodzoną oczywiście naturę. Już zaś Bóg, który zawsze jest i pozostać musi realnie różnym od swego stworzenia, nie może udzielić mu się w taki sposób, aby formalnie *(non efficienter aut terminative)* być tego stworzenia bytem i życiem. Stąd istnienie przypadłości nadprzyrodzonych, od Boga realnie różnych jest wprost pewnikiem teologicznym, który Dr. F. bardzo śmiało o niemożliwość i sprzeczność pomawia. Dowody, które na po-

parcie swego twierdzenia przytacza, są bardzo słabe. Argumentacyę filozoficzną pomijam, bo spoczywa na najwidoczniejszym braku zrozumienia natury »przypadłości« i nadprzyrodzonego porządku (Nr. 6—15). Drugi argument, oparty na zadaniu charakterów sakramentalnych, lubo zawiera myśli piękne i wzniosłe (zapożyczone z teoryi Scheeben'a, Lingens'a), nie nadaje się absolutnie do tezy autora. Dary nadprzyrodzone mogą doskonale łączyć wiernych w jedno mistyczne ciało Chrystusowe, chociaż Duch św. nie jest, formalnie rzecz biorąc, ich treścią. Lecz cóż powiedzieć o tekstach Ojców? Czyż Ojcowie ze szczególnym jakimś naciskiem nie opisują, idąc w tem za pismem św., »pieczętowania Duchem św.?« Najpierw jest to rzeczą powszechnie znaną, że »pieczęcią« można nazywać nie tylko odcisk wyciśnięty, ale i instrument wyciskający. Jeszcze starzy scholastycy, nie mówiąc już o Ojcach, nazwę »pieczęci«, albo i »charakteru« nadają Bogu, Trójcy św., Duchowi św., Chrystusowi Panu, jako »przyczynom« piętna wywartego na duszy (Por. np. św. Tom. In 4 dist. 4. q. 1. a. 2. sol. 2 i III. q. 63. a. 3. itd.). Czemużby więc ten sens nie miał wystarczyć do wytłumaczenia Ojców, gdy Ducha św. zowią *sigillum* pieczęcią, piętnem i. t. d.? Że w ten sposób rozumieć Ojców trzeba (mimo przeciwnego zdania Petawiusza, Thomassin'a i kilku innych) wypływa najoczywiściej z tej prostej uwagi, że Ojcowie w ogromnej większości tekstów (zwłaszcza św. Augustyn, główna powaga w tej materyi) mówią o charakterze, jako o znamieniu przez Boga, przez sakrament, wywartem, wyciśniętem, duszy własnem, duszę tak przetwarzającem, jak wizerunek na monecie lub na wosku odbity. Stąd to wszyscy nieomal teologowie, co Dr. F. (str. 57) uważa za suppozycyę nieudowodnioną, wcale nie wątpią i istotnie uważają za oczywiste *(sebstverständlich)*, że charakter nie jest formalnie Duchem św., ale wynikiem Jego działania na duszę. Autor mógł tem łatwiej pójść za tem powszechnem zdaniem, że i on (str. 58 i indziej) przyjmuje modyfikacyę przez Ducha św. w duszy wywołaną, choć przyznać nie chce, aby ta modyfikacya była formalnie charakterem. Powtóre, jeszcze w inny sposób czynią teologowie zadość tekstom Ojców z naciskiem podnoszących udział Ducha św. w sprawie elewacyi nadprzyrodzonej. Mianowicie, lubo rzecz nadprzyrodzona (łaska, charakter i t. d.) formalnie jest przypadłością w nas bytującą i zamkniętą, to przecież owa przypadłość jest podstawą nowego stosunku do Boga, czyli do Ducha św. i przez to wiąże niejako duszę z Bogiem i w Bogu ma rzeczywiste, chociaż zewnętrzne dopełnienie. Teologowie mówią o tem głównie odnośnie do łaski poświęcającej (Por. Chr. Pesch.

Prael. dogm. T. II. n. 667 sqq.), ale coś analogicznego przyjąć też można odnośnie do charakteru. W tym wypadku teksty Ojców nabrałyby jeszcze pełniejszego znaczenia, bo Duch św. należałby do samego charakteru, wprawdzie nie jako *forma informans*, ale jako *forma assistens*, jako *terminus relationis per characterem introductae*. Pytać się zaś z autorem (str. 51) coby powiedział św. Cyryl Al. o teoryi, która elewacyę formalnie przypisuje nie Duchowi św., lecz nadprzyrodzonej przypadłości wlanej, nie ma sensu. Gdyby przed św. Cyrylem stanęła kwestya elewacyi w tej sprecyzowanej formie, w jakiej ją 600 lat później, na podstawie długiej ewolucyi postawiła szkoła, sądzę, że niewątpliwie opowiedziałby się po stronie większości teologów. Jest to błąd niestety dość ogólny, że nadużywa się zdań Ojców do rozstrzygnięcia kwestyi scholastycznej, która w umysłach Ojców wcale nie istniała w swej ściśle określonej, scholastycznej formie.

Drugi i trzeci rozdział broni, przynajmniej w 4 sakramentach t. z. pośredniego działania sakramentu na łaskę, na tem polegającego, że sakrament nie wprost łaskę ma sprawować, ale charakter lub jego analogon (co do tego ostatniego punktu różni się Dr. F. od Schwetz'a i Oswald'a), a przezeń dopiero łaskę. I w tem nie możemy się pisać na zdanie autora. Zupełnie słusznie powiada Gutberlet, że taki człon pośredni w działaniu sakramentów jest czystą fantazyą, niczem nie dającą się udowodnić, bo przeciwnie zawsze i wszędzie naucza nas objawienie o bezpośrednim stosunku przyczynowym między sakramentem a łaską (Heinrich. Dogm. T. 9. § 491. n. 3. str. 144). Spełzły tu na niczem nawet subtelne wywody Billot'a, a cóż dopiero argumenty autora, wogóle słabe. Jak można za argument w tej mierze używać tekstu Rzym. 8, 26 — nie pojmuję. Nie pojmie też tego żaden teolog i egzegeta. Inna jest kwestya, czy sakrament sprawuje łaskę za pomocą i za pośrednictwem charakteru — temu przeczymy, inna kwestya, czy łaska zostaje udzieloną w zależności niejako materyalnej od charakteru — na co się zgadzamy, przyjmując z autorem za zadanie charakterów zbudowanie mistycznego ciała Chrystusa, a zatem przygotowanie organizmu mającego żyć życiem łaski.

Pomijam wiele innych twierdzeń wymagających podobnego sprostowania. Wielka szkoda, że praca, w której znać znaczną erudycyę teologiczną, głębokie pojęcie nadprzyrodzonego porządku, pod wpływem kilku myśli nie dość przetrawionych, uległa spaczeniu i weszła na tory, gdzie z ostrą krytyką spotkać się musi.

Ks. Jan Rostworowski.

Prael. dogm. T. II. n. 667 sqq.), ale coś analogicznego przyjąć też można odnośnie do charakteru. W tym wypadku teksty Ojców nabrałyby jeszcze pełniejszego znaczenia, bo Duch św. należałby do samego charakteru, wprawdzie nie jako *forma informans*, ale jako *forma assistens*, jako *terminus relationis per characterem introductae*. Pytać się zaś z autorem (str. 51) coby powiedział św. Cyryl Al. o teoryi, która elewacyę formalnie przypisuje nie Duchowi św., lecz nadprzyrodzonej przypadłości wlanej, nie ma sensu. Gdyby przed św. Cyrylem stanęła kwestya elewacyi w tej sprecyzowanej formie, w jakiej ją 600 lat później, na podstawie długiej ewolucyi postawiła szkoła, sądzę, że niewątpliwie opowiedziałby się po stronie większości teologów. Jest to błąd niestety dość ogólny, że nadużywa się zdań Ojców do rozstrzygnięcia kwestyi scholastycznej, która w umysłach Ojców wcale nie istniała w swej ściśle określonej, scholastycznej formie.

Drugi i trzeci rozdział broni, przynajmniej w 4 sakramentach t. z. pośredniego działania sakramentu na łaskę, na tem polegającego, że sakrament nie wprost łaskę ma sprawować, ale charakter lub jego analogon (co do tego ostatniego punktu różni się Dr. F. od Schwetz'a i Oswald'a), a przezeń dopiero łaskę. I w tem nie możemy się pisać na zdanie autora. Zupełnie słusznie powiada Gutberlet, że taki człon pośredni w działaniu sakramentów jest czystą fantazyą, niczem nie dającą się udowodnić, bo przeciwnie zawsze i wszędzie naucza nas objawienie o bezpośrednim stosunku przyczynowym między sakramentem a łaską (Heinrich. Dogm. T. 9. § 491. n. 3. str. 144). Spełzły tu na niczem nawet subtelne wywody Billot'a, a cóż dopiero argumenty autora, wogóle słabe. Jak można za argument w tej mierze używać tekstu Rzym. 8, 26 — nie pojmuję. Nie pojmie też tego żaden teolog i egzegeta. Inna jest kwestya, czy sakrament sprawuje łaskę za pomocą i za pośrednictwem charakteru — temu przeczymy, inna kwestya, czy łaska zostaje udzieloną w zależności niejako materyalnej od charakteru — na co się zgadzamy, przyjmując z autorem za zadanie charakterów zbudowanie mistycznego ciała Chrystusa, a zatem przygotowanie organizmu mającego żyć życiem łaski.

Pomijam wiele innych twierdzeń wymagających podobnego sprostowania. Wielka szkoda, że praca, w której znać znaczną erudycyę teologiczną, głębokie pojęcie nadprzyrodzonego porządku, pod wpływem kilku myśli nie dość przetrawionych, uległa spaczeniu i weszła na tory, gdzie z ostrą krytyką spotkać się musi.

Ks. Jan Rostworowski.

Geschichte der Wissenschaftlichen Studien im Franciskaner Orden, bis um die Mitte des XIII Jahrhunderts. *Hilarin Felder.* Freiburg, Herder, 1904, in 8 maj. XI+557.

Że autorowie protestanccy bardzo wydają sądy stronnicze o Zakonach i nauce w wiekach średnich, to już pierwej i dokładnie wiadomo. Tak bywało za dawnych czasów, nie lepiej i teraz.

Hermann Masius, doktor, radca tajny, profesor, pisząc o wychowaniu w wiekach średnich [1], wyraził się o Franciszkanach, »dass sie im grossen und ganzen für die Entwickelung der Wissenschaft wenig getan, vielmehr der Unbildung und dem Aberglauben in jeder Weise Vorschub geleistet haben. Wenn schon sie hier und da einzelne bessere Schulen anlegten... so beschränkte sich doch in den meisten Fällen ihre Lehrtätigkeit auf kärgliche Anfänge. Sie waren, gleich den Dominikanern, bloss sog. Lesemeister...«

Otóż O. Hilaryn Felder, autor wyżej wymienionego dzieła, z zakonu Kapucynów z Lucerny, lektor teologii, na to twierdzenie Dr. Masiusa odpowiedział pracą swoją niniejszą ogromną o pięciuset z górą stronach większej ósemki, doprowadzając swoje studya tylko do połowy XIII stulecia, t. j. mówi jedynie o początkach i najdawniejszym rozwoju naukowym w Zakonie św. Franciszka, zatrzymując się właśnie przed samym rozkwitem największym nauk u Franciszkanów, bo czasy te wogóle lepiej już są znane i prawdziwiej ocenione.

Szanowny autor podzielił swoje dzieło, owoc kilkoletniej pracy, jak nam to powiada, na trzy części.

Dział pierwszy, od str. 32—96, obejmuje czynność naukową Minorytów od roku 1209 do 1219, a więc zaledwo dziesięć lat, a jednak wiele tu rzeczy ciekawych i pouczających, a nawet zupełnie nowych! Dowiadujemy się z niego: o pierwotnem kaznodziejstwie w tym zakonie i o jego stosunku do nauki, o stanowisku zakonodawcy franciszkańskiego w zakresie naukowym (wiedza osobista św. Franciszka, który proteguje nauki) i o tem, o ile reguła jego przyczyniała się do rozwoju naukowego.

Dział drugi, 97—316, zawiera w sobie dalsze rozwijanie się nauk w tym zakonie od r. 1219 do 1250.

Tutaj mnóstwo kwestyi interesujących, a wyczerpująco i niezmiernie dokładnie wyłożonych: przyczyny pobudzające do studyów od roku 1219; szkoła Minorytów w Bolonii, studya południowych, a szcze-

[1] *Die Erziehung im Mittelalter,* Leipzig, 1892, II, 1, p. 329.

gólnie włoskich prowincyi Zakonu (o św. Antonim z Padwy, jako lektorze teologii, mamy ilość wielką nowych, ciekawych wiadomości); szkoła najdawniejsza zakonna w Paryżu, jej wpływ na oświatę w Zakonie wogóle, a szczególnie na prowincye francuskie i niemieckie pod względem kulturalnym (o lektorach teologii pierwszych w Niemczech, ważne rzeczy); *Studium generale* w Oksfordzie i rozwój szkół zakonnych w Anglii — wielkiej doniosłości, ponieważ znajdujemy w tym dziale dużo bardzo szczegółów pouczających o Uniwersytecie oksfordzkim i o wpływie jego na studya domowe Zakonu, a także t. z. *Magistri regentes* zostali wyczerpująco uwzględnieni, a więc podane obszerne wiadomości o takim n. p. Robercie, Grossum Caput zwanym, Tomaszu Wallensis, Adamie Marsh (Marisco), Ralfie Colebruge, Wilhelmie Nottingham i innych znakomitościach na polu wiedzy i nauki.

Niemniej ważny jest i zajmujący dział trzeci, ostatni, 317—546, poświęcony układowi wewnętrznemu i systemowi nauczania w szkołach franciszkańskich w XIII stuleciu.

Autor powiada tu naprzód o szkołach, 317—331, t. j. o ustawach szkolnych, studyach generalnych i partykularnych, publicznych i domowych; potem o uczniach i nauczycielach, 332—379, uwzględniając przytem: wstąpienie do Zakonu i rozpoczęcie studyów, pobyt na nich podczas trwania nauk i ukończenie studyów, dalej mówi o nauczycielach, o wykształceniu lektorów, o urzędzie ich i powinnościach; nakoniec traktuje o programach szkolnych, 380—547, roztrząsając zasady ogólne tych programów, później przechodzi do studyów prawnych, medycyny i nauk przyrodniczych, matematyki, muzyki, filologii, filozofii i nakoniec, najobszerniej, pisze o studyach teologicznych, o przedmiocie teologii, naukach pomocniczych, metodzie i stopniowaniu w tej gałęzi wiedzy.

Mówiąc o tych naukach, zaznacza wszędzie bardzo skrzętnie zasługi kulturalne Minorytów, ich zdobycze, zaznajamia nas blizko z osobistościami znakomitszych członków zakonu św. Franciszka, którzy się odznaczyli w tych badaniach naukowych i tym sposobem posunęli znacznie naprzód wiedzę ludzką już w wiekach średnich, niesłusznie tak często o nieuctwo posądzanych.

Taka jest treść, pobieżnie skreślona, tej pracy O. Feldera, bardzo poważnej i starannej, która nam daje wierny obraz zasług zakonu franciszkańskiego już w zaraniu istnienia na różnych polach naukowych, zaznajamia nas dokładnie z organizacyą szkół i nauczania w tych

czasach u Minorytów, wystawiając także w świetle należytem postacie znakomitszych uczonych i pedagogów duchowych św. Franciszka synów.

Za to wszystko należy się szanownemu autorowi tego dzieła cennego i pouczającego prawdziwe uznanie i wdzięczność.

Wołymak.

L'Oblat. *J. K. Huysmans.* Paris, Stock.

Roku 1891. Flamanczyk J. K. Huysmans, zwolennik szkoły Zoli, rozpoczął w ciekawej książce, zatytułowanej *Là-bas,* opowiadanie o błądzeniach i zabiegach młodego autora. W powieści nazywał się ten »typ silnego prądu w dzisiejszej Francyi« Durtal, w rzeczywistości zaś był nim sam Huysmans. Modernistyczne »życie« zbrzydło mu; raz jeszcze roztacza przed nami obraz dawnej przepaści, potem odwraca się i idzie szukać spokoju. W drugiej książce *En route,* która się pokazała r. 1895, znajdujemy Durtala w La Trappe. Chrystus, *Le Grand Veneur d'âmes,* zdobył jego duszę, a ona w pierwszym zachwycie poddaje się ochoczo żelaznej regule klasztornej z jej wiecznem milczeniem i nieprzerwanym postem. Z biegiem czasu ciężar ascetycznego życia łamie siły nowonawróconego; wraca do Paryża, nie by rzucić się znowu w wir rozkoszy, ale by w cieniu *N. D. de l'âtre* żyć wyłącznie dla swoich studyów i swojej duszy. Przez jakie wewnętrzne przemiany tu przeszedł, opisuje r. 1898 w *La cathédrale.* Pod kierownictwem wzorowego kapłana stroniący od świata tułacz uspokaja się powoli. Za przewodnikiem swej duszy podąża do Chartres, gdzie cudowna katedra wnet wypełnia mistyczny jego umysł. Ale wśród estetycznych zachwytów i symbolicznych fantazyi odzywa się coraz głośniej tęskne wołanie wciąż jeszcze nie zaspokojonej duszy. A gdyby też udał się do Solesmes i przybrał habit mniszy! Wszak nie panuje tam surowość, jaka cechuje La Trappe, a przytem zachowuje się tam jeszcze najpiękniejsza cząstka prawdziwego średniowiecza! Wyjazd do Solesmes zamyka *La cathédrale.* Nastąpiła teraz długa cisza; dopiero r. 1903 ukazał się *L'Oblat.*

W tej nowej książce walczące z sobą uczucia, które skierowały jego uwagę na życie Benedyktynów, znajdują niespodziane rozwiązanie. Durtal nie bierze zupełnego rozbratu ze światem, ale nie wstępuje też zupełnie do klasztoru: staje się oblatem. Wszak Leon XIII aprobował w r. 1898 na prośbę Hildebranda de Hemptinne starą ową instytucyę, która istniała w wiekach średnich obok Benedyktynów, Premonstratensów, Templaryuszów i innych zgromadzeń religijnych, podobnie jak

Zakon Trzeci obok Franciszkanów i Dominikanów. W rzeczy samej ma Durtal całkiem mgliste pojęcie o właściwej istocie »oblatów« i nikt nie może rozprószyć mu tej mgły tak, jakby tego pragnął. Opat w »Val de Saints«, w Burgundyi, powiada mu po prostu: »Rozpocznij nowicyat, później się zastanowimy. Potrwa on, tak, jak to jest w zwyczaju u naszych mnichów, rok i dzień. W przeciągu tego czasu będziesz pan słuchał wykładów Dom Felletin'a o liturgii i będziesz uczęszczał do chóru. Tymczasem znajdziemy chyba jakieś wiadomości, i teksty, które możesz potem przestudyować z mistrzem nowicyuszów«. I Durtal wynajmuje sobie w pobliżu klasztoru mały domek z ogródkiem i rozpoczyna swe literacko-religijne życie. Obcuje poufale z mnichami, utrzymuje zażylsze stosunki wyłącznie ze starym kapitalistą i jego już niemłodą siostrzenicą, »Oblatką«. Czasami urządza wycieczkę do blizkiego Dijon, aby kupić sobie nową krawatkę lub butelkę »Chartreuse«, a przy tej okazyi oglądać pomniki miasta. Po ukończonym nowicyacie przyjmuje go zakon w poczet swoich oblatów: przyrzeka więc unikać próżności świata, starać się wedle możności o wymaganą przez św. Benedykta *conversio morum*, i wytrwać w tym trybie życia aż do śmierci. Ale w tem zaciągnęły się groźne chmury nad idyllicznym światkiem klasztoru. Prawo przeciw kongregacyom zmusza mnichów szukać schronienia w Belgii, a Durtal nie może się zdecydować, by pójść za nimi; opuszcza więc ulubiony swój domek i kwitnący ogródek i powraca tymczasem do Paryża za zezwoleniem opata.

Oto cała historya! Na powieść o rozmiarach 450 stron jest to oczywiście bardzo mało.

Lecz Huysmansowi od dawna nie chodzi bynajmniej o powieści. Już r. 1884 wyznał w *A rebours*, że pisze »bez przyprawy sztucznego rozwiązania, że pisze opowiadanie bez intrygi i akcyi«. Huysmans nie tyle opowiada, ile opisuje. Mały swój domek i piękny ogródek, gospodynię i przyjaciół, urocze opactwo, mnichów i ich pracę dzienną, oraz niewinne ich rozrywki, a przedewszystkiem podniosłe ich nabożeństwa, chłopów wioski i szlachtę okoliczną, pomnik miastowy w starym Dijon — wszystko to cieniuje z niezrównaną cierpliwością i po mistrzowsku. Ale w niedającej się zwyciężyć *manie de soliloquer à bâtons rompus* malarz co chwila odkłada pendzel i prawi uczone monologi.

Pewnego n. p. dnia wyjeżdża do Dijon. Jako pobożny oblat chce najpierw wysłuchać mszy św. w kościele Panny Maryi. Nim ta się rozpocznie, otrzymujemy na 7 stronach wykład z dziedziny histo-

ryi sztuki o budowie i obrazach kościoła. Po mszy Durtal oddaje się w cichym jakimś kąciku swoim dumaniom i na kilku stronach omawia niepraktyczne urządzenie brewiarzy. Ale nie jedyna to trudność w życiu duchownem. Oto ustawiczne roztargnienia w modlitwie, nie dozwalające na prawdziwe połączenie się z Bogiem, oto surowe postulata miłości bliźniego, którą inni człowiekowi tak utrudniają, oto pokusy, w których się często nie wie, czy się zezwoliło, czy nie. Rozważania te wypełniają znowu 7 stron. Kiedy później przechadzał się po ulicach, przyszło mu na myśl, że nie zna jeszcze kaplicy Karmelitanek. Idzie więc tam, opisuje w kilku zdaniach *cette églisette qui n'était ni belle ni laide,* a potem filozofuje o surowem życiu zakonnic, daje na dziesięciu stronach historyczny traktat o rekluzach — aż wreszcie przypomina sobie, że już najwyższy czas załatwić się ze swojem kupnem i spieszyć na kolej.

Rozdział ten nie jest wcale wyjątkiem. Przez całą księgę snują się mniej lub więcej długie rozprawy o muzyce kościelnej, o roślinach lekarskich średniowiecza, o artystycznem ułożeniu brewiarza, o historyi i instytucyi oblatów, o prądzie jakimś liberalnym wśród kleru francuskiego, o piękności święta Bożego Narodzenia, o obrazach i rzeźbach muzeum w Dijon, o zachowaniu się papieża wobec francuskiego rządu, o średniowiecznej sztuce księgarskiej i sztuce w Cluny wogóle, o Klausie Sluterze i jego studni mojżeszowej, o problemie cierpienia i t. d.

Rozumie się, że tyle erudycyi, dotyczącej tak odrębnych kwestyi, musi książce, mającej bądź co bądź nosić na sobie cechy beletrystyczne, nadać piętno mięszaniny trudnej do strawienia, gdyby pod innymi względami nie wykazywała znacznych zalet. Przedewszystkiem charaktery są skreślone po mistrzowsku. Żywo stoją przed nami te postacie mnichowskie, począwszy od sędziwego opata aż do najmłodszego nowicyusza, każdy odmienny a każdy pełen ludzkiej prawdy. To odczuwają także krytycy protestanccy. »Człowiek staje się pobłażliwym dla tych Benedyktynów, pisze Dr. Erych Meyer w *Litterarisches Echo* (V, 1398). Występują oni w najkorzystniejszem świetle. Pośród burzliwego świata nizkich popędów, przesiąkniętego egoizmem, posiadają oni własny, cichy światek, w którym panuje miłość, zgoda, pokora i posłuszeństwo, a w którym wykonywa się cnoty bezinteresownie. Są to aż do drobnych swoich słabostek ludzie mili, dobrzy i przezorni, a póki się stoi pod czarem tego opisu, póty można zapomnieć, jak ciężki i bolesny problem stawia *Ecclesia militans* dzisiejszemu światu«.

Gospodyni, Me Bavoil, która tak wielką gra rolę w *La cathédrale,* ustępuje tu na drugi plan, by zrobić miejsce M. Lampre'owi i Mlle de Garambois. M. Lampre jest to oryginalny kawaler, zbierający monografie o mnichowstwie i rozrzucający tysiące na stare miniatury. Benedyktynów przezywa *de pieuses brutes,* gdyż za mało odpowiadają jego ideałom o świętości i uczoności. Przytem zaś jest im oddany ciałem i duszą, a w każdej chwili kieszeń jego dla nich jest otwartą, ilekroć znajdują się w krytycznem położeniu. Siostrzenica jego, Mlle de Garambois jest to otyła, stara panna z duszą dziecka, a mająca dwie namiętności: *la fine cuisine et les offices.* Wystarcza popatrzeć się tylko na jej krawatkę lub na wstążki jej kapelusza, by natychmiast wiedzieć, jaki jest kolor liturgiczny dnia. Słabość jej dla *petits plats* jest wprawdzie dosyć wielką, ale nie mniejszem jest jej zaparcie siebie, z jakiem najniższe usługi świadczy chorym we wiosce. Chłopi, proboszcz i szlachta okoliczna tylko przejściowo wchodzą w ramy książki, ale artyzmowi autora wystarcza to zupełnie, by postacie te tem efektowniej skreślić, tak dalece, że ich indywidualność pozostaje w niezagasłej pamięci czytelnika. Co Huysmans nauczył się dobrego w szkole naturalizmu, który porzucił, tego na szczęście nie zapomniał: opowiadanie jego przybiera cechy obrazu o fotograficznej wierności, ale Huysmans nie tylko fotografuje, a nie fotografuje wszystkiego.

Prawda, można być zdania, że i on wpada w błąd, który właśnie pilni obserwatorowie łatwo popełniają, mianowicie w nadmierną surowość krytyczną. Bardzo trudno go zadowolić, a jeśli kiedy obudzi się w nim niechęć, wówczas staje się bardzo dosadnym [1].

---

[1] Posłuchajmy tylko, jak Huysmans opisuje modernistyczny obraz w muzeum w Dijon:

»Cet Anatole Devosge il avait brossé une bâche inouie; cela s'appelait *Hercule et Phillo.*

La scène représentait une femme enchaînée, étreignant un gosse et s'efforçant de fuir les crocs d'un lion qu'un Hercule en colère étrangle.

Le lion était issu, en droite ligne, d'une lionne de tête de chenet et d'un lion de descente de lit et il semblait, en tirant la langue, surpris d'être traité avec aussi peu de ménagement par cet homme qui lui cravatait si étroitement le col. Hercule, lui, était énorme; il avait le physique d'un Auvergnat que l'alcool a rendu fou; il arborait des muscles outrés et tendait sur des jambes nues et grosses, telles que des poutres, un formidable derrière, quelque chose comme des ballons accouplés, comme des montgolfières conjuguées de percale rose. Quant à la femme, habillée d'une robe abricot

Z prób niżej przytoczonych widać, że Huysmans także pod względem językowym ma swoje właściwości. Zdania w tej mierze we Francyi są bardzo podzielone. Surowi akademicy zatykają sobie uszy i dają Flamandczykowi do zrozumienia, że powinien też pisać po francusku, jeżeli pragnie należeć do literatury francuskiej. Ludzie, których hasłem postęp, a którym sprzykrzył się sztywny klasycyzm, uważają ten nowy sposób opowiadania za wielką przysługę, wyświadczoną przez Huysmansa literaturze katolickiej. W każdym razie znaczną część zainteresowania się tą książką, która doczekała się już licznych wydań, należy złożyć na karb języka.

Przez ile tomów autobiografia Durtala będzie się jeszcze snuła, niepodobna powiedzieć. Znużony pielgrzym, goniący za spokojem, ma według własnego wyznania nieszczęście, że załamuje się pod nim krzesło, ilekroć się wygodnie w niem rozłożył. Bądź co bądź nie bez rzewnej sympatyi żegnamy tego *morphinomane de l'office*. Mistyczna sztuka liturgii upoiła jego duszę, ale pod estetycznym zachwytem kryje się silna wola, by żyć dla Boga. Dlatego też Huysmans, kiedy melancholicznie wypił już »ostatnią butelkę chorału«, kiedy już wypróżnił »piwnicę gregoryańskich melodyi« i znowu spogląda w niepewną przyszłość, znajduje na tyle odwagi, by poddać się Boskiej Woli. »Ah! mój ukochany Zbawicielu, modli się... daj, abym żył według Twego upodobania, byle sobie daleki, a blizki Tobie!«

Ks. J. Overmans.

Contes pour les Jours de Fête. *François Coppée.* Paris. Str. 273.

Mamy tu *Miscellanea,* utwory różnego rodzaju i treści. Naprzód idzie szereg nowell, odpowiadających tytułowi całego zbioru *Pour les Jours de Fête.* Każda z tych nowell czy powiastek treścią swą stoi w związku z jakąś uroczystością religijną, jakimś dniem świątecznym. Boże Na-

---

et d'un peplum groseille, elle roulait, en signe d'effroi, des yeux blancs et l'enfant pleurait convenablement des pilules d'étain, suivant la formule de l'odieux David dont ce peintre était l'élève. Ah! ce Devosge, quel pleutre redondant, quelle ganache épique!« (str. 218/19).

Nie mniej pochlebnie brzmi zdanie, w którem zawiadamia o przyjęciu prawa przeciw kongregacyom przez senat:

»Un sous - Trouillot, du nom de Vallé, avait rempli avec quelques terrines de son eau de vaisselle l'auge de la rue de Tournon et les vieux glandivores s'étaient ventrouillés dans le purin de cette éloquence et avaient voté, haut la patte, la loi« (str. 301).

rodzenie dało autorowi natchnienie do trzech utworów, najpiękniejszych treścią, najrzewniejszych uczuciem w całym zbiorze. Piękną jest opowieść o dwojgu biedakach, rytowniku, który, zrezygnowawszy z wysokich aspiracyi artystycznych, rycinami do dzieł przyrodniczych zarabia na utrzymanie swoje i sędziwej matki, i kopistce, którą nędza popycha do samobójstwa, a których łączy Boże Narodzenie aż do śmierci. Wzrusza również opowieść o staruszce, która swe franki uzyskane jako udział przy rozdziale jałmużny oddaje na zakupno lalki, by ucieszyć na gwiazdkę małą córkę drugiej takiej jak ona biedaczki. A trzecia z tych opowieści mówi o malarzu, który, straciwszy wśród wiru życia paryskiego wiarę, dla pamięci matki maluje dla kościółka rodzinnego obraz przedstawiający Narodziny Chrystusa Pana. Dotknięcie i zajęcie się tym przedmiotem budzi w nim gdzieś na dnie zagrzebane uczucia: ten *bon vivant* z pietyzmem pracuje nad swem dziełem; pierwotnie użył jako modeli do postaci Świętej Rodziny towarzyszy swych zabaw i wybryków, powoli jednak przychodzi do przekonania, że to profanacya, niszczy owoc swej pracy i zaczyna dzieło na nowo, biorąc na modele ludzi uczciwych, czystych. Gdy zaś obraz ukończony wysłał na miejsce przeznaczenia, odzywa się w nim nostalgia. W noc Bożego Narodzenia spieszy z Paryża do odległej Dunkierki, przepędza godziny przed obrazem i odchodząc mówi: »trzeba żebym tu wracał od czasu do czasu«.

Do tej samej kategoryi zaliczyć można *Un enterrement civil, Le bon Dieu à bord, Au son des cloches.* Inny charakter mają *Un drapeau de moins, La messe du patriote, Pour les étrennes de 1902, Un dimanche de l'Avent, Les deux Communions* i *Au cimetière.* Są to utwory czysto refleksyjne, historya opowiedziana daje autorowi tylko pobudkę do rzucenia szeregu myśli o obecnem położeniu Francyi, głównie o jej stosunkach religijnych i moralnych.

W związku ideowym z tą ostatnią kategoryą stoją dwie mowy Coppée'go: *Le devoir des jeunes* i *La liberté de l'enseignement.* W pierwszej z nich dodaje młodzieży opuszczającej mury szkolne zachęty, by zawsze szanowała wiarę, wysoko niosła sztandar krzyża i w tym duchu pracowała na niwie społecznej. Druga mowa krytykuje obecny stan szkolnictwa francuskiego, kierunek liberalny, a właściwie bezwyznaniowy nauki. A przecież we Francyi są jeszcze całe rzesze wierzących, pragnących naukí wiary. — Do wspomnień dzieciństwa odnoszą się dwie rozprawki: *Au musée de Louvre* i *L'instinct militaire.*

Czci i pamięci Starej Gwardyi Napoleońskiej poświęcony jest ustęp: *Les grenadiers à pied de la Vieille Garde.*

Widzimy, jak różnorodne utwory zawiera tom, który właśnie omawiamy. Utwory te wszystkie mają jednak wspólny ton, niejako *Leitmotiv*, łączący je w jedną całość. Tę wspólność, tę łączność nadaje głęboka wiara, wielka religijność przebijająca się w każdem słowie. Autor, stojący już obecnie u schyłku żywota, pragnie tę wiarę swoją przelać w serce swych współobywateli, dąży do tego, by ta Francya, którą synowskiem uczuciem kocha i której pracę całego życia poświęcił, wróciła do wiary ojców, stała się najwierniejszą córą Kościoła. Obecny stan umysłów nie zadowalnia go. Wielu we Francyi wierzy, wielu żyje wedle zasad religii, ale niewiara zatoczyła szerokie kręgi popierana przez prądy idące z góry, przez cały kierunek rządowy. W »Mszy patryoty« modli się o zmianę tego stanu, prosi Boga, by »miał litość nad Francyą, swoją Francyą, który dla jej zbawienia uzbroił Joannę d'Arc mieczem Archanioła«.

Dr. A. Bielecki.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Trzy kongresy.

Kongres maryański, który odbył się w pierwszych dniach czerwca w Pradze, odznaczał się nie tak może liczbą zebranych uczestników, jak raczej praktycznością poszczególnych zgromadzeń, obrad i rezolucyi. Wszystkie czynniki, mogące brać wybitniejszy udział w odrodzeniu ducha katolickiego, a więc sodalicye maryańskie z Czech, Śląska i Morawii, reprezentowane w trzystu delegatach, stowarzyszenia naukowe męskie z czterystu, osobno żeńskie z tysiąc trzystu uczestnikami i uczestniczkami, towarzystwa dobroczynne, znowu osobno męskie i żeńskie, tercyarze i tercyarki św. Franciszka i Dominika, zgromadzali się na odrębnych zebraniach i uchwalali rezolucye, odpowiednie charakterowi i zadaniom poszczególnych związków. Rezolucye te, o ile dałyby się przeprowadzić i o ile nad ich przeprowadzeniem miarodajne sfery czuwać i pracować będą, mogą mieć nie małe znaczenie dla obudzenia katolickiego ducha i życia w Czechach. Pomijając uchwały tyczące się kultu maryańskiego, zaprowadzenia kongregacyi i pielgrzymek do miejsc, w których Najświętsza Panna cześć szczególniejszą odbiera, nie możemy nie zwrócić uwagi na rezolucye odnoszące się do ważnych i pierwszorzędnych objawów życiowych.

I tak zaznacza kongres swe stanowisko wobec kwestyi kobiecej; uznaje dążności mające na celu jej moralne i umysłowe podniesienie, potępia jednak ruch zapoznający jej naturalne zdolności i przerzucający punkt ciężkości działalności kobiety z ogniska domowego do życia publicznego, piętnuje również tę emancypacyę, która chce kobietę wyzwolić z pod wszelkiego prawa moralnego. Stanowczo obstaje kongres przy nierozerwalności małżeństwa; nie zapoznaje wprawdzie trudności, na jakie ta nierozerwalność w pojedynczych wypadkach naraża, lecz środek do zapobieżenia podobnym trudnościom widzi, nie w rozluźnieniu węzła małżeńskiego, lecz w chrześcijańskiem odnowieniu rodziny, wzywa więc wszystkie sfery do wypowiedzenia walki nowemu prądowi, który na drodze reformy prawa zdąża do uznania ścisłego rozwodu małżeńskiego ze strony państwa. Nie pominięto i ruchu *Los von Rom,* potępiono jego ujemną i szkodliwą działalność, wezwano wszystkich do odpierania błędów religijnych i do pielęgnowania życia prawdziwie katolickiego i powitano z radością rozwój związku św. Bonifacego, jako silnego hamulca w walce z niezdrowym prądem. W innych rezolucyach wezwał kongres pisarzy socyalnych do zajmowania się kwestyą socyalną z punktu widzenia życia rodzinnego, zachęcał do czytania i popierania dobrej prasy i do walki z niemoralnością, rozszerzaną przez wystawy obrazów, pisma illustrowane i karty z widokami, nie pominął pracy społecznej i dobroczynnej; wybrane w tym celu komitety mają czuwać nad wprowadzeniem w życie tych uchwał. Samo powzięcie podobnych rezolucyi pokazało, że kongres zrozumiał dobrze potrzeby dzisiejszych czasów — daj Boże! żeby i wykonanie nie pozwoliło długo na siebie czekać.

Do dodatniego wrażenia, jakie każdy z kongresu wyniósł, przyczynił się w niemałej mierze zgodny współudział czeskich i niemieckich katolików. Końcowe słowa przemówienia prezydenta kongresu, hr. Nostitz: »kongres maryański jest katolicką manifestacyą, wychodzącą z dwóch narodowych obozów, łączących się w jedno w swej czci dla N. P. Maryi, w swej dążności do obrony katolickiej wiary, w swej wierności dla Ojca św. i dla panującego domu. Bez różnicy narodowości odnawiamy tu ślub energicznego

zwalczania wszelkich antykatolickich dążności« — te słowa nie były pustymi tylko dźwiękami, lecz wyrażały realną prawdę.

O trochę rozmaitości na czas trwania kongresu postarali się protestanci. Twierdzono wprawdzie, że »wolnomyślni« studenci prascy nie mają ze stanowiskiem wyznaniowem nic do czynienia, jednak na jednem ich zgromadzeniu agitował Wolf wbrew wszelkim zasadom »wolnej myśli« za przechodzeniem na protestantyzm, utrzymując między innemi, że tysiące znalazły w nim wewnętrzny, duchowy spokój. Jakie to delikatne zrozumienie wartości i znaczenia pokoju, który Chrystus nam przyniósł.

Na kilka znów tygodni przed kongresem maryańskim w Pradze zebrali się w Rzymie biskupi słowiańscy, celem obradowań nad językiem liturgicznym. Kwestya ta nabrała aktualności w ostatnich czterdziestu latach; tysiącletni jubileusz przybycia Apostołów słowiańskich do Morawii, obchodzony uroczyście 1863 r., ten sam jubileusz śmierci św. Cyryla 1869 i Metodego 1885 i wreszcie uznanie św. Cyryla i Metodego za Apostołów Słowian przez bulę *Grande munus* z 30 września 1880 r. zwróciły uwagę różnych szczepów słowiańskich na rzeczywiste lub też urojone przywileje, pozwalające na używanie języka starosłowiańskiego w nabożeństwach kościelnych. Głagolica przechowała się u Chorwatów w nabożeństwach odprawianych zawsze według obrządku łacińskiego po dziś dzień, równocześnie jednak wkradły się tamże pewne nadużycia, jak n. p. mieszanie języka łacińskiego z starosłowiańskim, tak iż kapłan części ciche Mszy odprawiał po łacinie, części śpiewane po słowiańsku. W r. 1892 przepisała kongregacya obrzędów, że na przyszłość przy Mszy św. wolno używać jedynie języka starosłowiańskiego bez przymieszki gwary ludowej i bez przeplatania go językiem łacińskim. Trudno uwierzyć, lecz ten jedynie rozumny przepis wywołał pewne rozgoryczenie u ludu i u kleru. Sześć lat później, w roku 1898, wydała ta sama kongregacya dla archidyecezyi: Gorycya, Zara i Zagrzeb nowy przepis, mocą którego język starosłowiański staje się przywilejem realnym pewnych kościołów i tam tylko dozwolonym, gdzie przynajmniej przez przeciąg trzydziestu lat był we faktycznem

użyciu; w tym jednak wypadku wolno kapłanowi łacińskiemu odprawić w kościele słowiańskim Mszę uroczystą tylko po słowiańsku i odwrotnie; jeżeli języka odpowiedniego nie posiadał, pozwolono mu jedynie na odprawienie cichej Mszy św. Te same przepisy odnosiły się i do wszystkich innych ceremonii kościelnych. Skutkiem tego znieśli używanie języka słowiańskiego arcybiskup Zary i biskup Parenzy. Wywołało to ogromne oburzenie, przedewszystkiem w Zarze, która była przecież kolebką liturgii słowiańskiej; umysły uspokoiły się, gdy w r. 1900 Leon XIII ogłosił, że przerwa w używaniu języka słowiańskiego, spowodowana przez przeszkody zewnętrzne, jak n. p. brak odpowiednich książek lub kapłanów języka nie posiadających, nie znosi dawnego przywileju.

Jak naród chorwacki wytrwale przy swych żądaniach i tradycyach stoi, pokazuje najlepiej przykład biskupa z Veglii, ks. A. Mahniča. Gorliwy, czasami nawet namiętny zwolennik języka łacińskiego w liturgii, zmienił się do niepoznania po bliższem rozpatrzeniu się w dyecezyi; na wizytach dyecezyalnych celebruje po starosłowiańsku — a musiał się dopiero języka uczyć, — stara się o oczyszczenie obrządku słowiańskiego, założył nawet w swej drukarni osobny dział dla głagolicy i powołał do życia *Akademię słowiańską,* mającą na celu bliższe zapoznanie się z dawnymi piśmiennymi zabytkami i ich opublikowanie, aby tym sposobem położyć podstawę pod nowy brewiarz i wierne tłumaczenie Pisma św.

Nie wchodzimy w tem sprawozdaniu w ocenę, czy i o ile język słowiański w liturgii jest uprawniony, czy przeszkadza on jedności Kościoła, czy też jej raczej sprzyja, czy wogóle jego znaczenie dla życia i uświadomienia narodowego nie jest przecenione — doświadczenie uczy, że sam obrządek cudów w życiu ludów nie działa, nie przeszkadza nawet zlaniu się dwóch sobie obcych narodów, podczas gdy obcy narodowi obrządek siły odpornej bynajmniej mu nie odbiera — faktem jest, że w ziemiach chorwackich nie są zadowoleni z tego, co obecnie im w tej dziedzinie dano, lecz żądają ponownego zaprowadzenia liturgii słowiańskiej tam, gdzie ona kiedyś istniała. Te agitacye wzrosły

szczególniej za rządów obecnego Papieża, któremu przypisywano, nie wiedzieć dlaczego, *a priori* pewne uprzedzenie względem starosłowiańskiej liturgii. Zapomniano, że Pius X nie jest tylko politykiem, lecz w pierwszej linii papieżem i to papieżem nie Włochów, lecz katolików; stąd też dąży on do rozwiązania i uregulowania tego problemu nie z punktu widzenia włoskiego — Włochom uśmiecha się myśl konsekwentnego przeprowadzenia liturgii łacińskiej, ponieważ sądzą, że tym sposobem łatwiej będą mogli tym szczepom odebrać ich narodowość i zlać je z Włochami — lecz z punktu widzenia kościelnego. Dlatego też wezwał Pius X biskupów, przeważnie chorwackich, do Rzymu, aby w tej sprawie dojść do pewnego porozumienia. Porozumienie nie będzie łatwem. Biskupi Tryestu i Parenzy są zdecydowanymi przeciwnikami głagolicy, biskupi Veglii i Cattary nie mniej zdecydowanymi jej zwolennikami, biskup z Spalato jest niepewny, inni zachowują się biernie. Utrudniać może porozumienie bardzo stanowcza petycya kleru kraińskiego, wymagająca, aby przywilej nadany dla Słowian przez Hadryana II i Jana VIII został ogólnie zastosowany, aby starosłowiański język zaprowadzono w całej dyecezyi lublańskiej, gdzie mieszkają Słoweńcy, aby wreszcie na fakultecie teologicznym w Lublanie ustanowiono katedrę języka starosłowiańskiego.

Kongres zakończył się 29 maja, obrady jego były tajne; stwierdzić da się jedynie, że na obradach panowała niezwykła jedność, że wszyscy jednomyślnie rezolucye podpisali, iż wreszcie biskupi sami odnieśli wrażenie, że obrady rzymskie nie pozostaną dla Kościoła bez skutku.

Trzy dni po ukończeniu kongresu słowiańskiego rozpoczął się również w Rzymie pierwszego czerwca kongres eucharystyczny, trzydziesty pierwszy w szeregu wszystkich dotychczasowych kongresów eucharystycznych, a szesnasty w szeregu większych i znaczniejszych. Cechowała go ta okoliczność, że był on właściwie pierwszym międzynarodowym kongresem, skupiającym w sobie przedstawicieli całego Kościoła, podczas gdy wszystkie inne dotychczasowe, aczkolwiek nazwane międzynarodowemi, były prawie

wyłącznie francuskiemi, odbywały się też z małymi wyjątkami we Francyi, albo przynajmniej w sąsiedniej Belgii i Szwajcaryi. Ojcu św. widocznie wiele zależało na tem wielkiem zebraniu, dlatego nie tylko udzielił odpustu tym, którzy na czas trwania kongresu przynajmniej przez pięć minut przed N. Sakramentem się pomodlą, ale i sam brał czynny udział w ceremoniach kongresu; rozpoczął go uroczystem nabożeństwem przy grobie św. Piotra, w niedzielę czwartego czerwca przemawiał do zgromadzonych i zakończył wreszcie procesyą i udzieleniem błogosławieństwa. Kilkunastu kardynałów, około stu arcybiskupów i biskupów brało udział w kongresie i przyczyniało się do jego uświetnienia, a najwybitniejsi mowcy kościelni głosili w gorących słowach chwałę N. Sakramentu.

Pewien rozdźwięk wniosły tylko w zgromadzenie dwa katolickie stowarzyszenia, które uważały siebie za komitety lokalne, powołane do zorganizowania kongresu; lękano się nawet, czy wobec ich wzajemnych zwalczań się, kongres dojdzie do skutku. Że doszedł i że jego przebieg przeszedł wszelkie oczekiwania, to było wyłączną zasługą prezydenta kongresu, kardynała Respighi; okoliczność ta rzuca jednak ciekawe światło na stosunki panujące między katolikami włoskimi, o których tyle już razy pisał *Przegląd.*

Fałsz i prawda z Hiszpanii.

Z szczególniejszem zamiłowaniem zajmuje się od dłuższego już czasu prasa liberalna i protestancka Hiszpanią. Gdyby we wszystkich odnośnych sprawozdaniach znajdowała się choć setna część prawdy, trzebaby istotnie przyznać, że gorszych stosunków na całym świecie chyba już być nie może. Niedowierzaniem przejmuje jednak myślącego czytelnika fakt, że tylko pewien, ściśle określony odłam prasy, dla której wszystko co katolickie i pozytywnie wierzące, jest już tem samem potępione, otacza daleki półwysep taką osobliwszą troskliwością; to niedowierzanie przemienia się niebawem w pewność, że rzekome zbrodnie są albo zupełnie zmyślone i fałszywe, albo przedstawiają się w rzeczywistości w całkiem innem świetle.

Z okazyi katastrofy, jaka przed kilku miesiącami miała miejsce przy zawaleniu się budowli wodociągowych w Madrycie,

przebiegła jak huragan przez wszystkie antykatolickie pisma wieść, że protestanci hiszpańscy dokonywali cudów męstwa i miłości bliźniego, z katolickich księży nikt się nawet nie ruszył; owszem »flamandcy mnisi« nie pozwolili na umieszczenie rannych w swym klasztorze, a proboszcz odpowiedniej dzielnicy, który sam jeden znajdował się na miejscu nieszczęścia, przeszkadzał pracy ratunkowej tak dalece, że gdy protestanci otworzyli dla rannych swą szkołę, nie pozwolił ich w niej umieścić, lecz wykrzykiwał głośno na »przeklęty przybytek dyabelski«. Tymczasem na miejscu wypadku było kilku księży świeckich, dużo zakonników i zakonnic, pracujących z prawdziwem poświęceniem dla rannych, a Bracia szkolni, owi »flamandzcy mnisi« (pewna ich część z Flandryi pochodzi) przyjęli dwudziestu sześciu rannych do swego »wielkiego pałacu«, spotwarzony proboszcz pierwszy pomógł do ulokowania pewnej części nieszczęśliwych w szkole protestanckiej która jako najbliższa miejsca wypadku, była najbardziej do tego celu odpowiednią, udzielał konającym ostatnich sakramentów i rozstał się w najlepszej zgodzie z zawiadowcami szkoły.

Minęła się więc z prawdą ta senzacyjna wiadomość a niemniej i druga o skąpstwie i braku litości dla ubogich i nędzarzy ze strony kleru i bogatych katolików, którzy, rozrzucając tysiące na przyjemności, nie mają ani grosza dla biednych — chcąc sobie jednak zasłużyć na niebo dają »miliony« na koronę Madonny del Pilar. I znowu na czele przeważnej części stowarzyszeń i instytucyi dobroczynnych hiszpańskich, które dużo dobrego robią, stoi kler świecki i zakonny, a pomoc udzielana nędzarzom przez bogatych nie znajdzie tak łatwo sobie równej poza Hiszpanią. Ową sławną koronę, która przypomina aż zanadto podobną u nas sprawę o koronę lwowską, złożyły dla Matki N. panie z arystokracyi, a dobroczynność sama nic na tem nie ucierpiała; zresztą korona nie kosztowała milionów. Wartość jej dochodzi wprawdzie do sumy 600.000 franków, nie złożyły się jednak na tę cenną ofiarę składki pieniężne, lecz klejnoty, perły i brylanty starych i bogatych rodzin.

Więcej krwi napsuła słynna sprawa o anglikańską kaplicę w Barcelonie. Anglicy, mieszkający w Barcelonie, zwrócili się

przed niejakimś czasem za pośrednictwem rządu angielskiego do rządu hiszpańskiego z prośbą, by im wolno było w stolicy Katalonii wybudować kaplicę swego wyznania. Rząd pozwolenia udzielił, na przedstawienia jednak biskupa Barcelony, kardynała Casañas, uczynił prezydent ministrów, Villaverde, otwarcie kaplicy zależnem od usunięcia wszelkich zewnętrznych oznak kościelnych z nowej budowy, jak tego wymaga konstytucya. Równocześnie zwrócił się kardynał z tą samą sprawą do króla Alfonsa, który w liście do kardynała wystosowanym bardzo stanowczo swe katolickie stanowisko zaznaczył. »Jako katolickiego monarchę, poddanego i syna jedynego prawdziwego Kościoła«, smuci go całe zajście; potwierdza więc wszystko, co dotychczas zrobiono i zapowiada na przyszłość użyć wszelkich starań, aby religia krajowa nic na podobnych przedsięwzięciach nie ucierpiała. List ten, noszący charakter listu prywatnego i poufnego, ogłosił kardynał w swym organie *Boletin Ecclesiastico*. Nie wchodząc w ocenę postępowania króla i ministra, postępowania wykazującego wielką siłę charakteru i moc przekonania, zaznaczyć jednak trzeba, że biskup Barcelony popełnił niedyskrecyę, drukując list monarchy; na dworze madryckim uważano jego krok »za akt niegrzeczności«.

Ostatecznie mniejsza o to! Gazetom niemieckim, tak bardzo gorszącym się nietolerancyą hiszpańską, przypomnieć można, że n. p. w Meklemburgu kościoły katolickie nie mogą mieć wież, że w kaplicy zamkowej w Wechselburgu koło Drezna wolno tylko domownikom słuchać Mszy św., choć wzdłuż i w szerz kościoła tam nie znaleść, że w ostatnich jeszcze tygodniach otrzymali katolicy w Meerane w Saksonii na prośbę podaną do rządu, by choć od czasu do czasu, najwyżej sześć razy w roku, mógł dla nich kapłan Mszę św. odprawić, odpowiedź odmowną, pod pozorem, że »pokojowe pożycie dwóch wyznań na temby ucierpiało«; 300 katolików nie będzie więc miało i nadal Mszy św. Po cóż się więc tak gorszyć brakiem tolerancyi w Hiszpanii?

Zresztą w ocenie faktu nie można jeszcze o jednej rzeczy zapomnieć. Działalność protestantów w Hiszpanii dąży nie tylko do zaspokojenia religijnych potrzeb współwyznawców, nosi ona przeciwnie wcale wybitny charakter propagandy. Tam, gdzie

nawet na lekarstwo protestanta nie znajdzie, budują oni swoje domy modlitwy, jak n. p. przy Escorialu, lub po odległych, niedostępnych wioskach, zakładają szkoły, stawiają ochronki, zawiązują stowarzyszenia, urządzają uroczystości, rozdzielają biblie, tak, że nawet liberalny *Imparcial* pisze: »jako katolikom i Hiszpanom nie może nam to gonienie za prozelitami być przyjemnem«. O ile bardziej utrudnioną jest działalność kleru katolickiego w przeważnej części niemieckiego cesarstwa!

Wogóle przedstawia się *Hiszpania* w sprawozdaniach zagranicznych gazet wcale ujemnie, a te ujemne sądy są niestety zbyt często uzasadnione; na porządku dziennym są tam zamachy anarchistyczne, bójki, burzenia kościołów, rozpędzania procesyi — tem milszą jest więc wiadomość z ostatnich dni o walce, jaką tamtejsze społeczeństwo wypowiedziało pojedynkowi. W marcu b. r. założono ligę antypojedynkową w Barcelonie, a dzisiaj liczy ona już siedemset członków, została uznaną przez prezydenta ministrów, ministrów samych, kilku generałów i najwybitniejszych przedstawicieli nauki. Ruch rozszerzył się prędko na całą Katalonię, a stąd przeniósł się do Asturyi, Kastylii, Aragonii i Madrytu. Na uwagę zasługuje fakt, że wyżsi i niżsi oficerzy, zostający w czynnej służbie, przystępują licznie do ligi — na szczęście nie ma Hiszpania ministra wojny, któryby takiego kroku wojskowym zakazał.

† Ks. Henryk Suso Denifle. Dziesiątego czerwca rażony apopleksyą zakończył swój bogaty w cnoty i naukową działalność żywot, Dominikanin, ks. H. Denifle. Jako kapłan i zakonnik zrozumiał zasady i ducha Chrystusa i Kościoła i przejął się niemi; jako człowiek i uczony był mężem dziwnie odważnym, szczerym i konsekwentnym, mężem gruntownej nauki. Uznania nie szukał, nagany się nie lękał, z poglądami swymi się nie krył, zasady swoje głosił stanowczo i odważnie, a tak otwarcie i bezwzględnie, że może nawet czasami przekroczył objektywną granicę. Główną zasługę zmarłego kapłana tworzy to, że jest on najwybitniejszym i najgruntowniejszym znawcą i badaczem średniowiecznej historyi Kościoła i historyi kultury, a równocześnie jednym z najlepszych

znawców niemieckiej mistyki; owoce długoletnich badań złożył w licznych, głębokich dziełach. Tę jego wielkość uznają wszyscy; protestancki uczony Rashdall pisze w przedmowie do swego dzieła *Uniwersytety europejskie w średnich wiekach:* »Muszę się przyznać, ile zawdzięczam ks. Denifle, jedynemu nowoczesnemu uczonemu, wobec którego mam ważne zobowiązania... Czuję się zmuszonym wyrazić swój podziw dla jego niesłychanej wiedzy i gruntowności«.

Sławę i znaczenie ks. Denifle pogłębiło jego wielkie, w 1903 r. wydane dzieło *Luther und Luthertum in der ersten Entwicklung;* pierwszy, wielki nakład został w przeciągu czterech tygodni wyczerpany. W Niemczech przynajmniej nie ma żadnego poważniejszego pisma, któreby się nie było zajmowało tą pracą; bezwzględne pochwały spotykały autora od jednych, żółcią i jadem bryzgali inni, ale prawdziwi uczeni, jak Kamerau lub Koehler, niektórzy znani jeszcze z polemik przeciwko historyi Janssena, przyznawali bez ogródki, że z jego dzieła dużo się nauczyć mogą, że on pierwszy znane od dawna już źródła prawdziwie i konsekwentnie wykorzystał i do prawdy dążył. Nauka zresztą wartość jego oceniła; akademie: berlińska, getyńska, praska, wiedeńska, paryska i krakowska mianowały go swoim członkiem; uniwersytety w Monasterze, Innsbrucku i Cambridge dały mu doktoraty honorowe, Francya zrobiła go rycerzem legii honorowej, a Niemcy rycerzem orderu żelaznego krzyża.

Śmierć wielkiego uczonego ma w sobie coś z tragizmu; zaskoczyła go w chwili, gdy uniwersytet oksfordzki zawezwał go w mury starego kolegium, aby mu wręczyć dyplom doktorski. Przyszedł za późno, bo większa nagroda gdzieindziej go czekała.

Ks. Wiktor Wiecki.

Kronika ekonomiczna.

Traktat handlowy rosyjsko-niemiecki i niemiecko-austryacki. — Budowa kanałów w Niemczech. — Pruska nowella do ustawy górniczej. — Międzynarodowa konferencya robotnicza w Bernie. — Układ francusko-włoski w sprawach ustawodawstwa socyalno-politycznego. — Wspólność celna między Austryą a Węgrami. — Ustawodawstwo imigracyjne Stanów Zjednoczonych i Anglii. — Wojna rosyjsko-japońska.

Wojna na dalekim Wschodzie wywołuje najsprzeczniejsze sądy. W społeczeństwie naszem odzywają się często głosy obawy, które w obecnej sytuacyi widzą wzrost potęgi i znaczenia Niemiec, niebezpieczny dla Polaków. Najnowsze wypadki handlowo-polityczne potwierdzają prawdziwość tego zapatrywania — oczywiście tylko w zakresie stosunków celnych, byłoby może przedwczesnem wysnuwać z nich zbyt daleko sięgające horoskopy.

Niemcy wyzyskały umniejszoną odporność Rosyi w rokowaniach o odnowienie traktatu handlowego. Jak wiadomo, następca Bismarka na urzędzie kanclerskim, hr. Caprivi zerwał przedewszystkiem z wojowniczą polityką handlową swego poprzednika, który przez lat kilkanaście nie zawierał traktatu handlowego z Austro-Węgrami, zadowalniając się oparciem wzajemnych stosunków celnych na klausuli największego uprzywilejowania, a wobec Rosyi poszedł jeszcze dalej i przez ciągłe śrubowanie ceł rolniczych doprowadził do wojny celnej z Rosyą. Był to podobnie, jak wyparcie rent rosyjskich z Niemiec, odwet za przymierze z Francyą; Capriviemu nie wystarczało regulowanie wysokości ceł autonomiczną taryfą celną, wolał związać się szeregiem umów między-narodowych. W roku 1891 zawarł traktaty grudniowe na lat dwanaście z Austro-Węgrami, Włochami, Szwajcaryą i Belgią, później porozumiał się z państewkami bałkańskiemi, a w roku 1893 doszła do skutku umowa z Rosyą. Każdy traktat handlowy polega na obopólnych ustępstwach celnych, chcąc bronić skutecznie interesów wywozowych potężniejącego przemysłu niemieckiego, chcąc dla niego uzyskać zniżki ceł zagranicznych, Caprivi musiał zgodzić się na pewne zmniejszenia wygórowanych, niemieckich ceł rolniczych, czem naraził sobie agrarnych posłów, biorących mu za złe przedewszystkiem umowę z Rosyą. Stronnictwa agrarne wymusiły ustąpienie hr. Capriviego, zorganizowały się, rozwinęły intenzywną agitacyę, ażeby zabezpieczyć się przynajmniej na przyszłość przed powtórnem zawarciem traktatów, niekorzystnych wedle ich rozumienia rzeczy. Usilne

starania uwieńczyło zupełne powodzenie. W początkach lutego bieżącego roku kanclerz Rzeszy, hr. Bülow przedłożył Radzie Państwa traktaty z Austro-Węgrami, Włochami, Rosyą, Szwajcaryą, Belgią, Serbią i Rumunią, które są wyrazem nowego ukształtowania się niemieckich stosunków handlowo-politycznych na przeciąg następnych lat kilkunastu. Jak niegdyś traktat z Rosyą był *par Excellence* symbolem ustępstw agrarnych, tak dziś umowy celne z Rosyą i Austro-Węgrami są najdosadniejszym objawem zwycięstwa stronnictw rolniczych. Niemcy uzyskały stosunkowo znaczne ustępstwa w rosyjskich cłach przemysłowych, dając w zamian obniżenie niemieckiego cła na jęczmień pastewny do 1·70 marki i podwyższenie kontyngentu świń, który wolno sprowadzać z Królestwa na Śląsk pruski, inne pozycye rolnicze nowej niemieckiej autonomicznej taryfy celnej nie doznały w traktacie znaczniejszych zmian; nie ulega wątpliwości, że tylko nieszczęśliwy przebieg wojny, chęć utrzymywania dobrych stosanków politycznych z Niemcami, obecnie tak potrzebnych Rosyi wobec Anglii i Stanów Zjednoczonych, konieczność liczenia się z Niemcami, jako z odbiorcami przyszłej pożyczki wojennej skłoniły Rosyę do zawarcia takiego traktatu. Już samo chronologiczne zestawienie dat potwierdza prawdziwość tego zapatrywania. Za Capriviego traktat z Rosyą był ostatnim w rzędzie, natrafiał na największe trudności. Bülowowi było najłatwiej porozumieć się z Rosyą, a zatem traktat z nią doszedł do skutku przed wszystkimi innymi. Przebieg rokowań handlowo-politycznych z Rosyą nie pozostał bez wpływu na stosunki celne z innemi państwami, a zwłaszcza z Austro-Węgrami, jednym z głównych współzawodników Rosyi w zaopatrywaniu targu niemieckiego w płody rolnicze; obawa płacenia od towarów austro-węgierskich przy wstępie na terytoryum niemieckie wyższych ceł, jak od rosyjskich musiała oddziaływać na pełnomocników Austryi i Węgier w kierunku obniżającym ich wymagania. To też nowy traktat jest znacznem pogorszeniem obecnie obowiązujących postanowień.

Pozornym tylko wyjątkiem od tej zasady jest zniżenie ceł na drzewo, jeden z najważniejszych artykułów wywozowych austro-węgierskich. Cło dotychczasowe wynosiło 20 marek od wagonu okrąglaków, a 80 od wagonu drzewa tartego. Obecnie wynosić będzie o 8 m. mniej w każdej z tych pozycyi, a zatem 12 i 72. Stosunek między cłem na materyał surowy a obrobiony, wynoszący dawniej 1 : 4, zmienia się na stosunek 1 : 6. W dawnej autonomicznej taryfie niemieckiej cło na drzewo tarte wynosiło sto, a w traktatach grudniowych zni-

żone zostało, jak wspomniałem na 80, w nowej autonomicznej taryfie Niemcy oznaczyły cło na 124 marek. Wobec widocznej dążności podniesienia cła opinia publiczna w Austro-Węgrzech zgodnie stanęła na stanowisku, że ostatecznie podwyższenie cła na materyał tarty nie będzie zbyt groźnem, jeżeli podniesione zostanie cło na okrąglaki, jeżeli stosunek z 1 : 4 zmieni się na 1 : 3. Niemieccy pełnomocnicy zrozumieli także, że rozstrzygającą jest nie tyle wysokość cła, ile stosunek obu ceł, wychodzili bowiem z założenia, że nie warto pchać do nadmiernego wycinania niemieckich lasów przez wysokie oclenie drzewa surowego, lepiej nie przeszkadzać dowozowi drzewa zagranicznego w formie nieobrobionych okrąglaków, byleby chronić przemysł tartaczny, uzyskali zatem zniżkę 8 m. zmianę stosunku na 1 : 6, niewątpliwie bardzo niekorzystną dla przemysłu tartacznego, ponieważ czyni przeróbkę drzewa austryackiego i węgierskiego w niemieckich nadgranicznych tartakach jeszcze zyskowniejszą, jak dotychczas i podroża im zakupno drzewa do tartaku.

Czyż przynajmniej dla właścicieli lasów, nie posiadających tartaków zniżka cła 20 na 12 m. jest wielką zdobyczą?

O ile właściciele lasów będą z niej umiarkowanie korzystać, niewątpliwie podniesie rentowność sprzedaży drzewa nieobrobionego, kryje w sobie jednak wielkie niebezpieczeństwo stania się nowym bodźcem nadmiernego wycinania lasów w ręku właścicieli zadłużonych. Mam tu na myśli przedewszystkiem Galicyę i nie wiem, czy zmiana stosunku oclenia materyału surowego do tartego nie wpłynie na przedwczesne wycięcie niejednego lasu.

Podobne dążności kierowały pełnomocnikami niemieckimi w zmianie oclenia bydła. Dawne cło od sztuki będzie zastąpione cłem od wagi, znacznie wyższem, zwłaszcza dla cenniejszych sztuk o wyższej wadze. Austro-Węgry wysyłały dotąd dużo opasów do Niemiec, chodzi o zmianę tego stanu rzeczy, Niemcy spodziewają się, że na przyszłość hodowcy tutejsi zmuszeni będą do wysyłania sztuk chudych, których tuczenie odbywać się będzie w Niemczech i przynosić będzie zyski niemieckim poddanym. Dawniej cło od wołu wynosiło 25·50 m., na przyszłość rząd niemiecki pobierać będzie 8 m. od 100 kg. a zatem za sztukę o 6 q, — 48 m., o 7 q — 56 m. i t. d. Także cło od świń ma być pobierane wedle wagi: 5 m. za 100 kg. a cło od koni wedle wartości, przyczem uzyskano pewne zniżki dla zimnokrwistych koni noryjskich, hodowanych w Dolnej Austryi i krajach alpejskich. Wiadomo powszechnie, że przywóz zwierząt domowych zwalcza

się nie tyle cłami, ile polityką weterynaryjną, zupełnymi zakazami przywozu, uzasadnianymi rzekomą obawą zawleczenia zaraz bydlęcych. Przed dowolnością władz niemieckich broniła dotąd wywóz austro-węgierski do Niemiec konwencya weterynaryjna, starająca się określić przypadki wydawania zakazów, jej nie dość ścisłe brzmienie narażało hodowców austro-węgierskich na niezliczone szykany, najczęstsze zakazy spadały na bydło galicyjskie, ich cofanie po wygaśnięciu zarazy zwlekano bez końca. Obecnie rząd niemiecki chciał uwolnić się nawet od tych pozorów związania sobie rąk i nie odnawiać konwencyi. Chwilowo odnowienie traktatu było zakwestyonowane, a rokowania zostały zerwane. Ostatecznie nowa konwencya weterynaryjna doszła do skutku kosztem zmian, umniejszających jej wartość. Że nie mamy prawa spodziewać się wiele dobrego po nowej konwencyi weterynaryjnej, dowodem odezwanie się hr. Bülowa podczas obrad nad traktatem w parlamencie niemieckim, kanclerz oświadczył interpelującym go agraryuszom wśród powszechnej wesołości — oczywiście naszym kosztem: «co do wykonania konwencyi ufam zupełnie memu przyjacielowi, ministrowi rolnictwa». Wywóz bydła, zarówno jak drzewa ma dla Galicyi szczególnie doniosłe znaczenie.

Korzystnem jest postanowione w nowej konwencyi wprowadzenie kontyngentu dla przywozu trzody chlewnej, przepis wzorowany na obecnym traktacie niemiecko-rosyjskim. Oznaczono na 80.000 ilość świń, którą będzie wolno rocznie dostawiać do granicy bawarskiej i saskiej, o śląskiej niema mowy. W każdym razie przepis ten ułatwia nam wywóz świń do innych krajów koronnych. Potrzeby Śląska pokrywać będą hodowcy świń z Królestwa, którym traktat handlowy rosyjsko-niemiecki przyznaje pewien kontyngent.

Do pozycyi bardzo spornych należała także kwestya oclenia jęczmienia i słodu, łączna wartość roczna wywozu tych obu towarów dochodzi do stu milionów koron. Dawniej za jęczmień płacono 2 m. od 100 kg., bez względu na jego jakość, na przyszłość przywóz jęczmienia do Niemiec będzie podlegał dwojakiemu cłu, a mianowicie 4 marek za browarniany, 1·70 m. za pastewny, przywożony głównie z Rosyi. Austro-Węgry wywożą do Niemiec niemal wyłącznie browarniany, znacznie szlachetniejszy, a zatem i droższy jęczmień, cło na słód wzrasta o 2·15 m. i wynosić będzie 5·75 m.

Szereg największych morawskich fabryk słodu podobno już zakupił grunta budowlane w Niemczech celem założenia zakładów filialnych, nie mogąc przewieść słodu z Austro-Węgier do Niemiec, chcą

go w Niemczech wyrabiać prawdopodobnie przeważnie z jęczmienia niemieckiego.

Dla Austryi jedyną rekompensatą jest podniesienie ceł na wyroby przemysłowe, przywożone z Niemiec. Podobno izby handlowe i miasta w niemieckiej części Czech porozsyłały zaproszenia do najbardziej zwyżkami poszkodowanych fabryk niemieckich z zachętą przesiedlenia się. Podwyżka ceł przemysłowych wyjdzie, jeźli nie wyłącznie, to głównie na korzyść innych krajów koronnych, natomiast zniżka cła niemieckiego na naftę, aczkolwiek korzystać z niej będzie także nafta rosyjska i amerykańska nie jest bez znaczenia dla Galicyi.

Niemieccy przeciwnicy znacznego podwyższenia ceł przepowiadali swemu rządowi, że na podstawie nowej taryfy nie zawrze traktatów handlowych. Nieziszczenie się przepowiedni jest dowodem wielkiej siły politycznej i ekonomicznej Niemiec, tryumf zawdzięczają w pewnej mierze wojnie.

* * *

Autonomiczna taryfa celna niemiecka z roku 1902 i nowe traktaty handlowe różnią się od dotychczasowego stanu rzeczy znacznie silniejszem uwzględnieniem interesów rolniczych. Dobrze świadczy o zmyśle politycznym rządu niemieckiego, że poczynił kroki celem złagodzenia niezadowolenia wśród innych warstw ludności. Przemysłowi poszkodowanemu podwyższeniem ceł austryackich i innych na niemieckie towary przemysłowe hr. Bülow ofiarował kanały. Stronnictwa agrarne sprzeciwiały się udogodnieniu i potanieniu transportu towarowego wewnątrz kraju przez budowę wielkiej sieci dróg wodnych, obawiając się, że zboże zagraniczne będzie z nich nadmiernie korzystać, natomiast przemysłowi chodziło o obniżenie kosztów przewozu węgla, rudy żelaznej, wogóle surowca. Ostatecznie większość agrarna sejmu pruskiego uchwaliła w r. b. kanały w zamian za podwyższenie ceł rolniczych, ale w rozmiarach mniejszych, jak pierwotnie przez rząd projektowanych.

Robotnicy, którym podrożono chleb i mięso, otrzymali obietnicę podjęcia na nowo reform socyalno-politycznych, w ostatnich latach ustawodawstwo niemieckie było bezczynne na tem polu. Częściowem spełnieniem tych obietnic jest nowella do ustawy górniczej, oraz udział w międzynarodowej konferencyi berneńskiej w sprawie ustawodawstwa robotniczego. Nowella do ustawy górniczej, wywołana wielkim strejkiem górników westfalskich, w którym brało udział kilkanaście tysięcy

Polaków, określa maksymalny czas trwania pracy w kopalniach, oraz zawiera szereg innych przepisów ochronnych. Przewiduje utworzenie wydziałów robotniczych, współdziałających z właścicielami w zarządzeniach bezpośrednio dotyczących robotników, warunkiem wybieralności do tego wydziału jest zupełna biegłość w języku niemieckim (!)

* * *

Druga z rzędu międzynarodowa konferencya, obesłana niemal przez wszystkie państwa europejskie, a zwołana celem narad nad międzynarodowem ustawodawstwem robotniczem, zakończyła niedawno obrady w Bernie szwajcarskiem. Pierwsza konferencya, zwołana z inicyatywy Wilhelma II w 1902 była bezpośrednią przyczyną dymisyi Bismarka, ale innych rezultatów nie miała. Skończyło się na rozprawach zasadniczych i na wzajemnem oświadczeniu gotowości do pozytywnych uchwał, których jednak nie powzięto. Inicyatywę ponowienia próby zawdzięczamy międzynarodowemu związkowi dla ustawodawstwa socyalno-politycznego w Bazylei, złożonemu z wybitnych teoretyków i praktyków, który wydaje cenne czasopismo i zbiory materyałów. Związek postawił sprawę na gruncie konkretnym, określając ściśle program konferencyi: umowny międzynarodowy zakaz a) używania nader szkodliwego dla robotników białego fosforu przy wyrobie zapałek, b) pracy nocnej kobiet w fabrykach. Rząd szwajcarski zgodził się na projekt i na program, rozsyłając zaproszenia zaznaczył wyraźnie, że chodzi o konkretne uchwały, obowiązujące uczestników konferencyi. Po długich obradach delegaci zgodzili się jednomyślnie na projektowane zarządzenia. Na wniosek Austro-Węgier zakaz używania białego fosforu wejdzie w życie za lat kilka, jeżeli Japonia, na konferencyi niereprezentowana przystąpi do umowy. Austro-Węgry wywożą dużo zapałek na wschód, gdzie te współzawodniczą z japońskiemi. Także w Galicyi (Skole) fabrykacya zapałek jest stosunkowo znaczną.

* * *

Idea międzynarodowego porozumiewania się w sprawach ustawodawstwa socyalno-politycznego stała się czynem, jest to niewątpliwie epoką w dziejach reformy socyalnej. Różne ograniczenia, pożądane dla ludności robotniczej, zwalczano nieraz argumentem, że państwa sąsiednie, z któremi trzeba ekonomicznie współzawodniczyć, nie znają ograniczeń, że zatem ich wprowadzenie podroży koszta produkcyi towaru w kraju, zmieniającym swoje ustawodawstwo, umniejszając zdol-

ność konkurencyjną jego przemysłu. Międzynarodowe porozumienie się, równoczesne urzeczywistnianie reform socyalno-politycznych jest odpowiedzią najbardziej przekonywującą.

Konferencyę berneńską poprzedził układ francusko-włoski z 15-go kwietnia 1904, zawierający także ważny, aczkolwiek odmiennego rodzaju przyczynek do wytworzenia się, przedtem nieznanego działu socyalno-politycznego w prawie międzynarodowem. Chodzi nie o stworzenie nowych przepisów ograniczających, lecz o zapewnienie wzajemne robotnikom jednego państwa, pracującym w obrębie terytoryalnym drugiego korzystania z ustawodawstwa ochronnego i przymusowych ubezpieczeń, układ nader ważny zwłaszcza dla Włoch, albowiem znaczna ilość poddanych włoskich szuka we Francyi czasowego zarobku. Francya zapewnia między innemi Włochom, pracującym na francuskiej ziemi, udział w ubezpieczeniu od wypadków i na starość.

Byłoby pożądanem w interesie naszych robotników, emigrujących za zarobkiem do Niemiec, ażeby Austro-Węgry zawarły z Niemcami podobny układ, oczywiście mutatis mutandis.

* * *

Pełnomocnicy rządów austro-węgierskiego i niemieckiego podpisali nowy traktat handlowy w Berlinie 26-go stycznia b, r., oznaczając jako termin zastosowania umowy 15 lutego 1906 roku; aż do tej chwili obowiązuje dawny traktat. W myśl ustaw zasadniczych układy handlowo-polityczne stają się ustawą dopiero w chwili ich potwierdzenia przez parlament. Nie ulega wątpliwości, że niemiecka Rada Państwa przyjmie zobowiązania pełnomocników rządu niemieckiego, mimo tego wejście w życie traktatu nie jest zupełnie pewnem wobec bezczynności węgierskiej Izby posłów.

Większość węgierskiej Izby posłów domaga się od ministerstwa, któremu oświadcza gotowość uchwalenia budżetu, zezwolenia na pobór rekruta i przyjęcia traktatów handlowych, wprowadzenia komendy węgierskiej i innych reform wojskowych, oraz zerwania łączności celnej między Austryą a Węgrami. Korona nie godzi się na program większości, nie chce mianować ministerstwa, któreby dążyło do przeprowadzenia takiego programu, stąd konflikt i bezczynność parlamentu.

Przypatrzmy się żądaniu zmiany obecnego stosunku celnego między Austryą a Węgrami, jej uzasadnieniem może być tylko dążenie do stworzenia węgierskiego przemysłu przez nałożenie opłat celnych na znaczny przywóz towarów przemysłowych z krajów koronnych au-

stryackich. Oczywiście ewentualne przeprowadzenie tego planu ma swe ujemne strony. W polityce celnej podobnie jak na wojnie zaczepka wywołuje obronę. Austrya nie omieszka nałożyć ceł na pszenicę i inne produkty rolnicze przywożone z Węgier w wielkich ilościach. Póki stronnictwo niezawisłości było opozycyą, mogło stawiać programy, pozostawiając odpowiedzialność za ich ewentualne przeprowadzenie rządzącej większości, domagano się gwałtownie odrębności celnej, jako koniecznego atrybutu niezawisłości państwowej bez względu na klęski grożące rolnictwu w razie urzeczywistnienia popularnego hasła. Zmieniła się sytuacya z chwilą ostatnich grudniowych wyborów, które zapewniły większość stronnictwu Kossutha.

Możliwość urzeczywistnienia żądań odrębności celnej ostudziła zapał jej zwolenników. Naczelnik stronnictwa zapowiada, że chodzi tylko o nałożenie nieznacznych ceł na niektóre towary przemysłowe z Austryi przywożone, w zamian za co Austrya niewątpliwie zezwoli na nieoclony import węgierskich płodów rolniczych. Rozumowanie wprost dziecinne, rząd austryacki choćby chciał być umiarkowanym i nie zaostrzać konfliktu, uledzby musiał naciskowi opinii publicznej i nałożyć cła na towary węgierskiego pochodzenia, których zbyt poza Austryą jest dziś niemal wykluczonym. Wschód produkuje zboża, bydła, mięsa więcej, jak zużywa, wytwarza na wywóz. Dawniej Niemcy były odbiorcami Węgier, ale, jak widzieliśmy, od szeregu lat nakładają coraz wyższe opłaty na przywóz zagranicznych płodów rolniczych, a statystyka handlowa poucza nas, że istotnie wywóz węgierski do Niemiec zmniejsza się. Zresztą wagony zboża z nad Cisy mogą dotrzeć nad Spreę i Ren tylko kolejami austryackiemi. Austrya zmusiła ongi Rumunię podwyższeniem taryf kolejowych na towary rumuńskie przewożone transito przez Austryę na Zachód do zaniechania wojny celnej. Niegdyś znaczny wywóz mąki do Londynu ustaje, a olbrzymie parowe młyny budapeszteńskie stają się coraz bardziej zależne od zbytu w Austryi.

Czują to dobrze politycy węgierscy. Zdaje się, że sami już nie wierzą w zasady ekonomiczne swego programu. Korona oświadczyła gotowość niesprzeciwiania się rokowaniom z Austryą o rozdział celny. Obecna większość, do niedawna mniejszość opozycyjna, nie mająca nadziei dojść kiedykolwiek do władzy, zapewne chętnieby zadowolniła się tem ustępstwem, byleby zasiąść na fotelach ministeryalnych, obawia się jednak, że właśnie urzeczywistnienie tej części programu wywoła

niezadowolenie w kraju. Chcąc zatem choć coś pozytywnego przeprowadzić, musi obstawać przy ustępstwach wojskowych.

Idea odrębności celnej ma na razie charakter nader nieokreślony. Węgrzy zazwyczaj twierdzą, że niekoniecznie wykluczałaby jednolitość celną wobec zagranicy, wyobrażają sobie cła między Austryą a Węgrami jako cła wewnętrzne, jako rodzaj akcyzy. Obszerna dyskusya dziennikarska wykazała szereg trudności technicznych, wykluczających urzeczywistnienie tych zamysłów. Odrębność celna prawdopodobnie musiałaby za sobą pociągnąć zawieranie traktatów handlowych z zagranicą osobno przez Austryę, a osobno przez Węgry. Odrębność celna jest zatem hasłem ujemnem, oznacza zmianę istniejącego stanu rzeczy, ale nie pozytywny program, jest wyrazem namiętności politycznych, ale nie chłodnej rozwagi, uwzględniającej interesy ekonomiczne kraju.

Na utrzymaniu wspólności celnej zależy przedewszystkiem krajom koronnym o wysoko rozwiniętym przemyśle. Zachodzi jednak pytanie, czy rolnictwo galicyjskie nie zyskałoby większego pola zbytu w Wiedniu, Pradze i innych miastach w razie utrudnienia przez opłaty celne napływu węgierskiego towaru? Austrya nie może zaspokoić swoich wewnętrznych potrzeb własną produkcyą rolniczą, na wypadek rozdziału celnego, kto wie, czy nie trzebaby zniżyć ceł rolniczych dotychczas stosunkowo wysokich, a w takim razie tym *tertius gaudens,* który zyskuje, gdy dwaj inni się biją, mogłaby być niekoniecznie Galicya. Zresztą, aczkolwiek w ugodzie z Węgrami nie najbardziej interesowani, musimy przecie dbać o całość, wiedząc, że jej powodzenie jest warunkiem naszego dalszego rozwoju.

* * *

Czas i siły, które Austro-Węgry zużywają na wewnętrzne, jałowe zatargi polityczne, skierowane do celów gospodarczych, zapewne przyspieszyłyby postęp ekonomiczny w granicach monarchii. Byłoby pesymizmem nie uzasadnionym faktami mówić o upadku produkcyi i handlu, ale szybszy postęp w innych państwach nie da się zaprzeczyć. Dowodem ciągły, w ostatnich latach nader szybki wzrost wychodztwa z Austro-Węgier przedewszystkiem do Stanów Zjednoczonych, w drugim rzędzie do innych krajów. Tym magnesem, który setki tysięcy ciągnie za morze są wyższe zarobki w amerykańskich hutach i kopalniach. Statystyka Stanów Zjednoczonych podaje liczbę przybyszów za rok 1897/8 na 229.299 osób, cyfra ta szybko wzrasta: wynosi w r.

1900/1 448.572, w r. 1902/3 857.046, w r. 1903/4 812.870. Zdaniem amerykańskiej prasy liczba emigrantów dojdzie, a może nawet przekroczy milion za czas od 1 lipca 1904 do 30 czerwca 1905. W r. 1903/4 193.296 przybyszów dostarczyły Włochy, a 177.156 Austro-Węgry, w roku bieżącym zwłaszcza emigracya Słowaków z Węgier wzrosła do niebywałych rozmiarów.

Rząd węgierski wydał przed dwoma laty ustawę emigracyjną w celu ochrony wychodźców przed wyzyskiem ze strony licznych ajentów, sprzedających karty okrętowe, w tej samej ustawie zawarł inne postanowienia prawne, zmierzające do uregulowania wychodztwa. Równocześnie wszedł w układ z angielską linią okrętową Cunarda, celem odwrócenia prądu emigracyjnego od portów niemieckich morza Północnego, Hamburga i Bremy, a skierowania go do Fiume. Obok korzyści materyalnych rząd węgierski uzyskał w ten sposób możność skutecznej kontroli nad sposobem przewożenia wychodźców, otacza ich zatem swą opieką także i na morzu.

Władze austryackie wobec wzrastającej emigracyi postanowiły pójść tą samą drogą, nawiasem mówiąc, rządy innych państw europejskich dawno już poczyniły podobne zarządzenia z jak najlepszym skutkiem. Projekt ustawy emigracyjnej, przedłożony w jesieni zeszłego roku, nie jest przez parlament załatwiony, natomiast pod patronatem rządu powstało w roku bieżącym w Tryeście towarzystwo akcyjne »Austro-Americana« przez zlanie się kilku mniejszych przedsiębiorstw i przy znacznym udziale pieniężnym niemieckich linii okrętowych.

Opinia publiczna w Stanach Zjednoczonych dawniej tak przychylna emigracyi, obecnie patrzy okiem coraz bardziej niechętnem na przybyszów. Bezpośrednio interesowani są robotnicy, którzy obawiają się obniżenia zarobku; ich zdaniem przybysze, pracując taniej, stwarzają im niepożądane współzawodnictwo. Pracują taniej, ponieważ ich wymogi cywilizacyjne — *standard of life* — są niższe; zapatrywanie to podzielają coraz większe koła społeczeństwa amerykańskiego. Humanitaryzm i wolnomyślność, te zasadnicze znamiona dawniejszych pokoleń ustępują miejsca zaborczemu imperyalizmowi i nacyonalizmowi, ich ideały moralne i społeczne wydają im się zagrożone przez emigrantów. Zarzucają im, że ich jest za dużo, że skupiają się w miastach Stanów Północnych, a nie osiedlają się na wsi. Wśród przybyszów wielu nie umie czytać i pisać, nie przywożą do kraju kapitałów, nie konsumują swoich zarobków na miejscu, lecz oszczędzają dzięki nizkiemu poziomowi życia i odsyłają znaczną ich część do domu, procent prze-

stępców wśród nich jest znacznie większy, jak wśród ludności dawniej osiadłej, przepełniają więzienia, dają zatrudnienia sądom, grzeszą pijaństwem. Wśród dawniejszych emigrantów przeważali Anglicy, Niemcy, mieszkańcy Skandynawii, żywioły kulturalnie zbliżone, które łatwo było zasymilować, które nadawały się do wytworzenia jednolitego społeczeństwa. Słowianie, Włosi — jądro współczesnego wychodztwa tworzyć będą zawsze żywioł obcy w łonie narodu amerykańskiego.

Bliższe zbadanie kwestyi wykazuje jednostronność podobnych zapatrywań. Przedewszystkiem porównywanie litylko cyfr emigrantów nie jest wystarczającym miernikiem wzrostu emigracyi. Dawniej, gdy koszta podróży morzem były większe, każdy przesiedlał się na stałe, obecnie liczba powracających po kilkuletnim pobycie jest coraz większą, n. p. *emigracya z Galicyi* zachodniej ma właśnie przeważnie charakter czasowy, a nie przesiedlenia stałego. Niestety statystyka amerykańska jest pod tym względem zupełnie nie wystarczającą. Dowodem jednak, że znaczna część przybyszów przyjeżdża z zamiarem powrotu, są właśnie oszczędności odsyłane do domu. Kto przyjeżdża na stałe, sprowadza rodzinę, pieniędzy do Europy nie posyła, zresztą wielkich oszczędności nie robi, w stosunkowo krótkim czasie przyzwyczaja się do amerykańskiego trybu życia. O nowe potrzeby bardzo łatwo, gdy jest możność ich zaspokojenia i gdy się ma codziennie przed oczyma przykłady dostatniejszego życia. Wielkie oszczędności tych, którzy mają zamiar wrócić, świadczą przeciw przypuszczeniu, jakoby wpływali na dotkliwe obniżenie płac. Przecie gdyby zadowalniali się znacznie niższą płacą, nie mieliby z czego robić znacznych oszczędności. Przyrost liczby emigrantów nie wyda nam się tak wielkim w porównaniu z *dawniejszemi laty*, gdy za podstawę porównania weźmiemy nie bezwzględne cyfry, lecz procentowy stosunek liczby przybyszów do ludności Stanów Zjednoczonych; dawniej wprawdzie liczba emigrantów była mniejsza, ale i ludność była mniejsza.

Przeważa prąd przeciwny emigracyi, aczkolwiek dopiero 3 marca 1903 roku Stany Zjednoczone ogłosiły nową specyalną ustawę obostrzającą obowiązujące przepisy o emigracyi, mimo to podnoszą się coraz częściej głosy, domagające się dalej idących zarządzeń. Już obecnie ustawodawstwo otwiera pole wielkiej dowolności władz, stosujących nader elastyczne przepisy. I tak można zabronić wstępu do Stanów Zjednoczonych ubogim lub tym, o których można przypuszczać, że staną się »ciężarem publicznym«, że gminy lub inne korporacye będą musiały zająć się ich utrzymaniem. Od orzeczenia władz emi-

gracyjnych nie wolno odwołać się do sądu. Kto wbrew przepisom ustawy zamieszka w Stanach Zjednoczonych może być odesłany do domu w ciągu trzech lat od chwili przybycia.

Naczelny komisarz emigracyjny Sargent, proponuje w sprawozdaniu ze swoich czynności za rok 1903/4 szereg obostrzeń, za najważniejsze uważa postanowienie, normujące w których stanach przybysze mają się osiedlać; dotychczas emigrant, dopuszczony do kraju, dowolnie wybierał miejsce swego zamieszkania. Chodzi o przeciwdziałanie skupianiu się przybyszów w niektórych okolicach. Następnie p. Sargent domaga się ściślejszej kontroli nad zdrowotnością emigrantów i szeregu innych ograniczeń.

Przy tej sposobności niech mi wolno będzie przypomnieć dawniejszy, mało znany przepis ustawodawstwa stanu Pensylwania z r. 1898, w którego wielkich kopalniach węgla tysiące Polaków szuka zarobku. Wynagrodzenie robotników kopalnianych jest bardzo różne w miarę ilości i jakości wykonywanej pracy. Najwyższą kategoryę, prawdziwą arystokracyę tworzą »górnicy« *(miner)*, którzy kilofem wyłamują węgiel. Otóż ażeby zostać górnikiem trzeba wykazać się znajomością angielszczyzny i conajmniej dwuletnim pobytem w kopalniach — przepis wydany umyślnie na to, ażeby zachować najlepiej płatne stanowiska żywiołowi anglo-saksońskiemu. Bezpieczeństwo kopalni nie wymaga tak daleko sięgających środków ostrożności.

* * *

Fakt, że Anglia dotąd pod tym względem liberalna uchwaliła w ostatnich tygodniach ustawę przeciwko przypływowi wychodźców, dostarczył nowego bodźca i nowego argumentu agitacyi w Stanach Zjednoczonych. W jednej z dzielnic Londynu (East-End) skupiło się kilkadziesiąt tysięcy żydów rosyjskich, polskich z cesarstwa i królestwa; zarobek ich stanowi praca w konfekcyi męskiej i damskiej, robotnicy angielscy skarżą się na ich konkurencyę, ankieta parlamentarna wykryła szereg nadużyć w całej organizacyi tego przemysłu (sweating system), opłakane stosunki mieszkalne i sanitarne, słowem poziom życia znacznie niższy od angielskiego. Skutkiem agitacyi czynników miejscowych wydano ostatecznie ustawę, która między innemi zawiera przepis upoważniający władzę do zakazywania emigrantom pobytu w okręgach przepełnionych poprzednio przybyłymi emigrantami.

* * *

Do najciekawszych współczesnych zjawisk ekonomicznych należą niewątpliwie finansowe dzieje i następstwa gospodarcze wojny, która toczy się na dalekim Wschodzie, a nas tak blisko dotyczy. Strategiczny przebieg wypadków, ich polityczny oddźwięk zepchnął na drugi plan ekonomiczną stronę problemu, aczkolwiek i tutaj nie brakło niespodzianek. Finansowo Rosya była lepiej do wojny przygotowaną, albowiem miała znacznie większy zapas złota, a stanowisko jej na targach pieniężnych, jej wypłatność była daleko korzystniej ocenianą, czego widomym objawem uciążliwe warunki pożyczek japońskich, zaciągniętych u sprzymierzeńców w Anglii i Stanach Zjednoczonych nominalnie po 6%, po kursie tak nizkim, że rzeczywisty procent wyniósł około 8 od sta, w dodatku trzeba było przyznać wierzycielom prawo zastawu na dochodach celnych. Rosya płaciła *de facto* z uwzględnieniem kursu pożyczek około 6% w początkach wojny i to bez dawania jakichkolwiek zastawów francuskim wierzycielom. Jedna i druga ze stron wojujących posługiwały się, zaciągając pożyczkę, nie rentami, lecz krótkoterminowymi przekazami skarbowymi, obie spodziewały się zwycięstwa, chciały zatem zaraz po wojnie pożyczki spłacić nowemi, które mają zamiar zaciągnąć w rentach, niżej oprocentowanych, jak wzajemne przekazy skarbowe; nadzieja płacenia niższego procentu po wojnie tłumaczy nam formę pożyczek. Zresztą przekazy skarbowe mają nad rentami jednę ważną wyższość, renty kupuje szeroka publiczność, która w razie pierwszego niepowodzenia rzuci je na targ, a masowe zaofiarowanie może znacznie obniżyć ich kurs i kredyt państwa, przekazy skarbowe zostają przeważnie w kursach banków.

Jeżeli przypomnimy sobie lichwiarskie procenty dawnych pożyczek wojennych, musimy przyznać, że wojna obecna jest niezwykle tanią, o ile chodzi o wysokość procentu. Istotnym powodem taniości jest fenomenalna obfitość gotówki na świecie. Rzeczoznawcy obliczają ilość złota pożyczonego przez Japonię i Rosyę na obu półkulach na około dwa miliardy franków, wycofanie tej olbrzymiej kwoty z obiegu zachodnio-europejskiego i amerykańskiego i przelanie jej na daleki Wschód odbyło się bez żadnych wstrząśnień i bez trudności. Zwiększony nagle popyt za pieniądzem nie wywołał zwyżki jego ceny, stopa dyskontowa Paryża, Londynu, New-Yorku nie doznała znaczniejszych zmian. Widocznie żyjemy w czasach wielkiej kapitalizacyi. Przedsiębiorstwa przynoszą zyski, których tylko części stają się przedmiotem osobistej konsumcyi, reszta gromadzi się w kasach banków i szuka korzystnej lokacyi.

Wielka obfitość gotówki, w równym stopniu chyba nigdy przedtem nieznana, tłumaczy nam także flegmę giełd wobec przebiegu wojny, kursy giełdowe nie wykazują jakichś nadzwyczajnych spadków lub zwyżek, wojna nie dała powodu do spekulacyi giełdowych. Zniszczenie eskadry Rożestwieńskiego pod Cuszimą wywołało zwyżkę renty japońskiej w Londynie o $2^1/_2$ %, rosyjska spadła tylko o 1 %. Przegrane bitwy pod Liao-yang, Sza-ho nie zachwiały w sposób widoczny kursem rent rosyjskich. Rzecz nader charakterystyczna, dopiero wypadki petersburskie z 22 stycznia obniżyły zaufanie w wypłatność skarbu rosyjskiego. Po Mukdenie Rouvier zamknął kasy francuskie dla sprzymierzeńca. Rozeszły się pogłoski o sprzedaży państwowych kolei rosyjskich zagranicznym towarzystwom akcyjnym, może Rosya była gotową także i do tego kroku, ale zamieszki wewnętrzne odstraszyły kapitalistów zagranicznych. Rosya musiała uciec się do pożyczek wewnętrznych, więcej przymusowych, jak dobrowolnych i do pożyczek tajnych u bankierów niemieckich, zaciągniętych podobno w formie wekslowej (!), oczywiście na wysoki procent. Papiery rosyjskie będą mogły się pojawić na otwartym targu dopiero po zawarciu pokoju. Rosyi pozostaje jeszcze jeden środek uzbrajania dalej swych armii, t. j. pieniądz papierowy, usunięty wytrwałą i finansowo skuteczną pracą ostatnich lat kilkunastu. Ministerstwo skarbu okazało się władzą funkcyonującą w Rosyi lepiej, jak wszystkie inne, ale alchemistami nie rozporządza, pieniądz papierowy w tych stosunkach w każdym razie wywoła natychmiast znaczny spadek kursu rent. Po zawarciu pokoju Rosya otrzyma potrzebne fundusze prawdopodobnie na warunkach stosunkowo przystępnych.

Finanse Japonii okazały się znacznie lepsze i wytrzymalsze, jak powszechnie przypuszczano. Japonia prowadzi przedewszystkiem wojnę taniej, prowadzi ją bliżej, więc wydaje mniej na koszta przewozu, utrzymanie żołnierzy jest tańsze, oficerowie i sztaby pobierają pensye znacznie niższe. Niedostatkom skarbu przyszła w pomoc energia i ofiarność całego społeczeństwa. Wobec wygórowanych żądań wierzycieli angielskich i amerykańskich japoński minister skarbu odwołał się z doskonałym skutkiem do targu wewnętrznego. Mikado przyświecał dobrym przykładem, kilkakrotnie kupił rent japońskich za 20 milionów jenów, jego poddani kupili resztę. Ale na tem nie koniec, wojna zdwoiła energię ekonomiczną Japonii, jej przedsiębiorcy zwiększyli wywóz towaru, obniżając ceny, byleby ściągnąć gotówkę do kraju, wewnętrzny handel i produkcya wzmogły się również.

Jeszcze jedna uwaga. Mógłby ktoś sądzić, że w Mandżuryi płacą Chińczyków wyłącznie złotem. W rzeczywistości jednak pożyczone złoto służy przedewszystkiem na pokrycie wypłat zagranicznych, głównie należytości za przybory wojenne. Reszta leży w bankach centralnych, a w Mandżuryi zarówno Japończycy, jak Rosyanie posługują się przeważnie papierem i monetą zdawkową.

Dr. A. Krzyżanowski.

Listy z Warszawy.

Żydzi. — Syoniści. — Żydzi oświeceni. — Mechesi.

Znajdujemy się w szczególnem położeniu. Obok nas, ocierając się ciągle o nas, spleciony z nami wspólną walką o byt, żyje, pracuje, modli się i umiera od lat kilkuset naród obcy, tak obcy, jak gdyby dopiero wczoraj przybył ze stron dalekich. Pełno go w mniejszych miasteczkach, gdzie gospodaruje bez żadnej kontroli, pełno go od pewnego czasu i w Warszawie, gdzie posuwa się systematycznie z dalszych ulic ku centrum miasta, wypychając z każdym rokiem więcej ludność rdzenną.

Ludnością rdzenną powinni być u nas właściwie także Żydzi, kto bowiem mieszka w jakimś kraju lat sześćset, a może i dłużej, ten posiada niewątpliwe prawo nazywania tego kraju swoją ojczyzną.

Twierdzi dr. Maksymilian Gumplowicz w swojem studyum p. t. »Początki religii żydowskiej w Polsce«, że już pogańscy przodkowie Polan znali wyznawców Mojżeszowych. Nie byłoby w tem nic dziwnego, wiadomo bowiem, iż Żyd był od wieku VI ogólno-europejskim kupcem i wietrzył wszędzie za towarem, głównie za niewolnikiem, którego ciągłe wojny, wichrzące na ziemiach słowiańskich, obficie dostarczały. Od kronikarza Galla dowiadujemy się, że św. Wojciech i królowa Judyta wykupywali niewolników chrześcijańskich z rąk handlarzy żydowskich.

Kiedy Żydzi przyszli nad Wisłę, Odrę i Łabę, trudno dziś oznaczyć, tyle tylko pewne, że bardzo dawno przed gromadną immigracyą z Czech i Niemiec za Kazimierza Wielkiego ciągnęli za towarem przez ziemie Polan aż nad Bałtyk.

Mniejsza zresztą o datę osiedlenia się Żydów w Polsce. Wystar-

cza skonstatować fakt, że mieszkają oni w pośród nas od szeregu wieków, od praprapradziadów, a mimo to nie przestali być obcymi przybyszami, nie zlali się, nie chcieli się zlać z ludnością polską, odgrodzeni od niej wysokim murem odwiecznych zwyczajów, obyczajów, wierzeń, tradycyi i celów. Niemiec, Francuz, Włoch, Anglik i t. d., osiedliwszy się na ziemi polskiej, zapomina najdalej w dziesięć pokoleń o swojej pierwotnej ojczyźnie, a po Żydzie przeszło dwadzieścia, trzydzieści pokoleń bez śladu. Jak był Żydem temu lat sześćset, tak został nim w całej swojej prastarej odrębności rasowej i religijnej.

Powtórzyłby znane powszechnie ogólniki, ktoby mówił o przyczynach, które złożyły się na to szczególne zjawisko. Właśnie owa odrębność, owe świadome, uparte odgradzanie się od innych ras, narodowości i religii, owe przez innoplemieńców i innowierców wyszydzane i nienawidzone »wybrańtwo« (naród wybrany) broniły Żyda przed pogromem, przed rozbiciem. Zasklepiony w sobie, odcięty od wszelkich obcych wpływów, tworząc wszędzie państwo w państwie, zapatrzony, zasłuchany w talmud, ocalał on, przetrwawszy wszystkie burze, których mu niedola narodu-włóczęgi nie szczędziła.

Tej świadomej odrębności żydowskiej służyła w Polsce nieświadoma pobłażliwość rządu. Począwszy od Bolesława Pobożnego (1264 r.) aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego opiekowali się wszyscy książęta i królowie polscy narodem wybranym, zasłaniając go przywilejami i sekretami przeciw rasowej i religijnej nienawiści. Nie tylko udzielili mu prawa wolnego handlu w całem państwie z wyjątkiem miast opartych na prawie magdeburskiem, lecz zgodzili się także bez oporu na jego samorząd.

Wiadomo, że Żydzi, rozlawszy się po Europie, zatrzymali swój ustrój społeczny. Na czele każdej gminy stał kahał, którego członkowie nie różnili się niczem od »tyranów« miast greckich lub kacyków murzyńskich. Będąc nie tylko niepodzielnymi rządcami gminy, lecz równocześnie jej sądem i policyą, rzucili do stóp swoich za pomocą małej i wielkiej klątwy (cheren) wszystkich prawowiernych tamuldystów. Zygmunt I, pragnąc uczynić Żydom jakąś kontrolę rządową, ustanowił w r. 1541 tak zwanych seniorów, w których ręce złożył administracyę polityczną, cywilną, ekonomiczną i duchową ludu żydowskiego. Ale seniorowie mianowani przez rząd polski, zwykle mężowie cieszący się zaufaniem władzy, nie przypadli do gustu »narodowi wybranemu«, który nie życzył sobie wcale nad sobą czujnego oka ludzi, zestosunkowanych z ludnością chrześcijańską. Bojkotowali przeto Żydzi senio-

rów nieposłuszeństwem dopóty, dopóki rząd polski, nie mając żadnego praktycznego pożytku ze swoich reprezentantów, nie zniósł niewygodnych dla Izraela dozorców i nie wrócił kahałom ich władzy (1571 r.).

I znów rządziły się w Polsce kahały, jak szare gęsi, tem potężniejsze, groźniejsze, że do atrybucyi dawniejszych dodano im jeszcze prawo karania śmiercią heretyków, odszczepieńców od zakonu Mojżeszowego.

Koroną samorządu żydowskiego w Polsce były synody, czyli regularne zjazdy delegatów z Krakowa, Poznania, Lublina, Lwowa i sześciu przez owych delegatów powołanych rabinów. Synody szeregowały wszystkich Żydów polskich i litewskich. Rozstrzygały one w ostatniej instancyi bez apelacyi wszelkie spory między rabinami, kahałami, a stronami prywatnemi, rozciągały nadzór nad handlem i przemysłem, ustanawiały miary i wagi — słowem, były rządem absolutnym ludu żydowskiego, który, przygotowany przez kahały doskonale do bezwarunkowej karności, nie myślał wcale o zrzuceniu z siebie okrutnego jarzma.

Żydzi byli w Polsce przez szereg wieków u siebie, we własnym domu. Nie czuli tu wcale niewoli, wygnania. Jak za dawnych dobrych czasów komentowali bez żadnych przeszkód talmud, wydawali: egsegezy, suplementy, traktaty rabiniczne, zasypując niemi całą Europę.

Dopiero Stanisław August Poniatowski zrozumiał szkodliwość takiego państwa w państwie. Onto zniósł w r. 1764 synody generalne, co się jednak na niewiele przydało, miejsce bowiem synodów zajęły znów kahały, tak samo despotyczne, jak zjazdy delegatów. I niewiele zaszkodziła samorządowi Żydów polskich surowość rządów pruskich w Warszawie (od r. 1796—1807), która wytrąciła z rąk rabinów sądownictwo i zakazała im stosować do odszczepieńców małą i wielką klątwę. Rządy robiły swoje a kahały swoje. Rządy ogłaszały dekrety, kahały zaś przyjmowały te dekrety do wiadomości z uśmiechem ironicznym. Bo jakąż siłę mogły mieć rozporządzenia wobec narodu, który uważał wszelkie rozkazy i zakazy, pochodzące od innowierców, za niemocne pogróżki?

Z jednej strony uparta wyłączność żydowska, przygotowana bardzo umiejętnie przez tanaimów talmudycznych i rabinów, z drugiej pobłażliwość rządu polskiego, wytworzyły stosunki, których szkodliwość odczuwa bardzo boleśnie dopiero chwila obecna. Bo zamożną, wolną Rzeczpospolitą polską było stać na zbytek utrzymywania miliona obcych przybyszów. W granicach b. Rzeczypospolitej nie zbywało

chleba dla ludności rdzennej i dla legionu kupców, handlarzy, faktorów. Grozy zaciętej walki o byt nie czuło się w domu bogatego pana. Lecz z chwilą, gdy się położenie zmieniło, gdy ludności rdzennej ubyło mnóstwo źródeł dochodu i zarobku, wystąpiła plastycznie cała szkodliwość stosunku obcych przybyszów do żywiołu miejscowego.

Do walki o byt stanęły teraz dwie siły, zgoła do siebie niepodobne. Pierwsza (ludność rdzenna), wytwór tradycyi przeważnie rycerskich (szlachta) i rolniczych (chłop), nieprzygotowana do pracy handlowo-przemysłowej, niezaradna, nieopatrzona, rzącąca się sumieniem chrześcijańskiem, zabrała się do roboty niezręcznie, nieudolnie. Druga (Żydzi), wytwór tradycyi i praktyki kupieckiej lat dwu tysięcy, biegła, mistrzowska we wszystkich sztukach i sztuczkach handlarskich, niekrępowana sumieniem chrześcijańskiem, zwolniona przez talmud ze wszystkich względów w stosunku do nienawidzonych innoplemieńców i innowierców, chciwa na złoto, oszczędna, zabiegliwa, niezrażająca się niepowodzeniem, stanęła do walki o byt doskonale przysposobiona, uzbrojona w spryt i bezwzględność drapieżnego zwierzęcia.

Wynik walki ekonomicznej ostatnich lat czterdziestu, w której brały udział siły tak nierówne, był łatwy do przewidzenia. Illustrują go dostatecznie setki wiosek, które przeszły w ręce Żydów, liczny zastęp proletaryatu szlacheckiego, ubiegającego się o najporządniejsze posady prywatne, banki żydowskie, udzielające taniego kredytu prawie wyłącznie Żydom, różnorodne instytucye finansowe i przedsiębiorstwa przemysłowe, należące do Żydów, nieruchomości mniejszych miast, nabyte przez Żydów. Talent kupiecki u »narodu wybranego« i jego etyka talmudyczna odsuwała ludność rdzenną wolno, systematycznie od wszystkich bogatszych źródeł dochodu, zostawiając dla niej «czarną robotę« wyrobniczą.

Zdawało się, że zwycięstwo ekonomiczne Żydów podniosło zamożność całego narodu żydowskiego. Tymczasem ma się rzecz wręcz przeciwnie. Znacznych fortun dorobiło się kilka tysięcy sprytniejszych, bezwzględniejszych spekulantów, bankierów, fabrykantów, kupców, lichwiarzy, wielka zaś masa, przeszło milion hałatowego motłochu zubożał razem z upadkiem średniej szlachty i drobnego mieszczaństwa polskiego. Dopóki szlachcic nie potrzebował się liczyć z każdym groszem, wisiało przy nim, wyżywiło się zawsze kilku ubogich Żydów (faktorów, kupców zubożałych, arendarzy). Ta odwieczna asysta polskiego obywatela ziemskiego została bez chleba z chwilą, gdy nastały »ciężkie czasy«. Szlachcic faktoruje sobie dziś sam i omija z daleka jar-

marki. A drobnego mieszczanina, rękodzielnika, rzemieślnika, wzięły w opiekę gęsto w ostatnich czasach zakładane stowarzyszenia spożywcze i sklepy chrześcijańskie, zabierające motłochowi żydowskiemu groszowy zarobek.

Zwycięstwo ekonomiczne kapitalistów żydowskich zrujnowało tłum hałatowy, gnieżdżący się w zaułkach Warszawy i w miastach prowincyonalnych. Najuboższy rzemieślnik polski nie jest tak ubogim, jak przeciętny proletaryusz żydowski. W nędzy, w brudzie, w błocie żyje ten biedak, niewiadomo z czego.

Okazało się, że zubożałe społeczeństwo Polski nie jest w stanie utrzymać półtora miliona proletaryatu żydowskiego, stroniącego od ciężkiej pracy. Nędza rozerwała potężny niegdyś łańcuch solidarności żydowskiej, zasiała niezgodę w łonie Izraela. Dziś walczą już Żydzi sami z sobą, wyrywając sobie nawzajem z żarłocznością głodnych gorzki chleb ubóstwa. A położenie ich pogarsza się z każdym rokiem, ludność bowiem rdzenna, zapłaciwszy frycuwkę w pierwszym boju ekonomicznym, pouczona smutnem doświadczeniem, broni się coraz lepiej, coraz umiejętniej. Rozbudzony około r. 1880 antysemityzm warszawski zadał tłumowi żydowskiemu dotkliwą klęskę, zwracając uwagę szerokich mas chrześcijańskich na konieczność obrony ekonomicznej. Jegoto dziełem są liczne sklepy, sklepiki, stowarzyszenia i kasy, założone wyłącznie dla ludności rdzennej.

Na taki grunt padł syonizm.

Powstali marzyciele żydowscy i zaczęli wołać głośno do czerni hałatowej, smaganej biczem nędzy i nienawiści: wróćmy do Palestyny, do naszej ziemi obiecanej, bądźmy znów wolnym narodem, państwem niezależnem, jak byliśmy niegdyś, temu lat dwa tysiące, zejdźmy z oczu ludom chrześcijańskim, które nas nienawidzą, nami gardzą, zazdroszczą nam łyżki swojej strawy.

Możnaż się dziwić, że głos obiecujący swobodę, niezależność, własne śmiecie uderzył w serce głodnego motłochu żydowskiego z siłą dobrej nowiny? Ten głodny motłoch nie jest przecież ani socyologiem ani historykiem ani politykiem, nie zdaje sobie sprawy z przeszkód, jakie piętrzą się na drodze do wcielenia tego romantycznego marzenia. Mówią do niego głowy zapalone: tu jest ci źle, a tam w Syonie będzie ci dobrze! Przeto wierzy z radością i garnie się ochoczo pod skrzydła syonizmu.

Chrześcijanie dziwią się ruchowi syonistycznemu. Czy słusznie?

Kto zna historyę Żydów na tułactwie i rozumie duszę tej historyi, dziwi się raczej, że syonizm przybrał dopiero teraz kształty wyraźne.

Jest w Jerozolimie, u stóp góry Morya odłam muru, który ma być szczątkiem świątyni Salomona. Rzeka łez oblała te szczątki szanowne tych ubogich świadków wielkiej przeszłości.

Co piątek gromadzą się Żydzi jerozolimscy pod tym murem i płaczą gorzkiemi łzami wygnańców na własnej ziemi: »Boże, przyszli poganie na dziedzictwo Twoje, splugawili Kościół Twój, obrócili Jeruzalem na budkę do chowania jabłek. Porzucili trupy sług Twoich na strawę ptakom powietrznym, ciała świętych Twoich zwierzętom ziemskim. Rozlali krew ich jak wodę dokoła Jeruzalem, a nie było, ktoby pogrzebł; staliśmy się pohańbieniem u sąsiad naszych i śmiechowiskiem i igrzyskiem u tych, którzy są w okolicy naszej. Dokądże Panie, gniewać się będziesz do końca, rozpali się jako ogień zapalczywość Twoja«? (Psalm 78).

Od lat dwu tysięcy łka ta skarga serdeczna na gruzach świątyni jerozolimskiej, a echo jej rozlewa się daleko, zatacza szerokie kręgi, ogarnia całą kulę ziemską, potrącając wszędzie, gdzie się w piątek wieczorem, po zachodzie słońca, zapalają światła szabasowe, cichem skrzydłem o miliony serc strapionych, tęskniących za dawną świetnością Judei. Dlaczego? Bo lud żydowski nie przestał być nigdy zamkniętym w sobie, od reszty ludzkości odciętym, odrębnym narodem, bo nie zapomniał nigdy swojego Syonu — był zawsze syonistą. Gdziekolwiek był, w jakiemkolwiek znajdował się położeniu, wszędzie szła za nim pamięć Jerozolimy, jej proroków i prawodawców. Nawet przyjaźń obcych narodów nie stłumiła w nim tęsknoty za Syonem, czego dowodem elegia Żyda hiszpańskiego, Jehudy Halewiego ben Salomona.

Na obecne uświadomienie i czynne wystąpienie syonizmu złożyły się oprócz nędzy jeszcze trzy przyczyny. Do jawnej, bardzo ruchliwej agitacyi ośmieliły syonistów po pierwsze swobodniejsze prawa drugiej połowy XIX stulecia. Żaden naród chrześcijański nie byłby się był przed emancypacyą Żydów zgodził na tego rodzaju »rewolucyę«. Sejmy i sejmiki syonistów, ich zjazdy i banki byłaby każda policya rozpędziła przed rokiem 1860. Ta sama Szwajcarya, która jest dziś punktem zbornym syonistów, nie byłaby zniosła w swoich granicach delegatów złączonej Judei. I rozbudzona w czasach ostatnich bezwzględność i wyłączność nacyonalistyczna wpłynęła niewątpliwie na uświadomienie syonizmu. Ostrą formę jego wybuchu spowodował w końcu także woju-

jący antysemityzm ostatnich lat kilkudziesięciu, który ogarnął całą Europę.

Pierwsze błyski nowoczesnego syonizmu tryskają już z dzieła przyrodnika i filozofa, Maurycego Hessa, p. t. »Rzym i Jerozolima« (w r. 1862). Ale wówczas błysnęły i zgasły, nie zauważone prawie przez nikogo. Żydzi, olśnieni równouprawnieniem, wytężyli całą swoją energię w innym kierunku. Dopiero głos lekarza odesskiego d-ra Leona Pinskiera, który odezwał się w chwili budzącego się znów antysemityzmu (w r. 1882), trafił do nieba serc żydowskich. W jego broszurze p. t. »Samowyzwolenie«, napisanej po niemiecku *(Autoemancipation, Mahnruf an seine Stammesgenossen von einem russischen Juden)*, znajdujemy już z całą świadomością rzucony szkic dzisiejszego syonizmu.

Głos d-ra Pinskiera wpadł wichrem w tlejące słabo zarzewie odwiecznego syonizmu. Buchnął z tego rozdmuchanego zarzewia płomień, który oświecił nagle całego Izraela. Syon, Syon, Syon! wtórowano zewsząd, we wszystkich krajach patryocie żydowskiemu. Przyklasnął mu rabin memelski, dr. Rulf książką p. t. »Aruchas-Bas-Annue«, podjął jego plan i rozwinął go szerzej wiedeński dr. Herzl, poparł go swojem piórem błyskotliwem dr. Maks Nordau, rozgłosił jego nowinę dr. Birnbaum. Najliczniejszy zastęp żarliwych zwolenników zjednał sobie syonizm wpośród Żydów polskich i rosyjskich.

Gdyby się syonistom udało wcielić odwieczne marzenie Izraela, wyprowadzić z Europy naród tułaczy i osadzić go gdzieś na własnej ziemi, w Afryce, Ameryce lub Azyi, odetchnęłyby nareszcie społeczeństwa chrześcijańskie, byłoby to bowiem jedyne, radykalne przecięcie ropiącego się ciągle wrzodu kwestyi żydowskiej. Do urzeczywistnienia jednak tego celu wiedzie droga tak daleka, iż nie widać nawet jej końca, tem więcej, że najzaciętszych przeciwników znalazł syonizm w łonie samego Izraela.

Na czele wrogów syonizmu stoją reformowani rabini niemieccy, francuscy, angielscy i włoscy, którzy marzą ciągle o wszechświatowej misyi judaizmu. Nie wolno wyprowadzać Żydów z Europy — twierdzą i wierzą ci fantaści — albowiem Jehowa odebrał dlatego swojemu ludowi umiłowanemu Jerozolimę i rozprószył go dlatego po ziemiach chrześcijańskich, aby wszystkich innowierców nawrócił z czasem do niego. Tylko kto marzy o niezależnem państwie żydowskiem, ten odciąga Izraela od jego posłannictwa, ten grzeszy przeciw Jehowie, bo sprzeciwia się jego planom.

Niepraktycznych rabinów pomijają dowódcy syonizmu z uśmiechem ironicznym, rozumieją bowiem całą ważność owego panjudaizmu przyszłości. Więcej niż »uczonych w piśmie« obawiają się słusznie swojego drugiego przeciwnika, dość licznej dziś w Europie gromady oświeconych i półoświeconych Żydów, którzy, przywykłszy do wygód kultury chrześcijańskiej, nie mają wcale ochoty zamienić pewnego dobrobytu między »gojami« na niepewne świetności wpośród swoich.

Protoplastą oświeconych Żydów europejskich jest, jak wiadomo, filozof Mojżesz Mendelsohn, w którego głowie powstała myśl zreformowania zmurszałej synagogi i zaasymilowania swoich współwyznawców z Niemcami. Pomysł Mendelsohna rozwinęli i pogłębili w dalszym ciągu: Hartwig Wessely, Edward Gans, Leopold Zunz, Mojżesz Moser, Izrael Jacobsohn, w końcu Abraham Geiger.

Ruch, zapoczątkowany w Berlinie przez Mojżesza Mendelsohna, potrącił i o ziemie polskie, razem bowiem z urzędnikami pruskimi (w r. 1798) przybyła do Warszawy gromadka Żydów niemieckich, którzy przynieśli z sobą nowinki berlińskie. Z biegiem lat napływało coraz więcej tych »Niemców«, jak ich Żydzi polscy nazywali. Byli oni w istocie Niemcami, bo mówili między sobą tylko po niemiecku i odłączyli się od Żydów polskich innymi zwyczajami, obyczajami i inną, własną synagogą, w której językiem urzędowym był język niemiecki.

Oświeceńsi, wykształceńsi od Żydów polskich, »Niemcy« wypowiedzieli bunt kahałowi i przygotowywali dla siebie powoli synagogę reformowaną, która uderzyła z czasem taranem w bóżnicę prawowierną, odrywając od niej wyznawców śmielszej natury i pełniejszej szkatuły. Przykład »Niemców« oddziałał tu i owdzie na zamożniejszych Żydów polskich. Coraz większa gromada zaczęła się oddalać od talmudu i kahału, chować dzieci staranniej, posyłać je do szkół publicznych.

Ewolucya ta posuwała się oczywiście bardzo wolno naprzód, »Judea« bowiem prawowierna, znacznie u nas liczniejsza, silniejsza niż w krajach zachodnich, robiła wszystko, aby zniszczyć robotę Żydów postępowych. Dopiero po roku 1862, po emancypacyi Żydów przez Wielopolskiego, ogarnął ruch reformatorski szersze koła, powiększając szczupłe dotąd kadry oświeconych izraelitów polskich. Dziś posiada Królestwo kilkuset lekarzy, adwokatów, inżynierów, techników, bankierów, większych kupców i dziennikarzy pochodzenia żydowskiego, którzy zerwali z tradycyami prawowiernej synagogi.

Inne jednak formy, jak chcieli, marzyli Mendelsohn, Wessely, Jacobsohn, Geiger i nasi reformatorowie (Eisenbaum, Kramsztyk, Nuss-

baum, Rotwand i in.) przybrało »oświecenie« żydowskie. Żaden z tych marzycieli nie przestał być żarliwym wyznawcą zakonu mojżeszowego, wszyscy byli *deistami*, wiernymi, nie zrywali »przymierza człowieka z Bogiem«. Żądali oni tylko oczyszczenia synagogi z niepotrzebnej formalistyki talmudycznej i złamania wpływu kahałów. A dzieci ich, nasi współcześni »oświeceni« Żydzi, wychowani już w średnich i wyższych szkołach chrześcijańskich, wykarmieni wiedzą materyalistyczną drugiej połowy XIX stulecia, odwrócili się zupełnie od synagogi, nie tylko starej, ale także reformowanej — zawiśli w powietrzu. Oderwani od środowiska, do którego należą krwią, stosunkami rodzinnymi, tradycyami długiego szeregu wieków, przerzuceni nagle, bez dłuższego przygotowania, między ludzi, pojęcia, nawyknienia, upodobania i tradycye dla siebie zgoła obce, niezrozumiałe, stali się jako okręt bez steru i masztu i żaglów, miotany na falach wzburzonego morza. Zbyt wielu rzeczy nowych musieli się odrazu nauczyć, by je mogli strawić. Wzgardzeni, odtrąceni przez Żydów prawowiernych jako renegaci, a przez chrześcijan podejrzywani jako niepewni sprzymierzeńcy, znienawidzili całą przeszłość, całą dotychczasową kulturę wogóle, wszelką religię, wszelkie ideały jasne, wszelki porządek istniejący, który nie zadawalnia ich apetytów, ambicyi i pretensyi. Szydercy, cynicy, bezwyznaniowcy, ateusze, bluźniercy, przewrotowcy polityczni i społeczni rekrutują się przeważnie z pomiędzy Żydów oświeconych. Trzeba wydrwić, podkopać, zniszczyć całą kulturę chrześcijańską — wołał Holdheim, a za nim powtarza ten okrzyk wojenny, oświeconego Izraela armia dziennikarzy, publicystów i społeczników żydowskich.

Nasi pierwsi Żydzi oświeceni nie wtrącali się zbyt natarczywie do spraw publicznych. Jeżeli brali w nich udział, to liczyli się oględnie, przezornie z tradycyami narodu polskiego i nie narzucali się na przewodników. Dopiero najmłodsze pokolenie wtargnęło gromadnie, śmiało do prasy i literatury i zachowuje się tak hałaśliwie, jak gdyby tylko Żydzi byli upoważnieni do rozstrzygania spraw, obchodzących cały kraj. Wszystko, co polskie, katolickie, cała nasza przeszłość historyczna nazywa się podług tych najnowszych proroków »stęchłą swojszczyzną«, przeżytkiem, średniowieczną *głupotą*. Dopiero oni, kosmopolici i bezwyznaniowcy żydowscy *sans Dieu et maître*, oni, wczorajsi ciemni barbarzyńcy, których kultura jest tak świeżą, iż nie miała jeszcze czasu wsiąknąć w ich krew, niestrawiona, chaotyczna, gruba, wskażą nam drogę do prawdy, dobra i piękna.

Nie trzeba lekceważyć obecnego wpływu Żydów oświeconych na

naszą prasę, literaturę i sprawy społeczne. Z natręctwem swojej rasy, która wchodzi kominem, gdy się ją za drzwi wyrzuci, z przebiegłym sprytem narodu handlarskiego, którego wieki szachrajstwa nauczyly zręcznego, bezwzględnego podstępu, wciska się Żyd oświecony wszędzie i podkopuje pod płaszczykiem idei humanitarnych kulturę chrześcijańską i tradycye polskie. Młodzież idzie, bierze się chętnie na lep owego humanitaryzmu, opierającego się na bezwyznaniowości i kosmopolityzmie, na nienawiści do chrześcijaństwa wogóle a katolicyzmu po szczególe. W ostatnich wypadkach warszawskich odegrali nasi Żydzi oświeceni bardzo dużą rolę, Są oni szkodliwsi od Żydów ciemnych, od hałatowego motłochu, ten bowiem atakuje tylko naszą kieszeń, oni zaś zatruwają, zakażają naszą duszę. Trzeba przeto zwracać pilną uwagę na ich działalność i ostrzegać społeczeństwo polskie przed ich robotą rozkładową.

Pierwsi postępowi, oświeceni Żydzi polscy byli asymilatorami, pragnęli się złączyć z ludnością rdzenną. Obecni oświeceńcy, zakażeni chorobliwym indywidualizmem modernizmu i ośmieleni powodzeniem syonizmu, zerwali z dążeniami starszego pokolenia. Przyświecają im »ideały ogólno-ludzkie«, w naszem położeniu przedwczesne, wyprzedzające szkodliwie rozwój wypadków.

Mówiąc o Żydach polskich, niepodobna pominąć Żydów ochrzczonych, czyli t. zw. mechesów. Jest ich w Polsce więcej, aniżeli powszechnie wiadomo; wsiąkli oni w szlachtę, w mieszczaństwo, a nawet w chłopów.

Chrzcili się u nas Żydzi już przy końcu XV wieku, głównie na Litwie, gdzie ówczesny wielki książę Aleksander, syn Kazimierza Jagiellończyka, korzystając z burzy antysemickiej, jaka, wypadłszy z Hiszpanii, obiegła wichrem całę Europę zachodnią i środkową, dekretem z r. 1495 wypędził wszystkich wyznawców mojżeszowych z ziem, podległych jego berłu. Którzy dorobili się znacznych fortun na dzierżawie: podatku, ceł, myt, gorzelń, soli, wosku, nie chcąc opuścić źródeł swojego rosnącego ciągle majątku, przyjmowali chrzest.

Chrzcili się u nas Żydzi przez cały wiek XVI i XVII, czego świadectwem kościelne księgi urodzonych. Właściwa jednak gromadniejsza ucieczka z synagogi odbywa się dopiero w stuleciu XVIII-em. W stuleciu tem wprowadzili kanonik piltyński, ks. J. Stefan Turczynowicz, znany na Litwie misyonarz żydowski, i głośny w roku 1760 Jakób Frank do wiary chrześcijańskiej około tysiąca nowochrzceńców. Pewna liczba tych »mechesów« roztopiła się w szlachcie litewskiej, nobilito-

wana w r. 1764 i 1765 przez króla Stanisława Augusta, reszta zginęła bez śladu w mieszczaństwie. Asymilacyę tę ułatwiły nazwiska polskie, w znacznej części istniejące nazwiska szlacheckie, które neofici razem z chrztem św., albo wkrótce po nim przyjmowali. Wszyscy nowochrzceńcy polscy aż do r. 1800 mniej więcej zmieniali mozaizm na katolicyzm.

Chrzcili się Żydzi polscy w wieku XIX większemi gromadami, począwszy od r. 1820. Teraz zmieniają się upodobania neofitów. Postępowi, oświeceni lub zamożniejsi izraelici, a głównie wszyscy przybysze obcy, t. zw. »Niemcy« garną się do wyznań protestanckich, do ewangelickiego i kalwińskiego. Katolicyzm wybierają przeważnie Żydzi ubożsi, z ludu.

Neofitów polskich można podzielić na dwie kategorye, na tych, którzy przyjmowali chrześcijaństwo z przekonań religijnych lub z chęci uobywatelenia się, zlania się z ludnością rdzenną, i na tych, którzy się chrzcili z pobudek praktycznych, w celu uzyskania prawa do urzędów i do różnych przywilejów, zamkniętych dla izraelitów. Pierwsza kategorya starała się zatrzeć jak najprędzej ślady swojego pochodzenia, weszła do ludności rdzennej za pośrednictwem małżeństwa, związków krwi, zasymilowała się istotnie i wydała szereg ludzi pożytecznych, zasłużonych — druga, chrzcąc się ze wstrętem, ze względów materyalnych, weszła tylko *de nomine* do społeczeństwa chrześcijańskiego.

Syonista Maks Nordau mówi w swoim »Syonizmie i jego przeciwnikach«: »Jest rzeczą wprost niemożliwą rozpuścić naród żydowski w narodach europejskich. Gdybyśmy nawet próbowali zastosować metodę zaniku, zatracenia się (asymilacyi) na większą skalę, stanęlibyśmy wobec niemożliwości, nie zasługującej wcale na bliższe roztrząsanie. Raz, że cała masa Żydów żadną miarą nie chce się wyzbyć swojej żydowskości i wolałaby raczej śmierć ponieść, niż wyrzec się swojej wiary, swoich tradycyi i swojej narodowości, powtóre, gdyby nawet ta niemożliwość mogła być usuniętą, gdyby się Żydzi zgodzili ze stoicyzmem na popełnienie samobójstwa, nie przydałby się ten akt ostatecznej rozpaczy na nic, okazałoby się bowiem, że są nierozpuszczalni w aryjskości. Nie byliby już wprawdzie Żydami, lecz zostaliby zawsze ż y d o w s k i m i c h r z e ś c i j a n a m i«.

Do gatunku takich »żydowskich chrześcijan« należy druga kategorya naszych neofitów »dla interesu», dla geszeftu wiszących tak samo w powietrzu, jak niechrzczeni, oświeceni Żydzi i tak samo szkodliwych jak oni.

Typem takiego »żydowskiego chrześcijanina« był poeta Henryk Heine. Dowiedziawszy się o chrzcie Edwarda Gansa, pisał do Mosera: »Nie wiem, co mam powiedzieć na wiadomość, której mi Kohen udzielił. Mówił mi on, że Gans nawraca dzieci Izraela na chrześcijaństwo. Jeśli to czyni z przekonania, to jest idyotą, jeśli zaś z obłudy, to jest łotrem. Przyznaję się, iż przyjąłbym chętniej, zamiast powyższej, wiadomość, że Gans ukradł srebrne łyżki. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyś pochwalił moją własną konwersyę. Zapewniam cię, iż nie byłbym się ochrzcił, gdyby prawo pozwalało kraść srebrne łyżki. Dowiaduję się, że Japończycy nienawidzą najwięcej chrześcijaństwa; chcę zostać Japończykiem«.

Nietrudno się domyślić, z jakiemi uczuciami wstępuje do chrześcijaństwa neofita, który ma takie pojęcie o swojej nowej wierze, potrzebnej mu do celów praktycznych. Wchodzi do niego z nienawiścią, z pogardą.

Z nienawiścią, z pogardą wciska się druga kategorya naszych neofitów do owczarni Chrystusowej i dlatego należy się mieć przed nią na baczności, tem więcej, że zakryta chrztem oddziaływa bezpośrednio na społeczeństwo chrześcijańskie. Płaska bezwyznaniowość, połączona z kąsaniem katolicyzmu, rozpościerająca się obecnie pysznie w Warszawie, jest wytworem nie samych tylko niechrzczonych, oświeconych Żydów. Pracują dla niej także bardzo gorliwie »żydowscy chrześcijanie«.

Teodor Jeske-Choiński.

Errata.

Str. 63 wiersz 11 od góry wydrukowano: »poczytność« zamiast »poczytalność«.

Druk ukończono 6 lipca 1905 r.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Rusałka. Zbiór nowel. *Stefan Krzywoszewski.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1905. Str. 156.

Dzieje skarbca koronnego. *Feliks Kopera.* Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1904. Str. 261.

Juliusz Słowacki. *Józef Tretiak.* Kraków. Nakładem Akad. Umiej. W księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1904. Tom I, str. VIII, 494. Tom II, str. 504.

List pasterski ks. arcybiskupa Floryana Stablewskiego. Poznań 1905. Str. 5.

Kazania i szkice Księży Towarzystwa Jezusowego. T. VIII. Zeszyt 3. Kraków 1905. Nakładem Wydawnictw Apostolstwa Modlitwy. Str. 169.

Krótkie nabożeństwo do św. Zyty. Nakładem ks. A. Fridricha T. J. Kraków 1905. Str. 16.

Dla dzieci. Modlitwy do Komunii św. *Ks. Bratkowski T. J.* Nakładem autora. Kraków 1905. Str. 23.

Kazania o Męce Pańskiej. Z kazań ks. T. Młodzianowskiego wyjął i opracował *ks. Al. Syski*, M. Ś. T. Warszawa 1904. Str. 77.

Jezus Chrystus. *Ks. biskup Bougaud.* Warszawa 1905. Wydawnictwo księgarni nakładowej M. Szczepkowskiego. Str. 423.

List pasterski ks. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego do młodzieży szkół średnich. Lwów 1905. Str. 56.

Album kościoła OO. Jezuitów we Lwowie. Wydany z okazyi koronacyi obrazu Matki Boskiej Pocieszenia. Lwów 1905. Str. 44.

Nad Wartą. Powieść współczesna. *Gruszecki Artur.* Warszawa. Nakładem Jana Fischera. 1905. Str. 296.

O szkole powiatowej w Poczajowie. *Wołyniak.* Str. 13.

Czem byliśmy, czem jesteśmy a czem być możemy? Część I. Księga II. Geograficzno-historyczne stosunki na ziemiach dawnej Polski i wpływ ich na charakter społeczeństwa. Kraków 1905. Str. 159.

Notatki historyczne o cudownym obrazie Matki Boskiej w Poczajowie i tamtejszym klasztorze. *Mazowiecki Krystyn.* (Odbitka z »Księgi pamiątkowej maryańskiej«). Lwów 1905. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Str. 14.

Ojcze nasz. Siedm przykazań Nowego Zakonu. Syn marnotrawny. Wykład egzegetyczno-moralny przypowieści Chrystusowej. *Ks. Szlagowski Antoni*, profesor seminaryum metropolitalnego. Warszawa. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 118.

Sprawozdanie Dyrekcyi Banku parcelacyjnego za rok 1904. Lwów. Nakładem Banku Parcelacyjnego. 1905. Str. 29.

Płomienie. *Liliana.* Z rysunkami J. Bukowskiego. Warszawa 1905. Str. 43.

Mapa Górnego Śląska i kolei żelaznych. *Ks. Gregor Józef.* Mikołów (Nikolai O.-S.) Nakładem Karola Miarki. 1904.

W sprawie reformy gminy wiejskiej. Dwie konferencye. Staraniem i nakładem *Słowa Polskiego.* Lwów 1905. Str. 117.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Slavorum litterae theologicae. Conspectus periodicus, dirigentibus Dr. Ios. Tumpach, Dr. Ant. Podlaha. Pragae Bohemorum 1905. Sumptibus propriis. Typis Aep. officinae typographiae. In commisione eiusdem typographiae. Pragae I. 190. Str. 40.

Eine Vereinfachung der Experimente mit der schiefen Ebene. *Wł. von Żukotyński.* Sonderabdruck aus der Physikalischen Zeitschrift. Verlag von S. Hizzel in Leipzig. Str. 2.

XIII Sprawozdanie zarządu Czytelni Katolickiej we Lwowie. Za rok administracyjny 1904. Lwów 1905. Nakładem Czytelni Katolickiej. 1905. Str. 17.

Do granic wiecznego lodu. *Jakubowski Józef K.* Tarnów. Nakładem księgarni Zygmunta Jelenia. 1905. Str. 226.

Sprawa ludowa wobec przyszłości narodu. *Albert Dr.* Kraków 1905. Nakładem Władysława Teodorczuka Str. 119.

W ojczyźnie bohatera. *Bełza Stanisław.* Warszawa. Gebethner i Wolff. Kraków. G. Gebethner i Spółka. Poznań. J. Leitgeber i Spółka. 1905. Str. 70.

Biblioteka „Prawdy“: Św. Franciszek Seraficki. Napisał *O. Floryan z Haczowa, Kapucyn.* Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1905. Str. 85.

Św. Pascal. Opowiadania i nauki dla młodzieży. Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1904. Str. 79.

Jak się bronić przed wyzyskiem żydowskim. Pogadanki w Kółku włościańskiem w okolicy Szynwałdu. Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1904. Str. 32.

O opiece nad sierotami. Pogadanka z dziedziny prawa. Napisana przez *Mieczysława Szybalskiego.* Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1904. Str. 32.

Pogadanki o prawie spadkowem. Napisał *Piotr Szufnara,* c. k. sekretarz sądowy. Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1904. Str. 63.

Poradnik dla rolników, kupców i przemysłowców. Napisał *Franciszek Szczepański,* kierownik szkoły w Buczkowie. Kraków. Nakładem Redakcyi »Prawdy«. 1904. Str. 159.

Nowe pieśni. *Konopnicka Marya.* Warszawa—Kraków. Gebethner i Spółka. 1905. Str. 206.

Zatracenie. Romans. *Kazimierz Przerwa-Tetmajer.* Warszawa—Kraków. Gebethner i Spółka. 1905. Str. 389.

Czasy i ludzie. *Kallenbach Józef.* Warszawa—Kraków. Gebethner i Spółka. 1905. Str. II, 399.

Miscellanea historyczne. IV Sprzysiężenie studenckie 1820—1827. *Kraushar Aleksander.* Lwów. Nakład autora. 1905. Str. 47.

Miasto analfabetów. *Suligowski Adolf.* Kraków 1905. Str. II, 115.

Rozprawy Akademii Umiejętności: Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II, tom XXIII. Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. 1905. Str. 428.

Z NASZYCH SPRAW SPOŁECZNYCH.

KRADZIEŻE NIELETNICH W KRAKOWIE

w r. 1904.

Od dłuższego już czasu zaczęto zwracać uwagę naszego społeczeństwa na szerzącą się coraz więcej wśród młodzieży zarazę występku i zbrodni. Ludzie, którym dobro społeczne najbardziej na sercu leży, od lat już z górą dwudziestu wskazują nieustannie na to groźne dla naszej przyszłości niebezpieczeństwo. Więc w pismach codziennych i peryodycznych, w broszurach, pojawiają się od czasu do czasu, w ostatnich latach coraz częściej — obrazy nędzy moralnej i idącej z nią w parze a czasem i wywołującej ją — nędzy materyalnej naszych dzieci. Myśl więc i zajęcie się społeczeństwa i jego przedstawicieli, członków Sejmu, zwróciła się ku dochodzeniu głębszemu źródeł tego zła, ku wynalezieniu skutecznych środków obrony. Zebrane w okręgach sądowych: lwowskim i krakowskim, statystyczne dane i studya nad niemi, choć nie wnikały dość głęboko w jądro rzeczy: w motywy wykroczeń, przecież częściowo spełniły swe zadanie, przekonały społeczeństwo, że już czas najwyższy do gorącego zajęcia się tą sprawą, do akcyi, któraby niezepsute jeszcze, a już stojące na pochyłej drodze występku dzieci uchroniła od zbrodni, a częściowo skażone jednostki, według możności, sprowadziła na drogę uczciwej i umoralniającej pracy. Dlatego też komisya administracyjna

naszego Sejmu w r. 1890 orzekła, że przed zakładaniem domów poprawy i pracy dla dorosłych, pierwszeństwo nawet przyznać należy domom poprawy dla nieletnich.

Domy pracy przymusowej i zakłady poprawcze, według ustawy z dnia 24 maja 1885 r., powstały już w znacznej części krajów koronnych Austryi. Graniczący z nami, a tak mały w stosunku do Galicyi kraik, Ślązk, ma je już od dość dawna: Galicya do założenia ich dopiero się sposobi, niestety od lat... dwudziestu.

W ostatnich czasach jednak pod wpływem pism tak się wzmogło zajęcie się społeczeństwa polskiego tą jątrzącą się raną, że spodziewać się należy wprowadzenia w czyn już wkrótce tych planów i przedłożeń z całego szeregu lat. Pojawiły się też niedawno dziełka gruntownie omawiające tę sprawę, założono w Krakowie osobne towarzystwo, które jako cel sobie wytknęło — staranie nad ocaleniem, względnie poprawą nieletnich, pozbawionych opieki i przestępców.

Dzielną przysługę w tej sprawie oddała już statystyka. Jej też jest zadaniem w dotyczącej kwestyi przedstawić obraz rozmiaru zbrodni i przestępstwa. Ważniejszą jednak i w skutkach swoich donioślejszą może ona odegrać rolę, gdy, wskazując na motywy przekroczenia, wskaże zarazem na źródło złego, a przez to ułatwi obmyślenie i użycie środków obronnych. Gdyby się bowiem okazało, że szerzące się wśród naszej młodzieży występki są w znacznej części istotnie objawem zepsutego, zwyrodniałego na punkcie moralnym charakteru, — w bardzo ciemnych barwach przedstawićby się nam musiała nasza przyszłość, kto wie — czy możeby już nie było za późno na poprawę takich jednostek. Środki zaradcze, któremi posługiwać się myśli społeczeństwo nasze, byłyby wówczas już może w znacznej mierze, lub zgoła bezowocne. Doświadczenia bowiem innych społeczeństw i narodów wykazały jasno, że wpływ umoralniający domów poprawy i przymusowej pracy na jednostki zupełnie już zdemoralizowane był czasami bardzo nieznaczny, a prawie zawsze okazał się daremnym. Słowa wybitnego znawcy statystyki kryminalnej dałyby się wówczas do nas w pełnej mierze zastosować: »Gdy ogółem mniejsza jest suma zbrodniarzy, a małoletni (i kobiety) w szczególnie

silnej występują liczbie, gorszy to czas pod względem społeczno-etycznym, niż inny, w którym udział młodzieży (i kobiet) w zbrodni jest mniejszy przy wyższej ogólnej sumie występnych«[1]. »Można zestawić cyfrę udziału młodzieży w zbrodni i wyprowadzać z niej wniosek na moralny stan krajów, ponieważ tu odbija się ogólno-ludzki element. Lud, w którym młodzież (i kobieta) bardzo silny bierze udział w zbrodni, okazuje się znacznie niebezpieczniej od innych schorzały«[2].

Może się natomiast okazać, że źródło przestępstw wśród młodzieży tkwi w znacznej części wypadków — w nędzy materyalnej; do takiego też rezultatu badań dostosować się musi wybór odpowiednich środków zaradczych. Wielkie liczby wykazują pewne prawa, i im głębiej się wniknie w statystyczne daty, tem wyraziściej się odsłonią zupełnie już pewne wnioski, do których na innej drodze dojśćbyśmy nie mogli. Najdonioślejszym więc i najobfitszym w skutki przedmiotem badań statystycznych jest wykazanie źródeł i przyczyn takiego objawu społecznego. Dlatego temu przedmiotowi poświęcimy w naszej pracy najbaczniejszą uwagę, nie pomijając zarazem i pierwszego zadania statystyki kryminalnej — przedstawienia rozmiaru zbrodni u nieletnich. By ułatwić głębsze wniknięcie w istotę zagadnienia i szczegółowiej wykorzystać statystyczne daty, ograniczyliśmy nasz przedmiot tylko do jednego, choć najczęstszego u tych nieletnich występku — do kradzieży i tylko do kradzieży popełnionych w Krakowie i kilku gminach podmiejskich. Obraliśmy za przedmiot — kradzież, nietylko dlatego, że ona największą wykazuje cyfrę wśród występków i zbrodni dostępnych, i faktycznie popełnionych przez młodzież, ale także z powodu, że kradzież chyba najłatwiej dopuszcza wzrok badacza do głębi swych motywów i jest wykroczeniem, najmniej może dopuszczającem dowolność w subjektywnem ocenianiu (kwalifikowaniu) jakości popełnionego czynu. Inne przewinienia wśród naszej młodzieży

[1] W *Zeitschrift für die gesammte Strafrechtswissenschaft* 1 tom, r. 1881, praca d-ra Aleks. Oettingen'a *Über die methodische Erhebung und Beurteilung kriminalstatistischer Daten* str. 431.

[2] Tamże.

obojga płci albo są zbyt nieliczne, by dopuszczały do uzasadnionych o jej stanie moralnym wniosków, albo też, jak często zachodzące włóczęgostwo i żebranie, niedość uwydatniają motywy i stan o stanie moralnym młodzieży również mało pouczają. Nie chcąc rozszerzać materyału pracy ograniczamy się jedynie na przedstawieniu krakowskiej statystyki kradzieży, popełnionych przez nieletnich tylko w r. 1904, jako najbliższym, dostępnym naszym badaniom okresie czasu. Ponieważ jednak w statystycznych badaniach opracowanie jednego roku niezupełnie uprawnia do postawienia ogólnych praw i wniosków, posługujemy się jeszcze jak najdokładniejszemi datami z lat odleglejszych: roku 1901 i 1891, jako tłem i materyałem porównawczym. Bierzemy te dwa lata tuż następujące po spisie ludności z lat 1890 i 1900, aby ułatwić w porównaniu ścisłe zestawienie liczby przestępców z liczbą ludności, dość krytycznie zbadaną przy tych właśnie spisach. Inne przybliżone tylko do prawdy obliczenia ludności na podstawie proporcyi, nie dostarczają dostatecznej rękojmi.

W poniższych zestawieniach wyrazu »kradzież« używamy w powszechnie przyjętem znaczeniu, — zabrania rzeczy obcej wbrew woli właściciela. Ponieważ praca nasza zajmuje się badaniem występku z punktu zapatrywania etyki społecznej, w jednę kategoryę łączymy nie tylko dokonany czyn kradzieży, ale i zamiar jej dokonania, objawiony wyraźnie i niewątpliwie. Różnica bowiem dotyczy tu tylko stopnia występku i jego natężenia. Z tego samego powodu, przy porównaniu cyfr kradzieży, dokonanych przez dorosłych i nieletnich, włączamy w ogólniejsze już pojęcie »naruszenia cudzej własności w chęci zysku« — i sprzedawanie, względnie nabywanie rzeczy skradzionych z wiadomością, że istotnie pochodzą one z kradzieży. Ponieważ kwalifikacya takiego czynu, pod względem etyczno-moralnym podobna jest do samejże kradzieży w ścisłem tego słowa znaczeniu, i ponieważ wypadki takie zachodziły w latach zbadanych niemal wyłącznie wśród dorosłych (a u nieletnich raz jeden tylko), procent udziału nieletnich w kradzieżach nie straci przez to wcale na swej niewątpliwej i objektywnej wartości, jeżeli pomijając już ściślejsze prawne określenie, nazwiemy taki czyn po-

prostu »kradzieżą«. Wszystkich natomiast wypadków, w których zdarzało się mniej lub więcej, ale niekrytycznie uzasadnione podejrzenie kradzieży, jak również przemytnictwa, nie wliczamy wcale w ogólną cyfrę kradzieży. Występek sprzeniewierzenia nie zawsze wyszczególniamy osobno. Sądzimy, że z zupełnem uprawnieniem włączyć je możemy w ogólną kategoryę kradzieży, ponieważ jest także — kradzieżą, choć, co zwiększa w pewnej mierze jeszcze stopień niemoralności tego występku kradzieży, dotyczącą rzeczy swej pieczy powierzonej. Tak samo ma się sprawa ze zbrodnią kradzieży i sprzeniewierzenia, którą umieszczamy w ogólną kategoryę kradzieży. I tu bowiem różnica określenia prawnego dotyczy tylko zewnętrznej okoliczności: wartości rzeczy skradzionej czy sprzeniewierzonej.

Ponieważ w znaczeniu prawnem wyraz »oszustwo« nie tylko służy do oznaczenia występku, złączonego ze szkodą w dobrach materyalnych, ale także do wszelkiego rodzaju fałszerstw dokumentów publicznych i t. p., nie zawsze ze szkodą materyalną związanych, więc, choć z badań się okazuje, że, niemal wyłącznie, oszustwa popełniane w tych latach przez młodzież dotyczą pierwszego rodzaju definicyi prawnej [1], zawsze dla ostrożności wyróżniamy tę kategoryę występku od ogólnej liczby kradzieży, dołączając i tu oczywiście »zbrodnię oszustwa« do ogólnej sumy popełnionych oszustw.

Badania nasze, dotyczące występnej młodzieży, obejmują wszystkich chłopców i dziewczęta aż do 18 roku życia włącznie, których w tych latach schwytano na występku kradzieży lub oszustwa. Zarazem jednak dodajemy i ogólną cyfrę aresztowań wszystkich w tym wieku małoletnich przestępców w latach 1891, 1901 i 1904, ze zwróceniem szczególnej uwagi na włóczęgów, których liczbę także sprawozdania sejmowe w statystycznych datach uwzględniają, widząc w nich materyał, nadający

[1] O ile wiadomą jest jakość oszustwa u nieletnich i u dorosłych np. fałszerstwo dokumentów państwowych, ksiąg służbowych i t. p., nigdy nie wliczamy tych występków w poniższych cyfrach popełnionych oszustw. Zachodzą jednak czasem wypadki braku takiego wyszczególnienia.

się właśnie do umieszczania i wychowywania w krajowych domach przymusowej pracy. Ograniczamy nasze badania na 18-ym roku życia młodzieży, ponieważ i domy pracy czy poprawy dla nieletnich, do których zakładania i rozszerzania u n a s chcemy rezultatami naszych badań, choćby w najmniejszej mierze, się przyczynić, na tym roku wieku zazwyczaj ograniczają swą akcyę.

Za światłą radę i łaskawą pomoc przy tej naszej pracy pozwalamy sobie na tem miejscu złożyć najserdeczniejsze podziękowanie WP. Radcy W. Swolkienowi, który od dłuższego już czasu gorliwie się zajmuje akcyą, zmierzającą ku poprawie i zmniejszeniu liczby nieletnich przestępców, i był jednym z tych, którzy z takim pożytkiem zwrócili uwagę całego społeczeństwa na to nowe a wielce groźne niebezpieczeństwo dla naszej lepszej przyszłości.

Podanie dokładnych cyfr ilości młodzieży w Krakowie, według płci i lat wieku (do 18-go roku życia włącznie), zebranych przy spisach ludności, zawdzięczamy miejskiemu biuru statystycznemu, które z wszelką uprzejmością udzielało nam niejednokrotnie rezultatów swych prac i badań.

* * *

W pierwszem statystycznem zestawieniu (tab. I) uwidoczniamy cyfry a r e s z t o w a ń nieletnich, do 18 r. życia włącznie, w Krakowie w powyższych trzech latach według miesięcy aresztowania. Bez rozróżnienia motywów aresztowania, podajemy liczby, n i e o s ó b aresztowanych, ale w y p a d k ó w ujęcia za jakikolwiek występek lub przekroczenie. Wobec tego i kilkakrotne aresztowanie jednej i tej samej osoby, t y l e ż r a z y jest zawarte w sumie aresztowań w danym miesiącu i roku. Dla ułatwienia porównań, obok cyfry aresztowań nieletnich umieszczamy liczbę wypadków aresztowania (nie osób aresztowanych) wszystkich razem, tak dorosłych jak nieletnich, i przypadający wobec tego na nieletnich procent udziału w aresztowaniach w danym miesiącu i roku.

Tab. I.

Liczba wypadków aresztowań (nie liczba osób) nieletnich (do 18 roku życia włącznie) w porównaniu z liczbą ogólną wypadków aresztowań (dorosłych i nieletnich) w danym miesiącu i roku, oraz procent udziału przypadającego na nieletnich.

Miesiące roku	Rok 1891			Rok 1901			Rok 1904		
	Nieletnich	Ogółem	Procent udziału nieletn.	Nieletnich	Ogółem	Procent udziału nieletn.	Nieletnich	Ogółem	Procent udziału nieletn.
Styczeń . . .	115	897	12.8	153	843	18.1	132	743	17.7
Luty	95	864	10.9	165	881	18.7	107	687	15.5
Marzec . . .	165	1239	13.3	140	901	15.5	108	727	14.8
Kwiecień . .	139	1053	13.2	133	813	16.3	113	989	11.4
Maj	141	1010	13.9	161	894	18.0	113	790	14.3
Czerwiec . .	153	1076	14.2	141	866	16.2	150	882	17.0
Lipiec	141	998	14.1	182	1046	17.3	135	843	16.0
Sierpień . . .	132	1054	12.5	170	982	17.3	145	882	16.4
Wrzesień . .	140	959	14.5	147	834	17.6	126	854	14.7
Październik	131	1057	12.3	183	1002	18.2	129	814	15.8
Listopad . .	205	1331	15.4	185	901	20.5	132	782	16.8
Grudzień . .	155	1052	14.7	166	934	17.7	168	953	17.6
Suma aresztowań w roku . . .	1712	12.590	13.5	1926	10.897	17.6	1558	9946	15.6

Okazuje się z tego, że w r.

1891 na **12.590** wypadków aresztowania (dorosłych i nieletnich), cyfra aresztowań nieletnich wynosi liczbę **1712** t. j. **13.5**%

1901 wobec **10.897** wypadków aresztowania, udział nieletnich wzrasta do **1926** aresztowań, t. j. **17.6**%

1904 na **9946** wypadków aresztowania, przypada na nieletnich **1558** aresztowań t. j. **15.6**%

Więc z biegiem lat procent udziału nieletnich w ogólnej sumie wypadków aresztowań rośnie, choć zmniejsza się liczba ogólna aresztowań (wszystkich osób). Wzrasta on zwłaszcza w roku 1901 w stosunku do stanu z r. 1891 — z 13.5% na 17.6% ogólnej sumy. Najwyższa cyfra wypadków aresztowań w r. 1891 przypada na listopad, najmniejsza na luty, tak w sumie aresztowań nieletnich jak i w odpowiedniej sumie aresztowań nieletnich i dorosłych razem. W r. 1904 najwyższą cyfrę u obu tych kategoryj wykazuje rubryka miesiąca grudnia, najniższą rubryka lutego. Również w r. 1901 zgodnie u obu kategoryj najmniejszą liczbę

aresztowań wykazuje kwiecień; za to tu wzrost najwyższy przypada u wszystkich razem na lipiec, gdy u samych nieletnich znów na listopad. Procent udziału nieletnich w ogólnej sumie aresztowań w r. 1891 jest w listopadzie najwyższy, w luty n najmniejszy; w r. 1901 najwyższy znów w listopadzie, najmniejszy w marcu; wreszcie w r. 1904 najwyższy w styczniu, najniższy w kwietniu. W tych więc i wszystkich innych miesiącach fluktuacye cyfr aresztowań i udziału nieletnich w ogólnej sumie aresztowań zbyt są liczne, by dały się postawić pewne prawa, ogólniejsze normy i uzasadnione wnioski. Wpływają tu zewnętrzne stosunki lokalne, ponieważ, jak skądinąd wiemy, liczbę aresztowań w danym miesiącu zwiększają, względnie zmniejszają nie same tylko przekroczenia w danym okresie czasu popełnione, ale też w dość znacznej mierze wzmożenie lub osłabienie poszukiwań za przestępcami i wiele innych postronnych powodów.

Ilości aresztowań samych tylko nieletnich (do 18 r. życia) w tych trzech latach, rozłożone na poszczególne lata wieku i płeć aresztowanych, przedstawia tab. II.

I tu jeszcze mówimy nie o ilości aresztowanych, ale o ilości wypadków aresztowania w danym roku. Stąd np. 142 w r. 1891 pod rubryką 15 roku życia chłopców oznacza 142 wypadków aresztowania chłopców w tymże wieku i roku, choć w tej liczbie tyleż razy zawiera się kilkakrotne nawet aresztowanie w danym roku chłopca piętnastoletniego.

Suma więc udziału nieletnich w aresztowaniach wykazuje w r. 1891 liczbę 1712, w tem **1166** wypadków aresztowań chłopców i **546** dziewcząt; w r. 1901 liczbę 1926, w tem **1390** chłopców, **536** dziewcząt; wreszcie w r. 1904 liczbę 1558, w tem **1281** chłopców i **277** dziewcząt. Gdy więc udział chłopców kolejno w tych latach wzrasta widocznie, udział dziewcząt maleje, zwłaszcza w porównaniu sum roku 1904 do sum 1901 r. Gdy procent udziału dziewcząt w aresztowaniach ogółu nieletnich przedstawiałby cyfrę 31.8 w r. 1891, to w 1901 równałby się 27.8, a w 1904, 17.7 aresztowań na 100 aresztowań nieletnich płci obojej w dotyczących latach.

By znaleźć pewne wytłumaczenie tego szybkiego zmniejszania

Tab. II.

Wypadki aresztowań nieletnich (według ich wieku i płci) w latach 1891, 1901 i 1904.

Wiek i płeć		Rok 1891	Rok 1901	Rok 1904
4	m.	—	—	—
	ż.	1	—	—
5	m.	1	—	—
	ż.	—	1	—
6	m.	3	—	1
	ż.	—	—	—
7	m.	2	—	3
	ż.	—	—	—
8	m.	4	1	10
	ż.	—	—	—
9	m.	10	3	9
	ż.	1	—	2
10	m.	16	7	26
	ż.	9	1	2
11	m.	38	20	18
	ż.	8	1	4
12	m.	40	74	62
	ż.	8	3	2
13	m.	82	74	109
	ż.	6	4	—
14	m.	104	172	111
	ż.	18	7	5
15	m.	142	252	164
	ż.	47	71	7
16	m.	169	223	205
	ż.	68	112	24
17	m.	256	250	207
	ż.	140	143	79
18	m.	299	314	356
	ż.	240	193	152
Razem . . .		1712	1926	1558

się udziału dziewcząt w liczbie aresztowań nieletnich, musimy naprzód zwrócić uwagę na okoliczność, że w latach wieku niższych od 16-go udział płci żeńskiej bardzo jest wogóle nieznaczny, jak się okazuje z powyższej tabeli. W latach zaś wieku 16, 17 i 18 najliczniejszym, niemal wyłącznym powodem aresztowań dziewcząt jest, jak się przekonujemy o tem na podstawie zbadanego materyału, jużto przekroczenie prostytucyjne, już też niemoralność, względnie choroba zaraźliwa czy uzasadniona jej obawa. Wszystkie zaś te powody jednej i tej samej dotyczą kategoryi przestępstw niemoralnych. Przedwczesnym byłby może przecież wniosek, że wobec ogólnego ubytku liczby aresztowań dziewcząt, zmniejszyła się ilość tych przekroczeń. Wpłynąć tu bowiem mogła ta sama przyczyna, na którą wskazaliśmy powyżej, przy omawianiu pierwszej tabeli, t. j. zmniejszenie natężenia poszukiwań, lub w tym wypadku wymijanie rygoru dotyczących ustaw ze strony jednostek, któreby miały uledz aresztowaniu. Wreszcie sam nawet wniosek, że jednostki takie ściślej przestrzegały ustaw dotyczących prostytucyi i wskutek tego nie uległy zaaresztowaniu w późniejszych latach, wcale nie uprawniałby przypuszczenia poprawy stanu moralności wśród kobiet lat 16—18, przypuszczenia nasuwającego się na myśl przy sprawdzeniu obniżenia się ilości wypadków aresztowania nieletnich płci żeńskiej. Również wzrost ilości aresztowań chłopców nie dowodzi bezwzględnie ich zepsucia. Dlatego tabela II także nie uprawnia zupełnie konkretnych wniosków i służyć tylko może jako tło do właściwego naszego zagadnienia: ilości i okoliczności kradzieży popełnionych w tychże latach.

Kradzieży[1], oszustw, sprzeniewierzeń, rabunków popełnionych przez nieletnich, w wieku do 18 roku życia włącznie, było:

W roku	1891	318
»	1901	442
»	1904	351

[1] Tylko w roku 1904 był jeden, w październiku wypadek u nieletnich świadomego nabywania rzeczy z kradzieży pochodzących. W myśl naszych wywodów początkowych, zważając na etyczną wartość takiego przestępstwa, wliczamy je w ogólną sumę kradzieży u nieletnich tak samo, jak czynimy to z podobnym występkiem w cyfrze ogólnej.

I tu jeszcze cyfry wyrażają ilość wypadków, a nie osób, — kradzieży a nie osób kradnących.

Rozkład tych kradzieży i oszustw według każdego poszczególnego rodzaju kwalifikacyi ustawodawstwa karnego, tak przez nieletnich jak przez wszystkich (dorosłych i nieletnich razem) popełnionych, przedstawia tab. III. Podział na miesiące każdego z badanych trzech lat uwydatnia ilość popełnionych zbrodni i przestępstw w oznaczonym okresie czasu. W ten sposób już najszczegółowiej wykazuje się udział młodzieży w tych zbrodniach[1].

Dla celów jednak naszego statystycznego badania najodpowiedniejszą rzeczą będzie, w myśl wywodów we wstępie zawartych, złączyć: *a)* kradzieże, zbrodnie kradzieży, rabunki, sprzeniewierzenia i zbrodnie sprzeniewierzenia w jedną; *b)* oszustwa i zbrodnie oszustwa w drugą, sumaryczną cyfrę, i to zarówno popełnione przez samych nieletnich, jak i przez dorosłych i nieletnich razem. W ten sposób odsłania się wyraziściej rozmiar udziału młodzieży w dotyczącym występku. Pomijamy już w tab. III zesumowanie wypadków oszustwa u nieletnich i porównanie ich z sumą ogólną takich zbrodni w danym miesiącu i roku, dlatego że oszustwa u nieletnich są dość nieliczne i przedstawiają w roku:

1891 liczbę **9** wypadków, w stosunku do ogólnej sumy oszustw **125**, t. j. udział **7.2**%
1901 liczbę **12** wypadków, w stosunku do sumy oszustw popełnionych **98**, t. j. udział **12.2**%
1904 liczbę znów **9** wypadków, w stosunku do **122**, t. j. udział **7.3**%

Z tego już jednak zestawienia widać, że w oszustwach procent udziału młodzieży wzrasta i w r. 1904 choć mniejszy jest znacznie od procentu z r. 1901, cokolwiek przecież większy od procentu z r. 1891.

---

[1] Wyszczególnienie ilości wypadków »zbrodni kradzieży«, »zbrodni sprzeniewierzenia« i »zbrodni oszustwa« podajemy, o ile wyraźnie w tej kwalifikacyi były zaznaczone. Bezwątpienia przypuszczać należy, że było ich więcej, a dokładnie ich nie wymieniono, ograniczając się na zwykłej nazwie «kradzieży«, »oszustwa«, »sprzeniewierzenia«. Tem się tłumaczy zadziwiający szczegół, że n. p. w r. 1891 obie »zbrodnie kradzieży« popełnione zostały przez nieletnich, na dorosłych zaś nie wypada żaden taki występek.

Na baczniejszą uwagę zasługuje i większą dla nas wartość przedstawia pierwsza sumaryczna cyfra, objęta na tabl. III-ej nagłówkiem: »Suma wypadków naruszenia obcej własności w chęci zysku«. Rozdzieliliśmy tam sumy kradzieży, sprzeniewierzeń i rabunków (zarazem i »zbrodni kradzieży« i »zbrodni sprzeniewierzenia«) u młodzieży od sumy ogólnej takich występków, i w procentach uwidoczniliśmy udział przypadający na młodzież. Wielki tu wzrost wykazuje porównanie ilości tych zbrodni popełnionych przez nieletnich w roku 1901 z takąż ilością w r. 1891, wzrost z 25.6% na 32.6%. Późniejszy trzechletni okres nie zmienił znacznie stosunków na lepsze, bo w r. 1904 udział młodzieży wyrażony cyfrą 29.8% choć niższy od stanu z r. 1901, ale wyższy zawsze jeszcze niemało od cyfry z r. 1891 [1].

W rozkładzie ilości wypadków »naruszenia obcej własności w chęci zysku« na poszczególne miesiące roku, największy wzrost w ogólnej sumie takich wypadków (u dorosłych i nieletnich) przypada w r. 1891, równie jak u samych nieletnich na lipiec, najmniejsza liczba u pierwszych na luty, u ostatnich na październik. W r. 1901 ogółem (u nieletnich i dorosłych razem) najwięcej wypadków jest w lutym, u samych nieletnich w maju, najmniej ogółem w czerwcu, u nieletnich także w czerwcu i w marcu. W r. 1904 w grudniu jest największa suma wypadków takich i ogólna i u samej młodzieży, najmniejsza u dorosłych i nieletnich razem w lutym, u samych zaś nieletnich w maju. Cyfry te, jak i procent udziału młodzieży w takich występkach w każdym poszczególnym miesiącu zbyt wielkie wykazują fluktuacye, podobnie jak i wyżej przedstawione cyfry aresztowań według miesięcy roku — byśmy na nich pewne prawa i wnioski oprzeć mogli. Bądź co bądź pewnem jest wszakże, że liczba kradzieży, popełnionych przez nieletnich, i udział młodzieży w tym występku na ogół rosną.

---

[1] Na niekorzyść nieletnich przemawia i ta okoliczność, że w r. 1904 zwiększył się znacznie napływ obcych do Krakowa, przeważnie w latach wieku wyższych nad 18-ty rok życia, a przytem ubogich, stąd przy zwiększeniu się natężenia stosunków skłaniających do kradzieży u dorosłych, udział młodszych w kradzieży powinienby być w tym roku znacznie mniejszym.

W głębszem badaniu tego wzrostu niemałą usługę oddaje obraz, już nie ilości tylko występków kradzieży, ale osób kradnących nieletnich, według lat wieku (do 18 r. życia włącznie) i płci [1]. Ponieważ w trzech zbadanych latach razem zaszło u nieletnich tylko 30 wypadków oszustwa, a wszystkie bez wyjątku popełnione zostały przez takich, którzy w tymże samym dotyczącym roku dopuścili się nadto kradzieży, więc już dla uproszczenia rzeczy, słusznie w poniższych zestawieniach pominiemy rozróżnienie oszustów i oszustw, mówiąc tylko o kradnących i kradzieżach (ale nie wliczając oczywiście popełnionych oszustw do liczby kradzieży, którą uważamy tu i w następnych obrazach w znaczeniu wyżej uzasadnionem, za równoznaczną z »naruszeniem obcej własności w chęci zysku«). W r. 1891 kradzieży 309 popełniło nieletnich 212, w tem 170 chłopców, 42 dziewcząt; w r. 1901 kradzieży 430 dopuściło się 311 nieletnich, w tem 262 chłopców, 49 dziewcząt; wreszcie w r. 1904 kradzieży 342 popełniło nieletnich 256, w tej liczbie 234 chłopców i 22 dziewcząt. Już z tego sumarycznego zestawienia widoczne, jak nagle zmniejszyła się w ostatnim roku liczba kradnących dziewcząt, a wzrosła dość szybko ilość chłopców. O szczegółach poświadamia tab. IV.

Zauważyć się tu daje, jak z latami wzrasta udział młodzieży męskiej, niższych lat wieku, w występku kradzieży. Gdy w r. 1891 największą liczbę wykazują lata wieku chłopców 15, 16, 17, 18, — w latach 1901 i 1904 wzmaga się nadto bardzo udział młodzieży męskiej w wieku lat 12, 13, 14. N. p. w r. 1904 w stosunku do stanu z r. 1901 nawet przy malejącej i sumie ogólnej osób nieletnich kradnących i takichże nieletnich w latach wieku 15, 16, 17 i 18 w szczególności, — to 14 rok życia chłopców okazuje wzrost liczby kradnących z 29 na 31, lub z 18 na 31 w zestawieniu roku 1891 z 1904. Tak samo ma się rzecz z 13 rokiem życia u chłopców, w zestawieniu wzrost z 18 na 26, względnie z 15 na 26. Dowodzi to w każdym razie rozszerzenia się występku

[1] Odtąd już w dalszym ciągu badania bierzemy na uwagę głównie ilość osób, dopuszczających się kradzieży. W tych zestawieniach nieletni kilka razy w roku kradnący, raz tylko umieszczonym będzie w rubryce danego wieku i płci.

Tab. IV.

Osoby nieletnie kradnące w latach 1891, 1901 i 1904, według lat wieku i płci.

Wiek i płeć		Rok 1891	Rok 1901	Rok 1904
7	m.	—	—	—
	ż.	—	—	—
8	m.	2	1	4
	ż.	—	—	—
9	m.	—	—	4
	ż.	—	—	—
10	m.	3	4	4
	ż.	1	—	1
11	m.	9	10	6
	ż.	—	—	1
12	m.	12	22	17
	ż.	—	1	1
13	m.	15	18	26
	ż.	1	1	—
14	m.	18	29	31
	ż.	7	1	2
15	m.	26	37	31
	ż.	9	4	—
16	m.	26	40	33
	ż.	3	15	4
17	m.	30	43	32
	ż.	11	12	4
18	m.	29	58	46
	ż.	10	15	9
Suma		212	311	256

na niższe lata wieku młodzieży męskiej, choć nie uprawnia jeszcze w zupełności wniosku co do obniżenia się ogólnego poziomu etycznego w wcześniejszych latach wieku chłopców, bo nie poucza jeszcze o przyczynach tego stanu rzeczy, a objaw taki wywołany być mógł łatwo i innymi wpływami, których badanie w dalszym ciągu naszej pracy może do pewnego stopnia rozświetlić to zagadnienie. Już na tem wszakże miejscu musimy zwrócić

uwagę na bardzo nieznaczny, znikający niemal udział dziewcząt, w wieku do 13 roku życia włącznie, w występku kradzieży. Tłumaczy się to okolicznością skądinąd znaną, że u nas wogóle kobieta w tych latach wieku pozostaje z zasady pod czujną opieką życia rodzinnego nawet w większych miastach, podczas gdy chłopiec w latach wieku 10—13 już w znacznej części wypadków w miastach, jak Kraków, własną pracą poza domem rodzinnym zarabia na swe utrzymanie. Jego stanowisko wobec rodziny jest wskutek tego już więcej niezależne, i z powodu pracy pozadomowej usunięte do pewnego stopnia z pod wpływu czujności i karności życia rodzinnego. Przytem większa czujność i opieka wogóle rozwiniętą jest w naszych rodzinach nad niedorosłą dziewczyną, niż nad chłopcem w tych latach wieku, i tu tkwi zapewne jedna z przyczyn, dlaczego do 13 roku życia włącznie daleko mniejsza jest liczba przestępców wśród kobiet[1], niż wśród chłopców, choćby nawet ci ostatni nie zarabiali na swe utrzymanie, dlaczego nadto, o czem poniżej się przekonamy, znacznie większa jest liczba aresztowanych za włóczęgostwo wśród chłopców niż wśród dziewcząt do 13 roku życia włącznie. A poniżej także cyframi wykażemy, w jak ścisłej łączności i związku pozostaje występek kradzieży z włóczęgostwem.

Uderzającym również objawem jest znaczny ubytek udziału dziewcząt w latach wieku 15, 16, 17 i 18 w występku kradzieży. W 18 roku życia to zmniejszenie wykazuje się w stosunku cyfry 9 w roku 1904 do 15 w r. 1901, a nawet do większej liczby 10 w r. 1891, przy większej w r. 1904 ogólnej sumie nieletnich kradnących niż w r. 1891. Tak samo ma się rzecz z wiekiem lat 17: stosunek 4—12, względnie 11; z 16 rokiem życia 4—15, tu tylko w r. 1904 jest trochę więcej w stosunku do r. 1891; z 15-ym: 0 do 4, względnie 9. Objaw to w każdym razie znamienny i na ogół korzystny pod tym względem, ale nie dostarczający dość danych do ogólniejszego wniosku co do wartości moralnej wyższej, jak podobny, ale ujemny objaw u chłopców niższych lat wieku nie mógł przesądzać sprawy na zupełną niekorzyść tych ostatnich, z powodu

[1] Porównaj także tabl. II.

braku jeszcze dostatecznych danych, co do rzeczywistych źródeł tego stanu rzeczy.

Chcąc jeszcze dokładniej poznać procent udziału nieletnich w obranym obrębie miejscowości w występku kradzieży w powyższych trzech latach, musi się zestawić liczbę nieletnich kradnących z ogólną liczbą żyjącej w tych latach wieku młodzieży w tymże obrębie. Ponieważ dotychczasowe wykazy aresztowań i kradzieży obejmują wykroczenia nie tylko w obrębie gminnym samego Krakowa, ale i niektórych gmin podmiejskich, a to: Zwierzyńca, Półwsia Zwierzynieckiego, Czarnej wsi, Nowej wsi narodowej, Łobzowa, Krowodrzy, Olszy, Rakowic, Grzegórzek-Piasków, Dąbia, Beszcza i Głębinowa, popełnione w znacznej części przez mieszkańców tegoż obrębu — więc, jako drugiego w wytkniętem porównaniu przedmiotu, należałoby użyć dokładnych wykazów ludności w tych latach wieku w obrębie nie tylko Krakowa, ale i wymienionych gmin podmiejskich za lata 1891, 1901, 1904. Przy spisach jednak ludności z lat 1890 i 1900, które jedne służyćby tu mogły jako dość krytycznie zbadany materyał, wykazano co do gmin powyższych tylko ogólną liczbę ludności tak cywilnej jak i wojskowej, przypadającej na każdą gminę z osobna, ale nie wyszczególniono wcale ani liczby dzieci do 18 roku życia, ani tem mniej nie uwzględniono niezbędnego tu nam do dokładnego porównania, podziału na poszczególne lata wieku i płeć nieletnich. Gdy i zestawienie zamieszkałych poza tym obrębem nieletnich uskutecznić się nie da, ograniczyć musimy nasze porównanie do samego tylko obrębu gminy miasta Krakowa, której statystyka ludności taki podział wykazuje. Korzystną tu okolicznością dla zbadania istotnych stosunków będzie, że w mieście samem dozór władz jest ściślejszy, niż w gminach pozamiejskich, a więc i rezultat badań bardziej zbliżony do rzeczywistego stanu rzeczy. — Posługiwać się więc będziemy wykazem spisów ludności Krakowa za r. 1890 i 1900. Obliczenie w przybliżeniu stanu ludności, istniejącego w roku 1904 nie przedstawia dostatecznej rękojmi pewności. Dlatego i cyfrę osób nieletnich kradnących w r. 1904 porównamy z cyfrą młodzieży w tych latach wieku według wykazów z r. 1900, jako ostatnią stwierdzoną. Odjąwszy z ogólnych sum

kradnących nieletnich w poszczególnych latach wieku, te wszystkie osoby, których miejscem zamieszkania w czasie dokonania kradzieży nie był obręb samej gminy krakowskiej, a w wypadku bezdomnego włóczęgostwa odjąwszy te osoby, które bezpośrednio przedtem poza Krakowem mieszkały, i porównywując te liczby z liczbami ludności w tych latach wieku w Krakowie za r. 1890 i 1900, otrzymamy zestawienie, uwidocznione na tabl. V. Właśnie z tego powodu, by jaknajdokładniejsze cyfry spisu ludności z 31 grudnia r. 1890 i z 31 grudnia 1900 służyć mogły za jeden z stwierdzonych przedmiotów porównania, obraliśmy lata 1891 i 1901 za dalsze tło naszych badań statystyki kradzieży. Ponieważ, jak zaznaczyliśmy wyżej, cyfry spisu ludności z 31 grudnia 1900 muszą służyć do porównania z ilością kradnących nie tylko w r. 1901, ale i w 1904, powtórzyliśmy te same cyfry pod nagłówkiem r. 1904.

Oczywiście ujemna strona tego rodzaju zestawień tkwi w tem, że cyfry ludności w danym wieku i płci nie przedstawiają istotnej ilości takich osób, któreby warunki otoczenia, stosunki społeczno-ekonomiczne, rodzinne, warunki charakteru, wychowania i t. p. usposabiały na materyał podatny na przestępców. Ponieważ jednak cyfra tych ostatnich w żadnym wypadku stwierdzić i ustalić się nie da, bo n. p. nie sama nędza materyalna, zaniedbanie w wychowaniu, niższy stan społeczny wpływa na skłonność do występku, poprzestać się musi na tego rodzaju porównaniu, jakie przedstawiliśmy na powyższej tablicy.

Widoczny z niej mniej lub więcej równomierny wzrost kradnących, czasem nieproporcyonalny do wzrostu ludności w danym wieku i płci. Procent kradnących w stosunku do ludności uwidoczniliśmy w wypadkach, w których dochodził lub przewyższał 1.

Zestawienie powyższe, obejmujące li tylko osoby kradnące zamieszkałe w samym Krakowie, nasuwa jeszcze myśl porównania ilości kradnących nieletnich, zamieszkałych w obrębie gminy Krakowskiej, z ilością kradnących, zamieszkałych w powyżej wymienionych gminach podmiejskich i wreszcie z ilością takichże osób, zamieszkałych poza oboma tymi obrębami. Przedstawiamy je na tabl. VI, powtarzając tu jeszcze raz zastrzeżenie, że co do

Tab. V.

Kradnące w latach 1891, 1901 i 1904 osoby nieletnie w obrębie samej tylko gminy miasta Krakowa zamieszkałe, według lat wieku i płci, a takaż ludność m. Krakowa według spisów z lat 1890 i 1900.

Wiek i płeć		Rok 1891			Rok 1901			Rok 1904		
		Ilość nieletnich kradnących	Ludność w tym wieku	Procent udziału w kradzieży osób nieletnich	Ilość nieletnich kradnących	Ludność w tym wieku	Procent udziału w kradzieży osób nieletnich	Ilość nieletnich kradnących	Ludność w tym wieku	Procent udziału w kradz. osób nieletn.
8	m.	2	620	—	—	817	—	1	817	—
	ż.	—	631	—	—	697	—	—	697	—
9	m.	—	563	—	—	699	—	2	699	—
	ż.	—	593	—	—	695	—	—	695	—
10	m.	2	504	—	2	737	—	3	737	—
	ż.	1	537	—	—	723	—	—	723	—
11	m.	5	585	—	5	743	—	3	743	—
	ż.	—	478	—	—	714	—	—	714	—
12	m.	4	560	—	14	840	1.6	6	840	—
	ż.	—	642	—	1	819	—	—	819	—
13	m.	10	640	1.5	14	801	1.7	18	801	2.2
	ż.	—	659	—	1	801	—	—	801	—
14	m.	8	761	1.0	18	932	1.9	18	932	1.9
	ż.	—	636	—	1	884	—	1	884	—
15	m.	15	832	1.8	24	975	2.4	15	975	1.5
	ż.	2	735	—	3	902	—	—	902	—
16	m.	19	819	2.3	21	979	2.1	19	979	1.9
	ż.	2	752	—	12	971	1.2	4	971	—
17	m.	9	803	1.1	30	1015	2.9	21	1015	2.0
	ż.	5	872	—	7	1010	—	2	1010	—
18	m.	21	771	2.7	41	1022	4.0	28	1022	2.7
	ż.	3	936	—	8	1180	—	8	1180	—
Suma		108	14.929	—	202	18.956	—	149	18.956	—

włóczęgów, którzy w czasie popełnienia kradzieży aktualnie nie mogli się wykazać żadnem miejscem zamieszkania, przyjmujemy bezpośrednie przedtem miejsce zamieszkania za decydujące w ustaleniu ich przynależności. W przedziałce »poza« na tabl. VI zawierają się osoby nie tylko wogóle poza okolicą Krakowa mie-

Tab. VI.

Osoby nieletnie kradnące według lat wieku i płci, oraz miejsca zamieszkania w latach 1891, 1901 i 1904.

Wiek i płeć		Rok 1891				Rok 1901				Rok 1904			
		zamieszkałe				zamieszkałe				zamieszkałe			
		W Krakowie	W wymienionych gminach podmiejsk.	Poza	Razem	W Krakowie	W wymienionych gminach podmiejsk.	Poza	Razem	W Krakowie	W wymienionych gminach podmiejsk.	Poza	Razem
8	m.	2	—	—	2	—	1	—	1	1	2	1	4
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
9	m.	—	—	—	—	—	—	—	—	2	1	1	4
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
10	m.	2	—	1	3	2	1	1	4	3	—	1	4
	ż.	1	—	—	1	—	—	—	—	—	1	—	1
11	m.	5	3	1	9	5	1	4	10	3	2	1	6
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	1
12	m.	4	5	3	12	14	6	2	22	6	6	5	17
	ż.	—	—	—	—	1	—	—	1	—	1	—	1
13	m.	10	2	3	15	14	2	2	18	18	5	3	26
	ż.	—	1	—	1	1	—	—	1	—	—	—	—
14	m.	8	5	5	18	18	6	5	29	18	10	3	31
	ż.	—	3	4	7	1	—	—	1	1	—	1	2
15	m.	15	4	7	26	24	7	6	37	15	13	3	31
	ż.	2	3	4	9	3	—	1	4	—	—	—	—
16	m.	19	5	2	26	21	4	15	40	19	8	6	33
	ż.	2	1	—	3	12	—	3	15	4	—	—	4
17	m.	9	10	11	30	30	6	7	43	21	7	4	32
	ż.	5	—	6	11	7	3	2	12	2	1	1	4
18	m.	21	3	5	29	41	8	9	58	28	11	7	46
	ż.	3	2	5	10	8	4	3	15	8	1	—	9
Suma		108	47	57	212	202	49	60	311	149	70	37	256

szkające, a które w obrębie Krakowa i wyliczonych gmin dopuściły się kradzieży w dotyczących latach, ale i osoby mieszkające w bliskości Krakowa, jednak w gminach nie zawartych w wykazie podanym przez nas na str. 192.

Pomijając już szczegółowe porównywanie cyfr według lat

wieku w tych trzech okresach czasu, widzimy z tabl. VI, że w r. 1891 osób kradnących w wieku do 18 r. życia włącznie było:

zamieszkałych w Krakowie	108
w powyższych gminach podmiejskich	47
a poza tymi obrębami	57
Razem	212

W roku 1901

w Krakowie	202
w gminach podmiejskich wym.	49
poza	60
Razem	311

Wreszcie w roku 1904

w Krakowie	149
w gminach wym.	70
poza	37
Razem	256

Procent więc udziału nieletnich kradnących według miejsca zamieszkania w ogólnej liczbie takich nieletnich w każdym dotyczącym roku wykazuje na

	W r. 1891	w r. 1901	w r. 1904
Kraków	50.8	64.9	58.2
wym. gminy	22.1	15.7	27.3
poza tymi obrębami	26.8	19.2	14.4

Na pierwszy rzut oka widoczny jest w liczbie kradnących nieletnich wzrost udziału mieszkańców Krakowa i wymienionych wyżej gmin podmiejskich, a równie niemal szybkie zmniejszanie się udziału osób mieszkających poza tymi obrębami (a w Krakowie lub w wyliczonych gminach dopuszczających się kradzieży, o takich bowiem tylko mowa w naszej pracy). Procent udziału zamieszkałych w Krakowie wykazuje w r. 1904 w porównaniu z r. 1891 dość znaczną nadwyżkę, i podobny ubytek w porównaniu z stanem z r. 1901. Procent udziału zamieszkałych w wymienionych gminach opadł dość znacznie w r. 1901 ze stanu w r. 1891, podobnież i zamieszkałych poza oboma tymi obrębami, ale gdy w r. 1904 udział pierwszych znacznie się powiększył, udział ostatnich znów znacznie zmalał. Cyfry te jednak nie przed-

stawiają dostatecznej rękojmi pewności. Zrozumiałym jest szybki wzrost w r. 1904 udziału zamieszkałych w wym. gminach podmiejskich, przy szybciej tam, niż w Krakowie mnożącej się ludności, ale znów nie zrozumiałym jest zupełnie objaw bardzo znacznego ubytku udziału mieszkających poza tymi obrębami, równie jak i spadający w r. 1901 procent zamieszkałych w wymienionych gminach i »poza«. Wreszcie cały procent tak zamieszkałych w wym. gminach podmiejskich, jak i poza oboma powyższymi obrębami razem przedstawia się zbyt nizko w stosunku do udziału mieszkających w Krakowie. Pierwszy wynosi:

w r. 1891 . . .	**48.9**%	w stosunku do . . .	50.8%
» » 1901 . . .	**34.9**%	» » » . . .	64.9%
» » 1904 . . .	**41.7**%	» » » . . .	58.2%

Tem bardziej uzasadnione nasuwają się wątpliwości co do wartości tych cyfr, gdy się zważy, że w wymienionych i innych podmiejskich gminach znajduje swe schronienie, o czem skądinąd wiemy, napływowa ludność wyrobnicza, przeważnie najuboższa, a wskutek tego podatniejszy przedstawiająca materyał na wyrobienie się i wzmożenie skłonności do występku kradzieży.

Do bliższego poznania rozmiarów występku kradzieży u nieletnich, a pośrednio i usposobienia do występku u osób kradnących[1], przyczyni się niemało dokładna odpowiedź na pytanie, ile razy osoby te dopuściły się kradzieży w latach 1891, 1901 i 1904, za co nadto w tych latach ulegali przyaresztowaniu i jaka ich była przeszłość, sięgając do czasu pierwszego ich ujęcia aż do r. 1904 włącznie. Poznamy w ten sposób w statystycznych obrazach jednostki występne, by dojść do pewnego wniosku, co do motywów występnego ich życia. Na pierwszą część postawionego zagadnienia odpowiada tabl. VII, na której, znów według lat wieku i płci, zaznaczamy liczbę tych jednostek, które więcej

[1] Odtąd w dalszych zestawieniach znów pomijamy rozróżnienie nieletnich kradnących według miejsca zamieszkania i łączymy w jedną sumę wszystkie takie osoby, czyto mieszkające w Krakowie czy w wymienionych gminach, czy poza tym obrębem, ale w tymże obrębie dopuszczających się występku kradzieży.

Tab. VII.

Więcej niż raz jeden w roku dopuszczające się kradzieży osoby nieletnie, według lat

Wiek i płeć		W roku 1891										W roku				
		dopuściły się kradzieży razy									Razem osób	dopuściły się				
		2	3	4	5	6	7	8	9	10		2	3	4	5	6
8	m.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
9	m.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
10	m.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
11	m.	1	—	—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
12	m.	—	1	—	—	—	—	—	—	—	1	3	1	—	1	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
13	m.	2	—	—	—	1	—	—	—	—	3	—	2	—	1	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
14	m.	3	—	—	—	2	—	—	—	—	5	1	3	1	1	1
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
15	m.	—	2	1	—	—	—	—	—	—	3	6	2	1	2	1
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
16	m.	—	1	—	2	—	—	2	—	—	5	1	1	1	1	—
	ż.	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
17	m.	1	5	—	—	—	—	—	1	—	7	7	2	—	1	—
	ż.	2	—	—	—	—	—	—	—	—	2	1	—	—	—	—
18	m.	3	—	—	—	2	—	1	—	—	6	5	2	—	—	—
	ż.	—	1	—	—	—	—	—	—	—	1	2	—	—	—	—
Suma . .		12	10	1	2	5	—	3	1	—	34	26	13	3	7	2

ści, oraz ilości (wyższej nad jednorazową) popełnionych kradzieży w każdym danym roku.

1901					W roku 1904										
kradzieży razy				Razem osób	dopuściły się kradzieży razy									Razem osób	Wiek i płeć
7	8	9	10		2	3	4	5	6	7	8	9	10		
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	m. 8
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	1	m. 9
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	m. 10
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	—	—	—	1	—	—	—	—	—	—	1	m. 11
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	1	—	—	6	2	—	1	—	—	—	—	—	—	3	m. 12
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	3	3	—	—	1	1	—	—	—	—	5	m. 13
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
1	1	—	—	9	3	1	1	—	—	—	1	—	—	6	m. 14
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	12	4	1	1	1	—	—	—	—	—	7	m. 15
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	4	2	1	—	1	1	—	—	—	—	5	m. 16
—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
—	—	—	—	10	2	—	1	1	—	—	—	—	—	4	m. 17
—	—	—	—	1	2	—	—	—	—	—	—	—	—	2	ż.
—	—	—	—	7	3	2	—	—	1	—	—	—	—	6	m. 18
—	—	—	—	2	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	ż.
1	2	—	—	54	21	6	5	4	3	—	1	—	—	40	Suma

niż raz jeden, kolejno w latach 1891, 1901 i 1904 dopuściły się kradzieży (oszustwa popełnione w tych latach już są wyjęte). Podziałka w każdym z tych trzech lat wskazuje, ile razy (2, 3 i t. d.) dana liczba jednostek w danym wieku i płci dopuściła się w tym roku występku kradzieży. Reszta nieletnich kradnących w latach 1891, 1901 i 1904, a nie umieszczonych na tej tabl. dopuściła się występku kradzieży w dotyczącym roku tylko raz jeden, a więc nie podpadała temu zestawieniu, uwidoczniającemu tylko wyższe nad jednorazowe ilości kradzieży w każdym z lat wymienionych.

Wogóle więc takich nieletnich, którzy więcej niż jeden raz rocznie dopuścili się kradzieży

w r. 1891 było . . . **34** (wobec ogólnej sumy 212 osób **16.0**%)
w r. 1901 » . . . **54** (wobec ogólnej sumy 311 osób **17.3**%)
w r. 1904 » . . . **40** (wobec ogólnej sumy 256 osób **15.6**%)

Pozostała reszta osób kradnących

w roku 1891 . . . . . 178 nieletnich
» » 1901 . . . . . 257 »
» » 1904 . . . . . 216 »

raz tylko jeden w dotyczącym roku popełniła występek kradzieży.

Gorszego stanu rzeczy, pod względem ogólnej liczby częściej w roku kradnących, nie wykazuje r. 1904. Owszem w trzechleciu ostatniem poprawił się stosunek ten z 16%, względnie z 17.3% na 15.6%. Z tabl. jednak VII w szczegółach badanej gorzej się rzecz przedstawia, wprawdzie nie w stosunku stanu roku 1904 z rokiem 1901, ale z rokiem 1891. Widoczne jest z tabl. to samo, cośmy w ocenie liczb kradnących nieletnich zauważyli na str. 190, a mianowicie, jak w tamtym wypadku rozszerzanie się występku kradzieży wśród młodzieży męskiej niższych lat wieku, tak tu wśród tejże młodzieży powiększanie się liczby jednostek, więcej niż raz popełniających kradzież w okresie jednego roku. Rzecz charakterystyczna: na ogół rzecz biorąc, liczba kradnących więcej razy w roku, w latach wieku 15, 16, 17 i 18 zmniejsza się w roku 1904 w stosunku do r. 1891, bo wynosi w obu okresach czasu tę samą cyfrę 24 jednostek, podczas gdy i liczba ogólna kradnących

nieletnich i w szczególności liczba więcej razy rocznie kradnących jest wyższa w r. 1904 niż w 1891. Cały procent przyrostu, odpowiadającego wzrosłej liczbie kradnących nieletnich, na tej tab. przypada w r. 1904 wyłącznie na nieletnich chłopców w wieku poniżej lat 15. Zwiększyła się też liczba popełnionych przez tych ostatnich kradzieży, w wyższym stopniu, niż wymagał tego odpowiedni przyrost w tymże wieku kradnących więcej razy rocznie. Gdy liczba osób więcej razy kradnących w roku 1891 w wieku lat mniej niż 15 wynosiła nieletnich 10, w roku 1904 wynosi 16; gdy pierwej te 10 osób dopuściło się 33 kradzieży, teraz 16 popełnia 53 kradzieży. I gdy poprzednio więcej razy kradnących poniżej lat 13 wieku było tylko dwóch, teraz mamy w latach wieku 9, 11 i 12 pięciu takich nieletnich. Poprzedni więc sąd niekorzystny o nieletnich tych niższych lat wieku tu znajduje swe potwierdzenie. Prawda, że w r. 1901 stan tu był gorszy, niż w r. 1904, bo przedstawiał poniżej lat 15-stu wieku 18 nieletnich więcej razy kradnących, a popełniających razem 74 kradzieży; przytem 6-ciu więcej razy rocznie kradnących w wieku poniżej lat 13-tu. Ale tłumaczy się on tem, że i liczba wszystkich nieletnich kradnących w r. 1901 była wyższą od takiejże cyfry w r. 1904, a zresztą powyższy sąd niekorzystny o młodzieży męskiej niższych lat wieku nie ogranicza się tylko na samym roku 1904, ale rozciąga się na całe ostatnie trzechlecie. Na pierwszy też rzut oka nasuwa się na tabl. VII spostrzeżenie, że zmniejsza się i tu znacznie udział dziewcząt (z 3 na 2 w r. 1904 ze stanu lat 1901 i 1891 w kilkurazowych kradzieżach), — objaw, na który zwróciliśmy już uwagę powyżej, przy pierwszem zestawieniu osób nieletnich kradnących (tabl. IV).

(Dok. nast.).

Ks. K. Krokoszyński.

OSTATNIA MYŚL WŁODZIMIERZA SOŁOWIEWA.

»Dostrzegam już niedaleki ode mnie obraz bladej śmierci«, mówi Włodzimierz Sołowiew w przedmowie do swych »Trzech rozmów« [1], wydanych poraz pierwszy na wiosnę 1900 r. W kilka miesięcy po tem »blada śmierć« dokonała swego dzieła. Rosya straciła jednego z najszlachetniejszych swych synów i jednego z najgłębszych swych myślicieli. »Trzy rozmowy« są przeto ostatniem jego dziełem, a wyrażają zarazem ostatnią jego myśl, nie tylko w porządku czasu, lecz także w konsekwentnem rozwinięciu zasadniczych jego dążeń duchowych. Przeczuwając zgon blizki streścił ostateczne ich wyniki w zwięzłej osnowie i popularnej formie tego dyalogu filozoficzno-religijnego, zawierającego rozwiązanie wielkiej zagadki ducha, która przez całe życie nieustannie go zajmowała i stanowiła przedmiot wszystkich jego rozmyślań i badań.

Istotę tej zagadki określa on w tejże samej wspomnianej już wyżej przedmowie.

»Czy zło, mówi tam, jest tylko przyrodzonym brakiem, niedoskonałością, która sama przez się znika wraz ze wzrostem dobra, czy też jest ono siłą rzeczywistą za pośrednictwem pokus władnącą naszym światem, tak iż dla skutecznej z nim walki trzeba mieć punkt oparcia w innym porządku istnienia?

[1] Три разговора о войнѣ, прогрессѣ и концѣ всемірной исторіи, со включеніемъ краткой повѣсти объ Антихристѣ и съ приложеніями. Изданіе 4-ое. Съ портретомъ автора. С.-Петербургъ 1904.

Dla zbadania i rozwiązania tego zagadnienia życiowego potrzebny jest cały systemat metafizyczny. Podjąwszy pracę nad nim dla tych, co posiadają skłonność i uzdolnienie do głębszej refleksyi, czułem wszakże jak dalece zagadnienie o istocie zła dla wszystkich jest ważne.

Przemiana, która dwa lata temu dokonała się w moim nastroju duchowym, a o której tutaj niepodobna się rozwodzić, wzbudziła we mnie pragnienie i chęć jasnego i przystępnego oświetlenia tych głównych stron wielkiej zagadki zła, które wszystkich zarówno mogą obchodzić«.

Dopełnieniem tej chęci jest zajmujący nas tu dyalog »o wojnie, postępie, o końcu historyi powszechnej z dodaniem krótkiej powieści o Antychryście i uzupełnień«.

Jak widzimy z tego określenia i ze słów poprzednio przytoczonych, zagadnienie postawione zostało na gruncie czysto religijnym. Na tym gruncie zresztą opierają się wszystkie prawie prace filozoficzne Sołowiewa. Religia stanowiła główne zadanie jego życia duchowego, dokoła niej skupiały się wszystkie jego myśli, uczucia i dążności. Nie dziw wobec tego, że i zagadnienie moralne zjawiało mu się znowu na głębokim podkładzie religijnym, co więcej, stanowiło dlań szczególną tylko postać czysto-religijnego zagadnienia, które wogóle poczytywał za główne, istotne ognisko wszystkich spraw ducha ludzkiego.

Daleki on był niezmiernie od tak zwanej etyki niezależnej, obywającej się bez wszelkiej sankcyi nadprzyrodzonej, a także od przypisywania tej sankcyi etycznego jedynie znaczenia. Nadprzyrodzoność nie była dlań li tylko oderwanym ideałem, czy kresem naszych dążeń moralnych, lecz stanowiła najprawdziwszą, najrealniejszą rzeczywistość wiekuistego świata duchowego, ogarniającego bezpośrednim swym wpływem cały otaczający nas doczesny świat zjawisk.

Jasnem jest wobec tego, że musiał on być stanowczym przeciwnikiem tak powszechnego za dni naszych »chrześcijaństwa etycznego«, uznającego w Chrystusie nie Boga-Człowieka, który w sposób nadprzyrodzony przez śmierć swą świat odkupił, a przez swe zmartwychwstanie śmierć zwyciężył, lecz szlachetnego ma-

rzyciela i reformatora ludzkości, który przyniósł jej nową niezmiernie czystą i wzniosłą ideę moralną, stanowiącą po dziś dzień najwyższy kres jej dążeń.

We wszystkich swych pismach zwalcza Sołowiew ten sposób pojmowania sztuki i postaci Zbawiciela. Powstaje przeciwko racyonalistyczno-utylitarnemu podporządkowaniu religii chrześcijańskiej moralnym zadaniom życia; zadania te stawia w mistycznej od niej zależności, poczytując je za jeden ze środków, wiodących do osiągnięcia nadprzyrodzonego celu życia, tj. wiekuistego zbawienia duszy ludzkiej. Nie sama tylko doniosłość wewnętrzna w bycie doczesnym, lecz osiągnięte przez ciągłe doskonalenie się szczęście w bycie wiecznym: oto cel jej istotny, cel nie tylko każdej poszczególnej jednostki ludzkiej, lecz i całego człowieczeństwa w jego rozwoju dziejowym. Dzieje to nie bezduszna gra sił przypadkowych lub fatalistycznych, lecz ciągłe urzeczywistnianie się w dziedzinie zjawisk doczesnych wiekuistego planu Bożego, ciągła walka niższych, przyrodzonych sił bytu z wyższemi, nadprzyrodzonemi siłami, przez które wola Boża pełni się we wszechświecie.

W ten sposób pojęte dzieje ludzkości nie mogą rozwijać się wiekuiście w powtarzających się bez końca obrotach wielkiego kołowrotu zdarzeń: muszą mieć swój kres ostateczny, który będzie zarazem kresem wszelkiego stawania się, wszelkiej doczesności bytu, zwycięstwem życia nad śmiercią w powszechnem ciał i dusz zmartwychwstaniu, a zarazem zwycięstwem Boskiej potęgi dobra nadprzyrodzonego nad demoniczną potęgą zła, która tak szeroko rozpościera się, tak przemożnie zdaje się władać w naszem świecie przyrodzonym.

Ta ostatnia potęga nie jest, wedle Sołowiewa, li tylko brakiem i ujemnością, czemś nieistniejącem konkretnie; owszem przyznaje on jej byt istotny, realny, a zatem możność prowadzenia rzeczywistej walki przeciwko Boskiej potędze dobra, a nawet możność odnoszenia nad nią chwilowych w życiu doczesnem przewag. W świętych księgach chrześcijaństwa przepowiedziane są te przewagi, oraz mające nastąpić przed końcem świata i powtórnem przyjściem Chrystusa najwyższe ich natężenie, które Obja-

wienie św. Jana ukazuje nam w postaci władnącego nad światem Antychrysta.

Przejęci racyonalistycznym duchem czasu ludzie dzisiejsi, wtedy nawet, gdy uznają ewangelię za najwznioślejszy pomnik prawodawstwa religijno-moralnego, nie chcą nic słyszeć o głębokiej mistyce ksiąg Apokalipsy i nie przywiązują żadnej wiary do rozwiniętych w niej proroczych wizyi przyszłości. Sołowiew wierzy niezłomnie w nadprzyrodzone objawienie tych wizyi apokaliptycznych i wysnuwa z nich myśl przewodnią swych »Trzech rozmów« o przyszłych losach świata i o końcu dziejów wszechświatowych.

Wobec przeciwieństwa tej myśli do panujących powszechnie mniemań, pojęć i wierzeń, wykład jej przybrać musiał nieodzownie charakter polemiczny, a dążność do jak najwyższego wyrażenia jej treści i uwydatnienia jej stosunku do odmiennych lub wprost przeciwnych idei przyoblekła ją w formę dyalogu. Polemiczny punkt wyjścia autora zaznaczony jest dobitnie w przedmowie. Zwraca się on tam odrazu w bardzo stanowczym i ostrym tonie przeciw głosicielom chrześcijaństwa bez Chrystusa, tj. chrześcijaństwa, pojętego jako systemat etyczno-religijny, który zaleca się bardzo podniosłym charakterem swej nauki w ewangelii wyłożonej, ale wcale nie wymaga wiary w boskość Mistrza i Nauczyciela ewangelicznego. Poddając surowej krytyce podobne doktryny, jako bezpodstawne, a przytem pełne wewnętrznych sprzeciwieństw, Sołowiew najwidoczniej ma na myśli rozgłośną naukę religijno-moralną Leona Tołstoja, chociaż nigdzie nazwiska jego nie wymienia. Przemilczenie to ma swoją dobrą racyę. Nie chodzi tu o zbijanie przeróżnych przywidzeń i paradoksów genialnego artysty-epika, występującego w tak niewłaściwej dla siebie roli filozofa etycznego, lecz o uwydatnienie bezpodstawności doktryny, której dążenia, wrogie mistyczno-religijnej stronie chrześcijaństwa w teoretycznych, a poniekąd i w (artystycznych) pismach Tołstoja tak silny i tak zupełny znalazły wyraz. Wysunięcie na pierwszy plan osobistości znamienitego jej rzecznika rosyjskiego musiałoby nieodzownie ograniczyć ogólno-ludzkie jej znaczenie, które autor »Trzech rozmów« przedewszystkiem chciał uwydatnić jako charaktery-

styczny rys naszej epoki w antychrześcijańskim i antyreligijnym jej charakterze. Wogóle nie wymienia on wcale poszczególnych przedstawicieli zwalczanych przez siebie doktryn, zwalcza je bowiem nie jako odrębne systematy pojęć i przekonań, wynikłe z indywidualnych dążeń duchowych, lecz jako wyraz zbiorowy racyonalistycznych prądów epoki, wrogich wszelkim głębszym przejawom ducha chrześcijańsko-religijnego.

Różnorodny do tego ducha stosunek umysłów współczesnych uwydatniający się w obrębie zagadnienia, stanowiącego przedmiot dyalogu, przedstawiony został przez oznaczenie rozmaitych stanowisk, a po części i charakterów osób biorących w nim udział.

Autor ukazuje nam grono swych współrodaków, wysoce wykształconych i należących do tak zwanego wyższego towarzystwa, którzy pod palmami pięknej willi na jasnym brzegu morza Śródziemnego w wykwintnym tonie światowym toczą rozmowy o zasadniczych zagadnieniach życia i stosunku ich do naczelnych wierzeń i wyobrażeń religii chrześcijańskiej.

W trzech rozmowach mamy trzy poniekąd wprost sobie przeciwne, poniekąd uzupełniające się nawzajem oświetlenia zasadniczego tematu, tj. stosunku dobra i zła.

W pierwszej rozmowie autor ukazuje swój przedmiot w świetle należących już obecnie w znacznej części do przeszłości wyobrażeń religijno-życiowych, w drugiej rozmowie ustępują one miejsca panującym przeważnie za dni naszych nieprzyjaznym lub pogardliwie obojętnym względem religii wyobrażeniom postępowo-kulturalnym, w trzeciej rozmowie światło czysto-chrześcijańskiej idei religijnej, przyćmiewane w przeszłości cieniami przesądów i uprzedzeń życiowych, rozwiewane w teraźniejszości zimnymi powiewami racyonalistycznej kultury, osiąga pełnię swych blasków, a w promieniach jego ukazuje się nam zwiastowane przez święte księgi chrześcijaństwa, uzasadnione przez bieg zdarzeń dziejowych rozwiązanie wielkiego problematu etycznego naszego bytu na ziemi, oraz równoczesne z tem wyczerpanie się i zakończenie dziejów wszechświatowych.

»Chociaż ja sam, mówi autor w przedmowie, zajmuję stanowisko zaznaczone w ostatniej rozmowie, niemniej przeto uznaję

względną prawdę i dwóch poprzednich stanowisk i dlatego z jednaką bezstronnością mogłem rzecz moją przedstawić w przeciwstawnych ich oświetleniach. Wyższa prawda bezwzględna nie wyklucza i nie zaprzecza przygotowanych warunków swego pełnego objawu, lecz owszem usprawiedliwia je i we właściwem ukazuje świetle. Jeśli dzieje świata są sądem nad światem — *die Weltgeschichte ist das Weltgericht* — to w pojęciu tego sądu zawiera się pojęcie wszechświatowego procesu pomiędzy dobremi i złemi siłami historycznemi, a proces ów dla ostatecznego rozwiązania swego i zakończenia potrzebuje zarazem walki o byt pomiędzy obu przeciwnemi siłami, jakoteż pełnego wewnętrznego, a zatem pokojowego ich rozwoju we wspólnem środowisku kulturalnem«.

Owe dwa wspomniane przez autora stanowiska, wyobrażane są przez dwóch uczestników dyalogu, różniących się zasadniczo charakterem i powołaniem: przez starego, zahartowanego w boju generała i przez dyplomatę-polityka, przesiąkniętego na wskróś kulturą europejską i pełnego wiary w dobroczynną jej siłę. Stanowisko samego autora wyobraża trzeci główny uczestnik dyalogu, nieokreślony pod względem stanu i zawodu społecznego p. Z., który wysnuwa logiczne konsekwencye z przebiegu i ustosunkowania wzajemnego ścierających się ze sobą myśli i rozwija je w kierunku religijnym (tj. w najistotniejszym kierunku ducha ludzkiego) do najdalszych, ostatecznych kresów. Prócz tego dwie osoby jeszcze drugorzędny, przeważnie bierny biorą udział w rozmowie: książe, zwolennik nauki tołstojowskiej, wyobrażający przeto wprost przeciwne ideom autora stanowisko i przedstawiony jako umysł ciasny, zagwożdżony sekciarską doktryną, oraz gospodyni domu, inteligentna i wykwintna dama, która wprowadza do rozmowy żywioł wdzięku niewieściego i z właściwą kobietom intuicyą chwyta i odzwierciedla w swych uwagach główne jej motywy.

Punktem wyjścia pierwszej rozmowy jest tocząca się współcześnie w prawie i w życiu społecznem agitacya przeciwko wojnie, jako przeciwnej zarazem duchowi chrześcijańskiemu i postępowi. Z pierwszego względu potępia ją książe-tołstoista, z drugiego polityk uważa za prawdopodobne i pożądane zupełne zaniechanie jej w przyszłości, gdy tymczasem rozmiłowany w niej jenerał

z oburzeniem słucha o wszelkich na swój stan i zawód rycerski napaściach, broni i wystawia go jako wysokie i szlachetne powołanie, jako święty obowiązek walki za ojczyznę i wiarę, za każdą wielką i drogą nam sprawę, dla której życie nasze składamy w ofierze.

O ile autor godzi się z taką obroną wojny, staje na stanowisku średniowiecznego, rycersko-chrześcijańskiego jej pojęcia. Uznając je za przebrzmiałe i przezwyciężone przez postęp kultury, uwydatnia wszakże w niem pewne pierwiastki wiecznotrwałego znaczenia, wynikające nie tylko z niezmiennych warunków rzeczywistości życiowej, lecz także z jej stosunku do idei i dążności chrześcijańskiej. Zachodzi pytanie: czy chrześcijaństwo istotnie w żadnym razie nie dopuszcza użycia siły fizycznej w walce ze złem? Zwolennicy abstrakcyjnie w duchu tołstojowskim pojętej ewangelii powołują się na wyraźne jej przepisy, na stwierdzone w niej braterstwo wszystkich ludzi, co pociąga za sobą zbrodniczość wszelkiego zabójswa, choćby ofiarą jego miał być największy wróg ojczyzny naszej czy ludzkości całej, najniegodziwszy złoczyńca.

»Bardzo pięknie, odpowiada na to jenerał Sołowiewa, wszyscy ludzie są braćmi. No i cóż dalej? przecież bracia różni bywają. Owoż dlaczego nie miałbym rozróżnić pomiędzy mymi braćmi Kaina od Abla?

A jeśli w oczach mych brat mój Kain zechce zdzierać skórę z mego brata Abla, ja zaś, nie będąc dla braci obojętny, tak przetrzepię skórę bratu Kainowi, że raz na zawsze odejdą go podobne zachcenia, to wymawiacie mi, że zapomniałem o braterstwie.

Otóż właśnie, że pamiętam i dlatego wmieszałem się w tę sprawę; gdybym nie pamiętał, przeszedłbym spokojnie mimo«.

Ale czyż niema innego sposobu powstrzymania od zła, niedopuszczenia występku. »Człowiek przesiąknięty prawdziwym duchem ewangelicznym, mówi rzecznik zasady niesprzeciwiania się złemu, znajdzie zawsze sposób, pobudzenia w duszach ciemnych, tego dobra, które tkwi ukryte w każdem jestestwie ludzkiem«.

»A czy Chrystus był dostatecznie przesiąknięty duchem

ewangelicznym? zapytuje Sołowiew przez usta głównego w dyalogu rzecznika swych idei. Dlaczegóż siłą tego ducha nie pobudził dobra ukrytego w duszach Judasza, Heroda, kapłanów żydowskich i *złego* łotra, o którym zwykle zapomina się jakoś, gdy się mówi o dobrym jego towarzyszu? Dla chrześcijaństwa pozytywnego niema w tem żadnej trudności. Wy, którzy go nie uznajecie, musicie wyrzec się albo zwyczaju waszego powoływania się na Chrystusa i jego ewangelię, albo też waszego optymizmu moralnego. Trzecia bowiem, utarta dosyć droga — zaprzeczanie samego faktu ewangelicznego, jako samowolnego wymysłu — w danym wypadku jest zamknięta. Jakkolwiek przekręcalibyście i obciosywali tekst ewangelii, główna jego osnowa, dotycząca prześladowania i śmierci Chrystusa oraz przewrotności jego wrogów, pozostanie niewątpliwą. Nie sprzeciwiał im się i przebaczył im wiedziony poczuciem swego wyższego posłannictwa, — to zarówno jasne tak z mego jak i z waszego punktu widzenia. Ale dlaczego, przebaczając swym wrogom, nie wyzwolił ich dusz (że użyję tu własnych waszych słów) z tego mroku okropnego, w którym były pogrążone? Dlaczego nie zwyciężył ich złości siłą swej dobroci? nie przebudził drzemiącego w nich dobra, nie rozjaśnił ich dusz, nie odrodził ich duchowo?«

Pytania te, któremi kończy się pierwsza rozmowa, stanowią przygotowanie do zasadniczego poglądu autora na zło, jako na demoniczną, realną siłę, walczącą z Boską potęgą dobra. Pełne rozwinięcie tego poglądu znajdujemy w trzeciej rozmowie, w której powraca znów zagadnienie wojny, jako jednej z postaci wiekuistego boju pomiędzy przeciwnymi pierwiastkami bytu naszego, ukazanymi tam nie w religijno-życiowem oświetleniu, jak poprzednio, lecz w czystym blasku najwyższej religijno-mistycznej idei chrześcijańskiej, rzucającej swe promienie na najodleglejszą przyszłość ludzkości. Tymczasem w rozmowie drugiej rzucił autor na toż zagadnienie światło pochodzące ze sfery pozareligijnej, aby tem wszechstronniej je ukazać, a zarazem tem dobitniej uwydatnić niedostateczność wszelkich połowicznie chrześcijańskich, lub zgoła niechrześcijańskich oświetleń jego i rozwiązań.

Rej w tej drugiej rozmowie wiedzie polityk, wyrafinowany

sceptyk w religii, a naiwny wyznawca wiary w kulturę i w postęp. Wyklucza on zupełnie pierwiastek religijny z poglądu swego na rozwój wszechświatowy, »o tak zwanem« (jak się wyraża) chrześcijaństwie nic zgoła wiedzieć nie chce i żadnego znaczenia nie przypisuje mu w sprawie przyszłego rozwiązania problematu wojny i wogóle wszelkich problematów życiowych. »Na co nam, mówi, ideały chrześcijańskie i inne niedościgłe ideały religijno-moralne? Na co nam wzniosłe cnoty, mające z nich wynikać? Jedyną cnotą w rzeczywistości bytu społecznego prawdziwie potrzebną, jest grzeczność wzajemna, będąca wynikiem kultury. Przyznacie mi zapewne, że można doskonale żyć w towarzystwie ludzi kulturalnych, choćby pomiędzy nimi nie było ani jednego cnotliwego; lecz spróbujcie przeżyć w towarzystwie, w któremby nie było ani jednego człowieka grzecznego«. A dlaczego potrzebna jest grzeczność w społeczeństwie? Dlatego, że potrzebna jest każdej poszczególnej jednostce społecznej, że każda nierównie więcej zyskuje przez pełnienie, aniżeli przez naruszenie prawideł grzeczności.

Ale zasada ta nie ma w sobie nic bezwzględnego. Wogóle nie ma zasad ani prawd bezwzględnych. Są tylko uogólnienia i wnioski logiczne, wyciągane z rzeczywistości i z faktów dziejowych. Jednym z takich wniosków jest wysnuty przez racyonalistę-polityka pogląd na znaczenie wojny w życiu i rozwoju społecznym.

Zapewne w przeszłości, osobliwie w zaczątkowej dobie historycznej była ona nieodzowna. Wszystkie państwa zawdzięczają jej swój byt, a z kolei kultura zawdzięcza byt swój władzy i organizacyi państwowej; bez współdziałania tych czynników ani powstać, ani rozwinąćby się nie mogła. Skoro jednak wzmocni się i ustali należycie w życiu społecznem, sama staje się głównym, a nawet jedynym warunkiem dalszego wyrabiania i doskonalenia się jego ustroju i to zarówno w wewnętrznym bycie państw i narodów, jakoteż w zewnętrznych międzynarodowych stosunkach. Wojna staje się wtedy niepotrzebną i powinna być zupełnie zaniechana. Wobec możności porozumienia się pomiędzy ludźmi kulturalnymi, wszelkie zatargi państw i narodów dają się usunąć

zapomocą ustępstw i układów wzajemnych, uwzględniających należycie różnorodne ścierające się ze sobą interesy polityczne.

Czyż można powątpiewać o tem, że obecnie żyjemy w takim właśnie stanie kultury, w którym wojna traci wszelkie swoje dawne znaczenie i niezadługo będzie musiała ustąpić miejsca innym, czysto-pokojowym sposobom załatwiania sporów międzynarodowych? Polityk przytacza różne stwierdzające ten pogląd fakty najnowszej, głównie rosyjskiej historyi. Wszystkie wojny, toczone ostatnimi czasy nic się nie przyczyniły do rozwiązania zagadnień politycznych, dla których były podejmowane i owszem tem większe w nich wywołały zamieszanie, a przez to sprawie rozwoju cywilizacyjnego nieobliczalne zrządzały szkody, gdy tymczasem coraz ściślejsza pomiędzy ludami europejskimi łączność na gruncie wspólnej kultury jak najbardziej dobroczynne pociągnęła skutki, a dalszy i coraz głębszy w tym kierunku postęp całej ludzkości zgotuje erę powszechnego dobrobytu i szczęścia. Będzie to zaś dzieło nie wygórowanych, idealnych dążeń religijno-moralnych, które zgoła nic pożytecznego zdziałać nie mogą i są tylko pustymi, bezwartościowymi ogólnikami, bez dążeń czysto-pozytywnych, które z rzeczywistości życiowej wprost wysnute, czysto-utylitarne mają znaczenie i ujawniają się we wzajemnych pomiędzy ludźmi stosunkach, mających za swój wykładnik w życiu powszedniem rozumnie pojmowaną i praktykowaną właściwie uprzejmość towarzyską.

Nie potrzeba tu dowodzić, jak dalece cała ta pozytywistyczna teorya polityka sprzeczna jest z istotnymi przekonaniami autora »Trzech rozmów«, dla którego zapoznawane przez nią tak bezwzględnie ideały religijno-moralne były nie tylko najwyższemi lecz i najrealniejszemi prawdami życia. A jednak, rozwijając ją w środkowej części swego dyalogu pod hasłem: *audiatur et altera pars*, uwydatnia tkwiące w niej ziarno pewnej względnej prawdy, która w zastosowaniu do pewnych stron współczesnego życia duchowego posiada swoje, dość doniosłe znaczenie.

W przeciwieństwie do niefrasobliwego sceptyzmu, który prostą negacyą lub pogardliwem lekceważeniem rozwiązuje wszelkie religijno-moralne zagadnienia naszych czasów, często i coraz czę-

częściej zdarza się też dzisiaj niezmiernie wygórowane wobec tych zagadnień skrupulizowanie, niezdolne zadowolnić się żadnym pozytywnym kultem, wierzeniem ani przekonaniem, szukające rozwiązania problematów duchowych w różnych utopiach ideologicznych, w rodzaju n. p. tołstoizmu z jego zasadą niesprzeciwiania się złemu.

Tego rodzaju objawom marzycielstwa religijnego przeciwstawia Sołowiew trzeźwo-utylitarne poglądy swego polityka, oświetlając je przytem jaskrawo z zupełnie odmiennego, a bardziej jeszcze krańcowo-paradoksalnego stanowiska praktycznej filozofii ludowej. Do drugiej rozmowy wtrąca wzmiankę o chłopskim filozofie-mistyku, który skrupulizującym bez miary w kwestyach moralnych inteligencyom taką oryginalną powtarza naukę: »Jeśli grzeszysz tęgo, to i módl się tęgo do Boga, a w żadne skrupuły i skruchy się nie wdawaj, abyś dzielności ducha nie utracił i rozpaczając nad sobą, djabłu za błazna nie służył«.

Dzielność ducha, przezwyciężająca własne jego o sobie samym zwątpienia, i trzeźwa rozwaga przystosowana ściśle do warunków rzeczywistości życiowej — oto dwa główne czynniki płodorodnej działalności ludzkiej w jej przeciwieństwie do bezpłodnego zatapiania się w sobie i wybujałej ideologii dążeń, oto warunki istotne szczero-ludzkiego życia w jego zdrowym postępie kulturalnym. Autor »Trzech rozmów« nie zapoznaje tedy doniosłego znaczenia postępu, jako wielkiego zadania ludzkości na ziemi, jako celu pozytywnego ludzkich czynów i dążeń; ale nie uznaje go za cel ostateczny, nie zatrzymuje się na stwierdzeniu różnorodnych jego zdobyczy, jako najwyższych tryumfów ducha ludzkiego i nie podziela optymistycznej wiary i nadziei wielu naszych racyonalistów, którzy w zdobyczach tych widzą przyszłe szczęście i przyszłą doskonałość człowieczeństwa.

Postęp istnieje jako fakt wszechświatowy i wszechdziejowy, ale istnieje nie sam przez się ani sam dla siebie, lecz dla jakiegoś celu ostatecznego, dla jakiegoś kresu, do którego nas wiedzie. Jest on symptomem, jak się wyraża Sołowiew. — Symptomem czego? nastręcza się tu pytanie. — W obecnej przyśpieszonej swej chy-

żości, odpowiada autor, jest on symptomem końca, mianowicie końca dziejów człowieczeństwa, całego wogóle procesu dziejowego.

»A więc to koniec świata, a może i przyjście Antychrysta?« pytają uczestnicy rozmowy.

»Niewątpliwie, odpowiada główny w niej rzecznik myśli autora, Antychrystowi pierwsza przypada rola w tym końcowym akcie tragedyi historycznej«.

I tutaj wkraczamy w obręb przewodniej idei całego dyalogu i wyrażonej w nim ostatniej myśli Sołowiewa. Jak wyżej zaznaczono, stoi on tu na gruncie Apokalipsy i tradycyi chrześcijańskiej, ale zarazem opiera się na logicznych konsekwencyach swego światopoglądu religijno-moralnego i związanych z nim zapatrywań swych na istotę rozwoju dziejowego.

Punktem wyjścia jego wywodu są słowa Ewangelii o mieczu i rozdziale, który nauka Chrystusa przyniosła na ziemię. Jakże je pogodzić z innymi tekstami ewangelicznymi o Chrystusie, księciu pokoju? Odpowiedź zawiera się w słowach Zbawiciela: »Pokój wam pozostawiam, pokój m ó j daję wam: nie tak jak ś w i a t wam daje, daję wam«. Jest przeto dobry Chrystusowy p o k ó j, oparty na tym r o z d z i a l e, który Chrystus przyniósł na ziemię, rozdziale pomiędzy dobrem i złem, pomiędzy prawdą i fałszem. A jest też zły pokój świata tego, oparty na pomieszaniu, albo zewnętrznem połączeniu tego, co wewnętrznie wrogie jest sobie... Dobry pokój jest ten, który zawarty zostaje po osiągnięciu istotnego celu wojny«.

Chodzi tu o wojnę pomiędzy pierwiastkami dobra i zła; przyczem, jak wiemy, Sołowiew nie poczytuje zła li tylko za jakiś brak, za jakąś ujemność, przeciwstawiającą się dobru, lecz za siłę pozytywną, realną, mającą własne swe cele i zadania. Zbija mniemanie, wedle którego zło samo przez się zniknie, skoro ludzie prawdziwie staną się dobrymi. Dlaczegoż nie znikło ani nawet nie zmniejszyło się po zwycięstwie, jakie nad niem odniosło dobro bezwzględne, uosobione w Chrystusie, przenikające swymi promieniami tysiące jego świętych wyznawców, którzy w śmierci i męczeństwie pozostali mu wierni? — A prawdą jest niewątpliwą, że zło przemaga na świecie dziś, jak przemagało lat temu dwa

tysiące, przemaga w nizkich instynktach i namiętnościach jednostek, w dziejowych zbrodniach państw i narodów, wreszcie w zwycięskiej ponad wszystkiemi siłami świata potędze śmierci. Jakże można mówić o tryumfie dobra, skoro wszystkie najbujniejsze jego owoce, najwspanialsze zdobycze prędzej czy później mają paść ofiarą śmierci? — Czy warto troszczyć się o postęp cywilizacyi, którego kresem i celem ostatecznym śmierć nieubłagana?

Przedstawiciel zracyonalizowanego w duchu tołstojowskim chrześcijaństwa odpowiada na to przytaczaną przez samego Tołstoja przypowieścią ewangeliczną o winnicy, powierzonej przez właściciela niesumiennym robotnikom, którzy płody jej sobie przywłaszczyli, zabijając wysłańców dopominających się o nie w imieniu samego gospodarza. Tak samo ludzie chcą przywłaszczać sobie zuchwale owoce życia, chociaż ono bożą jest własnością i Bogu zwrócone być powinno. Przez śmierć oddać muszą to, co nigdy do nich prawowicie nie należało.

Tutaj Sołowiew chwyta racyonalistycznych wykładaczy Ewangelii na gorącym uczynku samowolnego przekształcania tak tekstu jej literalnego jak i ożywiającej ją myśli. Skąd wzięta, pyta wprost, powyższa przypowieść? W Ewangelii jest wprawdzie tekst w niektórych szczegółach podobny, ale w najistotniejszej swej treści odmienny i odmienne zupełnie mający znaczenie aniżeli to, które mu jest przypisywane na zasadzie niedokładnej cytaty. Istotnie przypowieść o winnicy (przytoczona przez Sołowiewa wedle Łuk. XX) zawiera jeden jeszcze ustęp, opuszczony w streszczeniu tołstojowskiem, a bardzo ważny dla zrozumienia właściwego przewodniej jej myśli. Właściciel winnicy *oprócz niewolników posłał* i syna swego jednorodzonego, aby ją odebrał przywłaszczycielom. Ale ci zabili go, aby tem łatwiej pozbawioną spadkobiercy winnicę zagarnąć. Cóż uczyni jej właściciel? — Oto przyjdzie i zatraci niesumiennych robotników a winnicę innym powierzy.

Jasnem jest odmienne znaczenie tego pełnego tekstu Ewangelii od tekstu okaleczonego. Toż zawiera on właśnie dobitnie stwierdzenie synowstwa Bożego w Zbawicielu przed ludem całym wobec wątpiących o nim Faryzeuszów. A jednak i dzisiejsi chrześcijanie-racyonaliści wątpią o nim również i chcąc zwątpienie swe

uzasadnić, oddzielają po prostu Boskiego Mistrza od Boskiej jego nauki, usuwają Chrystusa z chrześcijaństwa. Czy to jest drogą wiodącą do wniknięcia w jego ducha? Czy nie jest to raczej zaparcie się żywego ducha Chrystusowego i postawienie na jego miejsce martwej abstrakcyi rozumowej?

»Mówicie, zwraca się Sołowiew do zwalczanych przez siebie przeciwników, że w sumieniu waszem, światłem rozumu oświeconem, odkryliście prawdziwe królestwo Boże na ziemi. Ale czyż śmierć nie pochłonie wszelkich skarbów dobra, jakie w niem nagromadzić możecie? Więc czy nie słuszniej nazwaćby je królestwem śmierci? Toż zaprzeczając bóstwu Chrystusa zaprzeczacie także jego zmartwychwstaniu i przyszłemu zmartwychwstaniu wszystkich weń wierzących, a więc śmierć czynicie najwyższą tryumfatorką w świecie ludzkości«.

»Naszą oporą przeciwnie: rzeczywiste zmartwychwstanie. Wiemy, że walka dobra ze złem toczy się nie tylko w duszach jednostkowych i w społeczeństwie, ale także głębiej w świecie fizycznym. I tu znane nam jest w przeszłości jedno stanowcze zwycięstwo dobrej zasady życia — w zmartwychwstaniu Jednego i oczekujemy przyszłych zwycięstw w zmartwychwstaniu wszystkich. W ten sposób i zło zostaje wyjaśnione jako służące do tem większego tryumfu, urzeczywistnienia i umocnienia dobra. Jeśli śmierć silniejsza jest od życia śmiertelnego, to wskrzeszenie do życia wiecznego silniejsze jest od śmierci i od czasowego istnienia. Królestwo Boże to królestwo tryumfującego przez zmartwychwstanie życia oraz pełnej realizacyi w nim najwyższego, ostatecznego dobra. Na tem polega siła cała i całe dzieło Chrystusa; cała miłość Jego ku nam i nasza ku Niemu. — Bez wiary w dokonane już zmartwychwstanie Jednego i bez nadziei na przyszłe zmartwychwstanie wszystkich można tylko mówić o Królestwie Bożem; w rzeczywistości mielibyśmy zawsze królestwo śmierci«.

Rozwój wszechświatowy, u kresu którego widnieje obraz królestwa Bożego, jest tedy walką potęg dobra i zła, pojętych nie jako idee oderwane, urzeczywistniające się tylko w podmiotowym świecie dusz ludzkich, lecz jako rzeczywiste jestestwa

świata duchowego, oddziaływające bezpośrednio tak na podmiotowy jak i na przedmiotowy nasz byt.

Najzupełniejszem wcieleniem dobra Chrystus, Bóg-Człowiek, zmartwychwstały Zbawca świata; najzupełniejszem wcieleniem zła Antychryst, t. j. żywa, realna osobistość, skupiająca w sobie wszystkie żywioły ducha antychrześcijańskiego, które dążą do zguby t. j. wiekuistej śmierci świata. Natchniony duchem Bożym apostoł zwiastował w swej Apokalipsie pojawienie się złowrogiego »księcia tego świata« przy końcu wieków w chwili przesilenia się potęgi zła — wniknięcie w istotę rozwoju dziejowego pozwala nowożytnemu myślicielowi chrześcijańskiemu przewidzieć blizkość tej chwili i określić przypuszczalny charakter i sposób działania głównego jej przedstawiciela. Przyśpieszona szybkość rozwoju i coraz widoczniejsze wyczerpanie działających w nim sił zdają się zapowiadać niedaleki jego kres, a kierunek jego prądów duchowych coraz bardziej zdaje się zbliżać do ukazanego nam w proroctwach typu antychrystowego.

Przedewszystkiem nie jest ów typ wprost i otwarcie wrogi chrześcijaństwu. Taka jawna nieprzyjaźń z błędu tylko może pochodzić, »a potępiać ludzi z powodu ich błędów teoretycznych, mówi Sołowiew, znaczy to wydawać sobie świadectwo małego umysłu, słabej wiary i lichego serca. Każdy prawdziwie wierzący, a zatem wolny od wszelkich znamion tępogłowej i nieczułej małoduszności, powinien żywić przychylność dla szczerego czyli uczciwego przeciwnika prawd religijnych. W obecnych czasach to taka rzadkość, iż trudno mi wypowiedzieć zadowolenie, z jakiem patrzę na jawnego wroga chrześcijaństwa. W każdym z nich prawie skłonny jestem widzieć przyszłego apostoła Pawła, gdy tymczasem w niejednym gorliwcu chrześcijańskim podejrzywam mimowolnie Judasza, zdrajcę«.

Do takich zdrajców chrześcijaństwa zalicza Sołowiew tych wszystkich, co wyznają jego zasady oderwane, ale nie wyznają żywej jego prawdy objawiającej się w Chrystusie, uświęconej w Boskim swym charakterze przez nadprzyrodzony fakt zmartwychwstania Chrystusowego. Ci ludzie nie błądzą sami bezwiednie, lecz świadomie innych w błąd wprowadzają. Ich nauka to

nie rzekoma religia, lecz istotne oszukaństwo. Rozpowszechnienie jej za dni naszych jest zapowiedzią przyjścia wielkiego oszusta, wielkiego samozwańca wszechświatowego, który najwyższą potęgę ducha ludzkiego, zbrojną wszystkiemi zdobyczami kultury i wszystkiemi prawdami chrześcijaństwa oderwanemi od osoby Chrystusa, t. j. od źródła dającego im życie, zwróci przeciwko temu źródłu, aby je raz na zawsze zatamować w duszach ludzkich, a przez to stłumić wszelkie płynące zeń żywotwórcze siły w duchowym bycie ludzkości. Ten wróg Chrystusa, zwalczający jego religię z pełną świadomością tkwiącej w niej prawdy, przy obłudnem uznaniu jej zasad, doprowadzonych do znaczenia martwych abstrakcyi — ten przedstawiciel antychrześcijańskiego kierunku, wdzierającego się w najwyższem swem natężeniu do serca samego chrześcijaństwa, aby tam śmiertelny cios mu zadać: — oto zwiastowany w Apokalipsie »książę świata tego«, przyszły Antychryst, któremu w chwili przesilenia się walki pomiędzy złem a dobrem, w uroczystej chwili dopełniających się dziejów świata, pozostawiona będzie czasowa nad nim władza, zbrojna całą mocą demonizmu i wraz z nim po dokonaniu czasu na wiekuistą skazana zagładę.

Jakież jest przypuszczalne oblicze duchowe zwiastowanego Antychrysta?

Pytania tego nie podejmuję się rozstrzygać, odpowiada Sołowiew. »Antychryst ma być indywidualnem, jedynem w swej zupełności i w swem wykończeniu wcieleniem zła — podobnie jak Chrystus jest takiemż indywidualnem, zupełnem wcieleniem dobra... Portretu jego nakreślić niepodobna. W literaturze kościelnej znajdujemy tylko jego paszport z cechami ogólnemi i odrębnemi«. Czy na podstawie tych cech nie możnaby uprzytomnić sobie w wyobraźni jego postaci na tle przypuszczalnych dziejów przyszłości?

O rozwiązanie tego zadania pokusił się Sołowiew. W zakończeniu trzeciej rozmowy daje nam »krótką powieść o Antychryście«, znalezioną rzekomo w papierach jakiegoś zmarłego zakonnika. Ustęp ten wygłosił autor w Petersburgu jako odczyt, jeszcze przed wydrukowaniem »Trzech rozmów«. Wywołał on wtedy wiele zdziwienia i wiele nieporozumień. Posądzono autora o przybiera-

nie roli i charakteru proroka, gdy tymczasem jemu chodziło tylko o wyrażenie obrazowe pewnych przewidywań o przyszłym losie ludzkości, ugruntowanych na głębokiej wierze chrześcijańskiej i przenikniętych wysnutą z niej ideą mistyczną. Jakie jest istotne znaczenie tej idei przyszłego Antychrysta? Jest nią najwidoczniej przeświadczenie (podzielane też przez Mickiewicza, jak wymownie świadczy towianizm), że wszelkie prawdziwie żywotne dążenia człowieczeństwa wcielają się mniej lub więcej zupełnie w wielkich osobistościach dziejowych i przez nie mogą osiągnąć swą realizacyę. Owóż wedle przekonania Sołowiewa, dążenia antychrześcijańskie, stanowiące niewątpliwie główną istotę naszej obecnej kultury, skoro dojdą do pełni swego rozkwitu, a zarazem do swego przesilenia, wcielić się muszą w indywidualnej osobistości historycznej. Taką to osobistość pod nazwą Antychrysta zwiastują nam przepowiednie ksiąg świętych i tradycyi chrześcijaństwa. Głęboko wierzący rosyjski ich wykładacz, zestawiając je z rozwijającym się przed naszemi oczami procesem dziejowym, w ziszczeniu ich widzi tragiczne tego procesu rozwiązanie, którego przebieg przypuszczalny ukazuje naszej wyobraźni w swej symbolicznej powieści o Antychryście.

Początkiem tego ostatniego aktu europejsko-chrześcijańskiej tragedyi dziejowej ma być najście rasy żółtej, która, wiedziona przez Japończyków, pokonawszy Rosyę, na lat pięćdziesiąt całej Europie jarzmo swe narzuci. Złączone wspólną niedolą ludy europejskie po upływie tego czasu wspólnemi siłami zrzucą obce jarzmo i utworzą Stany zjednoczone czyli powszechny związek polityczno-społeczny, w którym nowożytna idea humanitarna na gruncie do najwyższego stopnia spotęgowanej kultury materyalnej osiągnie pełne swe urzeczywistnienie.

Wtedyto na widowni europejskiej wystąpi człowiek przeznaczenia, któremu sądzono być ostatnim przedstawicielem najwyższej potęgi wszechświatowej, obcej a nawet wrogiej duchowi chrześcijańskiemu, choć przyoblekającej się niekiedy dla celów utylitarnych w zewnętrzne jego pozory. Zapanuje on naprzód nad umysłami siłą swej myśli jako genialny badacz-myśliciel, rozwiązujący teoretycznie najzawilsze problematy wiedzy i życia.

Siła ta wzmożona w nim zostanie do nadludzkich rozmiarów przez żyjącą realnie w istotach demonicznych najwyższą moc zła, która użyje go za narzędzie do walki ostatecznej z najwyższą, Bożą mocą dobra. Dzięki poparciu swych mistrzów szatańskich, ziemski ich bojownik osiągnie takie udoskonalenie umysłu i charakteru, jakiego dotąd nikt z ludzi zdobyć nie zdołał. Podziwiany i uwielbiony powszechnie, zostanie naprzód najpierwszym obywatelem i prezydentem związku wszecheuropejskiego, a w końcu obrany będzie absolutnym wszecheuropejskim monarchą.

Na tem stanowisku również genialnym okaże się władcą i politykiem praktycznym, jak przedtem okazał się teoretycznym badaczem. Rozwiąże najzawilsze, od wieków niepokojące ludzkość, zagadnienia społeczne, zapewni wszystkim swym poddanym erę powszechnego dobrobytu, przez potężną i wszechstronną swą inicyatywę pobudzi niebywały dotąd rozkwit kultury i wogóle urzeczywistni wszelkie najśmielsze aspiracye naszych działaczy cywilizacyjnych, reformatorów, doktrynerów i marzycieli socyalnych.

Wreszcie u szczytu swej potęgi nowy cezar wszechświatowy zapragnie ogarnąć swym wpływem religijne sprawy świata chrześcijańskiego i zjednoczyć pod swą władzą trzy główne jego wyznania: rzymsko-katolickie, germańsko-protestanckie i grecko-prawosławne. W tym celu zwołuje powszechny sobór chrześcijański do Jerozolimy, zjednywa sobie przeważną część jego uczestników, uznających w dobroczynnym, dla wszystkich zarówno sprawiedliwym władcy prawego opiekuna swych wyznań, ale napotyka niespodziany opór trzech naczelnych ich przewódców: papieża Piotra II-go, uczonego profesora i pastora protestanckiego Ernesta Paoli i ascetycznego starca Jana. Są to postacie symboliczne, które już przez same swe nazwy a bardziej jeszcze przez swą charakterystykę uprzytomniać nam mają zasadnicze prądy ducha chrześcijańskiego wyobrażane przez trzech wielkich apostołów: Piotra, Pawła i Jana. Wyraża się tu idea troistego rozwoju chrześcijaństwa, głoszona ongi przez Schellinga i Krasińskiego (szczególnie w »Legendzie«), a ostatnimi czasy na nowo w rosyjskiej literaturze podjęta. Kościół Chrystusowy, przez katolicki okres władzy i organizacyi Piotrowej oraz protestancki okres Pawłowej myśli badawczej,

dojść ma do pełnego rozkwitu w promieniach czystej miłości ewangelicznej, której przedstawicielem umiłowany uczeń Zbawiciela, orlego polotu wieszcz Apokalipsy, apostół Jan.

Atoli Sołowiew i w poprzednich swych pismach (głównie w słynnej broszurze francuskiej: *La Russie et l'église universelle*) otwarty wyznawca wiecznotrwałej idei katolickiej, pozostaje jej wierny i w tem wyrażeniu ostatniej swej myśli religijno-chrześcijańskiej. Kościół Piotrowy nie jest dlań tylko (jak dla Schellinga, Krasińskiego, a obecnie dla Mereżkowskiego) pewnym przebytym już stanem w rozwoju chrześcijaństwa, lecz jest niewzruszonym po wszystkie czasy przedstawicielem najwyższej, jedynie prawowitej w nim władzy namiestnictwa Chrystusowego. To też w zakończeniu »powieści o Antychryście« ukazuje nam ostateczne zjednoczenie wyznań chrześcijańskich pod zwierzchnictwem papieża i wspólne ich zwycięstwo nad demonicznym »księciem świata tego«, który u szczytu swej potęgi, zdobytej przez siłę materyalną i myśl antychrześcijańską, kryjącą się pod maską humanitarnej obłudy, pada zwalczony wiekuistą mocą i prawdą ducha chrześcijańskiego.

Takie ma być rozwiązanie ostateczne ujawniającej się w rozwoju dziejowym odwiecznej walki pomiędzy dobrem i złem. Wysnute ono zostało z głębokiej wiary myśliciela rosyjskiego nie tylko w zasadnicze dogmaty chrześcijańskie, ale także z tradycyi Kościoła i z wróżb uznanych w nim za natchnienie Ducha św.

W przeciwieństwie do racyonalistycznych komentatorów Ewangelii, usuwających z niej wszelki pierwiastek nadprzyrodzony, autor »Trzech rozmów« opiera się głównie na księdze Apokalipsy, na wskroś tym pierwiastkiem przesiąkniętej, a przez naszych racyonalistów chrześcijańskich (na równi z mistycznymi tekstami ewangelicznymi) wcale nie uznawanej. Zająwszy to stanowisko, zwalcza Sołowiew, jak wiemy, z wielką bezwzględnością jednego z najgenialniejszych rzeczników współczesnej myśli religijnej, Lwa Tołstoja. Czy słuszne są wszystkie zarzuty w »Trzech rozmowach« przeciwko niemu zwróconych? — Dużoby o tem było do powiedzenia. Należałoby przedewszystkiem wniknąć głębiej w niektóre idee tołstojowskie, wyrażone może zbyt jednostronnie

przez usta ich rzecznika w dyalogu. Ale na to potrzebaby nazbyt rozszerzyć ramy niniejszego sprawozdania. Poprzestańmy tedy na uwydatnieniu w zarysowanem tu przeciwieństwie postępowego rozwoju religijnej myśli rosyjskiej, jako jednej z najgodniejszych uwagi odnóg wielkiego prądu duchowego naszej epoki.

Wiadomo, że pierwiastki religijno-chrześcijańskie zaznaczyły się bardzo dobitnie w najnowszym jego zwrocie. Ściśle biorąc, nigdy nie zaginęły one zupełnie w nowożytnym rozwoju kulturalnym i czy to w rewolucyjnem haśle braterstwa, czy też w późniejszym altruizmie pozytywistycznym, wyraźnem odzywały się echem. Ale równocześnie w jakimś rozdźwięku z nimi brzmiały zgrzytliwe tony zwątpienia o wszelkich prawdach wiary lub zgoła bezwzględnego ich zaprzeczania. Brano z chrześcijaństwa te lub owe motywy, ale odrzucano samo chrześcijaństwo, jako przebrzmiały i wyczerpany wewnętrznie system religijny. Owóż najnowszy ku niemu zwrot na tem głównie polega, że gdy z jednej strony przeczenie mu bądź w teoryi (jak np. u Nietzschego), bądź w praktyce (jak w obecnej antykościelnej polityce republiki francuskiej), do najdalszych dochodzi kresów i usiłuje tępić wszelkie jego pozostałości w ideach i w życiu realnem — z drugiej strony w duszach zdolnych głębiej czuć i myśleć budzą się silne pragnienia wiary, dążące do rozwiązania bolesnych rozdźwięków życia w harmonii ideału religijnego. Jest to więc zwrot do pozytywnej religijności chrześcijańskiej, osiągający różne stopnie w mniej lub więcej zupełnych albo częściowych jej objawach.

Jako wynik samorzutnych dążności duchowych, poza sferą ściśle kościelną, najdobitniej występuje on we współczesnej literaturze rosyjskiej i widzimy tu dwa nader charakterystyczne jego stopnie w twórczości Leona Tołstoja i Włodzimierza Sołowiewa. Pierwszy z nich obdarzony genialnem poczuciem wewnętrznej logiki życia, przejąwszy się ideałem etyki chrześcijańskiej w jej konsekwencyach przyrodzono-życiowych, wziętych jednostronnie, niezawiśle od wpływów nadprzyrodzonych, widzi całą treść chrześcijaństwa, — drugi, jeden z najgłębszych i najrozleglejszych umysłów religijnych naszej epoki, dąży do ogarnięcia chrześcijaństwa w całej jego pełni, ze wszystkimi moralnymi i mistycznymi jego

pierwiastkami, w całym ogóle nadprzyrodzonych jego źródeł i celów, oraz przyrodzonych zastosowań życiowych.

Jednem słowem Sołowiew stawia czysto pozytywny ideał chrześcijańsko-religijny, oparty na wierze, doprowadzonej do jak najzupełniejszej harmonii z dążeniami etycznemi i z samorzutną myślą badawczą. Z tego stanowiska wszelkie wyodrębnianie poszczególnych stron prawdy chrześcijańskiej, wszelkie wyłączne i samowolne etyzowanie jej (jeśli się tak wolno wyrazić) poczytuje zawsze za błąd lub obłudę, a w każdym razie za tłumienie siły żywotnej chrześcijaństwa, za doprowadzanie go do znaczenia bezdusznej, martwej abstrakcyi etycznej.

Pogląd ten, rozwinięty nader konsekwentnie w »Trzech rozmowach«, uwydatnia doskonale słabe strony wszelkich systematów myślowych, posługujących się w czysto utylitarny sposób prawdami chrześcijańskiemi, przystosowanemi do potrzeb życia doczesnego, pozbawionemi wiekuistej sankcyi religijnej — ale czy słusznie za typ takich przystosowań idei chrześcijańskiej bierze autor etyczny system Tołstoja? Prawda! Tołstoj odrzuca nadprzyrodzoną stronę chrześcijaństwa; powołując się ciągle na Ewangelię, nie chce nic wiedzieć o mistycznych jej pierwiastkach, o bóstwie Chrystusa, o mesyanicznem jego posłannictwie, o jego cudach i cudownem zmartwychwstaniu — ale czyż w doktrynie tołstojowskiej napotykamy sam tylko utylitaryzm życiowy, czyż niema w niej bezwzględnej idei religijnej, wznoszącej się ponad wszelkiemi potrzebami względnego, doczesnego bytu?

Zważmy, że w ostatecznych konsekwencyach swego światopoglądu autor »Sonaty krajcerowskiej« i »Zmartwychwstania« dochodzi do zaprzeczenia nie tylko wszelkich najistotniejszych nawet potrzeb życiowych, lecz i samego życia w jego realnej, zmysłowej prawdzie. Czy to jest nihilizm, budyjska nirwana? — Sądzę, że głębsze wniknięcie w idee Tołstoja nie pozwala powątpiewać o wierze jego w wiekuiste życie pozaziemskie. Jeśli zaś tej wiary nigdzie jasno nie wyraża, jeśli odrzuca wszystkie te strony chrześcijaństwa, które ją budzą i umacniają w duszach ludzkich, to czyż takie względem niej stanowisko nie daje się wyjaśnić indywidualnemi właściwościami genialnego poety-epika,

występującego w tak niewłaściwej dla siebie roli filozofującego na tle religijnem reformatora-moralisty? — To, czego nie zdołał ująć w swe obrazy i kształty poetyckie, którymi cały świat zjawisk pragnął ogarnąć, wydało mu się niemożliwe wogóle do ujęcia dla myśli ludzkiej, zgoła niewypowiedzialne, a zatem do życia człowiekowi niepotrzebne i pozbawione dlań wszelkiego znaczenia. Takiemi okazały się wszelkie idee mistyczno-religijne, sięgające poza sferę przyrodzonego bytu ludzkiego. Nie mogąc wyrazić ich w swej poezyi, odrzucił je w swej filozofii moralnej, ale nie zdołał uniknąć ich oddziaływania w ostatecznych jej konsekwencyach: w najwyższych ideach etycznych, które z niej wysnuwał i w kształty rzeczywistości życiowej wcielić pragnął. Przeniknięte niewypowiedzianą, ale niemniej przeto istotną wiarą w wiekuisty ideał nadziemski, nie dały się zamknąć w doczesnych ziemskich ideałach, wymarzonych przez poetę-moralistę: rozerwały je swą w nieskończoność dążącą siłą rozwojową, w puch nicości rozbiły całą realną doczesność życiową.

Możemy tu zatem stwierdzić nie obłudę, jak skłonny jest mniemać Sołowiew, lecz zasadniczy błąd Tołstoja: błąd tak często powtarzający się w konstrukcyach ideowych myślicieli i marzycieli wszystkich epok. Zaślepieni pychą, owładnięci doktryną, chcą oni być prawodawcami duchowego życia ludzkości i nie bacząc na realne, przez odwieczne doświadczenie stwierdzone jego potrzeby, chcą je zaspokoić jakąś abstrakcyą, zaspokajającą indywidualne potrzeby własnego ich ducha.

Taką abstrakcyą jest chrześcijaństwo Tołstoja i wielu podobnych mu racyonalistów religijnych, którzy budzącą się po epoce przeczenia i zwątpienia dążność do wiary usiłują zwrócić w kierunku swych oderwanych systematów etyczno-chrześcijańskich. Sołowiew, który w całej swej działalności pisarskiej zwalczał sceptyczne prądy naszych czasów, przeciwstawiał im zawsze nie oderwany ideał etyczny, ani też mistyczne marzenia, ostatnimi czasy tak często pojawiające się jako reakcya przeciw dawnemu pozytywizmowi, lecz zupełny z życia całego chrześcijaństwa wysnuty ideał religijny, w którym zasady etyczne, zespalają się z dążeniami mistycznemi w realny nadprzyrodzony autorytet sankcyo-

nowanej organizacyi kościelnej. Tylko takie z życia i żywej tradycyi wysnute chrześcijaństwo poczytywał Sołowiew za bezwzględną prawdę ducha ludzkiego, która prędzej czy później zwyciężyć musi wszelkie przeciwstawiające się jej błędne lub obłudne doktryny. Za ostateczną konsekwencyę rozwijających się w tych doktrynach antychrześcijańskich dążeń naszej epoki poczytywał kierunek duchowy, który usiłuje owładnąć chrześcijaństwem przez pozorne uznanie go jako abstrakcyi moralnej przy rzeczywistem zaprzeczeniu w niem żywej prawdy ducha, ujawniającej się w osobie Chrystusa i w ugruntowanym przezeń Kościele powszechnym, czyli w realnem zbiorowem życiu całego chrześcijaństwa.

Oderwanie chrześcijan od Chrystusa, zerwanie łączącej ich z nim nici żywej tradycyi — oto cel najwyższy antychrześcijańskiego kierunku w dziejach, uosobionego w postaci Antychrysta, jako wcielenia realnej, demonicznej siły zła, dążącego do zabicia żyjącej w duszach ludzkich Bożej potęgi dobra.

W pewnych prądach duchowych naszej epoki, których najzupełniejszy wyraz widział w etycznej Ewangelii Tołstoja, uznał Sołowiew wyraźny zwrot ku tym zabójczym dla prawdy chrześcijańskiej dążeniom i w ostatniej przedśmiertnej swej myśli rzucił słowo przestrogi przed zgubnymi ich skutkami.

W. Gostomski.

HEKTOR I ANDROMACHE [1].

Pamięci Ojca poświęca Syn.

Na własne tedy siły bój srogi był zdany
Achajów z Trojanami; zaczem na przemiany
Po równinie wielekroć w tę i w ową stronę
Przewalała się bitwa, gdy włócznie zjeżone,
Spiżem okute, wzajem na się nastawiali
U wód Simejosowych i Xantowej fali.
Więc Ajas Telamonic, Achajów przedmurze,
Pierwszy starł hufy Trojan i nadzieje duże
Rozpromienił w swych druhach, męża powaliwszy,
Który między Trakami był najzapalczywszy:
Akamas, syn Eussorów, mocarz znamienity.
Tego trzasnął w czub hełmu strojny w końskie kity
I w ciemię wbił, aż w czaszkę wrył mu się głęboko
Spiżowy grot. Wraz oczy zaszły mu pomroką.
Aż zasię i Dyomed, słynny gromkim głosem,
Krwawo się z Theuthranidą sprawił Axylosem,
Który mieszkał w Arysbie pięknie zbudowanej;
Możny mieniem i ludziom był umiłowany,
Bo wszystkich gościł siedząc w domu nade drogą,
Lecz nie masz, ktoby odeń śmierć odwrócił srogą,

[1] Tłumaczenie pieśni VI Iliady. Liczby po prawej stronie oznaczają ilość wierszy greckich — po lewej ilość wierszy polskich.

Zasłaniając go sobą. — Z obu wygnał ducha
I zeń i z Kalezyosa razem — jego druha,
Co przy nim był woźnicą i końmi onemi
Powodował. I poszli obaj do podziemi.
Dreza i Ofeltiona odarłszy z pancerzy
Euryal na Aizepa i Pedaza mierzy,
Których z Abarbarei wodnicy źródelnej
Spłodził niegdyś obydwu Bukolion dzielny,
A Bukolion syn był pierworodny w domu
Cnego Laomedona, lecz go pokryjomu
Mać zrodziła; ten trzody pasając baranie
Z boginką się polubił i wszedł z nią w posłanie,
Ta zasię zapłodniona zrodziła bliźnięta.
Teraz im krzepkich członków moc była odjęta
Przez Mekistejdę, który z bark im złupił zbroję.
Zaczem więc Polypojtes wytrwały na boje
Rozciągnął Astyala; więc Perkozejczyka
Pidyta — Odys włócznią spiżową przenika,
Teukros Aretaona potężnego ściera,
Antiloch Nestorowic oszczepem Ablera
Pchnął błyszczącym; wódz ludów Agamemnon sprząta
Elatona z nad bujnych brzegów Satnionta
Z Pedazu; Lejtos dopadł Filaka w pogoni,
Melantios legł ubity z Eurypila dłoni;
Menelaj, gromki głosem, Adresta w niewolę
Żywcem brał, bo go konie poniosły przez pole
I o kierz jałowcowy uwadziwszy z mocą
Koniec dyszla u wozu zgiętego druzgocą,
A same potem cwałem jęły pędzić w stronę
Miasta, gdzie insze gnały rumaki spłoszone.
On sam runął z siedziska i twarzą w kurzawie
Zwalił się podle koła. Tejże chwili prawie
Menelaj Atrejowic włócznią się doń składa,
Więc Adrest za kolana złapał go i gada:
— »Żywcem, synu Atrejów — bierz mnie a wspaniałą

Cenę za mnie otrzymasz. Wzdy bogactw niemało
U rodzica mojego! Ma on składy sute:
Miedź, złoto i żelazo misternie wykute.
Ociec niezmierny okup da ci z tych dostatków,
Gdy się dowie, żem żyw jest u achajskich statków«!
Rzekł i serce mu w piersi ruszył temi słowy
Już go druchowi swemu oddać był gotowy,
By go na chyże nawy pojął niewolnikiem,
Lecz nadbiegł Agamemnon, wołając nań z krzykiem:
— »O miękki Menelaju, zawżdyś łaskaw taki
Na ów naród! Wszak doma cudnie się we znaki
Dali tobie Trojanie! Niechajże nie minie
Zadnego zgon okrutny z naszych rąk! Dziecinie
W żywocie macierzyńskim — tej nawet zagłada!
Co w Ilionie, niech do cna bez litości pada«!
Temi słowy bohater zmienił zamysł brata,
Bo wielką rzecz powiedział. Ow na bok odmiata
Od siebie własną ręką Adresta rycerza,
A władny Agamemnon w żywot go uderza.
Ów padł — a jasionową włócznię weń wepchniętą
Atryda wydarł z niego, pierś mu depcąc piętą.
Nestor zasię Argiwy głośno upomina:
— »Cni rycerze Danajscy, Aresa drużyna!
Niech nikt, ostawszy z tyłu, zdobyczy nie grabi,
By z obłowem sowitym wracał do korabi;
Wrogów bić! Zato później przespiecznie już łupy
Brać będziecie, poległe obdzierając trupy«!
Tak mówiąc krzepił serca i chuć ku bojowi.
Pod razami Argiwów miłych Aresowi
Byliby tył niechybnie podali Trojanie
I na Ilion uciekli, bo strach padł już na nie,
Gdyby przy Ajnejaszu stojąc i Hektorze
Hellen, z wróżów największy, nie był rzekł w tej porze:
— »Ajneju i Hektorze na was ciężar zdany
Największy za Likijski szczep i za Trojany,

Bo rej zawżdy wodzicie, w boju, czy śród rady;
Stańcież więc tu i ludów odżeńcie gromady
Od bram, i w szyk je sprawcie zanim w żon uścisku
Skryją się zbiegi, wrogom swym ku pośmiewisku.
Gdy zagrzejecie wszystkie hufce do wyprawy
My tu w miejscu Danajom odpór damy krwawy,
Boć to mus, acz jesteśmy utrudzeni wielce.
Ty Hektorze do miasta bież, a rodzicielce
Swej zarazem i mojej mów: niech białegłowy
Starki zebrawszy, wiedzie aż na gród zamkowy
W Ateny złotobrewej chram; niechaj otworzy,
Odsunąwszy zasuwę do świątyni bożej
I tę tkanicę, która największa jej zda się
I najśliczniejsza w domu, a jej samej zasię
Najmilsza — pięknowłosej Atenie tę szatę
Niech na kolana kładzie, zaczem jej objatę
Ze dwanastu jałowic niech ślubi w świątyni,
Rocznych i niejarzmionych — jeśli snać uczyni
Miłosierdzie nad miastem i nad niemowlęty
I nad żonami Trojan — od Iliony świętej
Tydejczyca lutego włócznika odżenie,
Siewcę srogich popłochów, którego ja mienię
Najgroźniejszym z Achajów. Nigdy jako żywo
Sam Achil włodarz ludów trwogą tak straszliwą
Nie zdjął nas, acz z bogini urodzony pono —
Jako mówią. Zaiste bo też z rozjuszoną
Zajadłością Diomed rozkiełznał się w szale
I męstwu jego sprostać nikt nie zdoła cale«.
Tak rzekł, a Hektor brata słuchać się nie wzbrania
Na ziemię z wozu skoczył w lot, bez ociągania
W zbroicy i ostremi potrząsając groty
Biegał po całem wojsku i zagrzewał roty
Do bitwy, huczną wrzawę wzniecając bojową.
Zawrócili się tedy i czoło na nowo
Stawiać jęli Danajom. Zatem się Argiwy

Cofnęli, zaniechawszy rzeźby przeraźliwej.
Mówili, że snać z nieba gwiaździstego który
Nieśmiertelnik na pomoc Trojanom zszedł z góry;
Tak się ich wojska wartko nazad obróciły,
A wtem Hektor na Trojan krzyknął z całej siły:
— »Wielkoduszni Trojanie i wy pełni chwały
Sprzymierzeńce! na rozmach zbierzcie się zuchwały,
Przyjaciele! Tymczasem ja na Ilion wpadnę
I czemprędzej nakażę, iżby starce radne
I żony nasze poszły — modlitwy błagalne
Bogom wznieść i ofiary ślubić całopalne«!
To rzekłszy odszedł Hektor, co szyszakiem błyska;
I z góry — aż po grzbiecie, a po kostkach z nizka
Czarne skórzane mu się obrąbienie tłukło,
Okalające krajem paiżę wypukłą.
Wtem Glaukos Hippolochów z Tydejowym synem
Z dwu stron wypadli, mężnym chcąc się zmierzyć czynem.
Gdy pędząc na się, blizko byli już mężowie
Dyomed gromki głosem pierwszy się ozowie:
— «Kto zacz jesteś pomiędzy śmiertelnymi ludy
Wojenniku ogromny? bom cię nigdy wprzódy
Nie widawał w utarczkach na tem polu sławy,
A teraz się przed wszystkich wysadziłeś żwawy!
Siła dufasz o sobie, gdy się sam zażarcie
Pchasz pod mój oszczep długi. Wszak ze mną na starcie
Ojców jeno nieszczęsnych syny się ważyły!
Jeśliś jest z nieśmiertelnych i z nieba przybyły,
To ja bynajmniej walczyć nie myślę z niebiany.
Wzdy Lykurg, syn Dryantów, rycerz zawołany
Zczezł wnet, gdy z niebieskimi bogami wszczął zwadę:
Na stoku Nizy napadł boginek gromadę,
Które karmicielkami miał był rozszalały
Dyonizos. I wszystkie naraz pociskały
O ziem swe laski kwietne, kiedy je ościeniem
Gnał — mordu chciwy Lykurg. Zdjęty przerażeniem

Sam Dyonizos nawet uciekł w morskie tonie
A Tethis wylękłego skryła na swem łonie,
Bo strach go wielki opadł, na męża fukanie.
Natychmiast ano wiecznie żyjący niebianie
Przeciwko niemu gniewem rozjedli się o to;
A syn Kronosa wrychle raził go ślepotą.
Wnet zasię zczezł, wszem bogom znienawidzon srodze,
Więc przeciw szczęsnym bogom ja na bój nie chodzę!
Gdyś ze śmiertelnych, którzy ziemi płody jedzą,
Sam tu, a za śmiertelną wnet się najdziesz miedzą!«
Rzekł mu syn Hippolochów, chadzający w sławie:
— »Tydejdo pyszny, pytasz o ród mój ciekawie?
Jak te liście na drzewach, tak jest ludzkie plemię:
Jedne liście wichura otrząsa na ziemię,
A drzewo jednak znowu insze listki rodzi,
Zieleniąc się, gdy pora wiosenna przychodzi,
Tak rodzi się, a zasię ginie ród człowieczy!
Ciekawyś-li, to-ć powiem, iżbyś znał te rzeczy
Siła-bo inszych ludzi wie o mym rodzaju:
Leży miasto Efie w samem wnętrzu kraju
Argos, kędy rumaków pasają się stada.
Tam żył Syzyf, nad wszystkich przebieglec nielada,
Syzyf syn Ajolosów; Glauka spłodził zasię,
A Glauk Bellerofonta onego, co żył w krasie
I w krzepkości dorodnej, bo to miał w udziele
Od bogów. Przeciw niemu Projtos knuł fortele,
Aż go się z kraju pozbył, jako, iż o wiele
Nad inszymi Argiwy górował w przewadze,
Zeus bowiem berłu jego zdał onych pod władzę.
Żona Projtosa, cudna Anteja — oskomie
Uległa, chcąc w miłości spółek mieć kryjomie
Z Bellerofontem. Cnotę nosząc jednak w duchu,
Roztropny Bellerofon nie dał jej posłuchu,
Więc przed królem Projtosem kłamie, rozżalona:
— »Sam zgiń Projtosie, albo zgładź Bellerofona,

Który spółku w miłości chciał przemocą po mnie«.
Rzekła; władcę, gdy słyszał, złość zdjęła ogromnie,
Lecz go zabijać niechał: czyn go w duszy taki
Przerażał — jeno słał go do Lykyi, a znaki
Dał mu, zagłady jego żądające, mnogie,
Na składanej deszczułce wyryte, złowrogie
I teściowi deszczułkę oddać kazał oną,
By go zabił. On jednak pod możną ochroną
Bogów, przybył do Lykyi, nad Xantu wybrzeże.
Władca szerokiej Lykyi ugościł go szczerze
Dziewięć dni uczt — i wołów dziewięć dał w ofierze.
Dziesiąta jutrznia palce rozwarła różane
Gdy pytał, znaki sobie chcąc mieć ukazane,
Co mu były od zięcia Projtosa przywoźne.
Skoro tedy obejrzał znaki zięcia groźne,
Naprzód mu kazał przeciw okropnej Chimerze
Walczyć na śmierć; ta rodzaj swój od bogów bierze,
A nie z ludzkiego rodu: jak lew była z przodku,
Zaś jako smok pozadu — a koza pośrodku,
A rozjuszona złością, ogień ziała srogi.
Ubił ją, dufny radom zesłanym przez bogi.
Zaczem strasznych Solimów gromić mu wypadło,
Co zwał swą walką z ludźmi najbardziej zajadłą;
A po trzecie zwyciężył Amazonki lute.
Gdy wracał ów nań sidła nowe miał uknute:
Najtęższe w Lykyi męże wybrawszy — ukrywa
W zasadzce; lecz z nich noga nie wróciła żywa
Do domu, bo ich wszystkich stłukł próżen przygany
Bellerofon. Ujźrawszy, iż niepokonany
Mocarnik jest z onego, król w nim boskie plemię
Uznał — i już go puścić nie chciał ze swej ziemie.
Dziewkę swą dał mu w stadło, w równej połowicy
Zdał nań godność królewską, a wraz Lykejczycy
Ziem swych poczestny jemu wydzielili kawał,
Pięknych sadów i uli, by z nimi zostawał.

Więc Bellerofonowi chciwemu na boje
Małżonka potem dziatek porodziła troje:
Izandra, Hippolocha i Laodameję.
Laodamię Zeus przywiódł, iż zaszła w nadzieję,
Z niej jest boski Sarpedon, spiżem opancerzon.
Lecz w końcu Bellerofon, wszem bogom omierzon
W alejskiej równi obrał samotność tułaczą,
Ludzkich ścieżek unikał i w sercu rozpaczą
Zarł się, bo mu Izandra syna — Ares dziki
Starł w bitwie, gdy wojował harde Solimczyki.
A córkę mu zabiła rozgniewana srodze
Artemida, co w ręku złote dzierży wodze;
Mnie zaś Hippoloch spłodził, odeń się wywodzę.
On mnie wysłał pod Troję mocno przykazawszy,
Bym zawżdy biegł na czele, z wszystkich był najżwawszy
I ojców pokolenia nie shańbił zakałą,
Co wiedli rej w Efirze i nad Lykyą całą;
Krwią być z ich krwi się szczycę i kością z ich kości«.
Tak rzekł. Dyomed gromki stał pełen radości;
Więc w ziemię wielożywną zaraz włócznię wraża
I słodką mową rzecze do ludów włodarza:
— »Owoś mi z dawien dawna po dziadach pobratym,
Bowiem boski Ojneus w domu swym bogatym
Gościł Bellerofonta, męża bez przywary,
Dni dwadzieścia i godne dali sobie dary:
Ojnej dał pas, co barwą purpury migota,
A Bellerofon czarę dwoistą ze złota;
Doma ją zostawiłem wyruszając w pole.
Ja Tydeja nie pomnę, bom drobne pacholę
Ostał, w czasie achajskiej koło Teb zaguby.
Otom ci pośród Argos twój pobratym luby
Tyś w Lykyi mój, gdy tamte nawiedziłbym szczepy.
W wirze walk przeciw sobie hamujmy oszczepy,
Wszak Trojan mam i sławnych przymierzeńców mnogo
— Gdy bóg da i dopędzę — jest jeszcze bić kogo!

I ty masz dość Achajów, ile-ć starczy dłoni.
Zmienimy wzajem paiże, ażeby i oni
Wiedzieli, jako wielce z tego się szczycimy,
Ześmy sobie po dziadach dawne pobratymy!«
To rzekłszy, obaj z wozów zeskakują raźni
I ręce sobie dają, ślubiąc trwać w przyjaźni.
Zeus Kronida Glaukowi odjął rozeznanie
Gdy za Tydeja puklerz dawał swój w zamianie:
Dał złoty za spiżowy, wart sto wołów pono
Za taki, który ledwo na dziewięć ceniono. —

(Dok. nast.).

Lucyan Rydel.

NOWY KOMENTARZ DO CHARAKTERYSTYKI HOŁOWIŃSKIEGO.

W ostatnim numerze gwiazdkowym jedno z naszych pism umieściło pracę ks. d-ra J. Fijałka, ciekawą dla badaczy dziejów Kościoła w państwie rosyjskiem, bo rzuca nowe światło na osobę arcybiskupa Hołowińskiego, pomawianego o obłudę i dwulicowy wallenrodyzm.

Pracę swoją wypełnił b. rektor wszechnicy lwowskiej uwagami, w których ze znawstwem rzeczy, jak zawsze, wyjaśnia czytelnikom stan sprawy i drogę, którą do społeczeństwa doszedł ów wyrok, rzucony bez sądu na arcybiskupa.

Wywód cały opiera ksiądz Fijałek na ustępie z obszernych zapisek księdza Owsianego, dostatecznym, aby czytelnikom dać miarę, ile ciekawych szczegółów mieści w sobie część zapisek pozostała w rękopisie.

Otóż dla czytelników *Przeglądu* nieboszczyk był użyczył przed kilku latami całego rękopisu i do niego dodał ustnie wiele szczegółów o stosunkach, z którymi był obeznany, jako naoczny świadek czynów arcyb. Hołowińskiego i powiernik jego zamiarów, jako katecheta, proboszcz, dziekan i *defensor matrimonii* w konsystorzu. Z tych zapisek i ustnych uwag powstała niniejsza wiązanka szczegółów, która choćby nie rozstrzygała sama sprawy spornej, wprowadza przecie przed sąd dziejowy wiarogodnego świadka, aby zeznał w obronie arcybiskupa, co następuje.

I. Obór na rektora Akademii.

Dlaczego powierzono ster petersburskiej Akademii duchownej w ręce tak godne, jak księdza Hołowińskiego? Czyżby władza świecka pragnęła, żeby Kościół dostawał z Akademii gorliwych i światłych kapłanów, właśnie takich, jakich umiał wychowywać ksiądz Hołowiński? Czy państwo innych księży pragnęło i doznało zawodu na widok wychowańców Akademii?

Zwierzchnicy państwa wpadli we własne sidła! — odpowiada głos dość rozpowszechniony. Zwolennicy tego poglądu nie mniemają, żeby wojnę z Kościołem można toczyć w sposób dorywczy, mało obmyślany, żeby można wstrzymywać kroki prześladowcze albo nawet cofać w tył, żeby można przerywać walkę czy to z czystej polityki, czy z braku środków albo niedołęstwa, czy z pobudek może szlachetnych. Więc nie wierzą, żeby minister, kiedy wzywał Hołowińskiego na rektora, oczekiwał po nim tego, co w nim znalazł... Musiał, przypuszczają, pokładać inne nadzieje na swoim wybrańcu... musiały pojęcia, godne Wallenroda, kłaść Hołowińskiemu na usta wyrazy dwuznaczne, nim dosiągł stanowiska, na którem zniweczył nadzieje przeciwników Kościoła.

Tym, co tak mniemają, muszę przyznać, że ks. Hołowiński na katedrze religii w uniwersytecie kijowskim, jak trzymał się ściśle nauki katolickiej i starał się zawsze szczepić w młodych sercach miłość dla Kościoła, tak trzymał się na uboczu w duchowieństwie, z patryotami nie łączył się, przeciwnie: wygłaszał cześć swą publicznie dla monarchy i przy każdej sposobności śmiało przypominał młodzieży obowiązki względem rządu. Prawdą to jest, ale jeszcze nie dowodzi samo przez się dwulicowości i machiawelstwa: w męczeńskich dziejach Kościoła widzimy obowiązki poddanych wiernie spełniane względem władzy; męczennicy szli tą drogą; wyznawali wyraźnemi słowami, że władzę szanują. Słowa podobne na ustach ks. Hołowińskiego stać mogły, jako dowód charakteru prawego i mocnego, co miał odwagę wypowiedzieć swoje przekonanie, choć wiedział, że nie przypada do smaku ogółowi. Żywił istotnie tę miłość dla skarbów naszych, jaką w nim później odczuli wszyscy; ale do śmierci nie uwierzył, żeby zbrojny

ruch odkrywał przed nami jakiebądź lepsze widoki; w tym względzie nic nie ukrywał a otwarcie wyznawał zasady, do których stosował postępki, nie rozminąwszy się ani razu z honorem, godnością i sumieniem.

Kapłan przejęty takiemi zasadami musiał zwrócić na siebie uwagę ówczesnego generał-gubernatora, Bibikowa, i mógł bez żadnych wysiłków, bez myśli nawet o niczem, zasłużyć na jego szacunek. Bibikow był żołnierzem, i mimo zakroju despotycznego, prawie dzikiego, umiał ocenić ludzi wyższego umysłu i charakteru. Na dowód wystarczy wspomnieć o proboszczu kijowskim, ks. prałacie Brynku, wysoko poważanym u Bibikowa, choć był rodzonym bratem wygnanki za sprawę Konarskiego. Całą duszą był katolikiem i polakiem, i okazywał to często w sposób śmiały, i nawet po żołniersku bez ogródek, a przez to podobał się Bibikowowi. Wolno więc było księdzu Brynkowi pozwolić sobie na taką zapowiedź z ambony, kiedy nakazane było nabożeństwo żałobne za nieboszczkę z dynastycznej rodziny: »ponieważ Kościół nasz nie modli się za nienależących do niego, więc Msza św. odprawi się za dusze wszystkich zmarłych«. Zgorszona policya zaraz doniosła o takim wybryku Bibikowowi; po kogo innego zaraz zajechałaby w owych czasach kibitka do drogi za Ural: ks. Brynk nie usłyszał ani słowa wymówki.

Ks. Hołowiński nie żołnierską postawą i mową ujął sobie Bibikowa, bo tych danych nie posiadał, ale przeciwnie miał inne przymioty, które zwracały na niego oczy: przybył do Kijowa młodzieńcem, bo nie miał 20 lat wieku, ze sławą poety i uczonego, nadzwyczaj przystojny [1], pełen miłej prostoty w ruchach i wytwornym układzie, a przystępny i ujmujący tak, że niejeden od pierwszego spojrzenia czuł się do niego pociągniętym. To też i wielkorządca Ukrainy zwrócił oko na księdza Hołowińskiego, zapraszał go na obiady i herbaty, a jako kurator uniwersytetu lubił przychodzić na jego wykłady, gdzie na ławce ze studentami przesie-

[1] Na portrecie dołączonym do »Pielgrzymki«, odbitym u Wolfa w Petersburgu, a udatnym jak rzadko, wygląda wiernie i żywo tak, jakby wykładał na katedrze.

dział czasem godzinę, choć może nie wszystko rozumiał z wykładu, mianego oczywiście w polskim języku. Czy wtedy już powziął jakie zamiary względem niego? Łatwo przypuścić jakieś zamiary, ale żadnego powodu rzeczywistego nikt nie wskaże, dlaczegoby Bibików miał w księdzu Hołowińskim odgadywać powolne narzędzie w swoich jakichś zamiarach złych. Nie odgadł w nim pewno nic, co tworzy z poddanego powolne narzędzie w ręku zwierzchnika, jak np. wygórowana ambicya, chciwość i inne żądze przewrotne: nic podobnego nie okazał po sobie ksiądz Hołowiński nigdy, ani nikt tego nie umiałby o nim dowieść. Rzeczywiste przymioty kapłana godnego, a spragnionego służyć Kościołowi w zgodzie z państwem, mogły bez żadnych innych pobudek skłonić Bibikowa do przychylnych dla niego zamiarów, a uczciwych, chociaż dla rządu korzystnych; takie zamiary w samej rzeczy wkrótce dojrzały.

Nastąpił właśnie wypadek, który dostarczył później wątku do domysłu, jakoby Bibikow zawiadomił Mikołaja 1-go o narzędziu odkrytem w osobie Hołowińskiego, a Mikołaj rzekomo polecił Błudowowi, aby go niezwłocznie zamianował rektorem świeżo przeniesionej Akademii do Petersburga[1]. Domysł ten zawiera najprzód drobne przeciwieństwo między szczegółami zestawionemi ze sobą, a powtóre przedstawia główną sprawę zupełnie opacznie.

Błudow, główny działacz przy Siemaszce, ustąpił z posady ministra spraw wewnętrznych stanowczo przed rokiem 1842, nim jeszcze Mikołaj 1-y przeniósł Akademię z Wilna, więc nim myślał mianować jej rektorem ks. Hołowińskiego. Wtenczas już Błudow uwieńczony wawrzynami za udział w zwycięstwach Siemaszki, zasiadł na odpoczynek w Radzie Państwa, gdzie nie miał żadnego wpływu na sprawy kościelne; raz tylko został przy nich użyty, mianowicie w r. 1848-m, kiedy podpisał w Rzymie konkordat. Po nim tekę odziedziczył w 1841-m roku Lew później hrabia Perowskij.

Drobna ta pomyłka w przytoczonem dziele nie wiele jeszcze

[1] Por. »Pamiętnik Arcyb. Felińskiego« str. 12.

szkodzi, ale opis całej sprawy zupełnie przekręca z prawdą. Gdy władca postanowił Akademię przenieść do stolicy, chciał naprzód wyszukać odpowiedniego rektora dla niej, i w tej myśli minister Perowskij (nie Błudow), jako przedstawiciel władzy w zakresie spraw wyznań obcych, wysłał odezwę do jenerał-gubernatorów wileńskiego, witebskiego i kijowskiego z pytaniem, czy znają i mają w swoich prowincyach kapłana katolickiego, któryby posiadał te warunki: wyższe wykształcenie, naukę, dobrą sławę pod względem obyczajów, wypróbowaną wierność dla tronu i państwa, powagę między swoimi, ale któryby nie był fanatykiem w przekonaniach religijnych. Kogo wskazali dwaj pierwsi jenerał-gubernatorzy, — nie wiem; Bibikow przedstawił księdza Hołowińskiego, którego zaraz wezwano do Petersburga, aby módz poznać go i zbadać osobiście, a w danym razie z nim ułożyć plan prowadzenia zakładu.

W owe czasy, gdy nie było dróg żelaznych, najkrótsza droga z Kijowa i Wołynia do Petersburga prowadziła na Mohylew. Otóż obywatelstwo dowiedziawszy się, że Hołowiński, znany już dobrze i sympatyczny ogółowi z »Pielgrzymki do Ziemi św.«, ma przejeżdżać przez miasto, życzyło poznać go osobiście i w tym celu zaprosić do przedstawiciela swego, gubernialnego marszałka (Hołyńskiego czy Sołtana nie pamiętam), na odpoczynek po drodze. Stało się według życzenia. Hołowiński opowiadał, że został wezwany do Petersburga listem ministra, ale nie wie po co, bo z listu poznaje tylko ogólnikowo, że ma zabrać głos o niektórych sprawach i stosunkach Kościoła Powszechnego, — domyśla się tylko ze słów Bibikowa, że mają mu ofiarować rektorstwo Akademii, którą zamierzają przenieść z Wilna do Petersburga. Obowiązawszy się słowem, że z powrotem odwiedzi marszałka, dotrzymał obietnicy. Wtenczas witany już w progu jako rektor Akademii, przerwał powinszowania spokojnym głosem człowieka, który żadnych nadziei nie tuszył, więc nie doznał zawodu w niczem, ale jak zawsze wesoły i pogodny opowiadał, że jeszcze tego zaszczytu nie dostąpił, a czy kiedy dostąpi? nie wie. Wyjaśniał, że narady miały miejsce i urzędownie i prywatnie tak u ministra, jak u dyrektora departamentu wyznań, Waleryana Skrypicyna, u których

kolejno bywał proszony na herbatę. Następnie dodał: »Wiele moich wymagań co do urządzenia Akademii przyjęto, na niektóre szczegóły zaprowadzone już w Wilnie musiałem przystać w nadziei, że gdybym został rektorem, stopniowobym usuwał. Ale minister w odezwie nie chciał fanatyka, zapewne poznawszy mię, zaliczył do krańcowych i będzie chciał wyszukać rektora o liberalniejszych zasadach, bo dalsze zaprosiny ustały, przysłano mi pieniądze na powrót do Kijowa z życzeniem szczęśliwej podróży, i nic więcej«. Gdy towarzystwo nieco zaniepokojone pytało, czy nikt nie zamierza jakiego zamachu na nas, — stanowczo zapewnił, że w przewodnich warstwach nic nie czuć groźnego, i że dłuższy czas zetknięty z temi warstwami, nic nie dostrzegł, coby zapowiadało burzę. Po upływie kilku miesięcy dostał reskrypt ministra tej treści: »Najjaśniejszy Pan mianował Pana rektorem Akademii przeniesionej z Wilna do Petersburga i pokładając w Panu zaufanie stawia dwa warunki, które masz spełnić: wychować młodzież duchowną w mocnych zasadach Wiary katolickiej i niewzruszonej wierności dla tronu i państwa«. Nowo mianowany tedy rektor po drodze do stolicy znowu odwiedził w Mohylowie marszałka, któremu dał przeczytać powyższy reskrypt.

Na tem to tle wyrosła owa pogłoska, jakoby Bibikow, widząc, że Hołowiński ubiega się o jego łaski, odgadywał w nim ogromną ambicyę, a sądząc pospolitą miarą był pewny, że dla wyniesienia się gotów będzie ponieść w ofierze państwu wszystkie swe zasoby moralne i umysłowe... zawiadomił ministra o odkrytem narzędziu i t. d. Zatem wniosek, że od tej chwili rozpoczyna się owa zagadkowa działalność Hołowińskiego, co przez długie lata czyniła zeń tajemniczego sfinksa. Przedstawiciele władzy jakoby byli pewni, że znaleźli w nim upragnionego człowieka, który im dopomoże zadać cios ostateczny Kościołowi. Tak opiewa legenda, wysnuta z prawdziwego wypadku, ale upoetyzowana, — i dalej twierdzi, że ogromna większość duchowieństwa, zwłaszcza w obozie patryotów podzielała pogląd urzędowy na Hołowińskiego, jakoby na pomocnika gotowego zgubić Kościół.

Co do złudzeń ministra, zdaje się, że właściwy przebieg sprawy i reskrypt ministra samego dostatecznie wykazują brak

podstaw do takiego wniosku. Co do głosu duchowieństwa, trzeba na te wypadki zwrócić oczy, które w ogromnej większości duchowieństwa musiały wyrobić zdanie o duchu, w jakim nowy rektor Akademii pracował w pierwszych latach swojego urzędu.

II. Pierwsze lata rektorstwa.

Czy mógł ks. Hołowiński przez długie lata wyglądać na zdrajcę, gotowego zadać ostateczny cios Kościołowi? Czy ogromna większość duchowieństwa podzielała ten pogląd? Stanowczo chyba ten może to twierdzić, kto w owych latach podróżował daleko poza krajem, i dopiero później słyszał o wypadkach w rozmowie z osobami zacnemi pewno i pobożnemi, ale łatwowiernemi. Ponieważ ogólnem było uwielbienie dla ks. Hołowińskiego nawet u mężczyzn, samo się przez się rozumie, że tem bardziej u płci pobożnej rosła ta cześć do najwyższych rozmiarów. I za życia Hołowińskiego i po śmierci jego musiałem nieraz staczać walki z łatwowiernemi wielbicielkami, które opowiadały wprost dziwolągi, możebne chyba na księżycu, a wszystko w najlepszej wierze i w najpoczciwszych zamiarach, aby podnieść wyżej tę postać pełną uroku, i nie zostać za nikim w tyle przez objawy czci i miłości.

Kto w pierwszych latach rektoratu Hołowińskiego przebywał w kraju, a nie zagranicą, kto w czasie peryodu owych kroków zagadkowych, z duchowieństwem sam się stykał, owszem, sam odbył wówczas studya w Akademii, ten potwierdzi, że od pierwszej chwili kierownictwa, Hołowiński dla nas, wówczas jeszcze młodzieży, nie był sfinksem: jeśliby zatem nawet byli w kraju wątpiący, to nasi towarzysze, świadkowie pierwszej działalności prawdziwego sługi Bożego, musieliby po wyjeździe z Akademii na pracę parafialną, zaraz z zapałem stanąć w jego obronie, umieliby zaraz rozwiać i rozproszyć ogólne podejrzenie, więc zagadkowość nie trwałaby długie lata.

A czego nie sprawiłoby zaraz słowo, prędko dokazałyby wymowne objawy ducha, w jakim Hołowiński wychowywał młodych kapłanów. Po owocach poznajemy pień i drzewo. Jeśli co-

rocznie wracali do wszystkich dyecezyi w cesarstwie po skończonej teologii wychowańcy Zakładu, a duchowieństwo i świeccy widzieli w nich kapłanów gorliwych, mocnych zasad katolickich i bez wyjątku pełnych miłości dla skarbów naszych, mogłoż duchowieństwo i ogół świecki podzielać zdanie o zagadkowości człowieka, gotowego zniszczyć Kościół, kiedy ten człowiek wychował i przysłał do pracy ludzi umocnionych w duchu katolickim?

Niedługo trzeba było czekać, żeby wychowańcy Akademii złożyli dowód nieugiętych zasad katolickich. W Moskwie zaszedł wypadek niemożebny w razie, gdyby Hołowiński przysposabiał młodzież do odstępstwa od wiary. W czwartym roku jego rektoratu, dwaj młodzi kapłani, byli uczniowie Akademii, wikaryusze przy kościele SŚ. Piotra i Pawła, odmówili baronowi Bode, który krewniaczkę swoją wydawał za dyzunitę, czytania zapowiedzi i wydania świadectwa. Zaskarżeni do ministra, natychmiast z Moskwy wyprawieni zostali do Inflant pod ścisły dozór proboszczów: ks. Felicyan Horbaczewski do Fedman, ks. Daniel Rymkiewicz do Warklan. Powstała wielka burza: minister i Skrypicyn oskarżali Hołowińskiego o fanatyczne kierownictwo i zamierzali to wyżej przedstawić, ale udało się rektorowi uciszyć burzę, gdy ks. Borowski, profesor prawa kanonicznego wygotował traktat *de impedimentis matrimonii* z dołączeniem paragrafów cywilnego prawa rosyjskiego i ten litografowany rozdano klerykom [1].

Minister i Skrypicyn uznali, że zachowanie praw kościelnych, zgodnie z ustawą państwową, nie stanowi fanatyzmu i powrócili

[1] Wzmianka o Moskwie zdziwi niezawodnie każdego, kto nie wie, że stara ta stolica posiada od początku przeszłego stulecia dwa kościoły katolickie; jeden wyłącznie dla francuzów, pod wezwaniem św. Ludwika, ma do 3000 parafian, a obsługują go księża stale przysyłani z Francyi. Drugi Kościół służy parafii niemiecko-polskiej, a liczy dusz dziś około 20.000; dawniej dla tej parafii służył niewielki kościółek św. Emilii, a do posługi parafialnej miał księży bernardynów, których ostatnim gwardyanem był ks. Telesfor Grzegorzewski. W czwartem dziesięcioleciu przeszłego wieku stanął w środku stolicy obszerny i okazały kościół pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, przy którym posługę parafialną pełni czterech księży świeckich; prócz nich mieszka tam katecheta zakładów naukowych i kapelan wojskowy.

do dawnych stosunków z rektorem. Gdzież tedy podstawa do sądu, że od chwili objęcia rektoratu ks. Hołowiński zaczął swoją działalność zagadkową? Przeciwnie, od przybycia do Petersburga i ustalenia swojego stanowiska wnet nowy rektor zaczął jawnie, otwarcie i wyraźnie dążyć do zmiany *status quo* w kraju, w dziedzinie kościelnej na korzyść katolickiego narodu. Pozyskał najprzód wielkie względy u cesarza Mikołaja 1-go i podbił całkiem ministra Perowskiego. Sam cesarz okazywał się w samej rzeczy zajętym postacią tak niezwykle uposażoną, bo przybyłych do Petersburga wyższych dostojników swoich albo zagranicznych posłów wyprawiał do Akademii, kiedy nią rządził ks. Hołowiński, aby poznali tę wybitną osobistość, oglądali zakład bogato urządzony i wielbili monarchę, jako wspaniałomyślnego i życzliwego obcym wyznaniom. Pod urokiem tej postaci pozostawał także minister Perowski; ledwo w Petersburgu poznał księdza Hołowińskiego, dość często pod wieczór przyjeżdżał po niego do Akademii, zabierał do karety na przejażdżkę za miasto, a potem gościł u siebie.

Oczywiście Perowski w tych stosunkach nie upatrywał dla siebie przeszkody do urzędowych kroków, przykrych Hołowińskiemu; ale mąż stanu *to drugoje dieło* niż przyjaciel.

Tak też Hołowiński nawiązał, dzięki osobistym przymiotom, przyjacielskie stosunki ze Skrypicynem, aby ten, jako dyrektor departamentu wyznań, pośredniczył między nim a ministrem i ułatwiał przeprowadzenie planów.

Przyjaźń dyrektora dla rektora, a później metropolity, mimo przejściowych dąsów Skrypicyna, przetrwała wiernie wszelkie kolce i zwykłe koleje życia: dopiero śmierć ks. Hołowińskiego ją rozerwała. Skrypicyn należał nie tylko do najbliższego grona rektorskiego, ale jakoby do jego domowników i tak zwanych parafian. Nazwa ta powstała stąd, że kaplica zakładowa, obszerna, o trzech ołtarzach, zbierała w każdy dzień święty doborowe towarzystwo na nabożeństwo, sumę z asystą i kazaniem, odprawiane przez alumnów po kolei. Stali uczestnicy tego nabożeństwa stanowili »parafijkę« Akademii, do której należeli: znany w literaturze hr. Henryk Rzewuski, autor »Soplicy« i innych utworów,

zamieszkały w dwu pokoikach tuż przy sypialni rektorskiej, — minister dla Królestwa Polskiego Turkułł, redaktor *Tygodnika Petersburskiego*, i sekretarz stanu dla spraw Królestwa Przecławski, pułkownik Sztyrmer, literat, powieściopisarz, i profesor wyższego zakładu wojskowego — jenerał Kierbedź, budowniczy wspaniałego mostu na Newie, i nakoniec Skrypicyn. Oprócz tych stałych, zapraszał rektor wszystkich przybyłych z Litwy czy Rusi, którzy złożyli mu wizytę. »Parafianie« wymienieni, odznaczali się w wysokim stopniu przykładnem zachowaniem się i gorliwością w pełnieniu obowiązków religijnych, a Skrypicyn nie ustąpił w niczem nikomu. Równie jak wszyscy, uczęszczał gorliwie na Mszę, pierwszy żegnał się na Aspersyę i błogosławieństwo ostatnie, pierwszy wstawał na Ewangelię, pierwszy klękał na podniesienie i uważnie słuchał kazań. Po nabożeństwie wszyscy parafianie zawracali do gościnnego proboszcza-rektora, gdzie po obiedzie spędzali cały wieczór na biesiadzie towarzysko-literackiej, przeciąganej nawet późno do 10-ej godziny.

Przyjacielskie stosunki rzekomo niebawem zostały zerwane, a to z następującego powodu.

Po śmierci metropolity prawosławnego, Skrypicyn przyjechał do Hołowińskiego wzywając go, aby z alumnami i profesorami Akademii udał się do cerkwi, gdzie wystawiono zwłoki nieboszczyka, i tym postępkiem uczcił zmarłego, a zarazem okazał, że między katolickiem a prawosławnem duchowieństwem najlepsza panuje harmonia. Hołowiński nie odmówił wręcz, tylko przypomniał Skrypicynowi, że jako rektor Akademii ma zwierzchnika w metropolicie i bez jego zgody nie może rozporządzać ważniejszym krokiem alumnów: zatem poradził, żeby Skrypicyn przedłożył swoją myśl metropolicie Dmóchowskiemu i jego nakłonił aby na czele Kolegium, Akademii i całego duchowieństwa katolickiego nawiedził nieboszczyka. Dobroduszny dyrektor nie spostrzegł pułapki i wpadł w nią: przedstawił pomysł metropolicie, ale starzec tak się rozgniewał, że za taki wniosek drzwi pokazał, a zmieszany Skrypicyn wrócił do Akademii wywodzić żale na niegrzecznego metropolitę.

Odbywałem studya akademickie w Petersburgu od r. 1847-go

do lipca 1851 r., zatem w okresie arcybiskupich rządów metropolity Dmochowskiego, które trwały od grudnia 1848 do stycznia 1851 r., — bawiłem w stolicy i stanowczo twierdzę, odwołując się do wszystkich współczesnych, że w Akademii i w mieście nawet mowy nie było o podobnej propozycyi i być nie mogło, jak wykazują same daty, zaraz poniżej zestawione, i nikt nie słyszał, aby z tego powodu wywiązało się zajście między Skrypicynem a ks. metropolitą Dmochowskim.

Obecnie dowiadując się dopiero po raz pierwszy o owej legendzie, nie chciałem nawet zawierzyć własnej pamięci, więc przez znajomych, z samego źródła archiwalnego wyciągnąłem daty, które świadczą, że:

Petersburski prawosławny metropolita Antoni (Rafalski) mianowany 17-go st. 1843, dla słabości zdrowia uwolniony od zarządu metropolią i przeniesiony w stan spoczynku ukazem 4 (16) list. 1848 r. umarł w kilkanaście dni potem, 16 (28) list. O jego zgonie w Akademii ani słyszano, ani mówiono; sam o dniu jego śmierci nie wiedziałem i dopiero z przysłanego mi odpisu ze źródeł archiwalnych mogę dokładnie podać ten dzień.

Następca jego Nikanor (Klementjewskij) mianowany 4 (16) list. 1848, umarł 17 (29) wrz. 1856-go r.

Arcybiskup Dmochowski włożył pallium 28 list. (10 gr.) 1848 r., umarł 11 (23) st. 1851.

Hołowiński wyświęcony na biskupa *coadi. cum fut. succes.* 12 (24) gr. 1848, umarł 7 (19) paźd. 1855-go r. Wcześnie przed konsekracyą swoją na biskupa rozpoczął rekolekcye, aby skończyć je na dzień 24 list. (6 gr.), i módz już swobodnie przyjmować gości, — biskupów z Królestwa, Fiałkowskiego i Goldmanna, — którzy tego dnia zjechali na uroczystość włożenia palliusza Dmochowskiemu. Zatem na dzień czy dwa dni przed zgonem metropolity Rafalskiego rozpoczął rekollekcye, zdawszy na ten czas rządy Akademii inspektorowi ks. Lipskiemu, przez ośm dni nie widziany przez nikogo dosłownie, bo nie tylko nikogo nie przypuszczał do siebie, ale polecił służbie, aby bez względu na jakąkolwiek rangę wszystkich odprawiała. Zatem nie widział Skrypicyna i nie słyszał wzmianki o udziale w pogrzebie Rafalskiego. Słowem po-

wyższe daty dowodzą, że za metropolity Dmochowskiego żaden metropolita prawosławny nie umarł, bo Antoni umarł przed nim, i przed nim nastąpił Nikanor, o miesiąc wcześniej mianowany, który przeżył i arcybiskupa Dmóchowskiego i arcybiskupa Hołowińskiego o cały rok: cała tkanka dyalogu między Skrypicynem, Dmóchowskim i Hołowińskim wisi w powietrzu.

Zaszedł wprawdzie inny wypadek, w którym Skrypicyn oburzył arcybiskupa swoją propozycyą, ale i ten drugi wypadek inaczej wygląda, niż opiewa legenda.

W samej rzeczy w lipcu 1850 r. rząd umyślił pościągać zakonników skąpo uposażonych, (bo mieli rocznie po 40 rubli na osobę,) do dwóch czy trzech klasztorów, które lepiej zaopatrzone w grunta, mogłyby utrzymać ich dostatniej; pozostałych 18 klasztorów zamyślił rząd zamknąć. Skrypicyn ze swego stanowiska dowodził, że taka samouprawa rządu nie skrzywdzi katolików, ponieważ kościoły klasztorne obrócone byłyby na parafialne. A jak zwykle rządy trzymają się zasady, aby co może na nie ściągnąć *odium,* wykonane było cudzemi rękami, tak teraz Skrypicyn z głową nabitą owym poglądem, kilkakrotnie usiłował do tej myśli nakłonić księdza Hołowińskiego, uważanego już za faktycznego zarządcę metropolii i kierownika kollegium: przez niego rząd zamierzał uzyskać na metropolicie Dmochowskim przyznanie owych klasztorów za niepotrzebne. Choć Hołowiński nie chciał o tem słyszeć, jednak Skrypicyn także nie chciał dać za wygranę, więc obmyślił wprost samego metropolitę dla owej myśli złapać na wędkę, którą uważał za ponętną dla starca. Mianowicie metropolita, przy wizycie kanonicznej w 1849-m r., znalazł archikatedrę swoją w stanie najopłakańszym, zamyślił tedy odnowić ją i podźwignąć prawie z upadku, na co wedle kosztorysu potrzebował 60.000 rubli, i podał do ministra prośbę o tę sumę, której nie mógł otrzymać bez osobistego podpisu monarchy. Otóż sprawa czekała stosownej chwili, aby ją podać Mikołajowi I, a Skrypicyn niebacznie wyjechał z propozycyą, że postara się o najrychlejszy podpis cesarski na owych 60.000 rubli, jeżeli nawzajem metropolita po myśli rządu uzna owe klasztory za niepotrzebne. Oburzony starzec odmówił, a Skrypicyn sam spostrzegł krok swój

bardzo źle obmyślany, przepraszał, że nie chciał i nie myślał ubliżyć, i grzecznie pożegnawszy metropolitę wyniósł się, ale przed nikim skarg nie wytaczał. Na drugi dzień wiedziała już Akademia od samego metropolity o ciekawej rozmowie; śmiała się młodzież i starszyzna z porażki, poniesionej przez dyplomacyę Skrypicyna, i na tem skończyła się sprawa.

Ale pamięć po niej znowu uległa metamorfozie i przybrała po latach postać następną [1]:

Rzekoma chwila stanowczej próby miała nastąpić dla ks. Hołowińskiego, kiedy Skrypicyn jakoby przypuszczał, że Hołowiński jasno już widzi, że tylko na rządowym wózku można dojechać tam, gdzie pędzi ambicya... przybył do niego w konfidencyonalnej niby misyi, i zaproponował mu w imieniu cesarza, że otrzyma niezwłocznie 60.000 rubli na odpowiednie urządzenie się, jeżeli poda rządowi spis księży katolickich, gotowych przyjąć prawosławie. Nie wątpił, że Hołowiński umieści na czele własne nazwisko, a następnie swoich najbliższych przyjaciół. Lecz cóż za bolesny był zawód dla niego, gdy Hołowiński rzekł sucho groźnym głosem: pamiętaj, że byłem pierwej szlachcicem, niż księdzem, a wiesz, czego masz czekać od szlachcica za podobną obelgę. Była to stanowcza i ostatnia próba. Wróciwszy zmieszany do ministra, Skrypicyn powiedział tylko: oszukał nas Hołowiński.

Tak opowiada legenda.

Zle postąpiłby Skrypicyn, gdyby namawiał Hołowińskiego do potwornej zdrady; ale dziwnie postąpiłby Hołowiński, gdyby wszelkich stosunków towarzyskich z kusicielem nie zerwał od tej chwili na zawsze. Tymczasem zaś świadczą wszyscy w owym czasie obecni alumni, że dawniejsza zażyłość po dniu rzekomej namowy nie uległa żadnej zmianie aż do śmierci Hołowińskiego. Każdy z nas świadków naocznych widywał Skrypicyna po dawnemu częstym gościem u Hołowińskiego. Czegoż jeszcze czekać mógł Skrypicyn po tym, o którym już miał powiedzieć, że oszukał rząd? Czegoż jeszcze wyglądał po jego śmierci, kiedy ze łzami w oczach niósł na barkach jego zwłoki na karawan, z ka-

[1] Por. »Pamięt. ks. arcyb. Fel.« str. 25.

rawanu do kościoła, z kościoła na cmentarz? I nie tylko przed osobistymi przyjaciółmi, ale przed urzędowymi dostojnikami nazywał Hołowińskiego: »mój druh«. O obelżywej pokusie do apostazyi nikt nic nie wiedział, nikt nigdy nie słyszał, nikt nigdzie nie czytał przez blizko pół wieku, ani w gronie profesorów, ani w towarzystwie wychowawców, ani w kraju, ani za Uralem, gdzie mi lat wiele przeszło wśród kapłanów z różnych dyecezyi i wiele rozmów wspominało szczegół każdy z żywota i walki takich mężów, jak Hołowiński. Ze stosunków z temi kołami, ze świadectwa tylu towarzyszy lat wygnańczych żadnej wzmianki podobnej nie znam i zapraszam wszystkich, aby wyznali, co wiedzą [1].

Wbrew tedy legendzie, szedł ks. Hołowiński tą drogą, którą miał wytkniętą od początku: służył wiernie Kościołowi, wierny obowiązkom względem władzy świeckiej. Znalazł porę dobrą, aby przekonać Perowskiego i przewodnie warstwy o niezbędnej potrzebie porozumienia między państwem a polskim narodem, przynajmniej w zakresie wyznaniowym, a wyrazem uznania tej potrzeby przez rząd, było przyjęcie projektu, podanego przez Hołowińskiego, — zawarcie konkordatu ze Stolicą Apostolską.

(C. d. n.)

Ks. K. Czaykowski.

---

[1] Istotnie z księdzem Owsianym zgodnie sprawę opowiadali jego towarzysze Akademii, którzy raczyli niniejszą pracę w rękopisie przeczytać. I w całym poglądzie na arcb. Hołowińskiego podzielili sąd księdza Owsianego ksiądz biskup Kossowski, ks. oficyał Adam Kruszyński, ks. kanonik Erazm Kluczewski i inni, byli uczniowie księdza Hołowińskiego. Dodawali nawet niektóre szczegóły, których nie znał ks. Owsiany, a które zostały tu włączone albo podane w dopiskach.

NOWINY Z HISTORYOGRAFII POLSKIEJ.

X.

Michał Wiśniowiecki a Jan Sobieski.

W ostatnim roku rządów Jana Kazimierza stał się Sobieski, do niedawna tak niepopularny i wystawiony na publiczne szyderstwa, a nawet znienawidzony, nagle tak popularnym i potężnym, że dziwić się trzeba, że nie został sam następcą abdykującego króla. Niepopularność zawdzięczał swej żonie; popularność samemu sobie.

Niewiele przebywał z Marysienką, będąc wciąż na rozjazdach, na posługach Rzpltej, głównie na Rusi, gdzie nigdy nie brakło hetmańskiej roboty. Miodowy miesiąc mógł sobie sławić dopiero na wiosnę 1667 r., a zaraz potem wybrała się Marya Kazimiera do Francyi i tam powiła Sobieskiemu 2 listop. 1667 r. pierworodnego syna. Wygląda to tak, jakby umyślnie wywoziła najdroższy skarb ojcostwa, żeby tem łatwiej pociągnąć ojca za dziecięciem na obcą ziemię. Cieszyła się bardzo, że jej mały Louis Henri będzie obywatelem francuskim i poddanym swego ojca chrzestnego, Ludwika XIV; ale ojciec kazał mu przydać jeszcze imię Jakóba i zdecydował, że się będzie chować w Polsce na polskiego szlachcica. Wystąpiła też Marysienka na nowo z projektem »ekspatryacyi«, ale u Sobieskiego zwyciężyły względy na »honor i reputacyę«, a w końcu ostro żonie odpowiadał i ją samą do powrotu zmusił. Zawód ten osładzał jej dokładaniem

całej usilności, żeby spełnione były jej osobiste ambicyjki, jakoto prawo zasiadania na taburecie wobec królowej francuskiej, opactwo dla brata i t. p. Sobieski tego się domagał za przeprowadzenie francuskiej elekcyi. Zabawnie nikły stosunek ceny do wartości dzieła jest klasycznym dowodem, że uprawiał politykę francuską bezinteresownie, skoro nie miał nic innego do żądania! Unosił się gniewem, bo mu tego właśnie odmawiano. Nie wiedział, że w Wersalu nie cierpiano Maryi Kazimiery i jej rodziny, a tolerowano ją tylko ze względu na męża. Ludwik XIV powiedział, że każde jej słowo jest bezwstydne i nie życzył sobie potem wcale jej przyjazdów, co atoli nie powstrzymało Marysienki następnie od trzeciej podróży do Francyi.

Został Sobieski popularnym podczas wojny tureckiej, którą sułtan wypowiedział jeszcze w r. 1667; sprowadził ją zaś Doroszeńko, który poddał Ukrainę z kolei Turcyi. Przodem szła nawała tatarska. Na sejmikach stawały uchwały wprost rokoszowe, n. p. powołanie pospolitego ruszenia i mianowanie dowódców, ale nikt przytem nie myślał o Tatarach, bo cała podejrzliwość szlachty skierowaną była ku oczekiwanemu wylądowaniu Kondeusza. Sobieski posłał jeńca do Warszawy, żeby tam uwierzono w najazd tatarski; a szlachta na to, że woli stracić wszystko od Tatarów, byle nie dopuścić Kondeusza. Aż tu po pierwszych, drobniejszych zagonach pojawia się przeszło sto tysięcy nieprzyjaciela, przeciw któremu Rzplta nic nie przygotowała. Nagle przejrzano, że teraz wszystko zależy od przedsiębiorczości i poradności nielubianego Sobieskiego. On zaś »z przedziwną pewnością obiecywał, że do sejmu zatrzyma na sobie nieprzyjaciela, chociażby nie miał tylko sto człowieka«. Sam dostarczył pieniędzy, zadłużył się, poruszył lud wiejski. »Obrona Polski zawisła jedynie na Sobieskim, na jego głowie, pracy i trosce«. Dzięki genialnemu jego planowi porozpraszał nieprzyjaciel swe siły i był częściami znoszony. Nastąpił słynny »czyn podhajecki«. Doroszeńko, mający 24.000 wojska, ukorzył się przed Sobieskim, mającym pod Podhajcami ledwie 3.000, wyrzekł się sułtana, a Tatarzy zawarli 16 października nie tylko pokój, lecz przymierze. Zdumiała się nie tylko Polska, ale Europa cała, a jaką było niespodzianką

tak szybkie ukończenie wojny, poznać można z okoliczności, że Jan Kazimierz w sam raz nazajutrz po zawarciu traktatu podpisał trzecie wici, zwołując pospolite ruszenie na 15 listopada! Ludziom nie chciało się wierzyć, że są ocaleni, a gdy uwierzyli, nie mogli wyjść z podziwu nad zasługą Sobieskiego. A do tego jeszcze okazało się, że ten wódz, niesłychanym wśród ówczesnego możnowładztwa przykładem, zapłacił punktualnie kwartę ze swych starostw i nadto wydał ze swej szkatuły do 150.000 złp., po wojnie zaś miał własne majętności doszczętnie zniszczone. Ambasador francuski przewidział zaraz, że Sobieski będzie teraz pierwszą osobą w Polsce. Sejmiki same domagały się wielkiej buławy dla niego. Kiedy z początkiem lutego 1668, przyjechał na sejm do Warszawy, odbył istny wjazd tryumfalny. Wyjechało na jego spotkanie około 3.000 osób. Dwór jego był dwakroć liczniejszy od królewskiego, pokoje jego pełne klientów. Władzę miał taką, jakiej nikt przed nim w Polsce, gdyż nigdy nie było jeszcze wypadku połączenia w jednem ręku wielkiej laski z wielką buławą. Potężniejszy był od Lubomirskiego, a naród wzywał go, żeby rządził i kierował losami państwa na miejscu niedołężnego już Jana Kazimierza. Kiedy opuścił Warszawę, generalny sejmik wielkopolski wysyła do niego deputacyę, »aby się jął sam rządu tej Rzpltej, ponieważ nikt o niej myśleć nie chce«; oddawano mu do dyspozycyi pospolite ruszenie! A takich deputacyi było kilka, potem kilkanaście! Przyjeżdżały do niego nawet do Białej, gdzie bawił równocześnie z królem (na chrzcinach u powinowatych) i proszą go pod okiem króla, żeby on sam zwołał pospolite ruszenie! Zarzucał król niesłusznie Lubomirskiemu, że dążył do najwyższej władzy; teraz naród cały prosił, żeby Sobieski przywłaszczył ją sobie! I rzeczywiście zostawał mimowoli następcą Lubomirskiego w opinii ogółu, rzecznikiem narodu przeciw tronowi. Przeciw tronowi iść nie chciał; ale użył swego wpływu do przyspieszenia abdykacyi. Ambasador Bonzy nazywał jego władzę wprost dyktatorską, ale też dodawał, że jej z pewnością nie nadużyje. Król pozostał w Polsce jeszcze przeszło dziesięć miesięcy po abdykacyi (do lipca 1669 r.), po to chyba, żeby się przekonać, że jest zupełnie ignorowanym. Francuzi nie mogli

wyjść z podziwienia, że Sobieski nie urządza zamachu stanu i nie sięga po koronę.

Byłby ją osięgnął tem łatwiej, że ogół pragnął gorąco Piasta. Mieli zupełną słuszność! Tylko Polak mógł rozwikłać zawiłą sprawę reformy ustroju państwowego. Król mający zaufanie szlachty uzyskałby wzmocnienie władzy królewskiej, boć przeciw temu nie było jeszcze zasadniczej oppozycyi; owszem, raz wraz wychodziły propozycye do tego z łona samego społeczeństwa, a spór *inter maiestatem et libertatem* załatwiłby się z korzyścią dla dobra publicznego.

Niestety, Sobieski był innego zdania, nie pragnął »króla-Piasta«, i w tem podobny był do Lubomirskiego, że o koronie ani nawet nie pomyślał. Ale inni musieli przypuszczać możliwość jego wyboru, boć wiemy na pewno dwie rzeczy: po pierwsze, że nawet cudzoziemcy przewidywali odrazu, że tym razem dostanie się tron Polakowi, a powtóre, że Sobieski był powszechnie uznawany za pierwszą w Polsce osobę i niesposób było niemyśleć o jego kandydaturze, skoro go jeszcze przed abdykacyą Jana Kazimierza wzywano jawnie do ujęcia władzy w swe ręce! Już też wtenczas spiknęli się przeciw niemu: Pac, Branicki, Dymitr Wiśniowiecki, Prażmowski i Olszowski. Filary francuskiego stronnictwa w zmowie przeciw swemu »przyjacielowi politycznemu«, w spółce ze zwolennikiem Lubomirskiego Olszowskim«. Jaka tej szczególnej zmowy przyczyna, czy jej w polityce szukać, czy raczej może w prywacie, niewiadomo.

Na wypadek, gdyby na elekcyi przemogła szlachta i wybrać miano Piasta, wypadało tej grupie mieć zawczasu kandydata, żeby wybór nie padł na Sobieskiego. Wybrano do tego Michała Wiśniowieckiego, sławnego niedołęgę, człowieka, którego Sobieski zwykł był nazywać po prostu »małpą«, żadnej zresztą nienawiści do niego nie czując. Był drugi Wiśniowiecki: Dymitr, hetman polny i wojewoda bełzki od lat dziesięciu, a doświadczony wojownik. Nie jego jednak obrano sobie i to może niekoniecznie dlatego, że wydawał się za rozumny i wogóle za zdatny do korony, ale może dlatego, że był osobiście poróżniony z Sobieskim do tego stopnia, że ten uważał go za swego największego wroga. Obawiano się

że Sobieski mógłby tedy wystąpić przeciw jego kandydaturze ze względów osobistych. Ostrożność ta była niepotrzebną, bo Sobieski nie mięszał nigdy prywaty do spraw publicznych. Przeciwnicy jego, sądząc prawdopodobnie według siebie, nie przypuszczali w Sobieskim ani skromności, ani zdolności do zaparcia się dla dobra powszechnego. Autor »Doli i niedoli« jest przekonany, że dano pierwszeństwo Michałowi właśnie dla jego ujemnych przymiotów. Twierdzenie doprawdy desperackie! Wprost ze źródeł i tak nie wiemy w tej rzeczy niczego; mniemanie pana Korzona jest więc hypotezą, a w takim razie wolno wskazać możliwość innej hypotezy. Sam Michał był wprawdzie do niczego, a w życiu publicznem nie brał zgoła udziału (nie sprawował nawet żadnego urzędu); ale za to matka jego, słynna Gryzelda, była tak samo politykiem w spódnicy, jak Ludwika Marya lub Marya Kazimiera. Olszowski ogłosił zawczasu książkę *Censura candidatorum*, w której propagował kandydaturę Michała. Intryga była widocznie przygotowaną z daleka, a osnuta arcysprytnie, skoro przez blizko półtrzecia wieku nie wykryto jej pasma i dotychczas można czytać w podręcznikach, jakoby elekcya Michała była niespodzianką nawet dla... niego samego! Ależ wszak umiał czytać, a książka Olszowskiego nie była chyba ukrywaną przed nim?!

Literatura tego bezkrólewia jest obfitą, omówioną przez p. Korzona z sumiennością i dokładnością, właściwą całemu jego pomnikowemu dziełu, ale o Sobieskim niema w niej wzmianki. Nie zamierzał kandydatować, a więc się nie starał o literackiego herolda, a jego »przyjaciele polityczni« byli przeciw niemu; tem się tłumaczy dostatecznie owo milczenie. Brak książki czy broszury, polecającej do tronu podhajeckiego bohatera, nicby jednak nie stanowił, gdyby nie to, że Sobieski nagle znowu utracił dopiero co zdobytą, a tak zasłużoną popularność.

Czy utracił ją przez zbieg okoliczności i przez swą prawdomowność, że się jawnie oświadczał za kandydatem francuskim, czy też przystawili mu i w tem stołka nieszczerzy towarzysze publicznego zawodu — niewiadomo. Zwraca jednak uwagę jedna okoliczność. Długoletnim przywódcą sejmowej oppozycyi przeciw

Janowi Kazimierzowi i Ludwice Maryi był Dębicki, wielki antagonista wszelkiego »Francuza«. Ten sam Dębicki był do niedawna wielbicielem Sobieskiego; zdaje się więc, że o przekonaniach jego nie wiedział i że francuskie jego sympatye nie były powszechności wiadome. Nagle wie jednak o nich Polska cała, a na polu elekcyjnem wymienił pierwszy głośno Michała ten sam właśnie Dębicki.

Kandydatura francuska stała się już nienawistną dla ogółu. Tatara woleli, niż »kondysa«! Wszystko, co tylko było złego w ostatnich leciech, skrystalizowało się ogółowi w pojęciu »Francuza« i nie było już na to żadnej rady. Wielbiono Sobieskiego, ale żeby mu wybaczyć popieranie Francuza, na to było jeszcze zbyt blizko wojny domowej i żywiołowego jakiegoś strachu przed »kondysem«. I tak stało się to bezkrólewie jednym z najciekawszych w historyi przykładów, jak to w sprawach publicznych rozstrzyga nie logika, lecz psychologia.

Ludwik XIV, związany umowami, udawał, że popiera Neuburczyka, ale wolałby widzieć na tronie polskim Kondeusza lub jego syna, d'Anguiena; tego też trzymał się Sobieski, a zwłaszcza Kondeusza, jako wielkiego wodza. Tem bardziej jaśnieje jego bezinteresowność, boć on, sam wielki wojownik, wydałby się najlepiej przy niewojowniczym królu. Ale konferencye z francuskimi ajentami mogły się już odbywać tylko tajemnie z powodu wzburzenia opinii publicznej. Na sejmie konwokacyjnym wszczęła się akcya celem wyłączenia Kondeusza. Sobieski nie chciał brać udziału w tym sejmie i przyjechał do Warszawy (dla widzenia się z siostrą) już w dwa tygodnie po zwołaniu go, kiedy więc miał już być zamknięty; konwokacyjny sejm bywał bowiem z prawa tylko dwuniedzielny. Ale przedłożono go w sam raz, bo posłowie wysilali się na wymyślenie sposobów, jakby zagwoździć z góry sprawę francuską. Uchwalono tedy przysięgę, w której rocie czytamy: »tego będę mianował za pana, od którego i na którego imię nigdy nic nie wziąłem, anim obietnic otrzymał, anim traktował sam przez siebie, ani przez kogokolwiek... Jeżelim się do kogo kiedykolwiek wiązał, tedy go cale odstępuję«... Przysięga miała pozornie na celu tylko oczyszczenie atmosfery od intryg i przekupstw,

a więc cel arcychwalebny, ale rota jej zmuszała ludzi formalnie wstrzymać się od głosowania, albo głosować wbrew przekonaniu: skoro bowiem nie wolno było nawet ani »traktować, lub wiązać się«, odpadały wszystkie te kandydatury, o których myślano przed bezkrólewiem, a zatem pozostawał tylko Piast. Wytyka p. Korzon słusznie Janowi Kazimierzowi, że w r. 1661 tak opisał swego następcę, że mógłby nim być tylko ks. d'Anguien; pokazuje się atoli, że tę samą sztuczkę potrafiła urządzić także izba poselska. Szkoda, że nie wiemy, kto jest autorem tej roty, ułożonej tak szczególnie, że biorąc ją ściśle, nie godziłoby się wogóle szukać kandydata przed samym dniem elekcyi! W zasadzie nie miało to sensu, ale było to sprytne na ten jeden raz. I wpadł Sobieski na sejm właśnie, gdy po wielu swarach i walkach, Izba wymusiła wykonywanie tej przysięgi i on sam, jako marszałek wielki koronny, musiał ją odbierać od dostojników państwowych! Mieściła się też w rocie odrazu ekskluzya Kondeusza i d'Anguiena, bo był w niej jeszcze taki ustęp: »ktokolwiek za panowania króla JMci przeszłego i po abdykacyi nienależnymi sposobami mimo prawo nasze starał się o koronę polską, obierać tego nie będę«; agitacya zaś Jana Kazimierza i królowej na rzecz Francuza nie liczyła się nigdy z prawem krajowem i wszak za nią krył się zamach stanu. Ambasador Bonzy nie uląkł się i nie rozpaczał; pocieszał się, że kobiety nie przysięgały, więc mogą brać pieniądze za mężów swoich, a Marya Kazimiera zgadzała się najzupełniej z tą teoryą. Minister spraw zagranicznych, de Lionne, przysłał projekt umowy, mocą której miał Sobieski przybyć na elekcyę zbrojno, pokonać w danym razie współzawodnika (Piasta lub Karola Lotaryńskiego) i wprowadzić Kondeusza do Krakowa na koronacyę. »Po trzechgodzinnym ataku swojej Marysienki« oświadczył Sobieski, że pierwej da sobie uciąć rękę, niż podpisze umowę przeciwną przysiędze i dnia 24 marca 1669 r. pisała Marya Kazimiera rada-nierada Bonzy'emu, że »mąż chociażby szła gra o sto koron, nic nie uczyni przeciw sumieniowi swemu, ale pośrednio przez przyjaciół swych przeprowadzi skasowanie przysięgi«. Wybrał się sam na Ruś, żeby wpłynąć na sejmik woje-

wództwa ruskiego, ale te nadzieje zawiodły. Przysięga sterczała, jak mur, a wszystkie sejmiki gardłowały dalej przeciw Francuzom.

Na polu elekcyjnem zebrało się w maju 1669 przeszło 12 tysięcy żołnierza zdatnego do boju. Sobieski przywiódł chorągiew jańczarską, złożoną z »prawdziwych Turków mahometan«. Prymas Prażmowski żądał w porozumieniu z Litwą, żeby elekcya odbyła się nie *viritim*, lecz przez deputacye od województw. Świetny projekt; szkoda, że nie pojawił się przed abdykacyą Jana Kazimierza, a raczej jeszcze przed rokiem 1661; byłby wtenczas traktowany zasadniczo. Obecnie, podany niewcześnie podczas samej elekcyi, pochodził nie z chęci usunięcia ujemnych stron tłumnej elekcyi, lecz był podstępem przeciw szlachcie, zamierzającej wybrać Piasta. Zmiarkowano się aż nazbyt łatwo i odtąd szła walka tem bardziej na ostre. Prymas Prażmowski, Morsztyn, Potoccy i Sobieski myśleli zrazu o konfederacyi na rzecz Kondeusza, ale stan rycerski, nie poprzestając na owej przysiędze, powziął nadto jeszcze dnia 31 maja uchwałę, wykluczającą wyraźnie Kondeusza od tronu i zmusił niesłychaną dotąd w dziejach polskich pressyę samychże stronników francuskich, że się do tej ekskluzyi przyłączyli. Marysienka pokazała teraz, że jej nie o politykę chodziło, ale poprostu o zyski z polityki; wdała się w układy z posłem lotaryńskim! »Na trzy godziny przed wyjazdem na poje elekcyjne, ofiarowano Sobieskiemu 400.000 franków gotówką, których on jednakże nie przyjął«. W ostatniej chwili były oficyalnie tylko dwie zagraniczne kandydatury i Lotaryńczyka i Neuburczyka, ale żaden z nich nie miał stronnictwa wśród szlachty, tylko po szczupłej garstce senatorów. Z ogółu dostojników część była za Piastem, część za Kondeuszem.

Województwa nie chciały żadnego cudzoziemca. Pamiętajmy, że znaczna większość narodu pragnęła od samego początku bezkrólewia mieć Piasta, a wyda się nam rzeczą całkiem prostą, że gdy Sobieski utracił popularność, został wybrany ten jedyny kandydat polski, nad którego kandydaturą z góry pracowano, tj. Michał Wiśniowiecki. Pomysł Olszowskiego stał się czynem w ciągu jednej godziny, a doktryner Andrzej Maksymilian Fredro, widział w tem bezpośrednią inspiracyę Ducha św. Rzecz była

rzeczywiście świetnie inscenizowana, tłum poprowadzony na pasku tak zręcznie, jak nigdy jeszcze od czasu sejmu studniowego za Zygmunta Starego (12. XI, 1536 — 2, III. 1537, przed wojną kokoszą). Szlachta zakochała się w »swoim« elekcie, chociaż nie posiadał ani jednego przymiotu zgodnego z typem polskiego szlachcica. Doprawdy, patrząc na tę elekcyę, zdaje się, jakoby sztuka rządzenia polegała na zręczności wmówienia czegoś w ludzi! Nie! to tylko sztuczka negatywna intrygowania, będąca przedpokojowym fagasem w porównaniu z pozytywną sztuką rządzenia.

Dziwnie długo utrzymywała się na wpół legendarna tradycya o elekcyi króla Michała. Bajką też jest, jakoby był ubogim. Trzeba było złożyć się na prędce darami na urządzenie zamku i dworu, bo Jan Kazimierz wyprowadzając się, ograbił formalnie zamek warszawski ze wszystkiego! Ta sama składka byłaby potrzebną, gdyby Sobieskiego wybrano! Współcześni nie uważali Michała za ubogiego, skoro mu do pactów conventów włożyli naprawę i uzupełnienie fortyfikacyi Kamieńca Podolskiego na jego koszt.

Sobieski, przeciwny wtenczas zasadniczo Piastowi, tem bardziej był przerażony wyborem najmniej powołanego. Pisał później w te słowa do biskupa krakowskiego Trzebickiego. »To Waszej Książęcej Mości na spowiedzi deklaruję i do tego się przyznawam, żem się ja po elekcyi nie o to frasował, że Wiśniowiecki został królem, *ex quo* Piast, *ex quo* był *in dignitate* mniejszy natenczas od innych, ale o to, żem widział, że zginę pod panowaniem jego, a ze mną wiara święta w tem królestwie tak już rozszerzona i ojczyzna moja«. Póki koronacya się nie odbyła, można jeszcze było myśleć o zniweczeniu niefortunnego dzieła elekcyi. Gdy Marcin Zamojski, uniesiony gniewem, z powodu procesów majątkowych, prowadzonych z Wiśniowieckimi, wniósł z powodu tych procesów protestacyę przeciw trwającemu dalej jeszcze sejmowi elekcyjnemu, chwycił się Sobieski tego pozoru, jak deski ocalenia i chciał uznać *liberum veto* nawet na elekcyjnym sejmie! Lekarstwo nie lepsze byłoby od choroby! Przeszkodzono temu, poczem Sobieski zaraz wyjechał z Warszawy, odgrażając się, że

przeszkodziłby koronacyi, gdyby miał pomoc Ludwika XIV. Ale król francuski dał sobie spokoj z polskiemi sprawami. Pozostawał właśnie w zgodzie z cesarzem Leopoldem, od końca grudnia 1667 do początku 1672 r. Przez całe panowanie Michała Wiśniowieckiego nie było też żadnego oficyalnego agenta francuskiego dworu w Polsce; tylko konsul Akakia w Gdańsku i opat Paulmiers działali czasem na swoją rękę, jako osoby zupełnie prywatne.

Sobieski wyjechał na Ruś i nie widział się z królem od 25 listopada 1669 r. do 10 maja 1671 r. Oppozycya jego trwała jednak krótko. Zrozumiał, że nie można wszczynać wojny domowej, zwłaszcza wobec niebezpieczeństw grożących ciągle od południowego-wschodu. Posyłając królowi raport w tych sprawach dnia 30 lipca 1670 r., uznał tem samem Michała swym panem i pragnął być lojalnym poddanym. Pracowali jednak dalej nad strąceniem Michała Prażmowski i Morsztyn, a zaczęło się to zaraz od sprawy królewskiego ożenku. W dwa miesiące po koronacyi jeździł już Olszowski do Wiednia po arcyksiężniczkę Eleonorę; ślub oznaczono na 18 lutego 1670 r. (odbył się 27/II). Zawiadomił król o tem prymasa przez Piotra Kochanowskiego, który towarzyszył był Olszowskiemu do Wiednia na ochotnika, własnym kosztem. Prymas przyjął go jak najgorzej, żądał, aby odłożono przyjazd księżniczki, odgrażał się i wyniknęła z tego skandaliczna polemika, prowadzona pismem, pomiędzy Prażmowskim a Kochanowskim, podczas gdy stolnik Wielopolski domagał się, żeby sprawa małżeństwa królewskiego szła przed sejmiki. Wtenczas to dnia 24 stycznia 1670 r. spotykamy pierwszą w źródłach wzmiankę o księciu Longueville, jako nowym kandydacie do tronu polskiego; kandydaturę jego przyjęto na zjeździe malkontentów dnia 31 stycz. 1670 r. Sobieski nie miał w tem wszystkiem najmniejszego udziału. Zrażony wszystkiem do najwyższego stopnia, poczynał się sam nosić teraz z myślą o ekspatryacyi, a w sierpniu 1670 r. wyjechała Marysienka znowu do Francyi, tym razem może zgodnie z życzeniami swego małżonka. Dębicki wydawał pisma przeciw Sobieskiemu, puszczano w obieg plotki, że namawiał czambuły tatarskie, żeby się rzuciły na dobra Wiśniowieckich, że ciągnie z wojskiem na Warszawę, żeby króla porwać i t. p.; w maju

1670 r. wymyślano na niego na sejmiku w Środzie, próbowano buntować przeciw niemu wojsko, Dymitr Wiśniowiecki agitował publicznie przeciw niemu, a z końcem lata 1670 r. uchwalił sejmik sieradzki, żeby mu odebrać buławę. Można sobie było zmierzić życie w Polsce, a jednak myśl ekspatryacyi była tylko przelotną, jakby krzyk bólu, nad którym wnet zapanował. Dnia 9 lipca 1671 r. odpisuje żonie ostro: »Trzeba się na jedno resolwować i stan życia sobie upatrzyć, ponieważ Waszmość moje serce dla złego tu powietrza mieszkać nie możesz, ja zaś tam dla honoru i reputacyi mojej«. Wszelkie osobiste względy zniknęły, jak śnieg kwietniowy, skoro tylko poczuł, że czekają go żołnierskie obowiązki wobec ojczyzny. Piszę więc już nieco wcześniej, dnia 15 maja do żony: »Honor też mój, który mi po śmierci zatrzymać dla sukcesora mego potrzeba, nie dopuszcza mi zabić się na wieki na sławie i reputacyi. Bo któryż hetman w zaczynającą retyrował się wiosenną kampanię«?

Morsztyn i Prażmowski knuli tymczasem dalej spiski z Longuevillem, chociaż Ludwik XIV nie tylko odmawiał poparcia, ale wskazywał wprost uległość Michałowi. Czynili pomimo to przygotowania do wojny domowej, aż doczekali się tego, że sam Longueville musiał się ich wyprzeć przed swym królem; konsul Akakia został odwołany i wtrącony do Bastylli, oni zaś obydwaj oskarżeni o zdradę stanu przed sejmem wrześniowym 1670 r. Sobieskiego mierzono już inną miarką na dworze. Król nie tylko nie chciał mu odbierać jednego urzędu, jak o tem wieści chodziły, ale pragnął się z nim pojednać, a Gryzelda Wiśniowiecka bardzo się tem zajmowała. Sobieski użył swego wpływu na korzyść swych szczególnych »przyjaciół politycznych«, z którymi nic go już nie łączyło, a z których jeden niedawno działał przeciw niemu! na jego prośby odłożono sąd sejmowy do następnego sejmu. Ciekawa rzecz, na czem opierał Prażmowski swoje rachuby, skoro pomoc z zagranicy była już wykluczona? Widocznie nie tracił nadziei, że pozyska na nowo Sobieskiego, który miał wielką miłość u wojska i przez to samo był potęgą w Polsce. Jeździł więc do Sobieskiego opat Paulmiers — ale wrócił z niczem. Sobieski nie tylko nie przystąpił do spisku detro-

nizacyjnego, ale powiedział wprost, że teraz, wobec grozy tureckiej, należy puścić wszystko w niepamięć, a skupić się przy osobie zwierzchnika państwa. Na list Paulmiersa, z Gdańska wysłany, nie odpisał wcale. Rozszedł się więc w poglądach na sprawę publiczną z dawnymi towarzyszami z czasów Ludwiki Maryi; a jednak nie chciał ich opuścić w potrzebie i na starania Gryzeldy Wiśniowieckiej o jawne pojednanie z królem odpowiadał, że musi się wpierw porozumieć ze swymi przyjaciółmi, wywierając w ten sposób na dwór nacisk, żeby się z nimi nie obchodzono z całą surowością prawa. Bez Sobieskiego zaś nie był spisek Prażmowskiego niczem, zgoła niczem; nie miał prymas około siebie żadnego już stronnictwa, a szlachta cała, syta możnowładczych intryg, stała przy królu, gotowa każdej chwili do pospolitego ruszenia w jego obronie.

Wśród takich nieporozumień wybuchnęła nowa wojna z Kozakami i Tatarami (tu zaczyna się tom trzeci wielkiego dzieła p. Korzona), jakoby przygrywka do przewidywanej dawno przez Sobieskiego wielkiej wojny tureckiej. Doroszeńko, urażony, że hetmaństwo nie jemu nadano, lecz rywalowi jego, Haneńce (wbrew zdaniu Sobieskiego) wiódł Tatarów, a wzywał Turków na pomoc. Mając wojska zaledwie 10.000 i to już razem z załogami wszelkich warowni i grodków na wschodzie, obronił hetman Rzpltą. Bracław, Batoh, Mohylów, Kalnik, stały się szczeblami nowej sławy wojennej i tytułami nowych zasług, tem większych, że Sobieski pozostawiony przez dwór własnemu sprytowi, musiał sobie sam radzić. Doroszeńko grozi, że dostanie nowe posiłki, i wystąpi zaczepnie przeciw zachodnim prowincyom; radził cofnąć się dobrowolnie z Ukrainy. Odpowiedział mu Sobieski: »I przed samym cesarzem tureckim stąd nie ustąpię i czekać go tu będę«. Kampania roku 1671 mogła być zbawieniem dla Polski, a sam hetman zwracał uwagę podkanclerzego, jako »zgoła *saecula* przejdą, a takiej drugiej do odzyskania Ukrainy nie znajdziemy okazyi«. Trzebaby jednak mieć więcej wojska, a tymczasem nie tylko nie dopisała »aukcya« wojska koronnego, ale na dobitkę litewskie rozwiązało się, w czem podejrzany jest wprost o złą wolę Michał Pac. Musiał więc Sobieski zakończyć kampanią i z pod Kalniku,

chociaż zwycięzca, cofnąć się już na leże zimowe. Rozłożył nieliczne swe pułki w 43 miejscowościach, żeby przynajmniej utrzymać nabytki pomiędzy Dniestrem a Bohem. Część wojska nie zastosowała się do ordynansów Sobieskiego i pod Wyżyckim zajęła gdzieindziej dogodniejsze dla siebie kwatery. Wyżycki wyprawia od siebie poselstwo do króla i zamiast surowego skarcenia za nieposłuszeństwo hetmanowi, zostaje sam regimentarzem, a chorągwiom jego wyznacza król leże we własnem starostwie samborskiem, gdzie im było oczywiście znacznie wygodniej, niż na ukraińskich pustkach! Nie dbał król, że przez tę dyslokacyę odsłonięto granice! Chciał sobie zobowiązać część wojska, bo Sobieskiego miał ciągle w podejrzeniu, jakkolwiek zupełnie niesłusznie. Wietrzono jakieś spiski, szerzono najgorsze plotki. Posła kozackiego, wracającego z Jaworowa, ubito w drodze, przypuszczając, że się znajdą przy nim jakieś papiery kompromitujące Sobieskiego. W Warszawie rozpowiadano bowiem, że hetman wszedł w konszachty z Doroszeńką, że poszedł na Ukrainę, żeby sprowadzić na Polskę Kozaków i Tatarów. Nie chciał król, żeby powiększać wojsko, bo nie chciał powiększać potęgi Sobieskiego i chociaż coraz groźniejsze nadchodziły wieści z Turcyi, wolał poprzestawać na pospolitem ruszeniu, ufny, że ono stanie w obronie jego tronu. Sobieski zaś ani sam o detronizacyi nie myślał, ani też nie dostarczyłby już pomocy w tym celu prymasowi. Jeździł za nim wprawdzie ciągle Paulmiers, ale przez cały czas kampanii nie otrzymał u Sobieskiego ani jednej rozmowy. Tylko Marysience kręciły się po głowie pomysły wojny domowej. W ciągu r. 1671 przebywała we Francyi i stamtąd trapiła męża listami, chcąc wymódz na nim albo przesiedlenie się do Francyi, albo rozpoczęcie starań o koronę dla siebie samego. Groziła mu wręcz, że go porzuci. Odpisał jej na to: »Widzę to ja nie dopiero, że z serca Waszmości nie tylko miłość, ale i powinność już wygasła«. Wracała więc Marya Kazimiera w grudniu 1671 r. do Polski i odtąd nie wyjeżdżała już do swej ojczyzny.

Zwracał Sobieski napróżno uwagę na niedostateczne zaopatrzenie Kamieńca Podolskiego, niezdatnego zgoła do samodzielnej obrony. Już czausz turecki przybył do Warszawy, a jeszcze cała

Rzplta, jakby spała i jeden tylko Sobieski czuwał nad jej losem. Tak doczekano się formalnego wypowiedzenia wojny od Turcyi, co nie przeszkodziło jednak wcale — zerwaniu sejmu (w lutym 1672). Sobieski zrzekał się starostwa barskiego na koszta utrzymania gwardyi królewskiej, podczas gdy tęgosze patryotyczni radzili na sejmie z całą powagą nad tem, że król powinienby ubierać się w kontusz, a nie w pludry[1]. Spostrzeżono się przynajmniej na dworze, że w wigilię wielkiej wojny nie trzeba robić trudności hetmanowi i niespodzianie udają się chorągwie Wyżyckiego z przeprosinami i otrzymują przebaczenie Sobieskiego.

Nagle atoli zmienia się sytuacya; Sobieski popada znowu w podejrzenie, a król Michał zaślepiony obawą o swój tron, nie widzi zgoła niebezpieczeństw grożących z zewnątrz i sam naraża państwo lekkomyślnie na bezbronność. Ustęp ten nie jest jeszcze zupełnie jasny; pomimo mnóstwa wiadomości źródłowych, zebranych tak skrzętnie w »Doli i niedoli«, niejedno jeszcze wydaje się dziwnem i niezrozumiałem.

Prymas Prażmowski rozpoczyna w marcu 1672 roku na nowo akcyę celem strącenia Michała z tronu. Należy więc przypuszczać, że spodziewał się wciągnąć Sobieskiego do tego spisku, który inaczej nie miałby żadnego znaczenia. Prymas lubiał się rozporządzać ludźmi. Jeżeli mógł w myśli rozporządzać się królową Eleonorą i wyznaczać ją na małżonkę księciu Longueville, po przeprowadzeniu unieważnienia związku z Michałem (ku czemu zmierzały skandaliczne intrygi i kalumnie), chociaż królowa ta najzacniejszą była niewiastą i nigdy jej nic podobnego ani przez myśl nie przeszło, mógł tem bardziej tuszyć sobie, że w stanowczej chwili pokieruje według swej myśli Sobieskim, zapalonym wielbicielem związków politycznych z Francyą. Radzono więc u prymasa o Sobieskim bez niego. Znaczna większość możnowładców przystąpiła do spisku. Na dworze wietrzono i domyślano

[1] Ojcem patryotyzmu guzikowego zdaje się być Dębicki, przywódca oppozycyi przeciw Ludwice Maryi, następnie inscenizator »niespodzianego« wyboru króla Michała, czynny na samem polu elekcyi. On jeszcze za Jana Kazimierza robił możnowładcom jakieś przymówki z powodu ubiorów.
Przyp. autora.

się, ale nie posiadano dokładnych wiadomości, a z natury rzeczy podejrzywano Sobieskiego o udział w konspiracyi i nie można się temu dziwić: wszak co dopiero wstawiał się tak gorąco za Morsztynem i Prażmowskim! Dwór nie pozostał też bezczynnym i na sejmie w maju 1672 r. starły się ostro obydwa stronnictwa, a raczej dwie koterye możnowładców, z których jedna podszywała się pod wolę i zdanie ogółu szlachty, przygotowawszy grunt wśród niej nader zręcznie. Zwolennicy króla, tj. przeciwnicy Francyi wydali hasło, że sejm musi tym razem dojść, a gdyby został zerwany, zbierze się pospolite ruszenie i stanie przy królu. Zawiązano w tym celu konfederacyę, której użyć byłoby aż nazbyt łatwo, bo samiż ci, którzy ją przygotowali, mogli się postarać o zerwanie sejmu, żeby mieć powód wystąpienia przeciw »malkontentom«. Chodziły po kraju straszne plotki, między innemi, że Sobieski idzie na Warszawę na czele wojska, a na pomoc zaś króla ruszą cesarskie posiłki. Z dawnych czasów był zwyczaj przedkładania sejmowi t. zw. egzorbitancyi, tj. wszelkich wypadków przekroczenia lub niedotrzymania ustaw obowiązujących. Rzadko który sejm odbywał się bez nich, bo zawsze znalazła sobie coś z tego rodzaju spraw oppozycya. Tym razem lękano się, żeby dyskusya nad egzorbitancyami nie posłużyła za pozór wnioskowi o detronizacyę. Sobieski przybył na sejm, ażeby dopilnować uchwał tak potrzebnych na obronę kraju od półkiężyca i wpadł mimowoli w sam środek konspiracyi. Stanął przeciw swym »przyjaciołom« i oświadczył się za pojednaniem i jakoż doczekał się tego, że 22 czerwca cała starszyzna wizytowała króla, co miało być demonstracyą lojalności. Jak sobie tedy wytłumaczyć, że w trzy dni potem, 25 czerwca 1672 r., proponował jednak Prażmowski królowi abdykacyę, grożąc w przeciwnym razie rozlewem krwi, a nazajutrz sama Marysienka śmiała abdykacyę doradzać od siebie? I nie było to robione w sekrecie, bo w Warszawie zapanowała nie na żarty panika pomiędzy ludnością; oczekiwano powszechnie ważnych a krwawych wydarzeń. W dwa dni po audyencyi Marysienki składa zaś sam Sobieski wyraźne oświadczenie imieniem swojem i swych przyjaciół politycznych, że o abdykacyi nie będzie wcale mowy, że nawet egzorbitancyi już się

wcale roztrząsać nie będzie, pozostawiając je do drugiego sejmu. Usunął więc Sobieski szkopuł dworskich podejrzeń, zepchnąwszy owe egzorbitancye, a pośrednio wyparł się Prażmowskiego i własnej żony, o której, niestety, nietrudno przypuścić, że działała na własną rękę poza plecyma męża, ażeby go zaskoczyć jakim »faktem dokonanym«. Trzeba koniecznie przypuścić, że straszono króla Sobieskim i posługiwano się nieuczciwie jego imieniem, a sama Marya Kazimiera wzięła udział w tej intrydze. Dwór podejrzywał Sobieskiego o nieszczerość i zapanowała tem większa nieufność względem hetmana. Tem się tłumaczy, że chociaż Sobieski ustępował we wszystkiem i wystąpił z polityką pojednawczą, nie uchwalono środków obrony wojennej, żeby nie powiększać sił hetmańskich i postanowiono poprzestać na pospolitem ruszeniu! Jakżeż nie miało to oburzyć Sobieskiego do żywego?! Nie dość na tem: na dworze poczęto powątpiewać, czy to prawda, że grozi najazd turecki, czy to nie wymysły hetmańskie i fortel, żeby mu wystawić wojsko, którego on użyłby następnie do detronizacyi Michała!

Kto był sprawcą tego błędnego koła, ten zasłużył stokroć bardziej od Siecińskiego, żeby go postawić na dalekie pokolenia pod pręgierz historyi. Według p. Korzona sam prymas był takim człowiekiem bez czci i wiary, a przytem politykiem nieudolnym. Przemawia na jego niekorzyść okoliczności wiele; a jednak sąd historyczny w tej sprawie nie wydaje mi się jeszcze dostatecznie przygotowanym. Jeszcze czekać trzeba jakichś nowych odkryć źródłowych; kto wie, czy nie dowiemy się jeszcze kiedyś czegoś takiego, co wyjaśni nam wszystkie ciemne strony tego zaczarowanego koła zawiści i nienawiści i całego obłędu 1672 r. i może wtenczas konstrukcya historyograficzna całej sprawy uprości się niespodzianie? Dziś jest bowiem tak zawikłaną, że chcąc w te sprawy wprowadzić poprostu sens jakikolwiek, trzeba niemal z tygodnia na tydzień czegoś się domyślać i próbować interpretacyi, że tak powiem, psychologicznej.

(C. d. n).

Dr. Feliks Koneczny.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Józef Weyssenhoff: »Syn marnotrawny«. — Feliks Brodowski: »Liote«. — Artur Gruszecki: »Słomiany ogień«. — Żelisław: »Dwór i plebania« — Stefan Krzywoszewski: »Rusałka«. — Marya Raczyńska: »Listy prababki«. — Konrad Machczyński: »Humoreski i nowele myśliwskie i obyczajowe«. — Kazimierz Gliński: »Boruta«. — Ludwik Stasiak: »Brandenburg, kraina słowiańskich mogił«. — Artur Gruszecki: »Nad Wartą«. — Jan Lemański: »Proza ironiczna«.

»Syn marnotrawny«[1] należy do lepszych utworów z ostatnich miesięcy; z każdego opisu, z każdego obrazu i charakteru znać, że pracował tu człowiek o wielkim talencie, który potrafi dzieło w drobnych nawet szczegółach wykonać. To też charaktery postaci są świetnie i logicznie przeprowadzone do samego końca; nie ma ani jednego rysu w wybitniejszych postaciach powieści, któryby był sprzeczny z charakterami, jakie im dał autor, tak że między charakterem, opisanym przez autora i między tym samym charakterem, ujawniającym się w czynie, panuje zupełna harmonia. Po pierwszych już kartkach powieści staje rodzina Dubieńskich przed czytelnikiem w całej plastyce i drobiazgowem wykończeniu, następne karty nic nowego do charakterystyki nie dorzucą, rozwiną ją tylko jeszcze dalej. W tych

[1] Józef Weyssenhoff: »Syn marnotrawny«. Warszawa-Kraków. Gebethner i S-ka. 1905. Str. 446.

postaciach należących do sfer mniej lub więcej arystokratycznych, zawarte w prawdziwem tego słowa znaczeniu całe galerye najróżnorodniejszych typów, mających wspólny jeden tylko ujemny rys, o którym niżej. Z artyzmem w odtwarzaniu charakterów łączy się nie mniejszy w przedstawieniu rzeczy. Takie sceny, jak w Nizzy, nie raz już jeden widzieliśmy w powieści, rzadko jednak spotykamy je odmalowane tak dokładnie, żywo i doskonale. Piękne obrazy i opisy czy to przyrody, czy dzieł sztuki powiększają wartość powieści a choć n. p. uczta na jachcie D'Anjorranta przypomina mimowoli podobną z »Quo Vadis«, jest ona mimo to do charakterystyki całości nader ciekawym przyczynkiem.

Powieść jest satyryczną i w tem leży jej silna i słaba strona. Silna w tem przedewszystkiem, że autor ani na chwilę o swoim celu nie zapomina, konsekwentnie w każdym szczególe do niego zdąża i smaga bezlitośnie rzeczy, na takie smaganie zasługujące; tym sposobem powieść daje sceny pełne humoru i nawet komizmu. Lecz tu właśnie leży i słaba strona utworu — wszystkie charaktery są w wysokim stopniu ujemne. U jednych występuje ich nicość moralna w całej swej nagości niczem nie osłoniona, u innych brak wewnętrznej wartości pokrywają blaga, frazes, pięknie brzmiące lecz w rzeczy samej puste zasady — tym zasadom na każdym kroku sprzeciwia się postępowanie życia codziennego, dochodzące czasami wprost do podłości. Nie należymy bynajmniej do zwolenników starej recepty, według której z jednej strony w powieści stać by powinny same potwory, z drugiej same ideały doskonałości ludzkiej, ale mamy prawo żądać od autora, aby cieniom przeciwstawił odpowiednie światła i pokazał nam także dodatnią stronę człowieka, tem bardziej, że tu chodzi o jeden cały stan, który przecież ma także swoje dobre i dodatnie przymioty. Naszego twierdzenia nie obala ani postać Fabiusza, ani postać Anny; nie potrafią one zrównoważyć ujemnego, przez całość wywołanego wrażenia. Fabiusz jest człowiekiem szlachetnym, ale najsłabiej jako charakter rozwiniętym. To nie jest postać drgająca, jak inne, życiem, plastyczna i wyrazista, to raczej abstrakcya. O Annie lepiej nie mówić. Kobieta — matka, która tak łatwo do tego stopnia się zapomina, jak ona, wielkiej i utrwalonej wartości moralnej nie posiada, chociaż jako moralna jest przedstawiona. I dlatego mimo całego artyzmu »Syn marnotrawny« raczej przygnębia i zniechęca, jak podnosi i zadawalnia.

Od nastroju, panującego w całym tomiku Brodowskiego [1], wyodrębnia się nowela tytułowa »Liote«. Opowiada ona w listach miłość dwojga japońskich kochanków; jest tam młody Mito, ubogi ale kochany, jest i Liote, mająca w sobie »coś z kwiatu, motyla, cukierka, papugi i mocnego wina« (str. 4), jest stary, brzydki, łysy i bogaty Matsuma, pretendent do ręki Lioty, jest powiernik między Liotą a Mitem, trochę *à la* Petroniusz, jest i ojciec Lioty, stary Tayotomi, maniak na punkcie zbierania rzadkich owadów — ostatecznie wszystko kończy się szczęśliwie. Rzecz opowiedziana gładko, z pewnym wdziękiem, z pewnymi nawet egzotycznymi obrazami, ale nic znowu nadzwyczajnego. W dalszym za to ciągu nastrój się zmienia.

Nowele »Dziecię Symchy«, »Tomasz Sitok« i »Po co dzień ich budzi« wykazują dużo prawdziwego talentu; to w ścisłem tego słowa znaczeniu prace realistyczne, ujawniające dużo obserwacyjnego zmysłu i dużo bystrości w podpatrywaniu natury ludzkiej. Z elementem realistycznym łączy się jednak zbytnio element pesymistyczny; autor przedstawia wyłącznie strony ujemne z życia niższych warstw ludności. Dużo tam pozorów, dużo obłudy, dużo nędzy, która spycha wreszcie na samo dno zepsucia i rozpusty. »Stało się — co stać się musiało. Wół jest na pożarcie, nikt się z jego upragnieniem życia nie liczy, ktoś mięsem jego musi głód swój nasycić. I córki nędzarzy są na pożarcie« (str. 129). Dlatego też kończy się wszystko zupełnem zwyrodnieniem człowieka i wstrętną rozpustą. Autor nie robi wprawdzie wrażenia, jakoby się w podobnych rzeczach lubował; owszem, jak anatom bada choroby, aby wykazać ich źródło i rozwój, tak i on na klasie ludzi bezdomnych i ubogich wykazuje, dokąd ta nędza prowadzi i z pewnem umiarkowaniem przedstawia tej nędzy skutki, ale ostatecznie jest to jedna dopiero strona medalu, ciemna i ujemna i dla tego nie w całej rozciągłości prawdziwa, — stron dodatnich nic tam nie widać a przecież i ich jest dużo w życiu najuboższych i dlatego nie najlepiej postąpił autor, że pominął te strony jasne, a zostawił tylko żal, ból i przygnębienie.

Pan Gruszecki ma znów szczególniejsze zamiłowanie do obrabiania w swych powieściach tematów aktualnych lub satyrycznych; skutkiem tego powieści jego tyle tracą na wartości, ile zyskują na

[1] Feliks Brodowski: »Liote«. Nowele. Warszawa-Kraków. Gebethner i S-ka. 1905. Str. 257.

czytelnikach, których senzacya lub nuta patryotyczna do czytania zachęca. Po satyrycznej »Cygarniczce« dał nam nie mniej, może aż za wiele satyryczny »Słomiany ogień«[1]. Powieść ta należy do udatniejszych prac autora. Zaciekawia dość, jest napisana z pewnym polotem myśli, rozwija się żywo i choć nie oryginalnie, jednak naturalnie. Emancypacya kobiet przedstawia się w myśli autora, jako płód poroniony. »Słowa, tylko słowa, wieczne kręcenie się w kółko, bez żadnego rezultatu, bez usiłowań przejścia od narzekań i skarg na drogę czynu i pracy« (str. 310), tak wyraża się bohaterka powieści. Jest to sąd jeszcze bardzo łagodny, bo obraz, który autor roztacza, ma same ciemne barwy. Intrygi, zazdrości, plotki, obmowy, podejrzywania, wzajemne przeszkadzania sobie w pracy, oto charakter tego ruchu kobiecego; wszystkiem tam jest frazes, pozowanie bez jakiegokolwiek dodatniego rezultatu. Kwestya nowego kroju sukni jest ważniejszą od innych kwestyi życiowych. Nie brak i scen prawdziwie zjadliwych, a do takich należą rady udzielane »w biurze porady i pomocy dla kobiet«; i tak n. p. młodej, biednej dziewczynie, która dopiero co z prowincyi przybyła, aby na życie w Krakowie zapracować, radzą, aby stanęła w hotelu Saskim, bo w innym nie wypada; takim jest plan urządzenia ogólnego strejku, kiedy »kucharki, służące, robotnice, żony zastrejkują jednego dnia« (str. 115), lub te wreszcie wygadywania na mężczyzn, bez których jednak »Klub« i »Koło« ani kroku zrobić nie mogą. Ostatecznie lepiej usposobione jednostki rzucają wszystko i, wychodząc za mąż, znajdują tam rozwiązanie kwestyi kobiecej.

Czyż jednak rzeczywiście tak źle stoi z ruchem kobiecym, jak to przedstawia autor? Nie sądzimy, ale też nie chcemy się spierać. Jedyną pozytywną działalność kobiecą widzimy w zakładzie p. Żurowskiej na Zwierzyńcu, choć i tu autor, prawdopodobnie wbrew swojej woli, bardzo nieszczęśliwie scharakteryzował stronę religijną instytucyi. Koniec końcem »Słomiany ogień«, choć panie z *Nowego Słowa* za niego autorowi z pewnością wdzięczne nie będą, daje lekturę lekką i dość przyjemną.

Występujący, o ile nam wiadomo, po raz pierwszy na arenie

---

[1] Artur Gruszecki: »Słomiany ogień«. Powieść współczesna. Warszawa-Kraków. Gebethner i Ska. 1905. Str. 367.

literackiej, Żelisław, nazwał swoją pracę »Dziejami cichych ustroni«[1]. Nie są to jednak bynajmniej ciche dzieje, które się odgrywają przed oczami naszemi, gdyż i do tych cichych ustroni przystęp znalazły namiętności ludzkie. Potomek starego rodu, Wężyk, namową i prośbą zmusza syna, Stanisława, do wstąpienia do stanu duchownego, gdyż chciałby go widzieć »choćby i biskupem«. Stanisław wstępuje do seminaryum, burzy szczęście córki sąsiada, Janki, której przyrzekł i od której otrzymał przyrzeczenie miłości, sumienie nie daje mu jednak pokoju; w czasie cholery przybywa do Zaborowa, nosi się z myślą samobójstwa, a kończy na epidemię, na którą zapadł, złożywszy pocałunek na czole zmarłego wieśniaka. Pozostawiony list otwiera ojcu oczy, pokazuje mu, że ani proboszcz, ani Janka nie ponoszą żadnej winy, że przeciwnie wina cała na niego spada.

Jak zwykle pierwociny, ma i ten utwór swoje mniej dodatnie strony; szczególniej słabo wypadły sceny miłosne, w których znajdziemy motywy trochę już przestarzałe. Nie najlepszą jest również postać Janusza Wężyka. Mniejsza już o to, że ma on same błędy w przeciwstawieniu do idealnej rodziny Janki; po za tem jest on także pobieżnie naszkicowany, tak szczególniej w scenie, gdzie wpływem swoim nakłania syna do wstąpienia do seminaryum — trochę *pogłębienia psychologicznego bardzoby się tu* przydało. Czy jednak takie przedstawienie Wężyka prowadzi autora do celu? W jednym ustępie, charakteryzując proboszcza Rębajłę, jako gorliwego kapłana i dobrego mowcę, dodaje, że choć chłostał niemiłosiernie cynizm i wybryki szlachty, zmierzał zawsze do tego, by dwór jak najwięcej zbliżyć do chaty a chatę do dworu i nie siał waśni pomiędzy tymi dwoma stanami (str. 27); taki cel miał też widocznie autor, lecz wątpimy, czy go osiągnął. Charakter taki, jak Wężyka, musi od siebie odstręczyć i do siebie zniechęcić. Dobitniej jeszcze występuje ten błąd w scenie, w której autor przedstawia zapatrywania chłopów na szlachtę.

Po za tem ma jednak powieść dużo zalet. Z takim kapłanem, jak Rębajło, rzadko się spotykamy w naszej literaturze i za niego jesteśmy autorowi szczerze wdzięczni; jego szczerość, zacność, prostota, gorliwość w pełnieniu najcięższych nawet obowiązków, nieustraszona odwaga występująca tam, gdzie błąd stanowczo napiętnować trzeba,

---

[1] Żelisław: »Dwór i plebania«. Dzieje cichych ustroni. Warszawa-Kraków. Gebethner i S-ka. 1904. Str. 157.

kilka wcale dodatnich stron. Opisuje ona miłość zaściankowego szlachcica, Kalinowskiego, i córki starosty Stempkowskiego, Teresy. Starosta wyratowany przez Kalinowskiego z błot łęczyckich, nie domyślając się, kim jest wybrana jego zbawcy, obiecuje mu pomoc w zdobyciu dziewczyny, bierze go na swój dwór, chce jednak córkę dać Sieniawskiemu; syn ma pojąć w małżeństwo córkę Zebrzydowskiego w zamian za przyobiecaną pomoc starosty w rokoszu przeciw królowi. Ostatecznie Kalinowski otrzymuje Terenię, syn Stanisław Helenę Woyniłłowiczównę i wszystko się kończy pomyślnie, a do osiągnięcia dodatniego wyniku przyczynił się w przeważnej mierze Boruta, łęczycki dyabeł-karmazyn.

Powieść napisana jest w miarę językiem archaicznym, a ten dodaje jej dużo powabu i w tej też szacie humor, którego w książce pełno, nie mało zyskuje. Wybitną stroną powieści są opisy; jedne z nich przypominają wprawdzie pewne reminiscencye, zawierają jednak w sobie dużo artyzmu, z innych zalatuje nas świeżość, delikatne odczucie przyrody, pewien zapach wiosny. Typy powieści rozmaite, niektóre udatne, tak n. p. Jaksa lub starosta; inne, niekoniecznie prawdziwe lub nawet przypominające podobne charaktery z literatury polskiej lub zagranicznej, tak n. p. Ojciec Hilary lub Bieś, potworny karzeł-Tatar, reszta to figury dość przeciętne. Postaci Boruty krytyka wiele zarzuciła, to przedewszystkiem, że jest on wzorowany na Mefistolesie z Fausta. Zarzut to, przynajmniej rzeczowo, prawdziwy, mimo to ma Boruta wiele stron, które w niektórych chwilach robią go nawet tragicznym. Występuje on zawsze na tle trochę niezwykłem w otoczeniu puchaczy, nietoperzy, sów i błędnych ogników; ma chwile w których przystępnym jest uczuciom czysto ludzkim, cieszy się, że Kalinowski przyjacielem go nazywa, zazdrości drugim szczęścia: »chciałbym — jako wy — tak zasnąć; jedyny raz tylko, z marami przeszłości, bez przyszłości widzeń. Chciałbym jedyny raz tylko mieć sny takie, jakie wam pod czaszką dziś się wiją... Słyszysz?... trzask! Śpij! nie budź się! To pęka serce moje!« (str. 40); wzdycha do wyzwolenia, ale zbrodnia, dla której dyabłem został, gdy Niemcom zdradził króla Popiela, mści się i jeszcze długo mścić będzie. »Jam pycha — gniew — zło i zdrada! Nie słuchajcie mnie — nie słuchajcie!« (str. 140). »Zamieszanie za mną chodzi i kurz i mgły« (str. 235), a jednak ma chwile, w których chciałby dobrze czynić i czyni dobrze. To ostatnie nie podobało się znowu krytykom, nie widzącym przyczyny, dla której dobrze czyni. Jaką taką odpowiedź daje nam na to pytanie

kilka wcale dodatnich stron. Opisuje ona miłość zaściankowego szlachcica, Kalinowskiego, i córki starosty Stempkowskiego, Teresy. Starosta wyratowany przez Kalinowskiego z błot łęczyckich, nie domyślając się, kim jest wybrana jego zbawcy, obiecuje mu pomoc w zdobyciu dziewczyny, bierze go na swój dwór, chce jednak córkę dać Sieniawskiemu; syn ma pojąć w małżeństwo córkę Zebrzydowskiego w zamian za przyobiecaną pomoc starosty w rokoszu przeciw królowi. Ostatecznie Kalinowski otrzymuje Terenię, syn Stanisław Helenę Woyniłłowiczównę i wszystko się kończy pomyślnie, a do osiągnięcia dodatniego wyniku przyczynił się w przeważnej mierze Boruta, łęczycki dyabeł-karmazyn.

Powieść napisana jest w miarę językiem archaicznym, a ten dodaje jej dużo powabu i w tej też szacie humor, którego w książce pełno, nie mało zyskuje. Wybitną stroną powieści są opisy; jedne z nich przypominają wprawdzie pewne reminiscencye, zawierają jednak w sobie dużo artyzmu, z innych zalatuje nas świeżość, delikatne odczucie przyrody, pewien zapach wiosny. Typy powieści rozmaite, niektóre udatne, tak n. p. Jaksa lub starosta; inne, niekoniecznie prawdziwe lub nawet przypominające podobne charaktery z literatury polskiej lub zagranicznej, tak n. p. Ojciec Hilary lub Bieś, potworny karzeł-Tatar, reszta to figury dość przeciętne. Postaci Boruty krytyka wiele zarzuciła, to przedewszystkiem, że jest on wzorowany na Mefistolesie z Fausta. Zarzut to, przynajmniej rzeczowo, prawdziwy, mimo to ma Boruta wiele stron, które w niektórych chwilach robią go nawet tragicznym. Występuje on zawsze na tle trochę niezwykłem w otoczeniu puchaczy, nietoperzy, sów i błędnych ogników; ma chwile w których przystępnym jest uczuciom czysto ludzkim, cieszy się, że Kalinowski przyjacielem go nazywa, zazdrości drugim szczęścia: »chciałbym — jako wy — tak zasnąć; jedyny raz tylko, z marami przeszłości, bez przyszłości widzeń. Chciałbym jedyny raz tylko mieć sny takie, jakie wam pod czaszką dziś się wiją... Słyszysz?... trzask! Śpij! nie budź się! To pęka serce moje!« (str. 40); wzdycha do wyzwolenia, ale zbrodnia, dla której dyabłem został, gdy Niemcom zdradził króla Popiela, mści się i jeszcze długo mścić będzie. »Jam pycha — gniew — zło i zdrada! Nie słuchajcie mnie — nie słuchajcie!« (str. 140). »Zamieszanie za mną chodzi i kurz i mgły« (str. 235), a jednak ma chwile, w których chciałby dobrze czynić i czyni dobrze. To ostatnie nie podobało się znowu krytykom, nie widzącym przyczyny, dla której dobrze czyni. Jaką taką odpowiedź daje nam na to pytanie

pisane krwią i łzami. Jest to tak zasługą autorki, jak i tematu, który w każdem sercu musi znaleźć oddźwięk. Druga część zbiorku mniej się podoba. »Kwiat grzechu« jest nowelą jak wiele innych, z tego szczególnie powodu nieodpowiednią, że nie licuje z poważnym nastrojem całości. »Pieśń o ciszy«, aczkolwiek tematem jej jest myśl bardzo dobra, nuży rozwlekłością i refleksyami a »Księżniczka Elżbieta« przedstawia maleńkie dziecko o chorej duszy i zadowolnić nie może. Wogóle jednak dla samych »Listów prababki« i »Za te najbiedniejsze« warto poświęcić kilka godzin zbiorkowi.

Tytuł dziełka Machczyńskiego[1] bardzo mało odpowiada treści. Nowel obyczajowych w całej książce niema, gdyż »Jelenia« autor sam nazwał nowelką myśliwską, skądinąd znowu jedyną w całym tomiku. »Jelenia« czyta się ostatecznie z pewną przyjemnością, ale nie ma w nim nic takiego, czegoby podobnie i lepiej nawet nie opracowali już inni. »Dwie głośne sprawy« i »Mandaryn warszawski« do nazwy nowel lub humoresek nie mogą sobie z pewnością rościć żadnej pretensyi i są dobre, jako fejleton dziennikarski lub anegdotyczne wspomnienie z przeszłości. Za to trzy ostatnie prace »Burmistrz rogaty«, »Polowanie na perukę« i »Dwa cyrkularze« należą do prac wcale udatnych. Owi małomiasteczkowi Kiernozianie, nie chcący pożyczyć mieszkańcom Osmolinia szubienicy dlatego, że »nasza szubienica jest dla nas i dla naszych dzieci« są istotnie trafnie scharakteryzowani. Dużo jest w tych utworach komizmu, dosyć dowcipu i nieoczekiwanych sytuacyi, trochę nawet satyry i dlatego te trzy prace godzą nas z autorem.

Od »Boruty«[2], jako od powieści z lat dawnych, mielibyśmy prawo domagać się wprawdzie więcej rzeczy; chcielibyśmy poznać trochę głębiej te dawne lata, poznać ich zwyczaje, namiętności, które niemi wstrząsały, aspiracye, które w nich żyły, — tego wszystkiego powieść nam nie daje, przynajmniej o tyle, o ileby to było wystarczającem do wyrobienia sobie sądu o epoce. Można więc z tego autorowi zrobić słuszny i poważny zarzut. Po za tem jednak ma powieść

---

[1] Konrad Machczyński: »Humoreski i Nowele myśliwskie i obyczajowe«. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1905. Str. 140.

[2] Kazimierz Gliński: »Boruta«. Powieść z lat dawnych. Warszawa-Kraków. Gebethner i S-ka. 1904. Str. 555.

sam Boruta: »mówiłem ci, że za mną zamieszanie chodzi i wichr: że to na co spojrzę — ginie, czego się dotknę, pryska... Ale wolno mi raz na dwa wieki umiłować kogoś i szczęście dać... a choć źle, gdy ludzie nie wierzą, stokroć mi gorzej, gdy wybrany wiary mi nie da« (str. 334). Nie jest wprawdzie Boruta takim dyabłem, jakim go religia przedstawia, ale takim, jakim się objawiał w powieściach ludowych. Mimo więc rozmaitych usterek powieść jest przyjemną i interesującą.

Powieścią historyczną nazywa też p. Stasiak swój »Brandenburg«[1]. Sięga ona do czasów Henryka Ptasznika i margrabiego Gero, a odgrywa się przeważnie za margrabiego Dietricha i Bernarda saskiego. Za mało znane i wykorzystane źródła dotyczące tej epoki, dlatego też nie występuje ona w tej plastyce i wyrazistości, jakiej po powieści historycznej wymagamy. O ile w odtworzeniu faktów dziejowych mógł się autor oprzeć na pamiętnikach, dokumentach i źródłach, o tyle w malowaniu czasu, obyczajów, wierzeń, w odtwarzaniu mniej znanych historycznych postaci, musiał się posługiwać przeważnie wyobraźnią. Tytuł powieści wskazuje na jej treść. Jest nią walka odwiecznego wroga Słowiańszczyzny, walka na śmierć i życie, prowadzona często, rozumie się pozornie, pod sztandarem krzyża i chrześcijaństwa, przez żywioł germański. Zdrada, krzywoprzysięstwo, niedochowywanie obietnic, siła i podstęp wymordowały »naród gęślarzy... co broni przypasywać nie umiał« i tylko »w szumie trzcin na bagnach Braniboru dosłyszysz echa słowiańskiej pieśni, szelest kosaćców na błotach Haweli opowie ci o narodzie, który umarł«. Smutny to i czarny obraz, dla nas jednak ważny i aktualny, gdyż pokazuje, że to co się dzisiaj pod zaborem pruskim dzieje, jest tylko dalszym ciągiem od wieków toczonej walki. Ale dlatego właśnie czytelnik ma pewien żal do autora, że swoim utworem nie zupełnie go zadawalnia. Składa się na to i styl i sposób przedstawienia rzeczy. Ten styl obrazowy, kwiecisty, urwany, pełen niespodziewanych zwrotów i efektów nuży w powieści; w noweli pomnożyłby on jej wdzięk, tu na kilkuset stronach staje się nienaturalny, przemienia się w prozę poetyczną, która wymaga niesłychanego smaku artystycznego ze strony autora, jeżeli nie ma przekroczyć dozwolonej granicy. Sposób znów przedstawienia rzeczy utrudnia zoryentowanie się. Tyle osób, tyle obrazów przewija się

[1] Ludwik Stasiak: »Brandenburg, kraina słowiańskich mogił«. Powieść historyczna. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. Str. 396.

przed oczyma czytelnika na chwilę, aby zaraz ustąpić miejsca innym, i gdzieś znowu po kilkudziesięciu stronach na nowo wypłynąć; z tego jednak powodu, chcąc iść za tokiem powieści, nie wystarczy ją czytać, trzebaby ją studyować, inaczej czytelnik się zgubi w mnóstwie szczegółów, zaciemniających pojedyńcze rysy całości.

I jeszcze jedno! Końcowy ustęp powieści tak nie licuje z duchem dzieł autora, że chyba tylko boleścią i rozpaczą wytłumaczyć się da.

Niesłychanie ujemnie odbija za to od omawianej wzwyż powieści Stasiaka utwór Gruszeckiego[1], a przecież myśl w nich w przeważnej części ta sama: walka Niemców przeciwko Słowianom, prowadzona tylko na różnych polach. Lecz gdy powieść Stasiaka, mimo wszelkich słabych stron ma dużo przymiotów prawdziwie artystycznych, przedewszystkiem w piękności poszczególnych scen, w »Nad Wartą« tego wszystkiego nie znajdziemy. Są to rzeczy znane z każdej gazety poznańskiej. Wprawdzie i takie rzeczy mogą być przedmiotem powieści, ale niech przynajmniej przedstawienie ich będzie nowe, oryginalne, pogłębione i choć trochę artystyczne. Tego u Gruszeckiego niema, zresztą być nawet nie może, skoro równocześnie tego samego autora kilka rozmaitych powieści drukują gazety. Ten nadmiar wydawanych dzieł niesłychanie szkodzi autorowi, gdyż trzeba być chyba geniuszem, żeby w takich wypadkach dać przynajmniej coś znośnego, a tej iskry geniuszu na czole Gruszeckiego nie widać. Z tłumokami, powiedział w swych Pamiętnikach biskup Feliński, nikt jeszcze do potomności nie przeszedł, a my od siebie możemy dodać: i literaturze przysługi wielkiej nie oddał. Uznajemy wprawdzie w ostatniej powieści dobrą wolę autora, jego szczere chęci i samej powieści aktualność, ale to jeszcze nie wystarcza.

Utwory zawarte w ostatnim wreszcie wytwornie wydanym tomiku[2], a ogłaszane już dawniej w warszawskiej *Chimerze*, należą w przeważnej swej części do satyrycznych. Myśli w nich dobre i zdrowe smagają różne, nie słabości, lecz słabostki ludzkie, które

---

[1] Artur Gruszecki: »Nad Wartą«. Powieść współczesna. Warszawa. Jan Fischer. 1905. Str. 296.

[2] Jan Lemański: »Proza ironiczna«. Bajki. Bajeczki. Przypowiastki dla dziatek. Sielanki. Warszawa-Kraków. Gebethner i S-ka. 1904. Str. 282.

przyoblekają wprawdzie zawsze pozory prawdy, są jednak w gruncie blichtrem i blagą. Takiemi są w pierwszej linii »Bajki« i »Przypowiastki dla dziatek«, dodajmy od siebie, dla dziatek sercem i rozumem, dla dorosłych i starców ciałem. Wartość odbiera tylko tym »Bajkom« i »Przypowiastkom« zbytnie zestawienie i nagromadzenie szczegółów, które osłabia i rozprasza uwagę czytelnika, nie pozwalając mu na ich pogłębienie a wielu niestety! na ich zrozumienie i zastosowanie; nie pomnaża też ich artyzmu za silnie i za nago występujący element dydaktyczny — nie łączy się on w jedno z odpowiednią formą, jakiej od podobnych utworów wymagamy, jeżeli chcemy, aby wywołały estetyczne wrażenie. W »Bajeczki« wprowadza nas doskonale sam autor we »Wstępie«: »od czasu wynalezienia bajek, zwierzęta, skłonniejsze do czytania i przyjmowania dobroczynnych wpływów literatury, to i owo w naturze swojej przeinaczyły. W bajeczkach powyższych o takich właśnie ulepszonych stworzeniach mowa«. W »Bajeczkach«, parafrazach bajek Ezopa, Fedra, Krasickiego i innych, uderza przedewszystkiem podana w zwięzłej formie nieoczekiwana konkluzya; nie zawsze ona wiele mówi, mija się czasami może z celem bajki, jak n. p. w »Jagnię i wilk«, ale ostatecznie takie niespodziewane zakończenie zaciekawia i częściowo nawet zadawalnia. Do zupełnie innej kategoryi należą wreszcie »Sielanki«. Z wyjątkiem jednej »Bilard«, niema w nich wcale elementu satyrycznego, natomiast jest wiele liryki, dużo zrozumienia i odczucia piękna przyrody, dużo obserwacyi i jak n. p. w »Kąpieli« dużo humoru, życiowej prawdy i umiarkowanego realizmu. Wogóle w zbiorku pojawia się nie przeciętny talent, różnorodny wprawdzie, lecz nie jednolity.

Ks. Wiktor Wiecki.

Z dziedziny kaznodziejstwa.

II.

Ks. Józef Stanisław Adamski T. J.: »Hołd Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy«. — Ks. Władysław Chotkowski: »Pamiątka 50-letniego jubileuszu Niepokalanego Poczęcia, w Krakowie, 1904 r«. — Ks. Konstanty Marya Żukiewicz Zak. Kazn. »Pocieszycielka strapionych«. — Ks. Lic. A. Jaskulski: »Przemowy dla Bractw Różańcowych i innych« t. I do młodzieńców i panien. — Ks. Stefan Bratkowski T. J.: »Magnificat a Przenajświętszy Sakrament«. — Ks. Skarga: »Kazania o Przenajświętszej Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy«.

Pięćdziesięciolecie Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny było wymownym objawem głębokiej i szerokiej czci Świętej Bożej Ro-

dzicielki we wszystkich dziełach myśli ludzkiej. Zarówno nauki kościelne jak świeckie, historya jak poezya, rzeźba jak malarstwo, muzyka i sztuka złączyły się dziwnie harmonijnie w jeden wielki hołd ludzkości dla Niepokalanej Dziewicy. Wszystko przepełnione było jej chwałą i uwielbienia opiewało, czyż więc krasomówstwo kościelne mogło pozostać w ciszy milczenia? Nie. Powinno było złożyć ono w pierwszym rzędzie swe dary, a te prawdziwie wielkie, wspaniałe. Po przepięknem dziele śp. ks. Krechowieckiego nie łatwo było o godnym hołdzie jubileuszowym pomyśleć, ale też kiedy się odważyło już na ten krok, w tej epoce trzeba było dać dzieło dosięgające »Niepokalanej Bogarodzicy Maryi« Krechowieckiego. Z tego punktu rzeczy musimy powitać na niwie kaznodziejskiej jubileuszowy »Hołd Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy«[1]) ks. Adamskiego. Od tej chwili bowiem jest to pierwszy znowu płód kaznodziejstwa maryologicznego tak pod względem okrągłości przedmiotu, jak wzniosłości i głębokości przedstawienia, a miłości ku Bogarodzicy w skrzętnej i sumiennej objawiony pracy.

W tendencyi autora leżało nietylko objaśnienie dogmatyczne przywileju Niepokalanego Poczęcia w jego istocie, ale wyczerpnięcie go zupełne w tem świetle w jego przyczynach, skutkach i przywilejach. Tem się też różni zasadniczo od dzieła Krechowieckiego. Gdy to bowiem objaśnia nam dogmata kościoła o Maryi, Jej przywileje, głoszenia w starym i nowym testamencie, historyę i pobudki nabożeństwa do Bogarodzicy na tle Jej żywota w przebiegu historycznym, tedy nasze skupia to wszystko w odniesieniu do jednego przywileju, który w porządku życia fizycznego Maryi w wyborze Jej na Bogarodzicę stał się pierwszym. Nietylko tyle! Ks. Krechowiecki osnuwając swe kazania na tle żywota musiał wyczerpnąć chronologicznie wszystkie wiarygodne szczegóły z nich homiletycznie korzystając, nie był tem wcale skrępowany ks. Adamski, rozkładając swój przedmiot na szczegółowem tle związków jednego wyłącznie dogmatu. Skutkiem tego u ks. Krechowieckiego staranniej obrobionym znajdujemy materyał z życia Maryi w jego zewnętrznych objawach: w figurach i przypowieściach, w chwilach czynną nacechowanych działalnością w ewangelii i tradycyi i historyi nabożeństwa Maryańskiego, gdy ks. Adamski nauki swe osnuwa na przedmiocie abstrakcyjnym dogmatycznym. Cel praktyczny obydwóch dzieł był wspólny tj. danie podręcznika kaznodziej-

[1] Poznań 1904. Str. 406.

skiego do kazań i nauk majowych, dlatego też pierwszy zawarł swój przedmiot w 32, ks. Adamski w 31 naukach. Różnią się więc z natury rzeczy obydwa dzieła nie źródłami teologicznemi, bo zarówno w jednem jak w drugiem i Pismo św. i dzieła Ojców i doktorów Kościoła są gruntownie wyzyskane, ale tem, gdy że w ks. Krechowieckim znajdujemy wprawdzie ze względu na żywot Maryi pełniejszy ogólnie materyał z szczególnem uwzględnieniem szczegółów życia, to tu mamy wyczerpany o ile bezpośrednio czy pośrednio dotyczy wyłącznie dogmatu Niepokalanego Poczęcia, a objawia się na pierwszym planie w efektach życia wewnętrznego; szczegóły zewnętrzne stanowią materyał pomocniczy.

Rzecz swą w nauce wstępnej poczyna autor od proroctwa zawartego w kantyku Maryańskim Magnificat, »a oto odtąd błogosławioną mię zwać będą wszystkie narody« i wykłada, jak się ono przez wszystkie wieki spełnia, a zarazem rozbiera szczególne powody do wielbienia Maryi w miesiącu maju. I odtąd już nic nie będzie łączyło głębiej onej wstępnej nauki, powiedzielibyśmy raczej kazania, z całością prócz tego właśnie tekstu naczelnego, który każdej z nauk przewodzi. Cykl zaś kazań o Niepokalanem Poczęciu zaczyna dopiero wtóra nauka. Myśl przewodnia dzieła jest nader głęboko wzięta, a pięknie i wyczerpująco przeprowadzona w dogmatycznem pojęciu. Niepokalana w odwiecznej myśli Bożej, wyczekiwana i wielbiona w przedchrześcijańskiej dobie, to wspaniały wstęp do całości, pełen poezyi i godności tej wielkiej chwili, w której autor ma odsłonić nam Dziewicę pełną łaski, Niepokalaną w promieniach najwyższych nadprzyrodzonych darów i przywilejów Boskich. Snać jednak, aby ta wielkość tem zrozumialszą była dla nas a przez to tem wyższą i piękniejszą się nam okazała, przygotowuje nas do wyłożenia jej przez pewne wstępne pojęcia wystawiając Niepokalaną w świetle pierwotnego stanu łaski to znowu w przeciwstawieniu niejako do tego wśród pomroku nocy grzechowej w ponurem oświetleniu grzechu pierworodnego, aż ostatecznie dotyka już rozumu naszego dowodami samegoż dogmatu z objawienia i rozumu, a wolę i serce przygotowuje wysnuwając praktyczne z nich wnioski. I wtedy dopiero pokazuje nam Niepokalaną w owem cudownem słonecznem świetle pierwszej łaski Bożej, w jej zacności i nadnaturalnym jej rozkwicie i stałem działaniu, łaski pełną w całej zawartości jej Poczęcia Niepokalanego. Począwszy od wlania łaski uświęcającej w mierze godnej Bogarodzicy przechodzi Jej wyposażenie we wszelkie cnoty i dary Ducha św., najznamienitsze przywileje: bezgrzeszność, wolność od złej skłon-

ności, a świadome używanie rozumu, uzupełnia swe tłómaczenie zwracając naszą uwagę na słuszność i aktualność podniesienia tej przecudnej prawdy wiary do rzędu dogmatów Kościoła katolickiego i znaczenie jego dla ludzkości, a kończy ostateczną podając przyczynę Niepokalanego Poczęcia w godności Macierzyństwa Bożego Świętej Bożej Rodzicielki. Stajem podniesieni, zachwyceni, olśnieni, kaznodzieja wzmaga jeszcze nasz zachwyt, podnosi nas aż do tronu samego Boga największej absolutnie z tajemnic do tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, stykając w naszych oczach Maryę z Jej Istotą przez rozpromienienie i dopełnienie Trójcy Najśw. jakie w Niepokalanej Maryi upatruje, a szukając równie potężnego jak prawdy wyłożone odźwierciedlenia ich w ludzkości, znajduje odwzór tajemnicy Trójcy Najśw. w wzajemnej miłości chrześcijańskiej. Gdyby nie ten gruntowny, stopniowy wykład nauki dogmatycznej w całej rozciągłości, nasz zachwyt nie posunąłby się do tak wysokiego stopnia, bo zrozumienie nie byłoby tak dostatecznem i miłość nasza ku Maryi takich szczytów wysokich nie dosięgłaby nigdy; im gruntowniej naukę samą poznajemy, tem więcej wzmagamy się w uwielbianiu i czci. Nie dość jednak było kaznodziei przygotować i wytłumaczyć wszechstronnie dogmat w przyczynie i skutku, chce go jeszcze wgłębić, a nas zbudować. Nowy przeto otwiera przed nami świat duchowy, otwiera Niepokalane serce Maryi, jako najpodobniejsze do serca Jezusa i miłości ku nam niezrównanej, pokazując w niem wszelkie skarby i dary, jakiemi Wszechmoc Boska je wyposażyła tj. dary i owoce Ducha św., a jako wyraz tego najściślejszego z Bogiem połączenia wieńczy je stosunek Niepokalanej do Najświętszej Eucharystyi. Niezupełnym byłby hołd Niepokalanej, nasze zadowolenie wewnętrzne i rozumu niezupełne, brakłoby czegoś, a tak znowu wzniosłego, nieogarnionego przez nas jak chwała Maryi Niepokalanej w niebie, gdyby tej wiecznej szczęśliwości nie objawił nam kaznodzieja, uchylając z przed oczu zasłony ziemskiej Królestwa Niebieskiego. I tu podobnie jak wtedy, kiedy zbliżył Maryę do tronu Trójcy Przenajśw. i złączył z nami wzajemną miłością zachwyt nasz nie kończy się, ale zostaje w długotrwałych owocach rozmyślania Niepokalanej, bo wskazuje nam Jej drogi do nieba, szczepi je pouczając o znamionach prawdziwego do Niej nabożeństwa, a potwierdza wiarą i nadzieją najpewniejszą w zbawieniu przez Niepokalaną Bogarodzicę, współodkupicielkę ludzkości.

Oto pomysł kaznodziejski i treść Hołdu Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy ks. Adamskiego.

Fachowa krytyka kaznodziejska[1] zarzuca autorowi, że zarówno podniosłością treści jak opracowaniem przechodzi poziom każdego przeciętnego słuchacza, a tembardziej tego, który zwykł gromadzić się na nabożeństwach majowych, bo dla tych jest właśnie przeznaczonem, a tak jest wysoką i trudną do pojęcia, że nawet przy pilniejszem wczytaniu się wydaje się jeszcze zbyt mało przystępną. Złożyło się na to i dużo bezwątpienia także przyczyniło do powiększenia tego zarzutu wykonanie samo. Mało zbliżył bowiem autor swój temat do pojęcia ogółu, pomijając te środki, które homiletyka w takich wypadkach radzi, a ujął w formę więcej traktatów teologicznych jak kaznodziejską. Z pewnością posługiwanie się terminami teologicznymi, technicznymi wyrazami naukowymi, w stylu ledwo że zrozumiałemi obcokrajowemi słowami przy ogólnym braku zastosowania praktycznego musiało krytykę uzasadnić. Wprowadził prawda gdzieniegdzie nader trafne, świetne, chwilami objaśniające rzecz porównania, ale i te często są zbyt szerokie i równie mało przystępne. Czy autor nie zdawał sobie z tego sprawy? Owszem przewidział i odgadł ten zarzut i nie tuszył sobie przeto wcale, żeby te nauki miał pojmować kto jako wzór wymowy kościelnej majowej, ale pragnął pod tą pozorną formą dostosowany do majowego nabożeństwa kaznodziejom dać podręcznik obszerny, wyczerpujący dogmatycznie przywileje i wielkości Matki Najświętszej, bo kiedy w innych naukach świeckich usiłujemy się zagłębiać w niedościgłe takie tajemnice wiedzy, czemuż w zakresie religii, w rzeczach dotyczących wielkości Matki Najśw. nie mielibyśmy głębiej w nie wnikać? sam nam odpowiada we wstępie. Rzeczą więc korzystających z podręcznika ks. Adamskiego będzie wybrany sobie stąd przedmiot przez obrobienie homiletyczne uprzystępnić swoim słuchaczom i przelać go w formę ściśle kaznodziejską.

Innym zarzutem przez krytykę podniesionym to prawie zupełnie wykluczające ograniczenie materyału maryologicznego w naukach o darach i owocach Ducha św., bo tylko końcową wzmianką domówienia utrzymują związek materyalny z głównem zadaniem dzieła, z tem czego słuchacz majowy oczekuje i o czem najmilej mu słuchać, z życiem Maryi. A przecież kiedy mówił i mówił tak obszernie, tak gruntownie o darach i owocach w duszy i sercu Maryi znalazłby pole do wyzyskania w pełnej ilustracyi kaznodziejskiej i bliższych obrazowych zastosowaniach praktycznych momentów z życia Maryi w jego history-

[1] Ks. Profesora dra A. Jougana. Lwów. *Gazeta kościelna* 1905. nr. 20.

cznym ziemskim przebiegu. Czy może nie chciał przez to pominięcie nadać swemu pomysłowi bardziej wyłącznego charakteru naukowego przez ścisłe bardzo ograniczenie jego treści?

W stylu obok zaznaczonych już wynikłych z naukowości przedmiotu trudności bardziej nad tamte rażą nas formy oraz sztuczne wyrażenia, których autor szuka do wypowiedzenia i objaśnienia swej myśli a tem bardziej te, które krytyk nazwał pretensyonalnemi. Jest on jednak często świetny w czystości języka, piękności literackiej wysłowienia się, polotny i obrazowy tam zwłaszcza bez wyjątku, gdzie nieznać na nim gallicyzmów wynikłych ze studyum autorów francuskich, którym snać się szczególniej ks. Adamski poświęca.

Niepospolitą zaletą Hołdu Niepokalanej Dziewicy Bogarodzicy, to ów temat właśnie głęboko teologiczny, który przedstawia nam wszystko, co w życiu Maryi jest najpiękniejszem, bez czego Marya nigdy godnej pochwały otrzymaćby nie mogła, a my w całej pełni zrozumieć Jej żywota tj. przywileje i łaski Boże, których nigdy przeto odłączyć od Jej osoby nam nie wolno, jako złączonych najściślej z największą Jej ozdobą: przeznaczeniem na Bogurodzicę. A kiedy one znajdujemy naukowo przedstawione i wyczerpane, wtedy żywiej i jaśniej do rozumu i serca przemawiają, tedy wzrasta nasza wiara, potężnieje nadzieja a serce przepełnia się niewymowną, ale trwałą pociechą. A wtedy czyż może sobie kaznodzieja życzyć pomyślniejszych jeszcze na ambonie owoców błogosławieństwa Bożego jego słowu danego? W rzędzie podręczników homiletycznych z wielką zasługą łączy też w sobie dzieło ks. Adamskiego pierwszorzędne miejsce, jakie zyskać sobie musi pełnością tematu i jego przedstawienia i uzupełnienia, a rozłożeniem go dla ambony odpowiedniem. Niech więc niesie kapłanom jak najwięcej pożytku w praktyce kaznodziejskiej jako wyborny podręcznik maryologiczny, wśród tak licznych okazyi, jakie w dzisiejszym rozwoju nabożeństwa do Maryi znajdujemy w głoszeniu Jej pochwał i rozszerzaniu cnót.

W jubileuszowem pokłosiu Niepokalanego poczęcia jest to największa i najpiękniejsza polska publikacya, w której literatura homiletyczna złożyła wspaniały hołd czci, uwielbienia i miłości Dziewicy bez zmazy poczętej.

Perłą wśród tych hołdów jubileuszowych Niepokalanej Dziewicy jest kazanie powiedziane na 50-letnią rocznicę ogłoszenia dogmatu

Niepokalanego Poczęcia w katedrze na Wawelu przez ks. Prałata Chotkowskiego[1].

Prócz tej pięknej potoczystej, obrazowej a pełnej energii wymowy kaznodziei potrójna okoliczność musiała wyjątkowo korzystnie odzwierciedlić się w tym utworze kaznodziejskim. Nietylko bowiem sam w sobie jubileusz należał do owych uroczystych, a płodnych dla wymowy kościelnej chwil, ale miejsce, gdzie przemawiał i obchód jubileuszowy wzmagały natchnienie i siłę, uczucie i chęci, pomysł i zastosowanie. U nas takiem miejscem najwyższem mógł być tylko Kraków. A jeśli dodamy do tego, że właśnie w tym dniu Kraków postanowił święcić tryumf publiczny Niepokalanej wspaniałym pochodem z Iwonowej świątyni Maryackiej, w którym nie brakło żadnej społeczności katolickiej polskiej miasta, od drobnej dziatwy szkolnej, młodzieży zawodowej, stanów i bractw i stowarzyszeń, duchowieństwa i przedstawicieli rządu i miasta otoczonych poszarpanemi zębem czasu różnobarwnemi chorągwiami cechowemi, można pojąć piękne zarówno jak pełne odpowiedzialności stanowisko kaznodziei, oczekiwania publiczności takiej i w tak niezwykłych okolicznościach zebranej, a podziwiać wywiązanie się przemawiającego. Tu każdy wyczekiwał tej poważnej, pełnej znaczenia chwili, kiedy on panteon, w którym ongi złotoustemi usty królewskiego kaznodziei Skargi naród cały składał wyznanie wiary wobec dworu w Niepokalane Poczęcie Maryi, dziś zabrzmi już tryumfem tego wyznania po fakcie przed 50-ciu laty dokonanym.

Inaczej być nie mogło. Skarga musiał stworzyć w swojem kazaniu wyznanie wiary, kiedy ta prawda dogmatyczna nie była jeszcze jako dogmat Kościoła ogłoszoną, ale orzeczoną poraz pierwszy przeciwko Protestantom przez sobór trydencki, wtedy kiedy reformacya targnęła się na ten klejnot czci Maryi, a ona miała zwycięstwo pierwsze w wierze ludzkości odnieść; ks. Chotkowski musiał objąć tryumf wielki Niepokalanego Poczęcia, przemawiając w dzień jubileuszu, bo to było koniecznym hołdem Maryi, nam zaś niezbędną zachętą do Jej czci i ufności wśród niebezpieczeństw dzisiejszych czasów, aby Niepokalana wiecznie wśród nas laury święciła. Stąd w tej mowie wyłoniło się tło jej historyczne, a pochwycone po kaznodziejsku nie mogło wypaść lepiej jak właśnie w przedstawieniu walki szatana z Najśw.

---

[1] Ks. Władysław Chotkowski: Pamiątka 50-let. Jubileuszu Niepokalanego Poczęcia w Krakowie 1904. Str. 31. Odbitka z *Głosu Narodu.*

Panną w dziejach Kościoła. Tu bowiem w uwzględnieniu naszych dziejów na ogólnem tle dziejów Kościoła mogły dopiero nabrać znaczenia, siły i znaleść odpowiednie sobie miejsce pierwszorzędne okoliczności one wszystkie miejsca i czasu i słuchacza.

Walkę więc z szatanem i tryumfy Dziewicy Niepokalanej mamy przed sobą, tę którą szatan od raju po wszystkie czasy toczy, czyhając na to, aby przeszkodzić dziełu odkupienia, żeby je zwichnąć i skrzywić, a ludziom jak najwięcej zaszkodzić; te tryumfy, które ludzkość i każdy z osobna z nas pod sztandarem Niepokalanej Dziewicy, co zwycięstwo odniosła nad szatanem, ma dzielić i zwycięstwo tam, gdzie Ona króluje nad aniołami. Wobec tego zadaniem głównem stało się dla kaznodziei w kierunku praktycznym, przypomnienie tych dróg, któremi nieprzyjaciel dusz naszych chodzi i środków, których w walce używa, a zachęcenie do czujności, męstwa chrześcijańskiego i wytrwałości, bo ten Jej jubileusz uroczysty winien być dla każdego zachętą i umocnieniem, utwierdzeniem w nadziei i pewności zwycięstwa. Samo wykonanie planu w jego formie jest niezwyczajnem. Osią bowiem około której przewodnia myśl się snuje jest potrójna pożądliwość: pycha żywota, ciała i oczu, przez które szatan nam klęskę gotuje a Marya depcze jego głowę. Trzy więc części ma mowa Pierwsza rozwija przed nami w dziejach ludzkości i prawodawstwa tryumf przedewszystkiem szatana na tle dziejów przedchrześcijańskich pod względem objawów zwycięstwa nad szlachetnemi uczuciami potrójnej onej namiętności. W drugiej części występuje Marya jako pogromicielka szatana na tle znaczenia i wpływu niewiasty Chrystusowej ze szczególnem uwzględnieniem zwycięstwa nad pożądliwością ciała. Kiedy pierwsza część wystawiła nam okropną, rozpaczliwą czerń życia pogańskiego w jego bóstwie, życiu i rozumie, mimo szlachetnych usiłowań jednostek i rozumienia złego, oną bezwładność i opuszczenie rąk *tam, gdzie nie masz wspomożenia z nieba* i przykładu, wtóra wprowadza nas w niezrozumiały świat cnoty, poświęcenia, heroizmu; przesuwają się w niej postaci świętych niewiast w listach apostołów i pierwszych wieków Kościoła, u Ojców, w czci całego Kościoła tych służebnic Bożych, które poszły w ślad onej Niepokalanej służebnicy Pańskiej wśród wszystkich ludów chrześcijańskich; brakło ich, piętnuje kaznodzieja, wśród naszych tylko nieprzyjaciół, a my dziwnie wielką liczbą świętych służebnic poszczycić się możem, pośród największej nawet walki szatana z Najświętszą Panienką. Nietylko zwycięża szatana w pożądliwości ciała w dziewictwie, w ślad za niem idzie czystość małżeń-

ska, która jest węgielnym kamieniem społecznego ładu i kiedy szatan wydaje walkę w połowie minionego wieku małżeństwu, Pius IX ogłasza dogmat Niepokalanej; kiedy pod pozorem emancypacyi kobiet w dzisiejszych czasach zniweczyć chce chrześcijańskie cnoty niewiast, Leon XIII ogłasza jubileusz, a Pius X z największą wszechświatową uroczystością go dokonuje. Oby więc on był przypomnieniem dla niewiast polskich, że tylko cnota daje im królewski diadem na czoło. — Innem polem zwycięstwa Niepokalanej zwycięstwo nad zakusami szatana w pożądliwości oczu i pychy żywota, obie mają dużo stycznych w duszy naszej, a najbardziej objawiły się wśród dziejów właśnie w epoce 50-lecia Niepokalanego Poczęcia: ucisk Stolicy św., odebranie Piotrowego dziedzictwa, walka otwarta wszędzie z Kościołem, klerem i zakonami, świętokradzkie targnięcie się na dobra kościelne, odnowione pragnienie starodawne panowania nad kościołem, herezye i odszczepieństwa, dogmat nieomylności papieża i nadzwyczajny wzrost w tym czasie hierarchii kościelnej, a dziwna jedność z Stolicą św. Oto treść części trzeciej mowy, w której Niepokalana odnosi tryumf nad pychą i chciwością ludzką.

Rzecz przeprowadzona historycznie z uwzględnieniem całych dziejów chrześcijaństwa, przy jędrnych, a tęgich zwrotach do społeczeństwa, emfatycznych to znów rozwiniętych wyrażeniach złożyła się na ów hołd jubileuszowy Wawelski, jakim uczciliśmy znowu Niepokalaną. Zakończenie tworzy zastosowanie moralne odpowiednie potrójnej owej myśli przewodniej, miarowe, zda się ogólne, więcej oględne w takich razach, ale pełne głębokich myśli, które refleksya wewnętrzna uzupełni, liczące już na samo podniosłe wrażenie i odczucie w słuchaczu owej potężnej, jakiej z takiem wyczekiwał naprężeniem, chwili. Tu kaznodzieja nie liczy na szczegółowe tyle wyłożenie zastosowania do życia, jak na takie przedstawienie faktów minionych, któreby do poprawy koniecznej obecnych stosunków przemawiały, jeżeli nie chcemy, by minione nieszczęścia się powtórzyły, a myśl na te miejsca głównie mają za zadanie zwrócić właśnie emfatyczne wyrażenia i zestawienie samychże faktów z obecnymi często objawami społecznymi, a te właśnie parallelizmy historyczne i antytezy rzeczowe są owemi wymownemi, wstrząsającemi swą powagą i prawdą zastosowaniami.

Kiedy mówimy o jubileuszowych płodach kaznodziejskich w literaturze maryańskiej nie wolno nam obojętnie minąć niewielkiej prawda książki, ale wiele zalet posiadającej p. t. »Pocieszycielka stra-

pionych«[1] Ojca Konstantego Żukiewicza, członka zakonu Kaznodziejskiego.

Jest to zbiorek z trzynastu składający się nauk, dostosowanych do nabożeństwa październikowego ku czci Matki Boskiej Różańcowej, a jak tytuł wskazuje, objaśniających w szczególny sposób ów tyle miły i podniosły, a pełen dla nas rękojmi Jej stosunek do ludzkości jako Pocieszycielki Strapionych, nas nędznych wygnańców Ewy na tym łez padole. Oto idea przewodnia nauk, a że musiały się szeroko zarysować, oczywiście, bo jak każdy wiek i każdy stan ma swoje strapienia, tak każdy z nas potrzebuje pociechy Maryi, a że pomysł ten cyklu kaznodziejskiego nie mógł może być nad inne właściwszym nabożeństwu różańcowemu, historya tegoż może nam najwymowniejszymi odpowiedzieć faktami. Nic też dziwnego, że wstępna nauka pierwsza nie tłomaczy, wobec słuchacza znającego dzieje Różańca św., ale zagaja swój cykl kaznodzieja jednając sobie potrzebną jego ufność objaśnieniem dwóch ogólnych, ale podstawowych myśli czci Maryi, że może i zechce nas pocieszyć. Szczegółowy zaś stosunek wykłada w dwunastu dalszych naukach podejmując kilkanaście szczegółów ważniejszych, a zapewne odpowiedniejszych danemu słuchaczowi, z owego przedziwnego królowania Maryi w Jej miłości i potędze, objawiającego się właśnie w tej głębokiej pociesze, jaką ogarnia naszą duszę nabożeństwo do Maryi. Stosownie więc rozkłada swą materyę: 1. Pocieszycielka Kościoła. 2. Kościoła w jego dziejach. 3. Polskiego narodu. 4. Rodziny. 5. Młodzieńczego wieku. 6. We wszelkich potrzebach. 7. Sprawiedliwych i grzesznych. 8. W dziejach Różańca. 9. W tajemnicach różańcowych. 10. Modlitwa do Maryi szczególnej pociechy. 11. Pocieszycielka w godzinie śmierci. 12. Dusz czyścowych.

Zapewne, że autor nie wyczerpnął w tem jeszcze swego przedmiotu do dna, że może w układzie cyklowym wolelibyśmy widzieć uporządkowane przedmioty w większej łączności treści, mianowicie ogólne z ogólnemi, a w takim razie nauka trzecia, ósma i dziewiąta musiałyby być ostatniemi tak, że obecna trzecia zamykałaby cykl — albo historyczne musiałyby być znowu złączone, tak żeby ósma i dziewiąta nastąpiły bezpośrednio po trzeciej, a inne ogólnej treści razem ze sobą stanęłyby w związku empiryczno-duchowym, ale to, co nam dał O. Żukiewicz w tych naukach, stanowi jeden z najlepszych utwo-

[1] Żółkiew 1903. Str. 127. Wydanie z okazyi jubileuszu jako odbitka z *Róży Duchownej*.

rów mniejszych homiletycznych naszych lat. Dlaczego? Bo owe życie niewidzialne Świętej Bożej Rodzicielki, jako współodkupicielki rodzaju ludzkiego mamy z nowej nam strony i w nowej przedstawione szacie w doświadczalnem codziennie życiu; bo wyzyskano tam w zamierzonym przedmiocie doskonale jego objawy psychiczne i moralne, a te w głównych zarysach objęły najważniejsze chwile życia naszego, a przez ilustracyę historyczno-kościelną, przez interesującą ozdobę życia świętych i inne przykłady stały się bardziej dla nas żywotnemi i tem milszemi.

Forma jest do krótkich nauk zastosowana nadto dobrze; ujęcie przedmiotu zajmujące, styl nawet literacki z pewnym polotem poetycznym a zdobny figurami krasomówczemi stawiają autora w rzędzie tych niecodziennych talentów kaznodziejskich, w których zwracają na siebie uwagę wykształcenie ogólniejsze, umiejętność zdania sobie sprawy z psychicznych objawów życia, delikatność uczucia, a przytem wytworność i zwięzłość zewnętrznego przedstawienia.

Wspólny łącznik w nabożeństwie różańcowem choć nie w przedmiocie maryańskim ściśle znalazły z naukami O. Żukiewicza »Przemowy dla bractw różańcowych i innych» ks. A. Jaskulskiego [1]. Pierwszy ich tomik przeznaczony jest dla młodzieńców i panien.

Co do treści dzieli się na dwie części: pierwsza zawiera 24 przemówień o rozmaitych obowiązkach moralnych i religijnych wieku młodzieńczego; druga cykl nauk o czystości z pięciu przemówień się składający. Wykładane one były z ambony na miesięcznych zebraniach róż młodzieńców i panien, obliczone zaś na lud wiejski z uwzględnieniem szczególnem tu i ówdzie młodzieży na świat wychodzącej. Stąd mowa to prosta, jasna, bo musiała być zrozumiałą; podnosząca zarówno cnoty, jak dająca środki przeciwko występkom, bo w przemówieniach podobnych nie chodzi tyle o dydaktykę, jak więcej o ascetyczne ujęcie życia chrześcijańskiego, podnoszące je do wyższej doskonałości przez zachętę czy obrzydzenie. Wobec tego znajdujemy pogląd na dzisiejsze wady młodzieży i skłonności dobrze zrozumiany, a stąd praktycznie też wyzyskany. Tezy swojej nie zbywa autor, lecz owszem starannie pragnie udowodnić pismem św. z przykładami a nauką właśnie ascetów i żywotami świętych, co naturalnie oko słuchacza często zwraca ku Maryi. Formie nie ma także tu nic do zarzucenia, została przyjętą jak

[1] Poznań 1904. T. I. Str. 189.

wogóle w podobnych krótkich przemówieniach nie stawiająca podziału kaznodziejskiego, ale treść obejmująca w systematycznie z sobą złączonych punktach. Wogóle przemowy ks. Jaskólskiego tak delikatną materyę poruszające odznaczają się wysokim taktem homiletycznym: nic niema tu ani rubasznego czy trywialnego, ani skromność i delikatny słuch obrażającego, a przecież wyczerpują swój temat zarówno w wykładzie samym przedmiotu, jak jego zastosowaniu w odkryciu ran wieku młodzieńczego.

Mimo tych zalet wszakże czuje się, że brak w tem dziełku czegoś. To brak tego szerokiego, otwartego, kapłańskiego serca zdolnego wlać głęboką pociechę, a zdobyć bezwzględne zaufanie młodzieńca, które serdeczna życzliwość słowa wzbudza wśród trudów, pokus i walk wieku. Jeżeli kto, to młodzież właśnie musi odczuwać, że wchodzi się w jej położenie, rozumie się je i pragnie pomódz i przygarnąć ją, że nie tylko zimnym z urzędu wskazanym morałem się ją napomina lub poucza, wymaga i sądzi. Trzeba koniecznie przemówić do młodzieży jej właściwym językiem, który nie tyle wchodzi w siebie, roztrząsa, ile porywa, i ideałem unosi, sercem pociąga, a wtedy można nawet w bardzo ostry sposób i stanowczy karcić i wymagać. Jestto ta wielka sztuka zdobywania sobie serc młodych sercem także. Brak wyzyskania tego psychicznego momentu zrobił te nauki suchemi, zimnemi i martwemi. Dlatego choć treścią gruntownie obrobione mogą stanowić dobry materyał do podobnych przemówień, ale w tego rodzaju płodach wymowy kaznodziejskiej pierwszego miejsca zająć nie zdołają.

W wykonaniu swojej myśli autor korzystał z różnych podręczników niemieckich i francuskich, zwłaszcza z niemieckich Cramera, Bremscheida T. J. i kanonika Deutza. W tem też zapewne leży źródło zarzutu, któryśmy musieli uczynić tym naukom: najpierw jako nie tyle opracowane, jak zależne od innych dzieł nie mogły objąć potrzebnego rozmiaru uczucia i przejęcia się, a niemieckie wzory tem mniej mogły korzystnie też wpłynąć na opromienienie ich ciepłem a wlanie życia. Krzywdą by było jednak dla tego dziełka, gdybyśmy odmówili mu zastosowania do naszych polskich stosunków, owszem jest ono w zadowalniający sposób przeprowadzone.

W praktycznej literaturze homiletycznej bardzo cenionemi są zarówno jak wykończone już dzieła, także tzw. szkice i skrócone nauki, gdzie znajdujemy albo plany nauk czy kazań, albo obfite myśli a głębokie do ich odtworzenia kaznodziejskiego podane. W rzędzie tych utworów

staje »Magnificat a Przenajświętszy Sakrament« ks. Bratkowskiego [1]. Treść tych dziewięciu nauk, w które autor zawarł swe zarysy kaznodziejskie na Magnificat sam tytuł jasno wskazuje i określa. Jest to więc egzegetyczno-ascetyczny wykład poszczególnych wierszów hymnu, jaki Marya wyśpiewała ku uwielbieniu Boga za największe dobrodziejstwo i łaskę Jej wyświadczoną, z odnośnem zastosowaniem do Najśw. Sakramentu Ołtarza. Głębokie myśli jakby natchnione nieraz, ciągły stosunek z Pismem św., którem nader obficie autor namaszcza swą rzecz, zastosowania jędrne, żywe zwłaszcza dotyczące młodzieży a pełne doświadczenia życiowego sprawiają, że »Magnificat« może niemałą usługę nam oddać na ambonie, zwłaszcza, że obrobienie i podział nader prosty nie przedstawiają żadnych trudności praktycznych, a świeżość pewna przedmiotu i trafność pomysłu ponętnemi były zawsze. Po wyczerpaniu pierwszego jubileuszowego wydania to samo dziełko ukazało się pt. »Przez Maryę do Jezusa« [2] w połączeniu z krótkim rozbiorem tajemnic różańcowych, w których przedewszystkiem cenimy wielką rozległość serdecznego, pełnego przekonania uczucia i głębokość pobożnej szczerze myśli. Szkoda, że wydawcy nie zadali sobie już fatygi w zachowaniu jednostajności technicznej przez oznaczenie wszędzie jak w »Magnificat« tekstów Pisma św. kursywą i zastosowanie odsyłaczy w spodnich marginesach, wtedy dziełko nie wyglądałoby na dorywczy zlepek dwóch całości i na zewnętrznej powierzchowności wieleby zyskało.

Nietylko współczesna wymowa w jubileuszu Niepokalanej oddała należną Jej daninę. Królową jest, była i będzie począwszy od Wojciechowej Bogarodzicy więc po wszystkie dni naszego istnienia należy się Jej hołd i kiedy współcześni tak wybitnie go złożyli, przeszłość ozwać się musiała z grobów zamarłem w jej piersiach, ale żywem w duchu uwielbieniem swej Pani. A czyj mógł być ten głos potężniejszym, znamienitszym, a powszechniejszym czci objawem jak nie Chryzostoma naszego, Skargi? I bez Jego imienia trudnoby sobie zaiste wyobrazić pokłon wieków narodu ku Bogarodzicy, gdy on zdolen był wszystkich być wspólnym wyrazem. W kazaniach Skargi przeznaczonych na święta roku liturgicznego znajdujemy sześć kazań poświęconych wyłącznie Bogarodzicy z powodu przypadających Jej świąt, niemniej w żywotach świętych obok żywota Jej, a właściwie z po-

[1] Kraków 1904. Str. 42.
[2] Kraków 1905. Str. 108.

wodu zwrotów homiletycznych homilii na Jej życie, umieścił Skarga krótkie a pełne wzniosłej wymowy kazania opiewające uwielbienia Przeczystej Pani. Te wszystkie wyłączone z ogólnego zbioru kazań Skargowskich nabierają osobnej wartości. Nietylko bowiem odtwarzają wtedy jaśniej ów czuły, serdeczny, dziecięcy rzeklibyśmy stosunek duszy Skargi do Maryi, której szuka najpiękniejszych pochwał, tworzy nowe uwielbienia rozkoszując się i pieszcząc tą miłością Jej macierzyńską, ale stanowią nadto najpiękniejszy w literaturze naszej cykl kazań maryańskich, w którym przedmiot mamy wyczerpany teologicznie zarówno jak historycznie, a zastosowany do życia tak mądrze, tak szeroko pojęty praktycznie, jak tylko mogły podobnie słowa Skargi to wypowiedzieć. »Wspaniałe są prostotą, siłą argumentu i jędrnością wyrażenia kazania Skargi na święta Bogarodzicy« tak je scharakteryzował prof. Tretiak [1]. Marya w ustach Skargi nietylko jest przedmiotem podziwu i uwielbienia, nietylko ideałem cnoty i życia chrześcijańskiego, ale przedewszystkiem dla nas naszą Panią i skarbem najwyższym naszej wiary, radą w sprawowaniu rządów, lekarką naszych obyczajów. — W języku Skargowskim więc złożyć cześć Niepokalanej, a przyczynić się do głębszego poznania dzieł Skargi było dewizą do wydania w czasie jubileuszu pięćdziesięciopoecia Skargi »Kazań o Przenajświętszej Bogarodzicy Niepokalanej Dziewicy« [2]. — Wydanie poprzedzone zostało wstępem o maryologii na ambonie Skargowskiej, rozjaśniającym właśnie ów stosunek Skargi do Maryi.

Tak się przedstawia żniwo kaznodziejskie tego osobliwego jubileuszu ogłoszenia dogmatu Niepokalanego Poczęcia. Zapewne późniejsze lata wykażą nam jeszcze więcej utworów i pomysłów kaznodziejskich, jakich jubileusz nam przysporzył, a że być musiały, tego dają nam pewność i uroczystości i nabożeństwa jubileuszowe, które z takim zapałem, miłością i wspaniałością były wszędzie w Polsce obchodzone, gdzie dusza kaznodziei i zdolności znalazły ów niezwykły przedmiot mówienia i myśli i serce wytężyć się musiały do najświetniejszego ich wyzyskania, a podniesienia wymową obchodów.

Ks. Jarosław Rejowicz.

[1] »Najświętsza Panna w poezyi polskiej«. Kraków 1904.
[2] Kraków 1904. Str. XIX i 155.

Z piśmiennictw obcych.

Oesterreichs-Bedränger. Die Los-von-Rom Bewegung. Von Rudolf Vrba. Prag. Str. 639.

Ksiądz Vrba, znany już z niektórych prac poświęconych kwestyom narodowym, społecznym i ekonomicznym, choć rodowity Czech, pisze po niemiecku dlatego, aby szersze koła, szczególnie politycznie czynne, z jego prac skorzystać mogły. Cel niniejszej pracy jest przez samego autora w przedmowie zaznaczony. Chce, jak mówi, wykazać, że nie mogą istnieć takie narody, któreby dla swych pozornie wyższych przymiotów, powołane były z pewnem uprawnieniem do panowania nad drugimi. Nie wiem, jak autor tę zasadę pojmuje, w każdym razie jest ona bardzo niejasno wyrażona. Że były i są narody posiadające wyższe zdolności organizacyjne, administracyjne i t. d. i z nimi naturalne dane do pewnego rodzaju hegemonii nad innymi, o tem cała historya świadczy. Żeby pewna hegemonia jednego narodu nad drugimi sprzeciwiała się chrześcijańskiej nauce, nie widzę i twierdzenia tego pogodzić nie mogę z ideą kościelną średnich wieków *sacri imperii romani;* przyznaję zaś autorowi słuszność, jeżeli myśli o przewadze dążącej do wytępienia i pokrzywdzenia innych narodowości. Że autor w tym względzie mylnego trzyma się zdania, pokazuje się już w pierwszym rozdziale tej pracy, poświęconym polityce narodowej Rzymian, w których historyi widzi tylko historyę rabunku i rozboju. Nie wiem który historyk się na to zgodzi.

Ale na szczęście ta niejasna zasada nie wpływa przynajmniej bardzo na resztę dzieła, omawiającego w sposób pouczający słynny ruch wszechniemiecki *Los von Rom* w Austryi. Wszędzie występuje w tej pracy wielka znajomość literatury wszechniemieckiej, którą się

autor szczególnie tam posługuje, gdzie chodzi o wyjaśnienie aspiracyi tego ruchu, o zdrowy, na chrześcijańskich zasadach oparty sąd i częste, w tej kwestyi bardzo pożądane używanie statystycznych dowodów.

Aż do XI rozdziału omawia autor ten ruch, o ile występuje jako antynarodowy i antyaustryacki. Wskazuje najprzód bardzo wyczerpująco na źródła i centrum tej całej agitacyi t. j. Prusy, przedstawiając politykę pruską względem Austryi szczególnie od r. 1866, gdzie osobny (V) rozdział poświęca osławionej polityce bismarkowskiej. Może autor pod wpływem dzisiejszych stosunków zanadto pesymistycznie patrzy się na rzeczy, ale przeważnie będzie prawda po jego stronie.

Ostro wypada także sąd autora o zachowaniu się władz, a szczególnie gabinetu koerberowskiego wobec tego ruchu. Sąd ten swój uzasadnia w rozdziałach, gdzie mówi o kwestyi narodowościowej (VIII) i z nią złączonej kwestyi językowej (IX, X, XI) w Austryi.

W następnych rozdziałach od XVI—XXIV zastanawia się autor nad religijną stroną tego ruchu. W gruncie rzeczy nie dowiadujemy się o aspiracyach protestanckich nic nowego, ale to, co mówi autor, popiera cytatami z literatury protestanckiej, illustruje faktami i jasno przeprowadza. Poruszył zaś w tej części swojej pracy jeszcze inną kwestyę, mianowicie: jak Kościół katolicki szczególnie w Czechach zachowuje się wobec tego ruchu, czy i o ile poddaje się presyi wszechniemieckiej ze szkodą dla żywiołu słowiańskiego? Nie możemy tu oszczędzić autorowi zarzutu stronniczości, jeżeli sądzi, że błędy w tym względzie popełnione, nie przez Kościół wogólności, ale przez pojedyncze osobistości, znajdują się tylko po stronie niemieckiego duchowieństwa. Jak zwyczajnie w każdej walce z pewną namiętnością prowadzonej *peccatur ex utraque parte.* Nie chcemy przez to usprawiedliwiać grzechów i błędów popełnionych z niemieckiej strony, ale nie zgadzamy się także na apoteozę strony przeciwnej. Szkoda, że autor, dając krótki przegląd historyi Kościoła w Czechach i na Morawach, nie wspomniał o historyi św. Wojciecha, źródle i przebiegu husytyzmu i *least not last,* także nieco o ruchu między dzisiejszym klerem czeskim (bílý prapor, wiec w Pradze i t. d.) a byłby może doszedł do innego przekonania.

Nie możemy sobie dobrze zdać sprawy z tego, w jakim właściwie związku z przedmiotem tej pracy stoją bardzo długie wywody autora (bo od str. 454—627) o ekspropryacyi narodów przez międzynarodowy kapitał — zdaje się, że autor przez to chce nadać walce toczącej się teraz z ogromną szkodą ekonomicznych stosunków na polu

narodowem i religijnem inny kierunek — w każdym razie ciekawych bardzo szczegółów z gospodarstwa narodów można się tam dowiedzieć.

Wynieśliśmy z przeczytania tego dzieła przekonanie, że daje ono doskonałe informacye o ruchu wszechniemieckim i niejednemu może oczy otworzyć, w zupełności także zgadzamy się ze słowami autora w końcowym rozdziale. Austrya potrzebuje dla dalszego swego istnienia i rozwoju wewętrznego pokoju, ten zaś możebny jest tylko wtedy, jeżeli wszystkim narodom przyznane będą równe prawa, przed prawem zaś stoi miłość bliźniego, tam jednak tylko się zaznaczająca, gdzie wiara Chrystusowa żyje w sercach ludzi.

Ks. A. Starker.

Skazoznyje motiwy w istorii Gerodota. *Witold Klinger.* Kijów. Str. 220, kl. nl. 1.

Już podczas częściowego drukowania niniejszej pracy w kijowskich *Uniwiersitielskich Izwiestijach* nietrudno było zauważyć, iż w jej autorze pozyskała nauka siłę bardzo dzielną i energiczną, nie cofającą się przed żadnemi trudnościami, jakie nieraz nasuwało badanie, a przytem umysł trzeźwo sądzący, bardzo krytyczny i ścisły. Dowodów posiadania wymienionych przymiotów dał p. Klinger w pracy swojej wiele, a do tych dodałbym jeszcze dwie zalety; właściwą metodę badania, oraz sumienność i gruntowność w obznajomieniu się z całą literaturą przedmiotu i to nie tylko słowiańską, ale ponadto obcą, porównawczą.

Po krótkim wstępie, traktującym o rozmaitych istniejących teoryach badania podań ludowych (nawiasem mówiąc niekoniecznie tu potrzebnym i niedość dokładnym, skoro n. p. autor nie zna teoryi prof. Polivki), rozbiera autor kolejno rozmaite motywy powiastkowe, jakie zachodzą u Herodota.

Pierwszym z nich jest epizod o Krezusie i jego synu Atisie. Krezusowi śniło się raz, że syn jego zginie zabity kopią. Ukrył więc Atisa zdala od wszelkich oręży i nie pozwalał mu brać udziału w wyprawach wojennych. Ale gdy w Lidyi pojawił się zwierz, niszczący plony, uległ Krezus prośbom syna i wysłał go na czele wyprawy, mającej zgładzić potwora. Jakkolwiek nie zachodziło tu żadne niebezpieczeństwo, sen się spełnił, bo Atis zginął od nieszczęśliwego rzutu włóczni jednego z rycerzy. Paralel tego podania jest bardzo wiele. I tak podług staroegipskiego opowiadania, synowi jednego króla było przeznaczone zginąć z przyczyny węża, krokodyla albo psa. Król wy-

budował dla syna na wysokiej górze dom, do którego przypadkowo dostał się pies. Królewicza dwukrotnie ocaliła żona od śmierci, zabijając węża i krokodyla. Lecz gdy dawni narzeczeni żony królewicza zdobyli ów pałac, królewicz z żoną i psem schronili się w jaskini. Gdy pies szczekaniem zdradził kryjówkę, oboje zginęli z ręki wrogów. Na tym wątku osnuły ludy południowo-słowiańskie mnóstwo opowiadań, które autor szczegółowo rozbiera, a i u nas jest ich dość, żeby tylko wymienić bajkę o królewnej, której była przeznaczona śmierć od ukłócia się igłą, o czem autor nie wspomina wcale.

Drugi wątek podaniowy o Astiagesie i Cyrusie. Królowi Medów, Astiagesowi, przyśniło się, że syn jego córki strąci go z tronu. Wydał tedy córkę za Persa, a urodzone z tego związku dziecko wydał na stracenie. Skutkiem przypadku dziecko zostaje przy życiu i robi powstanie przeciwko Medom. Istotnie w myśl snu Cyrus strącił dziadka z tronu. Podanie to Herodotowe ma również jak poprzednie wiele analogicznych w zakresie mitów, a nie mniej też współczesnej bajki. Poza tem tak samo są częste odgłosy poszczególnych momentów, z jakich składa się stworzone opowiadanie, a mianowicie: 1) wróżby samej, 2) pozostawienia noworodka w pustyni, 3) uratowania jego od śmierci, 4) wychowania w ubogiej chacie, 5) okazania wielkiej siły i opanowania państwa. Oprócz przykładów, wziętych z literatury klasycznej (między innymi opowieść o Romulusie i Remusie), daje ponadto autor paralele opowiadań ludowych: rumuńskich, niemieckich, polskich (Wyrwidąb i Waligóra), flamandzkich, nowogreckich, małoruskich i t. d., przyczem potrąca często o literaturę przedmiotu całego lub tylko poszczególnych wątków, zachodzących w omawianem podaniu.

Rozdział następny zajmuje się Etyopią, Indyami i innymi krajami wiecznego szczęścia w przedstawieniu Herodota. Etyopia, położona na samym krańcu świata, jest krainą, w której ani ród wysoki ani bogactwo nie ma żadnego znaczenia, gdzie ziemia sama dostarcza ludziom pożywienia pod dostatkiem, gdzie żyją ludzie bez troski o jutro, w sile i piękności długie lata. Opis ten cały przypomina aż nadto wyraźnie tylekroć wspominany przez starożytnych *aurea aetas*, czy przez Hezyoda, czy Homera, czy Owidyusza. W wiekach późniejszych powstał stąd niemiecki *Schlaraffenland*, włoski *albia città di Cuccagna*, francuski *le pays de Cocagne*, angielski *Cockeney*, oraz bez osobnej nazwy kraj taki u narodów słowiańskich, na co wskazują opowiadania małoruskie, rosyjskie i polskie. (Szkoda, że autor przy tych ostatnich posługuje się »Bajarzem« Glińskiego, który w trzech czwartych jest niewiaro-

godny)! Tak samo opisy Indyi, Arabii i kraju Scytów mają swoje liczne analogie.

Zachodzące w podaniu o protoplastach władców macedońskich i scytyjskich dwa motywy: o cudownem wyrastaniu chleba i o rzece, wybawiającej zbiegów swoim wylewem, powtarzają się także w podaniach ruskich i polskich bardzo często. (Znowu ten nieszczęśliwy Gliński!)

Dalsze rozdziały: o Herkulesie i Miksopartenosie, o pochodzeniu Batta, Aryonie i pierścieniu Polikratesa nie przedstawiają dla nas większego interesu, to też zbywamy je milczeniem, jak nie mniej parę innych, nie tyczących się słowiańskiego folkloru. Jedynie ustęp o wodzie żywiącej przynosi w tej mierze kilka spostrzeżeń. Książkę całą kończą drobne przyczynki oraz uzupełnienia. Indeks autorów i alfabetyczny spis poszczególnych motywów ułatwiają znakomicie oryentowanie się w całości.

Kończąc niniejszą ocenę, trudno powstrzymać się od wyrazu radości, iż nauka polska (p. Klinger jest Polakiem) pozyskała w autorze omawianej pracy niezwykle cenną siłę, która, oby jak najpłodniej pracowała na niwie folklorystycznej, tak mało u nas uprawianej, zwłaszcza przez ludzi tak zawodowo wykształconych i sumiennych.

Dr. St. Zdziarski.

Chateaubriand. Etudes littéraires. *Victor Giraud.* Paris. Lib. Hachette et Cie. 1904.

Czyż potrzeba przypominać wielkie znaczenie Chateaubrianda? W dziejach ewolucyi idei religijnych we Francyi pojawienie się *Génie du Christianisme* to data przełomowa nie tylko ze względu na wiek XVIII i encyklopedystów, których dzieło zostało tu, przynajmniej na razie, prawie zniszczone, ale i w stosunku do wieku XVII, jak słusznie zauważa p. Giraud, książka Chateaubrianda jest epokową; nie jakoby wiek Ludwika XIV nie był chrześcijańskim co do idei, ale humanizm takie tam zaszczepił uwielbienie dla starożytności, że dzieła na wskróś przesiąknięte ideą chrześcijańską stroją się przecież w szatę starożytną; nie mówiąc o Corneille'u, Racinie i innych, wystarczy przypomnieć Fenelona i jego »Telemacha«; a nawet wielki Bossuet, kiedy w swej »Rozprawie o historyi powszechnej« mówi z entuzyazmem o poezyi i pięknie, tkwiącem w mitologii świata starożytnego, to ma się ochotę i jego posądzać, że uległ temu czarowi starożytności klasycznej, któremu na Zachodzie długo nikt nie śmiał się opierać.

I dlatego to Chateaubriand, tak śmiało głoszący wyższość chrześcijaństwa nie tylko pod względem ideowym, ale i estetycznym, poetycznym, jest postacią epokową w dziejach literatury francuskiej. Kto wie, czy dorówna mu co do wpływu i znaczenia Boileau? Jak ten był prawodawcą szkoły klasycznej, tak tamten romantycznej, i nie tylko to; Chateaubriand był bowiem zarazem pierwszym wielkim pisarzem swej szkoły, prawdziwie natchnionym, choć prozą piszącym, poetą.

Stąd pole do studyów w tym przedmiocie rozległe. O wyczerpaniu go niema jeszcze mowy. Przyznaje to p. Giraud i w swem dziele daje nam szereg studyów przygotowawczych, z których każde dorzuca coś nowego do tego, co się dotąd o autorze »Ducha chrześcijaństwa« wiedziało. Sumienna analiza i porównanie kilku tekstów z waryantami, wydobycie na jaw niewydanych dotąd listów, rozstrząsanie kwestyi stosunku dzieła Ballauche'a p. t. *Du Sentiment* do pokrewnego mu duchem *Génie du Christianisme,* wreszcie studyum porównawcze, p. t. *Chateaubriand et Victor Hugo,* oto treść tomu, z którą się każdy badacz Chateaubrianda będzie musiał zapoznać. Ale nadewszystko zasługuje na uwagę wstępny szkic o »Pamiętnikach z poza grobu«, o tem dziele, które poecie najwięcej zjednało nieprzyjaciół i jeszcze za życia niemało zmartwienia, głównie dla sporej dozy miłości własnej, nieraz wprost zarozumiałości, której to dzieło jest pełne. Trafnie i bardzo bystro tłómaczy autor, że genezy tego zjawiska należy szukać w tem, że autor nie zamierzał tu pisać autobiografii w zwykłem tego słowa znaczeniu, ale poemat prozą, którego bohaterem był on sam. Nie mniej trafnem jest przypomnienie racyi fizyologicznych, które, jak u Russa, mogły tu odegrać rolę decydującą. Gdy się zważy, że Chateaubriand był synem hypohondryka, bratem zmarłej w obłąkaniu siostry, to trudno nie przyznać słuszności p. Giraudowi, gdy na karb tych okoliczności składa, w części przynajmniej, »te gwałtowne wybryki humoru, tę nieomal dziką potrzebę niezależności i samotności, te napady czarnego smutku... i ten egoizm chorobliwy, któreto przymioty zrobiły mu tylu nieprzyjaciół i które oddaliły od niego tyle sympatyi« (str. 49). Niemniej słuszna jest uwaga (str. 46), że »romantyzm, nim stał się faktem natury literackiej, był faktem natury psychologicznej i moralnej — był on u nas manifestacyą pewnego rodzaju przeobrażenia się duszy francuskiej; a do tego przeobrażenia nikt po Russie nie przyczynił się więcej od Chateaubrianda«.

Niepodobna tu omawiać każdego studyum z osobna: wystarczy powiedzieć, że rzadko spotkać tomik tak pełen treści.

M. Paciorkiewicz.

Le Drame des poisons. *Frantz Funck-Brentano.* Préface de M. Albert Sorel de l'Académie française. Paris. Hachette. Str. 309.

Czytelnicy *Przeglądu* pamiętają może streszczenie pism tegoż autora o Bastylii i »listach pieczętnych« *(lettres de cachet),* podane w r. 1899 i 1900. Bogactwo dokumentowej treści, jasność, treściwość a zarazem i barwność formy są dziś jak wówczas właściwościami pisarza, dzielącego się od czasu do czasu z publicznością wynikiem historycznych badań, dokonywanych na aktach sądowych XVII wieku, oraz w odkrytym przed paru laty oceanie archiwów Bastylii. Podany nam dzisiaj do obejrzenia obraz dziejowy jest straszny: orgia zbrodni, piekło rozpasane pod złocistą powierzchnią chwały panowania »króla słońca«. Obraz zarazem wielce pouczający, stanowiący komentarz do grzmiących kazań O. Bourdaloue. Słowa jego, jak słusznie w przedmowie zauważa Albert Sorel, nabierają dopiero istotnego znaczenia, gdy im się za tło podstawi książkę p. Funck-Brentano, wtedy zaś widząc, jak powstaje przeciw rozpuście, z której się rodzą mężobójstwa i świętokradztwa, wie się, iż to nie były figury retoryczne, ale allużye do świeżych, ohydnych wypadków.

Pan Funck-Brentano podzielił książkę swoją na trzy główne części: historyę słynnej markizy Brinvilliers, właściwą sprawę otruć i wpływ tejże na twórczość Racina. Porównana z następną pierwsza część wydaje się względnie łagodną. Magdalena d'Aubray, poślubiona markizowi Brinvilliers, zrodzona w bardzo poważanej i poważnej rodzinie, była już w 7 roku życia zepsutą do szpiku kości, nieświadomą przytem prawie do śmierci najprostszych prawd katechizmu. Co prawda nie miała matki, ale jakoś fakta te w dziwnem ukazują świetle ową surową cnotę jej ojca. Zgrzeszył zapewne zaniedbaniem i pierwszy poniósł zań karę, bo gdy po ślubie córki usiłował położyć tamę pomiędzy nią a grzechem, gdy nadto majątek jego okazał się Magdalenie potrzebnym, zaczęła zwolna go truć i po jakich trzydziestu dawkach, osłoniętych pozorami najczulszej opieki — dosięgła celu. Straszniejszym od samego ojcobójstwa jest fakt, iż poprzednio ta młodziutka, wykwintna i śliczna, o misternych kształtach kobieta, chodziła po szpitalach, aby, pod pozorem miłosierdzia, próbować trucizny na chorych... Po ojcu poszli obaj bracia, gwoli sukcesyi; zaczęła nawet

truć własną córkę, bo była »głupia«; instynkt macierzyński wziął jednak górę. Mąż, wiedzący o wszystkiem ale związany sprawami pieniężnemi, chronił się jak mógł od arszeniku, toż samo służba; widocznie rzecz była przeszła w rodzaj monomanii. Co jest najdziwniejszem, to że ta potworna kobieta umarła jak święta, z uczuciami najgłębszej skruchy i nadziei w miłosierdzie Boże. Przydany jej przez sąd spowiednik ks. Pirot, opisał w słowach rozrzewniających jej ostatnie chwile. Niepodobna nie dziwić się miłosierdziu Bożemu, widząc u tej zbrodniarki spokój i ufność, o jakie nieraz ludziom stokroć mniej winnym niełatwo. Lud prosty przeczuł to instynktem i ogłaszał ją męczennicą; był w błędzie ale lepszym, zdrowszym był jego błąd od niesmacznych żartów p. de Sévigné, patrzącej z okna na egzekucyę i opisującej ją następnie w sposób humorystyczny w listach do córki i innych. Owe ustępy z listów p. de Sévigné, rozsiane po książce, tworzą jakoby przygrywkę, świadczącą o wrażeniach i sądach — zazwyczaj płytkich ówczesnego świata francuskiego. Działo się to w r. 1776.

Wrażenie sprawione strasznym procesem jeszcze nie przebrzmiało, gdy nagła śmierć porwała bratową króla, Henryettę angielską, ministra de Lionne i księcia Sabaudzkiego. Z kartki znalezionej w kościele Jezuitów, odkryto plan otrucia króla i delfina a w dwa miesiące potem (5 grudnia 1777) naczelnik policyi *(lieutenant de police)* Mikołaj de la Reynie nakazywał aresztowanie Ludwika de Vanens, z którego papierów odsłoniło się stowarzyszenie alchemistów, fałszerzy i czarowników. Parlament zarządził śledztwo, w czasie którego La Reynie odkrył inne stowarzyszenia z pozoru podobne a w istocie stokroć bardziej zbrodnicze. Tu już na porządku dziennym były morderstwa niemowląt, trucizna, kult szatana i połączone z nim najohydniejsze świętokradztwa. Banda czarownic i szarlatanów wabiła do siebie niby chiromancyą i lekami a w istocie nadzieją usunięcia z drogi niedogodnego męża lub żony, rywalki, dziecięcia lub wroga, dostania lubczyku lub sztuki robienia złota. Oczywiście najczęstszemi ofiarami bywały niemowlęta; sama czarownica La Voisin posłała do nieba przeszło 2500 duszyczek, dbając przytem ogromnie — aby były ochrzczone przed zgonem! Owa La Voisin zarabiała rocznie 50 do 100 tysięcy franków, które szły na wesołą hulankę w towarzystwie przyjaciół. Klientów swoich przyjmowała w szacie z zielonego aksamitu, strojna w bogate koronki i płaszcz szkarłatny, tkany w złote orły — wszystko razem kosztowało ją 15.000 fr. i służyło do olśnienia klientów. Tych zaś przychodziło co niemiara z mieszczaństwa, ze szlachty a nawet z królewskiego dworu, mężczyzn

i zwłaszcza kobiet, przeważnie młodych. Toż sam kat Guillame, który ściął markizę Brinvilliers, brał udział w owych praktykach. Zdarzało się, iż ludzie przychodzili do baby La Voisin i do innych wróżbitów — a było ich przeszło 400 w samym Paryżu — zrazu z ciekawości a wpadłszy w sidła, wychodzili skalani najohydniejszemi zbrodniami. Częściej jednak, przychodząc byli już zbrodniarzami w duszy, szukającymi tylko w czarach i truciznie środków dla zaspokojenia swych chuci. Gdy rzecz wyszła na jaw, — niemal przypadkiem, bo pierwszych winowajców aresztowano jako szpiegów i dopiero z ich zeznań dowiedziano się o ogromie i olbrzymiem rozpowszechnieniu złego — przerażenie było wielkie, tem większe, iż ówczesna sztuka lekarska nie miała sposobów rozpoznawania śladów trucizny po śmierci. Ustanowiono komisyę mającą wszelkie rozgałęzienia sprawy zbadać i osądzić, to jest t. zw. *chambre ardente:* nazwie tej dał był powód średniowieczny zwyczaj sądzenia ciężkich zbrodni w komnacie osnutej kirem, przy blasku licznych świec i pochodni. Komisya zebrała się po raz pierwszy 10 kwietnia 1779 r. i uchwaliła procedurę tajną, gwoli uniknięcia skandalu. W miarę jednak jak postępowano, La Reynie, spełniający jako naczelnik policyi obowiązki sędziego śledczego, przekonywał się, iż sama liczba koniecznych aresztowań czyni niepodobnem zachowanie tajemnicy; przy każdej konfesacie zaś wychodziły na jaw coraz to nowe imiona i coraz to wstrętniejsze szczegóły. Całe społeczeństwo było podkopane: nikt nie mógł być spokojnym o własne życie, o cześć swych najbliższych, co gorsza, najśw. Sakrament bywał co dnia profanowany, ofiara Mszy św. świętokradzko małpowana wśród szatańskich obrzędów, chwilę konsekracyi zaznaczał mord zakupionego dziecięcia, którego krew w kielichu z krwią nietoperza i innemi obrzydliwościami mieszano.

Każdorazowy wynik śledztwa przedstawiony bywał królowi. Ludwik XIV miał silną wolę wykorzenić raz na zawsze zaród złego bez względu na liczbę i stanowisko winowajców; grad »listów pieczętnych« rozsypał się po stolicy, niektórym z pięknych pań oskarżonych dozwolono uciec za granicę, inne, jak np. księżna de Bouillon musiały przed trybunał się stawić, słynny a złośliwy marszałek, ks. Luxembourg, długim procesem i uwięzieniem przypłacił udział w czarach jednego ze swych podwładnych. Stało się jednak wtedy, iż opinia zrazu zastraszona odkryciem zbrodni, zwróciła się przeciw sędziom. Każdy drżał o własną skórę, obawiając się co chwila zastukania do swoich drzwi policyjnych pachołków. La Reynie, główny wódz procesu, stał się celem zarzutów, pośmiewisk i obelg: »zdawało się, jakoby on jeden

był zbrodniarzem«. La Reynie wszakże nie zachwiał się; był to człowiek głęboko pobożny i uczciwy, bolejący nad obrazą Bożą i moralnym trądem, grożącym krajowi, był prawym sędzią, nie pojmującym dla względów ludzkich kompromisu z sumieniem. Jakież więc było jego przygnębienie, gdy kilkakrotne zeznania zawodowych trucicieli i czarownic rzuciły oskażenie na promieniejącą wówczas w blasku i potędze markizę de Montespan! Śledztwo wykazywało, iż ambitna faworyta w trzech epokach swojej karyery udawała się do sztuki magicznej: raz gdy pragnęła uzyskać przewagę nad księżną La Vallière, drugi raz w czasie, gdy wpływ jej chwilowo słabnął i trzeci raz miotana wściekłą zemstą na odsuwającego ją króla. Wtedy już lubczyki zamieniły się w truciznę a zabobonne praktyki w bezwstydne świętokradztwa... Zamachy na życie króla nie udały się. Obecnie jednak Ludwik XIV zadrżał boleśnie, nie chciał znieść hańby, jakaby nań spaść musiała, gdyby ta Europa, której chciał przodować, poznała komu dał przez lat 7 rządzić swym krajem i sobą. Napróżno już La Reynie, acz całem sercem królowi swemu oddany, błagał w imię sprawiedliwości o dokończenie procesu. Ludwik rozkazał przerwać śledztwo, zniszczył sam wszystkie (jak mniemał) piśmienne dowody winy pani de Montespan, a liczną czeredę podsądnych rozesłał po różnych więzieniach, gdzie, odcięci od zetknięcia z innymi więźniami, mieli wszyscy dokonać żywota. Okropnem jest, że więziono i zupełnie niewinnych dlatego, iż zamknięci przez pewien czas z winowajcami mogli się byli od nich niepotrzebnych szczegółów dowiedzieć. Tych po roku czy dwóch opatrzono na drogę i wywieziono z kraju. Sama zaś markiza już wtedy oddalona ze dworu, dokonywała grzesznego żywota wśród łez pokutnych i dobrych uczynków, podtrzymywana w powrocie do cnoty i kierowaną radami świątobliwej Karmelitanki — niegdyś Ludwiki de la Vallière. Więc znów czytając przychodzi podziwiać miłosierdzie Boże: wszyscy ci ludzie na wygnaniu czy w celi więziennej czy pod toporem kata, umierali w uczuciach skruchy, z świętemi imionami na ustach. Ani zbrodnia ani ponury zabobon nie wypleniły jeszcze wiary. Na niektórych zaś stojących poza obrębem straszliwego koła, długi »proces trucizn«, wywarł do głębi duszy wstrząsające wrażenie. Do tych, zdaniem autora, należał Racine, który widząc w rzeczywistości dramaty, jakie opisywał na scenie, poznając w żywych, znajomych zdawna damach typy podobne Fedrze lub Hermionie, zbrzydził sobie prace dramaturga: dość było zbrodni i tragedyi współczesnych, nie było po co wywlekać je z pod gruzów przeszłości.

La Reynie też nie pragnął już tragedyi. Bolał nad niemożliwością dokonania dzieła, drżał na myśl, iż zło nie wykarczowane do dna, na nowo rozpuści korzenie. Nie mogąc więc działać władzą urzędową, uciekł się do sposobu iście francuskiego, skuteczniejszego od rusztowań i stosów na lekkie społeczeństwo francuskie. Postanowił ośmieszyć czary i czarownice, ośmieszyć zwłaszcza wyzyskiwanych przez nie klientów obu płci. W tym celu korzystając ze swych zażyłych stosunków w świecie literackim, kazał dwom poetom, Tomaszowi Corneille (bratu Piotra) i Donneau de Visé, napisać komedyę *La Devineresse*, której ogromne powodzenie okazało, jak bardzo sprawy te zajmowały ludzkie umysły. La Reynie występuje jako posągowa postać, dziwnie czysta i piękna na czarnem tle książki p. Funck-Brentano. Czytanie jej, bardzo zajmujące, przyjemne nie jest, nam chyba Polakom może nastręczyć pocieszającą myśl, iż mimo nierządu, mimo bezkarności zbrodni nigdy w społeczeństwie naszem do takiej ohydy nie przyszło.

Teresa Wodzicka.

Le prisme. *Paul et Victor Margueritte.* Paris. Librairie Plon.

»Próbowaliśmy w tej książce naszkicować typ młodego człowieka dzisiejszej doby: notując i odwieczny egoizm męski i tę ślepą miłość macierzyńską, która jest jednym z błędów naszego wychowania rodzinnego — zarazem zaznaczając ten poniżający kult pieniędzy, który stał się jedną z hańb nowoczesnego małżeństwa«. Oto mniej więcej słowa przedmowy: i te słowa zachęcają do przeczytania książki. Pryzmat pieniędzy, stanowiący jedyny punkt wyjścia i zarazem jedyny punkt widzenia wszystkiego — to temat dziwnie aktualny. Bracia Margueritte lubią brać dla swych powieści społecznych jakąś tezę, która starczy im za natchnienie. Niedawno w przeciwieństwie do Bourgeta i *Divorce* gorąco wystąpili z obroną rozwodu i jego doniosłej pożyteczności. Jedno z bardzo ruchliwych czasopism francuskich *Femina* urządziło nawet na temat tych dwóch romansów bardzo poczytną dyskusyę i wymianę różnych sądów o rozwodzie, nie doprowadzając ostatecznie do niczego jasnego. Cztery powieści historyczne znowu p. t. *Une Epoque* postawiły braci Margueritte jako filozofów ostatniej wojny, rewolucyi i komuny, — zresztą cały szereg utworów świadczy o pracowitej, skrzętnej działalności literackiej tej spółki dwóch braci powtarzających może umyślnie wzór Goncourtów — bez ich talentu.

Sama fabuła powieści dziwnie jest codzienna, taka, jaką się spotyka w życiu ciągle, nie zdając sobie bardzo dobitnie sprawy z tego,

co stało się utartem, niejako zwykłem pojęciem: łowiec posagowy to taki typ spotykany ciągle i tak często! Po kawałeczku takiej duszy handlowca małżeńskiego odnajduje się ciągle wśród ludzi! Bo z jakąż to złośliwą, porozumienia pełną wyrazistością mówi ten i ów: »złapał się!«, »ożenił się przypadkiem z miłości« — gdy się okaże zawód pieniężny! A jak każda panna jest z góry otaksowana wedle tego, co dostaje zaraz i wedle nadziei, jakie ma na przyszłość!... Niestety często się zdarza, że wszystkie inne zalety charakteru i wychowania są pominięte, bo decyduje jedynie: pryzmat złota!

Możnaby powiedzieć, że powieść braci Margueritte, odsłaniająca z takim naciskiem mętne i przekupne motywa nowoczesnego małżeństwa jest zarazem wytłumaczeniem, dlaczego w obecnej dobie tyle małżeństw idzie w rozsypkę i chwyta się rozwodu. Tym sposobem tłumaczyłby się ten entuzyazm dla prawa rozwodu tych powieściopisarzy, którzy widzą w nim niejako pewną, choć słabą możność poprawienia omyłki. Wprawdzie nie kładą na to nacisku zupełnie, lecz ta uwaga nasuwa się sama przez się, zestawiając *Les deux Vies,* gdzie odmalowane życie nieszczęśliwej młodej kobiety z tym *Prisme,* gdzie jest przedstawiony mechanizm czysto kupiecki chytrego oszukiwania pozorami miłości upatrzonej *heritiery*...

Paweł Urtrel, przystojny, sprytny młody światowiec, uprawiający jako tymczasowy zawód adwokaturę, ma w życiu jedyny cel: dojście do bogactwa. Jest to jego jedyne *credo* być bogatym i używać, i tego samego zdania jest i uwielbiająca jedynaka matka. Pani Urtrel nie zaznała sama szczęścia w małżeństwie i jedynem słońcem jej życia ciągle kołatanego między miernością prawie ubogą a wielką próżnością — było to śliczne dziecko, które sama wychowała, szczycąc się niem i radując. Teraz, gdy widziała przed sobą pięknego młodzieńca, umiejącego podobać się i robić wrażenie w świecie, jedynem jej marzeniem było: ożenić go bogato. To będzie nagroda jej trudów, cierpień, zawodów! »Pryzmat, przez który patrzyła na świat od pierwszych chwil swej młodości, rzucał blaski na świat jej marzeń i myśli, na całe społeczeństwo wokoło... Pieniądz!... nigdy inaczej, tylko pod tem oświetleniem, skrzywionem i nieprawdziwem, przedstawiały się jej osoby i rzeczy. I jako matka przyuczyła syna patrzeć wokoło tylko przy tym jedynym blasku złota. Pieniądz! — to było zwierciadło krzywe, w którem się cały świat i wszystkie stosunki ludzkie odbijały: i byłaby niesłychanie zdziwioną, gdyby jej kto odsłonił ten rodzaj jej

zaślepienia, ten fałszywy punkt wyjścia, to sztuczne oświetlenie, przy którem ona i syn jej żyli!...«

Paweł Urtrel ma bogatą ciotkę bezdzietną, na której sukcesyę liczy niezachwianie, eskontując te nadzieje, które go pozłacają przyszłością milionową. I tak, jak ekonomia mówi, że rola pieniądza w społeczeństwie jest niemateryalna, bo jest on niczem innem, tylko przekazem, dającym prawo do nabywania dóbr, — tak i ta fortuna pani Luguehais-Vaugloy jest światłem, do którego się cisną wytrawne matki, chcące zapewnić córkom przyszłe miliony spadkobiercy. Oszukiwanie wzajemne — oto gra, którą obopólnie prowadzi się w świecie. Paweł Urtrel dwukrotnie o mało co »nie łapie się« na świetnie błyszczące fatamorgana posagów, aż ostatecznie wybiera pewną solidną firmę protokułowanego bogactwa, bez względu, że tym razem dla swej »wybranej« nie tylko miłości, ale najmniejszego prostego pociągu nie czuje. Jeżeli ktoś się żeni dla pieniędzy z uczciwą i jasną myślą, że czyni to dlatego, by dokonać jakiegoś dzieła czy zadania i miłość nieistniejącą zastępuje silną wolą dania możliwego szczęścia i uczciwej wierności przyszłej żonie — ten postępuje uczciwie i jasno. Ale żenić się dla użycia pieniędzy na zbytek, dla złota jedynie i jego darów, to znaczy zaprzedać się... Paweł Urtrel jednak nie widzi żadnej w tem hańby — owszem podziwia swój rozum i przezorność.

A jednak... pani Luguehais-Vaugloy, owa milionowa ciotka obserwowała swemi mądremi, doświadczonemi oczyma sympatycznego siostrzeńca, widziała, że w jego sercu nieśmiało budziła się iskra szlachetniejsza, uczucie czyste dla ubogiej dziewczyny! Ale ani jednem słowem nie zaznaczyła, że to małżeństwo właśnie z śliczną i szlachetną Jaqueliną było jej pragnieniem, że przez nie wszedłby Paweł w używanie prędsze jej fortuny. »Byłoby to poniżeniem i obryzganiem najczystszego z uczuć, zatruciem źródła najszlachetniejszych porywów«. I ta mądra, bogata pani dalej pracuje sama nad pozyskaniem i owocnem wykorzystaniem swego złota dla ulżenia niedoli i podniesienia wokoło siebie ludzi i rzeczy. Bo złoto jest też potęgą dobroczynną, która umiejętnego kierownictwa wymaga! Są ludzie, którzy wyżej nad użycie samo życie stawiają: i oni to tworzą te ogniska pełne światła ciepłego, które wokoło podnosi i rozwija energia czynu.

Jeżeli »Pryzmat« braci Margueritte nie porywa, ani nie przepełnia serca jakąś ożywczą atmosferą wielkiej idei, to jednak i nie zniża się do rzędu romansów fabrykowanych dla podchlebienia wyo-

braźni. Wartość główną w tej książce stanowi jej teza, obrobiona porządnie i wprawnie przez doświadczonych pisarzy.

Marya Harsdorf.

The eternal Woman by *Dorothea Gerard.* Tauchnitz edition. I vol. Str. 336.

Adventures of Gerard by *Conan Doyle.* Tauchnitz ed.

The ghost of Rouveray and other stories by *Ella Inkey.* Carl Wilh. Fischer. Heilbronn on Neckar. 1904. Str. 232.

Powieść zabawna, skreślona na tle dzisiejszej walki między prądem pseudo-feministycznym, usiłującym przerobić kobietę w mężczyznę, a *das ewig Weibliche,* broniącem na czole niewieściem korony, którą zeń nowe żywioły chcą strącić. Mało jest teraz powieści angielskich nie poruszających tej kwestyi, zazwyczaj delikatnie, ale stanowczo stając po stronie dawnego systemu. W książce p. Gerard wyśmiane są potrosze obie ostateczności. Bohaterka powieści Klara Wood, córka dżokieja wędrownego cyrku angielskiego, straciła niemal równocześnie rodziców wskutek wypadku i wśród ogólnego wzruszenia publiczności, została wziętą na wychowanie przez kapryśną a chorowitą baronową austryacką. Wyrósłszy wśród zbytku, znajduje się w 20 roku życia wyrzuconą na bruk bez grosza, bo opiekunka bez testamentu umarła. W obcem mieście ma jedyną znajomą Fräulein Pohl, wydawczynię czasopisma p. t. *The coming sex* (Przyszła płeć), utrzymującą rodzaj biura dla feministek a przytem i dla niefeministek potrzebujących posady, rady lub pomocy. Zabawna to figurka, niemłoda, krótka, krępa o przystrzyżonych krętych włosach, zadartym, maleńkim nosie, protestującym co chwila przeciw jarzmu binokli i z cieniem zarostu nad górną wargą, muskanym i wyciąganym co sił starczy, by mu dać pozór wąsów. Stworzenie zresztą poczciwe z kościami, posiadające ku własnej desperacyi dar spostrzegania komicznych stron swoich pomysłów i wybuchania nieraz głuchym, zaraźliwym śmiechem wśród rad, udzielanych swoim adeptom. W piśmie swojem piorunowała na stroje kobiece; nie mogła jednak gwoli swej przygrubej postaci zdecydować się na męskie ubranie i odkładała z dnia na dzień ów akt poświęcenia. Widząc wchodzącą do siebie Klarę, którą uważała za przyszłą zelantkę feminizmu, usiłowała pchnąć ją w tym kierunku, ofiarując jej otrzymanie stypendyum w jakiejś specyalnej szkole. Klara wszakże miała głowę czem innem nabitą. W *Vanity fair* Thakeray'a wyczytała ustęp dowodzący potęgi kobiety, której, gdy zechce, nie oprze się ża-

den mężczyzna młody czy stary, mądry czy głupi. Wydało jej się, że odkryła w sobie różczkę czarodziejską, z którą w ręku może zwycięsko obejść świat, nie doznawszy porażki ani, co gorsza, biedy. Ku wielkiemu więc rozczarowaniu feministki, przekłada nad stypendyum karyerę guwernantki. Jedzie do Anglii i tu na wstępie szczęśliwym trafem znajduje wyborną posadę. Na nieszczęście spotyka na jakiejś *garden-party* 18-letniego chłopaka, na którym dla wypróbowania swych sił, zaczyna stosować metodę Thackeray'a. Po godzinie z przerażeniem dowiaduje się, że jej ofiara jest świeżo ze szkół powróconym synem pani domu a bratem jej pupilki. Na próżno próbuje zawrócić; chłopiec zakochał się po uszy, prześladuje ją swą nudną obecnością i chce się gwałtem zaręczyć. Nie pozostaje jej jak ostrzedz matkę i otrzymawszy wyborne świadectwo, iść dalej w świat. Tak przechodzi z jednej posady w drugą, ściągając sobie wciąż nieprzyjemności, to wywołując niebacznie nowe a niepożądane propozycye małżeńskie, to udzielając zaniedbywanej żonie rad ku odzyskaniu względów męża tak trafnych i tak skutecznych, iż się niezbyt pewnej swego tryumfu żonie wprost niebezpieczną wydaje. Nareszcie posłyszawszy o malarzu przedstawiającym bardzo dobrą partyę a poszukującym rodzaju posługaczki i opiekunki dla chorej na umyśle matki, postanawia zarzucić nań sieci i ofiaruje się na ową posadę. Przyjęta, znajduje się w starożytnym domu, w zatraconej rybackiej mieścinie szkockiej; żyje prawie samotna między łagodną chorą a szumem fal, bijącym o ściany. Tu wszakże niema odwagi użyć swego kobiecego uroku, bo malarz zamknięty w sobie po doznanem rozczarowaniu w pierwszej miłości a zresztą ona sama po raz pierwszy w życiu czuje miłość i to ją rozbraja. Gdy z kolei malarz się zakochuje, tak jej wstyd swych pierwotnych planów, że go po prostu odmawia. On jednak czuje pod jej odmową coś niedopowiedzianego i nie mogąc zmusić ją do wyznania, jedzie do Fräulein Pohl, do której często listy Klary wrzucał na pocztę i przy arcyzabawnem *interwiewie* otrzymuje od przedstawicielki »przyszłej płci« wśród gradu złorzeczeń na ród męski, list swej ukochanej, zawierający wykaz wszystkich jej skrupułów. Fräulein Pohl na pożegnanie mówi mu trochę wstydliwie, że niech się już żeni z Klarą, byle ją przywiózł do niej w czasie podróży poślubnej. Rzecz cała przeprowadzona lekko i zręcznie.

Opisane w drugiej powieści »Przygody Gerarda«, nie mają nic pokrewnego z policyjnemi powiastkami o Sherlocku Holmes, z jakich

głównie znane jest naszej publiczności nazwisko jednego z lepszych dzisiejszych pisarzy angielskich. Posiada on przedewszystkiem dar opowiadania i byłby daleko większego używał rozgłosu przed jakiemi 60 laty, gdy psychologia osobista ani analiza społeczna nie były jeszcze całym swoim ciężarem zaległy pola t. zw. lekkiej literatury. Conan Doyle nie porusza poważnych zagadnień ludzkości, niemniej w swoich *Adventures of Gerard* odtworzył typ bardzo charakterystyczny, choć może nieco przesadny oficera francuskiego z armii napoleońskiej. Jest to serya opowiadań z czasów młodości, po większej części bardzo zabawnych, choć dla czytelnika Francuza trochę uszczypliwych, Gerard bowiem ma w sobie obok kultu dla swego wodza rycerskość, wyobraźnię i naiwność Don Kiszota zmieszane z pyszałkowatością i furfanteryą Gaskończyka. Wierzy święcie w ogólną admiracyę otaczających go ludzi; przywieziony jako jeniec wojenny do Anglii i tu goszczony uprzejmie, popełnia tysiące uchybień przeciw prawom sportowym, o których niema pojęcia i cieszy się ogólnem zgorszeniem, które bierze za podziw. Rzuca się jako paladyn ku obronie damy poróżnionej z mężem w chwili, gdy małżonkowie właśnie się godzą; przy tennisie ciska kule w głowę przeciwnika, chodzi wieczorem wystrzeliwać śpiące bażanty, a gdy gospodarz jego każe zaprzestać gry lub strzelania, mniema, iż to czyni, aby nie dopuścić Francuzowi do imponowania Anglikom swoją wyższością. Paradne są też opisy przygód wojennych opowiadanych z taką werwą, iż trudno rozeznać, gdzie działa wyobraźnia a gdzie pamięć opowiadającego. Kończy się pięknie a smutno; Gerard bowiem nie może znieść cierpliwie pojmania swego cesarza. Chce zatem wykraść go ze św. Heleny i rzeczywiście po tysiącach przepraw i niebezpieczeństw udaje mu się wśród burzliwej nocy dotrzeć małą łódeczką do wyspy. Przekrada się aż do domu Napoleona, ale tu widzi okna oświecone i drzwi otwarte a po chwili ciemną postać wychodzącego z nich księdza. Zdumiony przychodzi bliżej i krew mu w żyłach się ścina, bo oto przed nim otoczone światłem, spowite w majestat śmierci, leżą zwłoki cesarza. Odtąd już życie dlań się skończyło; na razie obecność swoją na wyspie tłumaczy władzom uratowaniem się z tonącego statku a odesłany do ojczyzny, odzyskuje tylko od czasu do czasu dawną fantazyę, gdy przy kieliszku może dobyć wspomnienia minionych przygód i własnej zapomnianej chwały.

Trzecia wreszcie praca, to zbiór czterech powiastek, pierwsza literacka praca widocznie młodej osoby, puszczona nieśmiało w świat

na jakiś cel miłosierny, zawiera bez wątpienia dużo talentu bardzo niedojrzałego. Wyobraźnia autorki czysta i lotna, uczucia katolickie bardzo gorące, opisy nader barwne a nawet psychologii nie brak, ale struktury niema żadnej, tak że ochota bierze każdą z powiastek wziąć i przerobić. Jedna z nich tylko przedstawia całość śliczną jako wykonanie i myśl: *Adone,* historya włoskiego dziecka. Ojciec, majster mularski, spadł przy robocie z wieży książęcego zamku a matka nawpół oszalała z rozpaczy, składa winę śmierci jego na księcia i dziko rozmyśla o zemście. W domu tuli się przerażony synek, Adone, tłumiąc śmiech starszego brata idyoty. Po kilku dniach błądzenia od rana do nocy a majaczenia od nocy do rana, matka nareszcie przywołuje chłopca i wręcza mu bombę z rozkazem rzucenia jej, gdy książę będzie przejeżdżał. Biedne dziecko wychodzi wśród okropnej walki sumienia: wie, że zabijać jest zbrodnią, ale ksiądz proboszcz uczył, że i nieposłuszeństwo względem rodziców jest grzechem śmiertelnym. Męczy się więc i modli gorąco, aż uspokojone nagłą myślą, zaczyna biedz wesoło: matka kazała bombę rzucić, więc ją rzuci, ale nie zabije nikogo, choćby mordercy ojca. Więc przepuściwszy karetę księcia, ciska swój przyrząd morderczy daleko w krzaki i nie zabija nikogo — prócz siebie. Inne powiastki zbyt są komplikowane a zbyt mało mają literackiej wartości, by treść ich powtórzyć. Niema wątpienia, że gdy Miss Ella Inkey podrośnie w lata i wprawę pożałuje przedwczesnego puszczenia w świat niedojrzałego utworu. Warto go było wszakże zaznaczyć, jako roślinkę, z której może wyrosnąć drzewo piękne i nam tem cenniejsze, że na ciepłej, katolickiej glebie wyrosło.

T. Wodzicka.

Z czasopism polskich za rok 1904.

Kraj. — Tygodnik illustrowany. — Wędrowiec. — Ziarno. — Tygodnik polski. — Biesiada literacka. — Ogniwo. — Prawda. — Przegląd tygodniowy. — Głos. — Bluszcz. — Tygodnik mód i powieści. — Illustracya polska. — Nowości illustrowane. — Przegląd pedagogiczny. — Naokoło świata.

Z pośród wszystkich naszych tygodników najobszerniejszy programem i niezwykłą konsekwencyą w jego urzeczywistnieniu oraz przeprowadzeniu, odznacza się petersburski *Kraj,* którego mogłaby nam śmiało pozazdrościć zagranica. Bo i jest też czego! Abstrahując zupełnie, czy kto zgadza się z kierukiem politycznym, reprezentowanym w tem piśmie, czy nie, sprawiedliwość nakazuje wyznać, że tak wytrawnie i z takiem znawstwem

prowadzonego działu politycznego nie ma nawet żaden nasz dziennik. Co więcej, ten kto prenumeruje *Kraj*, obędzie się doskonale bez pisma codziennego. Znajdzie w nim bowiem tyle informacyi, ile w żadnym dzienniku, i to informacyi najróżnorodniejszych, a zawsze dokładnych i wyczerpująco przedstawionych.

Ażeby dać, choćby w przybliżeniu, pojęcie o obszerności programu *Kraju*, dość będzie, jeśli rozpatrzymy się, jakie to sprawy były w r. ub. poruszone?

Przedewszystkiem na pierwszym planie stały zawsze sprawy polskie. Wszystko ważniejsze, co dotyczyło naszego życia polityczno - społecznego, bywało omawiane w licznych artykułach wstępnych, żebyśmy tylko wymienili: Ludwika Straszewicza »Dwie myśli« (Sienkiewicz i Hertz), Ch. »Nacyonalizm w wychowaniu«, J. Mzury »Umysły wybrane i polityka«, Leona Bielskiego »Ojczyzna i świat«. Ponadto zamieścił *Kraj* paręset drobniejszych artykułów w sprawach politycznych i narodowościowych polskich i obcych (n. p. znakomite prof. J. Baudouina de Courtenay »Alfabet litewski«, lub K. Waliszewskiego »Przymierze rosyjsko - francuskie«), podawał osobno tygodniowe przeglądy wydarzeń politycznych, oraz wyborne »Listy polityczne« T. Smarzewskiego. Wypadki wojenne rosyjsko-japońskie były prowadzone w osobnym dziale i zostały uwzględnione bardzo szeroko.

Sprawy społeczne i wyznaniowe (te ostatnie czasem zanadto w duchu liberalnym rozstrzygane, kilka razy bardzo niesmacznie postawione), były też obszernie omawiane. Z celniejszych artykułów tego działu na baczniejszą uwagę zasługują: Bezimienny »Kościół a Francya«, L. Grendyszyńskiego »Program ziemski w Królestwie«, L. Połońskiego »Reforma prawnych stosunków włościańskich«.

Kwestye ekonomiczne i finansowe były omawiane nie tylko w osobnych artykułach, ale i w *Przeglądzie ekonomicznym*, uprawianym stale przez J. Gieysztora. Ponadto w każdym zeszycie uwzględniano wyczerpująco wypadki z życia rosyjskiego, wiadomości urzędowe, oraz przegląd prasy codziennej naszej i obcej. Rubryka korespondencyi z całej Polski i z zagranicy była aż nadto obfita.

Dział literacko-artystyczny *Kraju* szwankował trochę, co wynikało bezpośrednio z charakteru, jaki mu z góry zakreślono. Zadaniem jego bowiem było: illustrować słowem i ołówkiem chwilę bieżącą, a tem samem uzupełniać dział polityczno - społeczny. To też nic dziwnego, że wojenne wypadki zajęły tu sporo miejsca, że oprócz tego mieliśmy wiele wspomnień o znakomitych osobistościach i życiorysów tychże, oraz całe mnóstwo reprodukcyi nowości ze świata sztuki. Skutkiem tego zarówno belletrystyczna część, jak nie mniej literacka, pozostały na uboczu, z prawdziwą szkodą dla pisma, które przecież dawniej więcej o nie okazywało starania i troskliwości. Belletrystykę reprezentowali: W. Gomulicki, Or-ot, J. S. Wierzbicki, St. Rossowski, Tadeusz Rittner i H. Zbierzchowski. Artykuły treści literackiej miały przeważnie charakter informacyjny. Do najlepszych należą: Aug. Sokołowskiego »Aleksander Puzyrewskij jako pisarz historyczny«, Włodz. Spasowicza świetne rozbiory »Popiołów« Żeromskiego, »Próchna« Be-

renta oraz »Studyów« A. G. Bema, K. Waliszewskiego »Polski powieściopisarz w angielskiej literaturze« (Konrad Korzeniowski), Al. Kraushara »Rylejew i Niemcewicz«, d-ra Bron. Łozińskiego »Gołuchowski spiskowcem«, K. Skirmunttównej i Cz. Jankowskiego »Stolica Apostolska a Krzyżacy«. Dział ten domaga się więcej staranności oraz pewnego rozszerzenia. Drobnych wiadomości i notatek było całe mnóstwo. Każdy zeszyt zdobiły oprócz karty albumowej liczne ryciny, dobrane i wykonane doskonale. Zwłaszcza pod względem trafności w wyborze nie da się im nic zarzucić.

Treść tedy *Kraju*, jak widzimy, była bogata i urozmaicona. Czy nie było na niej plamek? Tak — niestety — trzeba przyznać, że była plama. Jakkolwiek doświadczeniem dziennikarskiem nie mogę równać się z *Krajem*, dojrzałem mimo to pewną tendencyjność w traktowaniu spraw galicyjskich. *Takich peanów na cześć* Towarzystwa wyższych kursów wakacyjnych w Zakopanem, jakich dwa znalazły przytułek w *Kraju*, nie pisało żadne pismo socyalistyczno-judofilskie. Czem były owe osławione Kursa, wykazałem powyżej, mówiąc o *Krytyce*. To też żałować należy, iż tak poważne pismo, jakiem jest niewątpliwie *Kraj*, dało się tak wziąć na kawał jakiemuś pisarkowi. Do wiadomości pp. Korespondentów *Kraju* podaję, że pisze się Śląsk, nie Szląsk, Żmujdź, nie Żmudź!

Z wieku i urzędu należy się sprawiedliwie *Tygodnikowi illustrowanemu* pierwszeństwo między wszystkiemi czysto literackiemi pismami tygodniowemi polskiemi, powiedzmy raczej warszawskiemi, bo w Galicyi ani w Poznańskiem nie znamy ani jednego. Główny nacisk spoczywał na części belletrystycznej, choć szkoda, że nie postarano się o utrzymanie w niej pewnej harmonii pomiędzy powieścią a poezyą. Pomiędzy powieściami mieliśmy utwory starszego i młodszego pokolenia pisarzy, widać tu było niemałą staranność i troskliwość. W r. ub. wydrukował *Tygodnik:* Krechowieckiego »Mrok«, Gruszeckiego »Słomiany ogień«, parę góralskich nowel A. Piotrowskiego, »Przez Syberyę i Mandżuryę do Japonii« Sieroszewskiego, »Syna marnotrawnego« Weyssenhoffa, oraz kilka drobniejszych opowiadań — Konopnickiej, Lemańskiego, Daniłowskiego i innych, żeby już dłużej nie wyliczać. Niestety — nie podobna zadziwić się, dlaczego utwory poetyckie są niejednokrotnie bardzo słabe, choć mamy tylu uzdolnionych młodych poetów, o których współpracownictwo nie trudnoby się postarać. Honor tej części ratują potrosze: Gomulicki, Or-ot, J. S. Wierzbicki, Felicyan, Adam M-ski, Konopnicka, Bukowiński, Tetmajer i Orkan. Nie podobna wyrozumieć jednak, jakie względy szczególniejsze zaleciły do druku Kasprowicza »Pieśń o Waligórze«, rzecz nadzwyczaj słabiuchną, która nawet pomiędzy najlichszymi wierszami, wydrukowanymi w *Tygodniku*, nie ma godnego rywala...

Dział literacki mieścił w sobie prace historyczne, obszerne oceny książek, artykuły społeczne i naukowe. Z godnych uwagi wymienimy: K. Wittego »Cyganerya warszawska i Teofil Lenartowicz«, prof. Brücknera »Skargi Kazania Sejmowe«, Gostomskiego »Cudzoziemczyzna w naszej mowie«, L. Rzeszowskiego »Polacy a Czesi na Śląsku«, A. Szelągowskiego »Obrona morska Rzeczypospolitej«, W. Strzemboszą »Nieznany medalion Krasińskiego«, I. Matuszewskiego »Talent a charakter«, M. Brenszteina »Prasa a naród«,

ks. Wł. Kirchnera »Psychologia włóczęgi«. Historyą Warszawy zajmował się Kraushar, pisząc o »Typach i oryginałach warszawskich«, o »Zabytkach« i o »Dawnych pałacach warszawskich«. Nie był też upośledzony dział, zajmujący się malarstwem, rzeźbą i architekturą (interesujący między innymi artykuł Adama Łady Cybulskiego o dwu nieznanych portretach Krasińskiego). Obszerne przeglądy teatralne i muzyczne, szereg życiorysów wybitniejszych osób, wiadomości z dalekiego Wschodu i z Petersburga, ruchliwa rubryka »Z tygodnia na tydzień«, kronika powszechna, drobne notatki bibliograficzne o nowościach wydawniczych wypełniały każdy niemal numer *Tygodnika illustrowanego*, dając doskonałe, a zwięzłe wiadomości z chwili bieżącej.

Wszystkie powyższe działy były obficie wyposażone odpowiedniemi rycinami. Szczególniejszą dbałość widać w wyborze dzieł sztuki, które tu starannie były reprodukowane. I co jeszcze na pochwałę dodać się godzi — oto, z pośród polskich artystów nie brak tutaj żadnego niemal głośniejszego nazwiska. Są: Axentowicz, Batoski, Bagieński, Boznańska, Chełmoński, Czajkowski, E. Dąbrowa, Dębicki, Dunikowski, Fałat, Gembarzewski, Górski, Góralczyk, Grottger (parę rzeczy z teki pośmiertnej), Kamieński, Kossak Wojc., Kowalski, Laszczka, Lenz, Lewandowski, Malczewski, Masłowski, Matejko, Mehoffer, Norwid (dwa portrety Zygm. Krasińskiego), Pawliszak, Procajłowicz, Rapacki, Ruszczyc, Siemiradzki, Stachiewicz, Tetmajer, Wankie, Wawrzeniecki, Weiss, Wodzinowski, Wyczółkowski, Wyspiański i inni. Sztuka zagraniczna była również odpowiednio reprezentowana. W dodatkach wychodziły oprócz dzieł Sienkiewicza trzy tłumaczone z angielskiego powieści.

Drugą warszawską illustracyą o takim samym, jak tamta programie, był *Wędrowiec*, tylko że nie może się mierzyć pod żadnym względem z *Tygodnikiem*, ani pod względem doboru i obfitości treści ani pod względem wykonania rycin. Najbogatszy i najbardziej urozmaicony był dział belletrystyki, w której starano się dawać utwory krótsze, z pominięciem powieści dłuższych. Tego rodzaju traktowanie belletrystyki w czasopiśmie tygodniowem zasługuje, mojem zdaniem, na największą pochwałę. Druk powieści ciągnie się zazwyczaj przez pół roku, a czasem i więcej, przez co rzecz, czytana kawałeczkami, traci wiele w oczach czytelnika i nie może sprawić należytego wrażenia. Ponadto drobne nowelki dają możność zaznajomienia się z większą ilością utworów i z większą liczbą autorów, co jest z niewątpliwym połączone pożytkiem. W r. ub. drukował *Wędrowiec* między innemi: C. Walewskiej »Dusze współczesne«, parę nowel Stasiaka, J. Augustynowicza »W roztoczy« i M. Cz. Przewóskiej »W promieniu słońca«. Z rzeczy tłumaczonych mieliśmy utwory: Lotiego, Ernesta Hello, Antoniego Czechowa, d'Annunzia. Ponadto drukował *Wędrowiec* dramaty, których, choć szkoda, brak *Tygodnikowi*. W dziale poezyi zato uderzający jest brak młodszych, karmić zaś ciągle czytelników utworami pisarzy starszych (Gomulickiego, Or-ota) nie wypada wprost. Przecież i wśród tej młodzieży Apollinowej znalazłoby się niejednokrotnie coś godnego przeczytania. Bo że się da od czasu do czasu wiersz: Tatarkiewicza, Zbierzchowskiego czy Różyckiego, to jeszcze nie wszystko. Zaniedbanie takie, wpływające ujemnie na wartość pisma, bądź co bądź pożytecznego, dałoby się przecież bez trudu usunąć.

W części literackiej mamy szereg pięknych opisów miejscowości i podróżniczych, n. p. »Zakopane« W. Szukiewicza, »Nad Lemanem« J. Chodorowicza, »Gruzya« H. Ułaszyna, niemało studyów naukowych, historycznych, artystycznych i literackich, żeby wymienić: L. Uziębły »Noworoczniki i Krzeczkowski ze swoją szkolną, żałosną przygodą«, H. Gallego »Piotr Skarga w świetle nowych badań«, J. Muszyńskiego »Grafika współczesna«, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych (J. Toporskiego »Młodzież«, d-ra Z. Daszyńskiej-Golińskiej »Alkoholizm jako objaw choroby społecznej«). Ponadto zamieszczał *Wędrowiec* życiorysy, sprawozdania teatralne, muzyczne i artystyczne (z nich najlepsze J. A. Kisielewskiego, pisane z widocznem znawstwem i zacięciem), oraz sprawozdania i krytyki literackie. Na tym ostatnim punkcie szwankuje *Wędrowiec* mocno, boć przecież nie są one ani dokładne ani nie uwzględniają bodaj najwybitniejszych dzieł, jakich dosyć ukazuje się na naszych półkach księgarskich. Tu poprawa jest konieczna! Życie współczesne i z niem złączone zagadnienia znajdowały omówienie w osobno na to przeznaczonych rubrykach stałych, powtarzających się w każdym numerze (»Światła i cienie«, Kronika bieżąca, »Teczka Wędrowca«).

Pomiędzy artystami, których dzieła były reprodukowane w *Wędrowcu*, przewagę mają zagraniczni. Z naszych wymienimy: Siemiradzkiego, Brodzkiego, Żmurkę, Piotrowskiego, Gersona, Wygrzywalskiego, Kostrzewskiego, Siestrzeńcewicza, Piątkowskiego i Kowalskiego. W tem właśnie zgoła odmiennem traktowaniu części illustracyjnej różni się zasadniczo *Wędrowiec* od poprzednio omówionego pisma. Poza tem było w *Wędrowcu* mnóstwo rycin, objaśniających tekst artykułów.

Ziarno nie miało na oku żadnych wyższych aspiracyi. Chodziło mu o zdrową lekturę dla ogółu mniej wykształconego. To też główną wagę położono na: portrety i życiorysy, opisy ludów, krajów i miast (pomiędzy nimi bardzo piękne: J. Ryszkiewicza »Z nad brzegów Dubissy« i St. Belzy »Na obczyźnie wśród swoich« Muribo), na artykuły treści historycznej (L. Uziębły, »W Mereczu i Wilnie«), przyrodniczej i ogólnie pouczającej. Również w tonie popularnym były utrzymane artykuły społeczne i literackie, choć zdałaby się ich większa ilość. Wszystkie one niemal zasługują na wyszczególnienie, tak dobrze są napisane, tak aktualne i piekące poruszają potrzeby, czyto kiedy E. Węsławska mówi o »Wychowaniu dziecka«, czy kiedy W. Szukiewicz zastanawia się nad »Naszemi dziećmi«, lub »Zrzeszeniem się pracy«. Nawet i powieści drukowało *Ziarno* dosyć wiele, częścią oryginalnych, częścią tłumaczonych, z pośród których wymienię: E. Orzeszkowej »Dziwna historya«, L. Stasiaka »Bolesław Chrobry«, S. Kondratowicza »Z mroków«, Tołstoja »Król Assarhadów« i »Trzy pytania«. Utworom poetyckim jednak, jakie zostały pomieszczone w *Ziarnie* mam wiele do zarzucenia, a przedewszystkiem to, że nie są poezyami, tylko rymoróbstwem bez talentu. Najlepsze jeszcze są przekłady wierszy: Lermontowa i S. Czecha. Oprócz rysunków, illustrujących poszczególne artykuły, podawało *Ziarno* reprodukcye dzieł sztuki, przeważnie zagranicznej. Z polskich malarzy spotkaliśmy zaledwo kilku, a to: Ryszkiewicza, Siemiradzkiego, Brandta, F. Brzozowskiego, Rybkowskiego i Kowalskiego. W każdym zeszycie były jeszcze stałe

W części literackiej mamy szereg pięknych opisów miejscowości i podróżniczych, n. p. »Zakopane« W. Szukiewicza, »Nad Lemanem« J. Chodorowicza, »Gruzya« H. Ułaszyna, niemało studyów naukowych, historycznych, artystycznych i literackich, żeby wymienić: L. Uziębły »Noworoczniki i Krzeczkowski ze swoją szkolną, żałosną przygodą«, H. Gallego »Piotr Skarga w świetle nowych badań«, J. Muszyńskiego »Grafika współczesna«, społeczno-ekonomicznych i pedagogicznych (J. Toporskiego »Młodzież«, d-ra Z. Daszyńskiej-Golińskiej »Alkoholizm jako objaw choroby społecznej«). Ponadto zamieszczał *Wędrowiec* życiorysy, sprawozdania teatralne, muzyczne i artystyczne (z nich najlepsze J. A. Kisielewskiego, pisane z widocznem znawstwem i zacięciem), oraz sprawozdania i krytyki literackie. Na tym ostatnim punkcie szwankuje *Wędrowiec* mocno, boć przecież nie są one ani dokładne ani nie uwzględniają bodaj najwybitniejszych dzieł, jakich dosyć ukazuje się na naszych półkach księgarskich. Tu poprawa jest konieczna! Życie współczesne i z niem złączone zagadnienia znajdowały omówienie w osobno na to przeznaczonych rubrykach stałych, powtarzających się w każdym numerze (»Światła i cienie«, Kronika bieżąca, »Teczka Wędrowca«).

Pomiędzy artystami, których dzieła były reprodukowane w *Wędrowcu*, przewagę mają zagraniczni. Z naszych wymienimy: Siemiradzkiego, Brodzkiego, Żmurkę, Piotrowskiego, Gersona, Wygrzywalskiego, Kostrzewskiego, Siestrzeńcewicza, Piątkowskiego i Kowalskiego. W tem właśnie zgoła odmiennem traktowaniu części illustracyjnej różni się zasadniczo *Wędrowiec* od poprzednio omówionego pisma. Poza tem było w *Wędrowcu* mnóstwo rycin, objaśniających tekst artykułów.

Ziarno nie miało na oku żadnych wyższych aspiracyi. Chodziło mu o zdrową lekturę dla ogółu mniej wykształconego. To też główną wagę położono na: portrety i życiorysy, opisy ludów, krajów i miast (pomiędzy nimi bardzo piękne: J. Ryszkiewicza »Z nad brzegów Dubissy« i St. Bełzy »Na obczyźnie wśród swoich« Muribo), na artykuły treści historycznej (L. Uziębły, »W Mereczu i Wilnie«), przyrodniczej i ogólnie pouczającej. Również w tonie popularnym były utrzymane artykuły społeczne i literackie, choć zdałaby się ich większa ilość. Wszystkie one niemal zasługują na wyszczególnienie, tak dobrze są napisane, tak aktualne i piekące poruszają potrzeby, czyto kiedy E. Węsławska mówi o »Wychowaniu dziecka«, czy kiedy W. Szukiewicz zastanawia się nad »Naszemi dziećmi«, lub »Zrzeszeniem się pracy«. Nawet i powieści drukowało *Ziarno* dosyć wiele, częścią oryginalnych, częścią tłumaczonych, z pośród których wymienię: E. Orzeszkowej »Dziwna historya«, L. Stasiaka »Bolesław Chrobry«, S. Kondratowicza »Z mroków«, Tołstoja »Król Assarhadów« i »Trzy pytania«. Utworom poetyckim jednak, jakie zostały pomieszczone w *Ziarnie* mam wiele do zarzucenia, a przedewszystkiem to, że nie są poezyami, tylko rymoróbstwem bez talentu. Najlepsze jeszcze są przekłady wierszy: Lermontowa i S. Czecha. Oprócz rysunków, illustrujących poszczególne artykuły, podawało *Ziarno* reprodukcye dzieł sztuki, przeważnie zagranicznej. Z polskich malarzy spotkaliśmy zaledwo kilku, a to: Ryszkiewicza, Siemiradzkiego, Brandta, F. Brzozowskiego, Rybkowskiego i Kowalskiego. W każdym zeszycie były jeszcze stałe

rubryki, a mianowicie: illustrowany przegląd polityczny, z teatru wojny, fejleton, rozmaitości, kącik humorystyczny, łamigłówki i t. p. Wobec tego, że *Ziarno* spełniało przyjęte na siebie obowiązki dobrze, możemy je śmiało każdemu polecić. Znajdzie w niem treści dosyć, przystępnej dla najszerszych warstw, a pouczającej.

Zupełnie taki sam charakter, jak *Ziarno*, miał warszawski *Tygodnik polski*, tylko belletrystyki było więcej i lepszej. Żeby nie przedłużać, i tak nad miarę rozciągłego referatu, dodamy jeszcze, że stroną dodatnią, jaka mogła zalecić *Biesiadę literacką* do czytania, było drukowanie na jej łamach powieści Sienkiewicza »Na polu chwały«.

Przechodzimy do grupy tygodników t. zw. postępowych. Na ich czele *Ogniwo*. Niewymownie nam żal, że musimy odwołać te wszystkie pochwały, jakich nie szczędziliśmy temu pismu roku zeszłego, bo zawiedliśmy się srodze w nadziejach, jakie w niem początkowo pokładaliśmy. Rok pierwszy wydawnictwa odznaczał się przedewszystkiem bezbarwnością polityczno-wyznaniową, gromadząc pod sztandarem *Ogniwa* pracowników z najrozmaitszych obozów, nieraz wręcz sobie przeciwnych. Aliści, skoro pismo stanęło silnie na nogach, skoro wyrobiło sobie markę, wnet zrzucono maskę. Z dawnych współpracowników niema ani połowy, a na ich miejsce wszedł zastęp nowy, który do spółki z pozostałą częścią autorów sieje wyraźnie, bez najmniejszych obsłonek wzgardę do katolicyzmu, a za to propaguje judofilstwo. Proszę wziąć pod uwagę tylko parę artykułów, n. p. »Księża a książki« przez Kunigasa, »W sprawie ks. Bolcewicza«, Bicza »Pomyślność narodów a stosunki wyznaniowe« lub N. Czarnockiego »Z miast i wsi« (w sprawie położenia Żydów), a smutna rzeczywistość potwierdzi to, co przed chwilą powiedzieliśmy o *Ogniwie*. Jesteśmy głęboko przekonani, że taka robota nie wyda innych owoców, tylko gniłki, to też tem mocniej żałujemy, iż mimo woli czytelnicy nasi w r. ub. zostali w błąd wprowadzeni.

W dziale naukowym *Ogniwa* uwzględniono szeroko: nauki przyrodnicze (najlepszy S. Kramsztyka »Z filozofii nauk przyrodniczych«), geografię (W. Nałkowski »Z wnętrza i wschodu Azyi« oraz »Na granicy cywilizacyi«), psychologię, etnologię, antropologię językoznawstwo, prawo, ekonomię, historyę, filozofię i etykę. Nie należy jednak zapominać, że większa część tych artykułów nie jest niczem oryginalnem, tylko sprawozdaniami z rozmaitych prac osobno wyszłych. Dział literacko-artystyczny przynosi obfitą treść swojską i obcą. Między innymi autorami spotykamy tu: G. Daniłowskiego, E. Słońskiego, Kaz. Zdziechowskiego, F. Mirandollę, J. Jedlicza, K. Wroczyńskiego, z tłumaczonych zaś: Hoffmannstala, Andrejewa, J. Laforgue'a, Anatola France'a, Michaelisa, Stefanyka. Z pomiędzy artykułów krytycznych najlepsze są Drogoszewskiego i Artura Górskiego. Na uwagę zasługuje, że zjadliwy artykuł Feldmana o Tarnowskim, o którym wyżej mówiliśmy, został tutaj przedrukowany, jakby był jakim klejnotem. Jak dla kogo... W mniejszym stopniu zostały uwzględnione w *Ogniwie* rzeczy teatralne, muzyczne i artystyczne. Życie społeczne było traktowane z pseudopostępowego stanowiska, polegającego na tej zasadzie, by wszystko, co niedogodne burzyć, ale nie postawić niczego na miejscu gruzów. Dział ten świadczy najwymowniej

o spaczeniu poglądów. Z artykułów ekonomicznych odznaczały się korzystnie Z. Pietkiewicza »Kooperacye chłopskie« i »Gospodarstwa włościańskie«. Do stałych rubryk *Ogniwa* należał: »fejleton«, w którym omawiano kwestye bieżące, oraz toż samo przeznaczenie mające drobne »odgłosy«, korespondencye krajowe i zagraniczne, oraz kronika polityczna, ekonomiczna i inne.

Inne spokrewnione bardzo blizko z tym tygodnikiem pisma prowadzą marny żywot. Jeszcze czasem znajdzie się coś w *Prawdzie*, jak powieść Sieroszewskiego. *Przegląd tygodniowy* stracił widocznie kredyt u czytelników, jeśli przedzierżgnął się w *Przegląd powszechny*. Wreszcie *Głos*, zyskawszy nowych współpracowników — wymyślał głośno każdemu, komu się dało, i wszystkiemu. Wszystkie one, nie mówiąc już o ich błędnym kierunku, miały jeden wspólny niedostatek, brak artykułów samodzielnych, skutkiem czego posługiwano się pracami sprawozdawczemi.

Najlepszem pismem, poświęconem sprawom kobiecym, jest *Bluszcz*, wychodzący od lat 40-stu bez przerwy. Już ta długotrwałość mówi wiele o wartości pisma, a zwłaszcza u nas. Trzeba przyznać, że od czasu, w którym redakcyę objął Gawalewicz, *Bluszcz* wkroczył na drogę bardzo pomyślnego rozwoju. Staranność redakcyi uwidoczniła się zarówno w doborze prac drukowanych, jak nie mniej w poruszeniu wielu ważnych kwestyi. To, co powiedzieliśmy, stwierdza najlepiej przegląd, nawet bardzo pobieżny, treści tego tygodnika, która rozpadała się na następujące grupy. A zatem najpierw idą artykuły o postępie w pracy, dobrobycie i wykształceniu kobiet, w których poruszono kilkakrotnie sprawę wykształcenia uniwersyteckiego (M. Świd. i T. Radwański), wychowania kobiet w innych krajach, studentek w Galicyi (St. Górski) i t. p. Bardzo słusznie uczyniła redakcya, że wielką wagę położyła na dział prac, traktujących o wychowaniu moralnem, życiu społecznem i rodzinnem, z których na uwagę zasługują: Z. Seidlerowej »Szczęście dziecka« oraz »Wychowawczy wpływ dziecka na wychowawców«, dalej p. Siekierz-Ciechińskiej »Ideały i rzeczywistość emancypacyi kobiecej«, a wreszcie »Nasz kwestyonaryusz macierzyński«, który wydał obfity plon w licznych odpowiedziach matek. Nie zaniedbywano też hygieny, o której pisali: dr. St. Kopczyński »Pierwsze objawy nerwowości wieku dziecięcego«, M. K. »W jaki sposób należy dzieci hartować?« oraz dr. Wł. Chodecki »Małżeństwo w świetle hygieny«. Pozatem sprawy czysto kobiece były omawiane w fejletonach, pisanych przeważnie przez K. Glińskiego i A. Gliszczyńskiego, w korespondencyach, a zwłaszcza w kronice działalności kobiecej, prowadzonej starannie przez p. Z. Seidlerową.

Cały wogóle program *Bluszczu* był ściśle dostosowany do celów, jakim pismo to służy. Wszystko było skierowane ku kwestyom, pozostającym w związku z światem niewieścim. To też pomiędzy szkicami naukowymi napotykamy prace takie, jak: J. Terpiłowskiej »Historya kobiety« lub A. Darowskiego »Małżeństwo Bony Sforza«. Wśród belletrystyki, pochodzącej w przeważnej części z pod piór płci pięknej, widzimy M. Łopuszańskiej »Obrazy z przeszłości niewiast«, w których jest mowa o brance assyryjskiej Myliccie, o prorokini Miriam, o Elissie, kapłance bogini Astaroth, o królu Salomonie i Sulamitce Abisay i t. d. Dział poetyckich utworów był obszerny, ale

słaby. Z autorów wymienię: Z. Różyckiego, K. Laskowskiego, M. Wolską, St. Dąbrowską, I. Pilecką. Sprawozdania z nowości powieściowych pisywał przeważnie T. Jeske-Choiński. Oprócz tego podawał *Bluszcz* artykuły, tyczące się sztuk pięknych, muzyki, teatru, oraz rozmaite, drobne wiadomości. W dodatkach książkowych pojawiały się rzeczy tłumaczone, wcale nie tandetne, jak: P. Lotiego »Wrażenia z Dalekiego Wschodu«, lub Czechowa »Marzenie«. Jako najlepsze z naszych pism kobiecych, przewyższające o całe niebo tego rodzaju zagraniczne wydawnictwa, powinno pismo to wytrącić z rąk naszych pań rozmaite niemieckie i francuskie *Frauenblatty,* które ani się umyły do *Bluszczu.*

Tygodnik mód i powieści stał znacznie niżej od omówionego pisma. Główny nacisk położony był na część powieściową, choć poza tem zdarzały się często artykuły literackie i sprawozdania z nowości książkowych.

Krakowska *Illustracya polska* podupadła bardzo w r. ub., a wybiły się natomiast w górę *Nowości illustrowane,* pismo tygodniowe, którego zadaniem, piórem i ołówkiem illustrować ważniejsze, współczesne wydarzenia w kraju i zagranicą. Pismo to wytrzymuje stanowczo pod każdym względem konkurencyę z wiedeńskiem *Interessantes Blatt,* na którem się wzorowało, i w którego tonie jest prowadzone. Oby udało się *Nowościom* wyprzeć z kraju pokrewne im treścią i programem zagraniczne niemieckie piśmidła!

* * *

Przegląd pedagogiczny, istniejący już 23 lat, tygodnik, poświęcony wychowaniu domowemu i szkolnemu na niższym stopniu nauki, zgrupował wokoło siebie całe grono najpoważniejszych pedagogów z Królestwa Polskiego, między którymi znajdujemy tak poważne nazwiska, jak: Korzona, K. Króla, F. Łagowskiego, J. Chrząszczewskiej, I. Moszczeńskiej-Rzepeckiej, W. Jezierskiego, d-ra St. Kopczyńskiego i W. Skrzetuskiego. Będąc pismem przeznaczonem dla szerszych warstw, a przedewszystkiem dla rodziców i wychowawców, starał się *Przegląd pedagogiczny* o wyłożenie rzeczy przystępne, oraz o aktualność poruszanych kwestyi. W artykułach wstępnych roztrząsano sprawy ogólnej natury, przeważnie bieżące. Między innemi poruszono tu raz jeszcze sprawę koedukacyi (choć mojem zdaniem pokutuje ona ciągle najniepotrzebniej po czasopismach, jako dawno przesądzona), znaczenie pracy ręcznej w wychowaniu, wybór zawodu, sprawę wychowania dzieci upośledzonych, a I. Moszczeńska wyciągnęła bardzo trafne wnioski z kwestyonaryusza, wydanego przez *Bluszcz,* w artykule p. t. »Współczesne panny«. Trochę za mało miejsca poświęcono hygienie szkolnej, nasuwającej coraz to nowe troski i obawy, kiedy zajęto się tylko »Warunkami hygienicznymi pracy nauczycielskiej« (B. Handelsman), »Przeciążeniem nauczycielek« (Wł. Chodecki) i »Pierwszymi objawami nerwowości u dzieci«. Z pomiędzy prac psychologicznych na uwagę zasługują: A. Szycównej »Zdolność postrzegawcza małych dzieci« oraz E. Żypowskiej »Roztargnienie dzieci i jego przyczyny«. Przyklasnąć zato należy całemu szeregowi artykułów, poświęconych wychowaniu moralnemu. Słyszymy więc tutaj o wychowaniu społecznem,

o niemoralności młodzieży, o miłości własnej u dzieci, o ich kłamstwie i uporze, o dziatwie samodzielnej i o złych zabawach i t. d. Wszystkie one pisane z widocznem zamiłowaniem i zrozumieniem pedagogiki, która nieustannie dąży do usunięcia zła z pośród latorośli przyszłego społeczeństwa. A ileż dopiero mogą z tego rodzaju prac skorzystać rodzice, którzy zazwyczaj na własnych dzieciach uczą się praktycznie metody wychowawczej, niejednokrotnie z wielką szkodą dla dziatwy? W pracach, traktujących o metodyce nauczania, poruszono bardzo nieraz odległe od siebie kwestye, a zatem próbę reformy w nauce poglądowej, metodę nauki rysunków w zależności od psychologii dziecka, używanie drukowanych tłumaczeń przez uczniów, wykład nauk przyrodniczych w Anglii, jak zastąpić bony cudzoziemki i wiele innych. Na uwagę zasługują wreszcie, żeby nie bawić się w długie wyliczanie: M. Stempkowskiej-Kozierskiej »Myśli o wychowaniu estetycznem«, J. Mortkowiczowej »O książkach obrazkowych dla dzieci«, oraz K. Króla ciekawie pochwycony profil »Ś. p. Chmielowskiego, jako pisarza pedagogicznego«. Nowe reformy w dziedzinie wychowania zagranicą były omawiane w osobnej rubryce. Również osobne miejsce wyznaczono (niemal w każdym numerze) na przegląd krytyczny artykułów pedagogicznych w czasopismach polskich. Dział recenzyjno-sprawozdawczy omawiał wydawnictwa nasze i obce, ale nieco za skąpo reprezentuje się. Rozmaite sprawy, wchodzące w zakres pedagogiki, bywały omawiane w t. zw. »Luźnych kartkach«. Dopełnieniem każdego zeszytu była kronika bieżąca, oraz wiadomości bibliograficzne. Wprost serce rośnie na widok *Przeglądu pedagogicznego*, który, walcząc z ciężkimi stosunkami, tak pięknie, z roku na rok coraz to piękniej rozwija się. Ile mozołu i trudu, ile walki z brakiem współpracowników i odpowiednich prac, musieli redaktorowie ponieść, rozumie każdy, kto kiedykolwiek patrzał z blizka na maszynę, poruszającą czasopismo pedagogiczne polskie. Nie tylko z uwagi na ważność kwestyi w *Przeglądzie pedagogicznym* poruszanych, ale ze względu na własną korzyść, jaką mogą i powinni z jego lektury odnieść rodzice i wychowawcy, zasługuje to pismo na uznanie zupełne i na rozpowszechnianie w jak najszerszych kołach Wszak jedyne to pismo u nas, poświęcone pedagogice »milusińskich«!

* * *

Bardzo pożytecznem dla szerszych warstw czytającej i kształcącej się publiczności pismem, poświęconem opisom ziem, ludów, podróży, zjawisk przyrody i wynalazków jest założony przed trzema laty warszawski tygodnik p. n. *Na około świata*. Ruchliwość i zapobiegliwość tego pisma jest wielka i zwiększa się z każdym rokiem. Żadnego nie mamy mu do uczynienia zarzutu, oprócz illustracyi, które mogłyby być znacznie lepsze, na czem zyskałoby wiele pismo, a z niem razem czytelnicy, zwłaszcza, że większość prac, w niem pomieszczonych. była ozdobiona licznemi rycinami. Artykuły podróżnicze mówiły o Indyach (Piotr Loti), Siamie, Mandżuryi, p. L. Janikowski opisywał wrażenia swoje w dwu pracach p. n. »W górach Kryształowych« i »Z podróży do Afryki«, Józef Gieysztor znowu pisał o Dalekim

Wschodzie, tak obecnie wszystkich interesującym, na ten sam temat pisał także dr. A. Grosglik w artykule »Miasta Dalekiego Wschodu«. Dział naukom przyrodniczym poświęcony był również bardzo bogaty i urozmaicony, zajmując się głębiami oceanu, czy powstaniem życia na ziemi, wrażliwością roślin, życiem mrówek, pachnącymi motylami i ich ruchami i t. p. Najlepszym, a zarazem najobszerniejszym jest artykuł »O ciałach promieniotwórczych« G. Tołwińskiego. W dziale, traktującym o geografii i krajoznawstwie, przeważa materyał swojski, żeby tylko wymienić szkic monograficzny M. Bronszteina p t. »Żmujdź i Żmujdzini«, A. Brydzińskiego »Powiat radzyński«, lub E. Piotrowskiego »Łęczyca«. Artykułów, poświęconych ludoznawstwu i medycynie popularnej, było znacznie mniej. W dziale technicznym na uwagę zasługują prace znanego poety Maryana Zaruskiego o żegludze morskiej. Pozatem zamieścił ten tygodnik całe mnóstwo drobnych notatek z dziedziny przyrodoznawstwa, meteorologii, astronomii i t. p., oraz sprawozdań z książek bieżących.

Dr. Stanisław Zdziarski.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika *Il fermo proposito.*

Po raz pierwszy od 1870 r. nie odnowiono przy wyborach do parlamentu w dniach 6 i 13 listopada ubiegłego roku dawnego zakazu *Non expedit;* nie zniesiono go wprawdzie formalnie, ale pozwolono wyborcom, którzy to za swój obowiązek uznawali, przystąpić do urny. Ten nieoczekiwany krok papieża wywołał niebywałe wrażenie. Pius X był widocznie zdania, że można już pomyśleć o zorganizowaniu katolików w wielką partyę polityczną, — kilkadziesiąt jednak lat powstrzymywania się od wszelkiego udziału w życiu publicznem, utrudniło wypełnienie tego życzenia, brak energii, niezaradność i rozdwojenie udaremniły wszelką czynność polityczną, wskazując, że jej koniecznym warunkiem jest najpierw powolne do tego przygotowanie. Potrzebę tego przygotowania wykazywały też wszystkie w ostatnich czasach ogłoszone w *Civiltà cattolica* artykuły. Od listopada zeszłego roku pracowały miarodajne koła wraz z Ojcem św. nad ostatecznym programem dla całej akcyi katolickiej, a wyrazem tej działalności jest podpisana 11 czerwca encyklika *Il fermo proposito,* zwracająca się do biskupów włoskich, a zajmująca się działalnością katolicką. Pod tą działalnością w jej szerszem znaczeniu rozumie papież wszystko, co się odnosi do Boskiego posłannictwa Kościoła, w ściślejszem

tego pojęcia określeniu uważa za akcyę katolicką to, co tworzy chrześcijańską cywilizacyę w całej jej rozciągłości, tak że zadaniem akcyi katolickiej będzie odnowić wszystko w duchu Chrystusa, wszelkiemi siłami chrześcijańską kulturę w świecie rozszerzać i wszystkimi dozwolonymi środkami antychrześcijańską kulturę zwalczać. To jest w pierwszej linii zadaniem katolików świeckich, których pomoc w formie zastosowanej do wymagań czasów Kościół zawsze przyjmował. Ale dlatego właśnie, że jej cel jest tak szczytnym, wymaga ona ludzi cnoty, o wybitnym charakterze katolickim, a same dzieła, do których dąży, muszą posiadać naprawdę wybitną wartość. Nie można jeszcze myśleć o natychmiastowem założeniu politycznego stronnictwa, ale trzeba dążyć do »praktycznego rozwiązania kwestyi socyalnej, na podstawie chrześcijańskich zasad« i przygotować katolików do przyszłej organizacyi politycznej, a to przez utworzenie socyalnego centrum, czyli wielkiego związku ludowego, któryby połączył katolików wszystkich stanów, a przedewszystkiem szerokie masy ludowe. Obok związku ludowego trzeba stawić dobrze już zorganizowaną *Unione delle opere economiche*, odłam drugiej grupy *Opera dei Congressi*. Z centrum socyalnego wyłoni się naturalnym sposobem centrum polityczne; bez swych przedstawicieli w parlamencie związek ludowy nie dokona wszystkiego, musi się więc posługiwać temi obywatelskiemi prawami, które dzisiejszy ustrój państw daje wszystkim do ręki. Ważne racye nie pozwalają wprawdzie na zniesienie *Non expedit*, lecz niemniej ważne przyczyny, te przedewszystkiem, które najwyższe dobro ogólne mają na względzie, mogą w pojedyńczych wypadkach od dawnego przepisu dyspenzować. To jednak uprzedzające postępowanie ze strony Stolicy św. wymaga, aby »wszyscy katolicy rozumnie i poważnie do życia politycznego się przygotowali«. Doradza dalej papież utworzenie związków wyborczych, i poleca te wszystkie stowarzyszenia, które jakkolwiek różnią się organizacyą, jednak dobro ogólne, a przedewszystkiem ludu, mają na celu; w ich powstawaniu i organizowaniu się musi panować pewna wolność, gdyż do szablonu nagiąć się nie dadzą. Działalność katolików nie może być niezależna od rad i kierownictwa władzy duchownej,

mimoto ma jej być udzielona pewna, bliżej w encyklice określona wolność; również i duchowni, w pewnych warunkach, udział w całej pracy brać mogą i powinni.

Wrażenie przez najnowszą encyklikę wywołane, było rozmaite. Liberalne pisma, ze źle tajoną radością, mówiły o absolutnem poddaniu wszelkiej katolickiej pracy społecznej pod władzę Kościoła, a przecież Pius X wyraźnie mówi o rozumnej wolności, jakiej udziela akcyi społecznej, tem bardziej że nie chce aby odpowiedzialność w rzeczach ekonomicznych i politycznych spadała na duchownych. Że naprawdę władza, w tym względzie biskupom udzielona, jest rozległa, to jest zawarunkowane przez wyjątkowe stosunki we Włoszech panujące — katolicy tamtejsi nie dorośli jeszcze do życia politycznego i ile razy na własną rękę politykować zaczęli, wpadali w różne i wielkie błędy; wszystko jednak przemawia za tem, że to ukrócenie wolności jest tylko tymczasowe.

Gorszono się dalej, że udział duchowieństwa włoskiego w akcyi społecznej został utrudniony; a przecież wedle słów papieża może duchowieństwo pracować w stowarzyszeniach ekonomicznych i politycznych »po dojrzałej rozwadze, po porozumieniu się z swoim biskupem i w takich tylko wypadkach, w których jego pomoc będzie wolną od niebezpieczeństw dla niego a połączona z wielką korzyścią dla sprawy«. Słowem i pismem i bezpośrednim udziałem ma duchowieństwo pracować »aby w granicach sprawiedliwości i miłości podniosło ekonomiczne położenie ludu«. O formalnym zakazie nie ma więc mowy, a że Włochy stoją dzisiaj przed olbrzymią walką, która w blizkiej zapewne przyszłości się rozegra, nic dziwnego, że papież tak uważa, aby żadna plama, o której w walce politycznej i ekonomicznej tak łatwo, sukni kapłańskiej nie zbrukała. Zresztą nie trudno znaleźć uzasadnienie tego kroku papieża w postępowaniu młodszego kleru włoskiego z ks. Murrim na czele. O niebezpieczeństwie jego kierunku pisaliśmy na tem samem miejscu w kwietniu i w maju i nikogo nie powinno zadziwić, że ruch ten spotkał się w encyklice papieskiej z ostrymi słowami potępienia; nie potępił wprawdzie papież chrześcijańskiej demokracyi, jak z tryumfem stwier-

dzano, lecz tylko chrześcijańskich demokratów z pod znaku ks. Murri'ego a to dla ich socyalistycznych sympatyi i przesadnych planów reformy. Skądinąd z uznaniem podnieść trzeba, że zachowanie się ks. Murri'ego po ogłoszeniu encykliki, która jego najwięcej dotknęła, było wprost nienaganne. Z okazyi poświęcenia chorągwi w Perriceto wyraził się wódz chrześcijańskich niezależnych demokratów, że papież taktowniej i inaczej postąpić nie mógł. »Rzecz cała cieszy się naszem uznaniem, będziemy ją wspomagać słowem i czynem, w żaden zaś sposób nie będziemy jej zwalczać lub powstrzymywać!« Że ks. Murri na seryo tak myśli, świadczy o tem zerwanie stosunków z nowym organem autonomicznych demokratów *Italia Nuova,* który już nawet przestał wychodzić a w ostatnim numerze w gwałtowny sposób wystąpił przeciwko Murri'emu.

Jeszcze przed wyjściem encykliki zgromadzili się w Rzymie najwybitniejsi przedstawiciele ruchu katolickiego we Włoszech, jak Pericoli, prezydent stowarzyszenia *Gioventù cattolica,* znany socyolog Toniolo i hr. Medolago-Albani, prezydent drugiej grupy *Opera dei Congressi,* aby zająć się opracowaniem ustaw dla przyszłego związku ludowego. Wydział otrzymuje z całego kraju listy z uznaniem od osób nawet, po których niktby się tego nie spodziewał; wybitne, na polu działalności socyalnej znane siły, oddały się mu do dyspozycyi. Projekt przyszłej pracy przedstawia się następująco: utworzy się najpierw organizacya, zajmująca się zwoływaniem zebrań ogólnych i lokalnych, rozszerzaniem ulotnych broszur i urządzaniem wykładów i odczytów; druga gałąź związku ludowego obejmie organizacyę wyborczą i dążyć będzie do tego, aby przy wyborach katolicy szli ręka w rękę; trzecia wreszcie gałąź przeprowadzi organizacyę związków robotniczych, wieśniaczych, kas itd. To wprawdzie dopiero początek i do czynu jeszcze daleko, ale znać wielki postęp w całej sprawie i dlatego gazety liberalne niepokoją się na dobre. I tak pisze *Tribuna,* że z wstępem katolików do życia politycznego rozpocznie się walka Kościoła z liberalizmem. Stronnictwo liberalne nie powinno, jej zdaniem, widzieć w organizacyi katolików pomocy przeciwko socyalistom, lecz tylko wroga, przed którym trzeba się mieć dobrze na baczności.

Pierwszą, wybitniejszą czynnością katolików po ogłoszeniu encykliki, był ich udział w wyborach do rady miejskiej w Rzymie. Katolicka *Unione Romana* złączyła się z umiarkowanem monarchicznem »Stowarzyszeniem dla interesów rzymskich« a lista przez te dwa związki postawiona, zwyciężyła; na 29 nowo wybranych radców należy 10 do stronnictwa katolickiego, 14 do monarchicznego. »Ten fakt, pisze *Popolo Romano,* oznacza, że odtąd będziemy w życiu publicznem Włoch mieć do czynienia z nowym, łagodnym, umiarkowanym elementem, który przeciwdziałać będzie tendencyom stronnictw, dążących pod pozorem poprawy doli proletaryatu do zupełnego przewrotu w dzisiejszych stosunkach«.

Dokonanie rozdziału we Francyi.

W poniedziałek 3-go lipca przyjęła izba francuska 341 głosami przeciwko 233 prawo rozdzielające Kościół od państwa. Fakt ten od dawna już można było przewidzieć, wrażenie jednak, jakie on wywołał, było dla wielu nieoczekiwanem. Progresiści wyrażają głośno swe niezadowolenie z rozdziału. Widzą oni w konkordacie najlepszy środek do utrzymania Kościoła w zależności od państwa a dzień, w którym przyszły rozdział ogłoszonym być miał, uznawali od dawna — razem z Gambettą — za najszkodliwszy dla rzeczypospolitej; najskrajniejsza prawica, mieszcząca w sobie posłów z Bretanii, cieszy się z rozdziału sądząc, że teraz przybliża się chwila zwycięstw i obrachunku dla Kościoła; nacyonaliści nie są rozentuzyazmowani, ale ostatecznie rozdział idzie im na rękę, wszak w mętnej wodzie najłatwiej ryby łowić. Właściwi Jakobini są nie bardzo zadowoleni — nowe prawo jest jeszcze za łagodne, dlatego też pyta Brianda *Intransigeant,* ilu duchownych liczy w swej rodzinie, tak odpowiada jego prawo życzeniom klerykałów. Prawdziwie gniewa się dopiero *Action:* »Stronnictwo republikańskie skapitulowało przyznając dobra kościelne związkom wyznaniowym, skapitulowało pozwalając księżom i biskupom, stojącym pod kierownictwem i rozkazami papieża, na używanie budowli wyznaniowych, skapitulowało pozwalając związkom wyznaniowym łączyć się z sobą i cały kraj gęstą siecią pokryć, skapitulowało przed proce-

syami, cofnęło się nawet przed ustanowieniem kary więzienia na kapłanów, którzy w swych kazaniach rzeczpospolitą obrażą. Izba dała Kościołowi do rozporządzenia cały skarb wojenny. Stronnictwo republikańskie samo przygotowało bomby, których odłamy przy najbliższych walkach wyborczych razić je będą. Dzisiejszy rozdział, to nie jest rozdział przynoszący korzyści dla państwa, ale dający Kościołowi nowe prawa a kryjący w swem łonie dla kraju nowe niebezpieczeństwa«. Skąd jednak te smutne przewidywania i przypuszczenia?

Sprawa nie jest jeszcze ostatecznie załatwioną, nowe prawo musi wpierw być przyjęte przez senat. Senat, mówiąc po ludzku, prawo zatwierdzi, może jeszcze w jednym lub drugim punkcie zaostrzy [1] — większość w senacie najzupełniej odpowiada w swych dążnościach większości w izbie — izba jednak czuje, że postąpiła wbrew intencyom narodu i lęka się wyborów przyszłego roku. Dla tego wszyscy zwolennicy nowej ustawy wzywają senat, by jeszcze przed pierwszym stycznia sprawę rozdziału załatwił i rzecz uprawomocnił. W przeciwnym razie, utrzymuje Briand, wszystko może iść na marne, gdyż przeciwnicy z pałacu burbońskiego postarają się o przedłużenie debat nad ustawą tak, że poprawki przez senat uczynione a przez obecną izbę nie załatwione, przyjdą pod obrady przyszłej, a składu tejże nikt przewidzieć nie może. Taką jest przyczyna niepokoju, przyczyn zaś niezadowolenia w tem szukać trzeba, że prawo w obecnym swym ustroju nie bardzo jest podobne do pierwotnego zarysu, danego przez Combesa i Bienvenu-Martin'a. I tak n. p. wbrew pierwotnym zamiarom rządu nie przeszły na własność państwa pałace biskupie, plebanie, seminarya itd., przeciwnie na przeciąg dwóch, względnie pięciu lat, odstąpiono je bezpłatnie związkom wyznaniowym i to tak dalece, że gminy, które nie posiadały osobnych plebanii i utrzymywały proboszcza, to samo i dalszych pięć lat czynić muszą — po upływie tego czasu będą pozawierane nowe umowy z państwem, departamentami lub gminami; pensyę dla osób duchownych podwyższono również wbrew intencyom rządu i nie

[1] Komisya senatu zatwierdziła już całą ustawę.

obwarowano jej tak, jak zamierzono, najrozmaitszemi zastrzeżeniami; kościoły i katedry przechodzą wprawdzie na własność państwa, używanie jednak tychże przez związki wyznaniowe jest zupełnie bezpłatne — tę ostatnią część ustawy przyjęto 526 głosami przeciwko 38; związkom wyznaniowym pozwolono się rozszerzyć na całą Francyę a dla łatwiejszego wykonywania praktyk religijnych mogą one zakładać fundusze rezerwowe; z kar przeznaczonych dla kapłanów wyrzucono karę więzienną, — nic więc dziwnego, że te wszystkie ograniczenia, jak i fakt, że z takich nawet okolic, które przed trzema laty wybierały samych radykałów i członków bloku, nadchodzi coraz więcej petycyi przeciwko nowej ustawie — dotąd zebrano około 4 milionów podpisów — niepokoją tych wszystkich, którzy w Kościele widzą wroga, którego zgnieść trzeba.

To wszystko jednak nie odbierze ustawie jej antyreligijnego, nieludzkiego i niesprawiedliwego charakteru; jak drobne nawet poprawki przechodziły, wykazały najlepiej pojedyńcze posiedzenia — rzadko kiedy wychodziły one z punktu widzenia słuszności i sprawiedliwości, odgrywały w nich przeciwnie wielką rolę wcale uboczne względy. Dlatego nikogo nie zadziwi, że ustawa spotyka się z ogólnem niezadowoleniem i że protestancki *Temps* mógł o niej napisać: »Trzystu małych Napoleonów podkopało i zburzyło dzieło jednego Napoleona. Dążąc do rozdziału Kościoła od państwa dopuszczono się aktu gwałtu uprawnionego przez parlament«.

Wybory w Holandyi.

Wybory do drugiej izby holenderskiej, które się odbyły 16 czerwca, skończyły się porażką rządową; chodziło o sto mandatów. W r. 1901 wynosiła większość rządowa, tak zwana antyrewolucyjno-katolicka, 50 członków, mniejszość antyrządowa czyli liberali i socyaliści zyskali 42 krzeseł. Przy teraźniejszych wyborach wyszło z urny od razu 23 katolików, 13 protestantów ortodoksów, 8 liberałów lewicy, 3 liberałów prawicy, 8 z stronnictwa historyczno-chrześcijańskiego i 5 liberalnych demokratów; socyaliści w pierwszem starciu nie otrzymali żadnego głosu. Czterdzieści mandatów oczekiwało na wybory ściślejsze. Te ostatnie zawiodły wszelkie oczekiwania. Katolicy

uratowali wprawdzie wszystkie swoje pozycye, antyrewolucyjni stracili za to ze swych 23 mandatów 8, chrześcijańsko-historyczni 2, liberali związkowi zyskali natomiast 7, staroliberali 2, wolnomyśli demokraci 2, socyaliści przeprowadzili 7, utracili więc jeden. Ostateczny skład izby przedstawia się następująco: katolicy posiadają 25 deputowanych, protestanci ortodoksi 15, liberali z lewicy 24, liberali z prawicy 10, stronnictwo chrześcijańsko-historyczne 8, liberalni demokraci 11, socyaliści 7 — większość antyrządowa wynosi 52, mniejszość rządowa 48.

Jakim przyczynom przypisać tę porażkę rządu? Przedewszystkiem nieporozumieniu i rozdwojeniu, jakie zaszło między antyrewolucyjnem a historyczno-chrześcijańskiem stronnictwem, które w ten sposób nie były w stanie sprostać usiłowaniom liberałów i socyalistów — i nienawiści do Kuijpera, jaka ożywia szeregi antyrządowe. Mimo hasła socyalistów »nie głosować za klerykałem ani liberałem« oddawali socyaliści przy ściślejszych wyborach wszędzie swe głosy za liberałami i odwrotnie. Dziwnie oświetlają w tej mierze zapatrywania liberałów słowa dawnego ministra van Houten: musimy postępować, pisze on, wedle zasady, że z dwojga złego mniejsze wybrać trzeba i pytać siebie samych, jaki wybór w danych warunkach będzie złem największem. Obecne warunki żądają koniecznie raczej wyboru socyalisty, jak rządowca. Dlatego »opozycya niech głosuje, jak jeden mąż, przeciwko Kuijperowi«. Za tem drugiem hasłem poszli liberali i sprzymierzonym siłom udało się wreszcie obalić tak zasłużony gabinet Kuijpera. Dla Holandyi klęska to wielka, socyalne prawodawstwo, dla którego Kuijper tyle zrobił, będzie w rozwoju swym powstrzymane, ale szkoda ostatecznie nie jest niepowetowana. Pierwsza izba ma jeszcze swą większość antyrewolucyjno-katolicką i będzie hamować zapały i za krewkie popędy izby drugiej, — w każdym razie wynik wyborów w Holandyi na nowo stwierdza, jak wielką siłą w życiu politycznem, jest jedność.

Pogrom liberałów w Bawaryi.

Podczas gdy w Holandyi skończyły się wybory, nie wielkiem wprawdzie, ale w każdym razie zwycięstwem partyi liberalnej, przyniosły przeciwnie wybory do sejmu bawar-

skiego ostateczną klęskę liberalnemu stronnictwu. Na 159 mandatów otrzymało centrum 102 (+18), liberali 20 (—23), związek chłopski 3 (—3), konserwatyści związkowi 14 (—2), socyaliści 12 (+1), demokraci 2 (+1) — inni już w grę nie wchodzą. Wybory odbywały się pod hasłem reformy wyborczej, przeciwko której było stronnictwo liberalne, a za którą stało centrum i socyaliści. W Bawaryi panuje system wyborów cenzusowy i pośredni, chodziło więc o rozszerzenie prawa wyborczego; liberali dlatego sprzeciwiali się rozszerzeniu prawa wyborczego, ponieważ się lękali utracenia mandatów, tymczasem wpadli w pułapkę. Jednogłośnem zdaniem różnorodnych gazet wynik wyborów nie byłby ani tak świetnym dla centrum, ani tak ujemnym dla stronnictwa liberalnego, gdyby nowe prawo było przeszło. Do jego przeprowadzenia potrzeba dwóch trzecich większości czyli 106 głosów; do tej większości brakuje wprawdzie centrum czterech głosów, ma ją jednak zapewnioną przez głosy socyalistów, którzy do tego samego zdążają celu.

Wybory bawarskie są jednym z rzadkich przykładów wspólnej akcyi centrum i socyalistów; wprawdzie i bez tej pomocy miało centrum zapewnioną absolutną większość w sejmie, i z pomocą socyalistów nie zbyt wiele zyskało, w każdym jednak razie ten sojusz słusznie może zadziwić. Da się on wytłumaczyć rozgoryczeniem, jakie w szerokich kołach katolickich panowało przeciw liberałom a uzasadnione było przez ich nietaktowne, wprost nienawiścią dyszące stanowisko względem wszystkiego, co katolickie; dalej, że ta umierająca partya przez długie lata terroryzowała naród i narzucała wszystkim swoją wolę, kierując się jednak nie dobrem ogółu ale względami stronnictwa, że wreszcie ten sojusz do niczego więcej nie obowiązuje a żadna inna partya wbrew woli centrum niczego w sejmie bawarskim nie przeprowadzi. Te względy czynią stanowisko centrum przynajmniej zrozumiałe.

Ks. Wiktor Wiecki.

Towarzystwa naukowe i literackie w r. 1904.

Kasa im. Mianowskiego. — Tow. dla popierania nauki polskiej. — Tow. dla popierania wydawnictw Akademii Umiejętności. — Akademia Umiejętności. — Tow. Przyjaciół Nauk poznańskie. — Tow. naukowe toruńskie. — Tow. filozoficzne. — Tow. przyrodników im. Kopernika. — Tow. historyczne. — Tow. miłośników historyi i zabytków m. Krakowa. — Tow. numizmatyczne. — Grono konserwatorów dla Galicyi wschodniej i zachodniej. — Tow. ochrony zabytków polskich. — Tow. ludoznawcze. — Śląskie Tow. ludoznawcze. — Polska Sztuka Stosowana. — Tow. literackie im. Mickiewicza. — Tow. filologiczne. — Tow. nauczycieli szkół wyższych. — Tow. pedagogiczne. — Tow. śląskie pedagogiczne. — Tow. prawnicze. — Tow. prawniczo-ekonomiczne. — Tow. lekarskie lwowskie i krakowskie. — Tow. hygieniczne lwowskie i warszawskie. — Tow. weterynarskie. — Tow. politechniczne lwowskie i krakowskie. — Związek naukowo-literacki. — Koła literacko-artystyczne lwowskie i krakowskie. — Klub słowiański. — Czytelnia katolicka. — Stowarzyszenia pomniejsze.

Po raz już trzeci przychodzi mi zabrać głos z tego miejsca w sprawie działalności naszych naukowych i literackich stowarzyszeń. Podawszy w r. ub. (zeszyty od lipca do listopada) obszerną aż nadto ich charakterystykę, zajmę się teraz jedynie oceną ich pracy. Stan liczebny towarzystw w porównaniu z r. ub. pozostał niemal niezmieniony. Przyrost objawił się jednem tylko stowarzyszeniem, ale takiem, które więcej dotąd zdziałało po roku istnienia, niż dziesięć innych. Mam na myśli *Tow. dla popierania wydawnictw Akademii Umiejętności w Krakowie*, którego rozwojowi z całego serca należy przyklasnąć. Nic dziwnego, że przyrost ilościowy był tak słaby. Wszak mamy już tyle towarzystw, że dla większej ich liczby miejsca wcale niema. W dodatku znaczniejsza ich część prosperowała tak słabo, że raczej pożądanym byłby ubytek niektórych, bez żadnej widocznej szkody, z pożytkiem za to dla innych. Dlaczego? — zaraz wyjaśnię. Oto do przeważnej części towarzystw należy z małemi zmianami ta sama garstka ludzi, chętnych do pracy, którzy niejednokrotnie zasiadają w kilku zarządach, tracąc niepotrzebnie czas i siły na podtrzymywanie wegetacyi pewnego stowarzyszenia. Sądzę, że, pominąwszy już wyczerpywanie sił pewnych osobników, sztucznymi środkami utrzymywane życie danej instytucyi jest niemoralne: raz dlatego, że, jeśli rzecz jest dobra i potrzebna, zupełnie zbędne jest stosowanie jakichś nadzwyczajnych środków, ażeby w niej obudzić ruch, powtóre, że

wiele jednostek, zdolnych do pracy, lecz czujących nałogowy wstręt do niej, zdaje wszystko na barki kilku osób, przyzwyczajając się do tem większego lenistwa. Jak zaś społeczeństwo nasze nie ma poczucia obowiązku popierania nauki, tego najlepszym dowodem fakt niezbity, iż większość naszych towarzystw naukowych zawdzięcza swój, i tak mizerny, byt jedynie i wyłącznie subwencyom: rządowym, krajowym, miejskim. Bez nich ani połowa nie mogłaby istnieć, t. j. trudnić się wydawnictwami i gromadzeniem zbiorów. Tak przykry i boleśnie upokarzający jest istotny stan naszych instytucyj kultywujących naukę polską, wcale nie piórem pesymisty krańcowego (jak mnie kiedyś nazwano) skreślony, ale oparty na całym szeregu sprawozdań, które leżą jeszcze przedemną. Zresztą cyfry lepiej i bardziej przekonywująco będą świadczyć za mną.

I jeszcze jedna skromna uwaga. W Niemczech istnieje wiele naukowych stowarzyszeń, liczących tysiące członków, które jednakże im niczego nie dają w zamian za złożone wkładki. Wydają wprawdzie one czasopisma, ale za nie członkowie, pragnący je otrzymać, muszą osobno płacić prenumeratę. U nas tymczasem członek otrzymuje w zamian za wkładkę prawie zawsze czasopismo, przewyższające wartością wniesione pieniądze. Ciekawa rzecz, iluby też członków liczyły nasze stowarzyszenia, gdyby oprócz składki kazały płacić prenumeratę?

* * *

Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowem im. d-ra Józefa Mianowskiego w Warszawie może poszczycić się bardzo pomyślnymi rezultatami swojej działalności. Nie była ona wprawdzie instytucyą naukową w pełnem znaczeniu tego wyrazu, ile jednakowoż winna jej nauka polska, ile prac i zamiarów doszło do skutku dzięki jej materyalnemu poparciu, — każdy chyba wie dobrze, jeśli choć trochę zajmuje się śledzeniem rozwoju badań uczonych. Że zaś Kasa mogła udzielać hojne wsparcia i zapomogi, to stało się jedynie z powodu chętnego poparcia, jakiego jej nigdy nie szczędziło społeczeństwo. Członków liczyła Kasa 1273, poza tem zaś otrzymała w r. ub. hojne dary z zapisów: ś. p. J. Sękowskiego (rb. 26.000), ś. p. K. Sokołowskiego (rb. 10.000), Wł. Walewskiego, W. Zglenickiego i innych. Majątek całkowity doszedł do sumy bardzo poważnej 450.000 rb. Podań o zapomogi i pożyczki na cele naukowe złożono w r. ub. 48, z których uwzględniono w części lub całości 27. Pozatem Kasa wspie-

rała swoimi funduszami wydawnictwa peryodyczne, a mianowicie: *Przegląd Pedagogiczny, Chemika polskiego, Ekonomistę, Przegląd filozoficzny, Encyklopedyę wychowawczą,* oraz udzieliła szeregu pożyczek na publikacye, z pomiędzy których na uwagę zasługują: prof. d-rowi Sz. Askenazemu rb. 600 na wydanie 6-go tomu »Monografii w zakresie dziejów nowożytnych«, A. Jabłonowskiemu rb. 1600 na wydanie »Księgi jubileuszowej Mikołaja Reya«, J. Łabuńskiemu rb. 538 na druk przekładu »Kroniki Janka z Czarnkowa« i W. Męczkowskiemu rb. 450 na opracowanie »Historyi szpitali w Polsce«. Z funduszów, mających specyalne przeznaczenie, rozdała Kasa mnóstwo wsparć, a mianowicie: rb. 1500 na wydanie pięciu tomów »Wielkiej Encyklopedyi Powszechnej«, p. Fr. Szaniorowi rb. 100 na wydanie »Słownika nazw botanicznych« Gustawa Pola, Br. Gembarzewskiemu rb. 395 za dzieło »Wojsko polskie«, Wł. Smoleńskiemu rb. 395 za pracę p. t. »Konfederacya Targowicka«. Ogółem wypłacono w r. ub. z funduszu obrotowego 19.543 rb., z funduszów specyalnych 12.466 rb., t. j. razem wydatkowano na badania i wydawnictwa naukowe kwotę 32.010 rb. Cyfra to bardzo poważna, wiele ważąca w rozwoju nauki polskiej, która nie mając stałego poparcia, jakiem cieszy się u innych narodów, musi czerpać zasoby jedynie i tak ubogiego społeczeństwa. Nie myślimy bynajmniej ujmować zasług komitetowi Kasy, musimy jednak zauważyć, że rozdział zapomóg był aż nadto rażąco jednostronny. Przewaga ich zatem była po stronie nauk przyrodniczych. Za wiele wydano na tłumaczenia rzeczy obcych, i to przeważnie podręczników, kiedy za dobre pieniądze możnaby się było postarać o prace oryginalne, a chyba ludzi ochoczych do pracy nie zabrakłoby! Wreszcie, — co z prawdziwą przykrością podnosimy, — niektóre gałęzie nauk nie doznawały wcale względów ze strony Kasy, choć na nie w zupełności zasługiwały. Wspomnę tylko — tylekroć już przezemnie podnoszoną sprawę »Wisły«, walczącej z grubym niedostatkiem. Mimo nawoływań z różnych stron — komitet Kasy nie uczynił dotąd nic, ażeby winę swą zmazać. A myślę — lepiej przyznać się otwarcie do błędu, aniżeli trwać uporczywie na raz zajętem fałszywem stanowisku!

Takiż sam, jak Kasa im. Mianowskiego, cel ma lwowskie *Towarzystwo dla popierania nauki polskiej*, które obecnie, po czterech latach istnienia, może spokojnie patrzeć w przyszłość, jedynie dzięki żywotności sprawy, oraz niestrudzonej energii i zapobiegliwości czcigodnego swego założyciela prof. O. Balzera. Jego to energia i pieczołowitość ojcowska sprawiły, że Tow. rozporządza, jak na nasze stosunki bardzo

poważnym kapitałem zakładowym, stanowiącym podwalinę dalszego istnienia i pomyślnego rozwoju, który doszedł do cyfry *36.461 koron*. Członków czynnych założycieli liczyło Tow. 152, wspierających dożywotnich 68, czynnych zwyczajnych 420, wspierających zwyczajnych 484; t. j. razem 1124. Ogólna tedy ich liczba była mniejsza, niż w r. 1903, przyczyną zaś tego spadku było zmniejszone poparcie z Królestwa Polskiego, które przechodziło znaczniejsze przesilenie ekonomiczne, oraz dziwna zaiste cecha, specyficznie galicyjska, — słomiany ogień zapału, rozbłyskujący do każdej nowości, gasnący jednak rychlej, niżby się tego można było spodziewać. Pomimo to obrót kasowy był pomyślny, wynosił bowiem 13.383 kor., przychód zaś w funduszu obrotowym doszedł do sumy 8107 kor. W to wliczono już subwencye: Ministerstwa wyznań i oświaty w wysokości 1200 kor. oraz Sejmu kraj. i Reprezentacyi m. Lwowa po 500 kor.

Zasób wydawnictw z r. ub. był znacznie bogatszym, niżeli w którymkolwiem z lat poprzednich, zarówno pod względem ich ilości, jak i objętości. Były one następujące: prof. d-ra Józefa Buzeka »Studya z zakresu administracyi wychowania publicznego. I. Szkolnictwo ludowe«, d-ra Przemysława Dąbkowskiego »Rękojemstwo w prawie polskiem średniowiecznem«, prof. d-ra Bronisława Dembińskiego »Stanisław August i książę Józef Poniatowski w świetle własnej korespondencyi«, oraz d-ra Władysława Witwickiego »Analiza psychologiczna objawów woli«. Ponadto przeprowadzono w r. ub. pracę przygotowawczą, odnoszącą się do zamierzonego wydawnictwa »Ogrodu fraszek« Wacława Potockiego, którem zajmuje się prof. dr. A. Brückner. Mianowicie kosztem około 600 kor. sporządzono odpis rękopisu tego zabytku, który obecnie tylko już oczekuje ostatecznego przygotowania do druku. Plon działalności wydawniczej Tow. jest bardzo wydatny, jeśli się weźmie pod uwagę skromne fundusze, jakie na ten cel mogły być wyłożone.

Również i sprawa zakładania bibliotek publicznych w ważniejszych miastach prowincyonalnych znalazła życzliwe i skuteczne poparcie w szerokich warstwach naszego społeczeństwa, tak, że po upływie roku od rozpoczęcia akcyi w tym kierunku rozporządza Tow. bardzo pokaźnym i cennym zbiorem, który sam wystarczyłby na założenie biblioteki o poważniejszym zakroju. Ogółem zebrano dotąd: książek 7607 w 10.349 tomach, atlasów i map 37, nut 11, rękopisów 7, rycin i sztychów 61, monet i metali 218, przedmiotów mu-

zealnych 4. Oprócz tego redakcye nadsyłają bezpłatnie 53 dzienników i czasopism. Jeśli się do tego doliczy niezinwentaryzowane dotąd dary, otrzymamy w samych książkach 12.000 tomów. A i sama wewnętrzna wartość zebranego materyału przedstawia się bardzo dodatnio. Znajdują się bowiem w nim: oprócz obfitego działu beletrystyki, oprócz bogatego zbioru klasyków polskich i obcych, także cenne wydawnictwa z zakresu najrozmaitszych gałęzi wiedzy ludzkiej oraz pokaźny zbiór czasopism naukowych i literackich, nieraz bardzo rzadkich. Inaczej ma się rzecz z funduszami na utrzymanie bibliotek prowincyonalnych. Nie wątpimy jednak, że z biegiem kilku lat sprawa ta weźmie pomyślny obrót. Wszak nią zajmuje się szczęśliwa ręka prof. Balzera!

Niedostatek, z jakim ma do walczenia krakowska Akademia Umiejętności, postanowiło usunąć nowo założone stowarzyszenie, na tych samych, co powyższe, zorganizowane podstawach, *Towarzystwo dla popierania wydawnictw Akademii Umiejętności w Krakowie.* Oparłszy się na pomocy najwyższych warstw społecznych zdołało w ciągu jednego roku uzbierać kapitał, dochodzący obecnie do 100.000 koron. Jeśli tak dalej pójdzie, kapitał, zebrany dla zaspokojenia potrzeb naszej nauki, będzie prawdziwie pożyteczny i stanie się chlubą tych zapobiegliwych jednostek, które patrząc trzeźwo, zrozumiały konieczność usunięcia niedomagania finansowego, tamującego nieraz drogę najlepszym chęciom. Wobec podnoszących się stąd i z owąd wątpliwości, czy Tow. to nie stworzy niebezpiecznej konkurencyi Tow. dla popierania nauki polskiej, ograniczę się powtórzeniem słów prof. Balzera, który powiada, że »nawet o konkurencyi materyalnej na szersze rozmiary nie może tu być mowy wobec znacznie wyższej stopy wkładek, jakie przyjęło nowe Towarzystwo. Ponadto zwracam uwagę na inny, zasadniczy szczegół: że skoro cele Tow. nowego są te same, co i nasze, przeto o konkurencyi nie może być tu właściwie mowy. Nasza organizacya w Towarzystwo nie była celem sama w sobie, jeno środkiem do urzeczywistnienia innego celu: zyskania funduszów dla zaspokojenia potrzeb nauki polskiej; cokolwiek do urzeczywistnienia tych zadań zmierza, jest równie użytecznem dla nauki, niezależnie od tego, czy się to dzieje za pośrednictwem jednego, czy drugiego Towarzystwa; jeżeli zaś Towarzystwo nowe postanowiło przelewać dochody swoje na rzecz Akademii Umiejętności, to musimy zaraz dodać, że zebrany fundusz nie mógł się dostać w lepsze, bardziej powołane

ręce« [1]. Istotnie — Akademii krakowskiej, uposażonej pod względem materyalnym najgorzej ze wszystkich austryackich tego rodzaju instytucyi, pomoc tego Tow. przychodzi w sam czas i — da Bóg! — pchnie na nowe tory wiele prac, które z braku funduszów musiały postępować żółwim krokiem, albo też nie były wcale zaczynane.

* * *

Rok miniony można bez przechwałki zaliczyć do bardzo pomyślnych dla *Akademii Umiejętności* krakowskiej, tak pod względem rezultatów naukowych, jak i materyalnego sukcesu. Na wydziale filologicznym wydano dwa tomy »Rozpraw« i XX-ty tom »Bibliografii polskiej« Estreichera. Na posiedzeniach przedstawiono między innemi następujące prace z zakresu literatury i kultury polskiej: prof. d-ra W. Bruchnalskiego »O Bogarodzicy«, parę studyów prof. Tretiaka o Słowackim i prof. d-ra St. Dobrzyckiego »O Nieboskiej Komedyi«. Nad literaturą obcą pracowali: prof. Creizenach, Porębowicz, Studziński i Grabowski; w zakresie filologii klasycznej: prof. Sternbach, Morawski i Sinko; w historyi sztuki prof. J. Bołoz-Antoniewicz, a w archeologii prof. Bieńkowski. Ponadto uchwalił wydział podjąć wydawnictwo greckich Ojców Kościoła IV wieku, na co zapomogę w wysokości 10.000 kor. zapewnił August hr. Cieszkowski. — Komisya do badania historyi sztuki w Polsce pozyskała między innemi następujące prace: prof. Sokołowskiego o wycieczkach naukowych do Lublina i Petersburga, Mokłowskiego o rozwoju form cerkwi galicyjskich, d-ra J. Botta o posągu Matki Boskiej z kościoła parafialnego w Bolesławcu, p. Hendla o figurze Matki Boskiej cudownej w kościele O. O. Bernardynów w Rzeszowie, d-ra Wł. Łozińskiego o bezimiennym nagrobku spiżowym w katedrze lwowskiej, d-ra Fr. Papéego o najstarszych wizerunkach św. Kazimierza, prof. J. Bołoz-Antoniewicza o obrazie, przedstawiającym św. Rodzinę z osobami fundatorów Ormian z r. 1612. — Komisya językowa drukowała w dalszym ciągu swoje »Materyały« i pracowała pod kierunkiem J. Łosia nad »Słownikiem staropolskim«. — Komisya literacka zajmowała się głównie pracami, które mają ukazać się w trzech zapowiedzianych już tomach »Archiwum do dziejów

[1] Pozwalam sobie zauważyć, że zarówno w tem, jak i na innych miejscach niniejszego artykułu wciągam w tekst całe zdania ze sprawozdań Towarzystw bez zmiany.

oświaty i literatury w Polsce«. Z drukujących się już rzeczy wymienimy: d-ra J. Korzeniowskiego »Opis rękopisów biblioteki cesarskiej w Petersburgu«, ks. J. Warchała »Materyały do historyi nacyi polskiej w Padwie«, oraz »Pamiętniki ks. St. Jundziłła« w wydaniu d-ra A. Kurpiela. Na pierwszy tom »Biblioteki przekładów z literatury starożytnej« wybrano tłumaczenia dziewięciu utworów Lukiana, dokonane przez M. Boguckiego. W »Bibliotece pisarzów polskich« wydano Aryosta »Orlanda szalonego« w przekładzie Piotra Kochanowskiego, oraz przedrukowano z jedynego egzemplarza, znajdującego się w Muzeum Narodowem »Sprawę i lekarstwa końskie« przez Konrada, kowala królewskiego.

Wydział historyczno-filozoficzny ogłosił oprócz tomu »Rozpraw«, prof. Wojciechowskiego »Szkice z XI wieku« i prof. Tretiaka monografię »o Juliuszu Słowackim«, a nadto subwencyonował »Atlas historyczny Rzeczypospolitej Polskiej«, którego wyszedł dział drugi (ziemie ruskie) w opracowaniu p. A. Jabłonowskiego. Z pomiędzy prac, odczytanych na posiedzeniach miesięcznych, wymienimy: d-ra St. Zakrzewskiego »Polska i Cesarstwo w dobie Piastowskiej«, d-ra A. Prochaski wyczerpującą monografię o Władysławie Jagielle, obliczoną na dwa obszerne tomy, d-ra Fr. Bujaka »Nazwy miejscowe jako podstawa do historyi osiedlenia w Polsce«, d-ra K. Potkańskiego »Konstantyn i Metodyusz«, ks. prof. J. Fijałka »Materyały do dziejów kościoła i oświaty w Polsce w w. XVI«, ks. d-ra Wł. Chotkowskiego »Historya polityczna dawnych klasztorów panieńskich w Galicyi (1773—1848)«. Ponadto wydrukowano 2-gi zeszyt części trzeciej »Bibliografii historyi polskiej« prof. L. Finkla, obejmujący uzupełnienia po r. 1900, oraz dodatki i sprostowania. Zeszyt ostatni tego wydawnictwa ukaże się jeszcze w ciągu b. r. — Z wydawnictw Komisyi historycznej prawie zupełnie gotowe są: prof. Piekosińskiego tom IV-ty »Kodeksu dyplomatycznego małopolskiego« i prof. Czermaka »Dyaryusz Stanisława Oświecima«. Na ukończeniu jest druk 3-go tomu wydawanych przez prof. Ulanowskiego »Acta capitulorum nec non iudiciorum ecclesiasticorum«, a druk »Dyaryuszów sejmu 1597 r.« w opracowaniu d-ra E. Barwińskiego posuwał się naprzód, choć nieprędko jeszcze będzie ukończony. Jako nową publikacyę postanowiono wydać »Akta kapituł z wieku XVI«, t. j. wybór najważniejszych zapisek z ksiąg głównych kapituł polskich do r. mniej więcej 1580. Prof. St. Krzyżanowski zbierał w dalszym ciągu materyały do zamierzonego »Atlasu paleograficznego« i uzyskał 30 zdjęć fotograficznych dyplomatów.

Poszukiwania t. zw. »Ekspedycyi rzymskiej« były prowadzone nieprzerwanie przez d-ra J. Ptaśnika i St. Zakrzewskiego pod kierunkiem prof. Abrahama. Komisya prawnicza wydała »Materyały do historyi włościan w Polsce« prof. Piekosińskiego, na ukończeniu zaś jest druk zbioru pism politycznych z bezkrólewia po Zygmuncie Auguście. Z nowych wydawnictw zanotować należy zbiór materyałów do historyi prawa niemieckiego w Polsce, przygotowany przez prof. St. Estreichera, który wyzyskał wielką ilość rękopisów i opracował krytycznie te zabytki.

Wydział matematyczno-przyrodniczy wydał dwa tomy »Rozpraw«, a na posiedzeniach rozpatrzył 63 prac, z których 55 przyjął do swoich publikacyi. Komisya fizyograficzna wydała tom »Sprawozdań« oraz dwa zeszyty »Atlasu geologicznego Galicyi«, pięć zaś przygotowała do druku. Sekcya meteorologiczna otrzymała spostrzeżenia z 22 stacyi. W sekcyi zoologicznej zajmowali się badaniami fauny krajowej pp. J. Dziędzielewicz, M. Rybiński i F. Schille. Sekcya botaniczna kompletowała w dalszym ciągu zielnik flory naczyniowych roślin Polski. W Komisyi antropologicznej badaniami archeologicznemi zajmowali się pp. M. Wawrzeniecki, Sz. Jastrzębowski i dr. Demetrykiewicz, dzięki któremu zbiory Sapieżyńskie z Bilcza złotego przeszły w posiadanie Akademii. Z prac etnologicznych wymienić należy: S. Udzieli »Charakterystykę sprzętów i naczyń w Sądeczyźnie« i J. Świętka »Przeżytki zebrane wśród ludu polskiego w Galicyi«. Komisya bibliograficzna funkcyonowała normalnie, wydając »Katalog literatury naukowej polskiej«. W związku z tem będzie interesującem podnieść, że Komisya ta, jako »Biuro regionalne« dla Polski Centralnego Biura Katalogu Międzynarodowego w Londynie, należała do pierwszych, które wzięły udział w pracy nad Katalogiem, i że liczba nadesłanych przez Komisyę kartek bibliograficznych stawia nas wcale nie na szarym końcu, ale prawie między pierwszymi wśród społeczeństw, które przystąpiły do związku Katalogu międzynarodowego.

Biblioteka Akademii wykazuje obecnie liczbę dzieł 34.692 (nie licząc zbioru Walewskiego 12.137 i Lubomirskiego 807). Praca nad uporządkowaniem i opisaniem rękopisów, doprowadzona do n-ru 1500, jest na ukończeniu i niebawem będzie można rozpocząć druk katalogu.

Stacya naukowa polska w Paryżu zajmowała się powiększeniem księgozbioru oraz porządkowaniem Muzeum Mickiewiczowskiego, które rośnie bardzo prędko i pomnaża się coraz to nowymi a cennymi darami osób prywatnych.

W poznańskiem *Towarzystwie Przyjaciół Nauk* panował zastój, którego najwymowniejszym przykładem jest fakt, iż w chwili, gdy te słowa piszemy (lipiec), nie ukazał się jeszcze w druku »Rocznik«, wychodzący za lat dawniejszych najpóźniej w marcu. Przyczyna tego zastoju w pracach Tow. jest widoczna, choć narazie nieusuwalna. Jest nią przerażający brak sił naukowych w prastarej piastowskiej dzielnicy. Skutkiem tego najgorliwiej krzątał się wydział przyrodniczo-lekarski, podczas gdy filologiczno-historyczny wegetował słabo. Za najważniejszą zasługę uważam systematyczne powiększanie zbiorów naukowych, wzrastających stale, dzięki zapobiegliwości ich kustosza d-ra Bol. Erzepkiego.

Energią kilku zapobiegliwych jednostek istniało na dalekich kresach *Towarzystwo naukowe* w Toruniu. Pomimo ogromnych trudności i ciężkich warunków bytu, liczyło ono członków honorowych 4, zwyczajnych 406, nadto 38 kleryków seminaryum duchownego (ostatni pobierali wydawnictwa Tow. po zniżonych cenach). Dzięki żmudnej pracy ks. Kujota, proboszcza z Grzybna, Tow. zyskuje stale i wyrabia sobie powoli nietylko członków, ale też współpracowników dla zamierzonych wydawnictw, albowiem już dziś trzech młodych księży pracuje dla »Roczników«. Spodziewać się tedy można, że zamiłowanie dla nauki w społeczeństwie polskiem tej dzielnicy rozkrzewi się, o ile niepomyślne położenie jego na to pozwoli. Ks. Chmielecki ułożył katalog działu archeologicznego zbiorów Tow., katalog biblioteki spisał ks. Kurlandt. Ks. Czaplewski pracuje nad historyą reformacyi w Prusach królewskich, ks. Rzewuski przystąpił do skopiowania dokumentów osadczych, przeważnie wydanych przez Krzyżaków z wieków XIV i XV. Na to nadzwyczajne wydawnictwo źródłowe posiada Tow. odpowiedni fundusz w wysokości prawie 3000 marek. Dojście jego do skutku nastąpi jednak nie wcześniej, jak w r. 1907. Z pomiędzy zeszłorocznych publikacyi na uwagę zasługuje XI-ty tom »Rocznika«, który zawiera: rozprawę ks. Kujota p. t. »Kto założył parafie w dzisiejszej dyecezyi chełmińskiej« (rzecz jeszcze nie ukończona, obejmująca dawne Pomorze gdańskie i ziemię chełmińską z lubawską, oraz część archidyecezyi gnieźnieńskiej), Wincentego hr. Łosia pracę z historyi jego rodziny, sprawozdanie z wycieczki archeologicznej ks. Chmieleckiego, rozprawę językową z Kaszub i pogranicza d-ra Kaz. Nitscha, przegląd prac o Kaszubszczyźnie, wreszcie Bibliografię za rok 1904. Tom VIII wydawnictwa »Fontes« zawiera dalszy ciąg cennych wizytacyi dyecezyi chełmińskiej przez kanonika Strzesza około r. 1672 dokonanych.

Wydanie to uskutecznił ks. prof. dr. Czaplewski z Pelplina. Koszt tych wydawnictw wynosił 2081 marek. Mógłby kto zarzucić jednostronność kierunkowi pracy Tow., jako że zajmuje się ono niemal wyłącznie badaniami historycznemi. Zarzut jednak taki byłby zupełnie nieusprawiedliwiony, jeśli się zważy siły, jakiemi Tow. rozporządza. Otóż, co z prawdziwem zadowoleniem podnieść należy, — ciężar pracy wzięło na siebie duchowieństwo. A że ono lgnie do historyi, i to historyi kościelnej swojej dzielnicy, — nic w tem dziwnego. Owszem, badania w tym zakresie są tem więcej pożądane, ile że dotąd zajmowano się bardzo niewiele poza Tow. dziejami tej prowincyi. To też tylko wdzięczność można czuć dla tej garstki osób, pełnych poświęcenia, które wzięły sobie za zadanie rozbudzić życie naukowe na opuszczonych kresach, zdanych na łaskę lub niełaskę losu. Nieść im pomoc moralną nadsyłaniem prac z dziejów, języka czy literatury, dotyczącej Prus i Pomorza, jest wprost obowiązkiem tych, którzy kształceni w innych, pomyślniejszych warunkach, zdołali zdobyć to, czego tamte jednostki osiągnąć nie zdołały. Chyba niema uczonego, któremu nie byłaby wiadoma nieopracowana kwestya, tamtych stron dotycząca! Niechaj więc da ją do »Rocznika«, bo same piękne słowa nie zagrzeją! Od nas zaś dotąd toruńskie Tow. miało bardzo mało poparcia, którego tak potrzebuje. Podtrzymywać ognisko nauki w tak niepomyślnych warunkach, w tak wielkich trudnościach, jakie właśnie stoją na przeszkodzie Tow. naukowemu, to wielka zasługa kilku jednostek, które w dziejach ruchu umysłowego na kresach naszych zajmą miejsce bodaj czy nie naczelne. Cześć duchowieństwu, które tak szczytnie pojmuje obowiązki, a przedewszystkiem czoło skłonić należy przed ks. Kujotem, którego pracą i troskliwością Tow. powstało i — da Bóg — rozwijać się będzie nadal najpomyślniej!

* * *

Ostatnie to już nasze stowarzyszenie, zajmujące się wszystkiemi gałęziami nauki. Teraz przejdziemy po kolei towarzystwa, mające za zadanie krzewić pewne, ściśle określone gałęzie wiedzy, bądź też nawet tylko pewne danej wiedzy odrośle, lub ograniczone wąsko jej cząsteczki.

Nadzieje, wyrażone przez nas w r. ub. co do rozwoju *Polskiego Towarzystwa Filozoficznego* we Lwowie, nie okazały się wcale płonnemi ani zawodnemi. Wypowiadając je, wierzyliśmy w niespożytą

energię przewodniczącego, którym był prof. dr. K. Twardowski, i ona nas nie zawiodła. Działalność naukową Tow., liczącego zaledwo: 2 członków założycieli, 61 czynnych i 13 wspierających, można bez przechwałki nazwać fenomenalną. Że była ona tak wydatną, o jakiej wielom nie śniło się, to stało się jedynie i wyłącznie dzięki zapobiegliwości tak umiejętnego organizatora, jakim nie od teraz jest prof. Twardowski. Co więcej — można i trzeba nawet powiedzieć — Tow. filozoficzne powstało jedynie jego pracą i trudami, skoro się tylko weźmie pod uwagę, że *gros* członków pochodzi z byłych uczniów prof. Twardowskiego, których wychował i wykształcił na pożytek nauki polskiej i na swoją chlubę. Posiedzeń naukowych, zawsze licznie uczęszczanych, odbyło się w r. ub. 14, na których odczytali pp.: dr. Piotr Pręgowski »O nowych badaniach psychologicznych«, prof. dr. Władysław Pilat »Początki sztuki«, prof. dr. K. Twardowski »Kongres psychologiki eksperymentalnej w Giessen«, dr. Z. Lilienfeld »Krytyka krytycyzmu Kanta«, dr. Jan Łukasiewicz »O stosunkach logicznych«, oraz »O stosunku logiki do psychologii«, dr. Wł. Witwicki »Krytyka herbartowskiej teoryi woli« i niektóre ustępy z własnego przekładu »Biesiady« Platona. Oprócz tego prowadzono ożywione dyskusye na podstawie referatów: d-ra P. Pręgowskiego p. t. »Uzasadnienie postępowania moralnego ze stanowiska agnostycyzmu etycznego«, B. Elsnera p. t. »Definicya psychologii« oraz Br. Bandrowskiego »O znaczeniu sądów ogólnych i szczegółowych«. Ponadto urządziło Tow. dwa uroczyste obchody, a mianowicie: setnej rocznicy śmierci Imanuela Kanta, na którym ś. p. prof. Chmielowski odczytał rzecz p. t. »Kant w Polsce« (druk. *Przegląd Filozoficzny*, rok VII, zeszyt 4), oraz 200-nej rocznicy śmierci Locke'a, na którym wygłosili odpowiednie prelekcye pp.: Teodor Mianowski »Życie i dzieła Locke'a« i p. dr. W. Witwicki »Locke jako filozof«. Na obu uroczystych obchodach przemawiał jeszcze prof. Twardowski, a jedno z jego przemówień było pomieszczone w *Przeglądzie filozoficznym*, rok VII, zeszyt 2. — Poza tem działalność naukowa Tow. filozoficznego ujawniła się w wydaniu przekładu dziełka Hume'a p. t. »Badania dotyczące rozumu ludzkiego«, dokonanego przez pp. d-ra J. Łukasiewicza i prof. Twardowskiego. Szkoda tylko, że przekład ten szpeci mnóstwo zwrotów niepolskich, zbliżonych bardzo do analogicznych niemieckich. Biblioteka Tow. znajduje się dopiero w stadyum początkowem. Dochód, równający się niemal z rozchodem, wynosił 1086 koron. — Że Tow. doszło w ciągu jednego roku do tak pięknych rezultatów, to ma do zawdzięczenia —

oprócz wspomnianej już osobie — także doskonałej metodzie przyjmowania członków, na którą już narzekano niejednokrotnie. Mimo wszystko niepodobna odmówić Tow. filozoficznemu słuszności w jego zarządzeniu. Wiadomo bowiem, na co zeszłaby cała dyskusya naukowa, gdyby przyjmowano każdego, kto się zgłosi, na członka czynnego. Lepsza mała ilość członków, byle dla nauki wynikł stąd pożytek!

* * *

Polskie Towarzystwo przyrodników im. Kopernika we Lwowie wraz z oddziałem krakowskim skupiło swoją działalność naukową — naprzód na zebraniach, odbywających się co tygodnia, w których przedstawiono w r. ub. kilkadziesiąt komunikatów naukowych z najrozmaitszych dziedzin wiedzy przyrodniczej, oraz obszerniejszych rozpraw i odczytów, nad którymi toczyła się zawsze bardzo ożywiona dyskusya. Następnie całą uwagę wydziału zajmowało wydawanie naukowego czasopisma *Kosmos*, mieszczącego, oprócz prac samodzielnych, szereg sprawozdań i recenzyi oraz drobnych komunikatów naukowych. Przeważna część zasobów kasowych Tow. szła na pokrycie kosztów tego wydawnictwa, które w dziejach polskiego przyrodoznawstwa zajęło niepoślednie miejsce. Zapasy zaś kasowe powstawały ze składek członkowskich, nie ratując się subwencyami, których Tow. niemal że nie otrzymywało wcale. Rzadki to wyjątek w długim szeregu naszych naukowych instytucyi, które w znaczniejszej części żyją zapomogami, a nie solidarnością swoich członków!

* * *

Wprawdzie ostatni rok nie ziścił wszystkich nadziei, jakie w nim pokładało lwowskie *Towarzystwo historyczne*, brakło bowiem środków do podjęcia w dalszym ciągu wydawnictw źródłowych, gdyż nie powiodło się uzyskanie specyalnych subwencyi na ten cel, a przecież należał on do lat »tłustych« po całym rzędzie »chudych«. Z prawdziwą radością należy przyjąć fakt, że Tow. historyczne wybrnęło nareszcie z długów, z jakimi miało od pewnego czasu do czynienia, a które tamowały wielce prawidłowy jego rozwój. Dzięki nie tylko subwencyom: ministeryalnej (1200 kor.) i sejmowej (1400 kor.), ale i darowi fundacyi ś. p. Towarnickiego (300 kor.), i dochodowi, jakie dało prawo autorskie z zapisu Z. Kaczkowskiego (757 kor.), udało się

nietylko utrzymać równowagę w budżecie, ale też zwrócić dług do funduszu zapasowego (1000 koron) i powiększyć fundusz żelazny o kor. 300. Dochody, które dały sumę 8270 kor., zrównoważyły się z rozchodami, pomiędzy którymi najważniejszą pozycyę stanowi wydawnictwo *Kwartalnika historycznego* z kwotą 6551 koron. Dobrze się też stało, że nareszcie załatwiono sprawę biblioteki Tow. Pomimo pięknego zbioru czasopism, zgromadzonego skutkiem wymiany *Kwartalnika* z innemi czasopismami, brak odpowiednich środków pieniężnych nie pozwalał na urządzenie czytelni i wypożyczalni dla członków Tow. Gdy zaś w r. ub. Tow. straciło nawet bezpłatny lokal, w którym przechowywano bibliotekę, a na najem innego lokalu nie starczyło funduszów, część czasopism sprzedano Bibliotece uniwersyteckiej, część zaś ofiarowano Tow. popierania nauki polskiej. — Działalność naukowa ograniczała się wydawaniem *Kwartalnika historycznego*, który na 46 arkuszach druku pomieścił: 10 rozpraw, 2 miscellanca, 68 recenzyi i sprawozdań, przeglądy literatury historyi powszechnej, kronikę i bibliografię historyi polskiej. Odbiorców tego pisma było razem 457, w czem 290 członków. Zebrań miesięcznych odbyło się pięć, na których wygłoszono między innymi następujące odczyty: dr. L. Kubala »Ugoda w Perejasławiu z r. 1654«, prof. dr. Br. Dembiński »Korespondencya króla Stanisława Augusta z księciem Józefem Poniatowskim« i prof. dr. Wł. Abraham »Udział Polski w soborze pizańskim 1409 roku«.

O ileż lepiej prosperowało *Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa?!* Nie tylko liczyło większą ilość członków, bo 637, ale i dochody jego podniosły się do 10.522 kor., co pozwoliło na rozwinięcie żywszej działalności naukowej. W r. ub. wydano bogato ilustrowany tom VI-ty *Rocznika krakowskiego*, a nadto przygotowano do druku tom VII-my, który będzie zawierać prace: d-ra J. Ptaśnika »Bonerowie«, p. Długopolskiego »Bunt wójta Alberta« i p. Rymara »Udział Krakowa w sejmach i sejmikach Rzeczypospolitej«. W wydawnictwie *Biblioteki krakowskiej* wyszły: d-ra K. Bąkowskiego »Kościół św. Krzyża« i d-ra St. Tomkowicza »Bielany«. Celem zapoznania zagranicy z naszymi zabytkami porobiono starania o wydanie *Rocznika* VI-go w języku niemieckim i francuskim. Na razie doszło do tego, że *Rocznik* w odpowiedniem przerobieniu p. L. Lepszego wyjdzie u firmy E. A. Seemana w Lipsku, jako jeden z tomów znanego wydawnictwa *Berühmte Kunststätten*. Zapomogi materyalnej udzielono wydawnictwu *Kalendarza Czecha*, które nie przynosi wprawdzie ża-

dzieci nieślubnych 40% — czyli $^2/_5$ nieślubnie urodzonych dzieci«. Jak tu przeciwdziałać i zwalczać tę śmiertelność?

Potrzeba tu przedewszystkiem pouczyć matki, bo nieumiejętne i niehygieniczne obchodzenie się z dziećmi jest główną tej śmiertelności przyczyną. Pomoc zaś prywatna jest dlatego potrzebna, że organa urzędowe przemawiają i ogłaszają wszelkie w tym kierunku wyjaśnienia tylko w języku niemieckim. Dalej zarząd miasta powinien postarać się o tanie i zdrowe dla najuboższych dzieci mleko — oraz rozciągnąć baczną kontrolę na dzieci nieślubne i dzieci powierzane obcym w opiekę.

Ażeby więc praca ta była wydatną, połączyć tu się musi »urzędowa praca z prywatną działalnością dobroczynną«. Co za wspaniałe i rozległe pole dla kobiet, poświęcających się dla bliźnich z miłości Chrystusowej!

Dobroczynna opieka nad dziećmi w ochronkach, szpitalikach i t. d. tu nie wystarcza; żeby uratować dużo dzieci od przedwczesnej śmierci, musi ona rozpocząć się od chwili urodzenia. Na tem polu też w Niemczech dużo stowarzyszeń kobiecych bogatą rozwinęło działalność.

Z akcyą ratunkową względem niemowląt łączy się wychowanie opiekuńcze małoletnich. Któż nie zna życia dzieci wychowujących się na bruku miejskim? Tu przedewszystkiem krzewią się nierząd i zdziczenie i kradzieże, tu wytwarzają się i dojrzewają te brudne męty społeczne, które, gdy się nagromadzą zbytnio, zaciążą klęską straszną nad krajem całym. W Niemczech istnieje pod tym względem surowa ustawa: kto zaniedbuje wychowania dzieci, podpada pod kontrolę opiekuńczą rządu lub traci dziecko. Prawo to byłoby okrutne względem rodziców, gdyby nie było rodziców okrutnych względem własnych dzieci. Lepiej bowiem, »że dziecko się wyrwie z ogniska rodzinnego, jeżeli to ognisko ma zatruć życie jego całe«. Ale dla Polaków ma prawo to ostrze germanizacyjne: dziecko bowiem odebrane rodzicom »może się wychowa dobrze — ale dla narodowości zginie i z wszelką pewnością ulegnie germanizacyi«. W bilansie narodowym z r. 1902 ubytek ten przedstawia się według statystyki rządowej, jak następuje:

a) Chłopców było w r. 1902:

	ślubnych	nieślubnych	katolickich	protestanckich	żydów	innych
Prusy Wschodnie	172	40	23	188	1	—
Prusy Zachodnie	150	32	97	84	—	1
Wielkopolska	184	40	58	165	1	—
Śląsk	558	136	415	275	4	—

b) Dziewcząt było w r. 1902:

Prusy Wschodnie	96	29	10	114	1	—
Prusy Zachodnie	46	13	32	27	—	—
Wielkopolska	67	16	50	35	1	—
Śląsk	219	77	188	107	1	—

Co do narodowości statystyka rządowa podaje tylko, jakim dzieci mówią językiem:

	Tylko polskim	polskim i niemieckim	tylko niemieckim	innymi językami
Prusy Wschodnie	5	45	285	2
Prusy Zachodnie	6	69	166	—
Wielkopolska	8	192	110	—
Śląsk	26	388	624	2

Cóż wobec tego, pyta się ks. Adamski, może uczynić społeczeństwo nasze? Gdzie dziecko poszło już na wychowanie przymusowe, tam nic innego nie pozostaje, jak pilnie śledzić, gdzie i pod jakimi warunkami przebywa. Cała zaś uwaga i praca społeczeństwa powinna się skupić około sierot i tych

istot, których rodzice nie dają rękojmi wychowania należytego. I tu znowu nowe okazuje się pole i zadanie dla towarzystw dobroczynnych. W tym celu też powstały świeżo stowarzyszenia opieki nad dziećmi katolickiemi w Gnieznie i Poznaniu. Stowarzyszenie Poznańskie, którego sekretarką jest p. Niegolewska, postawiło sobie taki cel: Zadaniem towarzystwa jest przedewszystkiem wykonywanie opieki nad dziećmi katolickiemi w zakresie objętym:

a) Ustawą opiekuńczą (prawne opiekuństwo),

b) miejskiemi ustawami, tyczącemi się opieki nad dziećmi.

Aby cel ten osiągnąć, zajmować się będzie stowarzyszenie:

a) Wyszukiwaniem pań, chcących się podjąć prawnego opiekuństwa nad dziećmi;

b) wyszukiwaniem pań, chcących się opiekować dziećmi w gminnej opiece nad dziećmi i sierotami;

c) udzielaniem informacyi i pomocy członkom w sprawach opiekuńczych;

d) zaznajomieniem się z prawami i obowiązkami, wynikającymi z opiekuństwa i pieczy nad dziećmi i wzajemną wymianą poczynionych doświadczeń.

Zebrania stowarzyszenia odbywają się co miesiąc a składka kwartalna wynosi 50 fen. Stowarzyszenie, składające się z panów i pań, istnieje dopiero kilka miesięcy, a przesłało dotąd radzie sierot miasta Poznania 11 wniosków pań, które się chcą podjąć opiekuństwa prawnego, oraz pięć ofert pań, które zamierzają pracować w opiece gminnej nad sierotami. Świadczy to chlubnie o dzielności, pracy i poświęceniu się pań, które z ustawą w ręku, anielską naprawdę opiekę roztaczają po zaułkach i poddaszach poznańskich nad maluczkimi najbiedniejszymi, bo niemowlętami i sierotami.

Gdzie dobroczynność chrześcijańska umie się tak dostosować do potrzeb i wymagań wieku tam naprawdę ona załagodzi »wszelkie i boleśniejsze zaognienia lub zaostrzenia, aż wyrównająca wszystko sprawiedliwość wedle słuszności nie zagoi dręczących dolegliwości i nie uśmierzy bolów społecznych«, jak pięknie mówi ks. dr Hozakowski w swojej rozprawie w *Ruchu* o miłości chrześcijańskiej.

Ks. Leonard Lipke.

POSTULATY PSYCHOLOGII DOŚWIADCZALNEJ.

W imię czego i jaką powagą można stawiać postulaty, i komu się je stawia?

Bywają psychologowie, który głoszą, że pewne zasady, wynikające z ich ogólnych filozoficznych założeń i poglądów na świat, obowiązują wszystkich innych psychologów. Narzuca się drugim własne swe zapatrywania, powagą jawnej czy ukrytej metafizyki: twierdzi się stanowczo, że taka a taka zasada, zasada dajmy nato parallelizmu psychologicznego, tak i tak sformułowana i rozumiana, stanowić musi warunek konieczny i podstawowy wszelkiej możliwej psychologii; normą, według której krytykuje się innych psychologów, bywa jakiś naczelny postulat własnej metafizyki.

Nie takie stanowisko chcę zająć w pracy obecnej. Nie w imię jakichś metafizycznych pewników, nie powagą zasad apriorycznych myślę domagać się od pracujących na polu psychologii zgody na proponowane postulaty. Chcę zająć stanowisko jak najskromniejsze, bo zgoła empiryczne. Nie idzie mi o moje postulaty, o ile one są wyrazem własnych przekonań, ale idzie mi o nie, o ile są głosem przyrody, głosem doświadczenia, głosem rozumu, na doświadczeniu opartego. Jeżeli się mylę, biorąc za wyraz doświadczenia to, co może w doświadczenie włożyłem sam, bezwiednie ulegając jakiejś illuzyi czy metafizycznemu przesądowi, to gotów jestem natychmiast cofnąć i naprawić, cokolwiek i sko-

rokolwiek doświadczenie krytyczniej od mojego prowadzone sprostuje i na tory nieuprzedzonego doświadczenia sprowadzi.

Zamierzam dać krytyczny rzut oka na pewne zasadnicze kwestye, których rozwiązania, a przynajmniej należytego postawienia, domaga się dalszy prawidłowy rozwój psychologii, o ile ona ma być nauką ściśle doświadczalną. Postulaty omawiane postawić chcę w imię tej nauki i powagą tego doświadczenia, do którego psychologia doświadczalna winna się odwołać jako do ostatecznego kryteryum prawdy doświadczalnej. Obowiązywać postulaty takie mogą tych tylko psychologów, którzy uznają nieomylność tego najwyższego kryteryum. Kto nie chce dać się pouczyć przez doświadczenie, ale doświadczenie interpretuje w myśl z góry powziętych zasad metafizycznych, ten nie przyjmie postulatów doświadczalnych, ale tem samem nie będzie psychologiem doświadczalnym.

I. Stosunek psychologii do doświadczenia wogóle.

Wyraz doświadczenie w trzech głównie bywa używany znaczeniach. Oznacza on naprzód to, co z łacińska nazywamy eksperymentem. Takie doświadczenie polega na dowolnej, celowej zmianie warunków, wśród których odbywa się zjawisko eksperymentowane. Temu doświadczeniu przeciwstawia się obserwacyę, która tylko opisuje zjawisko, nie zmieniając warunków jego przebiegu. Eksperyment i obserwacya, razem wzięte, noszą również wspólne miano doświadczenia; to drugie, obszerniejsze znaczenie wyrazu odpowiada przyswojonemu wyrazowi empirya. Tak eksperyment, jak i obserwacya tę wspólną mają cechę, że obie metody poznawcze stwierdzają, konstatują sposób odbywania się zjawiska badanego, zależność jego przebiegu od warunków, w których się odbywa: słusznie też mogą nosić jedną wspólną nazwę. W trzeciem wreszcie znaczeniu bierzemy wyraz doświadczenie, mówiąc o doświadczeniu życiowem. Temu znaczeniu odpowiada niemiecki wyraz *Erlebnis*. Doświadczenie życiowe odnosi się nie tylko do poznania eksperymentalnego, do obserwacyi zjawisk t. zw. zewnętrznych, ale,

i może głównie, do twierdzenia i konstatowania własnych naszych sądów i zapatrywań, wrażeń i pragnień i t. p. W tem samem znaczeniu bierzemy wyraz doświadczenie, mówiąc np.: doświadczyłem tego na sobie, polegam na własnem doświadczeniu.

Ogólna cecha doświadczenia, rozumianego jako spostrzeżenie, obserwacya, czy też jako eksperyment, lub jako doświadczenie życiowe, jest konstatowanie faktycznego stanu poznawanego zjawiska czy poznawanej rzeczy. W doświadczeniu, uważanem w któremkolwiek z trzech wymienionych znaczeń, sprawdzamy, próbujemy, stwierdzamy to, co narzuca się nam swoją objektywnością, swoją rzeczywistością. W doświadczeniu stajemy wobec rzeczywistości, przypatrujemy się jej, zwracamy uwagę na ten lub inny jej szczegół, na tę lub inną jej stronę; pomagamy w tem sobie, jeśli się da, wywoływaniem celowem tego lub innego objawu owej rzeczywistości, lub też zmianą własnej naszej pozycyi obserwacyjnej; ale wszędzie i zawsze, o ile doświadczamy, o tyle nie konstruujemy rzeczywistości, ale ją konstatujemy. Moglibyśmy zatem doświadczenie określić jako poznanie stwierdzające faktyczy stan przedmiotu poznawanego i w ten sposób uogólnić pojęcie doświadczenia, któreby już obejmowało prócz trzech powyższych rodzajów nadto wszelki sposób poznania rzeczywistości, o ile polega na samem skonstatowaniu jej stanów czy objawów.

Ponieważ takie uogólnienie pojęcia doświadczenia jest dogodne do lepszego porozumienia się w zasadniczej kwestyi teoryopoznawczej, przeto ośmielam się zaproponować wprowadzenie umowy, aby przez doświadczenie wogóle rozumieć poznanie konstatujące faktyczny stan rzeczy. W tem określeniu rzecz oznaczać ma wszystko, cokolwiek odpowiada naszemu pojęciu rzeczywistości, faktu, zjawiska, rzeczywistego związku między faktami, czy stanami, czy zjawiskami, rzeczywistej zmiany stanu czy zjawiska i t. p.

Tak pojęte poznanie doświadczalne jest dla nas jedyną drogą, prowadzącą do poznania rzeczywistości, jakakolwiek ona jest. Jeśli nam chodzi np. o poznanie t. zw. przyrody, a więc o poznanie przedmiotu którejkolwiek z nauk t. zw. przyrodni-

czych, fizyki dajmy nato doświadczalnej, to jedynem źródłem poznania zjawisk fizycznych jest konstatowanie tego, jak, w jakich warunkach, według jakich liczebnych stosunków, zjawiska fizyczne się odbywają. Cel badania, właściwego tej typowej nauce doświadczalnej, dokładny opis[1] fizycznej strony przyrody, tą tylko drogą da się osiągnąć: chodzi bowiem o opisanie, przedstawienie rzeczywistego stanu zjawisk fizycznych, a zatem o stwierdzenie tego, co jest i jak się odbywa; dopiero takie stwierdzenie stanowi podstawę t. zw. praw fizycznych, które niczem innem nie są, jak tylko wyrażeniem tego stwierdzenia.

Psychologia jako nauka doświadczalna ma do czynienia z t. zw. psychicznemi zjawiskami, a więc z pewną rzeczywistą częścią czy stroną przyrody. Jakkolwiek określilibyśmy zjawiska psychiczne, to jednak zawsze i we wszystkich określeniach wyraźnie zaznaczamy ich rzeczywistość, fakt ich istnienia.

---

[1] Czy nauki przyrodnicze dążą do opisania, czy też do wytłumaczenia zjawisk? Spór o to toczy się od lat. Po jednej i drugiej stronie stają najwybitniejsi przedstawiciele nauk i najkrytyczniejsi metodologowie. Jak zwykle, tak i tu spór nie tyle tyczy się rzeczy, co sposobu wyrażenia się. Nie myślę go kategorycznie rozstrzygać, pragnę tylko zaznaczyć swoje w tej sprawie stanowisko, własny sposób patrzenia na rzecz. Przyznam szczerze, że więcej mi trafia do przekonania sposób formułowania zadań nauk przyrodniczych, podawany przez Kirchhoffa, Macha, Ostwalda, niż choćby cięta krytyka Wundta, wymierzona przeciw poprzestawaniu na opisie. Chciałbym tylko wiedzieć, co zwolennicy tego *tłumaczenia* zjawisk przyrodniczych ostatecznie rozumieją przez tłumaczenie przyczynowe zjawisk. Sądzę, że jeśli się nie wprowadzi do interpretacyi przyrodniczych zjawisk pierwiastków czy kategoryi apriorycznych, obcych doświadczeniu, to ostatecznie najgłębsze nawet przyczynowe tłumaczenie zjawisk będzie w gruncie rzeczy tylko dokładnym naukowym opisem, nie poprzestającym na wykazaniu bliższych związków między zjawiskami, ale dalszych i najdalszych aż do ostatecznych pierwiastków doświadczenia. Nie podzielam również zdania Wundta, jakoby postulat opisu faktów naukowych wykluczał pomoc naukowych hipotez. Hipotezy mogłyby np. spełniać funkcye heurystyczne, albo też funkcye tymczasowych symbolicznych czy obrazowych przedstawień opisowych. Zjawiska np. świetlne mogłyby być w ten sposób opisane: zjawiska optyczne, dotychczas poznane w doświadczeniu fizycznem, odbywają się tak, jak gdyby polegały na takich a takich falowaniach, w myśl t. zw. elektromagnetycznej teoryi światła.

Otóż poznać zjawiska rzeczywiste, faktycznie istniejące, opisać je tak, żeby opis miał cechy naukowe — to jest właśnie zadanie nauki, o ile jest doświadczalna. Poznanie zjawisk psychicznych zatem, ich opisanie jest zadaniem psychologii doświadczalnej, a więc idzie nam w tej nauce przedewszystkiem o to, aby skonstatować, stwierdzić faktyczny stan tych t. zw. zjawisk psychicznych. Doświadczenie więc jest naturalnym początkiem, niezbędnym warunkiem wszelkiej psychologii naukowej. Doświadczenie, zgodność z doświadczeniem jest wyłącznem kryteryum, najpierwszym postulatem psychologii doświadczalnej.

Opis zjawisk psychicznych ma być zatem taki, jaki odpowiada rzeczywistemu stanowi rzeczy, polegać na przedstawieniu ich w faktycznych związkach i warunkach ich powstania i przebiegu. Opis ma być możliwie dokładny i zupełny, o ile na to środki doświadczenia i dotychczas zebrany materyał doświadczalny pozwalają. Metody doświadczalne mają być zastosowane do rodzaju doświadczanych zjawisk, a nie mają być konstruowane na podstawie dowolnych i niestwierdzonych założeń, albo opierane na zakwestyonowanych »prawach«. Te i t. p. wymagania nie są nowymi postulatami, ale zastosowaniami powyższego zasadniczego postulatu, postulatu zgodności z doświadczeniem.

Postulat ten wraz ze wszystkiemi jego konsekwencyami nie jest dowolnem założeniem, nie jest aprioryczną zasadą, ale jest pierwszą rzeczywistą daną, wobec której staje człowiek, usiłujący poznać dokładnie choć cząstkę rzeczywistości, choć jeden fakt rzeczywisty. Może człowiek nie zajmować się psychologią doświadczalną, może ją ignorować, ale, jeśli chce być psychologiem doświadczalnym, innej drogi przed sobą nie ma, któraby go do celu wiodła, jak tylko drogę doświadczenia, a więc drogę stwierdzania faktów doświadczenia psychologicznego właściwymi środkami doświadczalnymi, a więc drogę wskazaną i wytkniętą przez zasadę wspomnianego postulatu.

Zresztą zasada jest tak prosta i oczywista, że każdy chyba na nią się zgodzi, kto tylko ją pozna. Ale inna rzecz uznać zasadę, inna zaś konsekwentnie się jej trzymać w praktyce naukowej. Któż nie wie tego, że uczeni łudzą się często, biorąc za

rezultat doświadczenia to, co sami do doświadczenia dołączyli? Jak często niestety podaje się za wyniki naukowe interpretacye pewnych jakichś faktów w myśl własnych założeń i własnej metafizyki! Jak znów często poprzestaje się na jednostronnem skonstatowaniu jednego lub drugiego faktu i na podstawie tak wątłej indukcyi stawia się ogólne prawa, w których świetle interpretuje się inne dane doświadczalne! Historya psychologii wiele potrafiłaby przytoczyć przykładów takiego niedoświadczalnego traktowania nauki.

Postawiwszy postulat, że psychologia, jeśli ma być ścisłą nauką doświadczalną, winna doświadczenie i zgodność z doświadczeniem uznać za wyłączne kryteryum prawdy psychologicznej, należałoby może teraz odpowiedzieć na ważne pytania, jakie są warunki doświadczenia jako ostatecznego kryteryum, poczem można odróżnić rzekome doświadczenie od faktycznego stwierdzenia rzeczywistego stanu, o ile można polegać na cudzem, a o ile na własnem doświadczeniu, ile oddzielnych doświadczeń wystarcza na stwierdzenie jakiegoś faktu doświadczalnego czy jakiegoś prawa doświadczalnego i t. d. Jednak na te i inne podobne pytania nie dam w tej pracy odpowiedzi. Ogólna teorya i krytyka doświadczenia to już teorya i krytyka poznania wogóle, w którą nie chcę się dalej zapuszczać. O tyle musiałem o nią zawadzić, o ile to było koniecznem do określenia naczelnego postulatu, pierwszego mego założenia. Chodzić teraz tylko będzie o oparcie innych postulatów i założeń psychologii doświadczalnej o ten pierwszy postulat. Zresztą sądzę, w każdym oddzielnym przypadku trzeba osobno krytycznie to rozstrzygnąć, czy i o ile doświadczenie, na które się ktoś z psychologów powołuje, ma cechy doświadczenia w sensie ostatecznego kryteryum doświadczalnej prawdy psychologicznej. Na niektóre warunki krytyczności doświadczenia psychologicznego zwrócę jeszcze uwagę przy omawianiu następnych postulatów.

II. Przedmiot psychologii.

Rozstrzygnięcie pytań, co stanowi właściwy przedmiot badań takiej a takiej nauki, jak należy poprowadzić linię demar-

kacyjną, odgraniczającą od siebie zakresy nauk pokrewnych, jak ponazywać różne nauki i t. d., zależy ostatecznie od umowy. Ale umowa taka nie może być zupełnie dowolną, bo krępowana jest logiką konsekwencyi i doświadczenia, a powtóre nie wszyscy poczuwają się do obowiązku trzymania się umowy, na którą godzi się, dajmy nato, większość, więc niektórzy robią takie umowy na własną rękę. Stąd powstaje potrzeba krytyki porównawczej istniejących umów i zwyczajów, wedle których ponazywane i poodgraniczane bywają oddzielne nauki. Potrzeba ta jest tem większą dla nauki, która dopiero się konstytuuje. Konieczną jest wzmiankowana krytyka, jeżeli konstytuujący jakąś naukę proponują takie jej określenia, które z góry przesądzają o tem, co winnoby być dopiero w toku nauki skonstatowanem. T. zw. psychologia znajduje się obecnie w stanie właśnie dopiero co wymienionym. Zamieszaniu pojęć co do samego pierwszego założenia, wskazującego na to, czem się właściwie psychologia ma zająć, należałoby co prędzej koniec położyć. Jednym z pierwszych postulatów psychologii powinno być koniecznie takie założenie, któreby zgodnie z naszym naczelnym postulatem i w jego myśl wyznaczyło psychologii właściwy przedmiot jej badań doświadczalnych.

Założenie, o które nam tu chodzi, nie może być dane li tylko w formie n. p. takiej: psychologia jest nauką o zjawiskach albo przebiegach psychicznych; bo tu właśnie trzeba wskazać na to, co wyróżnia zjawiska t. zw. psychiczne od niepsychicznych. Nie wystarczy nam również, zamiast wskazania na zjawiska psychiczne jako takie przez wymienienie cechy im wszystkim wspólnej i wszystkie je jako psychiczne charakteryzującej, wymienić tylko niektóre typy zjawisk psychicznych, dając np. takie określenie: zjawiska czy przebiegi psychiczne są to czucia, uczucia, wrażenia, wyobrażenia, chcenia, pragnienia, afekty i t. d. Określenie takie mogłoby służyć jako tymczasowe, na podstawie niego możnaby rozpocząć badania, gdyby przez to wyliczanie z góry nie uprzedzano w pewien sposób kwestyi, czy te wymienione zjawiska są pierwiastkami doświadczalnymi, z których powstają inne zjawiska psychiczne, czy raczej pierwiastkami analizy lub abstrakcyi z konkretnych zjawisk psychicznych. Za p u n k t wyj-

ś c i a, w myśl naszego naczelnego postulatu, należy przyjąć rzeczywisty fakt konkretny doświadczenia psychologicznego, nie zaś rezultat dokonanej już analizy myślowej, bo wtedy sama analiza mogłaby łatwo usunąć się z pod kontroli doświadczalnej.

Nie czyni również zadość potrzebie jednoznacznego wskazania na przedmiot badań psychologicznych inna n a z w a faktów czy zjawisk psychicznych, np. określenie psychologii jako nauki o zjawiskach u m y s ł o w y c h. Tem mniej nadają się do tego celu określenia psychologii jako nauki o duszy, albo nauki o życiu umysłowem, albo nauki o umyśle *(science of mind)* i t. p.

Ale, mógłby kto zarzucić, czy żądanie określenia przedmiotu psychologii nie na końcu badań psychologicznych jako ich rezultatu, ale zaraz na początku, w formie konstytuującego tę naukę założenia, jest słuszne? Czy domaganie się takie nie wchodzi w konflikt z naczelnym postulatem: doświadczenie ma przecież o wszystkiem rozstrzygać, a tu się żąda określenia przed zaczęciem doświadczenia, właściwego psychologii? Odpowiedź moja na ten zarzut jest: jednak nie mogę zacząć doświadczenia psychologicznego naukowego, jeżeli nie wiem przedtem, co mam doświadczać. Wskazanie na przedmiot badań jest konieczne, bo inaczej badanie nie będzie w należytą stronę skierowane. Muszę przecież wiedzieć, na co mam zwrócić uwagę w doświadczeniu, ku czemu skierować mam doświadczenie, aby ono mogło mi stwierdzić fakt jakiś psychiczny czy prawdę jakąś psychologiczną. Już na początku muszę umieć odróżnić zjawisko psychiczne od fizyologicznego, dajmy nato. Konflikt z naszym naczelnym postulatem jest tylko pozorny: ten właśnie postulat domaga się od nas, abyśmy na podstawie doświadczenia z pośród innych danych na te dane jednoznacznie wskazali, które zamierzamy badać w osobnej nauce doświadczalnej. Przed doświadczeniem więc właściwem psychologii jako specyalnej nauce doświadczalnej trzeba zapomocą uprzedniego doświadczenia wyznaczyć przedmiot naukowego doświadczenia psychologicznego.

I przed zaczęciem badań, właściwych psychologii naukowej, doświadczamy, o d c z u w a m y własne stany; doznajemy wzruszeń; w i e m y, że widzimy, słyszymy i t. d.; j e s t e ś m y ś w i a d o m i

tego i owego; jesteśmy świadomi i tego, że myślimy, że chcemy, pragniemy, zamierzamy i t. d. Podobnych przykładów można przytoczyć całe szeregi. Skąd je czerpiemy? Z naszego doświadczenia jako naszego własnego. Wiemy o tem doskonale, bo to na każdym kroku konstatujemy, kiedy wogóle doświadczamy. Doświadczać to znaczy konstatować faktyczny stan rzeczy: konstatowanie i rzecz, doświadczenie i to, czego się doświadcza — oto dwa zasadnicze założenia, zawarte w doświadczeniu jakiemkolwiek. Jeżeli doświadczenie, zgodność z doświadczeniem postawiliśmy jako naczelny postulat, to jednocześnie tem samem założyliśmy dwie rzeczy: doświadczenie, o ile jest nasze, o ile jest człowieka doświadczającego, i rzeczywistość, którą się konstatuje. Jakiekolwiek usiłowałby kto zająć stanowisko teoryopoznawcze, tych dwu założeń się nie pozbędzie; może je dowolnie interpretować, snuć w myśli rzeczywistość z siebie, czy siebie zaprzeć w rzeczywistości, zawsze jednak te dwa założenia same mu się narzucają: doświadczenie i to, czego doświadcza, czy wogóle poznanie i to, co poznaje.

Postulat doświadczenia jako kryteryum prawdy doświadczalnej jest tem samem postulatem uznania doświadczenia jako faktu. Doświadczenie jako fakt, jako czyn, jako akt — oto pierwsza i najpierwsza dla nas rzeczywistość. To, co w doświadczeniu się konstatuje — to druga rzeczywistość. W psychologii chodzi o tę pierwszą rzeczywistość: o doświadczenie jako fakt, jako akt. Nazwijmy tę pierwszą rzeczywistość doświadczeniem bezpośredniem, jak chcą jedni psychologowie, czy doświadczeniem wewnętrznem, jak chcą inni, czy doświadczeniem uważanem jako akt, jak to zdaje się wynikać wprost z naszego naczelnego postulatu, czy wreszcie świadomością, aktem świadomości, zgodnie z większością psychologów, mniejsza o nazwę: rzecz, tą nazwą oznaczona, to jest właśnie przedmiot odrębny od innych przedmiotów, a więc i osobną naukę mogący stanowić. To jest też jedynie możliwe czysto doświadczalne wyznaczenie przedmiotu tak nazwanej przed trzema wiekami psychologii.

Doświadczenie jako fakt, świadomość jako akt to jest wła-

śnie t. zw. zjawisko psychiczne, czy, jeśli się tak komu lepiej podoba, umysłowe. Życie nasze psychiczne składa się z szeregu takich faktów czy aktów świadomości, wiemy o niem li tylko z tych aktów. Kiedy tych aktów niema, wtedy jest się w stanie nieświadomym, nieprzytomnym, czas trwania w takim stanie usuwa się z pod świadomości: stan taki nie jest zjawiskiem psychicznem, ale zawieszeniem zjawiska psychicznego, negacyą psychiczności. Stan nieświadomy jako taki nie jest przedmiotem psychologii, chyba tylko o tyle, o ile jego granice są granicami świadomości.

Akt świadomości jako przedmiot badań psychologicznych wchodzi do zakresu tych faktów, które się konstatuje w doświadczeniu; konstatowanie to odbywa się oczywiście przez inny akt świadomości. W psychologicznem doświadczeniu jeden akt świadomości konstatuje inny akt świadomości; w doświadczeniu fizycznem czy fizyologicznem akt świadomości konstatuje zjawisko fizyczne albo zjawisko fizyologiczne. Nauki doświadczalne odróżnia się jedną od drugiej wedle przedmiotu, właściwego każdej z nich, a więc według rodzaju tych faktów, czy zjawisk, czy stanów, które się w niej konstatuje. Psychologia zaś jest taką nauką, która konstatuje nie inne fakty, czy zjawiska, czy stany, ale same fakty czy akty świadomości.

To wszystko zdaje się być bardzo jasne. Ale podobne wyznaczenie przedmiotu psychologii doświadczalnej i podobne określenie zjawisk psychicznych stoi w sprzeczności z pewnemi psychologiami, traktującemi o nieświadomych zjawiskach psychicznych. Jeżeli są nieświadome zjawiska psychiczne, to oczywiście nie można określać zjawisk psychicznych jako aktów świadomości, bo nieświadomy akt świadomości zdaje się zawierać oczywistą *contradictio in adiecto*. Zdanie sobie sprawy z tej trudności i rozwiązanie jej jakiekolwiek jest niezbędnym warunkiem, bez którego postulat powyższy, wyznaczający i określający przedmiot psychologii, sensuby nie miał. Jeżeli są nieświadome zjawiska psychiczne, to samo pojmowanie psychiczności,

zjawisk psychicznych, aktów psychicznych musiałoby być z gruntu inne, niż powyżej nakreślone.

Z góry muszę się zastrzedz, że w rozwiązaniu powyższej trudności nie uwzględnię metafizycznej interpretacyi zjawisk i stanów nieświadomych w guście hartmannowskich, względnych i absolutnych, pierwiastków nieświadomych. Mnie tu chodzi o doświadczalne rozstrzygnięcie kwestyi, a z niem najdowolniejszy aprioryzm Hartmanna nie ma absolutnie nic do czynienia. Może sobie ten filozof w swojej metafizyce robić dowolne założenia, na których opiera swoją naukę o pierwiastku nieświadomym, ale sensu one zgoła nie mają żadnego w psychologii jako nauce doświadczalnej. Dlatego wydaje mi się krzyczącym anachronizmem krytyka psychologów, podjęta w imię metafizyki w pracy Hartmanna o nowożytnej psychologii [1]. Nie również nie mają do czynienia z psychologią doświadczalną teoryopoznawcze interpretacye funkcyi psychicznych świadomych przez nieświadome kategorye aprioryczne umysłu ludzkiego, wszystko jedno jak pojęte, czy po kantowsku, czy po fichtowsku, czy po heglowsku, szellingowsku, szopenhauerowsku i t. p.

Nieświadomy pierwiastek u Leibniza o tyle nam w tej kwestyi nie zawadza, że jego wyobrażenie nieświadome jest równoznaczne z wyobrażeniem bardzo mało świadomem, zatem nie wchodzi jeszcze w otwarty konflikt z postawionym wyżej postulatem. Również pozorna tylko sprzeczność pod

---

[1] Eduard von Hartmann. *Die moderne Psychologie* 1901. Porównać np. proszę rozdział III, *Das Unbewusste*, str. 32—125. Instynkt doświadczalny autora pozwala mu jednak czasem dać wyraz i doświadczalnej prawdzie. Tak np. prawie zupełniebym się pisał na taką uwagę o t. zw. przez autora »fizyologicznie nieświadomym« czynniku: »Das physiologische Unbewusste selbst aber gehört weder zu den absolut unbewussten psychischen Tätigkeiten, noch zu den relativ unbewussten psychischen Phänomenen, denn es ist gar nichts Psychisches. Die ruhenden Gedächtnisspuren sind gar keine Vorstellungen, sondern Molekularveränderungen im Gehirn, die das Wiederauftauchen gewisser Vorstellungen erleichtern; es ist irreleitend, sie latente oder unbewusste Vorstellungen zu nennen und ganz verfehlt, aus ihnen das Wesen der unbewussten Vorstellung ergründen zu wollen« (str. 77).

tym względem byłaby między tym postulatem a Höffdingiem, któremu możnaby tutaj jedynie zarzucić mniej właściwy może sposób wyrażania się, o czem on sam zresztą zdaje się być przekonanym [1].

Skąd się wzięło u niektórych psychologów przekonanie o istnieniu jakichś nieświadomych aktów psychicznych? Czemu głównie przypisać należy wprowadzenie do literatury psychologicznej takich połączeń wyrazów, jak nieświadome czucia, nieświadome uczucia i t. p.? Sądzę, że historya nowej psychologii wskazuje dość wyraźnie na główne źródło tego uogólnienia zjawisk psychicznych. U Herbarta i w jego szkole należy, sądzę, szukać wyjaśnienia zagadki. W psychologii Herbarta wyobrażenia są dynamicznymi pierwiastkami [2] życia psychicznego, które, działając wzajemnie na siebie, powodują ostatecznie wszystkie objawy tego życia. Statystyka i mechanika wyobrażeń, wymyślona przez Herbarta, doprowadziła go między innemi do pojęcia tak przezeń nazwanego progu świadomości [3]. Wyobrażenie, przekraczając ten próg, staje się świadomem, przed progiem było powstrzymywane, krępowane przez inne wyobrażenia: wyobrażenie pod progiem było, ale nieświadome. Ten pogląd na wyobrażenia jakby na jakieś substancyalne, niezniszczalne istotki pokutował długo u psychologów z wielką szkodą dla nauki. I dziś jeszcze dałoby się wskazać na reminiscencye tej naiwnej metafizyki herbartowskiej w niektórych tłumaczeniach procesu przypominania lub kojarzenia wyobrażeń [4]. Bezpośredniem i oczywistem następstwem podobnej dynamiki wyobrażeń jest zapatrywanie, że jedno i to samo wyobrażenie czy czucie raz bywa świadomem,

[1] Dr. Harald Höffding. *Psychologie.* Dritte deutsche Ausgabe. Por. str. 116 i cały zresztą rozdział III, *Das Bewusste und das Unbewusste.*

[2] Johann Friedrich Herbart. *Psychologie als Wissenschaft.* 1824. I Teil, str. 152 i nast.

[3] Tamże, str. 175 i nast.

[4] Por. np. pracę p. t. *Experimentelle Beiträge zur Lehre vom Gedächtnis* von G. E. Müller und A. Pilzecker. Leipzig 1900; zwłaszcza uwagi końcowe na str. 269 i nast.

drugi raz spada pod próg i staje się nieświadomem, aby znów w pomyślnych warunkach pokonało w walce dynamicznej tamujące mu drogę do progu inne wyobrażenia i nad próg powróciło i t. d.

Jeżeli chcemy pozostać na gruncie doświadczalnym, to musimy stanowczo odrzucić podobnego rodzaju personifikacye, a pozostać przy jedynie doświadczalnym poglądzie na wyobrażenia, według którego są one, jak jakiekolwiek wogóle zjawiska psychiczne, aktami. Akt, czyn trwa czas jakiś, potem ustaje, przechodząc tem samem do historyi: można więc o *nim* mówić i myśleć jako o fakcie, który był, i o następstwach, które zostawił, ale nie da się pomyśleć o nim, jak gdyby ten sam, co był, powracał. Jest to tak jasne, jak jasną jest prawda doświadczalna, że czas nie wraca. Inna zupełnie rzecz przypominanie sobie, myślenie o tem, co pewien akt, wyobrażenie np. pewne przedstawia, jakoteż i o samym tym akcie wyobrażenia jako fakcie. Takie myślenie, przedstawienie sobie, wyobrażenie jest nowym aktem, na którego powstanie wpływają naturalnie warunki najrozmaitsze, między nimi oczywiście i następstwa innych poprzedzających aktów, zwłaszcza owego aktu, który się sobie przypomina, albo z którego przypomina się to, co on przedstawiał. W tym więc sensie można mówić o *działaniu* aktu, który był, bo on *działa* przez następstwa, które wywołał, ale nie można uważać go za jeszcze teraz istniejący.

Akt świadomości, który był, był aktem, zjawiskiem psychicznem; wtedy, kiedy go już niema, nie jest ani świadomem ani nieświadomem zjawiskiem psychicznem, bo żadnem zjawiskiem już nie jest. Trwa, jeśli kto tak sobie życzy powiedzieć, w swoich następstwach: o ile zaś trwa, nie jest, ale był, aktem świadomości; jeśli więc kto chce, może sobie o nim myśleć jako o akcie teraz nieświadomym. Dalej znów, jeśli kto chce, może sobie nazwać takie trwanie byłego aktu w następstwach zjawiskiem psychicznem, ale musi naturalnie o tem wiedzieć, że używa wtedy tych wyrazów w innem znaczeniu, niż gdy mówi o wyobrażeniu np. jako o istniejącym obecnie akcie, albo o akcie wyobrażenia jako fakcie dokonanym.

Następstwa aktów psychicznych objawiają się w t. zw. usposobieniach, nastrojach, stanach, nawykach, nałogach i t. p. One są psychicznemi, o ile są warunkami zjawisk psychicznych; nie są aktami świadomości, o tyle są nieświadomemi; ale do opisania tych aktów doświadczalnego i naukowego są potrzebne i nawet niezbędne. W tym sensie można mówić o nieświadomych warunkach psychicznych, o nieświadomych warunkach życia psychicznego, o nieświadomych stanach psychicznych i t. p., ale nie są to zjawiska życia psychicznego, zjawiska psychiczne. Zjawiskami psychicznemi jako bezpośrednim przedmiotem doświadczalnym psychologii są jedynie akty psychiczne, akty świadomości.

Jeżeli się w potocznym języku psychologicznym mówi o czuciach, uczuciach i innych aktach nieświadomych, to: albo się ma na myśli działanie w następstwach tych czuć, uczuć i t. d., które się kiedyś miało; albo chce się wyrazić jakieś czucie czy uczucie nieokreślone, z którego się sobie dobrze sprawy nie zdaje; albo też wreszcie identyfikuje się akty świadomości z tem, czego się w tych aktach doświadcza, z przedmiotem doświadczenia, wyobrażenie np. jako akt z przedstawieniem przedmiotu, który się wyobraża.

Poza tem potocznem używaniem połączeń takich, jak np. czucia nieświadome, istnieje w literaturze jeszcze sposób rozumienia czysto metafizyczny, polegający na jakiejś substancyalizacyi czuć, czyto w myśl filozofii Herbarta, o czem wyżej była mowa, czy też w rodzaju metafizyki Avenariusa-Macha, robiącej z czuć i uczuć objektywne jakości świata rzeczy. I ten ostatni sposób patrzenia na życie psychiczne usuwa się właściwie z pod krytyki, jak poprzedni, dla swej dowolności apriorycznej. Jednak słówko poświęcę temu poglądowi z okazyi trudności, którą mi jeszcze wypada rozwiązać.

Choćby się określiło zjawiska psychiczne jako akty świadomości i w ten sposób wskazało niedwuznacznie na przedmiot badań psychologicznych, to jednak możnaby zadać pytanie: o czyich aktach tu mowa? Czy chodzi o akty świadomości danego psy-

chologa, czy o akty świadomości innych ludzi, a kogo? Pytania te nie są zbyteczne, bo postawione są poważnie przez przedstawicieli pewnego kierunku filozoficznego. Owszem, poszli jeszcze dalej wspomniani filozofowie i zakwestyonowali samo prawo stawiania pytań, odnoszących się do aktów świadomości jako przedmiotu badań doświadczalnych, konsekwentnie usunęli i świadomość i właściwą psychikę z uprawianej przez siebie *psychologii*. Nie tu jest miejsce do rozprawy z tą szkołą filozoficzną. Z naciskiem powtarzam: szkoła ta, reprezentowana przez uczniów Avenariusa i jego zwolenników, o ile dowolnie usuwa akty świadomości z przedmiotu swych badań, nie jest psychologiczną, ale filozoficzną. O naczelnem założeniu tych t. zw. empiryokrytyków będzie jeszcze mowa w swojem miejscu.

Jakkolwiek niepsychologiczną się wydaje *psychologia* bez świadomości jako aktu, mimoto jej przedstawicielom zawdzięczamy zwrócenie uwagi na powyższe pytania i wątpliwości.

Jeżeli się zastanowimy nad drogą, którą dochodzimy do poznania własnych aktów psychicznych a cudzych, to spostrzeżemy tę ogromną różnicę, że własne akty poznajemy bezpośrednio: jeśli cokolwiek poznajemy, czegokolwiek doświadczamy, tem samem świadomi jesteśmy naszych aktów i możemy nad samymi tymi aktami zastanawiać się, badać je, obserwować; akty świadomości innych ludzi poznajemy naturalnie nie bezpośrednio, ale poznając dopiero objawy ich zewnętrzne, a zwłaszcza porozumiewając się z nimi, a więc pośrednio. To jednak pośrednio uzyskane poznanie aktów świadomości innych ludzi jest skonstatowaniem oczywistem jednego faktu zasadniczego: że mianowicie i inni ludzie odczuwają, czują, wiedzą, pragną, cierpią, cieszą się i t. d. Pierwszy niezbędny warunek porozumienia się z ludźmi jest uznanie tego faktu, że i oni są świadomi własnych aktów, że i oni mają akty świadomości. To jest oczywiste założenie, oczywisty, jeśli kto chce, postulat, tak pewny, jak jest pewnem, że nie tylko dany empiryokrytyk jest człowiekiem, ale że także w ludzkiej jego naturze mają udział i inni empiryokrytycy i reszta t. zw. rodzaju ludzkiego.

To się wydaje oczywistem, ale nie empiryokrytykom: oni

twierdzą, że niedopuszczalnem jest nawet założenie, jakoby inni ludzie doświadczali aktów świadomości wtedy, kiedy na nich obserwujemy objawy takie, które u nas byłyby objawami bezpośrednio odczutych aktów świadomości. Ci *psychologowie bez świadomości* głoszą, że przez takie wypieranie powyższego założenia można jedynie pozostać na gruncie naukowym, nazywają to założenie dodatkiem obcym danym doświadczenia. Co na to powiedzieć? Na nic nie zdałyby się dyskusye z ludźmi, takie zajmującymi stanowisko, i nie sądzę, żeby trafiło im do przekonania proste zaprzeczenie doświadczalności ich stanowiska. Jednak wszystkim innym ludziom, nie należącym do wyznawców awenarzyzmu, nie da się wybić z głowy, że i sami odczuwają swe akty psychiczne i że wszyscy inni, także i awenarzyści, są własnych swych aktów świadomi.

Jeśli się ludzi bada, jak tego chcą empiryokrytycy, li tylko tak, jak przedmioty otoczenia, nie zaś także tak, jak podobnych do nas ludzi, to: albo się bada zewnętrzne objawy ich życia i ich wypowiedzenia jako reakcye odruchowe, wtedy jeszcze się jest we fizyologii, albo się bada niektóre przynajmniej z tych objawów jako symbole służące do porozumiewania się — wtedy zrozumienie nie jest absolutnie możliwe bez przypuszczenia w badanych ludziach aktów poczucia, poznania, chcenia i t. d. Kto konieczności tego przypuszczenia nie widzi, tego nie przekonamy, ale z tym także porozumienie się absolutnie byłoby niemożliwe, gdyby z *całą świadomością* i konsekwencyą usiłował zająć stanowisko swoje empiryokrytyczne.

III. Eksperyment w psychologii.

Przedmiotem badań psychologicznych są akty świadomości Ale jak się do nich dostać? Trudność tkwi naprzód w tem, że ma się tu do czynienia z faktami szybko mijającymi: kiedy się zwróci uwagę na taki fakt, to on już jako taki przeszedł do przeszłości, a zamiast niego już inny fakt stanął w świadomości. Dalej w innych naukach t. zw. przyrodniczych ma się także ze zmianami stanów, a więc ze zjawiskami do czynienia; ale zasadnicza

różnica badań polega na tem, że zjawiska takie i co do czasu trwania i co do warunków przebiegu zależą tylko od czynników nie działających spontanicznie i od świadomego swego celu eksperymentowania, zjawiska zaś psychiczne zależą nadto od pewnych czynników spontanicznych, usuwających się łatwo z pod kontroli. Trudność wreszcie największa stąd pochodzi, że akty świadomości nie dadzą się tak obserwować, jak przedmioty i zjawiska zewnętrzne, pod zmysły podpadające: aktu świadomości nikt nie widział i nikt nie zobaczy, akt świadomości jest coś takiego, czego się tylko bezpośrednio doświadcza, obserwować go bezpośrednio zatem może ten tylko, kto sam go doświadcza, a taka obserwacya własna zawodzi zbyt często.

Wobec takich trudności, doświadczenie psychologiczne, konstatowanie aktów świadomości, ich związku z sobą i z innymi warunkami ich powstawania i przebiegu, wymaga szczególnego udoskonalenia metod doświadczalnych i szczególnie krytycznego ich stosowania. Z natury rzeczy i w myśl naszego naczelnego postulatu, wszystkie jakiekolwiek metody psychologiczne mają być tylko naukowymi środkami krytycznymi do stwierdzenia faktycznego *stanu odczutych*, bezpośrednio doświadczonych aktów, a więc dążyć mają do takiego opisu aktów świadomości, wywołanych w pewnych warunkach, jaki odpowiada rzeczywistemu ich przebiegowi.

Metody takie polegać zatem mogą wogóle na następujących sposobach obserwacyi:

1) na obserwacyi własnych aktów świadomości;

2) na obserwacyi objawów i następstw własnych aktów psychicznych;

3) na obserwacyi innych osób, o ile one w sposób zewnętrzny czysto odruchowy objawiają swe akty psychiczne;

4) na obserwacyi innych osób, o ile one świadomie i z zamiarem wyrażają swoje stany i akty psychiczne przez mowę lub inne środki porozumiewania się;

5) na obserwacyi społecznych objawów psychicznych, o ile one są wyrażone w mowie, w obyczajach, w wierzeniach i obrzędach religijnych;

6) na obserwacyi warunków i okoliczności, wśród których objawiają się akty psychiczne, ich objawy i następstwa, w każdym z poprzedzających pięciu sposobów obserwowania czy aktów czy ich objawów.

Obserwacya ta w każdym z sześciu podanych rodzajów może się odbywać:

a) albo bez świadomego zmieniania warunków i okoliczności, wśród których odbywają się obserwowane zjawiska,

b) albo przy świadomem zmienianiu warunków i okoliczności zjawisk obserwowanych.

Ten ostatni sposób obserwowania jest, jeśli się gdzie da zastosować, nie tylko od poprzedniego nieporównanie doskonalszy, ale nadto w niektórych naukach doświadczalnych umożliwia dopiero krytyczną i naukową obserwacyę. Takie obserwowanie, oparte zatem na t. zw. eksperymencie, robi dopiero z psychologii naukę co do ścisłości równorzędną z taką np. fizyką doświadczalną, chemią, fizyologią i t. p.

Przejdźmy teraz te sposoby, którymi dotychczas badano zjawiska psychologiczne i zobaczmy, który z nich i o ile dopuszcza eksperyment. Przy tej sposobności potrącimy o kwestyę klasyfikacyi nauk psychologicznych, o ile są doświadczalnemi.

Możliwą jest naprzód taka psychologia, która ogranicza się do obserwowania własnych aktów świadomości, zastanawia się nad nimi, przypomina je sobie, analizuje je, porównywa i t. d. To jest psychologia t. zw. introspektywna. Że i taki sposób obserwowania zjawisk psychicznych może być przydatny do naukowego ich badania, nie ulega wątpliwości; owszem do pierwszej oryentacyi co do przedmiotu badań jest introspekcya, własna obserwacya swoich aktów, koniecznym wstępem, pierwszym krokiem. Psychologię introspektywną, w szerszym lub ciaśniejszym zakresie, uprawia każdy, kto jakkolwiek zastanawia się nad sobą, nad tem, co się w nim dzieje, co sam odczuwa, czego pragnie i t. d. Na introspekcyi głównie opiera się także t. zw. psychologia pospolita, t. j. znajomość, choćby najelementarniejsza, psychiki ludzkiej: taką znajomość każdy posiada, podobnie jak każdy ma pewną logikę, pewną filozofię, naturalną czy pospolitą.

Do niedawna psychologia introspektywna była prawie jedyną psychologią empiryczną czyli doświadczalną w ogólnym sensie tego wyrazu. Że i dzisiaj ma zwolenników, dowodem tego np. ostatni kongres międzynarodowy psychologii, który, jakby za dawnych dobrych czasów, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o ścisłym eksperymencie w psychologii, urządził sobie sekcyę osobną psychologii introspektywnej. Przeważa jednak dzisiaj wogóle zdanie, że psychologia introspektywna sama, bez uwzględnienia eksperymentu i naukowej kontroli, opartej na innych środkach pomocniczych, nie wystarcza do ścisłego stwierdzenia faktów psychicznych. Słusznem jest to zdanie, bo przecież, w myśl naszego naczelnego postulatu, kryteryum prawdy naukowej ma być zgodność z doświadczeniem, a, przy wyłącznem stosowaniu introspekcyi, nikt do takiej zgodności odwołać się nie może, prócz tego, kto swoje własne akty konstatuje: rzecz na sobie zaobserwowana ma znaczenie faktu dla tego, kto obserwował, dla kogo innego zaś tylko o tyle, o ile ją w tych samych dokładnie warunkach obserwować będzie; a zatem sama introspekcya nie jest jeszcze naukowem skonstatowaniem faktu. Stwierdzenie faktu czysto introspektywne jest subjektywnem, stwierdzenie naukowe objektywnem: stąd i samą psychologię introspektywną można nazwać, za przykładem Spencera, subjektywną. Każda inna psychologia doświadczalna, nie polegająca na samej introspekcyi, ale oparta nadto na kryteryach objektywnych, nosi u Spencera nazwę objektywnej[1].

Wbrew Comte'owi Spencer utrzymuje, że psychologia subjektywna nie tylko nie jest niemożliwa, ale że objektywna nie może istnieć bez subjektywnej. Kto ma słuszność: Comte czy Spencer? Jeżeli się zgodzimy na postulat, wyznaczający za przedmiot psychologii doświadczalnej sam fakt doświadczenia czyli akt świadomości, to oczywiście należy uznać konsekwentnie konieczność introspekcyi, a więc i t. zw. psychologii subjektywnej. Ktoby wspomnianego postulatu nie przyjął, ten

[1] Herbert Spencer: *The principles of psychology.* 1899. Vol. I, str. 149 i nast.

stanie po stronie Comte'a, ale też dla niego niema właściwie ani psychologii objektywnej, ani wogóle psychologii doświadczalnej. Obserwowanie własnych aktów świadomości, czyli t. zw. introspekcya, nie wystarczy samo, ale bez niego niema psychologii: to jest nowy postulat, który wprost zdaje się wynikać z dwu poprzednich postulatów, w obu pierwszych rozdziałach tej pracy omówionych.

Psychologia staje się właściwie nauką dopiero wtedy, kiedy zaczyna akty świadomości, znane refleksyi introspektywnej, badać przedmiotowo: w ich objawach, warunkach, powstawaniu i przebiegu, w ich następstwach i t. d. Psychologia staje się nauką ścisłą dopiero wtedy, kiedy warunki powstawania i przebiegu aktów psychicznych umie już tak z góry wyznaczyć, że wywołany akt świadomości w objawach swych zewnętrznych staje przed eksperymentatorem jednoznacznie określony. Zastosowanie ścisłego eksperymentu do psychologii robi z niej dopiero naukę w ścisłym sensie doświadczalną: dzięki dopiero eksperymentowi staje się możliwą psychologia objektywna jako nauka z przyrodniczemi równorzędna, dzięki eksperymentowi dopiero staje się introspekcya naukową.

Taką psychologię, która badania swe opiera na ścisłym eksperymencie naukowym, nazwać słusznie możemy eksperymentalną. Wyraz ten ma za zadanie z pośród możliwych psychologii doświadczalnych w ogólnym sensie tego wyrazu wyróżnić tę psychologię, która fakty doświadczenia psychologicznego konstatuje i opisuje na podstawie ścisłych eksperymentów: każda psychologia eksperymentalna jest empiryczna czyli doświadczalna, ale nie każda psychologia empiryczna jest eksperymentalna. Prócz psychologii empirycznej eksperymentalnej i prócz już omówionej psychologii introspektywnej, która również jest w określonym sensie empiryczną, są między innemi możliwe takie np. psychologie empiryczne: psychologia dziecka, psychologia zwierząt, psychologia mowy, psychologia obyczaju, psychologia religii i t. d. Wszystkie te psychologie stają się naukowemi czyli stanowią razem jedną psychologię naukową tylko o tyle, o ile są oparte na ściśle naukowej psychologii eksperymentalnej jako podsta-

wowej nauce psychologicznej. Stąd należyte stosowanie i rozumienie eksperymentu psychologicznego jest zasadniczo ważne dla całej psychologii. Ku temuż też celowi skierowane będą następne uwagi. Do kwestyi klasyfikacyi i nomenklatury nauk psychologicznych powrócę jeszcze w dalszym ciągu obecnej pracy.

Doświadczenia psychologiczne różnią się od doświadczeń przyrodniczych między innemi i tem, że role eksperymentatora i obserwatora z reguły nie przypadają na jedną i tę samą osobę, jak to się zazwyczaj tam dzieje. W eksperymencie psychologicznym właściwym obserwatorem jest kto inny, kierujący zaś eksperymentem, eksperymentator, ma tylko przygotowywać doświadczenia, urządzać i wykonywać. Stąd krytyczna wartość wyników doświadczeń zależy w pierwszej linii i bezpośrednio od obserwatora. Rzeczą eksperymentatora jest czuwać nad tem troskliwie, aby obserwator zadanie swoje należycie wypełniał; do niego też należy kontrola i krytyka zgodności wypowiedzeń obserwatora z rzeczywiście odczutymi aktami jego świadomości. Samo jednak eksperymentowanie bez obserwowania nie ma absolutnie sensu: w każdej jakiejkolwiek nauce doświadczalnej byłoby takie doświadczanie, eksperymentowanie bez obserwacyi, krzyczącą niedorzecznością. Nie inaczej jest w psychologii doświadczalnej: i tutaj eksperyment jest tylko środkiem koniecznym do ścisłej naukowej obserwacyi. Obserwacya ta w psychologii jest zadaniem t. zw. obserwatora, on to dopiero dyktuje swoje spostrzeżenia eksperymentatorowi; a ten spostrzeżenia obserwatora krytyce i kontroli poddaje i sam robi własne swe obserwacye nad obserwatorem i jego sposobem zachowania się i wogóle obserwowania: ale te obserwacye eksperymentatora są tylko środkiem służącym do krytycznego wyzyskania właściwego materyału doświadczalnego, t. j. obserwowanych przez obserwatora własnych aktów świadomości.

Obserwacya własna obserwatora, własna jego introspekcya jest istotnym czynnikiem eksperymentu psychologicznego. Że tak jest, o tem łatwo się przekonać, jeśli się tylko przystępuje do doświadczeń psychologicznych bez uprzedzeń empiryokrytycznych: wypowiedzenia obserwatora wskazują na akty świadomości, jakich

on bezpośrednio doznaje. Tylko dlatego możemy te wypowiedzenia zrozumieć, że one wskazują na akty, znane nam z naszego znów bezpośredniego doświadczenia życiowego. Wypowiedzenia obserwatora wskazują wprawdzie nieraz swą formą zewnętrzną bezpośrednio na zjawiska zewnętrzne, ale i takie wypowiedzenia (jak np.: ten ton wyższy, niż poprzedni) wskazują n a m na te zjawiska o i l e one bezpośrednio były odczute przez obserwatora, wskazują nam na porównanie zjawisk (np. dwu tonów) z sobą, na sąd wydany i t. d., zawsze zatem na akty obserwatora, zjawiska dane spostrzegającego i je porównywającego.

Pomyślmy, coby było, gdyby obserwator np. mijał się z prawdą świadomie, co innego wypowiadając, niż odczuwa, wydając sądy słowami przeciwne własnym aktom świadomości. Czy i w takiem założeniu byłby obserwator badanym przez eksperymentatora empiryokrytycznego tylko tak, jak się bezpośrednio przedstawia, t y l k o t a k, jak wszystkie inne zjawiska otaczającego świata? Czy jest możliwą ściśle naukowa psychologia eksperymentalna, któraby nie poddawała krytycznej kontroli wypowiedzeń obserwatora, o ile one wyrażają rzeczywiście odczute zmiany, stany, akty?

(C. d. n).

Ks. Stanisław Kobyłecki.

UDZIAŁ POLAKÓW

W WOJNIE ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ

Nowożytna wojna nie jest już szeregiem pojedynków, w których rozstrzyga dzielność, siła i zręczność osobista walczących; przestała być również grą, w której jeden genialny człowiek, posuwając lepiej od innych swe piony na szachownicy, zapewnia sobie zwycięstwo. Dzisiejszą wojnę rozgrywa się przy użyciu wszystkich sił społecznych i zdobyczy ducha ludzkiego; w narodowej wojnie biorą udział wszystkie czynniki narodu, w państwowej państwa, któremi kieruje rząd będący u steru, a które stworzył, zachował lub zniszczył dotychczas panujący ustrój. Wojna przeto, która wszystkie siły i zasoby zwraca w danej chwili ku jednemu tylko celowi, ma dowodnie okazać do jakiego wysiłku energii państwo w pewnej chwili jest zdolne. Przy wielkich nawet brakach, jakikolwiek system rządów w pokoju długo ostać

się może. Bardzo liczne mogą być przejawy upadku, wiele może być klęsk, błędów, a mimo to nie przyjdzie do żadnej zmiany, gdyż będą to wypadki luźne, indywidualne, które wywołują może chwilowe oburzenie, lecz nie posiadają dość siły, ażeby skłonić do działania szerokie warstwy ludności. Zwyczajny konserwatyzm ogółu i naturalna chęć utrzymania własnego spokoju sprawia, że zawsze znajdzie się jakieś tłumaczenie, jakąś wymówkę dla nadużyć, że po pewnym czasie oswaja się z niemi i przyzwyczaja do tych stosunków, tak że obojętność zabija wszelkie próby opozycyi.

Dopiero wojna otwiera wszystkim oczy. Skutki jej są tak doniosłe, że niepodobna już nadal upiększać wad i braków. Panujący system stwierdził swą nieudolność, musi więc upaść wraz z zakończeniem wojny. Tak było w Prusach po Jenie, we Francyi po Sedanie, w Austryi po Solferino i Sedanie, nawet w Rosyi po wojnie krymskiej.

O tyle wojna jest potężnym czynnikiem postępu, sprowadzając radykalne ulepszenie stosunków państwowych. Jest to jednak środek ostateczny i nader kosztowny, bo postęp okupuje się życiem, zdrowiem i losem setek tysięcy obywateli. Szczęśliwe społeczeństwa, które umieją iść naprzód bez przewrotów i gwałtownych wstrząśnień wojny, lecz niestety niewiele było krajów, któreby nie musiały krwią własną okupić swych praw obywatelskich bytu i rozwoju.

Rzadko która wojna sprowadziła tak daleko idące skutki jak rosyjsko-japońska. A jeżeli odnosi się to w całej rozciągłości do właściwej Rosyi, to o ileż w wyższym stopniu należy to powiedzieć o naszem położeniu, o losie ludności polskiej pod zaborem rosyjskim. Nam również otwiera się obecnie nadzieja lepszej przyszłości tak długo wyczekiwanej na próżno, nam więcej z pewnością, niż innym droższą jest chwila obecna.

Z konieczności ludność polska musiała również brać udział w tych walkach, krew polska płynęła obficie we wszystkich bitwach dalekiego Wschodu. Ile jednak straciliśmy ludzi, ile tam padło żołnierzy, pochodzących z dzielnic polskich, dotąd nie wiadomo. Już w samych początkach wojny pojawiały się bezustannie

niepokojące o tem wiadomości. W syberyjskich pułkach miała być, jak pisano, trzecia część Polaków, w niektórych oddziałach liczba ich dochodziła nawet do połowy; rząd — takie były pogłoski — starał się przeprowadzić wojnę przedewszystkiem siłami podbitych narodów, w pierwszej linii Polaków. To samo, w wyższym może jeszcze stopniu, odnoszono do oficerów, którzy na niższych stopniach w przeważnej liczbie mieli należeć do narodowości polskiej.

Powszechnie wiadomo, jak przesadne i pozbawione wszelkich podstaw realnych są tego rodzaju podania. Korespondent wojenny, który w pewnym punkcie naliczył stu rannych, mnoży tę cyfrę przez cały obszar placu boju i w ten sposób dochodzi do fantastycznej wysokości strat, przewyższającej kilkakrotnie rzeczywistą liczbę poległych. W jednej kompanii było może 80% Polaków i zaraz rozciąga się ten stosunek na cały pułk, z pułku na korpus, wreszcie na całą armię. Tak zwykle tworzą się wiadomości prywatne o liczbie poległych i rannych, z góry więc można je odrzucić. Jaka jednak jest rzeczywista ilość strat ogólnych czy polskich, pozostaje zawsze jeszcze niewiadomem, tak że dotąd jeszcze operujemy dowolnemi cyframi, nie przedstawiającemi żadnej wartości.

Wobec tego na podstawie urzędowych materyałów rosyjskich zamierzam przynajmniej częściowo rozświetlić tę kwestyę, częściowo tylko, gdyż dotąd opublikowano tylko nieznaczną część strat rosyjskich, mniej więcej część piątą. Zanim jednak rezultaty przedstawię cyfrowo, muszę poświęcić kilka słów materyałowi, na którym opierają się dalsze obliczenia.

Aż do walk z 31 lipca i 1 sierpnia ubiegłego roku, rząd rosyjski ogłaszał wysokość strat poniesionych w każdej utarczce, według poszczególnych oddziałów. Od tego czasu zaprzestano dalszej publikacyi, prawdopodobnie nie chcąc przerażać ludności zbyt wielkiemi cyframi, tak że nie mamy żadnych autentycznych danych dla żadnej z wielkich bitew późniejszych Janzelinu, Liaojanu, Szaho, Sandepu i Mukdenu. W miejsce pierwotnych wykazów weszły inne, ogłaszane w *Russkim invalidzie*, urzędowym organie ministerstwa wojny, które można podzielić na cztery grupy.

Pierwsza obejmuje oficerów zabitych, rannych lub zaginionych, których nazwiska wymieniano bezpośrednio po każdej bitwie. Wykazy te, jak stwierdziłem, nie są zupełnie dokładne, prawdopodobnie wskutek przypadkowych opuszczeń, jednakże braki te są stosunkowo bardzo nieznaczne, tak że nie mają większej doniosłości dla ogólnego rezultatu. Dzisiaj można więc już mniej więcej dokładnie oznaczyć ogół strat oficerów poniesionych w całej wojnie. Niestety rozdział narodowy oficerów ściśle przeprowadzić się nie da. *Inwalid* zamieszczał zarazem krótkie biografie znacznej części zabitych oficerów, które podają również ich pochodzenie, przy rannych jednak można się kierować jedynie nazwiskiem, a przedewszystkiem imieniem, gdyż bardzo wiele nazwisk czysto polskich noszą oficerowie nie należący bynajmniej do naszej narodowości.

Drugą grupę stanowią wykazy żołnierzy, które rozpoczęto ogłaszać w początku września ubiegłego roku. Wykazy te podają imię i nazwisko każdego żołnierza zabitego, rannego lub zaginionego, oddział, do którego należał, bitwę, w której zaginął lub poległ, gminę, powiat i gubernię, z której pochodził, wreszcie jego stan cywilny. Jest to publikacya jedyna w swoim rodzaju, bardzo szczegółowa, która pozwala na dokładne rozmieszczenie geograficzne strat w ludziach, poniesionych przez armię rosyjską. Wprawdzie daleko jej jeszcze do końca, dotąd bowiem ogłoszono niespełna 62.000 nazwisk, prawie wyłącznie piechoty, a straty odnoszą się głównie do bitew pod Liaojanem i nad Szaho. W każdym jednak razie jest to materyał bardzo cenny, szkoda tylko, że zupełnie pomija walki pod Port-Arthurem. Na tych wykazach oprę się głównie w dalszym ciągu.

Ponieważ Rosyanie we wszystkich bitwach ponieśli klęskę i pole walki pozostało zawsze w ręku Japończyków, więc z natury rzeczy zaliczono bardzo wielu do kategoryi zaginionych, nie wiedząc czy padli, czy też dostali się w ręce nieprzyjaciela. Dlatego bardzo pożądanem uzupełnieniem powyższych wykazów są nazwiska jeńców, podane przez władze japońskie. Dopiero przy ich pomocy można podzielić na zabitych i wziętych do niewoli rubrykę zaginionych, tak znaczną w obecnej wojnie. Jasną bo-

wiem jest rzeczą, że żołnierz, nie wymieniony pomiędzy jeńcami utracił życie w walce.

W końcu mamy spis oficerów i żołnierzy, którzy kapitulowali w Port-Arturze. Niestety jest on bezużyteczny, o ile chodzi o oznaczenie liczby Polaków, gdyż nie wymienia pochodzenia jeńców, ograniczając się tylko do ich nazwiska i imienia, a tylko przy zmarłych w niewoli, podaje miejsce ich urodzenia. Stąd też w dalszym ciągu straty poniesione w Port-Arturze pomijam zupełnie, podobnie jak i straty marynarki, dla których ogłoszono tylko częściowe, dorywcze daty.

Na podstawie tych materyałów można przystąpić do oznaczenia strat polskich. Naturalnie niepodobna mówić o podziale żołnierzy ściśle według narodowości, pod tym bowiem względem niema żadnych wiadomości, znając jednak pochodzenie zabitych, rannych i wziętych do niewoli, można uzyskać ogólne straty ludzkie, przypadające na dzielnice polskie i to według najniższych nawet jednostek administracyjnych. Przedtem jednak należy nakreślić w krótkich słowach ogólny obraz wojny, o ile on ma znaczenie dla statystyki poległych.

Właściwe walki lądowe rozpoczęły się w dniu 1 maja ubiegłego roku przejściem Jalu, a zakończyły — nie licząc późniejszych drobnych utarczek — klęską mukdeńską, która wraz pościgiem przypada na połowę marca. Obejmuje to okres $10^1/_2$ miesięcy, w którym, pomijając zapasy o Port-Artur, zaszły cztery wielkie bitwy (Liaojan, Szaho, Sandepu, Mukden) i pięć znaczniejszych spotkań (Jalu, Wafanku, Janzelin-Ufanhuan, Tasziczao, wąwozy liaojańskie). Pomiędzy bitwą liaojańską a walką nad Szaho upływa miesiąc, od tego czasu do ataku na Sandepu trzy miesiące zimowe, od odparcia Grippenberga do początku bitwy mukdeńskiej pięć tygodni, wreszcie trzy tygodnie zabierają przygotowania poprzedające operacyę liaojańską. W przerwach tych, stanowiących ogółem prawie sześć miesięcy, nie było żadnych znaczniejszych walk, lecz tylko drobne potyczki przednich straży lub kawaleryi i trzy cokolwiek poważniejsze starcia w październiku i listopadzie. W porównaniu więc z wojnami europejskiemi, w których zupełnie inne warunki terenu, zasobów krajowych i komunikacyi pozwa-

lają na pochód naprzód bez przerwy, walki w Mandżuryi obejmowały efektywnie około pięciu miesięcy, t. zn. trwały niemal taki sam przeciąg czasu, jak wojna francusko-niemiecka lub rosyjsko-turecka. To samo da się powiedzieć o poszczególnych bitwach. U nas kończą się one najczęściej w ciągu kilku lub kilkunastu godzin, rzadko przeciągają się na dwa dni, a tylko walki pod Lipskiem trwały dłużej, od 16 do 19 października. Tymczasem starcia mandżurskie obejmują całe tygodnie; pod Liaojanem trwają dni czternaście, nad Szaho jedenaście, pod Mukdenem trzynaście. W gruncie rzeczy niema i tutaj żadnej różnicy. W wojnach europejskich oddzielamy potyczki poprzedzające właściwe starcie, główną walkę i późniejszy pościg, nadając każdej części osobną nazwę, w Mandżuryi, już ze względu ua brak dokładnych wiadomości, objęto to wszystko nazwą zbiorową. Tak np. operacye celem zamknięcia Metzu trwały cały tydzień, zwyczajnie jednak mówi się o trzech jednodniowych bitwach pod Metzem, z końcem listopada i w początku grudnia 1870 r. walczono kilkanaście dni o Orléans, lecz walka o każdą pozycyę uzyskała osobną datę i nazwę. Tymczasem np. pod Liaojanem były cztery bitwy 22 29 i 31 sierpnia i 2 września, podczas gdy w przerwach ograniczano się do kanonady i rektyfikacyi swych pozycyi, a przez nadanie zbiorowej nazwy, objęto walkami o Liaojan nie cztery dni lecz dwa tygodnie. Zupełnie to samo da się powiedzieć o bitwach nad Szaho i pod Mukdenem, tak że przy porównywaniu z innemi wojnami nie można rozdzielać strat rosyjskich na dnie, przez które oficyalnie toczyła się bitwa, lecz należy przeciwstawić mandżurskim bitwom całość operacyi europejskich.

Obecnie niepodobna nawet w przybliżeniu oznaczyć ogólnych strat rosyjskich, gdyż od końca lipca, a więc od chwili rozpoczęcia wielkich walk o okolicę Liaojanu i Mukdenu, rząd rosyjski zaprzestał ogłaszania danych o rannych, jeńcach i poległych, a wykazy imienne dla żadnego oddziału i żadnej bitwy nie są jeszcze skończone, w trzech zaś tylko pułkach podają częściowe straty z pod Sandepu i Mukdenu. Pewnego wyobrażenia jednak o ogromnych stratach armii rosyjskiej można nabrać przez porównanie z wojną francusko-niemiecką, jak wiadomo naj-

krwawszą i najcięższą ze wszystkich nowszych walk europejskich. Wojna z r. 1870—1871 trwała niemal równe pół roku, wojna w Mandżuryi, licząc od przejścia przez Jalu do Mukdenu dziesięć miesięcy. Wobec bardzo długich przerw pomiędzy bitwami i niemal zupełnego braku danych, odnoszących się do obu wielkich tegorocznych walk, śmiało można przyjąć przy tem porównaniu oba okresy za równe. Nie było także różnicy w siłach przynajmniej o ile chodzi o broń najważniejszą, t. zn. piechotę. Rosyanie mieli wraz z załogą Port-Artura — nie licząc posiłków wysłanych po klęsce mukdeńskiej, które już nie wchodzą w rachubę — około 76 pułków po cztery i 56 pułków po trzy bataliony razem, prócz rezerw i wojsk uzupełniających, 472 batalionów; Niemcy, w chwili największych swych wysiłków z końcem stycznia 1871 r. 499 batalionów bez załóg i wojsk etapowych. Nie licząc oficerów, straciły w armii niemieckiej cztery pułki po więcej niż 1500, 26 pomiędzy 1000 a 1500 ludzi, nadto zaś 7 batalionów strzelców straciło po 350—500. Najwyższą stratę t. j. 1650 poniósł 44 pułk piechoty. Bez porównania wyższe cyfry otrzymujemy dla armii rosyjskiej, jakkolwiek daty są niekompletne i z wyjątkiem pewnej części jeńców, nie uwzględniają zupełnie najkrwawszej bitwy pod Mukdenem. Wogóle posiadam wiadomości tylko o 64 pułkach, które stały w polu i 9 z załogi Port-Artura: brak więc zupełny jakichkolwiek cyfr dla blizko połowy armii. Mimo to, nie licząc załogi, która kapitulowała, znajdujemy 5 pułków, które straciły przeszło 2000 ludzi, 9 od 1500—2000 i 27 od 1000—1500. Jeżeli dla porównania z armią niemiecką, której pułki liczyły tylko po trzy bataliony, wyłączy się oddziały rosyjskie po 4 bataliony, które straciły mniej niż 1350 ludzi, zostanie jeszcze 31 pułków, w których straty wyniosły przeszło trzecią część etatowej siły. Takie oddziały w armii niemieckiej straciły razem 35.406, w rosyjskiej 47.703, a licząc wszystkie pułki o stracie przenoszącej 1000 ludzi 59.239, przyczem należy jeszcze raz zaznaczyć, że w cyfrach tych nie mieści się wcale obrona Port-Artura, a na bitwę mukdeńską i walki pod Sandepu przypada zaledwie 4.320. Przypuszczając, że w wojnie mandżurskiej panował taki sam stosunek pomiędzy stratami ogólnemi i poniesionemi przez najbar-

dziej dotknięte oddziały, jak w wojskach niemieckich, doszłoby się do rezultatu, że, nie licząc Port-Arturu, Rosya straciła do początku bieżącego roku ze swej armii około 155000 ludzi, w całej przeto kampanii wraz z jeńcami mniej więcej trzysta tysięcy. Prawdopodobnie straty były w roku 1904 cokolwiek niższe, gdyż należy potrącić przy porównaniu znaczną liczbę jeńców, których było znacznie mniej w armii niemieckiej, w każdym jednak razie wojna kosztowała Rosyę przynajmniej dwa razy więcej, aniżeli pobicie Francyi. Przerażający rozmiar tych strat występuje tem wyraźniej, gdy się w niektórych oddziałach porówna ich siłę pierwotną z liczbą zabitych, rannych i zaginionych. Naturalnie w ciągu kampanii przybywały posiłki, tak że właściwie każdy pułk był znacznie silniejszy, lecz przy niemożliwości oznaczenia liczby tych wojsk uzupełniających należy poprzestać na porównaniu z pierwotną siłą etatową, której zresztą w rzeczywistości żaden pułk nie posiadał.

Z trzechbatalionowych pułków strzelców wschodnio-syberyjskich, z których każdy liczył niespełna po trzy tysiące ludzi, największe, dotąd ogłoszone, lecz niezupełnie jeszcze straty poniósł pułk czwarty tracąc 2781 czyli 92.7%, dalej trzeci 1803 t. j. 60%, dwunasty 52.5% i trzydziesty szósty 51.8%. Z pułków po 4 bataliony i 4000 ludzi najwięcej tracą numera 122: 2311, 9: 2216, 137: 2204, 12: 2060, 121: 1931 i 139: 1908 t. j. kolejno 57.8%, 55.4%, 55.1%, 51.5%, 48.3% i 47.7%. Najwyższa strata niemiecka wynosiła 55% w dwóch pułkach i w dwóch po 50%. A o ileż te cyfry podniosą się jeszcze dla armii rosyjskiej, gdy poznamy straty z Mukdenu, gdzie według urzędowej relacyi Kuropatkina z jednego pułku zostało tylko stokilkadziesiąt, z drugiego, który liczył 4000 ludzi 619! Jedną mamy tylko wiadomość pewną dla strat ogólnych, poniesionych w całej kampanii, mianowicie w rozkazie dziennym XVII korpusu, złożonego z 32 batalionów, z których 8 walczyło pod Wafanku, reszta zaś przybyła do Mandżuryi dopiero 20 lipca, t. zn. znalazła się w ogniu po raz pierwszy pod Liaojanem. Straty wyniosły do końca wojny 455 oficerów, 18.128 żołnierzy, nie licząc lekko rannych, którzy nie opuścili szeregów, czyli około 60%. Z tego 4478, a więc

prawie ściśle czwarta część przypada na zabitych. Z korpusów niemieckich 1870—1871 najwięcej ucierpiał III korpus, tracąc 11.906 ludzi, t. zn. około 40%, a więc o połowę mniej, jakkolwiek korpus XVII w początkowych bitwach nie brał wcale udziału, a straty pod Wafanku wyniosły zaledwie 220 ludzi. Z tego można nabrać wyobrażenia o stratach tych wojsk, które walczyły od samego początku wojny, to zn. pułków syberyjskich.

Przechodząc do przedstawienia strat armii rosyjskiej według geograficznego ich rozmieszczenia, t. zn. według pochodzenia żołnierzy zabitych, rannych lub zaginionych, należy przedewszystkiem zaznaczyć, że w Rosyi niema w armii terytoryalnego podziału, tak że w każdym pułku mogą służyć żołnierze, pochodzący z najodleglejszych nawet okolic olbrzymiego państwa. Pułki noszą tam wprawdzie nazwy geograficzne, od pewnych miejscowości, nie dowodzi to jednak bynajmniej, ażeby się istotnie uzupełniały z odnośnej okolicy. Wręcz przeciwnie, zdarza się bardzo często, że pułk, nazwany od stolicy gubernii, niema prawie zupełnie ludzi z tego okręgu. Tak n. p. 121 pułk penzeński traci ogółem 1227 ludzi o znanem pochodzeniu, z czego na gubernię penzeńską przypada jeden ranny, a 122 tambowski i 124 woroneski, które straciły 2159 i 896 ludzi, nie wykazują żadnych strat z gubernii, od której przyjęły swe imię. Mimoto w liniowych pułkach europejskich można stwierdzić pewne liczenie się ze stosunkami geograficznymi, przynajmniej o tyle, że najznaczniejsza część żołnierzy, włączonych do danego pułku, będzie pochodziła z jednej lub kilku gubernii, podczas gdy urodzeni w innych okolicach stanowią nieznaczną już mniejszość. I tak pułki, których straty mi są znane, dadzą się podzielić w następujący sposób:

Żołnierze	9 i 10	pułku	piechoty pochodzą głównie z gubernii kałuskiej, w większej liczbie także z tulskiej, permskiej, riazańskiej i połtawskiej,
»	11 i 12	»	» z guberni tulskiej, częściowo i połtawskiej,
»	33, 34, 35 i 36	»	» z gubernii charkowskiej i połtawskiej, przyczem w 35 pułku jest także znaczny procent z kijowskiej,

Żołnierze	85, 86, 87	pułku	piechoty	z nowogrodzkiej,
»	88	»	»	z twerskiej, częścią z nowogrodzk.
»	121, 122	»	»	z charkowskiej, a prócz tego w znaczniejszej liczbie z podolskiej, samarskiej i kurskiej,
»	123, 124	»	»	w równych prawie częściach z podolskiej, kurskiej i samarskiej,
»	137, 138, 139	»	»	z riazańskiej, także z permskiej i w 139 pułku z orenburskiej,
»	145, 146	»	»	z nowogrodzkiej, dalej estońskiej i petersburskiej,
»	147, 148	»	»	z pskowskiej i inflanckiej,
»	215	»	»	z symbirskiej,
»	216	»	»	z penzenskiej,
»	219	»	»	z tambowskiej i riazańskiej,
»	220	»	»	z tambowskiej i penzenskiej.

Z pułków piechoty syberyjskiej 7 i 8 pochodzą prawie wyłącznie z gubernii permskiej, 1, 5, 6 z tobolskiej, 2, 11, 12 z tomskiej, 9 z permskiej i tobolskiej i 10 z wiatskiej i tomskiej. Pułków strzelców wschodnio-syberyjskich nie podobna już oznaczyć w ten sposób, gdyż mieszczą w sobie w znaczniejszej liczbie żołnierzy ze wszystkich części państwa. Wprawdzie przeważa w nich także pochodzenie syberyjskie i z nadgranicznych gubernii europejskich lecz obok tego znajdujemy tam znaczne kontygenty tak dobrze z Polski, jak z południa lub środkowej Rosyi. Mieszaninę tę łatwo zrozumieć, gdy się uwzględni, że przy wybuchu wojny było 24 dwubatalionowych pułków strzelców wschodnio-syberyjskich, które jednem pociągnięciem pióra zmieniono na 36 po trzy bataliony. Potrojono więc prawie ich siłę, a ponieważ Sybir nie mógł dostarczyć tak znacznej liczby żołnierzy do skompletowania, więc brano ich po trochę z najróżnorodniejszych pułków europejskich.

Żołnierze, pochodzący z Królestwa i Litwy, częściowo także z Podola, Wołynia i Ukrainy, nie stanowią nigdzie większej, zwartej masy, lecz rozrzuceni są po wszystkich pułkach. System ten, ze stanowiska militarnego, nader niedogodny, utrzymuje się w Rosyi od rewolucyi z 1831 ze względów politycznych. W żadnym więc oddziele nie znachodzimy znaczniejszych liczb dla osób,

pochodzących z dzielnic polskich, lecz zato niema prawie pułku, w którymby nie zabito lub nie raniono pewnej liczby Polaków. Ażeby zdać sobie sprawę z stosunkowej doniosłości kosztów wojny japońskiej, które zaciężyły na nas, należy te straty porównać przedewszystkiem z udziałem zaludnienia dzielnic polskich w całej ludności państwa rosyjskiego. Geograficznie można podzielić ją w następujący sposób, przyczem ludność według spisu z początku r. 1897 podaję w tysiącach w okrągłych cyfrach:

	Ludność	%
Królestwo Polskie	9.456	7.48
Litwa	10.126	8.01
Ruś	9.606	7.60
Zadnieprze	7.626	6.03
Gubernie wschodnie	12.782	10.06
» północne	5.163	4.08
» środkowe	38.115	30.11
» południowe	10.797	8.70
Kaukaz	9.249	7.31
Sybir	5.727	4.52
Środkowa Azya	7.722	6.10

Ogółem przeto przypada na dzielnice polskie 29,187.818 dusz tj. 23.09%, na południe i Zadnieprze 18,423.741 tj. 14.73%, na wschód i północ 17,945.083 tj. 14.14%, na Wielkorosyę i prowincye nadbałtyckie 38,114.716 tj. 30.11% i na Azyę 22,697.469 czyli 17.93%

Obok umieszczona tablica I podaje natomiast znane dotąd straty armii rosyjskiej, rozdzielając je geograficznie. Obejmuje tylko pułki piechoty, z wyjątkiem czterech (213, 281, 282 i 4 syberyjski), cyfry bowiem odnoszące się do nich, jak i do innych rodzajów broni, są zbyt jeszcze małe, ażeby można je uznać za przedstawiające w odpowiedni sposób liczebny stosunek w pułku poszczególnych grup terytoryalnych. Pominąłem również oficerów i załogę Port-Arturu, posiadam bowiem szczegółowy wykaz strat, odnoszący się do nich, jednakże bez oznaczenia pochodzenia wymienionych w nim osób.

Z powyższego zestawienia okazuje się, że wbrew panującemu przekonaniu w składzie armii rosyjskiej w Mandżuryi była

Pułk piechoty		Polskie	Litwa	Wołyń, Ukraina	południ.	wschod i półn.	i nadbałtyc.	Dzieln. polskie	Rosyi europejskiej	azyatyckie	Razem
9	liniowy	119	62	15	156	159	1.675	196	1.990	2	2.189
10	»	56	36	15	96	116	774	107	986	—	1.093
11	»	73	35	1	73	68	500	109	641	—	750
12	»	105	4	13	119	98	925	122	1.142	1	1.265
33	»	—	—	3	687	62	—	3	749	—	752
34	»	—	—	—	1.260	37	53	—	1.350	37	1.387
35	»	80	14	276	896	93	332	370	1.321	34	1.725
36	»	—	—	36	506	21	399	36	926	—	962
85	»	46	141	45	—	26	848	232	874	1	1.107
86	»	27	82	—	—	56	646	109	702	—	811
87	»	21	58	2	1	6	424	81	431	—	512
88	»	84	77	33	—	35	858	194	893	1	1.088
121	»	38	8	171	479	152	303	217	944	66	1.227
122	»	43	4	273	1.090	295	377	320	1.762	68	2.150
123	»	108	6	318	111	270	411	432	792	35	1.259
124	»	65	6	381	53	179	351	452	583	23	1.058
137	»	41	81	1	77	165	1.237	123	1.479	—	1.602
138	»	15	30	—	30	65	620	45	715	2	762
139	»	219	83	89	300	519	421	391	1.240	2	1.633
140	»	28	21	9	10	77	79	58	166	3	227
145	»	66	117	—	3	38	779	183	820	—	1.003
146	»	8	49	—	—	7	581	57	588	—	645
147	»	19	28	—	—	—	694	47	694	—	741
148	»	37	36	—	1	3	1.062	73	1.066	—	1.139
215	»	5	6	1	7	295	316	12	618	13	643
216	»	1	4	—	7	93	225	5	325	—	330
219	»	2	1	10	9	20	1.173	13	1.202	—	1.215
220	»	7	6	16	30	9	1.071	29	1.110	—	1.139
283	»	3	3	1	4	217	22	7	243	—	250
284	»	1	2	—	1	7	133	3	141	1	145
1	syberyjski	—	—	—	—	—	—	—	—	414	414
2	»	—	2								
5	»	1	8	—	1	60	47	9	108	729	846
6	»	4	4	1	5	64	35	9	104		

284	»	1	2	—	1	4	188	8	111	—	—
1	syberyjski	—	—	—	—	—	—	—	—	414	414
2	»	—	2								
5	»	1	8	—	1	60	47	9	108	729	846
6	»	4	4	1	5	64	35	9	104	959	1.072
7	»	—	23	15	15	715	2	38	732	51	821
8	»	1	12	1	4	212	4	14	220	64	298
9	»	1	7	—	—	709	3	8	712	479	1.199
10	»	4	18	11	—	575	5	33	580	755	1.368
11	»	12	50	—	2	26	4	62	32	1.054	1.148
12	»	—	—	—	—	51	4	—	65	159	214
1	strzel. wschodnio - syber.	21	39	8	30	18	56	68	104	82	254
2	»	42	102	39	60	151	246	183	457	663	1.303
3	»	76	156	74	123	238	381	306	742	667	1.715
4	»	79	280	85	125	765	452	444	1.342	812	2.598
9	»	129	56	130	149	161	324	315	634	93	1.042
10	»	92	31	103	107	144	188	226	439	72	737
11	»	38	27	22	199	37	103	87	339	110	536
12	»	56	33	66	125	53	134	155	312	192	659
17	»	26	51	57	47	159	90	134	296	144	574
18	»	62	39	22	46	118	178	123	342	413	878
19	»	35	47	55	146	104	264	137	514	559	1.210
20	»	37	103	21	22	121	187	161	330	375	866
21	»	52	34	129	174	181	135	215	490	295	1.000
22	»	66	57	42	94	144	85	165	323	264	752
23	»	50	79	49	181	206	158	178	545	304	1.027
24	»	85	24	109	109	235	231	218	575	283	1.076
33	»	39	25	33	213	92	213	97	518	211	826
34	»	108	70	116	269	157	152	294	578	579	1.451
35	»	102	37	69	199	78	195	208	472	241	921
36	»	119	76	73	192	317	341	268	850	413	1.531
	Razem	2.654	2.490	3.039	8.643	9.080	21.517	8.183	39.240	11.979	59.402
	% strat	4.47	4.19	5.12	14.55	15.28	36.22	13.78	66.05	20.17	100
	% ludności	7.48	8.01	7.60	14.73	14.14	30.11	23.09	58.98	17.93	100

liczba Polaków znacznie niższą od ogólnego procentu ludnościowego przypadającego na dzielnice polskie. Najmniej stosunkowo pochodziło z Litwy, najwięcej z Podola, Wołynia i Ukrainy, wszędzie jednak udział strat polskich stanowi trochę więcej, niż połowę, a mniej od dwóch trzecich ilości, któraby przypadała przy zachowaniu ścisłego stosunku ludnościowego. Ponieważ z wyjątkiem paru pułków straty we wszystkich oddziałach są znaczne, tak że można je przyjąć za odpowiadające ogólnemu składowi poszczególnych pułków, przeto wypada stwierdzić, iż pogłoski i wiadomości o nadmiernem przeładowaniu wojsk rosyjskich ludnością polską, polegały na zupełnie mylnych informacyach. Prawda, że cyfry tu podane odnoszą się do walk z roku ubiegłego, wskutek czego nie widać w nich jeszcze rezultatów wielkiej mobilizacyi, przeprowadzonej w Królestwie Polskiem i na Litwie w grudniu. Jakie więc były straty polskie pod Sandepu i Mukdenem, gdzie już brały udział nowe wojska sprowadzone z Europy i powołani u nas rezerwiści, nie wiadomo, w pierwotnej jednak armii i w pierwszych przybyłych posiłkach Polacy stanowili stosunkowo część nieznaczną, jakkolwiek właśnie do tych sił odnosiły się wiadomości o ogromnym 30—50% stosunku żołnierzy polskich. Rozdzielając nawet armię na jej wielkie składowe części — wojska liniowe, piechotę syberyjską i strzelców syberyjskich — dochodzimy do tego samego rezultatu, mimo że, jak pisano, głównie w pułkach strzelców nagromadzono żołnierzy polskich. Mianowicie wynosiły straty żołnierzy pochodzących:

	Z Królestwa Polskiego	Z Litwy	Z Rusi	% Z Król. Polsk.	% Z Litwy	% Z Rusi
W pułkach liniowych . . .	1.317	1.000	1.709	4.27	3.25	5.55
» piech. syberyjsk.	23	124	28	0.30	1.62	0.36
» strzelców syber.	1.314	1.366	1.302	6.27	6.51	6.21

Żołnierze pochodzący z dzielnic polskich stanowili przeto ogółem w wojskach liniowych 13.07%, w piechocie syberyjskiej 2.28%, w strzelcach 18.99%, chociaż więc wiadomości dziennikarskie o tyle były słuszne, że oddziały strzelców zawierały największy procent Polaków, to jednak i w nich nawet udział ten był niższy od ogólnego stosunku ludnościowego. Co więcej, nie

można nawet powiedzieć, ażeby była w nich nadmierna liczba żołnierzy polskich w porównaniu z resztą Rosyi europejskiej. Straty strzelców syberyjskich przypadają w znacznej części na Azyę, głównie Sybir, z ogółu bowiem zabitych, rannych i zaginionych pochodziło 14.184 z Europy, 6.772, a więc prawie trzecia część, z Azyi. Pomijając zupełnie żołnierzy azyatyckich i biorąc za podstawę straty poniesione przez gubernie europejskie przekonywamy się, że udział Królestwa Polskiego wynosił w nich 9.26%, Litwy 9.63%, Rusi 9.17%, razem 28.06%. W ludności Rosyi europejskiej dzielnice polskie stanowią 28.15%, czyli że włączono do strzelców syberyjskich prawie ściśle tyle Polaków, Litwinów i Rusinów, ile przypadało na nich stosownie do całej ludności.

Oczywistą jest rzeczą, że wobec mozajkowego, można powiedzieć, wewnętrznego składu pułków rosyjskich, stosunek strat polskich w poszczególnych oddziałach jest nader rozmaity. W omawianej tablicy mieści się 60 pułków, mianowicie 30 liniowych, 10 syberyjskich i 20 strzelców. Z tego straty Królestwa Polskiego przewyższają ogólny stosunek ludnościowy w 14 pułkach, Litwy w 10, Rusi w 12, a cały zabór rosyjski daje zbyt wysoki procent strat w 9 pułkach. Mianowicie w procentach ogólnych strat, przestawiają się straty polskie w pułkach, w których nasz udział był za wysoki w porównaniu z ludnością, w następujący sposób:

Pułk	Król. Polsk.	Pułk	Litwa	Pułk	odole, Wołyń, Ukraina
139 liniowy	13.41	1 strzelców	15.35	124 liniowy	36.01
10 strzelców	12.48	85 liniowy	12.74	123 »	25.27
9 »	12.38	20 strzelców	11.87	35 »	15.94
140 liniowy	12.33	145 liniowy	11.66	121 »	14.02
35 strzelców	11.07	87 »	11.33	10 strzelców	13.97
11 liniowy	9.43	4 strzelców	10.77	21 »	12.90
22 strzelców	8.78	86 liniowy	10.10	122 liniowy	12.69
123 liniowy	8.58	140 »	9.25	9 strzelców	12.47
12 strzelców	8.48	3 strzelców	9.09	24 »	10.13
12 liniowy	8.30	17 »	8.88	12 »	10.01
1 strzelców	8.27			17 »	9.93
24 »	7.89			34 »	7.99
36 »	7.77				
88 liniowy	7.72				

Pułk	Razem dzielnice polskie
124 liniowy	42.72
123 »	34.32
10 strzelców	30.67
9 »	30.23
1 »	26.77
140 liniowy	25.55
139 »	23.94
12 strzelców	23.52
17 »	23.34

Cyfry te dowodzą, że w nielicznych tylko pułkach stosunek ludności polskiej jest rzeczywiście bardzo wysoki. Powyżej 10% pochodzi żołnierzy z Królestwa w 5, z Litwy w 7, z Rusi w 10 pułkach. Do tego należy jeszcze dodać pewne ograniczenia. Mianowicie z pułków 140 liniowego i 1 strzelców mam dane zbyt nizkie, ażeby mogły stanowić dostateczną podstawę obliczeń procentowych, a pułki 31 dywizyi liniowej (121—124) i 135 liniowy, rekrutują się z krajów ruskich, więc wysoki procent strat, przypadających na Podole, Wołyń i Ukrainę jest zupełnie zrozumiały. Wyłączając te oddziały dostajemy następujący rezultat:

	Ilość pułków, w których udział strat był wyższy od stosunku ludnościowego	był niższy	pułki pominięte
Królestwa Polskiego	12	46	2
Litwy	8	50	2
Rusi	8	48	4
Wszystkich dzieln. polsk.	5	51	4

Dotąd chodziło o określenie udziału Polaków w ogólnych stratach armii rosyjskiej. Nasuwa się jednak jeszcze drugie pytanie, dla nas niewątpliwie ważniejsze, mianowicie kwestya, jak znaczne były straty polskie w stosunku do zaludnienia zaboru rosyjskiego. Jeżeli ogólną cyfrę znanych dotąd, a geograficznie rozdzielonych strat rosyjskich porównamy z zaludnieniem, przekonywamy się, że średnio przypada 4.68 żołnierzy zabitych, rannych lub zaginionych na każde 10.000 mieszkańców, przyjmując za podstawę wyniki spisu ludności z r. 1897. W posiadłościach europejskich cyfra ta wynosi tylko 4.57, w Azyi 5.28. Jeżeli europejską część państwa rozdzieli się na grupy geograficzne,

jak to już zrobiłem poprzednio, rezultat będzie następujący, szeregując poszczególne części według intenzywności strat:

Na każde	10.000	mieszkańców	tracą	gubernie	środkowe	. . . .	5.64 żoł.
»	»	»	»	»	»	wschod. i północ. . .	5.06 »
»	»	»	»	»	»	południowe	4.69 »
»	»	»	»	»	Podole, Wołyń, Ukraina . .		3.16 »
»	»	»	»	»	Królestwo Polskie		2.81 »
»	»	»	»	»	Litwa		2.46 »

Straty średnie wszystkich dzielnic polskich wyniosły 2.81 na 10.000, a więc zupełnie ściśle odpowiadają stratom Królestwa Polskiego. Dokładne obliczenie tych strat w prowincyach polskich według poszczególnych gubernii zawiera tablica zamieszczona poniżej. Rozdzieliłem w niej ogólną liczbę wymienionych tam żołnierzy na dwie grupy według tego, czy należeli do pułków europejskich czy azyatyckich, chodziło bowiem o stwierdzenie, w jakich rozmiarach powoływano ludność polską do oddziałów, które stale miały służyć w najbardziej odległych okolicach państwa rosyjskiego.

Cyfry zebrane w tej tablicy dowodzą przedewszystkiem, że udział poszczególnych części polskich w wojnie był nader nierównomierny. Podczas gdy na Podolu, w siedleckiem i w kieleckiem straty wynoszą przeszło 5 osób na 10.000 dusz, w witebskiem prawie 9 na każde 20.000, na Wołyniu wypada tylko 3 na 20.000, w grodzieńskiem 7 na 40.000, w guberniach kaliskiej i warszawskiej po 2 na 10.000. Trzy najciężej dotknięte gubernie ponoszą straty, przenoszące znacznie średnią arytmetyczną, przypadającą tak na posiadłości europejskie, jakoteż na którąkolwiek ich część z wyjątkiem gubernii środkowych; witebszczyzna zbliża się do przecięcia, po niej zaś przychodzą w wielkiej już odległości gubernie suwalska i płocka, podczas gdy we wszystkich innych okolicach straty spadają poniżej przecięcia dla dzielnic polskich.

Bardzo znaczne także różnice zachodzą pomiędzy poszczególnemi częściami, jeżeli uwzględnia się odrębnie straty oddziałów europejskich i azyatyckich. Ogólnie biorąc, równoważą się one mniej więcej z pewną drobną przewagą na rzecz pułków sybe-

	Gubernia	Ilość żołnierzy pochodzących z dzielnic polskich												Na 10.000 mieszkańców wypada strat		
		w pieszych pułkach europejskich				w pieszych pułkach syberyjskich				Razem						
		zabitych	rannych	zaginionych	Razem	zabitych	rannych	zaginionych	Razem	zabitych	rannych	zaginionych	Razem	w pułkach europejskich	w pułkach syberyjskich	Razem
1	Kaliska	5	41	14	60	18	84	10	112	23	125	24	172	0.78	1.25	2.03
2	Kielecka	36	237	38	311	6	67	5	78	42	304	43	389	4.07	1.02	5.09
3	Lubelska	6	63	11	80	19	161	32	212	25	224	43	292	0.69	1.83	2.52
4	Łomżyńska	1	30	5	36	16	64	8	88	17	95	13	125	0.61	1.50	2.11
5	Piotrkowska	9	106	19	134	18	169	23	210	27	275	42	344	0.95	1.49	2.44
6	Płocka	14	43	64	121	4	36	3	43	18	79	67	164	2.17	0.77	2.94
7	Radomska	1	11	1	13	24	154	13	191	25	165	14	204	0.16	2.33	2.49
8	Siedlecka	20	211	69	300	15	77	10	102	35	288	79	402	3.88	1.31	5.19
9	Suwalska	17	106	10	133	3	32	4	39	20	138	14	172	2.90	0.64	3.54
10	Warszawska	13	98	18	129	29	182	51	262	42	280	69	391	0.67	1.35	2.02
I	Króles. Pols.	122	946	249	1.317	152	1.026	159	1.337	274	1.972	408	2.654	1.39	1.42	2.81
11	Grodzieńska	15	86	20	121	19	124	24	167	34	210	44	288	0.74	1.02	1.76
12	Kowieńska	10	63	22	95	29	166	35	230	39	229	57	325	0.61	1.49	2.10
13	Mińska	6	30	2	38	70	331	63	464	76	361	65	502	0.18	2.15	2.33
14	Mohilewska	9	68	20	97	31	189	43	263	40	257	63	360	0.57	1.54	2.11
15	Wileńska	8	92	30	130	15	171	32	218	23	263	62	348	0.81	1.37	2.18
16	Witebska	51	349	119	519	25	107	16	148	76	456	135	667	3.46	0.98	4.44
II	Litwa	99	688	213	1.000	189	1.088	213	1.490	288	1.776	426	2.490	0.99	1.47	2.46
17	Kijowska	70	340	90	500	66	358	54	478	136	698	144	978	1.40	1.34	2.74
18	Podolska	116	827	124	1.067	65	433	48	546	181	1.260	172	1.613	3.51	1.80	5.31
19	Wołyńska	18	106	18	142	38	229	39	306	56	335	57	448	0.47	1.03	1.50
III	Ruś	204	1.273	232	1.709	169	1.020	141	1.330	373	2.293	373	3.039	1.78	1.38	3.16
	Razem	425	2.907	694	4.026	510	3.134	513	4.157	935	6.041	1.207	8.183	1.39	1.42	2.81

ryjskich, jednakże podczas gdy na Litwie straty wojsk europejskich stanowią zaledwie $^1/_3$ część ogółu, przewyższają one znowu na Rusi również o trzecią część straty pułków azyatyckich.

Rozpatrując bliżej straty pułków liniowych w poszczególnych guberniach, przekonywamy się, że tylko w niektórych oddziałach są one znaczniejsze, zresztą zaś bardzo małe. I tak w Królestwie Polskiem wyższe stosunkowo cyfry wykazują gubernie: kielecka, siedlecka, suwalska i płocka, na Litwie witebska, na Rusi podolska. Otóż w kieleckiem 177, a więc blizko 60% ogółu strat w pułkach liniowych przypada na pułki 31 dywizyi (pułki 121—124), na Podolu na te same oddziały 939 z 1067 czyli 88%. W siedleckiem pułki 9, 137 i 139 tracą razem 252 t. j. 82%, w suwalskim prawie wszystko, bo 129 przypada na 22 dywizyę (pułki 85—88), w płockiem 99 czyli 80% na 145 i 148 pułk piechoty, w końcu w stratach w gubernii witebskiej pułki 85—88 i 145—146 figurują z cyfrą 464 czyli 90%. Widać z tego wyraźnie, że mimo rozrzucenia żołnierzy, pochodzących z dzielnic polskich, można przecież mówić o zwyczajnem przydzielaniu ich do niektórych pułków, podczas gdy w innych będzie ich w każdym razie bardzo mało.

Pułki syberyjskie zasilano stosunkowo najliczniej z tych gubernii, z których mniej niż z innych, powoływano do wojsk europejskich. Jedyny wyjątek stanowi tu Podole, które dało tak europejskim jak i azyatyckim oddziałom najwięcej żołnierzy z całej Rusi, zresztą najwyższe cyfry wykazuje radomskie, mińskie, lubelskie i mohylewskie, których straty w pułkach europejskich są bardzo nieznaczne. Natomiast straty w pułkach syberyjskich gubernii suwalskiej, płockiej i witebskiej są wyjątkowo nizkie, kieleckiej i siedleckiej trochę znaczniejsze, w każdym jednak razie nie dochodzące przecięcia. Wogóle ze wszystkich 19 gubernii dawnej Rzeczpospolitej polskiej w 12 przeważały straty w pułkach syberyjskich, w 7 europejskich, widoczną przeto jest tendencya rządu umieszczania żołnierzy polskich raczej w oddziałach azyatyckich.

Według oficyalnych wykazów z ogólnej sumy żołnierzy, po-

chodzących z dzielnic polskich było 935 zabitych, 6.041 rannych i 1207 zaginionych. Przypadałoby przeto na zabitych 11.4%, na rannych 73.8%, na zaginionych 14.8%. Uderzająco nizka jest tu liczba zabitych, którzy zwykle stanowią $^1/_4$—$^1/_5$ strat ogólnych. Na podstawie tej różnicy pomiędzy normalnym rozdziałem strat a wykazami z ostatniej wojny, pojawiły się też wiadomości o »filantropijnej« broni japońskiej, której drobne kule ubezwładniają jedynie żołnierzy na pewien przeciąg czasu, a rzadko tylko pozbawiają życia. Trudno powiedzieć dzisiaj ile jest w tem prawdy, można jednak śmiało stwierdzić, że cyfry nie uprawniają bynajmniej do podobnego wniosku. Wykazy rosyjskie zaliczają do kategoryi zabitych tylko tych żołnierzy, którzy stracili życie w ciągu bitwy, podczas gdy zmarłych później z odniesionych ran pomieszczono w rubryce rannych. Rezultaty wojny niemiecko-francuskiej wskazują, że liczba poległych w dniu bitwy do tych, którzy ulegli ranom później, ma się jak 100 : 60.77, gdyby więc przyjąć ten stosunek dla wojny japońskiej, należałoby powiększyć liczbę zabitych Polaków, Litwinów i Rusinów o 568. Przyjmując inną zasadę, t. zn. stosunek zmarłych z ran do ogólnej liczby rannych, dochodzimy do niemal identycznego rezultatu. W armii niemieckiej zmarło 10.07% rannych, otrzymalibyśmy przeto dla dzielnic polskich 604. Dodając do oficyalnej cyfry zabitych średnią obu liczb, uzyskanych w powyższy sposób, dochodzimy do sumy 1521. W wykazach jeńców brak jest 362 nazwisk zaginionych, t. zn. żołnierze ci stracili prawdopodobnie również życie, ogólny przeto rezultat przedstawia się w ten sposób, że z dzielnic polskich było 1883 t. j. 23.0% zabitych, 5455 czyli 66.7% rannych i 845 t. j. 10.3% jeńców. Ostateczny wynik odpowiada więc najzupełniej zwyczajnemu stosunkowi poszczególnych kategoryi strat, stwierdzonemu we wszystkich nowożytnych walkach.

Wszystkie powyższe cyfry i uwagi odnoszą się wyłącznie do armii polnej, gdyż niema dotąd dokładniejszych danych o stratach pułków, broniących Port-Arturu. Tylko z niektórych epok oblężenia posiadam wiadomości ogólnikowe, a imienny, dotąd niezupełny wykaz jeńców, obejmujący 21.966 żołnierzy i 7.753 marynarzy, nie podaje miejsc ich pochodzenia. Straty w czasie oblę-

żenia musiały być w każdym razie bardzo znaczne, jak tego dowodzą nieliczne, znane dotąd dane urzędowe. I tak w ciągu całej obrony przybyło do szpitali rannych, a więc nie licząc lekko rannych i kontuzyowanych, 400 oficerów i 18.721 żołnierzy, z których zmarło przed kapitulacyą 15 oficerów i 1253 żołnierzy; w sierpniu starego stylu było 8125 zabitych i rannych żołnierzy, obrona t. zw. Wysokiej Góry w listopadzie kosztowała 37 oficerów, 1148 zabitych, a 116 i 5438 rannych. Niepodobna jednak w tych cyfrach określić udziału dzielnic polskich, są przeto nie przydatne dla naszego celu. Dopiero w ostatnich dniach rozpoczęto ogłaszać nazwiska i pochodzenie żołnierzy załogi Port-Arturu zmarłych z ran już po kapitulacyi. Dotąd wymieniono ich 514, a więc za mało dla ścisłego określenia stosunku żołnierzy polskich w załodze twierdzy. Mimo to wiadomości te nie są bez znaczenia, przy ich pomocy bowiem możnaby może wyjaśnić sprzeczność, zachodzącą między cyframi, które uzyskałem poprzednio na podstawie niekompletnych wprawdzie, lecz niewątpliwie autentycznych wykazów urzędowych — a prywatnemi wiadomościami o udziale Polaków w armii z początków wojny.

Załogę Port-Arturu składały wyłącznie pułki strzelców syberyjskich, wraz ze swemi bateryami i forteczną artyleryą również azyatycką. Z ogółu zmarłych z ran przypada 23 na Królestwo Polskie, 69 na Litwę, 61 na Ruś. W stosunku do ogólnej liczby, dostajemy następujące zestawienie:

Przypada na	Królestwo	Litwę	Ruś	Razem
Ze 100 zmarłych z ran załogi	4.48	13.42	11.87	29.77
Z ogółu strat strzelców syber. w armii polnej	6.27	6.51	6.20	18.99

Z wyjątkiem Królestwa — a wyjątek ten może bardzo łatwo tłumaczyć się szczupłością danych ogólnych — wszędzie udział polski w oblężonej załodze jest znacznie wyższy, niż w wojskach polnych. Otóż przypuszczam, że w pułkach syberyjskich pierwotnie było Polaków istotnie stosunkowo dużo. Gdy je jednak, jak już wspomniałem poprzednio, podwojono i gdy później zastępowano poniesione straty nowo przysłanymi rezerwistami, nadsyłano ich raczej z innych części państwa, mniej odległych od pola walki. Takich uzupełnień pułki polnej armii otrzymały oczywiście

znacznie więcej niż wojska załogowe, stąd też udział Polaków stał się w nich niższy, niż w Port-Arturze.

Wyjaśnienie to wydaje mi się bardzo prawdopodobnem, odpowiada bowiem całemu rozwojowi wojny. Rozlokowanie Polaków w Syberyi i Mandżuryi było wynikiem narodowościowej polityki rządowej, która przeważała nad względami wojskowymi w czasach pokoju, a nawet w początku wojny, gdy zdawało się Rosyi, iż z łatwością zgniecie przeciwnika. Im wojna okazywała się cięższą a Japonia silniejszą, tem więcej wypadało się liczyć z militarnemi potrzebami, przedewszystkiem zaś z szybkiem zebraniem na terenie walki licznej i dobrej armii. Jasną w tych okolicznościach stawało się rzeczą, że posiłki musiały nadpływać w większej ilości z głębi Rosyi niż z zachodniej granicy, przyspieszano bowiem w ten sposób przybycie ich o kilka dni, wcale nie obojętnych już po pierwszych walkach.

Oznaczenie ilości oficerów Polaków, którzy zginęli lub byli ranni jest już wprost niemożliwe, gdyż jedynie dla pewnej liczby zabitych oficerów ogłoszono notatki biograficzne, które podają zarazem ich pochodzenie. Jednakże i tutaj należy stwierdzić, że wiadomości dziennikarskie były bardzo przesadne. Opierano się w nich najczęściej na brzmieniu nazwiska, tymczasem nieraz już imię dowodzi, że nazwisko czysto polskie nosił oficer wynarodowiony może już od kilku generacyi. Ponieważ nawet w przybliżeniu nie jestem w stanie określić liczby oficerów Polaków, więc ażeby udowodnić, jak mało można się opierać na brzmieniu nazwisk, poprzestanę na podaniu przykładów z niektórych tylko oddziałów. Biorąc pułki, które straciły największą liczbę oficerów, otrzymujemy następujące rezultaty:

Pułki	Ogólna strata ofic.	Z tego pochodziło z dzielnic polskich	Nadto o nazwiskach polskich: Rosyan	Nadto o nazwiskach polskich: Niewiadomo Polaków czy Rosyan
121—124 piechoty . . .	283	14	11	12
137—140 » . . .	274	12	10	15
1—4 strzel. syb. . .	366	18	12	11
33—36 » » . .	287	20	9	17

Ogółem w tych szesnastu pułkach straty oficerów, licząc każdego, który w kilku bitwach był ranny tyle razy, ile ran odniósł,

wynosiły 1,210 osób. Z tego pochodziło z Królestwa, Litwy lub Rusi 74, prócz tego zaś nosiło 97 nazwiska polskie, z tych jednak 42 należało niewątpliwie do narodowości rosyjskiej, a tylko 55 mogło być Polakami. Jeżeli z drugiej strony uwzględni się, że wielu Polaków nosi nazwiska niemieckie, niepodobna nie uznać, że na razie przynajmniej nie można nawet przypuszczalnie oznaczyć liczby padłych oficerów Polaków. W każdym jednak razie nie będzie ona tak wysoką, jak podawały dzienniki, gdybyśmy bowiem zaliczyli do Polaków wszystkich 55 niepewnych, którzy nosili w naszym przykładzie nazwiska polskie, ogólna liczba Polaków wyniosłaby 129 na 1210, a więc prawie ściśle dziesiątą część. Twierdzenia przeto, pojawiające się w prasie, że Polacy stanowili czwartą, a nawet trzecią część korpusu oficerskiego, należy uznać stanowczo za nader przesadne [1].

Dr. Włodzimierz Czerkawski.

---

[1] Podczas druku artykułu urzędowe wykazy strat powiększyły się o 6.519 nazwisk. Z tego pochodziło z Królestwa 364 żołnierzy, z Litwy 80, z Rusi 894, razem z dzielnic polskich 1338. W procentach ogółu przypada na Królestwo 5.58, na Litwę 1.23, na Ruś 13.56, razem 21.37%. Ogólne przeto znane dotąd straty tych trzech prowincyi byłej Rzpltej wynoszą 3.018, 2.570, 3.933, razem 9.521 czyli na każde 10.000 mieszkańców 3.19, 2.54, 4.09, średnio 3.26, podczas gdy w całem państwie straty wynoszą 5,22 na 10.000. Ogółem ogłoszono do końca listopada nazwiska 65.931 żołnierzy piechoty zabitych, rannych lub zaginionych, z czego na Królestwo przypada 4.56%, na Litwę 3.89%, na Ruś 5.96%, razem na dzielnice polskie 14.41%. Z ogólnej liczby Polaków, Litwinów i Rusinów było, przeprowadzając poprawkę w sposób omówiony na str. 377, 2.157 zabitych, 6.167 rannych i 1.197 jeńców.

Wyższe obecnie cyfry względne tłumaczą się tem, że ostatnie wykazy obejmują już walki z końca stycznia i z pod Mukdenu, a więc po przybyciu już zmobilizowanych z końcem stycznia żołnierzy. Nadmiernie wysoki w tych danych udział Rusi a bardzo nizki Litwy jest tylko pozorny, gdyż dane odnoszą się przeważnie do pułków dziewiątej dywizyi, uzupełniających się głównie w guberniach małoruskich. Pewnego wyobrażenia o wpływie mobilizacyi na ustosunkowanie strat można nabrać z następujących cyfr. Ogół, podanych dotąd strat pod Sandepu i Mukdenem 7.818. Z tego przypada na Królestwo Polskie 5.67%, na Litwę 3.28%, na Ruś 12.76%. Ponieważ cyfr dla Litwy i Rusi z powyżej podanego powodu nie można użyć dla oznaczenia doniosłości mobilizacyi, przeto pozostaje tylko Królestwo. Udział jego w stratach w r. 1904 wynosił 4.43%, w r. 1905: 5.67%, a więc o 28% więcej. W każdym razie i teraz jeszcze jest znacznie niższy od stosunku ludnościowego.

Z PODRÓŻY PO BUŁGARYI.

Pociąg berliński wjeżdża z hukiem i zgrzytem na graniczny dworzec w Burdużenach; dokoła chaos, gorączkowe zbieranie kuferków i walizek, chowanie kontrabandy po kieszeniach, kto jednak tym razem sądzi, że legalnie przez konsulat w Czerniowcach zaawizowany paszport, otworzy mu bez trudności bramy »Belgii Wschodu« — tak przynajmniej z dumą nazywają Rumuni swoją ojczyznę — zrobił obrachunek bez gospodarza. Rumunia stoi pod wrażeniem cholery, która podobno, tak mnie zapewniają, »sroży się« w Galicyi. Wchodzimy do przestronnej, jasnej sali, gdzie się ma odbyć rewizya. Dziś bez trudności przewieść można skrzętnie zwykle poszukiwany tytoń i obrazki — uwaga strażników w inną zwrócona stronę. Węszą oni za używaną bielizną. Co nasuwa jakiekolwiek w tym względzie podejrzenie, idzie bez litości do kotła, napełnionego ciemną, wstrętną cieczą, skąd po pewnych manipulacyach, lekko tylko wyciśnięte, wędruje na nowo do walizek, które przez to nabierają niemożliwej wagi. Hamale, uginając się pod ich ciężarami, klną we wszystkich językach; jakaś pani przysięga się tak, jak to Rumuni potrafią, że jeszcze w Karlsbadzie dała wyprać wszystką bieliznę i zapłaciła za to trzydzieści pięć koron — zaklęcia nie pomagają. Hustki, pończochy i inne części garderoby giną w wnętrznościach kotła.

To jeszcze nie wszystko. Każdego z nas prowadzą pojedyńczo do osobnego pokoju, tam czeka już czarnobrody Rumun;

w ręku długa sikawka, noga spoczywa na kole maszyny, od koła wije się po ziemi gumowy wąż do rezerwoaru z wodą karbolową. Doktor puszcza maszynę w ruch, obracamy się dokoła własnej osi, a zawartość sikawki, wprawną kierowanej ręką, gryzie w oczy, spływa po twarzy, przenika przez zakurzone ubranie do samej skóry. Mężczyźni biorą tę rzecz z humorystycznej strony, ale panie w paryskich i berlińskich toaletach idą jak na stracenie; po krótkiej operacyi z uperfumowanych sukien uleciała woń fiołków, konwalii i rezed.

I tu jeszcze nie koniec. Wypytują nas szczegółowo dokąd kto jedzie, zapisują nazwiska, zatrzymują paszporty i ogłaszają wreszcie, że otrzymamy je każdy w odpowiedniej prefekturze — niebezpieczeństwo cholery zażegnane. Z uczuciem ulgi wsiadamy do wagonów; powietrze przesiąknięte wyziewami karbolu, z pustych, częściowo spalonych pól, leci żar i kurz. Jakaś dama rumuńska, wracająca z zagranicznych kąpiel, bada mnie skrupulatnie kim jestem, jakiej narodowości, dokąd jadę, w jakim celu, jakimi mówię językami i po chwili z głębokiem przekonaniem wmawia w swe towarzyszki, że Polacy to bardzo inteligentny naród, gdyż w podróży przez Niemcy aż do Oświęcimia z nikim nie mogła się porozumieć, w Krakowie usnęła wprawdzie i spała do samych Czerniowiec, ale na przestrzeni od Czerniowiec spotkała już pięciu Polaków, mówiących po francusku, a nawet i rumuńsku. Z dalszych części wagonu dolatują inne rozmowy; opowiadają tam sobie, że dezynfekcya pań jest w rzeczy samej komedyą, a służy do całkiem innych celów, że odbywa się wprost skandalicznie i w sposób kompromitujący Rumunię w oczach zagranicy. Słowa, jak *dobitoace* (bydlęta), *parsivi* (parszywi), *prosti* (głupcy), wyrażają wcale dosadnie oburzenie.

Pociąg mknie tymczasem coraz dalej, minął już niegdyś zupełnie polską stacyę Paszkani, gdzie do dziś dnia istnieje jeszcze polska kolonia i zbliża się wśród rozległych pól do chwilowego celu mej podróży, miasta Roman; tu kończy się linia wybudowana przez Austryę, a objęta nie bardzo dawno przez Rumunię. Po drodze biegnącej wzdłuż toru kolejowego ciągną niekończącym się szeregiem pułki wojskowe, zdążające na królewskie

manewry pod Botuszany. Patrząc na te pokryte kurzem, czarne, opalone, prymitywnie ubrane postacie, gdzie tylko błyszczące guziki, szable i karabiny wskazują, że masz przed sobą wojsko, a nie jakieś koczownicze bandy, nie przypuszczałbyś nigdy, że jednak ci żołnierze tak się dzielnie bili pod Plewną i że oni to ofiarą tysięcy zdobyli niezwyciężone prawie reduty Grywicy i zatknęli na nich swoją trykolorę.

Z drugiej strony po polach, opadających ku wodom Mołdawy, widać tu i ówdzie jakichś konno w cwał pędzących ludzi.

»Czy to także żołnierze?« pytam stojącego obok oficera.

»E! odpowiada zapytany, to chłopi z końmi uciekają do lasów«, poczem objaśnia mnie, że w czasie manewrów każda gmina jest obowiązana dostarczyć pewną, większą lub mniejszą ilość koni, pod furgony, armaty i tabory wojskowe, a ponieważ to właśnie czas zbierania buraków i zwożenia kukurudzy, a i sam wybór nie zawsze według wymagań sprawiedliwości się odbywa, więc przezorniejsi tym radykalnym sposobem ratują się przed wypełnieniem patryotycznego obowiązku i tylko wieczorami pokryjomu wracają do zagród, gdzie ich, mimo wszystkie wybiegi, często jednak dosięga ręka wiejskiego strażnika.

»I nic im się nie stanie?«

»A ktoby go tam szukał po lasach«, brzmi odpowiedź. »Zresztą i oni nie głupi, uciekają wpierw jeszcze, nim im wręczą wezwanie«.

Zapomniałem się nawet dziwić, przypomniałem sobie tylko, że znajduję się chwilowo w »Belgii Wschodu«!

Po trzech prawie godzinach jazdy pociąg staje, za chwil kilka ogarnia mnie cisza pól; złote ziarna kukurudzy, strojne długim, czerwonym włosem chylą się ku ziemi, a nad tem morzem zieleni i złota płynie gorące, mołdawskie słońce. Mam zamiar zatrzymać się tylko przez niedzielę w gościnnym, polskim domu szeroko znanego i powszechnie w Rumunii cenionego księdza Czarnoty, a w poniedziałek wyruszyć dalej ku Czarnemu Morzu. »Marzyłem cudnie«. Rumunia dba zanadto o dobro swoich poddanych, żeby tak niebezpiecznego gościa tak prędko pozbyć się miała. W niedzielę zjawia się doktor i oznajmia mi w imieniu

prefektury, że przez pięć dni muszę na wsi odprawiać kwarantannę i że każdego dnia przybędzie mnie badać. W tym czasie mogę wprawdzie z domu wychodzić, wyjechać nawet w okolicę, nie wolno mi jednak udać się w dalszą drogę. Ta dziwna logika nie przemawia mi wprawdzie do przekonania, ale ostatecznie cóż robić? Uzbrajam się w cierpliwość i staram się zapomnieć o tem, że czas mej podróży dość określony, a obowiązki i zajęcia gwałtu krzyczą.

Przyjazd doktora wzbudza panikę we wsi. »Jakiś ksiądz przywiózł z sobą z Galicyi cholerę« — opowiadają sobie z przerażeniem Rumuni i Rumunki, to też za pierwszym moim spacerem po wsi, młode i stare ucieka co sił starczy, albo obchodzi przynajmniej w dalekiem półkolu. Swoją drogą doktor bardzo miły i uprzejmy; w codziennych wizytach obowiązkowych znajduje okazyę do swobodnej pogadanki, co znowu przy szklance wina i tureckiej kawie nie jest podobno zbyt trudnem. Przyznał mi się nawet, że wieczorem w encyklopedyi przestudyował cały rozdział o Galicyi, dowiedział się z niego, że mamy aż dwa uniwersytety i kulturę od rumuńskiej starszą i wyższą, nie mógł sobie tylko dać rady z Lodomeryą. Ostatecznie miał wobec mnie nawet pewne zobowiązania. Jako rezerwowy oficer był powołany do wzięcia udziału w manewrach, przywdział już nawet wojskowy strój, tego samego dnia miał w pole wyruszyć, gdy nagle telegram obwodowego fizyka zawiadomił go o grożącem niebezpieczeństwie. Zdjął więc mundur, zawiesił go w szafie i przez pięć dni przyjeżdżał mnie b a d a ć; manewry obeszły się i bez niego.

Skończyła się wreszcie ta niedobrowolna kwarantanna, wybieram się po paszport do odległej o dwie mile prefektury. Prefektura nie może go znaleźć, telefonuje na policyę, ta znów przysięga się, że paszport musi być w prefekturze; jakiś młodziutki, dwudziestokilkoletni urzędnik — wziąłem go, mówiąc eufemicznie, za sekretarza, tymczasem był to dyrektor policyi — sierdził się i puścił przez telefon do swoich podwładnych kilka komplementów, koniec końcem paszportu nie było. Prosta rada: »proszę zgłosić się jutro«.

»Ależ ja mieszkam na wsi o przeszło dwie mile, nie mam

czasu, już i tak pięć dni straciłem, a daleka podróż stoi jeszcze przedemną!«

W odpowiedzi wzruszenie ramion. — »Belgia Wschodu!«

Następnego dnia wręcza mi urzędnik z tryumfującą miną paszport i daje nadto po zapłaceniu stempla czerwony blankiet, głoszący, że właścicielowi blankietu wolno przebywać w Rumunii tyle a tyle dni, miesięcy lub lat — paszport sam, choćby był wystawiony osobiście przez cesarza, do dłuższego przebywania w Rumunii nie upoważnia; po ośmiu dniach każdy prefekt może obcokrajowca do granicy odstawić. Dalszej więc podróży nic już nie stoi na przeszkodzie.

Z Mirczeszti, w którem przemieszkiwał największy poeta rumuński, Alexandri, i które dziś kryje jego grób, wyjeżdża o dziewiątej wieczorem pociąg do Konstancy, dawnego Küstendże, a jeszcze dawniejszego Tomi. Jeżeli jednak ktoś naiwnie sądzi, że znajdzie osobną przedziałkę, lub że w drodze choć trochę wypocznie, grubo się myli. W przeciągu sześciu godzin odpinają cztery razy wagon idący do Konstancy i łączą go z innym pociągiem, a czynią to z takim piekielnym hałasem, jak gdyby żadnego pasażera nie tylko w wagonie, ale wogóle na świecie nie było. Poza tem mają Rumuni swoje osobne pojęcia o grzeczności i wychowaniu, a kto do nich nie dorósł, niech się w nocną podróż po Rumunii nie puszcza.

Jest nas z początku trzech w przedziałce. Przysłoniliśmy światło lampy firankami; jeden wyciąga się całą długością na sofie, drugi chętnieby to samo uczynił, ale ma miejsce tylko dla dwóch osób, mimo to wydłuża się coraz więcej; w miarę tego wciskam się bardziej a bardziej w kąt — zaczyna mnie to już gniewać i śmieszyć zarazem, gdy w dekoracyi następuje zmiana. Wchodzi jakiś nowy podróżny, odsłania lampę, sadowi się na najbliższych nogach, które nieprzywykłe do takiego ciężaru gwałtownie się kurczą, co znowu świeżego przybysza pobudza do nagłego skoku w górę i do krótkiej ale treściwej klątwy, wreszcie po chwili kaszlania, chrząkania i plucia, zaczyna się z właścicielem rzeczonych nóg ożywiona rozmowa, kto kogo rodzi, dokąd jedzie i w jakim celu — ciekawość jest wybitnym przymiotem

każdego Rumuna —, i ta rozmowa, której towarzyszą kłęby dymu, trwa tak długo, dopóki turyście z Polski się nie zdaje, że mu się nigdy spać nie chciało.

Wreszcie świta. Pociąg wjeżdża w obszerną dolinę a raczej bagna Seretu i przecina je na długim, kamiennym nasypie. W dali, różowe od porannej zorzy, odcinają się na tle nieba skalne szczyty gór maczyńskich, ciągnących się długim łańcuchem z tamtej strony Dunaju, pojawiają się wieże kościołów, kominy fabryk, błyszczące dachy domów — to Braila, jedno z piękniejszych miast w Rumunii i obok Galacu pierwszy port naddunajski, urządzony, jak na port rzeczny, z wielkim nakładem pracy i kosztów; to też ruch okrętowy jest tu większy, aniżeli w Konstancy. Z toru kolejowego na próżno jednak rzeki szukać; w pewnem tylko miejscu ciężkie opary, unoszące się nad okolicą, wskazują, że tam stary Dunaj płynie.

Kilkadziesiąt kilometrów za Brailą wpływa pociąg na stepy Baraganu. Smutny, przygnębiający obraz! Dokoła, jak okiem zajrzeć, pusta, spalona płaszczyzna, czasami wzdłuż drogi żelaznej trochę uprawna i liściem kukurudzy ubrana, czasem w blizkości stacyi stadem owiec lub bawołów urozmaicona; tu i owdzie pojawia się wreszcie pojedyncza akacya lub mały akacyowy lasek, jedyne drzewo, które na tych słonecznych polach rośnie. A jednak mają te stepy swoją wielką przeszłość i to im dodaje uroku i trochę smętnej poezyi. Po nich szedł niegdyś macedoński Aleksander Wielki w pogoni za Getami, tu staczali krwawe boje rzymscy wodzowie w swych zdobywczych pochodach na Wschód, o tym stepie krążyły w starożytności wieści, że jego kończyny oblewa rzeka, której wody, obmywają z grzechów i jak niegdyś wody Lety, dają zapomnienie. Dziś jeszcze z jednej i drugiej strony toru widać gęsto rozsiane mogiły i kurhany; to ciągną się one długą prostą linią, to łamią pod kątem, to ustawiają w kilka szeregów lub rozpryskują na nieregularne grupy. Rozkopano niektóre z tych mogił, lecz nic w nich nie znaleziono; niejedna z nich pewno w sobie kryje zbutwiałe kości z przed wieków, zbroje i monety, chowa wielkie tragedye ludzkiego serca i zazdrośnie strzeże dawno minionej przeszłości, ogólnie jednak skła-

niają się uczeni do przypuszczenia, że te mogiły były pewnego rodzaju strażnicami rzymskiemi, z których szczytów żołnierze podawali sobie wiadomości, rozkazy i ostrzeżenia.

Lecz pociąg zbliża się już ku Dunajowi. Step opada zwolna ku rzece i za stacyą Feteszti w niesłychanie malowniczem położeniu, wśród wieńca drzew i krzewów, które tu dopiero na nowo róść rozpoczynają, wjeżdżamy na pierwszy most, rzucony nie przez sam Dunaj, ale przez jego ramię, Borczję. Między tem ramieniem a Dunajem leży kilkanaście kilometrów szeroka a kilkadziesiąt długa bagnista wyspa, zalana obecnie wodą; chmury wodnego ptactwa, mew i pelikanów, płyną z jękiem i wrzaskiem nad falami i dają już przedsmak morza, drzewa do połowy kąpią się w bagnie. Mijamy most drugi, ciągnący się nad przepaścią, gdzie natura terenu nie pozwoliła na przedłużenie toru i stajemy wreszcie na moście Karola, prawdziwem arcydziele inżynierskiej sztuki. Dwie olbrzymie, granitowe bramy, ozdobione bronzowymi posągami rumuńskich żołnierzy, otwierają i zamykają go; spoczywa on na pięciu filarach, oddalonych od siebie tak, że spajające go żelazne łuki, wyglądają lekko, jak nić pajęcza w przestrzeń rzucone, a głęboko pod niemi toczy swe fale majestatyczny Dunaj, tak głęboko, że największe okręty pod sklepieniem mostu bezpieczną drogę znajdują. Tymi mostami, kosztującymi miliony, połączył obecny władca Rumunii Europę bezpośrednio z Czarnem Morzem a przez nie z całym światem.

Z drugiej strony rzeki stacya Czernawoda — tu rozpoczyna się już Dobrucza a z nią turbany, fezy, minarety. Kto tylko zewnętrznych szuka wrażeń, ten ich wiele w podróży po Dobruczy nie znajdzie. Okolica stepowa, spalona, pusta, tu i tam małe wzgórze, jakaś samotna mogiła, kawałek stepu pokryty czerwonymi porostami, dającymi wrażenie pola wrzosem kwitnącego, ku północy i południu resztki potrójnego łańcucha obwarowań rzymskich, t. zw. wał Trajana. Ale kto znowu sięgnie w przeszłość, dla tego te samotne stepy nabiorą życia. Pod skwarnem słońcem płyną tam legiony, roztaczają do zwycięskiego lotu swe skrzydła dumne rzymskie orły a jęki i żale narodów, którym przemoc Rzymian żelazne nałożyła okowy i ze skroni zdarła aureolę wolności, mie-

szają się z tęskną skargą tych, których wina lub zawiść i niesprawiedliwość wypędziła ze słonecznej Italii i osadziła na wygnaniu w barbarzyńskiem Tomi, zdala od ojczystej ziemi i rodzinnej zagrody. I znowu mijają wieki, puste pola zaludniają się, widać na nich minarety i namioty obozów — nad niemi płynie zielona chorągiew, muezini do świętej nawołują wojny a całe to mrowie tatarskie spieszy za modry Dunaj, za Seret i Dniestr do dalekiego Lechistanu, aby tam w ciche wioski i miasta Polski nieść pochodnię wojny, ogień i krew. I wtenczas ten smutny krajobraz aż drga życiem i zdaje się, że lada chwilę, tam za wzgórzem, pojawi się śniady Tatar na rączym koniu lub że w dali zabłyśnie zbroja rzymskiego legionisty. Przeszłość jednak uleciała bezpowrotnie z tych pól; w proch rozpadł się Rzym a dzisiejszy Tatar, zamieszkujący jeszcze Dobruczę, światu już nie zagrozi.

Po ośmnastu prawie godzinach jazdy, przybywamy wreszcie do Konstancy. Na wzgórzach rozsiadło się miasto. Jego stopy od wieków myją fale Czarnego Morza, panuje nad niem prawosławna katedra, ale wyżej od jej wież strzelają zewsząd tureckie minarety — znać chrześcijaństwo nie wyparło tu jeszcze islamu, choć liczba Turków z dnia na dzień się zmniejsza. Nieswojsko im pod obcem berłem, gdzie niegdyś byli panami. Na małym placu, nazwanym »placem niezawisłości«, wznosi się ustawiony przez Carmen Sylvę, pomnik Owidyusza. Na wysokim granitowym słupie, do którego prowadzi kilka stopni, stoi on w swej rzymskiej todze, odwrócony od tego morza, nad którego brzegami tyle lat na wygnaniu miał strawić. Głowę w ciężkiej zadumie oparł na prawej ręce i patrzy ku południowemu zachodowi, gdzie jego zwycięska Roma bawi się i szaleje, zapominając o swoim pieśniarzu, co w obcej stronie smutne i stęsknione pędzi życie. Napis umieszczony na cokóle:

Hic ego, qui iaceo, tenerorum lusor amorum,
Ingenio perii, Naso poëta, meo.
At tibi, qui transis, ne sit grave, quisquis amasti,
Dicere: Nasonis molliter ossa cubent —

ten napis godzi nas z poetą, bo choć wiele zawinił, wiele też wycierpiał i wiele swojem natchnieniem wieszczem dał rozkoszy

i szczęścia. Nigdzie ten pomnik Owidyusza tyleby nie mówił i tak nie działał na wyobraźnię i serce, jak tu na miejscu swego wygnania, nad jasną tonią Czarnego Morza.

»Dzisiaj, poeto, pisze współczesny rumuński autor, Vlahuta, nie czułbyś się tak obcy na tem pustkowiu. Nie widziałbyś więcej groźnych postaci barbarzyńców ani morza przemienionego w twardy lodowy most. Zaginęli Scytowie, upadło Tomi i wszystko się zmieniło. Ojczyzna twoja, naród twój zabłądził w te strony i nowy świat powstał tu, na ziemi łzami twemi zroszonej; nowe miasto wyszło z fal morza, z niebem tak błękitnem i słodkiem, jak niebo pięknej Italii... Dzisiaj błądziłbyś po ulicach rzymskich, między dawnemi pamiątkami, a na złomach marmurów czytałbyś nazwiska znane i drogie twojemu sercu... Dzisiaj nie jęczałaby tak smutnie lira twoja, gdyż żyłbyś wśród drogiego tobie narodu, w którego języku — miękkim i dźwięcznym jak twoje wiersze — znalazłbyś zazdrośnie strzeżone żywe ślady wygasłej mowy twych przodków« [1].

Zresztą Konstanca poza swem znaczeniem historycznem, poza swym charakterem na wpół oryentalnym i prześlicznym widokiem na morze z nieukończonego jeszcze bulwaru i nowego portu, niema nic więcej nadzwyczajnego. Ale też port z olbrzymimi wałami kamiennymi, idącymi w liniach prostych i kołowych parę kilometrów w morze, z różnobarwnemi latarniami, zwraca uwagę podróżnego. I on jest dziełem Karola, którego kamienny medalion zdobi najdalej, bo dobre dwa kilometry w morze wysuniętą wieżę; w Konstancę wkłada też król całą swoją energię i milionowe fundusze. Główny *mollo* jest tak wysoki, że mimo prawie dwa metry szerokiego szczytu, osoby wrażliwe doznają na nim zawrotów głowy. Kiedy morze spokojne, rozbija się ono z łagodnym szumem o skały i głazy, rzucone u stóp wału w tym celu, aby łamały siłę fal i tylko wysoko w górę całemi kaskadami lejące się krople świadczą o sile, jaka w tych głębiach mieszka; niech się ono jednak rozhula trochę, a z rykiem i grzmotem przerzuca spienione bałwany hen daleko za granity wału.

---

[1] A. Vlahuta: *România pitoreasca*. Str. 70 nast.

Ponieważ miasto z innej podróży dostatecznie mi znane, nie zatrzymuję się w niem dłużej, lecz o piątej wieczorem wsiadam na idący do bułgarskiej Warny węgierski parowiec *Kelet;* zbliżam się do Słowian, by jedną z idei naszego pisma, chwilowo przez śmierć ks. Badeniego przerwaną, kontynuować.

Wiatr ustał prawie zupełnie, łagodnie szemrały fale mieszając się z jękiem mew, parowiec zostawiał za sobą długą brózdę mlecznych wód, lekko, cichutko, gdzieś z poza gór schodziła noc, w dali błyskały kolorowe światła morskich latarni, wreszcie między gwiazdy wybił się księżyc, położył garść świetlanych smug na rozległej toni i popłynął w dal — o wpół do drugiej w nocy zarzucił *Kelet* kotwicę w porcie warneńskim.

* * *

Panorama Warny od strony morza przedstawia się niesłychanie uroczo. Miasto tonie w winnicach, które ze wszystkich stoków górskich spływają ku wybrzeżu. Nad aglomeratem domów o lśniących dachach, rozłożonych na skałach i wysokich wzgórzach, zdala widna nowa katedra bułgarska, wierna kopia katedry kazańskiej, a otaczają ją ze wszystkich stron, bliżej lub dalej, minarety; zieleń drzew rzuca ciemne plamy na ten jasny obraz. W niedokończonym jeszcze porcie, który jednak już dziś wcale dodatnio się przedstawia, wre gorączkowe życie; pełno tu okrętów ze wszystkich części świata, pełno łodzi szybko prujących morskie fale, pełno fezów, turbanów, zawoi — krzyk, hałas, szum, świst. Ale to właśnie, co Warnie dodaje tyle uroku, jej wysokie położenie na skałach, robi ją mniej przyjemną w rzeczywistości. Z wyjątkiem dwóch, prawdziwie pięknych i względnie równych ulic, wszystkie inne zbyt szybko opadają i zbyt gwałtownie się wznoszą, wiją się, kręcą we wszystkich kierunkach, łączą w cały labirynt wązkich uliczek i zaułków. To też, kto miasto bliżej poznać a zmęczenia uniknąć pragnie, musi się posługiwać dorożką i to najlepiej turecką, gdyż bułgarscy lub greccy woźnice dla swej buty i grubiaństwa nie najlepszą cieszą się sławą. Ale i podróż dorożką nie należy w Warnie, z powodu niemożliwego bruku, do przyjemności. Zdaje się, iż ten bruk w ten sposób położono,

że rzucono na ziemię głazy, pozostawiając ich ubicie i wygładzenie wozom, ludziom i czasowi. Stąd pełno po wszystkich ulicach wyboi, pełno skał, powóz trzęsie się, skacze, przechyla gwałtownie w jedną lub drugą stronę, na skrętach lada chwilę już, już się wywróci — to wszystko jednak nie powstrzymuje woźnicy, że pędzi, jak szalony. Nawoływania, błagania, prośby nic nie pomagają. Trzyma się co siła kozła, bo sam przy tem ciągłem balansowaniu łatwo pod kozłem znaleźć się może, silną jednak ręką kieruje końmi i choć ruch tu olbrzymi, ani na chwilę nie zwalnia z szalonego tempa, a mimo to wszystkie przeszkody zręcznie omija.

Z Warny o Bułgaryi nic jeszcze sądzić nie można; jest ona o tyle tylko bułgarską, o ile należy do Bułgaryi, ma administracyę bułgarską i bułgarskie napisy na ulicach i gmachach. Element bułgarski ustępuje tu tureckiemu i greckiemu, a ponieważ, jak w każdem większem mieście portowem na Wschodzie, pełno tu ludzi wszystkich narodowości, więc też Warnę nazwać można z tego względu miastem kosmopolitycznem.

Po nadto jest ona miastem na wskroś oryentalnem. Nadają jej ten charakter nie tylko minarety, nie tylko oryginalne, barwne stroje wschodnie, fezy, turbany, szerokie szarawary Turczynek, ich obszerne płaszcze, nadające im zdala wygląd zakonnic, ich białe zasłony, któremi szczelnie twarz zakrywają, nie tylko ta mieszanina typów, rekrutujących się z całego świata — ten charakter oryentalny maluje się i odbija w całem życiu Warny. Życie koncentruje się tu, przynajmniej w letnich miesiącach, na dworze — na ulicy sklepy, kawiarnie, cukiernie, restauracye, mniejsza o kurz i skwar i tłok. A tego tłoku i ruchu jest wiele. Objuczone osiołki pną się mozolnie pod górę, zawalając całą szerokość ulicy koszami jarzyn i owoców, które nie wiedzieć jak się na ich grzbietach trzymają; czarne, smutno i apatycznie spoglądające bawoły — do przewożenia ciężarów prawie wyłącznie bawołów tu używają — ciągną ogromne wozy, naładowane winogronami, z których zaraz na ulicy wino wytłaczają, a wytłaczają je w ten sposób, że Turek, Cygan, Ormianin, Grek czy Bułgar depcze po jagodach brudnemi nogami, a spływający z tyłu deskowego wozu płyn chwytają do wielkich kadzi, ku nie małej

uciesze gawiedzi, która nie tylko twarz, ale i ręce kąpie w soku jagód; Turcy roznoszą swoje tkaniny, wielkie, płaskie kosze pełne przepysznych owoców, różne słodycze, konfitury i sorbety, tureccy tragarze z kuframi i tłumokami na plecach pędzą do przystani. I w tę ludzką falę leją się dźwięki wszystkich języków świata, istna wieża Babel, ale równocześnie obraz w swej całości pełen oryginalności i wdzięku.

Warna jest dalej miastem handlowem, a stąd zasobnem i wcale bogatem, choć tego bogactwa na ulicach nie wiele znać. Dlatego też nie można właściwie nawet mówić o jakiemś życiu duchowem, intelektualnem — miasto ma tylko jedno pismo bułgarskie *Swoboden Glas* i to pismo wbrew tytułowi swemu bezbarwne, umieszczające jedynie anonsy, senzacyjne wiadomości i ulotne nowinki. Życie naukowe kryje się w szkołach i dwóch gimnazyach i objawia chyba jeszcze w tym poliglotyzmie, bez którego tu istnieć nie można; człowiek posiadający pięć i więcej języków, nie należy tu bynajmniej do wyjątków, a co dziwniejsza, to fakt, że ten poliglotyzm spotyka się we wielkiej, kto wie, czy nawet nie w przeważnej mierze, w sferach niższych.

Warna ma ponadto wreszcie i pewne znaczenie ogólnoludzkie. Leży ona podobno tam, gdzie rozciągało się niegdyś przed wiekami, założone razem z Tomi i Appollonią, miasto Odessos; tu rozegrała się 1444 r. między Muradem II a Władysławem Warneńczykiem mordercza, dla wojsk polskich i węgierskich tak niestety fatalna bitwa: tu wreszcie zorganizowali r. 1854 sprzymierzeni Francuzi i Anglicy swą wyprawę na Krym, która się zakończyła zburzeniem Sebastopola — śmiertelne szczątki tych żołnierzy spoczywają na tamtejszym cmentarzu katolickim.

Kto zwiedza miasto, nie powinien zapomnieć o sześć kilometrów od Warny odległym zamku książęcym w Euxinogradzie. Dostępu do niego pilnują wprawdzie w różnych stronach ustawione straże, uprzejmość jednak proboszcza warneńskiego, księdza Dunstana, Irlandczyka rodem, sprawującego równocześnie urząd kapelana zamkowego, z łatwością usunęła wszelkie przeszkody i trudności. Do zamku wiedzie wygodna i bardzo dobrze utrzymana

droga; za miastem, za zburzonymi dziś już murami fortecznymi, zbliża się ona do morza, wspina się olbrzymią serpentyną coraz wyżej, a zawsze wśród winnic, ogrodów, drzew orzechowych i oliwnych. Tuż nad samem morzem, na olbrzymiem, może sto metrów wysokiem wzgórzu, rozsiadł się renesansowy zamek Euxinograd we wielkim, czterdziestomorgowym parku. Pałacu samego zwiedzić nie mogłem, gdyż zaprowadzano tam właśnie nowe urządzenia elektryczne; oprócz tego potrzeba na zwiedzenie zamku z powodu nagromadzonych w nim skarbów osobnego pozwolenia z ministeryum. Ale już sam ogród zasługuje na uwagę; sztuka ogrodnicza przeszła tu naprawdę w artyzm.

Park rozściela się na skałach i wzgórzach, spada w głębokie przepaście, wije po ich stokach, a wszędzie oliwki, platany, laury, figowe drzewa, cytryny, pomarańcze, palmy, kaktusy — złocą się one od owoców lub krwawią purpurą; powoje i orchideje zapuszczają w szczyty drzew swe łodygi, przerzucają się z jednego szczytu w drugi, tworząc festony i girlandy o zwieszających się różnobarwnych kwiatach i różnokształtnych owocach; wszędzie szumią ukryte w gąszczach fontanny, błyszczą lilie burbońskie, a dokoła cała orgia barw i kolorów, jakby kawał zorzy, kawał błękitu i kawał gwiaździstego nieba opadły na ziemię. Było to już przecież ósmego października, gdy ten ogród zwiedzałem, ale o taką zieleń i takie kolory u nas i w lipcu nie łatwo. W parku porozstawiane wille, przeznaczone na prywatne mieszkania księcia i jego dworu, tak ukryte wśród drzew, że spostrzega się je dopiero wtenczas, gdy się przed niemi staje, a mimo to tak urządzone, że z każdej z nich otwiera się rozległy widok na morze. Warny stąd prawie nie widać, przed okiem rozlewa się tylko niezmierzona, błękitna toń, upstrzona jedynie białemi plamami mew. Jako osobliwość pokazywano mi w pobliżu dawnych apartamentów zmarłej księżnej cienistą altanę, pokrytą bujnym winogradem, uginającym się pod ciężarem złotych gron — tych gron książe nigdy zrywać nie pozwala, dojrzewają one tylko dla ptaków. Czyż tym sposobem chce może oddać hołd pamięci szlachetnej żony?

Na prawo od zamku u stóp góry znajdują się łazienki i mały, jeszcze nie ze wszystkiem urządzony port dla yachtu

księcia; opodal ustawiony we wodzie kamienny pomnik wskazuje miejsce, gdzie przed dwoma czy trzema laty jeden z ministrów w czasie kąpieli we falach morskich znalazł swój grób. Za parkiem ciągną się na obszarze stuosiemdziesięciu hektarów winnice książęce; zawiaduje niemi Francuz, p. Pérol. Pod jego kierownictwem tłoczone wino przewyższa inne bułgarskie, to też firma *Château Euxinograd* jest najbardziej w Bułgaryi cenioną i poszukiwaną.

To wszystko jednak należy tylko do teraźniejszości, przeszłość znajduje się dopiero na polach warneńskich i dla nich przedewszystkiem rozpocząłem tę podróż od Warny. Dziś we Warnie nie zbyt łatwo dowiedzieć się o miejscu, gdzie przed wieki rozegrał się wielki, dziejowy dramat. Kiedy przed niejakimś czasem zjechało do Warny grono turystów francuskich w tym jedynie celu, aby zwiedzić teren bitwy, nikt z zapytanych nie rozumiał nawet o co chodzi, dopiero między Turkami znaleźli się tacy, którzy umieli na pytanie odpowiedzieć. Nic w tem ostatecznie dziwnego! Polaków mieszka we Warnie trzech czy czterech, a gdzie ich szukać? Cóż zresztą Bułgara, Greka lub Ormianina może obchodzić jakaś bitwa, od której pięć prawie wieków już upłynęło! I znowu usłużność proboszcza, który jako syn narodu, co tyle od Anglii ucierpiał, poczuwał się do pewnej solidarności z Polską i czasami w samotnych przechadzkach na pola warneńskie zabłądził, dopomogła mi do prędkiego osiągnięcia celu.

Na północny zachód od Warny ciągnie się obszerna płaszczyzna. Podstawę jej tworzy Warna; z lewej spływa ona do dwanaście mniej więcej km. długiego jeziora Dewno, znanego ogólniej pod nazwą jeziora warneńskiego, co rozlewa swe fale u podnóża wzgórz, uwieńczonych na szczytach mogiłami zmarłych przed kilkudziesięciu laty na cholerę, z prawej wznoszą się pagórki pokryte gajami i winnicami, koniec płaszczyzny tonie na horyzoncie i tylko częściowo odgranicza ją tam niedawno założona, bułgarska wioska. W całej długości, bliżej jednak jeziora, przecina to rozległe błonie droga, wiodąca do Rusczuku. O pięć, sześć kilometrów od miasta stoją na równinie obok siebie dwie

duże mogiły, za niemi może sto metrów trzecia samotna, a w prostej linii o kilometr dalej znowu dwie, z tych lewa największa ze wszystkich. Tradycya twierdzi, że w tych mogiłach pochowane wojska Warneńczyka. Na najwyższej wznosił się kiedyś pomnik z kamienia, wystawiony przez legion polski. Pomnik ten zburzyli Turcy — niektórzy utrzymują, że Grecy — nasłani jednak, tak twierdzi przynajmniej głos ogółu, przez konsula rosyjskiego. Odbudowano go po raz drugi, aczkolwiek nie w tych rozmiarach, jakie posiadał pierwotnie, i znowu nieznani bliżej sprawcy go zniszczyli; dzisiaj na mogile nie widać ni śladu pomnika, u stóp jej leży tylko kilka kamieni, a blizko szczytu znajduje się jakieś zagłębienie. Nie wiedzieć, czy tu może znajdowały się fundamenty, czy jest to raczej otwór wyżłobiony przez deszcze i ulewy. Za dawnych, lepszych czasów, kiedy jeszcze w Sofii istniało polskie stowarzyszenie, postawił jeden z jego członków wniosek, by na polach warneńskich zbudować z funduszów stowarzyszenia krzyż, wniosek ten jednak ze względów czysto osobistych nie został przyjęty. Zato dzisiaj nowa świta nadzieja. Przed niezbyt dawnym czasem zawiązało się w Warnie towarzystwo archeologiczne, złożone we wielkiej części z Czechów; sprężyną tego związku jest p. Skorpil. To towarzystwo nosi się z myślą odbudowania na nowo warneńskiego pomnika i tak może w krótkim już czasie barbarzyńska wina wobec przeszłości zostanie zmazaną.

Pamięć dnia, w którym zwiedzałem pola warneńskie, nie prędko z serca uleci. Stanąłem na najwyższej mogile, na której niegdyś wznosił się pomnik. W dali siniało morze i złociła się Warna, pusto było i głucho na szerokich polach, tylko słońce rzucało pęki gorących promieni na cmentarne mogiły, u których stóp wyrósł samotny krzak polnej róży, a tam głęboko spoczywały wojska »Króla dwu koron, Włodzisława«, którego

. . . . . poświęcone
Kości nie są w ojczystym grobie położone —
Grób jego: jest Europa — słup: śnieżne Bałkany,
Napis: wieczna pamiątka między chrześcijany[1],

[1] J. Kochanowski: »Fragment bitwy z Amuratem u Warny«.

tam w bratniej ziemi, spoczywali ci, którzy z hasłem: »wiara i ojczyzna« na ustach odważnie szli w bój krwawy i swe życie w ofierze nieśli.

Rycerze polscy! śpijcie w spokoju! Do snu wiecznego szumią wam fale Czarnego Morza, ze wzgórz, na których niegdyś powiewały wasze proporce, wita was godło pokoju, krzyż, a wiatr, wiejący od północy ponad mogiłami waszemi, mówić wam będzie o ojczyźnie dalekiej, która w was czci swoich bohaterów i śle wam wyrazy hołdu i uwielbienia. Ach! może kiedyś przyniesie on wam wieść, od której tu, na warneńskiej ziemi, zadrzą w głębi wasze kości i zadźwięczą zbroje wasze.

Mogiły warneńskie, naszej wielkości świadki i naszej chwały groby, żegnajcie mi...

(C. d. n.)

Ks. Wiktor Wiecki.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Z nowszych powieści polskich.

Eliza Orzeszkowa: »... I pieśń niech zapłacze«. — Kazimierz Przerwa-Tetmajer: »Zatracenie«. — Kazimierz Gliński: »Szlachcic na zagrodzie«. — Ludwik Stasiak: »Gadzina«. — Franciszek Łubieński: »Do Monaco«. — Władysław Orkan: »Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy«.

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że każdy nowy, choćby i drobny, utwór Orzeszkowej zawiera w sobie dużo artyzmu i piękna; nie zawiodła nas w tym względzie ostatnia powieść autorki [1]. To prześliczna sielanka, pełna barw i woni, żal tylko, że zakończona tak tragicznie i boleśnie, że aż wnosi pewien rozdźwięk w całość. Takie jednak zakończenie nie jest u Orzeszkowej niespodziewane, występuje ono w jej różnych dziełach.

To czarodziejska pieśń, która dzwoni tam w polskim leśnym dworku, gdzie w spokoju i szczęściu płyną dni Jerzego i Krystyny; taką samą pieśń snuć zaczęli Czesław i Janina. Urwała się ona, gdy argonauta pobiegł szukać złotego runa, i gdy to poszukiwanie zajęło całego jego ducha tak, że nad dalekim Uralem zapomniał o przeszłości. Wraca jednak po latach i pieśń na nowo dźwięczeć poczyna, choć od czasu do czasu czuć w niej zgrzyt; tym zgrzytem to tajemnica Czesława, która w chwilach wylania i szczerości każe mu powie-

[1] Eliza Orzeszkowa: »... I pieśń niech zapłacze«. Warszawa—Kraków. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 209.

dzieć do brata: »Największem twojem szczęściem jest to, że po dziesięciu latach możesz mi z łatwością i otwarcie powiedzieć wszystko«. Jak gromami naładowana chmura, unosi się ta tajemnica nad słoneczną idylą, czuć, że z niej niezadługo wypadnie piorun, który wszystko obróci w gruzy. I grom wypada, tylko nie tak, jakbyśmy pragnęli i tego nam żal. Cichym wieczorem zjawia się w leśnym dworku cudzoziemka, »dygnitarska córka«, żona Czesława i matka jego dziecka— to tajemnica. Pieśń się urywa, kończy ją huk wystrzału i trochę sinego dymu z jednej, złamane na całe życie serce szlachetnej dziewczyny z drugiej strony.

Myśl powieści dodatnia: jedź choć na koniec świata, pracuj, ale nie bądź argonautą, który w gonieniu za złotem runem cały się roztapia, nie tylko rozum, ale i serce niech tobą kieruje, a ono z biegunów ziemi przyprowadzi cię wśród swoich. Przyprowadziło i Czesława, ale za późno, gdyż rozum sofizmatami w błąd wprowadzony, zawiódł go na drogę, z której nie było powrotu i w dodatku kazał mu popełnić podłość. I w tem rozwiązaniu problemu leży słaba strona utworu. W Czesławie widzimy człowieka nieszczęśliwego, którego życie kryje jakąś tajemnicę, co ubezwładnia jego ruchy, ale nic nam nie wskazuje na to, że jest on podły. Czytelnik śledzi z uwagą za tem uczuciem, które w dwóch sercach powoli się rozwija i cieszy się z takiego obrotu rzeczy; tem bardziej boleje, gdy spostrzeże, że z jego ideału zdjęto tęczowe osłonki.

Poza tem powieści niczego więcej zarzucić nie można; język i opisy niezrównanie piękne.

»Zatracenie«[1] wykazuje ten sam wielki talent, jak i inne dzieła autora. Są tu sceny porywające wprost swoim tragizmem, siłą, wdziękiem i rzewnością; ton często nastrojowy, nastrojowo też działa tak, że odrywa czasami uwagę od moralnie podejrzanej wartości powieści. Niektóre obrazy, jak np. przyrody tatrzańskiej są bez zarzutu w wykończeniu. A jednak o całości sąd musi wypaść niepochlebnie. Dzieło jest pisane zanadto *à thèse*, stąd taka wściekła, gryzącą ironia w przedstawianiu arystokracyi, ale to jest podobno słabością autora, niemniej jak i pewne poglądy i sceny drastyczne. Za to jednak pisarz tej miary, co Tetmajer i szanujący samego siebie, skoro chce już pisać

[1] Kazimierz Przerwa-Tetmajer: »Zatracenie«. Romans. Warszawa—Kraków. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 389.

o religii, powinien się przynajmniej trochę o niej poinformować. Jeżeli mu się księża nie podobają tak, że w swym repertoarze ma jedynie postaci księży prostaków i, powiedzmy grzecznie, ograniczonych, to jest to jego rzeczą; ale niech nam nie podaje takich kwiatków, jakie się znajdują np. w radach ks. Strzałkowskiego (str. 286) lub w spowiedzi Teresy (str. 316 n.), wtenczas bowiem czytelnik staje przed dylematem, że albo autor rzeczy nie rozumie, albo ją rozmyślnie fałszuje a jedno i drugie chwały mu nie przysporzy. Swoją drogą takie a nie inne pojęcie rzeczy religijnych, było autorowi potrzebne, bez tego bowiem zakończenie wypadłoby prawdopodobnie inaczej, a toby nie było bardzo na rękę. I jeszcze jedno. Mieszanie pierwiastka komicznego w sceny poważne, nieraz nawet tragiczne, jest bardzo niesmaczne a jak Teresa mogła zarzucać Rdzawiczowi, że on jest przyczyną jej nieszczęścia, z tego sobie pewnie sam autor sprawy nie zdawał. Po takiej arystokracyi, jaką nam daje »Zatracenie«, mógł się przecież Rdzawicz wszystkiego spodziewać i nie mógł na szwank narażać godności własnej.

Główną zaletą najnowszej powieści Glińskiego [1], to kilka udatnych charakterystyk, kilka dobrze wiek XVIII oświetlających typów i zwykła u Glińskiego lekkość przedstawienia, która sprawia, że utwór daje czytelnikowi pewną przyjemność. Zaściankowa szlachta, otaczająca zaściankowego również szlachcica, p. Kaszę, z swem głębokiem przekonaniem o rodowej godności, która tak nie licuje z drobiazgowem postępowaniem życia codziennego, z chciwością, zazdrością i innymi, niekoniecznie szlachetnymi przymiotami, wcale zręcznie podchwycona; buta i duma magnatów dość wiernie wiek ośmnasty, choć nietylko ten wiek był takim, malują; udałe opisy, humor tryskający z kart, żywość opowiadania dodają powieści wdzięku. Humoru jednak i anegdotyzmu jest za wiele, są one nawet właściwą podstawą opowiadania. Uczucie, jakie w sercu Kaszy do córki stolnika, Ewy, się zrodziło, nie ze wszystkiem nam się podoba. Trochę tam nienaturalności, trochę naciąganych scen, a wreszcie ślub po ucieczce z domu, i przemieszkiwanie gdzieś w podolskich jarach, zakrawa zbytnio na sentymentalną, pasterską idylę i melodramat, tak mało w tem wszystkiem prawdy i rzeczywistości. I Rusinka, Hanka, kochająca się w panu Kaszy

[1] Kazimierz Gliński: »Szlachcic na zagrodzie«. Powieść obyczajowa z XVIII wieku. Warszawa—Kraków. Gebethner i Wolff. 1905. Str. 323.

i miłość Władysława do własnej siostry, Ewy, nie są też chyba szczęśliwym pomysłem. Pierwsza, przedstawiona niejasno, kryje w sobie za wiele uczuciowości i niezdrowego romantyzmu, druga, naszkicowana lekko, tak że niejeden czytelnik może się jej nawet nie domyśli, grzeszy nie tylko anormalnością, ale i przeprowadzeniem i umotywowaniem.

W ostatnich latach pojawiają się coraz częściej powieści osnute na tle ucisku z pod zaboru pruskiego. Mamy już »Zwyciężonych«, »Zwycięzców«, »Różyckiego«, »Pruskiego huzara« i »Nad Wartą«. Ten fakt jest w każdym razie znamiennym i ciekawym przyczynkiem do psychologii narodu, pokazującym, co nam dolega i co nas zajmuje. Nową »powieść pruską« [1] dał nam obecnie p. Stasiak. Od »Brandenburgu, krainy słowiańskich mogił« do »Gadziny« skok daleki, ale myśl ta sama. Trochę jednak odrębnego od innych pierwiastka wprowadził autor w swój utwór. Przelotnie tylko maluje ucisk, na jaki jest narażony Polak w królestwie pruskiem; główną wagę kładzie na to, aby wykazać, jak na odstępcy mści się odstępstwo samo a także i naród, któremu się zaprzedał i dokąd polityka prześladowania prowadzi. Do wysokiej wartości artystycznej powieść nie rości sobie pewnie pretensyi; jest to rzecz bez większego pogłębienia, właściwie nowela, opowiedziana gładko, językiem urywanym, a stąd częściowo nużącym. Że tu i ówdzie wyraził się autor trochę gorzko, że położył dużo czarnych farb na swą paletą, zrozumieć to można; nie takie wyrazy cisną się pod pióro. Ostatnie słowa: »Oderwał się liść od pnia macierzystego, spodlał, zleciał, zginął. A pień narodu nieśmiertelny nie zginie na wieki«, podniosą przynajmniej ducha w tych ciężkich czasach.

I następna powieść [2] roztacza przed nami obraz ze stosunków pruskich, maluje go tylko na szerszem tle. Cel tego dzieła jest piękny; wykazuje, jak trzeba bronić i jak można obronić ojczystą zagrodę i za to należy się autorowi podziękowanie, gdyż tak podjęty temat niejednego do odważnej walki zachęcić może. Przemiana, jaka się dokonuje w sercu Juliana, odmalowana wiernie i prawdziwie. Lekkomyślność, brak zrozumienia obowiązków, chęć użycia, wstręt do uczciwej

---

[1] Ludwik Stasiak: »Gadzina«. Powieść pruska. Kraków. Spółka Wydawnicza Polska. 1906. Str. 132.

[2] Franciszek Łubieński: »Do Monaco«. Powieść. Poznań. 1905. Tom I, str. 259; tom II, str. 268.

pracy i ograniczenia zachcianek, to stopnie, które go wiodą do oszustwa, wiarołomstwa i ostatecznej zdrady sprawy narodowej, którą zbiorowe tylko wysiłki uratować potrafią; myśl więc podobna do wyrażonej w »Gadzinie«, tem bardziej, że i tu takie smutne zakończenie. Julianowi przeciwstawionych kilka typów męskich i żeńskich, prawdziwie szlachetnych, wzniosłych nawet; może to wszystko ułożone według trochę starej recepty, ostatecznie lepsze to od całego nawału nic nie mówiących charakterów i tematów. Rozkład za to powieści mniej się nam podoba. Kwestya najważniejsza, walka o ziemię, jest traktowana za pobieżnie; cały pierwszy tom można uważać za jakieś przedwstępne preludya, które zbyt ściśle z dalszym ciągiem się nie łączą, i te właśnie ulotne obrazy za szeroko opracowane. Oświetlają one wprawdzie nasze stosunki i charakteryzują dokładnie pewien odłam społeczeństwa, ale ostatecznie znamy je już za dobrze z innych społecznych i obyczajowych powieści. Żal wreszcie, że niektóre drażliwe ustępy, acz pisane z pewnością w najlepszych zamiarach, nie pozwalają tej powieści dać każdemu bez wyboru do ręki.

Szereg krótkich obrazków Orkana[1] nie należy, wbrew tytułowi, do bardzo »wesołych rzeczy«; przeciwnie taki »Herkules nowożytny«, »Wojtek, którego na Szczepana przekręcili«, »Przykry moment«, to nawet wcale smutne rzeczy. Główną zaletą tych prac, to jak zwykle u Orkana, ich styl ludowy dobrze podchwycony i kilka wcale udatnych chłopskich postaci, jak np. Jędrek Śklarz, co »po Włochach jeździł« lub Kurzawa, nowożytny Herkules; tkwi w tych postaciach jakaś głębsza myśl a i horyzont ich zapatrywań, pozornie dość ciasny, jest jednak szerszy, jak się wydaje. Z tego też względu książka daje lekturę przyjemną. *Ks. Wiktor Wiecki.*

Polska literatura agrarna w XX w.

VIII.

»35 Jahre aus bewegtem Leben«. — Cybulski: »Przyczyny upadku rolnictwa i głodów w Rosyi«. — *Piotrowski:* »*Wspólna własność ziemska* w gminie wielkorosyjskiej«. — Tomalski: »Praca, jako czynnik produkcyi rolniczej ze szczególnem uwzględnieniem rolnictwa w Galicyi«. — Tenże: »Przychód z ziemi w gospodarstwie rolniczem«. — Ludwik von Mises: »Die Entwicke-

[1] Władysław Orkan: »Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy«. Kraków. Nakład spółki »Książka«. 1905. Str. 155.

lung der gutsherrlich-bäuerlichen Verhältnisse in Galizien (1772—1848)«. — Stanisław Grabski: »Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce od pierwszego rozbioru do r. 1831«. — Wawrzyniec-Engeström: »Maksymilian Jackowski«. — Stefczyk: »O zakładaniu spółek mleczarskich«. — Stanisław Grabski: »Spółki włościańskie«.

Poglądy optymistyczne na rentowność rolnictwa znalazły obrońcę w rzędzie wielkich właścicieli ziemskich, zamieszkałych w Galicyi. Niestety Niemiec dał wyraz zapatrywaniom tak sprzecznym z tezą p. Paygerta, a tłumaczącym pesymizm nieudolnością gospodarczą.

Bezimienność autora książki: *35 Jahre aus einem bewegten Leben* [1] jest nader przejrzystą. Kilkakrotnie wspomina, że się ożenił z dziedziczką Rudy, i że objął zarząd tego majątku. Gospodarstwo w Rudzie Różanieckiej należy do najbardziej postępowych i najbardziej głośnych, to też nikt, komu znane są stosunki rolnicze w Galicyi, nie może mieć najmniejszych wątpliwości co do osoby autora. A szkoda, książka bowiem, mimo pewnych dodatnich stron, nie przynosi mu zaszczytu, jej zaś achillesową piętą są etyczne i religijne poglądy autora, który uważał za stosowne opowiedzieć w sposób pornograficzny *per longum et latum* przygody miłosne swego kawalerskiego życia i dać wyraz swojej nieprzyjaźni dla wierzeń religijnych. Pogląd na świat autora ogranicza się do materyalizmu, równie płytkiego, jak pospolitego; z tego punktu widzenia głosi indyferentyzm religijny, a ze szczególną animozyą zwraca się oczywiście przeciw Jezuitom. Sąd jego w tym kierunku nie przynosi nic nowego, nic takiego, coby już nie było wyczerpująco odpieranem.

Obok wspomnień osobistych, stanowiących główną treść książki, napotykamy wiele trafnych spostrzeżeń o stosunkach rolniczych w Galicyi, opartych na długoletniem doświadczeniu; autor stwierdza, że gospodarstwo, umiejętnie zarządzane i rozporządzające odpowiednim kapitałem, daje dochody; zwłaszcza Niemcy, o ile osiedlili się w ostatnich kilkudziesięciu latach w Galicyi, jako wielcy właściciele ziemscy, porobili majątki. Twierdzenie to popiera szeregiem przykładów i zachęca swoich rodaków do nabywania dóbr w Galicyi, wezwanie zaś autora powtórzyły skwapliwie dzienniki wiedeńskie z *Neue Freie Presse* na czele. Nader charakterystyczną jest jednak okoliczność, że chłopi niemieccy nie wytrzymują konkurencyi z miejscowym żywiołem, kolonistom józefińskim powodzi się często źle, a posiadłości ich powoli przechodzą w ręce chłopów polskich lub ruskich. Wprost odwrotnym

[1] (Wien, II Auflage 1904, Braumüller, I B., str. 305, II B., str. 320).

jest stopień odporności odnośnie do wielkiej własności ziemskiej, która w Galicyi wschodniej coraz to częściej przechodzi w ręce żydowskie drogą kupna lub dzierżawy. Badając przyczyny tego zjawiska, autor podkreśla przedewszystkiem brak kapitału. Polak, chcąc poświęcić się zawodowi rolniczemu, a posiadając trochę kapitału, woli kupić za wysoko obdłużony majątek, jak zostać dzierżawcą. Polacy są wprawdzie przeciętnie zdolniejsi, jak Niemcy, w szkołach rolniczych uczą się lepiej, ale mają mniej pilności, wytrwałości, najpiękniejsze idee kończą się słomianym ogniem. Najdodatniejszym żywiołem są Polacy, pochodzący z Królestwa i Księstwa: »Prześladowania zmuszają do walki o byt, hartują charakter«.

Lenistwo chłopów ruskich przypisuje autor brakowi sposobności do zarobku i wykształcenia; sądzi, że w normalnych warunkach będzie można wadę tę wykorzenić, w wódce i analfabetyzmie widzi główne przyczyny biedy chłopskiej; to też w zachodniej Galicyi chłopu dzieje się lepiej, mimo, że ziemia gorsza, ponieważ Mazur jest wstrzemięźliwszy w używaniu alkoholu i bardziej oświecony; dalszą przeszkodą w rozwoju rolnictwa we wschodniej Galicyi jest zbyt wielka ilość świąt, wartość czasu jest jeszcze zbyt mało znaną włościaninowi ruskiemu. Zaniedbanie racyonalnej kultury pastwisk gminnych uważa także autor za jedną z ważnych przyczyn nizkiego stanu rolnictwa. Wspomina mimochodem o strejkach ruskich robotników rolnych, wykazując, że krótkotrwały zarobek podczas żniw nie jest bynajmniej nizkim, ale podnosi brak zarobku i nizkie płace w innych porach roku.

W zakres naszego przedmiotu wchodzą jeszcze pośrednio obszerne dzieła pp. Cybulskiego[1] i Piotrowskiego[2] o rosyjskim mirze, poświęcone badaniu stosunków agrarnych poza obrębem ziem polskich, oraz dwie książki d-ra Tomalskiego[3] o pracy i o rencie gruntowej, pisane z punktu widzenia nauki o administracyi gospodarstwa wiejskiego, z uwzględnieniem momentów technicznych. Poważną ich zasługą podkreślenie zasady samopomocy i osobistej odpowiedzialności przedsiębiorcy za wyniki prowadzonego przez niego

[1] »Przyczyny upadku rolnictwa i głodów w Rosyi«. Kraków 1904, str. 352.

[2] »Wspólna własność ziemska w gminie wielkorosyjskiej«. Warszawa 1902, str. 294.

[3] »Praca jako czynnik produkcyi rolniczej ze szczególnem uwzględnieniem rolnictwa w Galicyi«. Kraków 1902, str. 95. — »Przychód z ziemi w gospodarstwie rolnem«. Kraków 1903 str. 142

gospodarstwa rolnego, w przeciwstawieniu do małodusznego zwątpienia we własne siły, ciągłego odwoływania się do pomocy państwa lub kraju — mam na myśli tylko Galicyę. Autor kładzie nacisk na potrzebę wyższego wykształcenia zawodowego i widzi ścisły związek między rentownością gospodarstwa, a osobistemi kwalifikacyami przedsiębiorcy rolnego.

Nie brak także w ostatnich latach licznych prac historycznych poświęconych badaniu naszej przeszłości ekonomicznej i ówczesnym stosunkom rolniczym. Dla poznania obecnych stosunków największą doniosłość mają dzieła o przeszłości najbliższej, zwłaszcza wyjaśniające zniesienie pańszczyzny, które jest punktem wyjścia dla ukształtowania się stosunków agrarnych.

Cenne dzieło p. Władysława Grabskiego: »Historya Towarzystwa Rolniczego« i książka Ludwika von Mises[1], przedstawiająca stosunki pańszczyźniane w Galicyi zbliżyły nas znacznie do rozwiązania problemu. Prace p. Władysława Grabskiego i jego brata Stanisława[2] mają prócz tego wielkie znaczenie dla zaznajomienia się z dawniejszą literaturą agrarno-polityczną, p. Stanisław Grabski daje także obraz ówczesnych stosunków rolniczych na podstawie dotychczas niewyzyskanych materyałów rękopiśmiennych. Z literatury o dawniejszych stosunkach wymieniam dzieło d-ra Bujaka, wydane w b. r. przez Akademię Umiejętności o pierwotnem »osadnictwie Małopolski«, które rzuca dużo nowego źródła na średniowieczne stosunki rolnicze.

* * *

Ten pobieżny przegląd współczesnej literatury agrarnej dowodzi nie tylko znacznego zwiększania się w XX stuleciu liczby prac naukowych, ale także stwierdza pojawienie się kilku dzieł i rozpraw trwałej wartości. Krytyka nie jest w stanie nadążyć zwiększonej produkcyi, sprawozdania ogłaszane w czasopismach i dziennikach są prawie zawsze streszczeniami, a nie krytycznemi ocenami.

Za objaw nader dodatni uważam niemal zupełnie obcą dawniejszemu piśmiennictwu dążność kilku autorów do wydobycia na jaw własną pracą nieznanych materyałów do poznania naszych stosunków rolni-

[1] *Die Entwickelung der gutsherrlich-bäuerlichen Verhältnisse in Galizien* (1772—1848). Wien 1902, str. 144.

[2] »Zarys rozwoju idei społeczno-gospodarczych w Polsce, od pierwszego rozbioru do r. 1831«, tom I już wyszedł, tom II drukuje się w *Przeglądzie Polskim.*

czych. Wobec niedostatecznych, a co gorsza w pewnych wypadkach zawodnych cyfr statystyki urzędowej usiłowania rzucenia na nie nowego światła są ze wszechmiar uznania godne nie tylko dlatego, że wzbogacają skromny zapas naszych wiadomości, ale także jako pozyskanie pewniejszej podstawy do pracy nad poprawą stosunków agrarnych, która bez ich dokładnej znajomości skuteczną być nie może.

Do objawów ujemnych zaliczyłbym przedewszystkiem brak ścisłości i dokładności, niezbędnej w działalności naukowej, nie dość krytyczne badanie materyału cyfrowego, przejawiające się w niektórych pracach. Wzgląd na aktualność tematu wywiera jeszcze ciągle znaczny wpływ na wybór tematu. Dowodem obfitość rozpraw o parcelacyi, liczne pisma, wywołane wygaśnięciem traktatów handlowych. Natomiast są działy rownież bardzo ważne, ale mniej głośne, o których pisze się niewiele: podział gruntów wspólnie używanych w Galicyi, administracya rolnicza. Nie posiadamy dotąd poglądu ani na całokształt dążeń agrarno-politycznych, ani pracy opisowej o naszych współczesnych stosunkach rolniczych z gospodarczego punktu widzenia.

* * *

Już po oddaniu tych artykułów do druku pojawił się szereg prac z zakresu ekonomii rolniczej; chciałbym, choć w kilku słowach, zwrócić uwagę na niektóre z nich, poświęcone asocyacyi. Idea stowarzyszania się jest dziś nieomal najważniejszym sposobem podźwignięcia gospodarstwa chłopskiego, z dniem każdym rozszerza się zakres jej stosowania, powoli także i u nas budzi się świadomość potrzeby działania i uznania dla zasług, zdobytych pracą w tym kierunku.

Wspomnienie pośmiertne, poświęcone pamięci Maksymiliana Jackowskiego, gorliwego orędownika Kółek rolniczych, przez Wawrzyńca Benzelstjerna-Engeströma[1], zawiera dużo cennego materyału do poznania rozwoju asocyacyi w dzielnicy pruskiej.

Początek nowej ery w dziejach mleczarstwa galicyjskiego oznacza rozprawa d-ra Franciszka Stefczyka[2], wydana przez biuro patronatu dla spółek oszczędności i pożyczek przy Wydziale krajowym we Lwowie. Patronat początkowo przeznaczony wyłącznie dla stowa-

[1] »Maksymilian Jackowski, Patron Kółek rolniczych w Poznańskiem« Poznań 1905, str. 71.

[2] »O zakładaniu spółek mleczarskich pod patronatem Wydziału krajowego«. Lwów 1905, str. 92.

rzyszeń kredytowych wiejskich, obecnie rozszerza swą działalność i otacza swą wypróbowaną opieką także i inne spółki rolnicze, wśród których mleczarskie za granicą tak wybitną odegrały rolę, dość przypomnieć, że dobrobyt duński w znacznej mierze opiera się na świetnym rozwoju spółek mleczarskich. W Galicyi nie brak warunków rozwoju dla instytucyi tego rodzaju, niestety dotychczasowa działalność na tem polu zbyt dorywcza, prowadzona przez kilka czynników, nie zawsze kompletnych, nie zawsze pracujących w potrzebnem porozumieniu, doprowadziła tylko do obiecujących początków, które w rękach patronatu niewątpliwie należycie się rozwiną.

Dyrektor Stefczyk rozpoczął swą działalność od wydania przystępnych wskazówek, zawierających pogląd na dotychczasową działalność, na zadania i rodzaje spółek mleczarskich, na ogólne i szczegółowe warunki ich rozwoju. Autor wykazuje rozliczne korzyści, które daje członkom przynależność do spółki, poucza o sposobie zawiązania spółki, uzyskania pomocy Wydziału krajowego i o jej prowadzeniu Przypisy zawierają między innemi wzorowy statut.

W zakresie asocyacyi rolniczej jest tak wiele do zrobienia w najbliższym czasie, że nie powinno się liczyć wyłącznie na patronat, społeczeństwo całe powinno współdziałać w pracy, która dobrze pokierowana może stać się prawdziwem odrodzeniem naszego włościaństwa. Dr. Stanisław Grabski[1] wzywa w swej gorąco odczutej książce do zakładania »towarzystw przyjaciół wsi polskiej«; jednem z ich głównych zadań byłoby pobudzanie, zachęcanie do zakładania spółek włościańskich. Rozprawa p. Grabskiego ma właśnie na celu ułatwić pracę ludziom dobrej woli, którzyby chcieli podjąć się tego wdzięcznego zadania. Autor wyjaśnia korzyści asocyacyi rolniczej, tłumaczy potrzebę i sposoby zawiązywania spółek włościańskich, przestrzega jednak przed ich tworzeniem tam, gdzie niema dla nich warunków pomyślnego rozwoju, gdzie brak ludzi zdolnych do pokierowania niemi i gdzie stosunki ekonomiczne nie są dla spółek odpowiednie. Pan Grabski uwzględnia stosunki galicyjskie i w wywodach swoich roztrząsa tylko te kwestye, które mają obecnie praktyczne znaczenie dla naszego kraju. Po kolei pisze o Kółkach rolniczych, spółkach kredytowych Raiffeisena, mleczarskich, dla wspólnej sprzedaży jaj, owocarskich, warzywniczych, dla ubezpieczenia bydła, melioracyjnych i parcelacyjnych. Pisząc o Kół-

[1] »Spółki włościańskie« (zeszyt IV wydawnictw c. k. krak. Tow. Rolniczego). Kraków 1905, str. 138.

kach rolniczych autor stwierdza potrzebę ich przekształcenia, jeżeli mają odpowiedzieć swemu przeznaczeniu; w spółkach parcelacyjnych widzi sposób zniżenia ceny ziemi, obecnie tak nadmiernie wysokiej przy parcelacyjnej sprzedaży obszarów dworskich, co naraża nowonabywców na nieobliczalne straty. Spółka kupując cały folwark i to z pominięciem pośrednika mogłaby kupić go taniej.

Książka zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie, powinna się znaleźć zwłaszcza w ręku księży i nauczycieli ludowych, niejeden z nich pragnie gorąco i szczerze przyjść w pomoc chłopom, działalność jego krępuje jednak brak jasnego poglądu na to, co i jak trzeba robić. Książka p. Grabskiego jest właśnie odpowiedzią na te pytania.

Niech mi wolno będzie skończyć krótkim autoreferatem. Broszura m o j a[1] zajmuje się tym samym przedmiotem z punktu widzenia nieco więcej teoretycznego, chodzi w niej o umiejętną klasyfikacyę i racyonalne określenie niezliczonej ilości towarzystw i stowarzyszeń rolniczych różnego rodzaju, opiera się wyłącznie na materyale zagranicznym i zawiera bibliografię przedmiotu z uwzględnieniem literatury polskiej.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Galicyjski sejm stanowy (1817—1845). Przez *d-ra Bronisława Łozińskiego.* Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. 1905. (W 8-ce, str. 142).

Do napisania dziełka nakłoniło autora »nieusprawiedliwione — jak mówi — dzisiejsze pomijanie tego okresu naszych dziejów porozbiorowych w literaturze historycznej. Ze stanowiska historyi kraju sejmowi stanowemu należy się to bezwarunkowo, żeby działalność jego odświeżona została w szerszym obrazie. Łączy się ona nie tylko węzłem historycznego rozwoju wypadków, lecz także szeregiem instytucyi i spraw z najświeższą, autonomiczną dobą dziejową Galicyi. Zresztą gdyby nawet rzecz ta miała być traktowana t y l k o (?!) ze stanowiska ogólnych interesów narodowych, to i w takim razie jeszcze należałoby pamiętać o tem, że wyjątkowe położenie nasze wymaga tego, aby w inwentaryzacyi historycznej nie pomijano w żadnej dzielnicy żadnej fazy porozbiorowej pracy publicznej bez względu na jej większą lub mniejszą świetność i wydatność«. Tak pisze autor na str. 5,

[1] »Związki rolników« (odbitka z t. II »Roczników nauk rolniczych«). Kraków 1905. str. 91.

oczywiście przejęty jałowością tematu swego co do poważnej jego strony, a niedość świadom zasługi swej, że nie wszystkich wprawdzie, ale sporą liczbę mężów skazanych przez rządy austryackie na odgrywanie roli arlekinów politycznych, wyprowadził na widownię historyczną, jako prawdziwych mężów stanu. Zamiast takiego umotywowania potrzeby dziełka, podającego potrzebę właściwie w podejrzenie, wolelibyśmy na str. 5 położyć słowa ze str. 131: »W niewymownie ciężkich dla Galicyi czasach sejmy stanowe zasłaniały, jak mogły, kraj przed drapieżnym fiskalizmem i po części odwracały jego ciosy. Nie braknie jednak i rezultatów dodatnich, zdobyczy, które dziś mogą wydawać się małemi, ale w swoim czasie miały znaczenie. W każdym razie stanowią one tak niezmiernie dla nas ważny dowód historyczny, że niema tak trudnej sytuacyi, wśród której stateczną pracą i wytrwałością nie dałoby się wyzyskać danych warunków na korzyść kraju«.

Mającemu pisać historyę zreformowanej w r. 1817 konstytucyi stanowej trudno wstępować od razu *in medias res*. To też autor poprzedza ją pobieżnym poglądem na antecedencya. Cała wogóle historya ziem polskich pod berłem austryackiem zaczyna się od dziwacznej, ale szczerze austryackiej nieszczerości, która jest zarazem historyczną śmiesznością mimo łez, które Marya Teresa podobno wylała nad podziałem. Dom lotaryńsko-habsburski »rewindykował Królestwo Halicko-Włodzimirskie« na rzecz korony węgierskiej; ale »rewindykacya« ta nie przeszkodziła przyłączyć zabrane ziemie do krajów niewęgierskich. Stało się to dnia 11 września r. 1772, dnia 13 czerwca r. 1775 zaś Marya Teresa dopełniła aktu anneksyi tem, że wtłoczyła zabór w owo — jak wyraża się autor — austryacko-stanowe łoże Prokrusta. W samą dziesiątą rocznicę *initae possessionis*, dnia 11 września r. 1782, Józef II jeszcze więcej ścieśnił to łoże pod pozorem wznowienia i kazał obchodzić ten akt we Lwowie przez pięć dni bankietami, festynami, strzelaniem z armat i t. d. i t. d., jak gdyby całej Polsce wolność był przywrócił. W rok potem dnia 12 września, w samą setną rocznicę odsieczy Wiednia, uszczęśliwił »Stany galicyjskie« pozwoleniem zbudowania teatru we Lwowie na miejscu starego zamku. Czy i jaki udział miały »Stany« w nadaniu Polakom pod berłem austryackiem nazwy *galizische Nation* (naród galicyjski), tudzież w utworzeniu »galicyjsko-szlacheckiej gwardyi przybocznej« w Wiedniu, jako też w nadawaniu tytułów hrabiowskich całymi tuzinami, tego nam p. Łoziński niestety nie powiada, choć wspomina, że sprawy indygenatu należały do »Stanów«, a wszakże sprawa przynależności do »na-

rodu galicyjskiego«, sprawa przyjęcia do »galicyjsko-szlacheckiej« gwardyi cesarskiej i sprawa tytułów hrabiowskich ściśle wiązały się ze sprawą indygenatu, wówczas często jeszcze nierozstrzygniętą, a stanowiącą właściwie jedyną dziedzinę, w której rząd praktycznie uznawał kompetencyę »panów Stanów«. We wszystkiem innem »panowie Stany« byli piątem kołem u karety urzędowej. Obywano się bez sejmu stanowego wygodnie; nie zwoływano go nawet wtedy, gdy gasły mandaty deputatów wybranych na sześć lat. Przypominano sobie Stany wtedy dopiero, gdy w sprawach obchodzących całą Rzeszę austryacką potrzeba było w Wiedniu obecności deputata stanowego, po jednym z każdego kraju; ale wtedy »rząd nie krępował się żadnym skrupułem, aby uzyskać do kompletu reprezentanta Stanów galicyjskich; powoływano wtedy deputata nawet z dawno wygasłym mandatem«. Takim figurantem był w r. 1811, w chwili wielkiego bankructwa austryackiego, Antoni hr. Lanckoroński. Ten potomek sławnego rodu szlacheckiego Zadorów z Brzezia był rotmistrzem chorągwi pancernej, członkiem komisyi edukacyjnej i skarbowej, kawalerem orderów Orła białego i św. Stanisława, pod berłem zaś austryackiem przyjął tytuł hrabiowski, godność tajnego radcy (ekscellencyi), najwyższego szambelana i order Złotego runa i stale osiadł w Wiedniu, gdzie więc rząd austryacki miał go na zawołanie do usługi figuranckiej. Rolę taką odegrali także Piotr hr. Zabielski i Wincenty hr. Bąkowski. Na takimto stopniu stało wówczas poczucie godności narodowej i osobistej. W sprawach nie zależących bezpośrednio od Wiednia, gubernium lwowskie w braku nieustającej komisyi sejmowej znosiło się z rzeczywiście nieustającą kancelaryą tejże komisyi, czyli po prostu z sekretarzem Łukaszem Dąmbskim i jego koncypistą Janem Bojarskim. Ci dwaj urzędnicy reprezentowali tedy »Stany galicyjskie«. Zaprawdę, *difficile est satiram non scribere;* ale nie pisze jej p. Łoziński, może dlatego, że ostatecznie wcale jej pisać nie potrzeba; a nawet nie trzeba, aby nie psuć wrażenia, jakie rzecz sama przez się sprawia.

O dwu epizodycznych projektach prawdziwie konstytucyjnych, jednym z r. 1791, wyszłym z inicyatywy nieustającej komisyi sejmowej, popieranym przez gubernatora Brigidę *(charta Leopoldina),* drugim z r. 1815, zawartym w memoryale gubernatora Goëssa, spisanym z okoliczności kongresu wiedeńskiego, wspomina autor tylko nawiasem.

Dnia 13 kwietnia r. 1817 cesarz Franciszek wydał nowy galicyjski statut stanowy, jako »najpewniejszą rękojmię Naszej opieki i łaski ojcowskiej, oraz szczególnego zaufania do wierności i uległości

wiernych mieszkańców Galicyi«. Pan Łoziński mówi: »Musiał ten monarcha-ojciec wierzyć w szczerość zachwytu swojego dziecka galicyjskiego z podarku stanowego!« — a mówi to po nakreśleniu własnych cesarza Franciszka przekonań o swoich czynach, o swojem posłannictwie i o swoim stosunku do poddanych. Zawartą w tym szkicu charakterystykę uzupełniamy od siebie zaznaczeniem dwu faktów, a to dla skomentowania twierdzenia autora (na str. 96), że cesarz Franciszek był popularny, zwłaszcza w Wiedniu uwielbiany. Cesarz Franciszek testamentem zapisał *amorem meum populis meis,* któreto słowa są pomieszczone też na pomniku jego w dziedzińcu grodu cesarskiego w Wiedniu. To jeden fakt, a teraz drugi. Żyjący jeszcze nestor austryackiego świata uczonego i literackiego, arcykonserwatywny historyk bar. Helfert, były minister oświecenia, w pamiętnikach swych z r. 1848, ogłoszonych świeżo w katolickim kwartalniku *Die Kultur,* opowiada, że panujący teraz cesarz, wstępując w r. 1848 na tron, chciał nazwać się Franciszkiem II, ale rząd radził nie odświeżać przykrej ludowi pamięci Franciszka I, a stąd nowy monarcha nazwał się Franciszkiem Józefem I. Dzieci »galicyjskie« także były rozczarowane dowodem opieki i łaski ojcowskiej, ale ostatecznie była to dziatwa po części bardzo grzeczna i spokojna, umiejąca trzymać język za zębami, po części pozbawiona głębszego sądu. Statut Franciszkowy mało różnił się od statutu Józefowego z r. 1782; główna zmiana była zawarta w § 12-tym: »Na znak Naszej szczególnej łaski przyznajemy Stanom, posiadającym prawo zasiadania z głosem, mundury stanowe w kolorach herbu krajowego«. Swoją drogą cesarski reskrypt inauguracyjny, odczytany na pierwszem posiedzeniu nowego sejmu stanowego dnia 16 czerwca r. 1817, znacznie pookrawał szczupłe rzeczywiste prawa zawarte w samym statucie, tak że prócz mundurów i formalności oraz przepisów o zorganizowaniu »wydziału« krajowego, prawie nic już nie pozostało.

Co teraz w dziełku p. Łozińskiego następuje, trzeba czytać w całości w książce samej. Jest to streszczony za urzędową *Gazetą Lwowską* opis potrójnego munduru: polowego, galowego i »narodowego«, którego rysunek wniesiony był na sejm, jako jedyny rzeczywisty projekt rządowy; dalej spis »arcyurzędów koronnych«, jako to: *primas regni,* najwyższy ochmistrz koronny, najwyższy marszałek koronny i t. d., razem ośmnaście, z których ostatnim był chorąży koronny, wszyscy zaś »bez cienia jakiejkolwiek władzy«; dalej wzmianki o napuszystych i hucznych ceremoniach, do których należało przepi-

sane przez samego cesarza wystawienie w sali sejmowej tronu z baldachimem, pod którym wisiał portret monarchy, przemawiającego w reskrypcie odczytywanym przez aktuaryusza (na pierwszej sesyi po niemiecku i po łacinie, na następnych po niemiecku i po polsku) do zgromadzonych inwokacyą następującą: »Najprzewielebniejsi, Przewielebni, Wielebni, Pobożni, Jaśnie Oświeceni, Jaśnie Wielmożni, Wielmożni, Urodzeni, Szlachetni, Sławetni, Uczciwi, Mili Nam Wierni!« Z czasem z tytulatury tej wyrzucono Urodzonych i Uczciwych. Sprawozdanie z posiedzenia inauguracyjnego z dnia 16 czerwca r. 1817 zakończyła urzędowa *Gazeta Lwowska* temi słowy: »Wszystko połączyło się dla godnego i przyzwoitego obchodzenia dnia, dla Galicyi tak ważnego i wesołego. Zgromadzenie sejmowe, na którem się licznie zebrani członkowie Prześwietnych Stanów p o n a j w i ę k s z e j c z ę ś c i w n o w y m m u n d u r z e znajdowali i na którem obecne było towarzystwo znakomitych słuchaczy i dam najpiękniejszych, sprawiało równie rozczulający jak rozweselający widok«. Autor dodaje: »W perspektywie historycznej dziś pozostał z wszystkiego już tylko — widok rozweselający!... Załoga lwowska, sfatygowana paradą sejmową, najdłużej zachowała w pamięci datę konstytucyi stanowej; gdyż zadowoleni z siebie cesarscy komisarze sejmowi (Kaźmirz Rzewuski i Stanisław Mniszek) ofiarowali jej za fatygę 3250 zł. wal. wied., stwarzając uciążliwy precedens napitkowy dla swych następców« (którzy jednak płacili już tylko 1000 zł., bo następny gubernator Hauer mniej rozwijał parady wojskowej, a natomiast zapamiętale kazał bić w dzwony całemi godzinami).

Z końcem sesyi pierwszej Stanów zreorganizowanych kończy się u p. Łozińskiego uwzględnianie komicznej strony tematu; odtąd autor umyślnie wystrzega się dostarczania materyału humorystyce, aby na scenie operetkowej wystawić dramat patryotyczny. Wielce szlachetny to zamiar, i przyznać trzeba autorowi, że z zadania nałożonego sobie *sua sponte* wywiązał się znamienicie; ale dodać wypada, że w niejakim zbytku gorliwości i optymizmu tu i owdzie przecenił znaczenie słów i faktów, zbyt idealnie pojął swoich bohaterów. Tak np. stąd, że Kaźmierz Rzewuski w r. 1817 nazwał sejm stanowy »zgromadzeniem narodowem«, a Jan Kanty Stadnicki w r. 1819 »reprezentacyą narodową«, wysnuwa autor zbyt daleko posunięty, zbyt pochlebny wniosek, przypisując im coś w rodzaju patryotycznej *reservatio mentalis* i jakieś nadzieje czy zamysły na przyszłość. Choćbyśmy nawet przypuścili, że wyrazu »narodowy« mówcy ci użyli w znaczeniu oficyalnem, w znaczeniu »narodu galicyjskiego«, jeszcze poczytalibyśmy słówko ich za

należące do skarbca napuszystej frazeologii, w której wówczas oczywiście się lubowano, do skarbca, z którego w r. 1823 zaczerpnięto słów lepiej już przez autora ocenionych: »Stało się zadość woli i życzeniu całego narodu!« Słowami temi powitała nieustająca komisya stanowa zgromadzone stany, oznajmiając im niesłychane ustępstwo rządowe: »Medal, mający uwiecznić pamięć współziomka naszego Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego już jest w istotnem wykonaniu!« O frazesie owym mówi p. Łoziński: »Biedna komisya stanowa, używając tak wielkich słów na małe sprawy, postąpiła w najlepszej wierze«. Tak jest, ale im lepsza wiara, tem dobitniejsze *testimonium paupertatis*. Mężowie rozumni i prawdziwie patryotyczni nie popadną w taką frazesowość już dlatego, aby stojącemu na niższym poziomie ogółowi nie zamydlać oczu. W r. 1823 na sesyi sejmu stanowego wyłoniła się »na żądanie niektórych obywateli« — jak mówi pobieżnie spisany protokół — kwestya, »czy nie należałoby się prosić cesarza, aby sejm w Galicyi odbywał się tylko co trzy lata«. Ci »obywatele«, oczywiście członkowie Stanów, byli niewątpliwie podbechtani przez osoby z sfer rządowych; sejm odrzucił propozycyę ich niemal jednomyślnie. Pan Łoziński dodaje komentarz taki: »Wiedziano dobrze, że cała konstytucya stanowa jest złudą a nie gwarancyą praw politycznych; że nie daje sejmowi praw, lecz same tylko pozory, ubrane w napuszysty ceremoniał; że wreszcie rząd sam, nie pytając nikogo i nie oglądając się na nikogo, mógł wszystko zmienić, ścieśnić, nawet całkowicie uchylić (znieść). Wiedziano o tem doskonale, ale pamiętano i o tem, że samemu sejmowi nie wolno przyłożyć ręki do żadnej podobnej arbitralności, że należy się twardo bronić nawet tych pozorów konstytucyjnych i raczej dążyć do ich rozszerzenia i wzmocnienia, aniżeli torować rządowi drogę do pozbycia się niewygodnego dlań balastu konstytucyjnego«. Na to zgoda; ale ponieważ szanownemu autorowi niedość tego, bo mówi jeszcze: »Niepodobna nie uznać i nie podnieść, że w tej uchwale sejmu stanowego objawia się zdrowy zmysł polityczny ówczesnego pokolenia szlachty g a l i c y j s k i e j« *(sic)* — przeto dodamy od siebie, że to uznanie i »podniesienie« *(Hervorhebung!)*, ten wielki przycisk położony na zdrowy zmysł polityczny wydaje się nam przesadą. Cóż tu podziwiać? Żadne żyjątko, choćby najmarniejsze, nie pozbawia się życia ani nagle ani pomału. Zresztą uprzytomnijmy sobie czasy, w których wszystko to się działo: Królestwo Kongresowe, republika krakowska, gwarancye traktatu wiedeńskiego dla całego narodu polskiego — aby podziwiać

nie zdrowy zmysł polityczny, lecz *quantillam sapientiam* szlachty »galicyjskiej«, która, choć miała odwagę żalić się cesarzowi na podszczuwawczą agitacyę biurokracyi wśród chłopów, nigdy nie śmiała powołać się na stypulacyę traktatu wiedeńskiego o swobodnym rozwoju narodowym, gdy w urzędach i szkołach grasowała germanizacya, krzewiona przez nasłaną hołotę. Na »podniesienie« zasługuje w sprawie powyższej nie uchwała sejmu, lecz po prostu zdrada »niektórych obywateli«.

W jednym z ostatnich ustępów dziełka spotykamy się ze zdaniem: »Galicya przebyła ponurą dobę porozbiorową bez szwanku dla swojego charakteru narodowego; zawdzięcza to wprawdzie głównie samej niespożytej sile polskości, ale w historyi odpornych zapasów z zamachami na tę siłę skierowanymi należy się i sejmowi stanowemu wdzięczne wspomnienie«. Czy tak jest rzeczywiście? O odpornych zapasach sejmu stanowego z zamachami na charakter narodowy, nie dowiadujemy się z książki p. Łozińskiego zgoła niczego; patryotyczna czynność Stanów, gdy pominiemy wybicie medalu na cześć Ossolińskiego, rozwijała się na polu ekonomicznem: »Towarzystwo kredytu ziemiańskiego«, »Kasa oszczędności we Lwowie«, »Towarzystwo gospodarskie« i inicyatywa w sprawie zniesienia pańszczyzny. Sprawa na ostatku wymieniona była wprawdzie wybitnie społeczną także, ale charakteru narodowego nie miała. A więc na polu narodowem w ściślejszem tego wyrazu znaczeniu Stany pomnika sobie nie wystawiły. Ale i wogóle nietrafne jest twierdzenie, że Galicya przebyła ponurą dobę porozbiorową bez szwanku dla swojego charakteru narodowego; natychmiast jednak prawdziwem okaże się to zdanie, gdy położymy przycisk na wyraz »s w o j e g o«; wtedy bowiem będzie to charakter o f i c y a l n i e narodowy — »n a r ó d g a l i c y j s k i«. Jakoż polskość poczyniła wówczas i czyni po dziś dzień wiele niepotrzebnych, dobrowolnych ustępstw na rzecz c. k. galicyanizmu.

Tyle oto mieliśmy autorowi wytknąć. Są to usterki, które pozostają do wartości dziełka mniej więcej w tym samym stosunku, co niektóre językowe i stylistyczne chyby autora, który w wielkim dziś roju pisarzy polskich należy do wyjątkowo znających ducha języka polskiego. Gdy je pominiemy, do wydanego już o dziełku sądu dodać nam wypadnie, że autor zapełnił niem w historyografii porozbiorowej szczerbę, której dotychczas się nie widziało, którą poznaje się dopiero po przeczytaniu książki.

Józef Glinkiewicz.

Portrety i Poezye. *Gabryela Jundziłłowa.* Warszawa. Księgarnia Michała Arcta. 1905.

Liryka szczera, wprost z życia wysnuta, dźwięcząca bezpośrednimi odgłosami serca i duszy nie jest za dni naszych zbyt częstem zjawiskiem. Liry pieśniarzy współczesnych aż nadto często zapożyczonymi dźwięczą tonami, dźwięczą pięknie na podziw, kunsztownie ponad wszelkie porównanie, ale jak obco nam nieraz, w jak słabem współzawodnictwie z odgłosami naszego życia realnego. Utwory liryczne, skupione w »Portretach i w Poezyach« p. Jundziłłowej wyróżniają się przedewszystkiem swoją szczerością, wysnute są z czysto osobistych wrażeń życiowych i przemawiają do nas bardzo żywym odgłosem serca poetki. Nie idzie jednak zatem, aby odtwarzały one wiernie świat rzeczywisty. Przeniknięte są na wskroś liryzmem, a wszelki liryzm z podmiotowego nastroju duszy twórczej wynika i bardzo przekształca zazwyczaj różne w niej odbicia otaczającej rzeczywistości przedmiotowej. Takie przekształcenia widzimy też w utworach zajmującego nas tu zbioru lirycznego, o ile one powstały z wrażeń świata zewnętrznego. Stosuje się to szczególnie do znacznej części zbioru, w której pod tytułami: »Portrety« i »Typy« kreśli autorka wizerunki poetyckie różnych osób z licznego bardzo koła swych przyjaciół i znajomych. Są to przeważnie osoby, należące do naszej arystokracyi rodowo-towarzyskiej. Owoż osoby te w niezmiernie wyidealizowanych »portretach« kreślonych przez poetkę, wyglądają tak, jak gdyby były najdoskonalszymi typami arystokracyi duchowej człowieczeństwa. Zapewne autorka niechciała w ten sposób utożsamiać ideału z rzeczywistością, wyidealizowała tę ostatnią mimowolnie pod wpływem lirycznego nastroju swej duszy i nazbyt może wygórowanych zachwytów wobec różnych mniej lub więcej dodatnich objawów natury ludzkiej, które wskutek tego ogromnemu w kreślonych przez nią portretach uległy spotęgowaniu. Nie chcę przez to powiedzieć, aby brakło zupełnie w tych portretach prawdy życiowej. Owszem obok idealizacyi znaleźć w nich można dużo rysów prawdziwych, odtworzonych z głębokiem uczuciem (n. p. w sonetach: »Zapoznana«, »Nauczycielka«, a osobliwie w niezmiernie głęboko odczutym »Autoportrecie«), albo też z bardzo subtelnem cieniowaniem artystycznem (n. p. »Pastel«, »W półtonach«, *A la fra Angelico*). Znajdujemy też kilka nader udatnych portretów satyrycznych; godne między nimi uwagi szczególnie »Mars« i »Retuszowany«. W pozostałych mniejszych i większych cyklach zbioru widzimy dość dużo rozmaitości, dużo różnorodnych wrażeń,

uczuć i nastrojów, zawsze bardzo osobistych i widocznie nie z wyobraźni, lecz z rzeczywistości wysnutych. Poezye miłosne odznaczają się śpiewną rytmiką; poezye opisowe (sonety cyklu »Egipt«) łączą obrazowość poetycką z liryzmem. Dział p. t. »Z dawnych i ostatnich pieśni« zawiera kilka utworów głęboko uczuciowych (»Do świata«, »Parki«, »Serce«, »Kołyska i mogiła«). Uczuciowość bardzo serdeczna, rzewna, a brzmiąca odgłosem nader smutnych wrażeń i przejść życiowych panuje wszechwładnie w szeregu sonetów zatytułowanych: »Łzy«, »Z dziedziny bezdźwięków«, »Z zaświata«. We wszystkich przemawia dusza poetycka bardzo idealnie nastrojona, skłonna do entuzyastycznych uniesień i zachwytów, pełna miłości dla świata i ludzi, ale tak boleśnie zawiedziona w swoich szlachetnych porywach, przemawiająca tak szczerze skargą rozwianych złudzeń, niezisziczonych marzeń. Uzupełniające zbiór wiersze satyryczne w formie listów poetyckich (»Listy męża do żony«, »List do redaktora«, »Listy wielbiciela«) ukazują nam kilka z życia wziętych rysów przeciwstawiających się w swym arcypospolitym realizmie idealistycznemu na wskroś usposobieniu poetki.

W. Gostomski.

Z piśmiennictw obcych.

Pourquoi les Catholiques ont perdu la bataille? *L'Abbé Naudet.* Paris Albert Fontemoing, éditeur. 1904.

La crise du liberalisme et la liberté d'enseignement. *G. Sortais.* Paris. P. Lethielleux, libraire-éditeur. 1904.

Na dwóch krańcach świata cywilizowanego toczą się współcześnie dwie walki powszechno-dziejowe, różnego charakteru, ale zarówno epokowego znaczenia: krwawa wojna rosyjsko-japońska na krańcowym Wschodzie azyatyckim, bezkrwawa wojna religijna, podjęta przez Rzeczpospolitą francuską na krańcowym Zachodzie europejskim.

Doniosłych ich skutków niepodobna teraz przewidzieć, ale prędzej czy później pojawić się one muszą. A kto wie czy mało stosunkowo zwracająca na siebie uwagi walka duchowa nie wywołała większych jeszcze przewrotów w świecie, aniżeli grzmiąca potężnem echem straszliwego huku dział walka orężna?

Mamy oto przed sobą pisma dwóch wybitnych autorów francuskich, którzy, uzupełniając się nawzajem, z odmiennych stanowisk

wystąpili ostatnimi czasy w obronie katolicyzmu i chrześcijaństwa przeciw potężnym jego wrogom, zwalczającym je zaciekle na czele większości parlamentarnej w stolicy nadsekwańskiej. Jeden z tych bojowników literackich, G. Sortais w pełnem erudycyi dziełku o przesileniu się liberalizmu i o wolności nauczania daje nam bardzo jasny i konsekwentnie rozwinięty pogląd na siły, środki i sposób walki strony napastniczej, czyli zwycięskiego dotąd antychrześcijańskiego rządu Rzeczypospolitej francuskiej — drugi ks. Naudet zastanawiając się nad pytaniem: dlaczego w dotychczasowym przebiegu walki katolicy francuscy doznali porażki? odsłania z właściwą sobie śmiałością różne wady i braki strony napastowanej, pozbawiające ją sił do skutecznej obrony.

Jaki jest główny czynnik napaści na katolicyzm i wogóle na chrześcijaństwo we Francyi? w jakim duchu jest ona podjęta i przeprowadzona? Wnosząc z pozorów i zgłoszonych przez nią haseł bojowych, sądzićby należało, że ożywia ją duch liberalizmu. Głębiej w rzecz wnikając, dochodzimy do przekonania, że ów liberalizm daleki jest od prawdziwej wolności, nie tylko w idealnem, ogólno-ludzkiem pojęciu, ale także w tem jej rozumieniu, które od czasów wielkiej rewolucyi służyło za podstawę i za punkt wyjścia wolnomyślicielstwu nowożytnemu.

Owóż p. Sortais dowodnie wykazuje nam przyczynę istotną tego przeciwieństwa pomiędzy współczesnym liberalizmem francuskim, a rzekomą jego podwaliną: ideą wolności. Liberalizm uległ przesileniu i utracił w niem swój prawdziwie liberalny charakter, zachowując tylko złudne jego pozory. Na czem polega ten charakter? Czem jest w istocie swej liberalizm? Jest on przedewszystkiem »przewagą prawa indywidualnego nad prawem społecznem, zwycięstwem wolności nad powagą, swobodnem rozpostarciem się jednostki i sprowadzeniem do *minimum* ciążącego nad nią przymusu państwowego«. Jakie są jego źródła najdalsze, jakie objawy zasadnicze w życiu nowoczesnem? Źródła jego sięgają daleko w przeszłość poza r. 1789, poczytywany zwykle za datę jego narodzenia, a objawy życiowe, w których on występuje, jakże są różnorodne! W reformacyi protestanckiej po raz pierwszy znajduje on zastosowanie na polu religijnem, w filozofii Kartezyusza na polu myśli oderwanej. W ślad zatem idą polityczno-społeczne doktryny russowskie, które tak silny wpływ wywarły na słynne »o z n a j m i e n i e p r a w c z ł o w i e k a« 1689 i 1793 r., oraz na związane z niem fakty rewolucyi; dalej mamy teorye wolnomyślnych ekonomistów nowożytnych, naukę Kanta o bezwzględnej autonomii woli ludzkiej,

występujące pod mianem romantyzmu krańcowo wolnomyślne zapędy Wiktora Hugo i wiele podobnych kierunków i dążeń w różnorodnych dziedzinach współczesnej naszej kultury.

Jakież są owoce tych rozmaitych form liberalizmu? Autor francuski ukazuje nam stopniowe ich zwyradnianie. W protestantyzmie religijnym postępujący wciąż rozkład dogmatów i zasad, w filozofii zwątpienie, w nauce coraz dobitniejsze stwierdzenie granic samodzielnego poznania, w stosunkach ekonomicznych ustalająca się pod hasłem wolnej konkurencyi, faktyczna niewola klasy robotniczej, w moralności zamęt, w poezyi i sztuce zboczenia, dochodzące niekiedy do potworności.

Najwidoczniejsze jednak jest bankructwo liberalizmu we współczesnem życiu społecznem i politycznem. Teoretycznie stwierdzone ono zostało przez najwybitniejszych myślicieli naszej epoki, jak Comte, Le Play, Taine, których badania wykazały dowodnie, że dawne teorye wolnomyślne żadną miarą nie dadzą się pogodzić z wynikami nauki nowożytnej, a stosowane w życiu jak najzgubniejsze wydały owoce. Jakoż w praktyce straciły one obecnie całkiem prawie swoje znaczenie i w dążeniach najbardziej krańcowych swych przedstawicieli doszły ostatecznie do zaprzeczenia własnej swej istocie.

Okazuje się to jasno w całej polityce antyreligijnej radykalnego stronnictwa, rządzącego obecnie Francyą, a szczególnie w zastosowaniu jej do sprawy wychowania i nauczania publicznego. Przez zniesienie i zakaz szkół zakonnych i wogóle wyznaniowych, oraz przez wprowadzenie monopolu szkolnictwa państwowego, ograniczoną została faktycznie wolność obywatelska w jednej z najważniejszych spraw życia, jaką jest niewątpliwie sprawa wychowania przyszłych pokoleń. Rodzice chrześcijańscy we Francyi nie będą mogli odtąd kształcić w szkołach publicznych swych dzieci w zasadach swej wiary; owszem zgodzić się muszą na naukę podkopującą w sercach dzieci owe zasady lub nawet wprost im wrogą. Czyż to ma być prawdziwa wolność i tolerancya?

Zwolennicy i obrońcy urzędowego liberalizmu francuskiego tak odpowiadają na ten zarzut. Przecież w szkołach naszych nie myślimy narzucać wychowańcom żadnych określonych, pozytywnych wierzeń. Chcemy tylko dać im podstawy bezwyznaniowego wykształcenia humanitarnego, które rodzice i wychowawcy uzupełniać mogą, jeśli chcą, jakiemikolwiek wyobrażeniami religijnemi. Chodzi o to, aby one nie były zaszczepiane w szkołach bezwłasnowolnemu i nieświadomemu

dziecku, aby mu pozostawić swobodę wyboru w wierzeniach i przekonaniach.

Ale czy istotnie ta swoboda będzie mu pozostawiona w szkole bezwyznaniowej? Czy umysł dziecinny nie będzie w niej napełniony mnóstwem uprzedzeń przeciw katolicyzmowi, chrześcijaństwu i wszelkiej wogóle religii pozytywnej? Gdzież tu mówić o swobodzie wyboru, gdy dziecko nie będzie obznajomione z prawdziwemi zasadami chrześcijańskiemi lub pozna je tylko w fałszywem, stronniczem oświetleniu!

Pomińmy wszakże to pytanie. Przypuśćmy, że chrześcijanie francuscy przez nauczanie domowe będą mogli w umysłach swych dzieci uzupełniać braki lub naprawiać szkody wykształcenia szkolnego. Zachodzi tu jednak inne pytanie. Jakie prawo ma rząd liberalny, republikański, szanujący rzekomo zasadę wolności obywatelskiej odbierać znacznej części ludności krajowej swobodę zakładania i utrzymywania szkół publicznych, prowadzonych w duchu pewnych określonych zasad i przekonań? Jak to? Więc każdy anarchista może swobodnie organizować związki, dążące do zniszczenia zasadniczych podstaw bytu społecznego, każdy najnikczemniejszy spekulant może zakładać instytucye wyuzdanej rozpusty publicznej, a chrześcijanin pozbawiony ma być możności organizowania w duchu swych zasad nauki publicznej i zakładania szkół, odpowiadających jej potrzebom?

Czyż taki stan rzeczy może być usprawiedliwiony w imię prawdziwej wolności? Mówią nam, że interes państwa wymaga nieodzownie przyznania mu monopolu nauczania publicznego, pozwalającego mu kształcić przyszłych obywateli odpowiednio do swych potrzeb. Ale cóż to za państwo liberalne, republikańskie, którego istnienie nie daje się pogodzić z poszanowaniem zasadniczych praw i swobód obywatelskich? Nastręcza się tu odwieczne zagadnienie tak genialnie sformułowane przez naszego bajkopisarza: czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa? Dzisiejsze stronnictwo rządzące we Francyi, podobnie jak złotnik Krasickiego wydaje wyrok bezwzględny a szczery: nos dla tabakiery, obywatele dla Rzeczypospolitej. Rzecz prosta. Złotnik ciągnie korzyści z wyrabiania tabakier, pseudo-liberalni politycy francuscy ciągną korzyści z Rzeczypospolitej takiej, jaką ona jest obecnie: bezwyznaniowej i antychrześcijańskiej. Cóż ich obchodzą swobody i prawa obywatelskie, jeśli nie dadzą się one pogodzić z interesem ich kliki?

Wszelako katolicy francuscy nie mają dobrego powodu dobrowolnie na rzecz tego interesu wyrzekać się najsłuszniejszych i najświętszych swych praw. Nie dziw też, że ich rzecznicy, a pomiędzy

nimi i zajmujący nas tu autor pracy o »Przesileniu się liberalizmu« wypowiadają otwartą wojnę antychrześcijańskiej polityce rządu. Sił i środków do niej nie powinno im braknąć. Wszakże nie cała Francya współczesna antychrześcijańską się stała. Zapewne, gorliwych, silnych przekonaniem wewnętrznem chrześcijan niewielu w niej dziś znaleźć, ale mniej lub więcej obojętni i neutralni w toczącej się walce religijnej zawsze chyba ogromną większość stanowią. Zacietrzewieni wrogowie chrześcijaństwa stosunkowo są nieliczni. Dlaczego jednak odnoszą zwycięstwa nad jego obrońcami? dlaczego pociągają za sobą tłumy obojętnych, które dają im większość na wyborach i w izbach? dlaczego, jednem słowem, katolicy francuscy przegrywali dotąd bitwy, toczące się w sprawie religii?

Oto są pytania, które stawia sobie ks. Naudet w broszurze polemicznej, z którą z kolei pragnąłbym zapoznać czytelników.

Przedewszystkiem słów parę o jej autorze.

Oryginalna to wielce postać ten wojowniczy ksiądz-publicysta który w wydawanym przez siebie tygodniku p. t. *La justice sociale* i w licznych studyach, broszurach i rozprawach rozwija ogromną werwę polemiczną i niemniejszy talent pisarski, gromiąc nie tylko wrogów chrześcijaństwa, lecz również nieudolnych jego obrońców, przez swe błędy i zaślepienie często więcej szkody, aniżeli pożytku przynoszących bronionej sprawie.

Podstawą i punktem wyjścia księdza Naudeta jest szczera, jawna i stanowcza domokracya chrześcijańska, godząca się z republikańskim ustrojem Francyi i z warunkami kultury nowożytnej, gotowa popierać wszystkie dążenia do reformy społecznej, o ile te nie są wrogie chrześcijaństwu. Zająwszy to stanowisko, z wielką odwagą i konsekwencyą zwalcza śmiały polemista wszelkie przymierza pomiędzy katolicyzmem a zachowawczością, występującą pod różnemi postaciami w klerykalnych, monarchicznych, arystokratycznych i kapitalistycznych zasadach i wyobrażeniach współczesnych. Wszelkie podobne przymierza poczytuje on nie tylko za zgubne dla sprawy katolickiej, lecz także za sprzeczne z istotnem jej zadaniem, z jej naturą wewnętrzną. Jakże można, mówi, łączyć powszechną, wiekuistą sprawę wiary z widokami jakiegoś stronnictwa, jakiegoś czasowego kierunku? Katolicyzm nie może, nie powinien ani utożsamiać się ani łączyć z tem, co miejscowe, przemijające, ograniczone w czasie i przestrzeni. Jego zadaniem isto-

tnem: wiekuiste trwanie i działanie w duszach ludzkich w pośród wszelkich możliwych czynników i stosunków życiowych.

Jakże często katolicy francuscy przeniewierzali się i przeniewierzają tej zasadzie! Jak często interesy swego wyznania zespalali z interesami swego stronnictwa politycznego, swoich przekonań i upodobań, mniej lub więcej zachowawczych, często zgoła reakcyjnych. W ostatniej swej pracy na postawione w jej tytule pytanie: dlaczego katolicy przegrali bitwę? — odpowiada wprost: dlatego, że walczyć nie umieli, że posługiwali się bronią niewłaściwą, przestarzałą, zardzewiałą, wydobytą ze starodawnych, zachowawczych arsenałów arystokratycznej i monarchicznej Francyi.

Odpowiedź tę rozwija i uzasadnia autor w szeregu rozdziałów, w których oświetla żywo różne widownie i różne momenty walki, jaką katolicy francuscy toczą obecnie ze swymi wrogami, usiłującymi z całą bezwzględnością niweczyć i tępić wszelkie objawy ducha chrześcijańskiego w życiu współczesnem. Światło do tych śmiałych krytycznych oświetleń sprawy katolickiej czerpane jest zawsze z najczystszych, najistotniejszych jej źródeł: z Ewangelii i z postanowień naczelnej władzy kościelnej.

Słowami ewangelicznemi usprawiedliwia autor przedewszystkiem zasadnicze swe wobec tej sprawy stanowisko: — Prawda was wyzwoli, powiedział Chrystus. Mówić prawdę: — oto najpierwszy obowiązek tych, co w Niego wierzą, mówić ją otwarcie, wprost w oczy nie tylko wrogom lecz także przyjaciołom i współwyznawcom, o ile ci zbaczają z prostych jej dróg na błędne gościńce różnych umówionych fałszów, uświęconych niekiedy wiekowem trwaniem i powagą najczcigodniejszej choćby tradycyi.

Takim umówionym, odwiecznym, tradycyonalnym fałszem we Francyi jest łączność pomiędzy katolicyzmem i monarchią arystokratyczną, oraz wynikające stąd zasadniczo wrogie stanowisko większości katolików francuskich względem współczesnej demokratyczno-mieszczańskiej formy rządu w ich ojczyznie i wogóle względem demokratycznego ducha naszej epoki. A jednak ten duch tak żywotną, tak niezwalczoną za dni naszych stanowi potęgę, a odpowiadający mu najwięcej ustrój republikański tak głębokie zapuścił korzenie we Francyi współczesnej. Nie dziw, że dążności, rozwijające się pod wrogiemi im hasłami, nie mogą dzisiaj liczyć na powodzenie. Dokąd one zaprowadziły katolików francuskich? Gdzież jesteśmy obecnie? — zapytuje ks. Naudet. I w odpowiedzi kreśli bardzo niepocieszający obraz powszech-

nego zobojętnienia religijnego we Francyi i wzrastającej w niej wciąż niechęci do katolicyzmu. Czy winna tu tylko przewrotność jego wrogów? Czy część winy nie należy włożyć na błędy jego obrońców? Nasz autor nie waha się twierdząco odpowiedzieć na to ostatnie pytanie i wykazuje śmiało ujemny w tym względzie wpływ najwybitniejszych nawet, w literaturze francuskiej rzeczników myśli katolickiej. Uderza na takie nawet powagi jak de Maistre i Bonald.

»Na nich, mówi, złożyć należy znaczną część odpowiedzialności za błędy, jakie w ciągu ostatniego stulecia popełniły we Francyi myśl i działalność katolicka«. I cytuje zdanie de Maistra o »szatańskiej w swej istocie rewolucyi francuskiej« i zdanie Bonalda o zbyteczności dla ludu nauki czytania i pisania. »W ciągu przeszło sześćdziesięciu lat, mówi dalej, katolicy francuscy żyli podobnemi ideami; ale ponieważ idee wprost przeciwne były prawdziwe i w końcu osiągnęły zwycięstwo, pokonani zostali wraz ze swymi zasadami. Popierali monarchię z prawa Bożego: republika i głosowanie powszechne dziś ostatecznie ustalone zostały; przeklinali wiedzę: wiedza dzisiaj jest władczynią świata; w prawie szkolnem nie chcieli rozróżniać pierwiastków dobrych od złych: zła strona tego prawa dzisiaj tryumfuje«.

Takim sposobem katolicy francuscy, występując przeciwko wszelkim najżywotniejszym prądom rozwoju nowoczesnego, lub zdala od nich się trzymając, utracili stopniowo wszelki wpływ w społeczeństwie własnem, które rozwojem tym żyło i zdobyczy jego wyrzekać się nie myślało. Skorzystali z tego wrogowie katolicyzmu. Na walce z nim oparli całą swą politykę i zdołali go przedstawić postępowym żywiołom społecznym jako główną oporę wszelkiej reakcyi i główną zawadę na drodze postępu.

Niezręczni, zaślepieni w swych uprzedzeniach stronniczych obrońcy sprawy katolickiej, poparli mimowoli to oszczerstwo: dali powód do fatalnego nieporozumienia, do pomieszania powszechnej idei religijnej z przekonaniami i dążeniami, które, bardzo może w swym zakresie szanowne, posiadają jednak tylko względne, przemijające znaczenie, a za dni naszych w całym świecie cywilizowanym, szczególnie zaś we Francyi najwidoczniej tracą coraz bardziej dawną swą siłę żywotną. Jakżeż wyzyskane zostało to nieporozumienie przez współczesną akcyę antykatolicką, jak ułatwiło jej obecne zwycięstwo w walce *stronnictw*! A jednak nie brakło ostrzeżeń przed niebezpieczeństwem, ostrzeżeń, pochodzących od najwyższej władzy Kościoła. Papież Leon XIII w całym szeregu odezw i listów zalecał katolikom francuskim porzucenie

zasadniczej opozycyi przeciwko postępowemu duchowi czasu, otwarte i stanowcze pogodzenie się z republikańską formą rządu. Głos jego nie znalazł powszechnego posłuchu, spotkał się nawet z mniej lub więcej wyraźną opozycyą. Powoływano się na prawo niezawisłości od papieża w rzeczach świeckich, przytaczano odwieczną łączność we Francyi pomiędzy katolicyzmem a monarchią.

Ks. Naudet wyczerpująco całą tę sprawę przedstawia. Przytacza bulle, encykliki i listy papieskie, głosy dzienników i stronnictw. Wykazuje obowiązkową dla katolików uległość władzy naczelnej Kościoła w sprawach, w których interes Jego najwidoczniej w grę wchodzi; wreszcie rzuca właściwe światło na stosunek dawnej monarchii do katolicyzmu, na bezgraniczną, tyrańską jej samowolę względem Kościoła i duchowieństwa, na liczne w tym względzie nadużycia, przewyższające najjaskrawsze bezprawia dzisiejszego rządu republikańskiego. Skąd więc to oddanie się katolików sprawie monarchicznej i złączonemu z nią arystokratyzmowi? Czyż nie słuszniej byłoby im połączyć się ze sprawą demokracyi nowożytnej, tej »Ewangielii w czynie«, jak się wyraża autor, i całą siłą poprzeć sprawę socyalną, ten węzeł gordyjski naszych czasów, od rozwiązania którego cała ich przyszłość zależy? Niedość walczyć z dzisiejszym socyalizmem i jego tendencyami antychrześcijańskiemi; niesłusznem jest czasem w imię religii bronić istniejącego porządku rzeczy, opartego na bezczelnym wyzysku pracy ludzkiej przez nienasycenie żarłoczny kapitalizm mieszczański. Głosy protestu przeciwko temu porządkowi, jak się wyraża kardynał Manning, to nie zawsze krzyk nienawiści, często krzyk głodu, pragnienia, nędzy, rozpaczy. Szczerzy wyznawcy idei Chrystusowej nie tylko zalecaniem rezygnacyi winni nań odpowiedzieć. Głodnych nakarmić, nagich przyodziać — to najświętsze ich obowiązki. Należy im otwarcie stanąć po stronie cierpiących i gnębionych, zamiast wchodzić w przymierza z zachowawczemi stronnictwami uprzywilejowanych gnębicieli.

»Wskutek jakiego zboczenia umysłowego, mówi ks. Naudet, sami oznaczaliśmy się w okresie ostatnich lat trzydziestu mianem zachowawców? Co mamy zachowywać? Czy stan społeczny, będący krańcowem przeciwieństwem prawa chrześcijańskiego i Ewangielii, stan, w którym, jak mówi Leon XIII, wielu ludzi nie posiada *minimum* dobrobytu, nieodzownego do pełnienia cnoty?« Nie trzeba się łudzić. W warunkach ziemskiego istnienia cnota zależna jest nie tylko od moralnych lecz i od materyalnych względów. Wśród nędzy i niedo-

statku mnożą się występki, godność ludzka upada. Kto chce ludzi podnieść i oświecić światłem wyższej idei, musi liczyć się z tym faktem. Chrystus nie tylko nauczał, lecz także uzdrawiał chorych, karmił głodnych, rozdawał jałmużnę. Wśród naszych zawiłych stosunków społecznych jałmużna nie wystarcza do nakarmienia głodnych. W imię Chrystusa należy podjąć działalność społeczną, odpowiadającą danym warunkom ekonomicznym i należy z imieniem tem zejść pomiędzy lud i nieść mu pomoc w jego potrzebach, ulgę w jego cierpieniach.

Czy katolicy francuscy czynili próby jakiegoś działania w tym kierunku? — Czy obok akcyi czysto dobroczynnej, wspierającej jednostki upośledzone, podejmowali jaką szerszą akcyę ekonomiczno-socyalną, mającą na celu zbiorowe interesy klas ludowych?

Ks. Naudet przecząco odpowiada na te pytania. Z własnego i swych towarzyszy demokratyczno-chrześcijańskich doświadczenia przytacza fakty, świadczące, z jaką podejrzliwością i niechęcią widziane są w sferach katolickich we Francyi wszelkie usiłowania, podejmowane na polu dążeń socyalnych, jaka w tych sferach obojętność dla nowoczesnych zagadnień społecznych i złączonych z niemi najżywotniejszych interesów ludu francuskiego. Nie dziw, że lud ten, od dawna zachwiany w wierze, zobojętniały dla idei chrześcijańskiej, stracił stopniowo zaufanie dla katolickich jej przedstawicieli, zniechęcił się do nich ostatecznie i swem głosowaniem popiera garstkę zacietrzewionych sekciarzy antychrześcijańskich, szalbierzy i kuglarzy politycznych, którzy bezwzględną, ślepą, bezrozumną walkę z katolicyzmem postawili na czele swego programu.

A jakież środki obrony przeciwstawili katolicy zuchwałym ich napaściom? — Autor rozpatruje kolejno różne dziedziny działalności bojowej swych współwyznawców i wskazuje wszędzie błędy, zaniedbania, niezrozumienie ducha czasu, niezdolność przystosowania się do najsłuszniejszych nawet jego wymagań. Przedewszystkiem w zakresie czysto religijnym mieszanie rzeczy istotnych z mniej lub więcej przypadkowymi, zasad wiary z wierzeniami niezasadniczemi, t r a d y c y i katolickiej z t r a d y c y a m i religijnemi danej epoki, danej klasy społecznej, danej sfery towarzyskiej. »Wszystko, lub nic, mówią niektórzy nieprzejednani w swej żarliwości formaliści. Owóż to ich »wszystko«, obok tego, co nam nakazuje Kościół, zawiera i to, co im się podoba nam narzucać«. Jakie szkody wynikają dla katolicyzmu z tej nietolerancyi i ciasnoty wielu urzędowych i nieurzędowych jego rzeczników! Pamiętają oni tylko o widzialnem c i e l e Kościoła powszechnego, za-

pominają o niewidzialnej jego d u s z y, w skład której wchodzą wszystkie czyste i szlachetne dusze ludzkie, świadomie lub bezwiednie dążące do najwyższych ideałów chrześcijańskich. Zadanie polega na tem, aby niewidzialna ich jedność z Kościołem powszechnym stała się widzialną w rzeczywistem odrodzeniu całego człowieczeństwa. A czyż to będzie możliwe, jeśli do znamion tej jedności widzialnej czyli do składu ciała Kościoła Chrystusowego zaliczymy wierzenia i wyobrażenia religijne, które tylko w danej epoce i w danej sferze społecznej panują, ale trwałego wiekuiście i ogólno-ludzkiego znaczenia mieć nie mogą? Kościół nigdy ich za dogmaty wiary nie podawał; dlaczego, pyta autor, pisarze katoliccy we Francyi wkluczają je do wykładu jej prawd zasadniczych, zacieśniając przez to dziedzinę wolności ducha w kościele powszechnym i jego tolerancyi religijnej?

Ostatnie rozdziały swej pracy poświęca ks. Naudet rozwiązaniu poszczególnych w różnych sferach objawów współczesnej akcyi katolickiej we Francyi i ukazuje w nich, bądź zaniedbania i opuszczenia naganne, bądź też błędy taktyczne, jednostronność lub ciasnotę poglądu na różne bieżące sprawy społeczne, zbyt uprzedzone względem nich w praktycznem działaniu stanowisko. Zwraca głównie uwagę na dziedzinę prasy i szkolnictwa. Pierwszej wedle jego zdania, katolicy dla swych celów nie umieli należycie zużytkować: stworzyli niewiele stosunkowo prawdziwie żywotnych, wpływowych, umiejętnie prowadzonych organów prasy, nie popierali dostatecznie tych, które zadaniu swemu najlepiej odpowiadały, a jak często zapoznawali znakomite talenty pisarskie, sprawie katolickiej wiernie i dzielnie służące. Obok naszego autora, który, jako wybitny, a na wskroś samodzielny działacz literacko-publicystyczny niemało w tym względzie musiał zapewne przebyć ciężkich doświadczeń i zawodów, można tu przytoczyć jednego z najznamienitszych pisarzy Francyi spółczesnej, Ernesta Hello, którego pisma, ożywione przedziwnie podniosłym duchem religijno-katolickim, niezmiernie bogate w treść i jaśniejące oryginalną świetnością stylu, zupełnie prawie przeszły niespostrzeżenie, gdy tymczasem niejeden płytki ale zręczny kuglarz literacki przeciwnego obozu zbierał obfite laury we Francyi i w Europie.

Dalej zastanawia się ks. Naudet nad stanowiskiem katolików francuskich w kwestyi szkolnej. Uznaje i silnie uwydatnia słuszność ich walki przeciw wyraźnie antychrześcijańskiej i bezbożnej szkole państwowej, przeciwko jej monopolowi, wykluczającenu możność działalności na polu oświaty publicznej w duchu chrześcijańskim, dlaczego

jednak nie chcieli i nie umieli korzystać katolicy z tych środków, dostarczonych przez szkoły istniejące, jakimi mogli posługiwać się dla pomnożenia swych sił umysłowych bez ujmy dla swych przekonań religijnych? I w tym względzie stawia ks. Naudet swym współwyznawcom bardzo poważne zarzuty.

»Czemu przypisać należy, że Jezuici prawie wyłącznie przygotowują swych wychowańców do szkoły wojskowej lub marynarskiej? Niektórzy utrzymują, że przypisać to należy arystokratycznemu charakterowi owych szkół. W tych sferach społecznych, z których pochodzą przeważnie uczniowie jezuiccy, oficer i marynarz, bardzo dobrze zawsze są widziani, gdy tymczasem profesor, choćby ich nieskończenie przewyższał przymiotami moralnymi i umysłowymi, będzie zawsze należał do jakiejś niższej kategoryi ludzi. W ten sposób (bezwiednie może nieraz) podporządkowywano interes społeczny klasowym przesądom i zamiast na kierowników nawy publicznej wychowywano najzdolniejszą i najzasobniejszą w środki młodzież katolicką na takich, co zawsze pod cudzym pozostają kierunkiem. I dziwić się potem, że przegraliśmy bitwę! Trzebaby ciągłych cudów, abyśmy ją wygrać mogli. W ciągu ubiegłego wieku, głosząc wciąż, że posiadamy prawdę najwyższą, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby uniknąć wszelkiej sposobności przeciwstawienia jej panującym błędom. Wszędzie, gdzie walczyły idee, miejsce nasze było niezajęte. Niektóre wyjątki nieprzeczą prawdzie tego ogólnego spostrzeżenia«.

Wszelako pomimo tych surowych, pesymistycznych sądów o działalności katolików we Francyi, ks. Naudet ani na chwilę nie wątpi o ostatecznem w niej zwycięstwie katolicyzmu. »Trzeba tylko, aby ogół jego wyznawców zrozumiał należycie ducha czasu i ocenił znaczenie dwóch zasadniczych czynników: wiedzy i demokracyi, wiedzy tj. myśli usiłującej poznawać i przez poznanie świadomie lub nieświadomie uczcić prawdę bożą; demokracyi, tj. »dobrej nowiny«, zupełniej i szerzej ogarniającej ogół ludzki«.

Pogodzenie wiary z postępem, ożywienie demokracyi nowoczesnej duchem chrześcijańskim i odwrotnie wprowadzenie ducha demokratycznego w praktykę życia współczesnych chrześcijan-katolików: oto idea przewodnia wszystkich dążeń śmiałego kapłana-polemisty. Opiera się w nich zawsze na gruncie ścisłej prawowierności katolickiej. Na czele każdego numeru wydawanego przez siebie czasopisma *La justice sociale* umieszcza oświadczenie, przez które wszystkie zawarte w nim przekonania i poglądy bezwarunkowo poddaje pod sąd naj-

wyższej władzy kościelnej, we wszystkich swych pismach, a osobliwie w rozważonym tu traktacie o przyczynach klęsk, jakie dotąd ponoszą katolicy francuscy w walce ze swymi wrogami rządowymi, powołuje się zawsze na opinie, wskazówki i zalecania, wyrażone w licznych odezwach papieskich i uznaje je za jedynie słuszną i obowiązującą bezwzględnie podstawę dążeń dobro kościoła mających na celu.

Wogóle cała działalność księdza Naudet jest wynikiem i zastosowaniem praktycznem, natchnionej duchem bożym, mądrej i doniosłej inicyatywy Leona XIII-go w sprawach społecznych. Jakże mało znalazła ona podobnych zastosowań w rzeczywistości życia katolickiego naszej epoki, jak mało przez szerszy ogół była w niej zrozumiana i odczuta. Co za dziw — powtórzmy z księdzem Naudet — że katolicy przegrali bitwę! Oby z tej przegranej wyciągnęli dla siebie naukę na przyszłość, oby dzielniej, umiejętniej, lepiej dobraną bronią prowadzili nadal walkę, jaka ich jeszcze czeka! A może ta walka jest nieodzownym, opatrznościowym warunkiem przyszłego ich odrodzenia, powstania z wiekowego zastoju, wyzwolenia się z ciasnych wyobrażeń, ze stronniczych uprzedzeń, z zastarzałych nałogów i tym podobnych naleciałości, które z dobrem religii i kościoła nic nie mają wspólnego? Jeśli wierzymy w Chrystusa, czyż możemy wątpić o odrodzeniu się jego wyznawców i o zwycięstwie jego kościoła?

»Oto dlaczego, mówi nasz autor w zakończeniu swej pracy, nie trzeba nigdy rozpaczać. Sekciarze dzisiejsi przeminą, jak przeminęli dawniejsi. Walcząc z nimi i nie dopuszczając, aby gubili dusze ludzkie, raczej żałować, aniżeli obawiać się ich potrzeba. Bóg, władca wieków, jest zwycięzcą.

Laudetur Jesus Christus!«

Walery Gostomski.

La peur de vivre. Roman. Couronné par l'Académie française. *Henry Bordeaux.* Paris. Albert Fontemoing, éditeur.

Obawa życia! — ten tytuł nosi powieść nagrodzona przez Akademię francuską; powodzenie jej znaczne, bo wychodzi już w 25 wydaniu, to znaczy, że dwadzieścia pięć tysięcy egzemplarzy rozeszło się po świecie. Jest to powodzenie jakiem dotąd cieszyło się głównie tylko kilku uprzywilejowanych; pan Henryk Bordeaux właśnie wchodzi w ich liczbę przez tę powieść *Peur de vivre.*

W ciekawej przedmowie do 25-ej edycyi rozwija ten pisarz swoje pojęcie o obawie życia. »Jest to choroba, która głównie prze-

śladuje społeczeństwa o starej cywilizacyi: symptomata tych suchot moralnych są różne, na oko zupełnie sobie przeciwne.

Pierwszy rodzaj tej obawy życia — najwięcej dzisiaj rozpowszechniony — został napiętnowany przez Dantego żelazem rozpalonem pogardy. Prowadzony przez Wirgiliusza, poeta przychodzi do bramy »stolicy łez«. Jeszcze jej nie przestąpił a już słyszy wznoszący się ku niemu z otchłani jęk, płacz i narzekania, które rozchodzą się ponuro i żałośnie pod ciemnem, bezgwiezdnem niebem.

Dante, przerażony, pyta swego przewodnika o objaśnienie, kto jest ta rzesza przytłoczona żałością. I na to słyszy odpowiedź: Ten nędzny los, to los tych dusz smutnych, które żyły bez nagany ale i nie zasłużyły na pochwałę. Przyłączone są te dusze do tych rzesz anielskich, które nie były ani Bogu oddane, ani nie miały odwagi na bunt otwarty. Tych aniołów odtrąciło niebo, ale i piekło ich odrzuca.

I dalej pyta Dante, jakąż jest ich kara, jaki los? »Powiem ci pokrótce — mówi Wergili. — Nie mają nadziei śmierci a ich życie ponure jest tak podłe, że zazdroszczą każdemu innemu jego losu; świat nie zachował ich wspomnienia, miłosierdzie zaś i sprawiedliwość się niemi brzydzą — i kończy: »Nie mówmy już o nich — popatrz tylko i przejdź«.

Guarda e passa...

Wspaniały ten ustęp z »Piekła«, znajdujący się w III pieśni trzeba dopiero czytać w oryginale, by całe głębokie znaczenie myśli Dantego zrozumieć. I tak, jak każda myśl wielkiego gieniusza roztwiera horyzonty szerokie, tak to odkrycie choroby dusz leniwych, trwożących się, lękających się wysiłku i pracy — pełne jest tragizmu. Takie usposobienia spragnione przedewszystkiem spokojnej, egoistycznej wygody, uciekają od wszystkiego, co jest walką, ryzykiem, co naraża na trud i odpowiedzialność. Jest to egoizm, który woli wyrzec się użycia nawet, byle nie mieć kłopotu zagrażającego wygodzie. Ten egoizm, ta obawa życia każe się wystrzegać wszystkiego, coby mogło zakłócić spokój. Niech nawet szczęście się uśmiechnie, niech miłość czarodziejską przyszłość obiecuje, to jeżeli tylko trzeba zdobycie ich okupić jakąś pracą, niewygodą, wyrzeczeniem, człowiek zarażony chorobą obawy życia wsuwa się co prędzej w swą skorupę ślimaczą, byle nie męczyć się i nie ryzykować.

Ta sama obawa życia nie daje obrać zawodu, który się łączy z niebezpieczeństwem, z narażeniem się. Ta obawa życia odbiera chęć do służby dla kraju, do pracy społecznej, do wykorzystania całej swej

młodości i siły. Obcinając spokojnie kupony od listów zastawnych, złożonych w bankach angielskich, wykwintny światowiec patrzy z pogardą na garstkę szaleńców borykających się z trudem z przeciwnościami, aby podnieść przemysł i rolnictwo ubogiego kraju. Po co mi ryzyko? — mówi taki człowiek z uśmiechem wyższości. A tymczasem ludzie wytrwali i uparci obcej nam i wrogiej rasy opanowują ziemię, przemysł, rolnictwo.

Kontrastem starej Europy, tak bardzo podlegającej chorobie woli i obawie wysiłku, jest Ameryka. Jej prezydent Roosevelt w pismach swoich i czynach dowodzi i daje przykład, że żyje się tylko wtedy całą pełnią, jeśli to życie umie się zdobyć i opanować« ...

Przedmowa do najnowszego wydania powieści p. Bordeaux podnosi znaczenie całej jego książki. Może bez tego podkreślenia tezy, którą sobie założył cytatem Dantego, nie od razu przeciętny czytelnik zda sobie sprawę z wartości tej powieści: *La peur de vivre*. Tylko to, co od razu uderza, to jej atmosfera najzupełniej odmienna od przeciętnej większości powieści francuskich. Jakiś inny, czysty powiew — coś ze zdrowej a ostrej alpejskiej przyrody Sabaudyi przechodzi przez te kartki. Odblask śnieżnych wierzchów, cierpka surowość życia, pełnego trudów, miesza się w misterny sposób z duszącą, pełną jakichś niezdrowych wyziewów wyrafinowaną cywilizacyą, która z Paryża promieniując, ogarnia bogatsze sfery społeczne. Autor wywołując porównania, zarazem piętnuje całą zgniliznę, kruchość i słabość ludzi żyjących właśnie w tym sztucznym świecie...

Rzecz dzieje się w Sabaudyi koło Chambery, niedaleko wykwintnych, światowych kąpiel Aix-les-bains. Cała uwaga i sympatya czytelnika skupia się na zacnej rodzinie Guibert. Ojciec rodziny, doktor, już nie żyje — padł ofiarą swego zawodu, a krótko przed śmiercią zapłaciwszy długi za brata, zostawił swą rodzinę bez majątku. Ale wszyscy w niej to ludzie dzielni, nieznający, co to jest obawa życia! Dr. Guibert zostawił po sobie żywy pomnik w tej odwadze i sile woli, którą natchnął żonę swą i dzieci. Synowie poszli w świat: dwóch pracuje w koloniach, zdobywając energią i przedsiębiorczością niezależny byt w Tonkinie; najmłodszy, Marceli, służy w wojsku i zdobywa sławę w afrykańskich wyprawach. Jedna z córek w klasztorze, jako Szarytka, służy społeczeństwu. Najmłodsza, Paula, została z matką tylko w gnieździe rodzinnem, odważnie i z godnością stawiając czoło próbom życia, znosząc dzielnie stratę majątku i zmianę w usposobieniu przyjaciół dawniejszych, którzy żyjąc wśród gwaru i zbytku wielkiego świata,

odsuwają się od nich. Dwa te światy spotykają się na dworcu: pełna elegancyi, sprytu, dowcipu i zepsucia klika próżniacza, w której przewodzi spragniona znaczenia pani Dulaurens, energiczną ręką prowadząca męża spragnionego spokoju i śliczną, niezdecydowaną córkę Alicyę. Niegdyś dr. Guibert wyratował życie tej panience, ale ze zmianą losu zapomnieli o rodzinie doktora jego dłużnicy moralni. Owszem z pewnem lekceważeniem patrzą na pochyloną postać pani Guibert, nie szczędząc złośliwych uwag nad jej brakiem światowości. Przecież nigdy nawet w teatrze nie bywa: jakież życie prowadzi? — pyta świetna panna swego partnera od flirtu, pana Berlier. — A ten, przyjaciel Marcelego Guiberta, równie złośliwie się odcina:

— Uczyniła to, czego pani nigdy nie zrobi. Żyła dla drugich.

— To nie jest życiem!

— Tak pani sądzi? Ja myślę, że ona żyła więcej, niżeli pani żyć będzie choćby przez sto lat.

— O! wyzywam każdego, kto potrafi więcej ode mnie tego życia używać.

— Pani się porusza i niepokoi tylko — a to nie jest to samo. Do jakiegoż wysiłku pani jest zdolną. Czyżby pani potrafiła choćby wyjść za mąż z miłości?

Naturalnie piękna panna zaprzeczyła wyzywającym uśmiechem nawet przypuszczeniu, by mogła się zakochać i zgodzić na życie ubogie, wegetować, jedząc chleb prosty, ubierając się w suknie perkalowe i cienkie!

Przyjazd Marcelego Guibert zmienił jednak usposobienie tego kółka lekkomyślnego dla jego matki i siostry. Wszakżeż były one najbliższe tego bohatera, którego sława i wysokie odznaczenia dogadzały próżności światowej, a dary zewnętrzne kusiły.

Paula zna dobrze kruchość i marność gruntu, na którym stąpa Marceli — lecz cóż może poradzić? Brat zakochuje się w Alicyi Dulaurens — i ona mu trwożne swoje serce oddała i jego tylko pragnie poślubić. Ale z chwilą, gdy pani Dulaurens brutalnie łamie serce córki swym oporem, Alicya od razu się cofa, usuwa... Nie ma odwagi miłości, nie potrafi nic dla niej uczynić, woli być nieszczęśliwą całe życie, niż walczyć kilka lat.

Marceli głęboko odczuwa ten zawód. Ale się nie skarży, nie narzeka, tylko wraca do Afryki i z tem większą energią dalej prowadzi swe wyprawy zdobywcze, pełne chwały i niebezpieczeństwa... I tam na

posterunku śmierć bohaterska kończy to życie żołnierza dzielnie zwyciężającego nie tylko zewnętrznych nieprzyjaciół, ale zawód szczęścia.

Jean Berliez wraca z Afryki z natężoną siłą i odwagą życia: Trzeba czcić umarłych, ale mieć wiarę w życie. Te słowa doktora Guiberta przypomina jego córce, której serce zdobywa. Nie ma majątku i w dalekich krajach będzie szukać podstawy dla założenia rodziny. Paula nie chce za nic opuścić matki i zostawić ją samą bez dzieci, rozpierzchłych po świecie, i jedynie w towarzystwie grobów. Ale pani Guibert ma więcej odwagi od młodych — sama ich w daleki świat wyprawia, pełna siły, którą czerpie w gorącej wierze, w bohaterskiem pojęciu idei poświęcenia i zapomnienia o sobie. I ona to jeszcze podnosi i do odwagi zachęca ową Alicyę, która synowi jej taką wyrządziła krzywdę a sama siebie ukarała wychodząc za marnego i złego człowieka.

Ślicznie maluje autor tę podniosłą, niezwykłą duszę matki rodu, która całe życie poświęciła tylko dzieciom: »Był w niej spokój tych, co oczekują śmierci bez trwogi, tak, jak przyjęli życie bez słabości. Życie bowiem to nie rozrywka, ani próżny gwar świata. To kochać i miłować zawsze aż do końca, aż do ofiary. Żyć to czuć duszą całą swą duszę, nie lękać się ani bolu, ani radości, ani boleści, ale zbierać z dni przemijających dobro, które nie przemija«.

M. Harsdorf.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział historyczno-filozoficzny. Serya II. Tom XXI. Kraków 1903.

Tom niniejszy mieści rozprawę prof. Balzera »Przyczynki do historyi źródeł prawa polskiego«, Stanisława Kętrzyńskiego »Ze studyów nad Gerwazym z Tilbury (Mistrz Wincenty i Gerwazy — Provinciale Gervasianum)«, Franciszka Bujaka »O średniowiecznych mapach żeglarskich« i Stanisława Zakrzewskiego »Ossyak i Wilten. Przyczynek do poznania związków dynastycznych Bolesława Śmiałego«.

Prof. Balzer zbiera od dłuższego czasu zabytki ustawodawstwa polskiego z czasów Zygmunta I. Praca powyżej wymieniona jest rodzajem prolegomenów do przyszłego wydawnictwa. Rozpatruje w niej autor stosunek różnych tekstów tej samej ustawy, znajdujących się w zebranych materyałach, do siebie. Roztrząsa nadto pytanie, dlaczego wydawnictwo *Volumina legum* jest niewyczerpujące, dlaczego nie pomieszcza wielu ważnych ustaw, oraz bada autentyczność tekstu, podanego przez to wydawnictwo. Dochodzi do rezultatów

bardzo niekorzystnych dla wydawnictwa Konarskiego. Pomieszcza ono bowiem tylko ustawy znane już z drukowanych poprzednio zbiorów, jak Łaskiego, Przyłuskiego i t. p. Ale i ustaw tam ogłoszonych wiele pominął, pomieszczając natomiast akta, które nigdy ustawami nie były. Tekst również jest zepsuty, okazuje wiele braków, niedokładności, interpolacyi pochodzących stąd, że wydawca nie kontrolował tekstów drukowanych odpowiednim materyałem rękopiśmiennym. Do rozprawy swej załącza autor wykaz synoptyczny źródeł I tomu *Voluminów legum* zaopatrując swe uwagi krytyczne co do wielu tekstów tam się znajdujących.

Pan Kętrzyński bada w swej rozprawie źródło, z jakiego czerpał swe wiadomości o Polsce Gerwazy. W dziele tegoż *Otia imperialia* mieści się duży ustęp o Polsce. Autor dochodzi do przekonania, że wiadomości tych mógł mu udzielić tylko Wincenty Kadłubek w czasie swej bytności na studyach w Bolonii. W dalszym ciągu swej pracy zastanawia się p. Kętrzyński, skąd zaczerpnął Gerwazy materyałów do spisu biskupstw pomieszczonego w drugiej edycyi swego dzieła. Sam Gerwazy podaje, że ma je z rzymskich wykazów *ex archivis domini papae*. Autor wyjaśnia, że wyrażenie to Gerwazego znaczy, że korzystał ze spisów, które dostał z rzymskiego archiwum. Między innemi udowadnia, że Gerwazy korzystał z *Notitia Galliarum* i *Provinciale Romanum*.

Mało znaną kwestyę porusza dr. Franciszek Bujak. Bada on średniowieczne mapy żeglarskie, ich początek, układ i sposób korzystania z nich.

Pytanie, jaki był koniec życia Bolesława Śmiałego, gdzie on umarł i pochowany został, było przedmiotem licznych badań i to nie tylko w piśmiennictwie historycznem polskiem, ale zajmowało też i obcych tak uczonych, jak i poetów. Obok historycznej powstała na ten temat cała legendarna literatura poetyczna. Pomimo jednak tak wielkiego zajęcia się tym przedmiotem, kwestya ta nie tylko nie jest rozstrzygnięta stanowczo w nauce, ale nawet daleko jej do skromnego wyświetlenia. Pan Stanisław Zakrzewski w rozprawie swej na ten temat przyznaje skromnie, że nie przynosi w niej nowego materyału, lecz pragnie jedynie rozpatrzeć znany już pod innym kątem widzenia. Pobudkę do swego studyum dały autorowi słowa Lelewela: »Byłaby rzecz piękna, gdyby się nalazły słowiańskie listy Ossyusza i Popona, jakie Valvassor dwa wieki temu widział: niemniej piękna i ważna poznając monasterya wilkińskie i inne w Karyntyi a protavis (Boleslai audacis) fabrefactae et fundatae (Długosz p. 298) poznać owe naddziady, aby zrozumieć, co Polskę w owe czasy tak do Karyntyi wabiło?« Idąc tedy torem wskazanym przez Lelewela doszukał się autor, co prawda na podstawie prawdopodobnych, ale hipotetycznych kombinacyi, śladów stosunków blizkich, nawet pokrewieństwa między Bolesławem Śmiałym a fundatorami i dobroczyńcami klasztorów w Ossyaku i Wilten. Z Ossyakiem i z Wilten łączyły blizkie stosunki książęce rody jak Erronidów, Andechów i t. d., rody stojące przeważnie w obozie wrogim dynastyi cesarzy niemieckich. Tak samo Polska zachowywała w przeważnej części stanowisko nieprzychylne dla cesarstwa; stąd łatwo wytłumaczyć stosunki łączące ją z nieprzyjaciółmi cesarza.

W gruncie rzeczy autor nie oświadczył się ani za legendą ossyacką ani za przekazem Długosza, podają-

cym Wilten, jako miejsce zgonu Bolesława. Zestawił jednak i połączył znane wiadomości o założycielach i opiekunach klasztorów wspomnianych, o stosunkach ich z Polską. Tem zestawieniem posunął już sprawę znacznie naprzód, wskazał drogę przyszłym badaczom tej kwestyi, a nie wątpimy, że w ich liczbie znajdzie się i sam autor, czego, znając zaszczytnie jego studya nad historyą polską, na pożytek naszej nauki życzyćby sobie należało.

Z.

Oświata a dobrobyt. Studyum ekonomiczno-socyalne. Przez *ks. d-ra Stanisława Trzeciaka.* Poznań 1903.

Autor znany dotąd z prac swych teologicznych daje nam teraz studyum z zakresu nauk socyalnych. Zasadniczą tezą autora jest, że dobrobyt idzie w parze z oświatą, że wykształcenie ludności powoduje wzrost i rozwój rolnictwa, handlu, przemysłu, a co zatem idzie i bogactwa kraju. Wykazuje to na przykładach najbardziej przekonywujących, bo opartych na danych statystycznych. Ale z oświatą idzie nie tylko rozwój dóbr materyalnych, bogactwa, ale i dóbr cenniejszych, bo moralności. Moralność połączona z dobrobytem, z zadowoleniem ze swego stanowiska ekonomicznego sprawi, że prądy wywrotowe, nauki socyalizmu nie wkradną się tak łatwo w umysły i serca szerokich warstw.

Ale oświata, aby mogła przynieść te zbawienne owoce, musi być zdrowa, zastosowana do potrzeb ogółu, jego warunków życiowych i socyalnych. Przedewszystkiem winna się opierać na gruncie religii i moralności, kształcić obok umysłu także charakter i serce człowieka. Szkoła nie powinna wyczerpać jednak całej inicyatywy społeczeństwa na polu oświaty. Obowiązkiem jest państwa czy społeczeństwa pomagać chętnym rozszerzyć i ugruntować wiadomości zdobyte w szkole przez dostarczanie odpowiedniej lektury. Temu celowi odpowie urządzenie licznych bibliotek ludowych, gdzieby pragnący przyjemnej i pożytecznej lektury mogli znaleźć pokarm duchowy odpowiedni dla nich. Dałoby się to najłatwiej osięgnąć przez założenie towarzystwa mającego za cel dostarczenie lektury ludowi.

Oświata powinna rozciągać się i na kobiety. Kobieta zrównana z mężczyzną pod względem wykształcenia mogłaby się stać o wiele pożyteczniejszym czynnikiem w życiu domowem, rodzinnem, niż nim jest kobieta nie posiadająca żadnego wykształcenia lub tylko powierzchowne, a z drugiej strony przez oświatę i ułatwienie kobiecie zajęcia stanowisk społecznych zapobiedz można nędzy ekonomicznej wielu kobiet, nie mogących obecnie znaleźć sposobu utrzymania.

A. B.

O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego z pierwszej połowy XII wieku. Przez *d-ra Kazimierza Krotoskiego.* Kraków 1904.

W Kronice Kadłubka wplecione są w opowiadanie o Bolesławie Śmiałym wiersze łacińskie. Naprowadza to autora na domysł, że istniał prawdopodobnie panegiryk na cześć Bolesława, którego fragmentami są heksametry, cytowane przez Mistrza Wincentego. Panegiryk ten mógł powstać w XII w. obok znanych poematów o Kazimierzu Mnichu, Wandzie, obok *Carmen Mauri* o Piotrze Włastowiczu. W oczach poety antygregoryanisty mógł Bolesław Śmiały przeciwny reformom

kościelnym urość do wielkości bohatera, natchnąć poetę do stworzenia hymnu pochwalnego.

W.

Biblioteka „Prawdy“: 1) »O naszym poecie Bohdanie Zaleskim«. Napisał *M. M.* 2) »Nauki katechizmowe« *ks. proboszcza Vianneya.*

Biblioteka *Prawdy* w wyborze swych wydawnictw uwzględnia tematy zdolne wzbudzić zainteresowanie w kołach niższych warstw ludności, dla których jest przeznaczona. Obok dzieł treści religijnej wydaje broszury, historyczne, z dziedziny literatury. opowiadania z zakresu prawa i to z tych działów, które specyalnie dla ludności wiejskiej najwięcej są potrzebne np. o księgach gruntowych lub prawie spadkowem. Obecnie daje swym czytelnikom jedną pracę treści religijnej, drugą literackiej o poecie tak blizkim ludu, jak Zaleski. Biblioteka prawdy nie sprzeniewierza się swemu mianu, w swoich wydawnictwach daje pokarm zdrowy, głosi prawdę, życzyć jej tedy trzeba, by oświata, którą szerzy, ogarniała coraz szersze kręgi, by jej wydawnictwa zyskiwały coraz więcej czytelników.

R.

O zjeździe slawistów i o panslawizmie platonicznym. Dwa odczyty wygłoszone w Krakowie 16 i 18 czerwca 1903. *J. Baudouin de Courtenay.*

Czytelnicy znają zapewne treść odczytów znanego lingwisty czy ze sprawozdań dziennikarskich czy bezpośrednio. Odczyt pierwszy zajmuje się projektowanym zjazdem slawistów, który tyle narobił hałasu. Autor, względnie prelegent, wyjaśnia znaczenie wyrazu »slawista«, cel zjazdu, brak na nim charakteru politycznego. W drugim odczycie omawia panslawizm »platoniczny«, wykazując jego niedorzeczność.

X.

Kilka słów o socyalizmie i kwestyi socyalnej. Napisał *ks. dr. W. M.* Lwów.

Mamy przed sobą broszurkę popularną. Autor zebrał i przedstawił w sposób przystępny wszelkie argumenty, wykazujące ujemne strony, wyraźmy się bardzo oględnie, socyalnej demokracyi szeregiem tych argumentów wykazuje, że socyalizm jest niedorzecznością i wiedzie do niewolnictwa, dąży do niszczenia rodziny i narodowości, religii, prowadzi do największej niesprawiedliwości i anarchii społecznej. W ostatnim rozdziale swej broszury omawia autor kwestyę socyalną: wskazuje na encykliki papieża Leona XIII, podające najskuteczniejsze środki do uregulowania kwestyi społecznej, podniesienia klas pracujących, złagodzenia antagonizmu między poszczególnemi warstwami, z których składa się dzisiejsze społeczeństwo.

M.

Czem byliśmy, czem jesteśmy, a czem być możemy? Przyczynek do historyozofii polskiej. Przez autora »Zarysów stanu moralnego naszego społeczeństwa«. Część wstępna: Stanowisko dziejów narodu polskiego w piśmiennictwie historycznem. Kraków 1904.

Autor chce nam dać próbkę historyozofii polskiej. We wstępie, który obecnie leży przed nami, omawia dotychczasowe próby na tem polu. Omówiwszy poglądy dotychczasowych historyków czy szkół historycznych tak polskich, jak i zagranicznych, o ile zagraniczni autorzy zajmowali się dziejami Polski, dochodzi do przekonania, że dotychczasowi historyozofowie popadli w zasadniczy błąd.

Wyrokowali o narodzie, nie wysłuchawszy go, nie zbadawszy należycie jego rozwoju, stosunku dziejów do warunków geograficznych. Nie zbadali, jakie zadanie miał naród polski, czy podążał do nich właściwemi drogami. By dojść do syntezy, odpowiedzieć na powyższe pytania, trzeba ogarnąć cały rozwój dziejów narodu na wszystkich polach, zbadać stosunki i ich rozwój historyczny nie tylko co do dziejów politycznych ale i na polu prawa, administracyi, gospodarstwa, handlu, nauk, wreszcie obyczaje i życie towarzyskie. Dopiero gdy rzesze pracowników postawią nam przed oczy jasny obraz tych wszystkich stosunków, można stworzyć historyozofię. Tło należy zakreślić szersze, badać historyę Polski ze stanowiska warunków t. zw. »konieczności dziejowej« i w związku z historyą ościennych państw. Autor zapowiada w swej pracy tylko »Przyczynek do historyozofii«. Historya nie zebrała i nie opracowała jeszcze dostatecznego materyału, by módz przystępować do historyozofii w zakresie podanym przez autora.

Na tem kończy się część wstępna. Nie mając jeszcze dalszych części dzieła, nie możemy wypowiedzieć ostatniego słowa. Tu tylko możemy skonstatować, że autor pojmuje zadanie historyozofii bardzo głęboko, określa je trafnie: jak je wykona, pokaże ciąg dalszy pracy.

Dr. A. B.

Ojczyzna w pieśniach poetów polskich. Głosy poetów o Polsce. *Wł. Bełza.* Lwów.

Tytuł powyższy wymaga o tyle objaśnienia, że się odnosi tylko do wierszy opiewających Polskę porozbiorową. Znalazła się ich garść niemała, bo przeszło 1811, ułożonych przez ośmdziesięciu kilku poetów. Wydawca ułożył je chronologicznie w grupach obejmujących pewien mniej więcej zamknięty w sobie okres czasu. Pierwsza grupa odnosi się do Polski w upadku, legionów i czasów napoleońskich; druga obejmuje lata 1815—1830, trzecia rok 1831, czwarta epokę spisków i lata 1846—48, piąta lata 1861—63; szósta i ostatnia nosi tytuł *Pro Deo et Patria* a sięga do końca XIX wieku.

Trudniejsza sprawa była z wyborem wierszy. Jak już z ugrupowania wynika, autor miał na uwadze głównie historyę Polski porozbiorowej, i większa też część umieszczonych wierszy odnosi się do historycznych zdarzeń. Ale prócz tego jest dosyć takich, w których poeci modlą się za swą ojczyznę, opłakują jej niedolę i dają jej przestrogi, pocieszają się i śpiewają piękności Polski. W tym doborze wierszy leży, zdaniem naszem, słaba strona pracy p. Bełzy. Nie jest to bowiem ani antologia, skoro mieści w sobie dużo wierszy bardzo podrzędnej wartości, ani kompletny zbiór, bo pomija dosyć wierszy, które, wobec pomieszczonych, uwzględnić należało. Ale i za to, co dał, należy się autorowi uznanie i wdzięczność, zwłaszcza, że wyszukał i zebrał wiersze mniej znane.

Na początku podał autor alfabetyczny spis poetów, których wiersze umieścił, — przy tego rodzaju zbiorach dodaje się jeszcze drugi t. j. spis tytułów lub pierwszych słów z przytoczonych utworów.

M. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Sprawa młodzieży na ostatniej sesyi sejmu galicyjskiego.

Że wychowanie lat młodzieńczych, jakie daje rodzina i szkoła, decyduje o całem życiu, że zatem sprawa wychowania młodzieży rozstrzyga o całej przyszłości narodu, uzasadniać tego nie potrzeba. Że dalej wśród młodzieży naszej wszystkich trzech zaborów zachodzą niepokojące objawy, które świadczyć zdawałyby się nawet za zanikaniem zmysłu moralnego, nie powiemy powszechnem w całej młodzieży, w każdym jednak razie nie wyjątkowem, o tem dość świadczy codzienne, smutne doświadczenie. Skąd to pochodzi, co na to robić, oto pytania, które dręczą wszystkich prawych obywateli.

Była chwila, w której sprawa ta zaczęła wchodzić na dobrą drogę — zaczęto publicznie zdawać sobie sprawę z rozmiarów smutnego zjawiska. Zaczęła o tem pisać prasa, miał się o tem odbyć wiec we Lwowie, znać było wogóle jakieś krzątanie się. Nagle wszystko zniknęło jak senne zjawisko, jak kamień rzucony w wodę. Czy powodem wycofania się tej sprawy z obiegu było kilka demonstracyi, jakie urządzili studenci szkół średnich przed redakcyami dzienników, czy coś innego, w to nie wchodzimy, stwierdzamy tylko fakt. Faktem było, że stała się cisza, którą dość często przerywał tylko samobójczy strzał z rewolweru, zabierający z pośród młodzieży nową ofiarę. Czy może być coś gorszego od ciszy, pod którą kryje się burza i ferment.

Tymczasem z radością witamy nowe stadyum tej sprawy. Już się ukazuje światło na szczytach, znak, że wkrótce wejdzie słońce. Sprawę młodzieży poruszył w bieżącym roku, ks. arcybiskup Bilczewski w swoim prześlicznym liście pasterskim, a poruszył z taką miłością, że tylko wdzięczność młodzieży mógł zyskać; obecnie, przed miesiącem, podniósł ją także również w niezwykłym liście ks. arcybiskup Stablewski. Stwierdziwszy smutne objawy, dodaje poznańsko-gnieźnieński arcypasterz: «grzechem ciężkim byłoby założyć ręce wobec tego niebezpieczeństwa i dopiero wtenczas na gwałt uderzyć, gdy wrogie prądy wezmą górę i w wir wciągną to, co nam powinno być najdroższe, dorastającą dziatwę naszą«.

Obecnie przychodzi nam zanotować pocieszający objaw, że najwyższa nasza organizacya polityczna, Sejm krajowy, zajmował się na ostatniej sesyi głębiej tą sprawą. Mówimy: głębiej, bo i lat poprzednich była o tem mowa, tylko nie wchodziła tak daleko, jak obecnie, w meritum rzeczy.

W tak doniosłej kwestyi wielką zasługę społeczną i narodową ma hr. St. Tarnowski, który sprawy młodzieży nie spuszcza nigdy z oka i jak lat poprzednich tak i teraz notował smutne objawy i wskazywał zarazem środki zaradcze i wysoki ideał, jaki powinien przyświecać wychowaniu lat młodzieńczych. Prócz hr. Tarnowskiego zabrali także głos w tej sprawie trzej najwybitniejsi posłowie sejmowi, p. Kozłowski, hr. Piniński i hr. Wojciech Dzieduszycki. Głębszem znamieniem odznaczała się uwaga p. Kozłowskiego o stosunku dzisiejszego systemu szkolnego do nauki religii, który religię traktuje jak każdy inny przedmiot, matematykę lub gramatykę, a nie zdoła się postarać, ażeby ona »podnosiła cały system wychowania i była jego podstawą«. Hr. Piniński wskazywał na dzisiejszą atmosferę brutalnego materyalizmu i egoizmu, która musi wywierać na młodzież wpływ szkodliwy, wskazał także na objawy politycznej »pajdokracyi«; wkońcu zwrócił się z apelem do wszystkich ludzi dobrej woli, mających wpływ na wychowanie publiczne, aby połączyli się w skutecznej walce z niebezpieczeństwem, grożącem naszej młodzieży. Hr. Dzieduszycki zapatrywał się już bardziej optymistycznie

na dzisiejszą szkołę, niemniej jednak zaznaczył obowiązek społeczeństwa w tej sprawie.

Doniosłe również ma znaczenie enuncyacya wiceprezydenta Rady szkolnej, p. Płażka, że sprawa umoralnienia młodzieży »nie schodzi ani na chwilę z uwagi Rady szkolnej krajowej«.

Poświęcił także tej sprawie i to głębszą uwagę, ks. arcybiskup Teodorowicz. Znakomita ta mowa zawiera w drugiej swej części nadzwyczaj ważne myśli o tem, że katolicyzm polityczny jest dla dobra narodu niezbędnym, że istnienie jego płynie wprost z misyi Kościoła, którego pieczy nie tylko powierzoną jest sfera jednostkowa, ale i sfera społeczna, tembardziej, że dwu tych sfer rozdzielić od siebie żadną miarą nie można. Bardzo znaczącym był ustęp tej mowy o nowym regulaminie szkolnym: »Muszę tu niestety zauważyć, że nowy regulamin szkolny, który poza ustawą sejmu wszedł niedawno w życie, jakkolwiek jest prowizorycznym — (dlatego wspominam o nim, że jest do zmienienia) — pozostawia pod względem autonomii wiele do życzenia«.

Cała pierwsza część tej mowy była poświęcona naszej sprawie i wchodziła bardzo głęboko w rzeczy. Przyznawszy poprzednim mowcom, że religia ma tu przed sobą wielkie zadanie, wskazuje ks. arcybiskup, że religia tylko wtedy zadanie może spełnić należycie, gdy współdziałać z nią będą rodzina i szkoła. Odnośny ustęp przytaczamy ze stenogramu sejmowego:

»Potrzeba współdziałania harmonijnego religii i szkoły nie pozwala na dysonanse pomiędzy wykładem religii, a wykładem innych przedmiotów szkolnych. Bo to nie dosyć na tem, kiedy katecheta swą lekcyę choćby z zapałem, gorąco wypowie, ale jeszcze ponadto potrzeba, ażeby i w całym systemie nauk, czyto w szkolnych podręcznikach, czyto w wykładach, nie było sprzeczności, któreby przemazywały i przekreślały lub w podejrzenie i wątpliwość podawały to, co przed chwilą katecheta za święte i nieomylne głosił.

Nie oskarżam tu — zastrzegam się — naszego nauczycielstwa pod tym względem, ale niestety są fakta poruszane nawet w sprawozdaniu JE. p. prezesa Akademii, który zbyt wielkim optymi-

zmem w tej mierze unosić się nie pozwala i owszem nakazuje baczność i czuwanie.

W sprawozdaniu właśnie odczytałem wzmiankę o szkole krakowskiej żeńskiej, będącej pod zarządem Rady szkolnej, w której dzieją się rzeczy prawdziwie u nas jeszcze nie słyszane. Znam tę sprawę bliżej, wtedy bowiem właśnie bawiłem w Krakowie, gdy była przedmiotem żywych dyskusyi, i z najautentyczniejszych ust dochodziły mię bardzo smutne szczegóły.

Oto nauczycielki zakładu, będącego pod nadzorem Rady szkolnej, stawały wprost publicznie pod sztandarem bezwyznaniowości, chełpiąc się zeń, i szykanując inne, które jeszcze wierzyć śmiały i kiedy przychodziło do modlitwy panienek, wtedy nauczycielki demonstracyjnie okazywały, że modlić się nie myślą, gdzieś tam bębniąc po szybach. Więc i ja również z panem prezesem Akademii zapytałem Radę szkolną, co się dzieje z tym zatrważającym faktem, który miał miejsce na krakowskiej ziemi, a więc tam właśnie, gdzie to rodzice z za kordonu chroniąc dzieci przed szkołą trującą ducha, dają z całem zaufaniem swe dzieci w tej myśli i nadziei, iż kordyał wiedzy złączonej z narodową tradycyą, schowany pod cieniem skrzydeł prastarego grodu, dzieci ich od złego uchroni, że ideałami i miłością wiary i ojczyzny przepoi.

Niestety, w atmosferze zakładu dzieci ich chłonąć w siebie musiały właśnie ducha bezwyznaniowego, przed którym się właśnie chroniły, uchodząc z za kordonu; a nieraz za śmiercią moralną szła w tropy i śmierć fizyczna.

Bo może pomiędzy samobójstwami, które prawie epidemicznie w tych szkołach w gronie panien zapanowały, a między nastrojem, jaki w tym zakładzie niektóre nauczycielki budziły, dałby się dostrzedz związek i powinowactwo.

Powtarzam raz jeszcze, że z szczegółów nie chcę czynić żadnej zasady, ale chociaż to są objawy wyjątkowe, to jednak lekceważyć ich nie wolno, owszem zestrzelić nam należy myśli, zestroić, obmyśleć, jak podobnym faktom zapobiedz na przyszłość, obok harmonijnego działania doktryny z nauką religii, potrzebnem jest jeszcze współdziałanie rodziny, społeczeństwa i szkoły

przez przykład religijności objawiającej się w religijnych praktykach.

To darmo, przezacni panowie, religia nie jest tylko samą nauką dogmatyki i etyki, religia katolicka jest żywym organicznym związkiem z praktyką; to co mieści się jako zasada religijna w duszy ludzkiej, przelewa się w czyny, a przedewszystkiem zaś w czyny religijne, w których dusza za pomocą sakramentu i modlitwy zespala się ze swoim Bogiem.

Nie myślę tu stawiać żądań, które w obecnym stanie szkolnictwa i w obecnych ustawach byłyby zresztą daremne. Ale tyle mi się powiedzieć godzi, że jeżeli szkoła, rodzina i społeczeństwo taki nacisk kładzie na potrzebę nauki religii, to niech nie przeoczy, że na nich ciąży także powinność przyświecania przykładem religijnych praktyk.

System ow praktyk religijnych jest przestrzegany, nakazany i egzekwowany przez szkołę. Ale rodzinie przypada w udziale okazać dzieciom całą doniosłość i znaczenie tych praktyk dla ich duchowego życia, naginać ich wolę do karnego, ścisłego, skrupulatnego przestrzegania takowych i apostołować słowem, a przedewszystkiem przykładem. Lecz jakże to często katecheta zamiast poparcia spotyka się z gorszącem lekceważeniem i złym przykładem rodziny? W szkole dziecko słyszy, iż post obowiązuje pod grzechem i to ciężkim, w domu zastawiają bez ceremonii mięsne potrawy, może ze słowem uspokojenia jego skrupułów, iż post to przesąd średniowieczny, któryby już czas było zarzucić. Szkoła egzekwuje obowiązek słuchania Mszy św. w niedziele i święta, katecheta czyta katalog, a prawo szkolne karze surowo uchylanie się od obowiązku. W domu tymczasem syn patrzy na to, jak ojciec prześpi sobie czas Mszy św. lub namawia go, by dla jakiej wycieczki kościoła zaniechał, ze szkołą zaś ojciec sam sobie poradzi, skoro świadectwo słabości wystawi. Prawo szkolne nakazuje spowiedź parę razy do roku, syn zaś wie o tem bardzo dobrze, że ojciec np. od ślubu jeszcze się nie spowiadał. Ot i macie walkę zainaugurowaną pomiędzy szkołą i Kościołem z jednej, a rodziną z drugiej strony.

I to walka nie o rzecz marną, ale o istotę i rdzeń samej

religii, bo walka o zasady np. takie, czy posłuszeństwo Kościołowi obowiązuje, czy też nie? Czy praktyki religijne są czemś doradzonem, dodatkowem, czy też nakazanem, w sumieniu obowiązującem? czy Sakramenta są arteryami wprowadzającemi życie wyższe do duszy, czy też znakami bez znaczenia?... W tej walce w grę wchodzi sama dusza religii. Kto w tej walce zwycięży, bo ktoś zwyciężyć musi, chyba łatwo przewidzieć, skoro się zważy szanse wojujących. Po jednej stronie staje to, co pochlebia ludzkiej zepsutej naturze, co ją zwalnia z wszelkiego wędzidła, po drugiej to, co ją ujarzmia, chociażby w imię obowiązków i Boga. Pierwszym walczącym jest rodzina, której powagę we wszystkiem dziecko uznawać nawykło. Sprzymierzeńcem zaś jej są węzły krwi, siła przywiązania i miłości; po drugiej staje Kościół i szkoła pozbawieni tych naturalnych tak silnych pomocników, może obojętni dla dziecka. Smutne doprawdy zwycięstwo nieraz długoletniej walki, z której często sobie dziecko wprost sprawy nie zdaje, ale która tem bardziej dla duszy jego niebezpieczna; siła bowiem atmosfery domowej i przykładu narzuca przemocą mnóstwo nieuświadomionych wniosków i zasad filtrujących tajemnie duszę, stwarzając w niej nałogi, przeciwko którym daremnie będzie walczył zdrowy rozum, domagający się konsekwencyi pomiędzy wierzeniami a czynem.

Praktyki wiary odbywa dziecko jako uczeń z konieczności pod presyą paragrafu szkolnego, ale pociesza się tajemnie myślą, że z nich wyrośnie, jak się np. wyrasta z mundurku szkolnego. Złoży też je wraz ze szkolnem ubraniem, bo też one nigdy nie wpiły się w jego duszę i były jak suknia narzucone zewnętrznie. I niechaj się nawet nie pociesza w tem smutnem zwycięstwie rodzina tą myślą, iż skoro jej wystarczy, w jej naturalnem przeświadczeniu, jakiś nieograniczony sentymentalizm religijny, że to wystarczy także i dzieciom. Dzisiejsze pokolenie żyje jeszcze resztkami epoki żywszej wiary i porywów ku Bogu, — ale nowemu cóż zostanie?

Prócz praktyki religijnej ideał religijny domaga się jeszcze czegoś innego, by się mógł w duszy przyjąć.

Domaga się atmosfery moralnej, czystej i wysokiej».

Tu dostojny mowca wskazuje szeroko na dwa zarazki, zatruwające tę atmosferę — dzisiejszą literaturę i teatr. To wskazawszy, ciągnie dalej:

Umyślnie nie mówię o innych sposobach deprawacyi młodzieży, bo uważam, że chociaż inne są same w sobie gorsze, ale te środki zepsucia, które złe kraszą ideałem i podniosłością, są niebezpieczniejsze, a ich jad jest bardziej trujący; one też stają się wodzami, które tamte inne za sobą wodzą.

Szanowni i przezacni panowie! Któż dziś nie ubolewa nad naszą młodzieżą? biedna ona! Lecz w chwili, kiedyby ktoś na nią chciał cisnąć kamieniem, o, niechaj raczej wprzód wejrzy w siebie samego, niechaj się zapyta, czy, gdyby on przez to wszystko przechodził, przez co ona dziś przechodzi, gdyby on żył w atmosferze, w której ona dziś żyje i oddycha, — czyby jego historya duszy innymi potoczyła się i lepszymi torami, niźli jej? Ja sam pierwszy, zadając sobie to pytanie, nie mógłbym na nie odpowiedzieć, że byłbym lepszy niż oni.

»Biedna nasza młodzież«.

To jedno sobie powiedzieć musimy. Biedni rodzice! a jeżeli oni nie dbają o nią, jeśli o duszy nie myślą, a w pogoni za chlebem chcą widzieć przyszłość jej w jedynym blasku karyery, to odwrócę się od nich, bo nie warci są żalu i zawołam:

Biedne, tem biedniejsze społeczeństwo, biedna jego przyszłość«.

Słowa silne i prawdziwe i zazwyczaj tylko takie słowa otwierają oczy i dają rękojmię poprawy.

Oto obecne stadyum tej sprawy: ogólna oryentacya i drogowskaz. Następnem byłoby przejście do szczegółowej pracy.

Powszechne prawo głosowania

Po afiszach na ulicach wszystkich większych miast Austryi, na naczelnem miejscu wszystkich dzienników, w sejmach i parlamencie, na zgromadzeniach i w rozmowach pojawiły się nagle, jak ongi Baltazarowi, cztery sakramentalne słowa: »powszechne, równe, bezpośrednie, tajne...«

Jako bohaterów, których serdeczną krwią jakoby okupione zostało to hasło, przedstawili siebie socyaliści. Przez kilka tygodni

wszystkie większe szynki, puste szopy, odludne place, zapełniały się różnymi pułkami, składającymi się na armię partyi, by wywywołać w ten sposób w naiwnych wrażenie, że z tego obozu pada hasło na państwo całe. Przyszedł potem nieudany strejk powszechny, po ulicach otoczone ciekawym tłumem, jęły krążyć orszaki towarzyszy z czerwonymi sztandarami, w pauzach pomiędzy zwrotkami czerwonej pieśni brzmiały mowy, mające jak gdyby przygotować umysły na bój śmiertelny. W pośród tych zabaw ulicznych, bez jakiejkolwiek uprzedniej akcyi, przyszła depesza z Wiednia, że rząd zapowiedział w parlamencie projekt powszechnego głosowania. Wobec tego, że każdy wiedział, iż nowe prawo przyszło tylko wskutek zawikłań węgierskich, komedya socyalistyczna mogłaby nawet być zabawną, gdyby nie towarzyszył jej zmuszający do bezrobocia terror uliczny, objaw, przeciw któremu każdy człowiek, jakichkolwiek byłby przekonań, w imię najprostszych zasad ładu, działać powinien.

Tak, czy owak, stoimy przed faktem dokonanym — nowe prawo zapowiedziane. Choćby wywalczyła u rządu jakieś ustępstwa opozycya stronnictw, choćby nawet upadł gabinet z projektem, sytuacya nie wiele się zmieni. Można ją na chwilę złagodzić, odwlec, ale tylko na chwilę. Faktem jest, że powszechne głosowanie leży w duchu dzisiejszego demokratycznego ustroju państw, i jest jego ostatniem słowem, a wobec tego, że projekt był wniesiony w takich stosunkach politycznych państwa, z takim brzękiem reklamy i agitacyi, iż dostał się do świadomości mas, wobec tych wszystkich danych nie trzeba być wróżbitą, by widzieć, że projekt ten dzisiaj utrącony, wkrótce znowu na widownię powróci. Lepiej sobie z tego odrazu sprawę zdać.

Zasadniczo rzecz biorąc, powszechne głosowanie jest tak samo możliwą i godziwą formą ustroju państwowego, jak każda inna — ale pod jednym, najoczywistszym w świecie warunkiem — tym mianowicie, by ogół, dopuszczony przez to prawo do rządów, dorósł do wysokości swojego zadania. Wyraził to u nas pięknie ks. arcybiskup Bilczewski: »Prawo powszechnego głosowania jest to najwyższy przywilej, honor, nagroda i prawdziwy pożytek dla ludzkości, ale dopiero wtedy, kiedy ją na wskróś opanował i prze-

trawił duch ewangelii. Powierzyć bowiem udział w rządach bezpiecznie można tylko temu, kto umie panować nad sobą«.

Zapewne, że oznaczyć tę chwilę dojrzałości ogółu, w której dopuścić go można bezpiecznie do rządów, nie jest łatwo — ale znowu, mając przed sobą ogół widocznie niedojrzały, nie jest trudno stwierdzić, że ta chwila jeszcze nie nadeszła.

Tego, że nasze szerokie masy, do tej wysokości nie dorosły, nie potrzebujemy wcale sami stwierdzać. Stwierdzili to pośrednio już niejednokrotnie przedstawiciele wszystkich naszych obozów politycznych, nawet najskrajniejsi liberali, socyaliści nawet, nie mając oczywiście dzisiejszej ewentualności na oku.

Jakie w takich stosunkach będą wyniki nowego prawa, przepowiadać trudno. Pomieniona jednak racya zdawałaby się dość uzasadniać przewidywania tych, co sądzą, że następstwa nie będą dobre. Jest to zwłaszcza dość prawdopodobne co do pierwszych seryi wyborów, dopóki fale wzburzone nie zaczną się zwolna ustalać. Ale też wtenczas, gdy to ustalenie zacznie następować, mogłoby być pod niejednym względem zapóźno. Niedojrzałe masy, wydzieliwszy z pośród siebie, jako swoich zastępców do rady państwa, najskrajniejsze, jak zwykle w takich wypadkach bywa, żywioły, dostaną się pod kierownictwo stronnictw przewrotu.

Ile wtedy ucierpieć mogłaby i sprawa katolicyzmu, uzasadniać nie trzeba.

Cóż robić? W Niemczech powszechne prawo głosowania dało ogromny wzrost socyalizmowi, ale dzięki sprężystej katolickiej organizacyi jeszcze większy dało katolickiemu centrum. Takąż organizacyę ma chrześcijańsko-społeczne stronnictwo Luegera — ono też staje razem ze socyalistami za powszechnem prawem głosowania. Czy Lueger nie przecenia siły swego stronnictwa, jeszcze zobaczymy — w każdym razie jest pewnem, że gdyby społeczeństwo miało tę siłę społecznego katolicyzmu za sobą, obawiaćby się tego prawa nie miało racyi.

I tu, zdaje nam się, wszyscy ludzie dobrej woli, powinni wziąć się społem do pracy dla szerokich warstw społecznych w duchu zasad katolicyzmu. Żaden inny program, w takim ustroju,

nie wytrzyma długo konknrencyi z ułudnymi hasłami przewrotu, tylko ten, w którym jest siła wieczności. Zbliżają się szybciej, niż można to było przeczuwać, czasy, które bez wielkich zdolności przewidywania, przepowiada jeden z pisarzy francuskich, gdzie na widowni zostaną tylko, walczący ze sobą, socyalizm i katolicyzm. Czas jeszcze dłuższy zapewne zwycięsko będą walczyły z hasłami społecznemi hasła narodowe — jak długo, wskaże nam to po części walka na Węgrzech, gdzie właśnie sytuacya polega na tem, że przeciw hasłom narodowym rząd rzucił hasła społeczne — także i w Austryi, gdzie położenie podobne.

Sytuacya w dzielnicy pod rządem rosyjskim.

Ta sama sprawa, ale w stosunkach o wiele poważniejszych, może się rozegrać w dzielnicy naszej pod rządem rosyjskim. Weszliśmy w jakiś wąwóz, gdzie dokoła piętrzą się i nad głową wiszą przełomowe wypadki i zagadnienia.

Biedna ta dzielnica! wyniszczona ekonomicznie, wystawiona na łup anarchii, zawieszona między stanem wojennym a konstytucyą, między wyzuciem z wszelkich praw publicznych a nadzieją autonomii, i to na podstawie powszechnego głosowania.

Co za wyniki może dać powszechne głosowanie w kraju, który od szeregu dziesiątek lat nie żył żadnem życiem publicznem, gdzie wytrawne społecznie i politycznie umysły są bardzo nieliczne — szczególniej, gdzie na pierwszy plan wysunęli się socyaliści, i to socyaliści, którzy w oczach wielu uchodzą za bohaterów, wywalczających społeczeństwu swobody. Sytuacya ogromnie trudna, tem bardziej, że dziś zupełnie przewidzieć niepodobna, jaką wogóle drogą potoczą się dalsze wypadki w Rosyi.

Na podstawie konstytucyi poczęły jedne stronnictwa silniej organizować się, inne dopiero wytwarzać. Wytwarzać poczęło się jakieś stronnictwo »Spójni«, o którem mało co słychać i drugie »postępowo-demokratyczne», które nie bardzo wie, czego chce, bo jedyną dotąd jego cechą jest nienawiść chrystyanizmu. W niem znajdują przystań rozbitki pozytywizmu, odłam inteligentnych Żydów i członkowie loży. Prócz tych stronnictw występują na widownię dwa już dawniej istniejące: tak zwane »ugodowców«, przybiera-

jące dziś nazwę »stronnictwa polityki realnej« i stronnictwo narodowo-demokratyczne, tak zwane wszechpolskie.

W takiej sytuacyi wystąpili już tamtejsi przedstawiciele katolicyzmu z zapytaniem, co począć? Czy przyłączyć się do któregoś z istniejących stronnictw, katolicyzmowi nie wrogich, czy stworzyć własne?

Zostawiając im samym tę kwestyę polityczną do rozstrzygnięcia, zauważymy, że w takiej chwili, jak tam obecna, najważniejszą sprawą jest akcya obyczajowa i społeczna katolicyzmu. Wśród takiego rozwydrzenia umysłów z jednej strony, a nieporadności i przygnębienia z drugiej, gdzie najprostsze prawa ludzkie poszły w poniewierkę, wystąpić musi ze zdwojoną siłą praca Kościoła.

Dlatego też z najwyższą radością witamy z tamtych dzielnic odezwy, w tym duchu wystosowane. Ksiądz biskup wileński, pisze do swojej dyecezyi, że już pracę organizacyjną rozpoczął, że już po parafiach zainicyował tworzenie związków, by w ten sposób powołać do życia »wielkie katolickie stowarzyszenie ludowe« i w tej myśli ma niebawem zwołać wiec katolicki — ta sama idea przyświeca odezwie z Warszawy: organizacya związków parafialnych i wiec, by wytworzyć wielki »polski związek katolicki». Na takiej dopiero podstawie można skutecznie myśleć o organizacyi politycznej, gdyby uznaną była za wskazaną.

To jest najbardziej na dzisiaj wskazana droga. Na dalsze też objawy tego ruchu z najżywszem zajęciem czekamy.

Ks. J. Pawelski.

Kronika ekonomiczna.

Wydział krajowy, a parcelacya. — Spółki oszczędności i pożyczek. — Drożyzna mięsa.

Wśród szeregu doniosłych tegorocznych sprawozdań Wydziału krajowego, przedłożonych Sejmowi, zasługuje na szczególniejszą uwagę elaborat »o parcelacyi i środkach celem pokierowania parcelacyą zgodnie z wymogami interesów publicznych«. Sprawozdanie zawiera jako

załącznik referat d-ra Stanisława Grabskiego. Przytaczamy z niego ciekawe obliczenia rozmiarów ruchu parcelacyjnego. Dotąd rozporządzaliśmy tylko obliczeniami miejscowemi, uwzględniającemi parcelacyę w pewnej części kraju lub w pewnym krótkim czasokresie. Znaczenie referatu p. Grabskiego polega na tem, że próbuje dać nam statystykę obszarów parcelowanych w całej Galicyi w ostatnich kilkunastu latach.

Autor wziął jako punkt wyjścia swych obliczeń ostatnie sprawozdanie Dyrekcyi galic. Towarzystwa kredytowego ziemskiego z czynności za rok 1904, które podaje cyfry odnoszące się do parcelacyi, dokonanych w ośmiu latach 1897—1904, w dobrach obciążonych pożyczkami hipotecznemi towarzystwa. W myśl obowiązujących ustaw parcelacya w dobrach obciążonych pożyczkami towarzystwa nie może dokonać się bez jego wiedzy, o parcelacyach innych towarzystwo nie ma żadnych wiadomości. Sprawozdanie towarzystwa stwierdza, że w wymienionym czasokresie rozparcelowano zupełnie 119 obszarów dworskich o powierzchni ogólnej 38.615 morgów, oprócz tego rozparcelowano części 302 majątków. Obszar cały tych 302 majątków przed parcelacyą wynosił 601.537 morgów, z których wydzielono celem parcelacyi 64.033 morgów. Ogółem rozparcelowano w ciągu ostatnich ośmiu lat 102.652 morgów w majątkach, obciążonych pożyczkami towarzystwa. Majątki te stanowią tylko 40% własności tabularnej, istniejącej w kraju, a zatem należy przypuszczać, że w całym kraju rozparcelowano dwa razy tyle, t. j. przeszło 209 tysięcy morgów. Wedle p. Grabskiego w siedmiu ostatnich latach 1890—1897 rozparcelowano przeszło 60 tysięcy morgów; p. Grabski doszedł do tej cyfry w ten sposób, że podwójną ilość morgów wykazanych, jako rozparcelowanych w roku 1897 w statystyce Galic. Tow. kredytowego ziemskiego pomnożył przez siedm. Obliczenia te znajdują zupełne potwierdzenie w publikacyi statystycznej, przygotowanej przez krajowe biuro statystyczne o własności tabularnej, a stwierdzającej ubytek 269.252 morgów, wykreślonych z ksiąg własności tabularnej w latach 1890—1903.

Chcąc trafnie ocenić znaczenie tych cyfr, pamiętać trzeba, że nie nadają się do parcelacyi dobra publiczne, stanowiące własność państwa, kraju, gminy, Kościoła i t. d., latyfundya wielkich panów, lasy w dobrach, mających od 2500—5000 morgów. Po potrąceniu powierzchni tych dóbr od ogólnego obszaru własności tabularnej otrzymamy cyfrę, oznaczającą rozmiar własności tabularnej, nadającej się do parcelacyi. W latach 1890—1905 rozparcelowano zeń 11·9%. Ilość rozparcelowanych morgów nie rozkłada się równomiernie na wszystkie

lata, przeciwnie są pod tym względem znaczne różnice, aczkolwiek kierunek różnic pozostaje niezmiennym. Parcelacya z roku na rok wzrasta. Metodą podwajania cyfr, wykazanych przez Towarzystwo kredytowe ziemskie dochodzi autor do wniosku, że w r. 1904 rozparcelowano około 50.000 morgów, co odpowiada przeszło $2^1/_2$ % całego obszaru nadającego się do parcelacyi. »Jeżeli tak dalej pójdzie, to najdalej w ciągu 30 do 40 lat zostanie u nas doszczętnie przez parcelacyę zniszczona cała średnia folwarczna własność ziemska«.

Tak dalej nie pójdzie, należy przypuszczać, że ruch parcelacyjny dosięgnął lub wkrótce dosięgnie granic swego najwyższego natężenia. Wiadomości, które dr. Grabski zebrał o wysokości cen, uzyskiwanych przy parcelacyi obszarów dworskich są pod tym względem wyraźną wskazówką. Ceny są w ostatnich czasach nader wygórowane, chłopi przekonają się wkrótce o nieracyonalności kupowania ziemi po tych cenach, będą na przyszłość mniej płacili, a zatem zmniejszy się ilość majątków przeznaczonych na sprzedaż parcelacyjną, ponieważ zmniejszy się zyskowność parcelacyi. Trudno się jednak łudzić nadzieją, że ruch parcelacyjny ustanie, przeciwnie będzie on jeszcze przez długie lata jednem z najbardziej charakterystycznych znamion naszych stosunków rolniczych, albowiem ekspanzywność własności włościańskiej, a mała odporność szlacheckiej, ugruntowane są głęboko w warunkach rozwoju współczesnych zjawisk gospodarczych. Rozszerzy się niewątpliwie na okolice kraju dotychczas nim nie objęte, mamy na myśli Galicyę wschodnią, w której ruch parcelacyjny jest młodszy i słabszy, jak w Galicyi zachodniej. Pieniędzy na parcelacyę dostarczają chłopu zarobki oszczędzone przy sposobności czasowego wychodźtwa do Niemiec lub Stanów Zjednoczonych. Dawniej tylko Mazur zdobywał się na energię pracowania poza granicami kraju, dziś także i Rusin znalazł drogę do niemieckich większych majątków, ze względów narodowych zatrudniających chętniej chłopa ruskiego. Grosze przy tej sposobności zaoszczędzone będą ulokowane, podobnie jak zarobki Mazura, w ziemi, z tą tylko różnicą, że w Galicyi wschodniej ruch parcelacyjny wzmacnia nie tylko własność włościańską, ale także i ruską z uszczerbkiem polskiej.

Zło tkwi nie w fakcie parcelacyi, ile raczej w sposobie, w jaki się dokonuje. Nie powstają samoistne osady chłopskie, któreby dały zatrudnienie rodzinie gospodarza w ciągu całego roku, natomiast włościanie dokupują skrawki gruntu niewielkie, które nawet w połączeniu z kawałkiem ziemi, od dawna stanowiącym ich własność, nie tworzą

samoistnego gospodarstwa rolniczego. Nowonabywcy nie przestają być chałupnikami, zmuszonymi szukać zarobku ubocznego, ażeby módz wyżywić siebie i swą rodzinę. Nie oddając się wyłącznie ani gospodarstwu, ani czynnościom, które są dla nich zarobkiem ubocznym, nie mogą w żadnym kierunku doprowadzić do zadawalniających rezultatów. Zdaniem p. Grabskiego parcelacya osadnicza (powstawanie nowych zagród włościańskich) »zabiera u nas co najwyżej 15% parcelowanej ziemi, a prawdopodobnie mniej«, reszta jest terenem parcelacyi sąsiedzkiej. Na podstawie sprawozdań banku parcelacyjnego oraz towarzystwa wzajemnej pomocy obywatelskiej w Krakowie, autor stara się określić rozmiary osad, powstających przy parcelacyi, względnie kawałków, przykupionych przez sąsiadów. W wypadkach parcelacyi sąsiedzkiej przeciętna dokupywanego kawałka wynosi 2·9 morga przy parcelacyach Banku parcelacyjnego, a 2·7 morga przy parcelacyach Towarzystwa pomocy obywatelskiej.

Prowadzi się zatem w Galicyi rodzaj handlu detalicznego ziemią, a jak często w handlu detalicznym, tak i w tym wypadku nabywca płaci bardzo drogo za towar, a transakcya niejednokrotnie ma charakter wybitnie nierzetelny. Przeciętna cena sprzedaży Banku parcelacyjnego we Lwowie, założonego celem przeciwdziałania spekulacyi parcelacyjnej wynosiła 616 koron za morgę, podczas gdy Bank ziemski w Poznaniu brał za ziemię będącą niewątpliwie w wyższej kulturze, jak zaniedbane grunta galicyjskie tylko 462 korony za morgę. Na podrożenie cen ziemi wpływa spekulacyjne pośrednictwo. Właściciel sprzedaje cały majątek osobistości, która go nie kupuje w zamiarze gospodarowania na nim, lecz w zamiarze dalszej odsprzedaży chłopom w kawałkach możliwie najmniejszych, ponieważ w ten sposób uzyskuje najwyższą cenę. »Jak wielkie rozmiary przybrała dziś u nas spekulacya parcelacyjna, świadczy fakt, że wedle przeprowadzonych przez nas dochodzeń w Tow. kredytowem ziemskiem z rozparcelowanych całkowicie w roku 1904 majątków ani jeden nie był parcelowanym przez dawnego właściciela, lecz wszystkie przez nowonabywców«. Dr. Grabski przytacza przykładowo szereg faktów illustrujących oszukańcze manipulacye spekulantów parcelacyjnych. Pan Wojciech Wiącek, włościanin z Tarnobrzeskiego, wymienia w pouczającym artykule ogłoszonym w *Czasopiśmie dla spółek rolniczych* o parcelacyi w powiecie tarnobrzeskim imiona, nazwiska i miejsca zamieszkania 58 żydowskich spekulantów ziemią, czynnych w tym jednym powiecie.

Wydział krajowy zapowiada, że celem zaradzenia złemu ma za-

miar popierać zakładanie spółek parcelacyjnych, złożonych z chłopów, mających zamiar kupna ziemi, któreby kupując wprost cały majątek od właścicieli obszarów dworskich, uczyniły zbędnem pośrednictwo, a zachowały dla wspólników cały zysk, wynikający z różnicy ceny ziemi kupionej w całości, a sprzedanej kawałkami. Oprócz tego Wydział krajowy pracuje nad projektem ustawy, zabraniającej parcelacyi bez poprzedniego zatwierdzenia planu parcelacyjnego przez władze.

* * *

Spółek oszczędności i pożyczek było z końcem roku 1904 — 348 (256)[1] z ogólną ilością członków 67.255 (46.684); przeciętnie na jednę spółkę wypada 193 (182) członków. Spółki zebrały tytułem wkładek oszczędności 9,004.023 (5,950.792) K; przeciętnie na jednę spółkę wypadało z końcem roku 1904 wkładek oszczędności 25.874 (23.245) K. Udziałów miały spółki 479.830 (322.071) K. W przeciętnie na jednę spółkę 1380 (1258) K., a na jednego członka 7·13 (6·90) K. Z końcem roku 1904 spółki miały długów na 1,981.801 K., co odpowiada 22% zebranych wkładek oszczędności. Stosunek ten powoli, ale stale poprawia się z roku na rok (w r. 1902 — 29·1%, w r. 1903 — 22·6%); jest w Galicyi zachodniej znacznie korzystniejszy, jak we wschodniej. Spółki z końcem roku 1904 miały wierzytelności u swoich członków z tytułu udzielonych pożyczek w sumie 10,738.225 koron o 2,946.565 K więcej, jak w roku zeszłym; przeciętna wysokość pożyczki podniosła się z 225 na 239 K. Fundusze rezerwowe wzrosły ze 193.985 na 314.534 K. Spółki rozwijają się normalnie; jak dawniej, tak i teraz zachodnie są znacznie silniej fundowane, jak wschodnie. Jednym z najważniejszych współczynników ich pomyślnego rozwoju, jest silne poparcie duchowieństwa.

* * *

Nieurodzaj roślin pastewnych w roku 1903 i 1904, wywołany jednego roku posuchą, drugiego roku nadmiernymi opadami, podniósł koszta żywienia bydła i skłonił wielu biedniejszych rolników do jego wysprzedaży. Obecnie, gdy stosunki poprawiły się pod tym względem, rolnicy sprzedają mało bydła, ponieważ 1) mają go mniej, jak przed-

[1] W nawiasach podajemy cyfry za rok zeszły celem umożliwienia porównania.

tem, 2) przychowują jaknajwięcej sztuk, ażeby stały stan obór zwiększyć, a więc sprzedają ich jak najmniej, mimo wysokich cen. Jak zwykle w takich razach rzeźnicy podnieśli bardziej ceny mięsa, jak rolnicy. Stąd głośne skargi na... rzeźników. Szeroka publiczność i dzienniki zwracają się przedewszystkiem przeciw tym, do rąk których trzeba płacić zwyżkę cen, nie pytając się o to, czy oni rzeczywiście są winni. Rzeźnik rzadko kupuje bydło za gotówkę, nie stać go na to, a ponieważ rolnik chce sprzedać za gotówkę, przeto zakupnem bydła trudni się komisyoner, zasobny w kapitał, który daje gotówkę rolnikowi, a kupione bydlę na kredyt rzeźnikowi. Dopiero sprzedaż mięsa dostarcza rzeźnikowi gotówki, potrzebnej na spłacenie komisyonera. Otóż prawdopodobnie cała korzyść z różnicy cen przypada temu komisyonerowi, a nie rzeźnikom, którzy tylko o tyle zawinili wobec siebie samych i innych, że nie potrafili zaopatrzyć się w kapitał i wyzwolić się z tej zależności, albo sami albo drogą stowarzyszenia, zakupującego bydło w wielkich ilościach.

Najprostszym sposobem zwalczenia cen mięsa byłoby otwarcie granicy rosyjskiej i rumuńskiej. W razie sprowadzania bydła w plombowanych wagonach wprost do rzeźni, odpadłoby niebezpieczeństwo zarażenia naszego bydła, w razie sprowadzania tylko pewnych z góry określonych ilości (kontyngent), odpadłaby obawa zbyt silnej zniżki cen. Przeciw temu rozwiązaniu nawet z temi dwoma zastrzeżeniami przemawiają poważne przyczyny. Zamknięcie wschodnich granic jest następstwem utrudnień, które Niemcy robią przy przywozie bydła i świń z Austro-Węgier. Póki Niemcy mimo silnej agitacyi mieszczan, nie zmieniają swej polityki weterynaryjnej i celnej, trudno Austro-Węgrom zmienić swoje stanowisko wobec Rosyi i Rumunii. Zresztą ze względu na interesa rolnicze środek taki mógłby być tylko przejściowym, zarówno jego zastosowanie, jak zniesienie wywołałoby zamieszanie, spekulacye w cenach, na których zarobiliby kupcy, ale nie publiczność, dałoby Rosyi i Rumunii powód do żądania zmian w obecnym stanie rzeczy. To też rząd nie zastosował tego środka zaradczego.

Są jednak inne i to w ręku prywatnych jednostek. Konina i mięso królicze są u nas prawie nieznane, rozszerzenie ich konsumcyi za przykładem zagranicy byłoby bardzo pożądane. Konsumenci, dotknięci wysokiemi cenami mięsa, mogliby tworzyć stowarzyszenia spożywcze celem zakładania rzeźni na wspólny rachunek członków; stosowarzyszenia kupując wprost u rolników z pominięciem komisyonerów, oszczędzając

zysk, dotąd pobierany przez rzeźników, ponosząc jedynie koszta administracyjne, powinny sprzedawać mięso stosunkowo tanio. Tego wszystkiego nie zrobiono, natomiast chwycono się środka zaradczego, mojem osobistem zdaniem, najmniej stosownego. Nawoływania dzienników doprowadziły do tego, że w Krakowie i we Lwowie zarządy gminne zajęły się sprzedażą mięsa na własny rachunek w konkurencyi z rzeźnikami, chcąc ich przez to zmusić do obniżenia cen.

Pomijam już okoliczność, że ostrze tego środka zaradczego zwraca się przeciw najmniej winnym, kładę nacisk na co innego. Pierwszem zadaniem polityki ekonomicznej u nas w kraju powinno być wyrobienie typu przedsiębiorcy. Ani kapitał, ani wiedza techniczna same przez się nie wytworzą postępu gospodarczego. Trzeba do tego ludzi, chętnych i uzdolnionych do prowadzenia przedsiębiorstw, obdarzonych potrzebnym sposobem myślenia i odczuwania. Stawianie przeszkód w wyzyskaniu pomyślnej konjunktury handlowej zraża, przeszkadza rozwojowi przedsiębiorczości i inicyatywy, jest wyrazem biurokratycznych zapatrywań, głęboko zakorzenionych w naszem społeczeństwie. Ostatecznie nic dziwnego, zarówno redaktorowie, jak przeważna część czytelników żyje ze stałych, niezmiennych dochodów, zatem drożyznę mięsa silnie odczuwają, wprawdzie są gorącymi zwolennikami przemysłu, ale jego popieranie pojmują znowu w sposób znowu biurokratyczny, jedynie dostępny ich systemowi myślenia ekonomicznego: domagają się zasiłków ze skarbu krajowego dla przedsiębiorców, ale nie dbając o to, czy wyrabia się u nas w kraju ten specyalny typ uzdolnienia gospodarczego, zamiast pracować nad stworzeniem warunków sprzyjających tej ewolucyi psychologiczno-ekonomicznej, nieświadomie jej przeciwdziałają.

Ostatecznie wobec wyjątkowej drożyzny otwarcie jatek miejskich jest może chwilowo usprawiedliwionem, byłoby jednak rzeczą ubolewania godną, gdyby jatki gminne stały się instytucyą stałą na wzór miejskich składów węgla, założonych przed laty kilku także pod wpływem chwilowej zwyżki cen, a później nie zniesionych. Dowodem rażącym zdrowszych stosunków ekonomicznych i bardziej rozwiniętego uzdolnienia gospodarczego w Królestwie jest przeciwdziałanie drożyźnie węgla w Warszawie. Konsumenci poszli drogą samopomocy i utworzyli pomyślnie rozwijające się stowarzyszenie spożywcze dla zakupna węgla na wspólny rachunek członków. U nas, jak źle się dzieje, każdy odwołuje się zaraz do pomocy władz publicznych, a gdy władze wy-

dają zarządzenia w interesie ogółu, nikt słuchać ich nie chce — obie te idee razem tworzą nasz społeczny światopogląd.

Dr. Adam Krzyżanowski.

Z ruchu w Cerkwi rosyjskiej.

Niedawno [1] streszczaliśmy objawy ruchu, jaki w łonie Cerkwi rosyjskiej ujawnił się w kierunku wyzwolenia z pod jarzma państwowego i ożywienia kościelno-religijnej pracy. Ostatnie kilka miesięcy przyniosły nam nową wiązankę faktów z tej dziedziny.

W Rosyi zwykły się odbywać dyecezalne zjazdy duchowieństwa, które dotąd obradowały według ściśle określonego z góry programu, mając za przedmiot przeważnie drobiazgowe z dziedziny ekonomicznej sprawy, tak zwane przez księdza Pietrowa *popowskija dieła*. Zjazdy tegoroczne i pod względem tematów i pod względem zainteresowania się ogólnego korzystnie się odróżniają od poprzednich. Poruszono wiele spraw ogólniejszego znaczenia, których ostatecznego rozstrzygnięcia oczekuje Cerkiew od przyszłego wszechrosyjskiego Soboru. Sobór taki, *podług najświeższych* wiadomości, ma być zwołany w najbliższej przyszłości. Tymczasem robią się przygotowania, W Omsku obradowano nad sposobami zbliżenia władzy biskupiej do niższego duchowieństwa przez usunięcie papierowej, biurokratycznej, konsystorskiej ściany. Rozpatrując kwestyę *staroobriadczestwa* i wolności religijnej, skonstatowano, że Cerkiew czuje się wobec innowierców zupełnie bezsilną, dopóki nie nastąpi gruntowna reforma kościelna na podstawie kanonicznej i dopóki nie będzie nadaną pewna autonomia życiu parafialnemu, Zjazd zakończył się burzliwie. Z powodu postulatu, aby dziekanów wybierali sami konfratrzy z pomiędzy siebie, zjazd cały wpadł w niełaskę biskupa, który deputatów zjazdu nazwał w oczy wolnodumcami, warchołami i t. d., a głównych działaczy zebrania porozsyłał w najdalsze zakątki dyecezyi. Za zasadą wyborów nie tylko dziekanów, ale i biskupów, wypowiedziało się kilka innych zjazdów.

Zasługują na wzmiankę postulaty jarosławskiego zjazdu. Uznano tam za konieczne zmienić sposób materyalnego uposażenia duchowieństwa. W tym celu rząd powinien zabrać dobra duchowne, pozostawia-

[1] Zobacz *Przegląd Powszechny*, wrzesień, 1905.

jąc kapłanom małe tylko cząstki, a natomiast udotować roczną pensyą przynajmniej 1000 rubli na kapłana łącznie ze śpiewakiem cerkiewnym. Zapłata za udzielanie sakramentów i za pogrzeby winna być zniesiona, za odprawianie zaś nadobowiązkowych nabożeństw ma być określana dobrowolną umową interesantów. Zażądano ograniczenia dowolności w przenoszeniu duchownych z jednej parafii na drugą; ustanowienia »trybunału honoru«, mającego na celu czuwać nad moralnością duchowieństwa i karcić wykroczenia braterskimi środkami; częstego zwoływania parafialnych zebrań, z oddaniem w ich ręce dobroczynności miejscowej, szkolnictwa ludowego i t. d. Co się tyczy wyborów kapłana przez lud, jak to chce wielu, zjazd uznał uskutecznienie tego projektu za niepożądane. Co innego wybory na inne godności kościelne, gdzie pożądanem jest nadanie duchowieństwu praw wyborczych.

Żywo omawianą była w prasie cerkiewnej i świeckiej kwestya udziału duchowieństwa w wyborach »Dumy« i w ogóle kwestya uczestnictwa w politycznej pracy. Organa liberalne, jak np. *Ruś*, boją się klerykalizmu i dlatego przypominają duchowieństwu, że jego zadaniem nie polityka, ale zbawienie dusz. Jest to ten sam pogląd, którego dotąd właśnie trzymali się konserwatyści cerkiewni i na zasadzie którego odmawiali swego współudziału w dążeniach społeczeństwa do reform liberalnych. Teorya ich mści się teraz na nich samych. Wyraźne stanowisko wobec tej kwestyi zajęła »grupa duchownych petersburskich«, znanych nam chlubnie ze swego lutowego memoryału. Oświadczają teraz, że Kościołowi nie może być obojętnym żaden z objawów publicznego życia i dlatego winno duchowieństwo wziąć czynny udział w wyborach. Nie na to jednak, aby swą pomocą ratować upadający stary porządek rzeczy. Zadania Kościoła są wieczne i dlatego nie powinien on wiązać się trwałym sojuszem z żadną formą przemijającą, a tem bardziej być jej sługą: on powinien na wszystkie formy patrzeć tylko z punktu widzenia prawdy Chrystusowej. »Zaczną się wybory; przy ich rozpoczęciu prawdopodobnie zawezwą nas do modłów: rosyjska dusza zechce przed rozpoczęciem wielkiego dzieła pomodlić się do Boga. O, przynajmniej wtedy zrzućmy z siebie przygniatające nas od wieków uprzedzenia; przynajmniej wtedy wypowiedzmy gorące słowo; wezwijmy, aby przy wyborach miano wzgląd na zachowanie interesów samej tylko prawdy. Łaknie prawdy wyższej rosyjski duch, tęskni za nią, dusząc się w kłamstwie! Wyjaśnijmy, czego potrzeba, aby Duma państwowa dała Rosyi prawdę, wyzwoliła ją od kłamstwa!« Ale czy

na wielu z pomiędzy duchowieństwa można liczyć, że będzie działało tylko w interesach prawdy?

Znane nam są orgie okrucieństwa, wyprawiane przez tak zwane »czarne sotnie«. Zamiast głosu pokoju, niektórzy dostojnicy Cerkwi rosyjskiej (Włodzimierz, metr. mosk., Hermogenes, biskup saratowski), dali swem postępowaniem powód do mniemania, że i oni nie widzą innego sposobu obrony przestarzałych ideałów, jak tylko uzbrojenie jednej części ludności przeciwko drugiej. Na chlubę znacznej części duchowieństwa rosyjskiego zapisujemy ten fakt, że wielu kapłanów dyecezyi moskiewskiej odmówiło posłuszeństwa Włodzimierzowi w sprawie odczytania w Cerkwi jego odezwy; że duchowni saratowscy jednogłośnie potępili odnośne artykuły, drukowane w miejscowym organie, za błogosławieństwem biskupa, i zażądali od tego ostatniego, aby cofnął swe błogosławieństwo; że wreszcie owa »petersburska grupa« w ognistej odezwie nakreśliła program chrześcijańskiej działalności pasterzy wobec mogących ponowić się rozruchów. »Pasterze! krew zabitych spoczywa na nas. Nie śmiemy dotknąć się kielicha krwi Pańskiej, jeśli nie podniesiemy naszego głosu, nie ujmiemy się za Chrystusową prawdą, za Jego przykazaniami, dlatego, że nasze ręce zbroczone tą krwią... Słyszeliśmy, że i pasterze niekiedy winni tego... Czy wierzyć temu?... Słudzy Chrystusa krzyżują Go... Kapłani krew eucharystyczną mieszają ze krwią zabitych... Nie chce się dać wiary, lecz tak: zdaje się miało i to miejsce... Zaślepił Pan serca ich i odwrócił swą prawicę od nich... Pasterze, w imię krwi na krzyżu wylanej, wznieście krzyż w górę i zatrzymajcie lejącą się krew... Zmuście zabójców, niechaj nie inaczej, jak po krzyżu, kroczą ku zbrodni, jeżeli już zdołali zapomnieć o Chrystusie...« Kończy się odezwa apostrofą do duchowieństwa innych wyznań i do rabinów, aby i oni pomogli »dziełu miłości«.

Ogólny ruch młodzieży objął sobą i wychowańców szkół duchownych. Studenci wszystkich czterech akademii teologicznych zażądali gruntownej reformy tych szkół, a nawet zupełnej ich kasaty, na rzecz fakultetów teologicznych przy uniwersytetach. Tymczasem strejkują. Oprócz akademii, nieczynnemi są i niektóre seminarya. Wszyscy odczuwają potrzebę reformy, lecz podczas kiedy jedni, np. M. Tołstoj, wskazują na bardziej zachodnie, katolickie wzory, inni są za zupełnem zlaicyzowaniem tych zakładów.

Niejaki p. Dumski, bawiąc we Francyi, przypatrzył się tamtejszym porządkom kościelnym. Podobało mu się, że księża uczą katechi-

zmu po kościołach, więc proponuje i prawosławnemu duchowieństwu tę praktykę. »Odkrycie« to zaczyna się niektórym podobać...

Smutnej pamięci Pobiedonoscew, po 25 latach trzymania w niewoli całej Cerkwi, przeszedł w stan spoczynku. Nigdzie nie widać żalu po nim. Nowy ober-prokurator, książę Aleksy Oboleński, rozpoczął swoją działalność od cyrkularza, wzywającego duchowieństwo do pracy nad uspokojeniem i wzajemnem godzeniem różnych warstw i partyi politycznych. Jest to dość wyraźna nagana postępowania dostojników, o których wyżej była mowa.

Ks. Jan Urban.

Odpowiedź autora.

W listopadowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* zamieszczona została recenzya mojej książki p. t. »Historya polityczna dawnych klasztorów panieńskich w Galicyi 1773—1848«. Kraków 1905. Redakcyi winienem podziękowanie za umieszczenie, a recenzentowi za tak prędkie przeczytanie grubej książki i bardzo pochlebne sprawozdanie. Ponieważ jednak dużo mi uczynił zarzutów, a niektóre z nich nastręczają mi sposobność do wyjaśnienia nieznanych kwestyi historycznych, przeto daję niniejszą odpowiedź dlatego, że nauka na tem zyskać może.

Tytuł mojej książki uzasadniłem w przedmowie, mimo to nazywa go p. Marek Michnowiecki niejasnym; muszę więc przypuścić jedno z dwojga: albo przedmowy nie czytał uważnie, albo go też moje wyjaśnienia nie przekonały. Za pierwszem przypuszczeniem przemawiałoby to, co mówi o źródłach mojej pracy, a mianowicie, że akta te znajdują się w ces. nadwornej kancelaryi, podczas gdy ta kancelarya już od r. 1848 nie istnieje.

Niesłuszny spotyka mnie zarzut, że pisząc o Klaryskach, dodaję w nawiasie Bernardynki, podczas gdy to są dwa osobne zakony. Wiadomo przeciwnie, że wszyscy Bracia Mniejsi mają jednę regułę św. Franciszka, a tylko pewne jej modyfikacye wywołały osobne Zgromadzenia: Franciszkanów, Bernardynów, Reformatów i Kapucynów, którym Leon XIII na nowo połączyć się kazał. Tak samo żeński zakon św. Franciszka ma jednę wspólną regułę św. Klary i stąd wszystkie są Klaryskami, ale że i ta reguła uległa pewnym modyfikacyom, przeto powstały Franciszkanki, Bernardynki i Kapucynki. Ponieważ zaś w Tar-

nowie były Bernardynki, zwane w aktach Klaryskami, przeto w nawiasie to zaznaczyłem.

To co powiedziałem o Brygitkach, że o nich głucho w literaturze po ich zniesieniu w Galicyi, jeszcze teraz podtrzymuję. Przytoczyłem na dowód artykuł w »Encyklopedyi kościelnej«, w którym Sokal i Sambor nawet całkiem opuszczono, chociaż autor tego artykułu o »Brygitkach w Polsce« pisał z niemałą rzeczy znajomością. Nie osłabia mojego twierdzenia to, co przytacza p. Marek Michnowiecki, że »Słownik geograficzny« »ma jakie takie« o nich wiadomości, a tem mniej dziełko, o którem wspomina, bo dziełka tego niemasz w handlu księgarskim. Daremnie przeszukano wszelkie katalogi w księgarni Gebethnera, ale nie znaleziono ani śladu. Z góry jednak przekonany jestem, że o kasacie klasztorów w Galicyi niebym się z tego dziełka nie dowiedział. Pouczony jestem w tej mierze przykładem, który przytoczyłem przy Karmelitankach Bosych, zniesionych we Lwowie (str. 26). Nie można mi też z dobrą wiarą robić z tego zarzutu, że zupełnie pominąłem klasztory Brygitek w Łucku i Grodnie, bo na na tym punkcie jest tytuł mojej książki zapewne dostatecznie »jasny«, że ograniczyłem się wyłącznie do historyi klasztorów panieńskich w Galicyi.

O Bazyliankach nie napisałem rozdziału, jak pisze p. Marek Michnowiecki, tylko całą trzecią część księgi II, tj. rozdziałów trzy i nietylko podałem »mnóstwo rzeczy nowych, pouczających«, lecz napisałem całkiem nieznaną historyę Bazylianek w Galicyi, jakto zresztą w książce mojej wykazuję. Pan Marek Michnowiecki nie dopowiedział więc prawdy, ale znalazł sposobność do udzielenia mi nauki, że klasztor Bazylianek w Zagwoździu umieściłem w dyecezyi gr. k., która wcale nie istniała, tj. Kamienieckiej, przyczem poucza mnie, że ten klasztor, razem z podolskimi Rusinami należał do dyecezyi lwowskiej gr. k. Ja chętnie i z wdzięcznością przyjmuję każde pouczenie, chociaż historya Kościoła na Rusi nie jest mi obcą i podobno już niejedno o niej drukiem ogłosiłem; w tym przypadku jednak będziemy musieli zamienić rolę i p. Marek Michnowiecki chcąc nie chcąc będzie musiał przyznać, że rola nauczyciela była wobec mnie zbyteczna.

Spis Bazylianek podany przezemnie w tem miejscu (str. 136) zredagowany był r. 1782 przez referenta gubernialnego i on też w nawiasie zaznaczył, do których dyecezyi należą klasztory Bazylianek, przezeń wymienione. Zachodzą więc teraz dwa pytania: dlaczego nie umieścił klasztoru w Zagwoździu pomiędzy klasztorami dyecezyi

zmu po kościołach, więc proponuje i prawosławnemu duchowieństwu tę praktykę. »Odkrycie« to zaczyna się niektórym podobać...

Smutnej pamięci Pobiedonoscew, po 25 latach trzymania w niewoli całej Cerkwi, przeszedł w stan spoczynku. Nigdzie nie widać żalu po nim. Nowy ober-prokurator, książę Aleksy Oboleński, rozpoczął swoją działalność od cyrkularza, wzywającego duchowieństwo do pracy nad uspokojeniem i wzajemnem godzeniem różnych warstw i partyi politycznych. Jest to dość wyraźna nagana postępowania dostojników, o których wyżej była mowa.

Ks. Jan Urban.

Odpowiedź autora.

W listopadowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* zamieszczona została recenzya mojej książki p. t. »Historya polityczna dawnych klasztorów panieńskich w Galicyi 1773—1848«. Kraków 1905. Redakcyi winienem podziękowanie za umieszczenie, a recenzentowi za tak prędkie przeczytanie grubej książki i bardzo pochlebne sprawozdanie. Ponieważ jednak dużo mi uczynił zarzutów, a niektóre z nich nastręczają mi sposobność do wyjaśnienia nieznanych kwestyi historycznych, przeto daję niniejszą odpowiedź dlatego, że nauka na tem zyskać może.

Tytuł mojej książki uzasadniłem w przedmowie, mimo to nazywa go p. Marek Michnowiecki niejasnym; muszę więc przypuścić jedno z dwojga: albo przedmowy nie czytał uważnie, albo go też moje wyjaśnienia nie przekonały. Za pierwszem przypuszczeniem przemawiałoby to, co mówi o źródłach mojej pracy, a mianowicie, że akta te znajdują się w ces. nadwornej kancelaryi, podczas gdy ta kancelarya już od r. 1848 nie istnieje.

Niesłuszny spotyka mnie zarzut, że pisząc o Klaryskach, dodaję w nawiasie Bernardynki, podczas gdy to są dwa osobne zakony. Wiadomo przeciwnie, że wszyscy Bracia Mniejsi mają jednę regułę św. Franciszka, a tylko pewne jej modyfikacye wywołały osobne Zgromadzenia: Franciszkanów, Bernardynów, Reformatów i Kapucynów, którym Leon XIII na nowo połączyć się kazał. Tak samo żeński zakon św. Franciszka ma jednę wspólną regułę św. Klary i stąd wszystkie są Klaryskami, ale że i ta reguła uległa pewnym modyfikacyom, przeto powstały Franciszkanki, Bernardynki i Kapucynki. Ponieważ zaś w Tar-

lwowskiej? i dlaczego wymienił przy nim w nawiasie dyecezyę Kamieniecką obrządku łacińskiego? Na pierwsze pytanie odpowiedź nasuwa się sama przez się, tj. że Zagwoździ wówczas nie należał do dyecezyi lwowskiej. Ponieważ zaś trzeba było podać jakąś dyecezyę galicyjską, więc wymienił kamieniecką o. ł. Dodać winienem, że ani archidyecezya łac., ani dyecezya gr. lwowska nie sięgały wtedy jeszcze do samej granicy Galicyi, dlatego, że wzdłuż niej ciągnął się długi, wązki skrawek dyecezyi kamienieckiej, odciętej kordonem od właściwej dyecezyi w Polsce. Ten skrawek jednak nazywał się wówczas urzędownie dyecezyą kamieniecką w Galicyi, a to z następującej przyczyny. Biskup kamieniecki Adam Krasiński, już był się zrzekł tego skrawka na rzecz archidyecezyi lwowskiej, ale następnie rozmyślił się inaczej i w pokornym liście francuskim prosił ces. Józefa II, żeby mu pozwolił do śmierci mieszkać w Galicyjskiej części dyecezyi, bo nie chce mieć żadnych stosunków z królem polskim. Józef II dał pozwolenie; biskup zamieszkał w Młynówce i tam urządził konsystorz. Po jego śmierci dopiero zniknęła ta miniaturowa dyecezya galicyjska i przyłączona została do archid. lwowskiej. Ten list francuski sławnego patryoty znalazłem w aktach ces. kancelaryi i aż za serce się chwyciłem! Ale teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego biskup Warmiński w swojej Myszeidzie, o której czasu swego ogłosiłem studyum (Poznań 1874) z taką gryzącą satyrą i lekceważeniem o tym biskupie się wyraża.

Pozostaje teraz wyjaśnienie: dlaczego Zagwoździ nie należał do dyecezyi lwowskiej r. gr.? Pochodziło to stąd, że organizacya Kościoła gr. kat. w Galicyi nie była jeszcze w tej chwili przeprowadzona. Przyczyna leżała w tem, że Józej II, a raczej ściślej mówiąc, Hofrat Heinke, który był wówczas *spiritus movens* w nadwornej komisyi duchownej i stałym referentem w sprawach kościelnych, próbował: czyby się nie dało użyć metropolity Jazona Smogorzewskiego do przeprowadzenia tej organizacyi i w ten sposób Rzym pominąć. Dlatego też, wbrew przyjętej zasadzie, że żadnemu biskupowi zagranicznemu nie pozwolono nigdy wykonywać jurysdykcyi w Galicyi zrobiono dla metropolity wyjątek i uznawano jego władzę nad gr. kat. Kościołem w Galicyi. Niestety Jazon szedł bardzo chętnie na rękę rządowi austryackiemu, ale gęsi kapitolińskie nie spały w Rzymie i spotkała go surowa reprymenda ze strony św. Kongregacyi Propagandy. Zżymał się wprawdzie Jazon i odgrażał, ale we Wiedniu zmiarkowali doskonale, że nie tędy droga.

Mógłby mi wprawdzie p. Marek Michnowiecki zarzucić, dlaczego

nie dałem tego wyjaśnienia w książce, ale pisząc o klasztorach panieńskich tak duże dzieło, i wiedząc, że ono na poczytność wielką liczyć nie może, musiałem unikać wszystkiego, co ściśle nie należy do historyi tychże zakonów, żeby go jeszcze bardziej nie powiększać. Mogłem to zaś uczynić dlatego, że właśnie opracowuję materyały do dziejów organizacyi Kościoła w Galicyi i jeśli Pan Bóg da zdrowie, już może w przyszłym roku zacznę pisać tę pracę do druku.

Inny jeszcze, mniejszej wagi, zarzut czyni mi p. Marek Michnowiecki, że na tem samem miejscu wspomniałem jakiś klasztor greckich zakonnic, ale jaki — nie wyjaśniłem. Ten zarzut jednak uczyniony jest pod fałszywym adresem, bo odnosi się do referenta gubernialnego Knopa, który r. 1774 zrobił konsygnacyę Bazylianek i wymienił jakieś *griechische Nonnen*, ale nie podał wcale, gdzie się znajdowały? Ja przecież nie ponoszę w tem winy.

Twierdzenie p. Marka Michnowieckiego, że we Lwowie wcale nie było Augustyanek, których zniesieniu poświęciłem cały rozdział, jest co najmniej śmiałe. Chciał przez to powiedzieć, że niewiem: co to był za zakon i nie żałował mi znowu pouczenia, że »to były Kanoniczki *de Saxia* tj. właściwie Duchaczki, jak u nas u św. Tomasza«. Mimochodem jednak dodaje, że raz je nazywam Augustyankami, a potem znowu Kanoniczkami. Niepotrzebna była i ta nauka, a fatyga zbyteczna zupełnie. Ja zatytułowałem rozdział XI »Zniesienie PP. Kanoniczek św. Augustyna we Lwowie«; one nazywały się w liście, który przytoczyłem »Coenobium Canonissarum s. Augustini de Saxia«, o ich pochodzeniu z krakowskiego klasztoru u św. Tomasza wyraźnie pisałem; gubernium lwowskie nazywało je tak, jak je nazywano we Lwowie »Augustyankami«: więc zupełnie nie rozumiem, na czem p. Marek Michnowiecki opiera twierdzenie, że »takiego zakonu tam nigdy nie było«.

Powinienbym tu dodać obszerniejszy wywód o Kanonikach regularnych, jacy byli u nas: de Saxia, de poenitentia Martyrum, de S. Sepulchro, ale o tem będę mówił obszernie w historyi politycznej klasztorów męskich w Galicyi, którą za łaską Pana Boga zamierzam wydać, jako osobny tom historyi Kościoła w Galicyi, a mam olbrzymi materyał przygotowany.

Część piąta mojej książki p. t. »Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia w Galicyi«, zawiera pierwszy raz napisaną historyę tego Zgromadzenia, więc daje rzeczy absolutnie nowe i nieznane. Zrozumieli też to Ks. Misyonarze w Krakowie i w wydanych przez siebie *Rocz-*

nikach obydwu Zgromadzeń ś. Wincentego à Paulo (Kraków 1905.) w zeszycie na październik zamieścili początek pracy ks. Jana Rzywełki p. t. »Siostry Miłosierdzia w Galicyi«, podającej treść tej właśnie części mojej książki. Natomiast p. Marek Michnowiecki dopatrzył się w tej części V tylko jednej rzeczy, tj. błędnie napisanego nazwiska Grabianki. Ten sławny mąż pożyczył od Sióstr M. we Lwowie pieniądze. Referent gubernialny zrobił z Grabianki Grabiański, a p. recenzent przekręcił jeszcze trochę i zrobił się Grabiński. Daruję tego Grabiankę p. recenzentowi wraz z tym kapitałem, który Siostrom M. przepadł skutkiem jego bankructwa. Nie pragnę też wcale zapoznawać się z nim bliżej, bo nadto wielu bankrutów poznałem w mojem długiem życiu.

O tem, że w Przemyślu nie było arcybiskupstwa, że więc przemyski biskup Korczyński nie był arcybiskupem, wiedzą wróble na dachu. Jakim zaś sposobem awansował w mojej książce Korczyński na arcybiskupa, to zaraz wytłumaczę. Mowa tam jest (str. 306) o tem, że Przeorysza PP. Sakramentek wniosła prośbę do gubernium o udzielenie zwłoki, tj. żeby zaczekano dwa lata ze spłatą pierwszej raty długu, jaki zaciągnęła. Ponieważ tę prośbę odrzucił prezydent gubernialny Krieg v. Hochfelden, więc udała się z ponowną prośbą do gubernatora arcyks. Ferdynanda, a tę ponowną jej prośbę poparli gorąco arcybiskup Pischtek i biskup Korczyński. W rękopisie było: arcybiskup i biskup Korczyński poparli gorąco tę prośbę; ponieważ drukarzowi wydawały się to dwa grzyby w barszczu, więc opuścił i »biskup«, a zostawił »arcybiskup Korczyński«. Ja to wprawdzie poprawiłem, ale w korekcie nie dopilnowałem i tak znalazł p. Marek Michnowiecki sposobność do okazania swej uczoności. Niemcy nazywają to *Druckteufel*, a kto prowadzi korektę przez: marzec, kwiecień, maj, czerwiec aż do połowy lipca, temu się może takie przeoczenie przytrafić i to niejedno w tak dużej książce, zwłaszcza jeśli ma przytem jeszcze inne pilne prace i zajęcia.

Z nazwiskiem gubernatora galicyjskiego hr. Goess ściga mnie jakieś fatum. On podpisywał się »szwabachą«, tj. niemieckiem pismem w ten sposób, że czytałem Gonss. Wytknął mi to Finkel w *Kwartalniku historycznym*, omawiając moją rozprawę p. t. »Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu«, piszę więc teraz Goess. Tymczasem p. Marek Michnowiecki dowodzi, że trzeba jeszcze dodawać dwie kropki nad e. Przepraszam bardzo, ale przypuszczać muszę, że gubernator umiał swoje nazwisko podpisać, a gdyby był kropki zrobił, to nie byłbym

czytał n zamtast e. Taką krytykę nazywają Niemcy *Silbenstecherei.* Również nie mogę iść śladem szan. recenzenta i nazywać hr. Goess »namiestnikiem cesarskim«, bo nie był namiestnikiem, tylko gubernatorem. Jaka zaś jest różnica pomiędzy gubernatorem a namiestnikiem i od kiedy w krajach monarchii austryackiej, a więc i w Galicyi są namiestnicy cesarscy, o tem może p. Marek Michnowiecki znaleźć wyjaśnienie w każdem kompendyum historyi.

Schodzimy coraz niżej w zarzutach i dlatego na wszystkie lapalia nie mogę odpowiadać. Szan. recenzent zarzuca mi używanie neologizmów, ale daję konia z rzędem za stary polski wyraz na oznaczenie *Robotreluxion,* skoro ta akcya polityczno-społeczna dopiero za Józefa II przeprowadzona została. Tam gdzie p. Marek Michnowiecki spróbował przetłumaczyć »Konkurencyę szkolną« przez opłaty, zdradził tylko to, że znaczenia tego wyrażenia administracyjno-prawnego wcale nie zna. Nawet germanizm wynalazł p. Marek Michnowiecki w mojej książce, karcąc wyrażenie: »urodzona Czartoryska«, przyczem dodał w nawiasie *geborene.* Jeśli po francusku umie, to powinien wiedzieć, że Francuzi tak samo mówią »née« i dlatego u nas ten gallikanizm często się trafia. Przyznaję się do winy, ale nie do germanizmu. W Polsce pytano: jak z domu? i kto go rodzi? i na tem pytaniu kończę.

Ks. Wł. Chotkowski.